

A photograph of a person's hand and forearm reaching down towards a dark, rippling surface of water. The hand is positioned just above the water, and its reflection is clearly visible in the dark water below. The background is dark and textured, suggesting a natural setting like a forest stream.

SHERRI  
SMITH

Spacer  
na krawędzi

**Sherri Smith**

# **Spacer na krawędzi**

Tłumaczenie:  
Marta Żbikowska

*Dla Tary*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## *Dzień pierwszy*

### *Środa, wczesnie rano*

Na początku byłam przekonana, że moja matka spowodowała pożar albo znowu zrobiła krzywdę innemu pacjentowi. W zeszłym roku dźgnęła nożem kobietę, która siedziała obok niej w jadalni. Podobno chciała zabrać jej deser. Za każdym razem to ja musiałam pokrywać koszty szkód (kobiecie założono cztery szwy – po jednym za każdy ząb widelca) i podejrzewam, że dom opieki nie był na tym stratny. Wyobrażam sobie, jak pielęgniarki spotykają się po pracy, stukają kieliszkami z mai tai i gratulują sobie, że udało im się dostać coś ekstra, co przecież i tak im się należało, bo muszą użerać się z „tym babskiem”.

To cud, że w ogóle odebrałam telefon. Najpierw sprzedałam prostytutce opakowanie valtreksu, a potem przez całą godzinę pomagałam jej wybrać farbę do włosów. Królowa Nocy to był strzał w dziesiątkę. Miałam nocną zmianę i akurat planowałam zrobić sobie krótką przerwę. Odebrałam tylko ze względu na godzinę. Nikt nigdy nie dzwonił do mnie o szóstej rano.

- Mia Haas? - usłyszałam w słuchawce opryskliwy głos.
- Tak.

Siedziałam z dwiema kasjerkami. Słabą kawę pogryzałyśmy czerstwymi pączkami. Tani sposób na kopa energetycznego na kolejne dwie godziny pracy.

- Z tej strony John Pruden, komisarz policji stanowej w Wayoacie.

- Mimi znowu nabroiła? - Westchnęłam głośno ku ucieście moich koleżanek, które nigdy dotąd nie słyszały o żadnej Mimi, po czym zamknęłam się w łazience.

- Chciałem porozmawiać o Lucasie.

- Jak to?

- O twoim bracie Lucasie. Miałaś z nim ostatnio kontakt? - spytał poirytowany, że musi się powtarzać.

- Ale dlaczego? - Przygryzłam dolną wargę. Zaczęłam wyobrażać sobie najgorsze i wpadłam w panikę. Krwawe kolizje na autostradzie, puste butelki po piwie na pokładzie motorówki roztrzaskującej się o kamienisty brzeg. Szkolna strzelanina. Wayoata była jednym z tych miasteczek, w których dziwaczale i wściekle dzieciaki dostawały szau, łapały za broń i strzelały do wszystkich wokół. - Co się stało?

Pruden zignorował moje pytanie, tylko drażył swój temat:

- Mam rozumieć, że nie rozmawialiście w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin?

Próbowałam przypomnieć sobie, kiedy ostatnio miałam kontakt z moim bratem bliźniakiem. Dzwonił do mnie kilka tygodni temu, ale nie zostawił wiadomości, więc to nie było nic ważnego. Wcześniej odbyliśmy rutynową rozmowę z serii „co nowego u Mimi”. Ostatnio byłam zavalona robotą, więc nie miałam czasu na pogaduszki. Chicagowska sieć czynnych

całą dobę aptek, dla której pracowałam, otworzyła nową filię dwie przecznice stąd i musiałam brać podwójne zmiany, dopóki nie zatrudnią nowych pracowników.

- Nie, nie rozmawiałam. Ale dlaczego dzwonisz?

Pruden wymamrotał pod nosem coś niezrozumiałego, po czym dorzucił:

- Nie możemy znaleźć twojego brata.

- Jak to nie możecie go znaleźć? - Rozsądniej byłoby się zapytać, dlaczego go szukali, ale oczywiście nie przyszło mi to do głowy. Byłam zbyt skołowana. - Na pewno jest w pracy - stwierdziłam rozsądnie. Był czerwiec, zbliżały się wakacje, Lucas spędzał większość czasu w szkole. Gdyby postanowił ją rzucić, na pewno nie zrobiłby tego w trakcie egzaminów. Poza tym powiedziałałby mi o tym.

- W pracy? - powtórzył Pruden urażonym tonem, bo powiedziałam głupotę. Było wcześniej, zajęcia w szkole jeszcze się nie zaczęły. - Nie ma go w szkole. Musisz przyjechać. Kiedy możesz do nas dotrzeć? Im szybciej, tym lepiej.

Usłyszałam szarpanie za klamkę.

Próbowałam wydobyć od Prudena więcej szczegółów, ale twardo nalegał, żebyśmy porozmawiali osobiście.

Rozłączyłam się i natychmiast zaczęłam wydzwaniać do Lucasa, wybierałam numer dwadzieścia razy pod rząd. Miałam nadzieję, że brat odbierze i razem się pośmiejemy z tej absurdalnej pomyłki. Opowie mi zabawną historyjkę o tym, że poznał wspaniałą dziewczynę i spędził u niej ostatni tydzień, a potem bardzo się zdziwi, że policja zaczęła

go szukać z powodu kilku nieusprawiedliwionych nieobecności w pracy.

Niestety Lucas nie odbierał. Sygnał odbijał się głuchym echem, a po nim włączała się automatyczna sekretarka, co rozwiewało wszelkie nadzieje i wzmagало mój lęk. Słuchawka zaczęła parzyć mnie w ucho. Jeszcze długo po jej odłożeniu przerywany dźwięk sygnału brzęczał mi w uszach. Co jest grane? Wszystkie moje telefony pozostały bez odpowiedzi.

Otworzyłam przeglądarkę Google i wyszukałam stronę redakcji *Wayoata Sun*. Szumiało mi w uszach, czułam coraz większy ucisk w klatce piersiowej. Lokalny dziennik wyglądał jak tania imitacja gazety, jakby wszystko było zmyślane. Jak tandetne fotoramki w przyjezdnym wesołym miasteczku z napisem POSZUKIWANY oraz miejscem, gdzie można wstawić swoje lub cudze zdjęcie i okrasić nazwiskiem czy ksywką.

Patrzyłam na dwa zdjęcia z kroniki szkolnej. Na jednym członek kadry, na drugim uczennica. Mój brat i nastoletnia dziewczyna. A nad nimi szokujący nagłówek:

NAUCZYCIEL Z WAYOATY PODEJRZANY W SPRAWIE MORDERSTWA UCZENNICY

To było wydanie z wczoraj.

Przewinęłam niżej do komentarzy i przeczytałam litanie przekleństw skierowanych pod adresem mojego brata. Pisane wersalikami słowa MORDERCA i GWAŁCICIEL wyglądały na ekranie jak dziury po nabojach. Nawet nasz nieszczęsny stary sąsiad, miłośnik sztucznych róż, które sprawiały, że Dakota Północna zimą wyglądała, jakby jej

śniegi spłynęły krwią, zdobył się na to, żeby werbalnie go ukamienować:

*Gnij w piekle, zboczony skurwielu!!#!*

Uderzyło mnie, że pan Paul Bergman nawet nie poczuł potrzeby, żeby schować się pod pseudonimem.

Dawniejsze artykuły opowiadały o zaginięciu i poszukiwaniach szesnastoletniej dziewczyny, Joanny Wilkes. Dwa dni temu znaleziono jej ciało w parku Dicksona. Zaginęła trzy tygodnie wcześniej.

Pakowanie nie zajęło mi wiele czasu. Wepchnęłam do walizki przypadkowe ciuchy oraz po garści majtek i skarpetek. Na dnie szafki z bielizną dostrzegłam czerwoną kosmetyczkę. Włożyłam ją do walizki, a po chwili wahania wyjęłam. Ostatecznie włożyłam ją z powrotem, bo nie mogłam sobie wyobrazić, że pojedę gdzieś bez niej. Tak, pakowanie nie zajęło mi wiele czasu, bo z nerwów nie byłam w stanie choćby na chwilę usiąść.

Mieszkałam w mieszkaniu stylizowanym na loft niedaleko Wicker Park. Wypełniłam je wszystkim tym, co powinno pasować do industrialnego stylu, ścian z gołych cegieł i obnażonych rur, mimo to wystrojowi wciąż brakowało polotu.

Za to, co wydawałam na czynsz, mogłabym kupić mały domek w Wayoacie. Lucas przypominał mi o tym regularnie co kilka miesięcy, od kiedy wrócił do miasteczka. Jakby wszystko, co stało mi na drodze do Wayoaty, ograniczało się do nieruchomości kupionej po okazyjnej cenie. Jakby takie nieruchomości istniały tylko w Wayoacie.



W samolocie zamówiłam whisky z wodą, żeby powstrzymać się od nerwowego przygryzania warg. Nie miałam do kogo zadzwonić. Nie miałam nikogo, kto mógłby mi powiedzieć:

- Ta sprawa z Lucasem i uczennicą jest jednym wielkim nieporozumieniem, kolejnym wymysłem śmietanki towarzyskiej Wayoaty. Zanim dojedziesz na miejsce, wszystko się wyjaśni. Szkoda czasu, żeby w ogóle tam jechać!

Moja rodzina nie była liczna. Matka w wieku dziewiętnastu lat pokłóciła się z rodzicami i uciekła z Omaha. Nigdy więcej z nimi nie rozmawiała. Prawdopodobnie zmarli, kiedy ja i Lucas byliśmy jeszcze dziećmi. Powiedziała nam o tym bez ceregieli:

- Wasi dziadkowie nie żyją, więc przestańcie o nich wreszcie wypytywać.

Miałam ciotkę, ale nie wiedziałam, jak się z nią skontaktować. Przez długi czas dzwoniła do nas w święta Bożego Narodzenia, ale z jakiegoś powodu przestała. Mimi paradowała po domu, dzwoniąc lodem w szklance, i powtarzała, że odizolowała się od rodziny. Słowo „odizolowany” wypowiadała w szczególny sposób, jakby oznaczało coś wyrafinowanego i wyszukanego.

Wayoata nie ma własnego lotniska, najbliższe było w Bismarck, skąd miałam jeszcze trzy godziny drogi samochodem na północny zachód. Zarezerwowałam srebrnego sedana, ale pracownik wypożyczalni wręczył mi kluczyki do ognistoczerwonego PT cruisera i próbował jeszcze wcisnąć dodatkowe ubezpieczenie. Poprosiłam o inny

samochód, jakikolwiek. Już nawet nie miało znaczenia, jakiego był koloru - mógł być beżowy albo czarny, byleby tylko nie zwracał tak bardzo na siebie uwagi - ale pracownik bezradnie wzruszył ramionami.

Podróż była klaustrofobiczna. Rozległe puste pola wydawały się płaskie. Ten pejzaż równie dobrze mógł być dwuwymiarowym obrazem olejnym. Słoneczne światło eksponowało tłuste plamy po robakach na przedniej szybie samochodu. Wyglądały trochę jak malunki małego dziecka. Odkąd wyjechałam do college'u, raz w roku wracałam w rodzinne strony na Święto Dziękczynienia. Siadałam w pokoju matki z talerzem na kolanach i starannie spychałam na bok różowawego indyka, którego serwował dom opieki. Gdy mniej więcej pięć lat temu Lucas wrócił do rodzinnego miasta, przestałam czuć się zobowiązana do dorocznych wizyt. Tłumaczyłam to sobie tym, że Mimi miała teraz Lucasa, który mógł ją odwiedzać, kiedy tylko będzie chciała. To, żeby ktoś ją czasem odwiedzał, było dla mnie równie ważne jak to, żebym tą osobą nie musiała być ja.

Wiedziałam, że jestem blisko, kiedy zobaczyłam stary plakat antyaborcyjny ze zdjęciem czteroletniej dziewczynki, która już na zawsze utknęła w latach dziewięćdziesiątych ze swoim odblaskowym sweterkiem i kokardą we włosach. Obok niej napisano dziecięcym charakterem pisma:

ABORCJA ZABIJA DZIECI

Trzydzieści sekund później minęłam tablicę z napisem:

WAYOATA: GOSPODARZ FESTIWALU KUKURYDZY  
I JABŁEK

Na wspomnienie tej imprezy ścisnęło mnie w żołądku, od samego patrzenia na tablicę zrobiło mi się słabo. Ktoś skreślił literki „u” w słowie „kukurydza” i dopisał nad nimi po literce „a”, a kreskówkową kukurydzę przerobił na penisa, z którego strzelały trzy stróżki nasienia na mocno zaróżowione jabłko. To, że tablica powitalna została zbezczeszczona, ale reklamy antyaborcyjnej już nikt nie ruszał, mówiło wiele o samym mieście.

Następnie wyłoniły się dwie konkurujące ze sobą stacje benzynowe, oświetlone jaśniej niż niejedno kasyno. Wjechałam na teren zabudowany, domy stały przy drodze coraz gęściej. Na tyłach gospodarstw widać było pordzewiałe spichlerze, a każda droga wracała do Main Street, żeby uniknąć ślepych uliczek. Bo kto chciałby mieć widok z okna na ślepą uliczkę? Kilka lokalnych biznesów zostało zamkniętych. Wayoata była zbyt oddalona na północny zachód, żeby skorzystać na boomie na ropę łupkową formacji Bakken. Zupełnie jak na balu maturalnym, gdzie sala gimnastyczna dzieli się na dwie części. W pierwszej stoją wszystkie brzydkie dziewczyny, które nie mają na co liczyć, bo wszyscy dobrze zbudowani chłopcy powędrowali tam, gdzie można kogoś wyrwać. Wyblakłe fioletowe wstążki zwisały z drzew i latarni, sprawiając, że wyglądały jak półotwarte prezenty.

Pojechałam prosto do mieszkania Lucasa. Dzwoniłam chyba z godzinę i nic. Zadzwoiłam więc do dozorca, ale też nie otworzył. Budynek pochodził z wczesnych lat siedemdziesiątych, jeszcze sprzed kryzysu. Powstał

w czasach świetności Wayoaty. Nawet jego nazwa, Terrace, wykuta z żelaza ekscentryczną czcionką przy głównym wejściu, wyglądała obiecująco na beżowym, ośmiopiętrowym ceglany budynku. Jak na tutejsze standardy to była prawdziwa klasa. Przy szklanych drzwiach niezmiennie wisiał napis:

#### MIESZKANIA NA WYNAJEM

Poszłam na parking, żeby poszukać samochodu Lucasa, ale jego miejsce było puste.

Wróciłam do samochodu i popędziłam na jedyny komisariat policji w mieście. Serce waliło mi jak szalone. Wyobraziłam sobie, jak mój brat, ubrany w pomarańczowy kombinezon, próbuje udowodnić swoją niewinność zza krat, po drugiej stronie których siedzi zadowolony z siebie Pruden i z nogami rozwalonymi na biurku ściera z policzka resztki dżemu z pączka. Ale mamy szansę jakoś sobie z tym poradzić. Mogę zatrudnić prawnika. Może Lucas wyjdzie za kaucją? A na koniec pozwę policję Wayoaty za bezprawne aresztowanie. Po wyjściu z komisariatu Lucas rzuci tylko:

- Z tego Prudena zawsze był Śliski Ricky.

Śliski Ricky. Nie słyszałam tego od lat. Mimi miała kiedyś chłopaka, na którego wszyscy zamiast Rick mówili Ricky, jakby był jakimś gnojkwatym basenowym, i to tylko dlatego, że miał trzy lata mniej niż Mimi. Któregoś dnia zmywałam naczynia, a Ricky zaczął się do mnie dobierać. Do czternastoletniej dziewczyny! Wtedy Lucas chwycił kij do hokeja i przywalił mu w plecy. Takim właśnie bratem jest Lucas. Po tym zdarzeniu Ricky zwiął od Mimi, twierdząc, że

dzieci to tylko kłopoty, a z powodu jego lepkich łap przylgnęła do niego ksywka Śliski Ricky. Często jej używaliśmy, kiedy mówiliśmy o różnych dupkach, których nie brakuje na tym świecie. Przydawała się w nietypowych sytuacjach życiowych w czasach, kiedy byliśmy nastolatkami.

- Daj spokój, ten koleś to Śliski Ricky! - mawialiśmy.

Nie wiem, czemu o tym pomyślałam. Chyba chciałam zminimalizować powagę sytuacji, wyśmiać to, co przeczytałam w gazecie, umniejszyć znaczenie tego, że byłam w Wayoacie, a mój brat nie otwierał drzwi.

Od mojej ostatniej wizyty komisariat przeszedł gruntowny remont. Zniknęły drewniana boazeria i ciemnozielone tapety, które sprawiały, że miejsce wyglądało jak myśliwska chatka. Wyburzono większość ścian, a całość pomalowano na złamaną biel. Recepcja była wyraźnie wyodrębniona i przypominała typową recepcję hotelową. Nad ladą wisiały dwa monitory, na których prezentowano filmy edukacyjne ostrzegające przed przekraczaniem prędkości, pisaniem SMS-ów podczas jazdy oraz inwazją niebezpiecznej racicznicy zmiennej.

Recepcjonistka skoczyła na równe nogi, kiedy zapytałam ją o Lucasa Haasa. Spojrzała na mnie zaskoczona, po czym wyszczerzyła zęby i poprowadziła mnie do pokoju, na którego drzwiach wisiała plastikowa plakietka z napisem POKÓJ PRZESŁUCHAŃ NR 1 (choć w budynku nie było żadnego innego pokoju przesłuchań).

- Komisarz Pruden zaraz do pani przyjdzie - rzuciła teatralnym szeptem.

Usiadłam na jednym z plastikowych krzeseł. Nie minęła minuta i Pruden otworzył drzwi. Tuż za nim do pomieszczenia wszedł młodszy stopniem policjant. Miał brązowe i wystrzyżone na krótko włosy, był gładko ogolony. Niebieskie oczy, dołeczek w podbródku, mleko pod nosem, umięśniony. Wyglądał na stażystę. Jeżeli zamierzał mi się przedstawić, to nie dostał takiej szansy, bo Pruden ledwie usiadł i od razu się odezwał:

- Panno Haas. A może pani Haas? - W Wayoacie wszelkie pomyłki dotyczące statusu matrymonialnego kobiet wskazywały na brak dobrych manier.

Znałam Prudena od dziecka. Od czasu do czasu „eskortował” Mimi do domu z różnych powodów. Najczęściej dlatego, że jakiś dobry samarytanin zadzwonił na policję, bo widział, jak pijana kobieta próbowała odpalić auto albo właśnie odjeżdżała. Czasami próbował rozładować tę sytuację zawstydzającym żartem („Wasza mama to niezły gagatek, dzieciaki”), ale my i tak doskonale rozumieliśmy, w czym rzecz. Mimi wiedziała, co zaoferować Prudenowi w zamian za milczenie o jej alkoholowych ekscesach.

Niejeden raz zaczerwieniony ze wstydu Pruden stał parę minut pod naszym domem, a kiedy Mimi zniknęła w środku, zażenowany kiwał głową na pożegnanie. Czasami zastanawiałam się, jak często penis komisarza był w ustach mojej matki.

- Panna - postanowiłam wyjaśnić, ale zabrzmiało to tak jakoś śmiesznie i nieautentycznie.

Pruden wyciągnął do mnie wilgotną dłoń. Pachniał lasem

i sprejem na komary. Miał srebrne włosy i mięsisty nos, musiał być już po sześćdziesiątce. Niebieska zapinana na guziki koszula była pomarszczona, a nad skórzanym paskiem robił mu się coraz większy brzuszek. Wyobrażałam go sobie, jak w niedzielne popołudnia leży rozwalony na kanapie i mamrocze złośliwe uwagi w kierunku telewizora. Tymczasem jego żona o posturze myszy cicho krząta się po domu, podaje kolejne piwa i próbuje ubłagać, żeby wreszcie zaczął brać tabletki na serce. Pewnie powinien pójść na emeryturę już ze dwa lata temu.

- Dziękuję, że przyszłaś - powiedział zupełnie zwyczajnie, jakby wcale nie zasiał w mojej głowie wątpliwości dotyczących zaginięcia brata i jakbyśmy żyli na długo przed wynalezieniem internetu. - Żałuję, że widzimy się w tak przykrych okolicznościach. Życzysz sobie coś do picia? Wody? Kawy?

Uprzejmość Prudena zirytowała mnie.

- Nie, dziękuję. Chcę tylko się dowiedzieć, o co chodzi. Dlaczego mój brat został powiązany z... - nie byłam w stanie wymówić na głos słowa „morderstwo” - ...z tą dziewczyną?

- Joanna Wilkes. Nazywa się Joanna Wilkes - poprawił mnie Pruden moralizatorskim tonem, jakby chciał dać do zrozumienia, że dehumanizuję ofiarę morderstwa, nie wymawiając jej imienia. (Co oczywiście robiłam, ale tylko dlatego, że za winnego został uznany mój brat).

- Joanna Wilkes - powtórzyłam, patrząc mu w oczy. - Znalazłeś mojego brata?

- A więc wiesz o Joannie Wilkes? Co ci o niej powiedział? -

Tym razem Pruden zabrzmiał miło i zachęcająco, jakby myślał, że zaraz wydobędzie ze mnie oświadczenie, które przesądzi o sprawie.

- Lucas nic mi o niej nie mówił - odparłam. - Przeczytałam o tym w internecie. Co się tu w ogóle dzieje? Dlaczego *Wayoata Sun* nazwała mojego brata podejrzanym?

Pruden westchnął głęboko, jakby od dłuższego czasu wstrzymywał powietrze.

- Zostawmy to na później, wszystko po kolei. Czy możesz opowiedzieć nam, o czym rozmawiałaś przez telefon z bratem w zeszły piątek o dziesiątej siedemnaście rano?

- Słucham? - Nie miałam pojęcia, o czym mówił.

- Wasza rozmowa trwała trzydzieści dwie sekundy. To było w zeszły piątek - dodał stażysta.

Wreszcie sobie przypomniałam. Lucas faktycznie zadzwonił do mnie w piątek rano, ale rozmowy żadnej nie było. Musiał omyłkowo wybrać mój numer, a ja słyszałam tylko szumy i szmery. Kiedy zdążyli zdobyć rejestr połączeń mojego brata?

- Prawdę mówiąc, nie rozmawialiśmy ze sobą. Pewnie brat przypadkiem się ze mną połączył i nawet się nie odezwał.

Pruden spojrzał na stażystę, a potem na mnie. Nie wierzył mi.

- To dlaczego się nie rozłączyłaś?

- Rozłączyłam się.

- Po trzydziestu dwóch sekundach? Przez trzydzieści dwie sekundy można sobie wiele opowiedzieć.

W pokoju zrobiło się gęsto i duszno. Wrogo. To dlatego



Pruden nie chciał mi niczego powiedzieć przez telefon. Chciał wciągnąć mnie w zasadzkę, wytrącić z równowagi, żebym spanikowała i opowiedziała mu wszystko o awaryjnym planie Lucasa, o którym miałam usłyszeć w ciągu naszej krótkiej rozmowy.

- Posłuchaj mnie. Jestem tutaj, bo chcę się dowiedzieć, gdzie jest mój brat. Chcę wiedzieć, co się dzieje. Mówisz mi, że mój brat zaginął, a przepytujesz mnie z powodu omyłkowego telefonu?

Po raz pierwszy dotarło do mnie, że jeśli jakiś szalony morderca grasował na wolności, coś złego mogło się stać także Lucasowi. Może przypadkiem trafił na swoją uczennicę, akurat wtedy, kiedy była mordowana, i próbował zainterweniować? A potem przez przypadek zostawił w miejscu zbrodni coś, co wskazywało na niego, ale on sam już dawno... Nie mogłam o tym nawet myśleć. To nie miało sensu, bo tamta dziewczyna została zamordowana już trzy tygodnie temu, a Lucas zadzwonił w piątek. Mimo to byłam przerażona, od kiedy tylko wyleciałam z Chicago.

- Nie masz pojęcia, gdzie jest mój brat, prawda? Gdzie on jest, do cholery? Skąd mam wiedzieć, czy nic mu się nie stało? Muszę go zobaczyć! - Poczułam przemożną chęć, żeby chwycić się Prudena tak mocno, jakby od tego zależało moje życie.

Przygryzł wargi, po czym oznajmił:

- Jak już wspominałem, nie wiemy, gdzie jest twój brat. Nie sądzimy, aby był w Wayoacie. W piątek zaprosiłem go na przesłuchanie, termin wyznaczyłem na poniedziałek, ale nie

przyszedł. Wygląda na to, że wyjechał w pośpiechu. Jego telefon, ubrania i portfel zostały w mieszkaniu, ale zabrał kartę kredytową.

Próbowałam nadażyć za tym, co mówił, i znaleźć jakikolwiek powód, dla którego Lucas nie stawiał się na przesłuchaniu i wyjechał tylko z kartą kredytową.

Pruden nachylił się nade mną, spojrział mi głęboko w oczy i rzucił:

- Dzwonił do ciebie.

Moja szczęka i ramiona zeszywniały tak mocno, że czułam ból, kiedy obejmowałam się rękoma. Chowałam się, musiałam wyglądać, jakbym próbowała na siedząco przyjąć pozycję embrionalną. Z pozycji napastniczej przeszłam w defensywę. Zaczęłam przecząco kiwać głową. Robiłam to podświadomie, jakbym nie była w stanie powstrzymać odruchu. Miałam ochotę zatkać uszy i zacząć śpiewać: „Tra la la, nic nie słyszę”.

- Może miał już dosyć fałszywych oskarżeń i chciał zrobić sobie przerwę? A może wyjechał za miasto, żeby odpocząć od całego tego bagna, któremu musiał stawiać czoło? - spróbowałam się odgryźć. Czułam, że czerwienię się ze złości.

Tak, jasne. Moje argumenty były absurdalne. Wyjechać, żeby poczekać, aż mieszkańcom miasteczka wróci rozsądek? Wyjechać na przejażdżkę, kiedy wszyscy myśleli, że jest winny? Nawet Lucas, któremu zdarzało się działać pochoinnie, wiedziałby, że wyglądałoby to na ucieczkę.

- Zrobić sobie przerwę? Tylko o to chodzi? Hm. No cóż,

myślę, że w takich okolicznościach pewnie też chciałbym zrobić sobie przerwę – skomentował, śmiejąc się złośliwie, aż cząsteczki śliny wyleciały z jego ust w powietrze.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało...

- Tak czy inaczej, nie pojechał na żadną przejażdżkę. Ktoś zdemolował jego samochód na parkingu pod szkołą kilka dni temu, próbował nawet podpalić silnik. Samochód trafił na złomowisko, więc Lucas raczej nie mógł wyjechać za miasto – przerwał mi Pruden.

- Kto mógł to zrobić? – obruszyłam się, co było dosyć komiczne, biorąc pod uwagę, o czym rozmawialiśmy. Jakby zdemolowanie samochodu było najokrutniejszą z rzeczy, które z tym się wiązały... Myśl, że wszyscy obrócili się przeciwko mojemu bratu, sprawiała, że budził się we mnie siostrzany instynkt. Wszyscy w Wayoacie kochali Lucasa. Po prostu. Nawet uczniowie nie mówili do niego per pan, tylko po prostu Haas.

Pruden uśmiechnął się do mnie niemrawo i oparł podbródek na dłoni.

- Żeby zawęzić poszukiwania, będę musiał odrzucić tych, którzy na pewno tego nie zrobili. Ale na razie skupiamy się na tym, co najpilniejsze. W tym również, panno Haas, muszę zadać pani parę pytań, okej? Potem pani będzie mogła zadać mi swoje. – Zamilkł na chwilę, żeby upewnić się, że za nim nadążam, po czym kontynuował: – Czy poza tym omyłkowym telefonem Lucas się z tobą kontaktował? Poprzez mejle, SMS-y albo telefon z innego numeru w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin? – zapytał, kładąc silny

nacisk na „omyłkowy telefon”. Równie dobrze mógłby pokazać palcami cudzościół.

- Nie.

- W takim razie kiedy kontaktowałaś się z nim po raz ostatni? - Opuścił dłonie, jakby chciał mową ciała dać mi do zrozumienia, że teraz dopiero zaczynamy rozmawiać.

- Dzwonił kilka tygodni temu, ale nie nagrał się na sekretarkę. Próbowałam oddzwonić, ale w ciągu dnia prowadził lekcje i nie chciałam mu przeszkadzać. - Zaczęłam się zastanawiać nad tym, czy rzeczywiście uczył. Może wcale nie uczył, tylko spojrzął na ekran i wcisnął przycisk „Ignoruj”? - Mam nocne zmiany w aptece. Pracujemy w różnych godzinach, więc ciężko nam się skontaktować i dłużej porozmawiać.

- Oczywiście, rozumiem. W dzisiejszych czasach ludzie są bardzo zajęci i utrzymywanie stałych kontaktów bywa kłopotliwe. Nie rozmawialiście zbyt często, przynajmniej od pewnego czasu? - ożywił się stażysta.

Potakująco kiwał głową tak gorliwie, jakby próbował grać rolę dobrego policjanta.

- Nie. Kilka razy się rozminęliśmy.

- Rozumiem. Przejdźmy dalej - stwierdził Pruden. - Czy mogłabyś napisać mi listę osób, z którymi Lucas mógł się kontaktować, gdyby postanowił się ukrywać? - Podsunął mi długopis i kartkę papieru, ale je zignorowałam, więc dodał milusim tonem: - Chodzi mi o to, czy według ciebie jest ktoś, do kogo twój brat mógłby się udać, gdyby miał kłopoty? Może ktoś z rodziny? Albo stary przyjaciel? Ktoś, kto

chciałby mu pomóc. – Podsunął mi bliżej kartkę.

- Nie ma nikogo takiego.

Czy naprawdę myślał, że jak będzie zgrywał przyjaznego kumpla, to wszystko mu wyśpiewam? Czy to był jakiś sprawdzian? Jeśli nie podam nazwisk, to będzie oznaczało, że pomagam Lucasowi uciec?

- Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego mój brat jest podejrzany? Proszę. Potwornie się martwię i chciałabym wiedzieć, gdzie jest. Co zrobiliście, żeby go znaleźć?

Pruden cały się zjeżył. Nie był z tych, którzy lubią być przepytывani.

- Policja robi wszystko, co w jej mocy, panno Haas, zostawiliśmy informacje na każdej stacji autobusowej, lotnisku i przejściu granicznym. Pukamy do każdych drzwi i rozmawiamy ze wszystkimi w tym mieście. My też chcemy wiedzieć, gdzie jest twój brat. Ma poważne kłopoty, o czym dobrze wiesz. Pomagając nam, pomagasz też jemu.

- To wszystko pomyłka. Jestem pewna, że nie zrobił tego, o co go podejrzewasz. Cokolwiek to jest.

- Czy Lucas kiedykolwiek wspominał o Joannie Wilkes?

- Już mnie o to pytałeś. Nie, aż do dzisiaj nie wiedziałam, że ktoś taki istnieje.

Oparł się plecami o krzesło.

- Hm, to ciekawe. Skoro czytałaś GAZETY, to już pewnie wiesz, że Joanna była uczennicą pana Haasa. Miała tylko szesnaście lat – powiedział, czekając na moją reakcję, ale się nie doczekał. – Zaginęła pod koniec maja. Jej ciało znaleziono w poniedziałek rano w parku Dicksona. Została

zamordowana. Ogłuszona kamieniem i uduszona jej modnym szalem. - Wypowiedział słowa „modny szal”, jakby był to jeden z przedmiotów, które kupuje się w alejce z artykułami do higieny intymnej, po czym dorzucił: - Jako mieszkanka Wayoaty musisz wiedzieć, że morderstwa są tu rzadkością. To chyba oczywiste, że napomknąłby, gdyby jedna z jego uczennic zaginęła.

- A dla ciebie to oczywiste, że jest zamieszany w to morderstwo. Nie rozumiem tylko dlaczego. Jakie masz na to dowody? On by nigdy nie skrzywdził swojej uczennicy.

Lucas zawsze opowiadał o swoich uczniach z żywym zainteresowaniem. Bardzo mu zależało, żeby nie mieli kłopotów.

- Czy Lucas się z kimś spotykał? Miał dziewczynę? Opowiadał ci o niej?

Musiałam zwalczyć narastającą we mnie złość. Miałam już dosyć tych pytań. Chciałam stąd wyjść. Ruszyć na poszukiwania brata i naprostować całą tę paskudną sytuację.

- Rozumiem, dlaczego mnie o to pytasz, ale czy mówisz poważnie? - Zaśmiałam się złośliwie, ale mój śmiech odbił się od ścian krótkim echem i ucichł. Zacisnęłam zęby ze złości. - Jeśli mój brat zaginął, to nie dlatego, że uciekł. I nie dlatego, że miał romans ze swoją uczennicą. Jedyne powód, dla którego mój brat mógł zaginąć, był taki, że ktoś tego chciał. Może być ranny. Powinieneś go szukać i nie tracić czasu na mnie, zadając pytania o jego życie intymne, które nie ma z tym nic wspólnego.

Pruden pokręcił nosem, jego cierpliwość powoli się

kończyła.

- Po prostu odpowiedz na pytanie. To dla jego dobra.

- Nie słuchasz mnie. Może Lucas coś wie? Może wie, kto to zrobił? - Zaczynałam mówić w taki sposób, jakbym próbowała kogoś przekonać, że jednorożce istnieją. Wiara w moją rację zapędzała mnie w ślepy zaułek.

- To ty mnie nie słuchasz. Odpowiedz na pytanie - warknął Pruden.

Podniosłam rękę, jakbym się poddawała.

- Dobrze, już dobrze. Nie. Nie ostatnio. Nie widywał się z nikim na serio.

Właściwie to nigdy nie widywał się z nikim na serio. Zarówno Lucas, jak i ja, byliśmy kiepscy w budowaniu trwałych relacji.

- Czy zwierzał ci się na temat pracy? Lubi być nauczycielem?

- Bardzo.

Uczył hokeja i grał z dziećmi w kalambury na zajęciach z angielskiego. Czego tu nie lubić?

- Co jeszcze mogłabyś powiedzieć o stylu życia swojego brata?

„Styl życia” w Wayoacie był równoznaczny z obelgą. Krył w sobie wszystkie możliwe dewiacje. Stylem życia były na przykład krótkie spódniczki i promiskuityzm, zwany też rozwiązłością seksualną, które czyniły ofiarę gwałtu współwinną. Czego oni ode mnie oczekiwali? Chcieli usłyszeć, że Lucas lubił dusić partnerki seksualne modnymi szalami? Nie mogłam w to uwierzyć. Byłam w epicentrum

hiperrealistycznego koszmaru. Było mi niedobrze.

- Chyba nie mówisz serio? - Zaśmiałam się nerwowo i przełknęłam ślinę.

Zmrużył oczy, a ja poczułam, że zaczyna brakować mi powietrza.

- Masz bardzo dziwne poczucie humoru - oznajmił Pruden.  
- Mało kto uważa śmierć nastoletniej dziewczyny za zabawną. Wciąż pytasz, czy mówię serio. Twój brat jest podejrzany. Wiesz, co to oznacza? Że prawdopodobnie w ciągu tygodnia dostaniemy nakaz aresztowania, a kiedy znajdziemy Lucasa Haasa, co prędzej czy później nastąpi, zapłaci za swoje czyny. To całkiem poważne sprawy, panienko.

- A jakie macie dowody? - Piekły mnie policzki, w ustach czułam metaliczny posmak. Wiedziałam, że niezależnie od tego, co powie Pruden, nie uwierzę mu. Nie przestawałam myśleć, że to tylko jedno wielkie nieporozumienie i że mój brat bliźniak zaraz się znajdzie i wszystko nam wyjaśni.

- Niestety nie mogę zdradzać szczegółów śledztwa - powiedział, a ja westchnęłam ostentacyjnie, czym on zupełnie się nie przejął, tylko kontynuował: - Mogę natomiast powiedzieć, że istnieją poszlaki, zgodnie z którymi Lucas miał romans z Joanną Wilkes. Chcieliśmy z nim porozmawiać. Dobrze o tym wiedział, ale gdy wreszcie znaleźliśmy ciało, nagle zniknął.

- Lucas na pewno nie miał romansu z uczennicą. Nigdy by nie zrobił czegoś takiego. Nie masz pojęcia, o kim mówisz. Mój brat nigdy nikogo by nie zabił.



Bał się widoku krwi. Kiedy zobaczył w toalecie napęczniałą wodą tampon, wybiegał z łazienki bladozielony. Nawet podczas treningów hokeja, kiedy zobaczył choćby strużkę krwi, odjeżdżał w przeciwnym kierunku. Ludzie mówili, że był łagodnym graczem, ale ja wiedziałam, że właśnie z powodu awersji do krwi unikał nieprzemyślanych starć na lodzie. Był zbyt wrażliwy.

- Chcesz mi powiedzieć, że wiedziałabyś, gdyby twój brat kogoś zamordował? Myślisz, że Lucas zadzwoniłby do ciebie, żeby cię o tym powiadomić? Może o tym właśnie była wasza trzydziestodwusekundowa rozmowa? To chcesz mi powiedzieć...?

- Nie to miałam na myśli.

- Ach tak... Widzisz, mnie wydaje się o wiele bardziej znaczące to, czego Lucas tobie nie mówił. O tym, że jego uczennica Joanna Wilkes zaginęła trzy tygodnie temu. Ani o tym, że został wysłany na przymusowy urlop w zeszłym tygodniu. Nie zadzwonił do ciebie pochwalić się, że wysłano go na urlop, bo miał romans ze swoją uczennicą? Otóż nie. Nie zadzwonił.

Nie mogłam złapać tchu. Pruden miał rację. Odjęło mi mowę, a moje serce waliło jak szalone. Czas płynął nieuchronnie jak w bombie czasowej. Wskazówki zegara ściennego tykały coraz głośniejszy i szybciej. Paradoksalnie efektem mojego strachu było odrętwienie. Postanowiłam przybrać kamienny wyraz twarzy. Pruden nie mógł widzieć, że się waham.

- To jakiś absurd! Chyba powinnam wynająć prawnika -

odezwał się we mnie zdrowy rozsądek.

- Możesz zrobić, co tylko chcesz, panienko Haas, ale fakt, że myślisz o prawniku, każe mi przypuszczać, że sama podajesz w wątpliwość niewinność swojego brata - prychnął Pruden.

- Mylisz się. Szukacie nie tego człowieka.

Dobrze znałam schemat działania policji. Ustalali pewną wersję wydarzeń, uznawali ją za jedyną właściwą i już nie sprawdzali żadnych innych poszlak. Wiedziałam o tym z własnego doświadczenia, tyle że kiedyś ich opieszałość podziałała na moją korzyść. Czyżby nadszedł czas, by spłacić losowi dług wdzięczności? Szkoda, że zamiast mnie robił to Lucas.

Pruden skrzyżował ręce i spojrzał na mnie, jakby miał w oczach wykrywacz kłamstw.

- To, że uciekłam, moim zdaniem jest znaczące. - Zaśmiał się cynicznie i odrzucił głowę w tył.

- On tego nie zrobił.

Nie było innej opcji i kropka. Ziemia jest okrągła, niebo jest niebieskie, a mój brat nie jest mordercą. To niepodważalne życiowe prawdy.

- Równie znaczące jest to, że twój brat nie wziął udziału w żadnym z poszukiwań Joanny, w których brali udział wszyscy pozostali nauczyciele z Westfield. Jak myślisz, dlaczego? Może dlatego, że wiedział, że nie żyje?

Nie odpowiedziałam, kręciłam tylko przecząco głową i czułam, jak w uszach pulsuje mi krew.

Pruden westchnął, podał mi zwiniętą w rulonik kartkę

papieru i swoją wizytówkę.

- Jeżeli Lucas się z tobą skontaktuje, natychmiast do mnie zadzwoń. To śledztwo kryminalne - podsumował i wyszedł z pokoju.

Usłyszałam cichy świst zamykających się za nim drzwi automatycznych.

Rozwinęłam kartkę papieru. To był plakat informujący o zaginięciu Joanny Wilkes. Podobnie jak w gazecie, wykorzystano na nim zdjęcie z kroniki szkolnej. Dziewczyna miała urodę królowej balu, burzę czerwonych loków, które delikatnie opadały na ramiona, dołeczki w policzkach i szeroki, promienny uśmiech.

- Może szklanek wody? - zapytał młodszy policjant. Zupełnie zapomniałam, że tu był. Przyłapałam się też na tym, że cały czas z niedowierzaniem kręcę głową. Potrzebowałam czegoś, co pomogłoby mi się uspokoić, ale policjant wziął moje kręcenie głową jako przeczącą odpowiedź i również wyszedł. Świst.

Odwróciłam plakat na drugą stronę. Czułam się, jakbym była w transie.

Minęło kilka minut, zanim udało mi się wstać z krzesła.

Kiedy wyszłam z budynku, uderzyły mnie fala gorąca i silny powiew wiatru. Kurz wzbijał się w powietrze i tworzył małe wiry. Zapomniałam już, że w tych okolicach jest tak wietrznie. Na nogach jak z waty próbowałam, krok po kroku, dotrzeć do samochodu. Jeśli mi się to uda, zamknę się w nim na cztery spusty i dopiero wtedy poczuję się bezpieczna. I zyskam chwilę, żeby się zastanowić.

- Mia? - usłyszałam zza pleców głos młodszego policjanta.

Zignorowałam go. Dopóki nie powiadomi mnie, że odnaleźli Lucasa i że oczyszczono go z zarzutów, nie miałam mu nic więcej do powiedzenia. „Zostaw mnie w spokoju, zostaw mnie w spokoju” - powtarzałam w myślach. Chciałam jak najszybciej wsiąść do samochodu i pomyśleć. Przetrawić informacje. Liczyłam na to, że spotkam Lucasa, jak wychodzi z mieszkania i rusza w stronę komisariatu.

Próbowałam otworzyć samochód pilotem, ale przez przypadek włączyłam alarm. Po prostu świetnie.

W ułamku sekundy stażysta znalazł się obok mnie, a samochód wciąż wył.

- Wynajmowany - wyjaśniłam, naciskając przycisk zamykania, otwierania i czerwony. Powtórzyłam tę czynność kilka razy, ale bez skutku. Trzęsły mi się ręce, nie mogłam nic zrobić, nie byłam w stanie wyłączyć alarmu. Zakląłam. Poczułam, że po policzkach zaczynają płynąć mi łzy, do tego kluczyki wyslizgnęły mi się z rąk. Podniosłam je z ziemi i podjęłam kolejną próbę wyłączenia alarmu.

- Może ja spróbuję? - Policjant wziął ode mnie kluczyki, delikatnie wcisnął jeden z przycisków i alarm ucichł.

Opanowałam się i wymamrotałam:

- Dziękuję.

Otworzył drzwi od strony kierowcy i sięgnął po chusteczkę higieniczną. Bezpłatnie dodawali je do każdego wynajmowanego samochodu.

- Nie pamiętasz mnie, prawda? Jestem Garrett. Garrett Burke.

Gdy się przedstawił, od razu sobie przypomniałam.

- Skinny G?

Dobrze znałam Skinny'ego G. Uczył się w mojej szkole rok niżej ode mnie. Byliśmy jedynymi członkami kółka komputerowego w szkole średniej. Tygodniami próbowaliśmy przejść The Oregon Trail<sup>[1]</sup>, wcinając na spółkę nachosy doritos, czym łamaliśmy rygorystyczny zakaz spożywania napojów i posiłków w sali. Kiedyś pocałowaliśmy się na klatce schodowej i nawet ten pocałunek smakował jak cool ranch doritos. Potem poszłam na uniwersytet. Nie myślałam o nim przez wiele lat.

- Nikt już mnie tak nie nazywa. - Mrużył oczy na słońcu, miał takie same usta jak kiedyś. Wyglądały, jakby lekko wykrzywiały się w uśmiech.

- Co tutaj robisz?

Głupie pytanie. Nie wiem, czemu byłam tak zaskoczona faktem, że moja nastoletnia miłość została policjantem. W takich miejscowościach widma przeszłości czaiły się na każdym rogu, nie sposób przed nimi uciec.

- Pracuję. - Kiwnął głową na budynek komisariatu. - Przepraszam za Prudena. Za bardzo cię atakował. Powinien okazać więcej empatii.

- Mówisz, jakbyś robił cokolwiek, żeby mi pomóc - zachnęłam się.

Garrett wzruszył ramionami.

- To mój szef. - Przerwał na moment. - Wiem, że bywa staroświecki, ale musisz coś wiedzieć, Mio. Ja też pracuję nad tą sprawą. Gdybyś czegoś potrzebowała, miała

jakiegokolwiek pytania albo chciała porozmawiać z kimś innym niż Pruden, odezwij się do mnie, kiedy tylko najdzie cię ochota. Mówię serio. - Zapisał numer telefonu na opakowaniu chusteczek.

- Mam jedno pytanie. - Garrett przytaknął i zgarbił się, a ja przez chwilę pomyślałam o czasach, kiedy mieliśmy ten sam wzrost. - Czy mogę pójść do niego? Wolno mi wejść do mieszkania Lucasa?

Czułam, że muszę tam wejść i rozejrzeć się. Poczuć niedawną obecność brata i to, że teraz mieszkanie stoi puste. Z tyłu głowy miałam żółtą policyjną taśmę i wysokiego policjanta ważniaka, który z poczuciem wyższości będzie mnie stamtąd przeganiał.

- Wczoraj skończyliśmy prace w mieszkaniu. Możesz się tam zatrzymać.

Przytaknęłam, wzięłam od niego chusteczki i odjechałam.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kilkakrotnie dzwoniłam do dozorczy, ale nie odpowiadał. Stałam pod furtką i czekałam, aż ktoś mi otworzy, ale nikt nie wchodził ani nie wychodził. Przeszłam do tylnego wyjścia od strony brudnawego basenu odgrodzonego drucianą siatką. Dwóch chłopców, zuchwale ignorujących zakaz biegania wokół basenu, walczyło na piankowe rury do pływania, podczas gdy ich matka krzyczała z leżaka, żeby przestali. Kilkunastoletnia dziewczyna była jedyną osobą w basenie. Dryfowała na dmuchanym materacu, jej piersi sterczały w stronę nieba, a blond włosy falowały na wodzie. Miała na sobie białe bikini i olbrzymie okulary przeciwsłoneczne. Podniosła paseczek od majtek bikini, żeby sprawdzić, czy już się opaliła. Mężczyzna koło trzydziestki (a przynajmniej na tyle dorosły, by wiedzieć, że nie powinien tego robić) bezwstydnie gapił się na nią z balkonu. Miał kozią bródkę, dostrzegłam ją nawet stąd. Chłopcy przerwali na chwilę walkę, żeby popatrzeć, matka zaczęła na nich krzyczeć, a dziewczyna w basenie uśmiechnęła się.

Przez szklane drzwi zobaczyłam kobietę, która odkurzała zakurzony turecki dywan z widocznymi dziurami po papierosach. Zapukałam głośno, ale nie usłyszała. Pukałam dalej, ale zauważyła mnie dopiero wtedy, gdy się odwróciła, żeby odkurzyć jakiś śmieć przy klatce schodowej. Wyłączyła odkurzacz, wyjęła słuchawki z uszu i otworzyła drzwi.

- Szukam dozorczy.
- Taty nie ma w domu.

Muzyka dalej pulsowała w słuchawkach tuż nad jej obfitym biustem. Tata... to była jedna z tych dziewczyn, po których nie widać, że są młode, dopóki nie stanie się z nimi twarzą w twarz. Była bardzo wysoka, mogła mieć z metr osiemdziesiąt wzrostu. Miała szerokie ramiona i okropne blond pasemka, przy których ciemne brwi były ciosem prosto w twarz.

- Muszę wejść do mieszkania mojego... do Lucasa Haasa. Jestem jego siostrą, nazywam się Mia Haas.

Otrzeptała przepoconą koszulkę i patrząc na mnie z góry, zapytała, czy mam dowód osobisty. Podałam jej prawo jazdy. Przez chwilę przyglądała mu się bardzo uważnie, jakby była policjantem drogówki.

- Przyniosę klucze - rzuciła w końcu, oddając mi dokument.

- Dzięki. - Ruszyłam za nią korytarzem w kierunku drzwi, na których wisiała tabliczka z napisem „Dozorca”.

Kiedy otworzyła drzwi, uderzył mnie zapach papierosowego dymu i kątem oka zobaczyłam dozorcę rozwalonego na kanapie. Był bez koszulki, a brzuch miał tak wielki, że zasłaniał twarz. Tuż obok, na stoliku kawowym, leżały porozrzucone puszki po piwie. Opróżnił cały sześciopak. Odwróciłam wzrok, a dziewczyna zamknęła za sobą drzwi.

Czekałam zdecydowanie za długo, przecież to tylko zwykły klucz. Usłyszałam za to, jak dziewczyna próbuje obudzić



ojca. W końcu wróciła. Liczyłam na to, że wręczy mi klucz, ale powiedziała, że może mi jedynie otworzyć mieszkanie.

- Taką mamy politykę. Tylko wynajmujący może wydać osobie trzeciej klucz.

- Rozumiem.

Klucze zabrzęczały, a ona zaprowadziła mnie do windy i kilka razy energicznie wcisnęła przycisk, żeby ją przywołać, zupełnie jakby prędkość windy zależała od tego, ile razy go wciśniemy. Kilka minut czekałyśmy w niezręcznej ciszy. Byłoby znacznie szybciej, gdybyśmy poszły schodami.

Kiedy drzwi windy otworzyły się, powitał nas samotny wózek transportowy. Dziewczyna wyciągnęła go z windy i popchnęła w stronę lobby. Wózek jechał przez chwilę, aż w końcu wyhamował i zatrzymał się tuż przed ścianą imitującą marmur. Kiedy wsiadłyśmy do windy, wcisnęła przycisk czwartego piętra trzy razy. Spojrzała na mnie, ale szybko odwróciła wzrok, jakby bała się, że wezmę ją za wścibską. Nieśmiało wybąkała:

- A tak w ogóle to nazywam się Bailey.

Nie byłam w stanie zdecydować, ile mogła mieć lat. Osiemnaście? Co najmniej.

- Dziękuję, Bailey, że załatwiłaś te klucze - rzuciłam. Winda jechała niemiłosiernie wolno.

- Nic nie szkodzi. Pan Haas uczył mnie angielskiego. Jestem w dziewiątej klasie.

Nigdy bym nie powiedziała, że ta dziewczyna ma czternaście lub piętnaście lat. Zaintrygowała mnie.

- Jest twoim nauczycielem? - zagaiłam, kładąc nacisk na

czas terażniejszy.

- Nie cierpię nauczyciela, który przyszedł na zastępstwo. Bardzo tęsknię za panem Haasem. Był świetny. - Pociągnęła nosem, jakby wzruszył ją natłok wspomnień, które wywołało to nazwisko. To nie była typowa reakcja jak na uczennicę, która podejrzewa swojego nauczyciela, że jest mordercą.

- Jestem pewna, że niedługo znowu będzie was uczył.

- Naprawdę tak myślisz? - Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

- Tak, oczywiście.

Kiedy tylko drzwi windy zaczęły się otwierać, przecisnęłam się na zewnątrz. Poczułam nieprzemogłą chęć uciec jak najdalej od Bailey i wszystkich innych uczniów Lucasa.

- Cieszę się, że mój brat był takim popularnym nauczycielem - rzuciłam mimo to.

- Tak, bardzo. Kiedyś wymyślił zasadę, że jeśli ktoś się spóźnia na lekcje, bo kupował po drodze kawę, musi też przynieść kawę dla niego. To było takie śmieszne. Któregoś dnia na jego biurku stały cztery kubki.

W supermarkecie, który się mija w drodze do szkoły, był Starbucks. Otworzyli go, jak już wyjechałam z miasta. Wyobrażam sobie tutejsze dziewczyny, jak biegają po szkole z dużymi macchiato na odtłuszczonym mleku z syropem orzechowym, absolutnie przekonane, że są „światowe”, bo trzymają w ręku biało-zielony kubek, który znają ze zdjęć swoich idoli.

- Faktycznie śmieszne. I bardzo w jego stylu - powiedziałam, chociaż to wcale nie było w jego stylu. Lucas

nawet nie lubił kawy!

- Tak, potem zawsze był roztrzęsiony do końca dnia. - Udała drgawki, próbując zademonstrować, jak to wyglądało. Była coraz mniej nieśmiała, za to coraz głośniejsza, a jej nagła radość wręcz podejrzana. Czułam, że szykowałą się do opowiedzenia kolejnej anegdoty, której wcale nie chciałam słyszeć, więc skomplementowałam jej bransoletkę. Bailey przytaknęła, jakby tylko czekała na ten komplement, i spojrzała na plecioną bransoletkę w jodełkę zawiązaną wokół nadgarstka. Łańcuszki przyjaźni muszą być w dzisiejszych czasach bardzo retro. Przecież były już retro za czasów mojej młodości.

Wsunęła klucz do zamka od mieszkania numer 44, a ja wzięłam głęboki oddech, licząc na to, że w środku zastanę Lucasa. Leniwie spojrzę w moją stronę, jakby obudził się po relaksującej pięciodniowej drzemce, i będzie się dziwił, kto do niego przyszedł bez zaproszenia.

Bailey otworzyła drzwi i spytała:

- Dokąd wyjechał pan Haas? Od dawna już go nie widziałam.

Zignorowałam pytanie, podziękowałam, że mnie wpuściła, i weszłam się rozejrzeć, a ona stanęła w drzwiach i przytrzymała je plecami, żeby się nie zamknęły.

Lucasa oczywiście ani śladu. Zasłony były zasłonięte, mieszkanie przypominało grobowiec, takie puste i ciche. Uderzył mnie zapach zgnilizny, jakby psuły się resztki jedzenia. W salonie było mnóstwo kartonowych pudełek po pizzy i brudnych szklanek z bursztynowym zaschniętym

płynem na dnie. Na środku stołu stała prawie pusta butelka po canadian whisky. Całe mieszkanie było przyprószone proszkiem daktyloskopijnym, widziałam go na każdym wyłączniku światła, klamkach i szklankach na stole.

Meble - na tyle, na ile dało się je zobaczyć spod walających się wszędzie ubrań - wyglądały jak w każdej przeciętnej kawalerce. Zagracona skórzana kanapa, rozpadająca się leżanka i solidnie zaopatrzone barek z IKE-i. Duży wybór na wyciągnięcie ręki. Na stoliku telewizor z płaskim ekranem, mosiężna figurka ze sklepu charytatywnego i stolik kawowy z przyciemnianego szkła. Dywan z krowiej skóry na środku pokoju wyglądał, jakby jakaś zbłąkana krowa wyzionęła tu ducha. Na ścianie plakat z różnymi markami piw.

Lucas zawsze był flejtuchem, nawet jako dorosły. To wina naszej matki, która nigdy nie kazała mu po sobie sprzątać. Ścieliła mu łóżko nawet wtedy, gdy był już licealista. Wygladzała narzutę i poprawiała poduszki. Miała na tym punkcie hopla, więc Lucas nigdy nie musiał się tego uczyć. Widocznie dalej myślał, że mieszkanie sprząta się samo, kiedy tylko się z niego wyjdzie. A to, co tu zastałam, dopiero było przesadą! To miejsce wyglądało, jakby przeleciało tędy tornado. Pewnie upijał się powoli, na kanapie, wyglądając świtu zza niechlujnie zasłoniętych firan. Odcięty od pracy, od trenowania drużyny, utracił status porządnego członka tutejszej społeczności.

Ktoś pociągnął nosem. No tak, Bailey ciągle tu była i zaglądała do środka, opierając się o framugę. Była zafascynowana jak uczeń, któremu wreszcie udało się

zakrać do pokoju nauczycielskiego.

Wygoniłam ją i zaryglowałam drzwi.

Najpierw zajrzałam do szafy w przedpokoju. Na wieszakach wisiały skórzana kurtka Lucasa, puchowa parka, kilka kurtek przeciwdeszczowych z logo Bulldogsów na klatce piersiowej i plecach i słowem TRENER na ramieniu. Na gwoźdźniku powiesił dodatkową parę kluczy. W tej szafie trzymał też kolekcję adidasów, które zaczął zbierać, kiedy ledwie przekroczył dwudziestkę. Było to chyba jedyne miejsce w całym mieszkaniu, w którym utrzymywał porządek. Na dwóch drucianych półkach starannie ułożył około dziesięciu par butów w świetnym stanie. Ale swoje najcenniejsze „adiki” trzymał w pudełku na najwyższej półce. Jaskrawo-czerwone LeBronsy. Kupił je za absurdalną sumę od podejrzanego typa, który podobno upolował je w internecie, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Chicago.

- Nawet nie zamierzasz ich przymierzyć? - spytałam, kiedy wracaliśmy taksówką do domu.

- Chyba żartujesz! One nie są do noszenia! - Otworzył pudełko, które trzymał kurczowo w rękach, i spojrzał na landrynkowo-czerwone high-topy, jakby to była lampa przeciwdepresyjna.

Zdjęłam pudełko z półki. Było puste. Co?! Czyżby jednak je włożył na swoją wielką ucieczkę?

Wróciłam do salonu, otworzyłam jedno z pudełek po pizzy i zobaczyłam kilka niedojedzonych brzeżków pokrytych pleśnią leżących na papierze woskowanym, który zaczynał się podtapiać. W rogu pokoju stało kilka akwareli Mimi.

Głównie zachodzące słońce, nury na jeziorze i kwiaty, wszystko to na tanim płótnie. Wyobraziłam sobie minę Lucasa, którą robił za każdym razem, kiedy matka wciskała mu kolejny obraz. Pewnie zaciskał zęby, dukał:

- Dziękuję - i przyjmował podarunki.

Jeden z nich jednak powiesił. Dzieło można by oryginalnie zatytułować *Zachód słońca*. Różowo-żółte słońce znikło za drzewami nad zielonkawym jeziorem. Nie wiem, czemu akurat ten wydał mu się wyjątkowy.

Kuchnia była w małej alkwie z niewielkim aneksem. Aktówka Lucasa stała na blacie. To była stara skórzana torba, taka, jakie noszą wykładowcy do marynarek z łatami na ramionach. Wszystko wskazywało na to, że policja zdążyła ją już przeszukać. Znalazłam w niej kilka papierków po batonach z granolą, pęk kluczy do mieszkania i czerwoną teczkę z napisanym markerem słowem: „Oddane po terminie”. W środku było kilka niesprawdzonych wypracowań o *Wielkim Gatsbym*. Znalazłam też kalendarz. Przejrzałam go, ale w środku było tylko kilka przypomnień o treningach hokeja i daty oddania prac domowych. I numer telefonu, przy którym napisał imię Tom.

Na końcu notesu po wielu pustych kartkach znalazłam całe grupy pokreślonych numerów, jakby próbował rozpracować jakiś system. Może znowu wciągnął się w hazard? Przez krótki czas po skończeniu college’u Lucas zaczął obstawiać wyniki meczów. Kilka razy pożyczalam mu pieniądze, żeby mógł spłacić długi, aż wreszcie przestraszyły go sumy, które stracił. Postanowił to rzucić, przeprowadził sam sobie

psychoanalizę i uznał, że hazard był tylko półśrodkiem, który miał zastąpić emocje, które wcześniej odczuwał na boisku do hokeja. Spłacił mi tylko połowę kwoty, ale z czasem odzalałowałam dług i wspominałam o nim tylko wtedy, kiedy się kłóciliśmy. Dobrze mieć na niego haka.

W rogu, tuż obok figur geometrycznych nabazgranych przez Lucasa (lubił rysować przylegające do siebie prostokąty, trochę jakby rozgrywał idealną partyjkę Tetrisa), napisał coś, co bardzo starannie pokreślił. Zobaczyłam tylko pierwszą część słowa: „Gent”. Czy to miał być skrót od „gentleman”? Chciał nim zostać? Ale po co? Spojrzałam jeszcze raz na numery. Czy to mogły być jego długi? Może chodzi o to, że gentleman zawsze je spłaca?

Zadzwoiłam pod znaleziony numer i automatyczna sekretarka powiedziała, że dodzwoniłam się do Toma. Zostawiłam zagmatwaną wiadomość, w której pokrętnie wytłumaczyłam, że jestem siostrą Lucasa, natknęłam się na ten numer i chciałabym porozmawiać.

Na drzwiach od lodówki Lucas przyczepiał rachunki, zbliżające się terminy opłat i nasze zdjęcie ze świąt Bożego Narodzenia. Matka obejmowała nas ramionami, Lucasa trochę mocniej niż mnie. Lucas i matka uśmiechali się, ale ja wyglądałam tak, jak na większości zdjęć z dzieciństwa, czyli zezowałam na bok, jakbym obmyślała plan ucieczki. Za nami stała choinka. Nie przychodziło mi nic do głowy, co mogło sprawić, że Lucas uznał to zdjęcie za wyjątkowe. Pewnie wiązała się z tym jakaś zabawna historia, może Mimi kupiła tak bardzo nietrafione prezenty, że wydały nam się wręcz

rewelacyjne. Kiedyś kupiła nam złote rybki, które już w dzień Wigilii pływały do góry brzuchem, a innym razem podarowała Lucasowi piankę do włosów. Pięknie zapakowała ją „na cukierek”, zapomniała tylko o tym, że Lucas przed paroma dniami zgolił włosy.

Mój brat stosunkowo wcześniej zaczął przejawiać sygnały, że będzie zabójczo przystojny. Odziedzyczył to po Mimi. Blond włosy, wielkie niebieskie oczy i ciało hollywoodzkiej gwiazdy. Dostał w spadku jej skandynawskie korzenie, i to do tego stopnia, że wystarczyło dać mu wielki styropianowy młotek i mógł iść na bal przebierańców, udając Thora. Chociaż musieliśmy w tej kwestii wierzyć naszej matce, bo nie było nikogo innego, kogo moglibyśmy spytać. Nie miałam pojęcia, po kim odziedziczyłam ciemne włosy.

Po latach, gdy byliśmy już dorośli, kilka razy widziałam na własne oczy, jak kobietom odbierało mowę na jego widok. Chciałabym móc powiedzieć, że jestem jego żeńską wersją, ale niestety to nieprawda. Jak na bliźniaków, dosyć znacząco się różniliśmy. Lucas wygląda jak z okładki GQ. Ja jestem posępna. Moje oczy są szare, wzrok rozmyty. Może nawet intrygujący, ale jestem jedną z tych osób, którym trzeba się dłużej przyglądać, żeby dojrzeć ich piękno. Tym, co łączy mnie i mojego brata, jest odporność na słońce. Mimi musi się przed nim chować, łatwo ulega oparzeniom i skóra schodzi jej z klatki piersiowej, a ramiona pieką. Tymczasem ja i Lucas opalamy się na heban.

Nagle w mieszkaniu rozległ się głośny agresywny dzwonek, a ja podskoczyłam ze strachu. Polaroid wypadł mi



z rąk i spadł na podłogę w kuchni. Naprzeciwko szafy przy wejściu był stary domofon w odcieniu tytoniu. Ktoś przyszedł. Wcisnęłam guzik i powiedziałam:

- Słucham? - Czekałam, aż ktoś się odezwie, ale usłyszałam tylko szum.

Wybiegłam na korytarz i nie zastanawiając się nawet nad windą, pobiegłam schodami. Przeskakiwałam co drugi stopień, utrzymując równowagę dzięki pachnącej miedzią odrapanej poręczy. Popędziłam przez lobby do wejścia od frontu, ale nikogo nie zastałam. Wyszłam z budynku, trzymając drzwi za klamkę, bo zapomniałam wziąć klucze. Bardzo chciałam zobaczyć mojego brata przechadzającego się po parkingu, ale zobaczyłam tylko plastikową torebkę tańczącą na wietrze jak jesienne liście. Zniechęcona wróciłam na górę. Poczułam się jak ofiara głupiego żartu smarkaczy. Pewnie ktoś pomylił adresy.

Kiedy wróciłam do mieszkania, przyczepiłam zdjęcie na drzwiczkach magnesem w kształcie palmy i otworzyłam lodówkę. Była prawie pusta. Karton jajek, standardowy wybór sosów, trzy puszki piwa niewyjęte z folii i resztki folii po innych czteropakach. Otworzyłam jedną puszkę i napiłam się, potem przyłożyłam ją do policzka i ruszyłam na korytarz.

Światło w łazience było zapalone, a drzwi uchylone. Liczyłam, że usłyszę szum wody w prysznicu lub bzyczenie maszynki do golenia, ale panowała cisza. Popchnęłam drzwi. Na brzegu umywalki leżała szczoteczka do zębów z nałożoną pastą. Była gotowa do użycia. Pewnie Lucas stał przy zlewie i już miał umyć zęby, ale spojrzał w lustro i pomyślał:

„pieprzyć to”, po czym rzucił wszystko i wyjechał. Tyle że nie miało to sensu. Przecież nawet jeśli chciał zostać uciekinierem, umyłby najpierw zęby, no i wzięłby szczoteczkę ze sobą. I drogą elektryczną golarkę, bo jak inaczej utrzymałby swój zawsze idealnie przycięty dwudniowy zarost, dzięki któremu wyglądał jak europejski piłkarz? A żel do włosów i woda kolońska? Lucas był próżny, na pewno chciałby dobrze wyglądać, nawet gdyby uciekał.

Ostatecznie mogłabym uwierzyć, że Lucas zaryzykował publiczne upokorzenie i zostawił te wszystkie rzeczy w domu. Ale to, że po zaangażowaniu się w romans z jedną z uczennic, która miała aż tyle pecha, że ją zamordowano, Lucas uciekł, zamiast stawić czoło konsekwencjom, było niemożliwe. Nie zniósłby faktu, że ludzie go obwiniają. Jego potrzeba, żeby zgrywać dobrego przeciętniaka, była wręcz patologiczna. Oboje z Lucasem szukaliśmy akceptacji środowiska. To był efekt uboczny alkoholizmu naszej matki, z którym radziliśmy sobie na różne sposoby. Mnie bardziej niż na sympatii zależało na tym, żeby imponować innym, a Lucas wolał być lubiany. Chciał, żeby inni szukali jego towarzystwa. I szło mu całkiem nieźle.

A co, jeśli...?

A co, jeśli jest już martwy? Nie udawałam przed Prudenem, naprawdę się tego bałam. Skąd miałam wiedzieć, czy nie dopadł go jakiś prymityw? Jeden z tych, którzy podpalili mu samochód? Jakiś skrajny konserwatysta, który teraz przechwala się w przydrożnym barze, że zrobił porządek z tym zboczeńcem, który dobierał się do nastolatek. Chodziło

mi po głowie mnóstwo przykładów. Mógł to być jeden z tych, którzy twierdzą, że gdyby tylko zostawić ich samych z Haasem, odcięliby mu fiuta, chociaż gdyby nadarzyła się taka okazja, na pewno by z niej nie skorzystali. Albo jeden z tych, którzy zniszczyli mu samochód i wylewali wiadro pomysł w internecie, ale przy spotkaniu twarzą w twarz nie byłoby w stanie choćby wymamrotać czegoś pod nosem.

Nie mogłam dalej tak myśleć, to było zbyt okropne. Poza tym gdyby jakiś „stróż prawa” przechadzał się po mieście, przechwalając się, że zatłukł Lucasa na śmierć, Pruden już by o tym wiedział. Nie zdziwiłabym się, gdyby Pruden zatuszował coś takiego, ale czy w takiej sytuacji udawałby, że poszukuje Lucasa? Zadzwoiłby do mnie?

Mia, przestań, do cholery!

Lucas zadzwonił do mnie w piątek. Chcący czy niechcący – zadzwonił, a to oznaczało, że wciąż żył. Tonący brzytwy się chwyta, ale cóż mi innego pozostało? Myśl, że mój brat nie żyje, była nie do przyjęcia.

Poszłam do jego sypialni. Tutaj też był bałagan, chociaż wiedziałam, że w tym szaleństwie jest metoda. Przestaliśmy razem mieszkać dopiero pięć lat temu. Lucas przyjechał do mnie do Chicago z wielkimi planami na nowe życie. Chciał spróbować sił w aktorstwie i modelingu. Była to też jego pierwsza próba znalezienia zajęcia po tym, jak pogodził się z faktem, że nie zostanie profesjonalnym hokeistą. Kiedy wstępny entuzjazm minął, a jedyne, co mu się udało, to statystowanie jako strażak w operze mydlanej, zaczął bumelować w moim mieszkaniu. Łapał dorywcze fuchy jako

kelner, ale głównie próbował oczarować moje współlokatorki i oglądał kanały sportowe, jedząc płatki śniadaniowe z miski do sałatek. Twierdził, że ma kryzys i nie wie, co zrobić ze swoim życiem, kiedy ja kończyłam studia farmaceutyczne i próbowałam prześlizgnąć się przez studia podyplomowe na uniwersytetach należących do Ligi Bluszczowej. Wyobrażałam sobie, jak w cylindrze i fraku, bawiąc się laską, wspinam się po szczeblach kariery w firmach farmaceutycznych. Nosiłabym przydomki takie jak Konglomerat, Mocarstwo czy po prostu Sakwa.

A potem ni stąd, ni zowąd Lucas zdecydował, że wróci do Wayoaty i zdobędzie uprawnienia nauczycielskie.

Przekonywałam go, żeby został, tłumaczyłam, że na próby w aktorstwie poświęcił zaledwie osiem miesięcy i że nawet jeśli chciał spróbować sił w czymś innym, w Chicago miał o wiele więcej możliwości, ale nie byłam w stanie go przekonać. Użył matki jako pretekstu do powrotu:

- Ona jest taka samotna. Przez większość roku nikt jej nie odwiedza - powiedział i zwiął z podkulonym ogonem.

Co mogłam zrobić, słysząc taki argument? Niewiele, nawet jeśli oboje wiedzieliśmy, że Lucas wciskał kit. Zanim sprawy w Chicago się pokomplikowały, wcale nie martwił się o Mimi. Ostatecznie wycofałam się przekonana, że Wayoata szybko mu się znudzi. Ale pomyliłam się.

Zaglądałam do kolejnych szuflad z bielizną, aż w jednej znalazłam skórzaną rękawiczkę, którą musiał zabrać z samochodu Mimi. Na jej widok zawsze dostawałam nudności i ciarek, które towarzyszyły mi za każdym razem,

kiedy myślałam o matce i jej „wypadku”. Trzasnęłam drzwiami od szuflady. Usiadłam na ziemi i schowałam głowę w kolana. Zastanawiałam się, po co ją zatrzymał. Wzięłam kilka głębokich wdechów, żeby uspokoić mdłości, po czym uświadomiłam sobie, że nie pierwszy raz doświadczam niekompetencji ze strony policji w Wayoacie.

Kiedy mieliśmy po siedemnaście lat, nasza matka miała wypadek samochodowy. Doznała ciężkich obrażeń (jej otępiały od nadmiaru alkoholu mózg uderzył o wnętrze czaszki jak mokry papier toaletowy rzucony o kafelki w łazience, PLASK!). Ale kiedy dostaliśmy z Lucasem pozwolenie na wyczyszczenie jej beżowo-złotego buicka LeSabre (Lucas nalegał, żebyśmy zrobili to sami, widocznie miało to dla niego moc rytuału przejścia), zauważył, że drobne matki leżały nietknięte w pojemniku, a okulary przeciwsłoneczne beztróska wisiały na osłonce przeciwsłonecznej. A przecież wgniecenie w przednim zderzaku, w miejscu, którym uderzyła o drzewo, było bardzo głębokie. Ponadto znaleźliśmy skórzaną męską rękawiczkę. Tylko jedną. To nie miało sensu. Przynajmniej Lucas tak twierdził, ale ja wiedziałam lepiej. Samochód Mimi był kompletnym gruchotem, nic więc dziwnego, że znaleźliśmy w nim jedną zbłąkaną rękawiczkę pośród stosu rachunków sklepowych, zgniecionych paczek po papierosach, podartych rajstop i szminek. Ale Lucas nie chciał odpuścić. Zafiksował się na tej rękawiczkę.

Niechętnie i z sercem wyrywającym się z piersi poszłam z nim zmusić policjantów, żeby zbadali jeszcze raz ten, jego

zdaniem, ukartowany wypadek. Ale z naszego Prudena żadna Marge Gunderson i zanim Lucas zdążył przedstawić pierwszy argument, czyli zanim w ogóle wspomniał o rękawiczce, komisarz mu przerwał:

- Drogi są śliskie. Wasza matka była pijana i nie zapięła pasa. Nie udawajmy, że tak nie było. Cieszcie się, że uderzyła w drzewo. Mogła potraścić jakąś MIŁĄ rodzinę.

Sprawa zamknięta.

Mój brat, dopóki nie wyjechał na uniwersytet, za każdym razem, kiedy spotkał Prudena, badawczo mu się przyglądał. Poza tym wykonywał różne niegroźne gesty, jak na przykład pocieranie środkowym palcem czubka nosa albo strzelanie z dłoni udającej pistolet. Wszystkim wokół opowiadał, że Pruden jest niekompetentnym dupkiem. Miał siedemnaście lat, był wściekły i czuł, że go zignorowano. Zaczęłam się zastanawiać, że może Pruden próbuje się teraz odegrać i z wielką radością przyklei coś bardzo śmierdzącego do mojego brata.

Wstałam z ziemi i ponownie otworzyłam szufladę w poszukiwaniu pustego miejsca po walizce, do której mogłoby zapakować zapasową szczoteczkę do zębów i zapasową maszynkę do golenia. Ale niczego tu nie brakowało... oprócz Lucasa.

I jego karty kredytowej. Kiedy sobie o tym przypomniałam, zamarłam. Skoro wziął kartę, to po drodze mógł wszystko kupić. Szczoteczkę do zębów, koszulki, dzinsy. Mógł za jednym zamachem wyczyścić konto tuż po przekroczeniu granicy z Kanadą, a potem naprawdę zniknąć. Bo przecież na

pewno pojechałby do Kanady. Była najbliżej, więc to najrozsądniejsze wyjście. Oczywiście gdyby był winny. A przecież nie był.

Zmęczona padłam na łóżko. Do cholery, co tu się działo?! Byłam w szoku i po raz pierwszy w życiu miałam okazję przekonać się, co to właściwie znaczy. Człowiek jest i zimny, i jednocześnie rozgorączkowany. Słabe światło lampy na suficie pulsowało. Odwróciłam się i zaczęłam płakać w poduszkę, która ciągle jeszcze pachniała żelem do włosów mojego brata.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

### ***Dzień drugi***

#### ***Czwartek***

Obudziłam się po źle przespanej nocy z poczuciem, jakby ktoś zawiązał mi supeł w żołądku. Pościeliłam łóżko Lucasa, przykryłam narzutą, ułożyłam poduszki, a na koniec zadzwoniłam do pracy. Wreszcie miałam okazję do wykorzystania nagromadzonego urlopu. Pozbierałam pudełka po pizzy i puszki po piwie, zalałam wodą szklanki z zaschniętymi resztkami drinków. Potem wzięłam ze stolika starą czapkę Bulldogsów, ale po chwili odłożyłam ją z powrotem. Tam było jej miejsce.

Jakoś zdołałam wziąć się w garść. Lucas był jedynym podejrzanym w sprawie morderstwa Joanny. Do wyznaczonego przesłuchania miał kilka dni, więc dowody, które przeciwko niemu zebrali, nie mogły być mocne. (Z drugiej strony wtedy jeszcze nie odnaleziono ciała Joanny, poza tym było to przed magicznym zniknięciem Lucasa). Do tego Pruden powiedział, że nie mają nawet nakazu aresztowania.

Ktoś inny zabił tę biedną dziewczynę, ale Pruden zebrał tylko takie dowody, które uznał za wystarczające, żeby skupić się na Lucasie i już nie szukać dalej.



Musiałam dowiedzieć się więcej o tej sprawie. Podsunąć Prudenowi kogoś innego. Znaleźć mu innego podejrzanego.

Zadzwoiłam jeszcze raz do Wyatta, najlepszego przyjaciela Lucasa z czasów Małej Ligi i jego obecnego asystenta podczas treningów Westfield Bulldogs. Był głupkowskim chłopakiem z szopą włosów na głowie i śmiał się ze wszystkiego, co mówił Lucas. Mnie przezywał Mia-Żmija, a czasami nawet Mia-Moczykija, ale to wymyślił dopiero w liceum. Bardzo się starał być cool. Przez jakiś czas nosił dwa telefony, jeden dla „ziomków”, a drugi dla „lasek”, ale nigdy nie słyszałam, żeby któryś z nich zadzwonił.

Nie miałam z nim kontaktu, tylko czasami dowiedziałam się czegoś z Facebooka. Napisałam do niego, zanim wyjechałam, ale ponieważ nie odpisał, przewróciłam dom do góry nogami w poszukiwaniu starych kontaktów, aż na coś natrafiłam. Poszcęściło mi się, Wyatt nie zmienił numeru od czasów „ziomków” i „lasek”. Nagrałam się na sekretarkę z prośbą, żeby oddzwonił, a potem wysłałam SMS-a:

TU MIA. WTF?! WIESZ, CO SIĘ DZIEJE? ROZMAWIAŁEŚ MOŻE Z LUCASEM???

Nie dostałam odpowiedzi, chociaż wiedziałam, że w tym czasie Wyatt był online. Tweetował i złożył komuś życzenia urodzinowe na Facebooku. Czułam się, jakbym dzwoniła do drzwi, a on wygląda zza firanki, sprawdzając, czy już poszłam, i udając, że nie ma go w domu.

Widzę cię, dupku!!! - pomyślałam.

Zadzwoiłam jeszcze raz, ale od razu włączyła się sekretarka.

Pamiętałam, gdzie mieszkali jego rodzice. Może podadzą mi adres? Nie sądzę, żeby się przeprowadzili. W tych okolicach ludzie się nie przeprowadzają.

Zaparkowałam przed parterowym domkiem z cegły. Rodzice Wyatta, państwo Thompsonowie, mieli firmę, która zajmowała się architekturą krajobrazu. Eden Green czyli Zielony Eden. Nieźle im się powodziło. Wiedziałam o tym, bo przed wypadkiem Mimi pracowała jako kasjerka w banku Wayoata Credit Union i uwielbiała rozmawiać o cudzych pieniądzach. O tym, kto ma ile na koncie, jakie ma długi albo o tym, że wcale ich nie ma. Uwielbiała być blisko pieniędzy, nawet jeśli nie chodziło o jej dolary.

Dom nie był tak idealny, jak zapamiętałam. Na kwietniku nie było roślin, trawa była przydługa, a na podjeździe między SUV-em a srebrnym pikapem leżały porozwalane rowery i zabawki. I mnóstwo rysunków kredą. Drewniane wejście zwieńczone półkolistym daszkiem zniknęło. Nie wyglądało to na wzorcowy dom architekta krajobrazu.

W oknie dojrzałam małego chłopca. Miał tak jasne włosy, że wyglądał prawie jak duch. Pokazywał mnie palcem. Firana za jego plecami zafalowała i wynurzyła się zza niej dziewczynka. Miała takie same włosy. Widziałam, że krzyczała coś przez ramię. Wtedy kolejna mała blond główka pojawiła się w oknie. I jeszcze jedna.

Dostrzegłam tablicę z napisem:

DZIENNA PRZECHOWALNIA DLA NAJMŁODSZYCH SKARBÓW

A więc Thompsonowie się wyprowadzili. Kiedy zawróciłam

i ruszyłam w stronę samochodu, drzwi frontowe otworzyły się.

- Cześć, Mia.

To był Wyatt. Zachowywał się zupełnie naturalnie, jakbym często do niego wpadała i jakby właśnie mnie oczekiwał. Miał na sobie krótkie spodenki i koszulkę Vikingsów. Na jego czole powoli pojawiały się zakola, ale nadal nosił taki sam co Lucas dwudniowy zarost. W liceum Wyatt zawsze kopiował modowe wybory Lucasa. Kiedy mój brat to dostrzegał, zmieniał coś w swoim wyglądzie, golił włosy po bokach albo na jeża. Po kilku tygodniach Wyatt przychodził do szkoły w identycznej fryzurze, butach różniących się tylko kolorem itd. Nie wiem, jak Lucas to wytrzymywał.

Teraz Wyatt był boso, co dostrzegłam, gdy podchodził do mnie. Za szybą pojawiła się kolejna dwójka dzieci. Wyglądały przez okno i robiły do mnie głupie miny.

- Przepraszam, że wpadam bez zapowiedzi. Dzwoniłam, ale nie odbierałeś. Dlaczego nie oddzwoniłeś? Nie dostałeś moich wiadomości?

- Nic się nie stało. Mój syn wrzucił wczoraj telefon do kibelka. Powinienem przeczytać wiadomości na Facebooku. - Zaśmiał się nienaturalnie i dorzucił: - Nie wszystkie z tych dzieci są moje.

Jego usta wykrzywił w połowie grymas, w połowie uśmiech, jakby powtarzał ten dowcip już tyle razy, że sam miał go dosyć.

- Mamy tylko dwójkę. Moja żona prowadzi przechowalnię dla dzieci. Kupiliśmy ten dom od rodziców, kiedy

przeprowadzili się do Arizony.

Zaskoczył mnie tą serią faktów i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zmarszczyłam brwi. To nie była wystarczająca wymówka, żeby się do mnie nie odezwać. Nie spodziewałam się, że przywita mnie w ten sposób. Myślałam, że podbiegnie do mnie, kiedy tylko mnie zobaczy, i zaczniemy ze sobą rozmawiać jak dwóch rozbitków na bezludnej wyspie, którzy widzą w oddali wymijający ich statek.

- Czy Lucas się do ciebie odzywał?

- Ta dam! - Jedno z białowłosych dzieci otworzyło nam drzwi. Kolejne już pchało się na dwór i Wyatt musiał przez chwilę powalczyć z nimi, żeby cofnęły się do domu.

- Będę w garażu - krzyknął zapewne do żony. - Tędy. - Wpisał kod do otwierania drzwi garażowych, a my przez chwilę patrzyliśmy, jak się unoszą.

W garażu nie było samochodów. Stały w nim dwa krzesła ogrodowe, biurko kreślarskie i lodówka. Wyatt wcisnął przycisk, drzwi zaczęły się zamykać i w pomieszczeniu zrobiło się ciemno. Nie zamontowano tu wentylacji, więc czułam mocny zapach benzyny i skoszonej trawy, ale był to też jeden z najczystszych garaży, w jakich kiedykolwiek przebywałam. Wyatt musiał spędzać tu większość swojego czasu.

Wskazał na jedno z krzesel, więc usiadłam.

- Nie, nie odzywał się do mnie. Policja już mnie o to pytała.

- Próbuję zrozumieć, co się naprawdę wydarzyło, ale nie mogę. Policja myśli, że Lucas uciekł, bo miał romans z uczennicą, no i że ją zamordował. Ale to jest niemożliwe, to

tak absurdalny pomysł, że wyśmiałabym tych wszystkich gliniarzy, gdyby nie to, że mam ochotę płakać.

Wyatt spojrzał na mnie niespokojnie. Nie zamierzał przyłączać się do mojej tyrady o niekompetencji policji i bezpodstawnych oskarżeniach. Coś mi tu nie grało. Dlaczego się tym nie przejmował? Dlaczego kazał mi wyciągać z siebie informacje? Przełknęłam ślinę. Czułam się beznadziejnie, że o to pytałam, ale musiałam:

- Czy Lucas miał romans z tą uczennicą? Tylko proszę, nie wyskakuj mi z tym durnym męskim kodeksem.

Wyatt podrapał się po policzkach, po czym odparł:

- Większość osób tak uważa, ale jeśli to prawda, to na pewno mi o tym nie powiedział. Od jakiegoś czasu nie mam pojęcia, co u niego.

- Co masz na myśli?

- To, że nie rozmawiamy ze sobą.

- Ale przecież razem trenujecie dzieci.

Świat wywracał się do góry nogami. Uświadomiłam sobie, że myśląc o Lucasie i jego życiu w Wayoacie, umieściłam go w szklanej bańce, w której świat nigdy się nie zmienia. Ale cóż, wysnuwałam to z jego opowieści. Na przykład kiedy rozmawialiśmy przez telefon, Wyatt był stałym tematem. Lucas i on to najlepsi przyjaciele, od zawsze.

- Faktycznie czasem rozmawiamy o hokeju, ale w sezonie. I na tym te rozmowy się kończą.

- Pokłóciliście się? Lucas wrócił do hazardu? - Może Lucas pożyczył od niego pieniądze i nie zwrócił? Może o to się poprztykali i Wyatt wyolbrzymił sprawę? A Lucas nie

powiedział mi o tym, bo chodziło o hazard?

- Nic z tych rzeczy. Wiem, że wrócił do hazardu, ale to nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu rozdzieliło nas zwykłe życie. Różne plany na dzień, takie tam. Jestem żonaty, mam dzieci, a Lucas nic z tych rzeczy. Mamy różne priorytety. Prowadzę biznes rodzinny, jestem bardzo zajęty.

Chciałam powiedzieć, że zimą ogrodnictwo w Dakocie Północnej to nie jest zbyt czasochłonne zajęcie, ale Wyatt wyprzedził mnie, narzekając, że zimą to on ma dwa razy więcej pracy przy usuwaniu śniegu, po czym dodał, że od dłuższego czasu już się nie przyjaźni z Lucasem. Zabrzmiało to tak, jakby mówił z pamięci. Wyatt to wiecznie zadowolony z siebie facet, i tak było zawsze. Nie musiał się martwić o pieniądze, studia czy zastanawiać nad tym, co zrobić ze swoim życiem. Jego przyszłość była zabezpieczona.

- Lucas mówił o tobie tak, jakbyście wciąż się przyjaźnili. Byliście kiedyś razem w Minnesocie na polowaniu - próbowałam podać jakiś dobry przykład. Pamiętałam ich wspólne zdjęcie na Facebooku. Mieli swetry moro i pili piwo.

- To było dwa lata temu.

- Co się w tym czasie zmieniło? - nie odpuszczałam.

- Hm... nie mam pojęcia. Nic - burknął Wyatt, nie patrząc mi w oczy. Jego uszy zaczynały się czerwienić, a ja pamiętałam, że tak się działo, gdy zaczynał się złościć.

- Nic? Tak po prostu? Po latach przyjaźni postanowiliście pójść każdy w swoją stronę?

- Mia, pewnie myślisz, że odwróciłem się od niego tak samo jak wszyscy, gdy ludzie zaczęli gadać, ale to

nieprawda. Lucas chciał wychodzić na piwo, podrywać dziewczyny, wędkować przez cały weekend i robić wszystko to, co robiliśmy wcześniej. Ale ja mam dzieci i już nie mogę imprezować jak dawniej. I wiesz, co ci powiem? Jeśli któryś z nas się zdystansował, to był to Lucas.

Wyatt miał rację, ale mu jej nie przyznałam. Było mi trochę przykro, że mój brat w życiu Wyatta nie był już guru, tylko został zdegradowany do faceta, który nie potrafi odpuścić i zapomnieć o starych czasach.

- Jeśli się do ciebie odezwie, zadzwoń do mnie, proszę. I powiedz mu, żeby zadzwonił też do mnie. - Zaczęłam zbierać się do wyjścia, bo coraz ciężiej mi się oddychało powietrzem przesiąkniętym benzyną.

- Wyatt? Wyatt? Czyj to samochód? - usłyszałam zaciekawiony i znajomy głos dobywający się z drugiej strony drzwi garażowych.

Przeszły mnie ciarki. Drzwi zaczęły się podnosić, wpuszczając smugę światła słonecznego, a po chwili zobaczyłam wysoką blondynkę. Trzymała w rękach kubek z napisem ŻYJ, ŚMIEJ SIĘ, KOCHAJ. Zawsze myślałam, że otaczanie się tandetnymi przedmiotami masowej produkcji jest jednym z najtańszych sposobów na udowodnienie, że jest się miłym człowiekiem. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że ludzie, którzy to robili, mieli mroczną stronę. (Raz omal nie straciłam przyjaciółki, kiedy odkryłam, że nosi przy kluczach brelok z napisem RODZINA: TO, CO NAJCENNIEJSZE, NIGDY NIE JEST PRZEDMIOTEM). Fakt, że właśnie *ona* trzymała taki kubek, tylko utwierdzał mnie w moim

przekonaniu.

- Cześć, Carolyn - rzuciłam.

Wszystko wskazywało na to, że Wyatt ożenił się z Carolyn. To znaczy nie tyle wskazywało, co wiedziałam o tym, tylko nie przyjmowałam do wiadomości. Carolyn Reidy, a teraz zapewne Carolyn Thompson, była pierwszą prawdziwą dziewczyną Lucasa. Przez miesiąc udawała, że jest moją przyjaciółką, aż w końcu zrozumiałam, dlaczego zawsze nalegała, żebyśmy spotykały się u mnie, zamiast zaprosić mnie do swojego przepięknego domu. (Okazało się przy tym, że nie była aż taką fanką seriali młodzieżowych jak ja). Kiedy zaczęła spotykać się z Lucasem, powiedziałam mu, że Carolyn mnie wykorzystała. A ona zrewanżowała mi się, rozpowiadając wszystkim wokół, że lubiłam brata w niezdrowy sposób. W obecności Lucasa była wobec mnie przemiła, a mój brat bliźniak postanowił nie mieszać się w nasze sprawy. Był to jeden z niewielu przypadków, kiedy zachował się jak prawdziwy dupek.

Niedługo po ukończeniu szkoły zerwali ze sobą, to znaczy Lucas rzucił ją po kilku dniach pobytu w college'u. Chodzili ze sobą czternaście miesięcy, podczas których musiałam wysłuchiwać, jak Carolyn symuluje, że ma zaburzenia odżywiania, oczywiście po to, by zwrócić na siebie uwagę. Objadała się jak prosię, po czym znikwała w łazience i udawała, że wymiotuje. Po głośnych i teatralnych chrząknięciach nadchodziły delikatne jęki. Czasami trudno było odróżnić, czy wymiotowała, czy się masturbowała. Ale kiedy Lucas szedł do niej i zaczynał walić w drzwi,



wychodziła z łazienki, próbując ukryć uśmiech zadowolenia, i padała w jego troskliwe objęcia. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że w tym domostwie czołową pozycję osoby cierpiącej na zaburzenia odżywiania zajmowała matka. Jej drugim błędem było założenie, że Lucas po skończeniu szkoły nadal będzie chciał głaskać ją po włosach (a Haasowie nie byli znani ze swojej opiekuńczości).

- Ach, to ty. Nie poznałam cię - wystraszyła się na mój widok Carolyn. Westchnęła, po czym jeszcze raz przelotnie mi się przyjrzała, a ja od razu zaczęłam panikować.

I właśnie o to jej chodziło. Była mistrzynią drobnych uwag, niedokończonych zdań (poprzedzonych westchnieniami, o które podejrzewałoby się prędeej szczeniaczka), które zasiewały w rozmówcy ziarno zwątpienia w siebie, jak na przykład: „ojej, masz dekolt w serek”, „ach, te sandały są takie urocze”, „ale słodko, że lubisz muzykę”. Prawdopodobnie chciała dać mi do zrozumienia, że wyglądałam o wiele starzej, niż powinnam, ale tym razem nie wywarła na mnie żadnego wrażenia. Jeśli mnie nie poznała, to tylko dlatego, że od ukończenia szkoły schudłam dziesięć kilo i nosiłam fryzurę za dwieście dolarów, a nie jedno z tych kuchennych szalonych cięć podchmielonej koleżanki Mimi.

- A ty wyglądasz dokładnie tak samo - spróbowałam być równie tajemnicza, licząc na to, że przestraszy się, że wygląda staromodnie. Co więcej, mówiłam prawdę. Była równie wychudzona co kiedyś, chociaż wciąż wyglądała jak oziębła blond piękność, nawet pomimo grzywki konserwatywnej kato-mamuśki. Zawsze liczyłam na to, że

Carolyn się roztyje. Naprawdę bardzo liczyłam na to, że stanie się tak gruba, że kiedy umrze, trzeba będzie dźwigu, by usunąć jej ciało z domu. No i poczułam się głęboko rozczarowana, że tak się nie stało. W spodniach do jogi i lekko przyciasnym topie wyglądała równie rewelacyjnie, co kiedyś. Mimo to na jej twarzy malował się ślad ciągłych wymiotów. Może jednak wcale nie udawała? Byłaby to chyba jedyna rzecz, której nie udawała.

- Szukasz Lucasa? Biedna Mia. Musisz być przerażona. - Skrzyżowała ramiona, jakby próbowała sama siebie ogrzać. Wyatt podszedł do niej i oparł dłoń na jej ramieniu, a po twarzy Carolyn przemknął grymas, jakby ciężar ręki mężusia był dla niej nie do udźwignięcia. - Nigdy nie sądziłam, że mogłby... - zaczęła, ale wykazała się zrozumieniem i nie dokończyła.

- Nie zrobił tego - rzuciłam.

Zmarszczyła brwi i poprawiła opaskę firmy Lululemon.

- Cóż, rodzina faktycznie powinna myśleć o sobie jak najlepiej, ale poprzednia dziewczyna Lucasa też była jego uczennicą. To trochę mówi o jego guście, prawda?

Była uczennicą? Poczułam, jak krew odpływa mi z rąk i nóg, ale nie dałam tego po sobie poznać. Za nic nie pozwolę, by Carolyn napawała się tym, że wie na temat Lucasa więcej niż ja.

- To prawda. Pamiętasz, jak miała na imię? Gdzie mogę ją znaleźć?

- Zoey - wtrącił się Wyatt, na co Carolyn skarciła go wzrokiem. Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć:

„Myślałem, że pomagam”.

- Mam nadzieję, że Lucas zmądrzeje i zgłosi się na policję - powiedziała Carolyn. - Oboje się o niego martwimy. To chory człowiek. - Wyrzała na ulicę, jakby sprawdzała, czy Lucas nie czai się gdzieś w pobliżu, próbując wtargnąć na jej teren.

Cofnęłam się o krok, ale zbyt pochopnie, bo wpadłam na wiaderko pełne raków, którego jeszcze przed chwilą tutaj nie było. Ich szczypcy otwierały się i zamykały. Usłyszałam pisk chłopca. Carolyn rzuciła się w jego stronę i wzięła na ręce, chociaż miał już z pięć lat. Kiedy wsiadałam do samochodu, słyszałam jak zawodził:

- Zrobiła im krzywdę!

Włączyłam klimatyzację. W nozdrzach ciągle czułam zapach koszonej trawy. Wyglądało na to, że Wyatt awansował. Stał się trochę gorszą wersją Lucasa? Zdobył swoją ukochaną, miał pracę. Carolyn zdobyła chłopaka, który był podobny do Lucasa na tyle, żeby utrzymać jej zainteresowanie.

Kiedy mój brat ją zostawił, Carolyn zachowywała się dziwnie. Nie przestawała pojawiać się na kampusie, co było niemałym osiągnięciem, biorąc pod uwagę fakt, że uczelnia znajdowała się dwanaście godzin drogi stąd. Chadzała do pubów, w których bywał Lucas, i zalecała się do innych chłopaków, próbując wywołać w nim jakąś reakcję. Któregoś ranka zastał ją pod drzwiami akademika, pijaną i z rozmazanym makijażem. W końcu zapisała się na tę samą uczelnię i siadała tuż za nim na zajęciach. Był przerażony. Mówiłam mu, żeby zgłosił to ochronie uczelni, ale nie chciał

jej ośmieszać. Historia skończyła się tym, że Carolyn uwiodła jego współlokatora i wreszcie dostała się do pokoju Lucasa. Porozrzucała jego rzeczy, pocięła ubrania nożyczkami, a laptopa wrzuciła do ubikacji. Ukarano ją zawieszeniem, a kiedy wróciła, zostawiła mojego brata w spokoju. Zapisala się do żeńskiego stowarzyszenia, zaczęła umawiać się z innymi chłopakami. A potem, o czym dotąd nie wiedziałam, wróciła do rodzinnego miasta i wyszła za Wyatta. Pewnie nie raz przechadzała się po Wayoacie, i jak na mściwą żołą przystało, opowiadała wszystkim wokół, że kiedyś była dziewczyną Lucasa. Później, kiedy historia z Joanną wyszła na jaw, mówiła o tym już tylko szeptem, dodając:

- Teraz wszystko nabrało sensu. Lucas przestał się mną interesować, kiedy skończyłam szkołę.

Pub sportowy U Casey otwierał się dopiero po południu, więc miałam trochę wolnego czasu, z którym nie wiedziałam, co zrobić. Pomyślałam, że powinnam odwiedzić matkę, mocno chwycić jej chłodną dłoń i powiedzieć, że Lucas zaginął. Zrobiłam dwa okrążenia wokół domu opieki, ale nie byłam w stanie zmusić się, żeby wejść do środka, więc zaczęłam jeździć bez celu po okolicy, w której dorastałam. Czarno-biała bryła domu w najgorszej dzielnicy z działką wielkości znaczka pocztowego, za którą Mimi i tak z trudnością spłacała kredyt. Dom, w którym razem z Lucasem chowaliśmy mamie kluczyki od samochodu, wylewaliśmy do ubikacji hektolitry alkoholu i ostrożnie wyjmowaliśmy jej butelkę z dłoni, kiedy upijała się do nieprzytomności. Spędziliśmy wiele godzin na rozkładanej

kanapie, oglądając horrory, na które byliśmy za młodzi. Zасыпалиśmy lekkim, nerwowym snem, kiedy Mimi wychodziła na kolejne „przedłużone randki”, które oznaczały, że wróci dopiero następnego dnia.

Ktokolwiek mieszkał teraz w tym domu, lepiej o niego dbał. Został odmalowany, zdjęto też lampki choinkowe i plastikowego Mikołaja, który przez okrągły rok wisiał na dachu uczepiony komina. W moim starym pokoju dostrzegłam dekoracje z gatunku Hello Kitty.

Matka mieszkała w domu opieki dla kobiet Latarnia Morska. Po wypadku przez dwa tygodnie była w śpiączce. Kiedy się obudziła, miała luki w pamięci i intelekt dziewięcioletki. Dom z daleka wyglądał ładnie. Miał trzy piętra i był wiśniowo-żółty. Z bliska zdradzał jednak ślady zaniedbania. Okap dachu poluzował się i kołysał na wietrze, a ze ścian obłaził tynk. Pękająca od ulotek skrzynka pocztowa, która wcześniej musiała być przymocowana do sidingu tuż obok drzwi, spadła na werandę i tak już została. Mottem tego miejsca było „prawie niezależne życie”. To właśnie tutaj wędrowała jedna trzecia mojej pensji.

Zadzwoiłam do drzwi i usłyszałam głośny dźwięk dzwonka. Poczułam zbliżającą się migrenę, która niedługo znowu porwie mnie w swoje szpony, chociaż nie miałam migreny, od kiedy byłam nastolatką. Przez siatkę na komary zobaczyłam w środku kobietę. Siedziała na starodawnej kanapie owinięta kocem. Zapamiętała drapała się po głowie i oglądała telewizję. Nie zamierzała wstać, żeby mi otworzyć.

Wreszcie w długim i ciemnym korytarzu pojawiła się jakaś

postać.

- Przyszłam do Mirandy Haas - powiedziałam przez siatkę na komary.

Pielęgniarka o krótkich nogach i twarzy w kształcie księżycy spojrzała na mnie badawczo.

- Nie widziałam cię tu nigdy.

To było oskarżenie. Jeden z niewielu momentów, kiedy pracownicy mogli oskarżyć wyrodnych członków rodziny, którzy nigdy nie przyjeżdżali w odwiedziny, nawet nie znali numeru pokoju.

- Jestem jej córką. Mieszkam w innym mieście.

Pielęgniarka spojrzała na mnie, jakby chciała się pokłócić. Byłam pewna, że matka nigdy o mnie nie wspomniała.

- Kręciło się tu mnóstwo dziennikarzy. To było bardzo stresujące dla pani matki.

- Dziennikarze? Jacy dziennikarze? - W duchu modliłam się, żeby chodziło o kogoś z *Wayoata Sun*. Miałam nadzieję, że ta historia nie wyszła jeszcze poza miasteczko.

- Było ich kilku, ale po wizycie pierwszego nie pozwoliliśmy już nikomu przeprowadzać wywiadów z pani matką. Nie potrzebowała powtórki z tego cyrku.

- Czy to znaczy, że matka wie, o co oskarżono mojego brata?

Trochę mi ulżyło, że nie będę pierwszym posłańcem złej wiadomości. Nie spytałam też, co miała na myśli, mówiąc o „tym cyrku”.

- Staramy się jej nie martwić. - Machnęła ręką, żebym weszła do środka. Przeszliśmy przez kuchnię do innego

wyjścia. – Jest w ogrodzie. Twój brat był taki dobry dla swojej matki. Odwiedzał ją dwa razy w tygodniu. Regularnie, tydzień w tydzień. Nie wiem, co się z nim stało.

W kuchni spotkałam „drapaczkę”. Tym razem robiła sobie popcorn w mikrofalówce i obserwowała kuchenkę jak zaczarowana.

– Dzisiaj ma dobry nastrój. Masz szczęście. – Pielęgniarka delikatnie wypchnęła mnie na dwór.

Jak się okazało, ogród był skrawkiem ziemi z przerośniętą trawą i zaroślami na końcu działki. Dostrzegłam kobietę, która musiała być moją matką, bo była jedyną osobą w ogrodzie. Mimo że było gorąco, miała na sobie szlafrok w kwiaty z wysokim kołnierzem i bufkami na ramionach. Włosy w kolorze wyblakłej słomy miała przedzielone przedziałkiem i zaplecione w dwa warkocze. Kiwnęła głową na boki. Wyglądała jak szmaciana lalka naturalnych rozmiarów. Nie widziałam jej od pięciu lat i byłam w szoku.

Z kuchni dobiegło mnie piknięcie mikrofalówki, po czym usłyszałam głos pielęgniarki, która próbowała przekonać „drapaczkę”, że nie trzeba przedłużać czasu przygotowywania popcornu.

– Nie pamiętasz, jak ostatnio się spalił? – pytała.

Ja zaś zrobiłam krok do przodu i odezwałam się:

– Cześć, Mimi. To ja, Mia.

Nigdy nie mówiliśmy do niej „mamo”, zawsze używaliśmy jej ksywki. Oczywiście podobieństwo naszych imion mi nie umknęło. Pamiętam zdjęcie, na którym stoimy w dopasowanych pastelowych sukienkach. Mimi ma

pomalowane na czerwono paznokcie i opiera dłoń na moim małym ramieniu, co nadaje jej wygląd grabi ogrodowych. Na mojej twarzy maluje się coś pomiędzy uśmiechem a grymasem wywołanym przez górującą nade mną Mimi. Jestem absolutnie pewna, że byłam jej ukochanym dzieckiem, dopóki nie skończyłam ośmiu lat i dopóki mogła używać mnie jako rekwizytu, który niczym manekin cierpliwie godził się na przebieranki i strojenie. Kręciła mi włosy i malowała paznokcie, żebyśmy do siebie pasowały. Mówiła, że uwielbiała się mną chwalić, chociaż byłam bardzo nieśmiała. Miałam problem z utrzymaniem kontaktu wzrokowego i nie cierpiałam znajdować się w centrum uwagi. Nawet jeśli próbowałam być ekstrawertyczką, taką roześmianą syrenką, o której marzyła Mimi, zawsze robiłam coś nie tak. Lucas był w rozumieniu Mimi łatwiejszym dzieckiem, bo poświęcał jej mnóstwo uwagi. I naprawdę miał łatwiej, bo nie oczekiwała od niego, że stanie się kimś zupełnie innym. Grał w hokeja, był towarzyski i popularny. A może nawet nie chodziło o to? Może nie było istotne, kim był? Może było mu łatwiej, bo Mimi tak desperacko i zawzięcie szukała męskiej uwagi, że wystarczało jej, kiedy pochodziła od syna. Ja nie mogłam jej tego dać. Więc nawet kiedy byłam ekstrawertyczną, roześmianą dziewczynką, i tak zawsze musiałam coś schrzanić.

- Co za kompromitacja! - kwitowała, kiedy wracaliśmy do domu z lunchu z jej współpracownikami albo z przyjęcia urządzonego dla którejś z jej koleżanek, przyszłej panny młodej.



Kiedy uświadomiłam sobie, że nigdy nie spełnię jej oczekiwań, przestałam się starać, lecz mimo to jeszcze przez wiele lat łudziłam się nadzieją, że któregoś razu po tym, jak mnie ubierze, rzuci okiem na finalny efekt i stwierdzi, że tak, to właśnie to! Że jestem urocza i rozkoszna! A potem zsadzi mnie z blatu łazienkowego, poda swoją chusteczkę do pocałowania, żeby zdjąć nadmiar szminki, ostatni raz spojrzemy na odciski naszych ust widniejące jeden przy drugim i ruszymy w drogę.

- O, jesteś wreszcie. Podejdź bliżej. Popatrz!

Głos matki był lekko zachrypnięty od wielu lat picia i palenia papierosów, a kiedy podeszłam bliżej, poczułam bijący od niej charakterystyczny zapach tytoniu, który pamiętałam jeszcze z dzieciństwa. Byłam zaskoczona, że pozwalają jej palić. Wydawało mi się, że to złe, chociaż palenie jest legalne.

- Bardzo dobry - powiedziałam szczerze. Jej rysunek był zaskakująco piękny. Bardziej wyrazista, mroczniejsza wersja dzikich kwiatów, które miała przed sobą. Mogłam go sobie wyobrazić na ścianie drogiej restauracji. Coraz lepiej szło jej rysowanie.

- Zainspirowany naturą - powiedziała z szeroko otwartymi oczami. Nawet nie mrugnęła.

- Widzę.

Mimi zaczęła rysować dopiero po wypadku. Pamiętam, że kiedyś chadzała na wieczorowe zajęcia ze sztuki, ale z drugiej strony zawsze chodziła na jakieś zajęcia. Gotowanie, hiszpański, struganie w drewnie - to były tylko

kolejne sposoby na poznanie mężczyzn. Zajęcia oceniała na podstawie tego, czy „ukończyła” je z nowym kochankiem w kieszeni, a nie po tym, czy nauczyła się gotować, mówić po hiszpańsku albo strugać. Świetnie nadawałaby się na reżolutną bohaterkę filmu dla kobiet, gdyby nie to, że w takich sytuacjach bez opieki zostawiała w domu dwójkę dzieci.

- Wiesz, kim jestem?

- Oczywiście, że wiem. - Wybuchła śmiechem, który niespodziewanie zabrzmiał bardzo dojrzałe. Odwróciła się i spojrzała na mnie. Przez chwilę przyglądała mi się badawczo. - Masz bardzo suchą skórę dłoni.

Spojrzałam na swoje ręce. Faktycznie, wyglądały jak z kredy, a to przez pracę z lekami i receptami. Miałam też awersję do kremów, bo przez długie lata obserwowałam, jak Mimi wciera w ciało balsamy po kąpielach. Jej szlafrok luźno opadał, a dźwięk wklepywanego w nagą skórę kosmetyku przywodził na myśl filmy porno. Do tego te tanie i odpychające zapachy. Może Mimi udało się wyćwiczyć oko do detali, skoro zauważyła moje popękane dłonie, ale denerwowało mnie, że komentowała mój wygląd, jakbym sama nie miała o nim zielonego pojęcia.

- I nową fryzurę...

- Tak. Zapuściłam włosy.

Zdziwiłam się. Pamiętała, że zmieniłam fryzurę? Skoro faktycznie wiedziała, kim jestem, a wszystko na to wskazywało, dlaczego nie podeszła do mnie i nie przytuliła? Albo chociaż nie poklepała po ramieniu? Mimi nigdy nie

okazywała mi uczuć, kiedy była trzeźwa. A kiedy była pijana, dusiła mnie swoją miłością, zebrząc o uwagę. W takich chwilach zamieniałam się w kamień.

- Powinnaś zobaczyć fryzurę pielęgniarki Shelly. Jest taka piękna.

Tak łatwo wytrącała mnie z równowagi, nawet teraz. Powinnam umieć to zignorować, a jednak zwała mnie z nóg, choć nawet nie miałam pojęcia, jaką fryzurę miała pielęgniarka Shelly.

- Na pewno zwrócę na to uwagę - odparłam.

Mimi zawsze taka była. Wciąż porównywała mnie do innych i zawsze lepszych dziewczynek, a teraz zapewne do kobiet. Rzucała przynętę, czekała, aż zapytam, co jest nie tak z moimi włosami, ale nigdy nie odpowiadała. Bo wcale nie chodziło jej o to, żebym zmieniła fryzurę, tylko o to, żebym zrozumiała, że na świecie jest mnóstwo lepszych ode mnie ludzi. A ja jestem od nich brzydsza, głupsza, mniej towarzyska, mniej wyrazista. Oczywiście były to stwierdzenia wyrażone tonem nieznoszącym sprzeciwu. Gdybym wróciła ze szkoły z piątką z plusem z matematyki, skomentowałaby to słowami: „Popatrz tylko na córkę pani X. Jest taka kreatywna”.

Przytaknęła i wróciła do malowania.

Usiadłam na ławce z kutego żelaza pokrytej liśćmi i patrzyłam, jak matka macza pędzel w różnych odcieniach farby na talerzu styropianowym. (W Latarni Morskiej można było używać jedynie farb akrylowych lub akwareli. Farby olejne były zakazane z uwagi na miłośników wąchania

rozpuszczalnika).

Mimi kilka razy musnęła płótno pędzlem, po czym wypłukała go w plastikowym kubeczku z wodą.

Tak wyglądała, kiedy miała dobry dzień. Patrzyłam, jak kiwa głową z boku na bok szybkimi ruchami kolibra. Zrobiło mi się jej szkoda i poczułam żal. Postanowiłam nie wspominać o Lucasie. To nie miało sensu. Kiedyś uwielbiałam na niego donosić, mówić cokolwiek, co mogłoby choćby odrobinę przegiąć szalę jej sympatii na moją stronę. Ale nic nigdy nie podziałało.

Chciałam wyjść, ale martwiłam się, co pomyśli o mnie pielęgniarka.

- Kiedy przyjdzie Lucas?

- Nie jestem pewna.

- Mam nadzieję, że niedługo. Nie lubię być sama.

- Nie jesteś sama. Ja tu jestem, Mimi.

- Po co przyszłaś? Nigdy mnie nie odwiedzasz.

- Przepraszam. Przychodziłabym częściej, ale mieszkam w Chicago.

- Chicago? Z twoim mężem? - Słowo „mąż” wypowiedziała z chichotem, jakby zawierało w sobie skandaliczną treść.

- Nie mam męża - odparłam.

Dopiero co zerwałam z błękitno-krwistym prawnikiem specjalizującym się w finansach, który dzieciństwo spędził w najbardziej wystawnych kurortach na Zachodnim Wybrzeżu, i który z bezczelną i niezdrową satysfakcją pytał mnie, kiedy odwiedzimy moje „włości”. Wiedziałam, jak to sobie wyobrażał. Popijamy gorącą czekoladę z moimi

rodzicami, tubylcami Minnesoty (nie potrafił odróżnić Dakoty Północnej od Minnesoty), a wokół nas przechadzają się ludzie w bluzach z kaczkami i podziwiają kiczowate pomniki. A na koniec Lucas rozwała mu pięścią ten głupi łeb.

Mogłam opowiedzieć matce o swojej pracy. O grupie przyjaciół, tak samo jak ja farmaceutów, którzy w piątkowe wieczory popijają drinki, narzekając na ludzi, którzy są przekonani, że mają alergię na zamienniki leków i wszystkie tabletki w kolorowych otoczkach. Mogłam opowiedzieć o moim pięknym mieszkaniu w Chicago pełnym przedmiotów ze stali nierdzewnej. O tym, jak na studiach robiłam dokładne notatki i do dziś korzystam z nich w pracy, jak zaczęłam uprawiać jogging i jak łatwo mi być samej. Ona nigdy się tego nie nauczyła.

Mogłam dać jej odpowiedzi na pytania, których nigdy by nie zadała, ani teraz, ani przed wypadkiem. Mogłam zmusić moją matko-córkę do jakiegokolwiek interakcji, ale nie wytrzymałabym świadomości, że staram się wzbudzić w niej sympatię.

- Czemu? Czemu nie masz męża? - Podniosła głos, próbując mówić jak drwiąca nastolatka, ale była tak bardzo zachrypnięta, że skopiowała siedmiolatkę z bronchitem.

- Jeszcze nie spotkałam tego jedyne.

Na te słowa Mimi odwróciła wzrok od płótna i spojrzała na mnie.

- Może gdybyś lepiej się ubierała... - Wróciła do obrazu, przez chwilę maczała pędzelek w farbie na plastikowym talerzu, który balansował na jej dłoni, po czym zrobiła krok

w moją stronę i dodała: - Myślę, że dobrze byłoby ci w ciemnoczerwonym.

Nachyliła się nade mną. Na jej dolnej wardze dostrzegłam okruszki krakersów. Przez chwilę myślałam, że zamierza mnie pocałować i musiałam mocno powstrzymać się przed tym, żeby się nie odsunąć. W końcu zmrużyła oczy i mruknęła:

- Aha! - jakby poznała odpowiedź na ważne pytanie, które od dawna w niej narastało.

Odruchowo przygryzłam wargi. I pomyślałam, że ona wie. Wie, co jej zrobiłam. Prawda o wypadku czaiła się gdzieś w odmętach jej pamięci, a ja czułam, że pewnego dnia uświadomi sobie, co się stało. Byłam o tym przekonana.

Mimi nagle straciła nad sobą kontrolę. Jej wzrok pociemniał, zaczęła wymachiwać pędzlem jak dyrygent batutą, zostawiając wszędzie rdzawoczerwone plamy i kolorując moją białą bluzkę.

- Mimi, przestań! - Wstałam, próbując zmusić ją, żeby się wycofała.

- Ale o wiele lepiej ci w czerwieni!

Najdelikatniej, jak potrafiłam, chwyciłam ją za nadgarstek, ale okazało się, że popełniłam błąd. Mimi upuściła na trawę talerzyk z farbami, wyrwała mi się, wrzasnęła tak głośno, że spłoszyła ptaki, i zaczęła wbijać pędzelek w świeżo pomalowane płótno.

- Patrz, do czego mnie zmusiłaś! - krzyczała.

Po chwili przybiegła pielęgniarzka.

- Nic się pani nie stało? - Patrzyła z przerażeniem na moją

klatkę piersiową.

- Wszystko w porządku, to tylko farba. Tylko farba...

Pielęgniarka odwróciła się i próbowała uspokoić Mimi, a ja wróciłam do samochodu.

Zanim włożyłam kluczyk do stacyjki, wyjęłam ze schowka czerwoną kosmetyczkę. Otworzyłam ją i wysypałam na fotel pasażera małe fioleki. W pośpiechu przeczytałam etykiety. Miałam wszystkiego po trochu: xanax, lorafen, valium, adderall, stilnox i oxycontin. Nie myśl o tym! Nie myśl o tym! - powtarzałam sobie w duchu i z ciekącą śliną otworzyłam buteleczkę z lekiem, który będzie najlepszy, żeby odpłynąć. Zamknęłam oczy i delektowałam się smakiem kredowej goryczy.

Tak, byłam lekomanką. Na odwyku. Chociaż może „na odwyku” brzmiało zbyt optymistycznie, w końcu przywiozłam ze sobą cały zapas leków, których nie potrafiłam spuścić w toalecie.

Zacząłam jeszcze w college’u. Jedno BZP<sup>[2]</sup> na imprezie i od razu łatwiej rozmawiało mi się z ludźmi o wiele ciekawszymi niż ja sama. Zacząłam od szukania oparcia wśród ludzi, czyli, jak to się mądrze mówi, w sytuacjach społecznych, ale szybko okazało się, że potrzebuję adderallu, by pomógł w nauce, czy stilnoksu, by sprowadził długo wyczekiwany sen. A potem jeszcze więcej BZP.

Wyszkoliłam się w wizytach lekarskich. Doskonale wiedziałam, jakie wymienić symptomy i na jakie skarżyć się dolegliwości, żeby dostać upragnioną receptę. Wydało mi się całkiem naturalne, żeby zrobić specjalizację z farmacji.

Pierwszą pracę dostałam w Northwestern Memorial. (To jeden z dziesięciu najlepszych szpitali w USA. Jesteście pod wrażeniem?). Robiłam obchody i zbierałam zamówienia na leki od pacjentów. Próbowałam pomóc im w cierpieniu. Najbardziej lubiłam starszych ludzi. Przynosiłam im dobra, które utrzymywały ich przy gasnącym życiu.

- Dostanie pan najlepsze leki na serce jeszcze tutaj, w szpitalu. Proszę chwilkę poczekać, zaraz wrócę.

Pracowałam pod presją, korzystając ze zdobytej wiedzy. Analizowałam dawki i interakcje z innymi lekami, doradzałam lekarzom i udzielałam pierwszej pomocy w sytuacji zagrożenia życia!

Jednak ambulatorium pełnego pacjentów i personelu szpitala okazało się zbyt kuszące. To swoiste Shangri-la każdego lekomana. Zaczęłam podbierać leki, po jednej tabletkę, tu i tam. Główna farmaceutka, pogodna kobieta z olbrzymią fryzurą i synem nieborakiem (czytaj: narkomanem), która sama siebie nazywała moją mentorką, zaczęła podejrzewać, co kombinuję. Któregoś popołudnia wezwała mnie do swojego gabinetu, który wyglądał jak jedna wielka szafka na formularze, i prosto z mostu zapytała mnie, czy kradnę.

- Oczywiście, że nie!

- W takim razie czy mogę przeszukać twoje kieszenie?

- Nie.

Spędziłyśmy kilka minut, walcząc na spojrzenia. Wiedziałam, że jeśli przegram, a ona sprawdzi moje kieszenie, znajdzie dwie tabletki oxycontin. Jeśli mnie nie



przeszuka, uniknie skandalu i nikt nie będzie podważał jej kompetencji jako głównej farmaceutki.

- Dlaczego, Mia? Tak dobrze się zapowiadałaś. Dlaczego robisz sobie coś takiego?

Spojrzała na mnie z rodzicielskim zawodem w oczach, a ja czułam, że cała się kurczę od jej wzroku. Nie potrafiłam jej odpowiedzieć. Jak miałam opisać uczucia, które napędzały to wszystko, co robiłam? Miałam wyznać, że dzięki lekom łatwiej mi żyć z samą sobą i sekretem, który ukrywam? Złożyła mi propozycję. Obie udałyśmy, że była wynikiem tylko i wyłącznie jej dobrej woli: ja mam zapisać się na odwyk, a ona nie zgłosi tego incydentu do komisji licencyjnej. Zgodziłam się, a ona wywaliła mnie ze szpitala na zbity pysk.

Ukończyłam odwyk, przeprowadziłam się do nowego mieszkania, znalazłam nową pracę jako kasjerka. Pracowałam dużo w bezlitosnych godzinach. Zaczęłam biegać, chociaż czułam się jak chomik w kołowrotku, który nigdy nie wbiegnie na górę i nie dosięgnie iluzorycznego szczęścia.

Minęły dwa lata, od kiedy ostatnio sięgnęłam po moją małą czerwoną kosmetyczkę. Dwa długie lata udanej walki z licznymi pokusami.

Myślałam przy tym, że powinnam zwymiotować pigułkę, zanim rozpuści się w przegłodzonym żołądku i dostanie się do krwiobiegu. Zanim neurony zaszaleją. Powinnam zamknąć kosmetyczkę i wyrzucić ją do najbliższego śmietnika.

Spojrzałam na nią jak na pułapkę z przynętą. Jakby to ona miała na mnie zły wpływ. Wrzuciłam do środka buteleczki

z lekami i nakazałam sobie zwymiotować.

Nie zwymiotowałam. Chciałam odpłynąć. Włożyłam kosmetyczkę z powrotem do schowka. Oparłam się o zagłówek i zamknęłam oczy na sekundę czy dwie. Potem ruszyłam.

Dwa długie lata.

Wróciłam.

Pub sportowy U Casey niewiele się zmienił. Za dnia neon był wyłączony, ale w nocy pobłyskiwała na czerwono literka „Y”, która wyglądała jak język liżący poprzedzające ją litery. W środku wciąż stały te same zniszczone, lepkie drewniane stoły i irracjonalna liczba telewizorów z płaskim ekranem. Pora lunchu już się skończyła, ale nadal było dość tłoczno. Mężczyźni wyglądali na znudzonych, wlepiali wzrok w telefony albo kelnerki, które nosiły stroje zmałpowane od dziewczyn pracujących w sieciówce Hooters. Zielono-żółte, niestety za duże, więc kelnerki wyglądały w nich jak skrzaty, które chciałyby być seksowne, ale nie za bardzo im wychodzi.

Usiadłam przy stoliku, licząc na to, że nie spotkam nikogo znajomego. Obsłużyła mnie kelnerka o imieniu Brandy. Miała wylupiate oczy i zielone szorty eksponujące kościste biodra.

- Zostawić menu? Czekasz na kogoś? - zapytała raczej niechętnie. Porządne dziewczyny z Wayoaty nie piją same w barach. Pewnie wzięła mnie za puszczalską albo lesbijkę, przy czym puszczalstwo było w tej społeczności znacznie bardziej akceptowaną opcją. Dobrze, że nie zapięłam trzech górnych guzików koszuli od Neimana Marcusa, w którą się

przebrałam.

- Nie, dziękuję. Czy jest Zoey?

- Zaczyna o trzeciej, ale zawsze się spóźnia.

Zamówiłam sok pomidorowy, prawie idealny zastępnik posiłku. Miał kolor farby, którą oblała mnie Mimi.

- Okej, na wszelki wypadek zostawię menu. - Położyła na stole dwie zatłuszczone karty.

Przeżuwałam skapcaniałego selera i wyglądałam przez okno na parking. Próbowałam puszczać mimo uszu monotonnie pobrzękującą relację z meczu golfowego i dźwięki zlizywanego z palców sosu. Ciepło i ulga, które zaczęłam czuć dzięki tabletkie valium, zaczęło rozlewać się wzdłuż pleców na całe ciało niczym objęcia starego dobrego przyjaciela.

Po drugiej stronie było małe centrum handlowe z chińską restauracją, sklepem z ubraniami dla kobiet Encores i salonem piękności, na którego szybie wisiała kartka z napisem:

GRADULACJE<sup>[3]</sup>, TANNIS.

Wyjęłam telefon i wpisałam w wyszukiwarkę Google'a „Gent”. Potem „Gent + Wayoata” i „Gent + Lucas Haas”. Google znalazł tylko amerykańskiego aktora. Kiedy zjechałam niżej, zobaczyłam takie oto nagłówki:

NAUCZYCIEL LICEUM PODEJRZANY W SPRAWIE  
MORDERSTWA UCZENNICY

TRAGICZNY KONIEC ROMANSU Z UCZENNICĄ  
ZAGINIONA UCZENNICA ZNALEZIONA - JEST MARTWA,  
A JEJ NAUCZYCIEL ZNIKA

Nazwisko mojego brata zostało zestawione w artykułach ze słowami „podejrzany”, „zabójca”, „okrutny”, „morderca” i „zaginiony” oraz portretami rozpromienionej, nastoletniej Joanny Wilkes. Wiadomości wychodziły poza Wayoatę i Dakotę Północną. Znajdowałam informacje w gazetach i kanałach informacyjnych w Nebrasce, Minnesocie i Manitobie. Rozprzestrzeniały się jak wysypka – za każdym zadrapaniem było ich coraz więcej. Postanowiłam nie klikać w żaden z tych newsów.

Wpisałam „Gent + Dług”, po czym przypomniało mi się, że jeśli mieszkaniec Wayoaty chciał utrzymać coś w sekrecie, na przykład przeszczep włosów, operację zmniejszenia żołądka, aborcję i tym podobne, to jechał sto kilometrów na zachód, do St. Roche. Wyskoczyła strona GenTech w St. Roche. Centrum badań DNA i testów na ojcostwo.

O mój Boże! Dziewczyna Lucasa zaszła w ciążę! Jego rozwiązała dziewczyna! Z jakiego innego powodu mógłby robić taki test? Próbowałam ustalić, ile będzie musiał płacić alimentów, więc dziecko na pewno było jego. Ale Lucas nigdy by nie uciekł, gdyby wiedział, że zostanie ojcem.

Na pewno nie z premedytacją, nie z własnej woli.

Poczułam zastrzyk adrenaliny i kwaśny smak w ustach, jakby na moim języku zsiadło się mleko.

Wyobraziłam sobie, jak w środku nocy banda zbirów wyciąga Lucasa z łóżka, a dłonie mają poharatane, bo wcześniej zdemolowali jego samochód. Zaciągają go do parku Dicksona, żeby wymierzyć starotestamentową sprawiedliwość w agresywnym świetle latarki. Moje serce

przyśpiesza, ale po chwili równie szybko uspokaja się i mięknie pod wpływem valium. I nakazuję sobie spokój. Niepotrzebnie histeryzuję, przecież Lucas dzwonił w piątek. Może wyjechał, bo przestraszył się, że jego dziewczyna zaszła w ciążę?

Nigdy nie poznaliśmy naszego ojca. Mimi po pijaku dawkowała nam informacje na jego temat, ale niedorzeczne szczegóły nigdy nie składały się w sensowną całość. Pewnie chodziło jej tylko o to, żeby zdobyć uwagę Lucasa. Złożenie skrawków opisów w całość zaowocowało osobliwą karykaturą złożoną ze wszystkich jej byłych chłopaków. Aż wreszcie przestałam jej słuchać i próbować odtworzyć w głowie jego obraz. Pewnie sama nie miała pojęcia, kim był nasz ojciec. Jedyne, co zawsze przewijało się przez historie Mimi, to jej wiek. Była wtedy bardzo młoda (nie miała nawet dwudziestu lat), a on był o wiele starszy, miał żonę i wyprowadził się z miasta, zanim się urodziliśmy.

Przez pewien czas Lucas obsesyjnie próbował go znaleźć. Myślał, że skoro Mimi cały czas kłamała w sprawie ojca, być może nieprawdą jest to, że się przeniósł. Lucas był podobny do matki, ale ja miałam wiele cech obcych, które mogłam odziedziczyć po ojcu, w tym ciemne włosy, śródziemnomorską karnację i wąski nos.

Lucas szukał go w przypadkowych mężczyznach: Może to ten miły przechodzień, który pomógł mu założyć łańcuch od roweru? Albo trener wuefu z lat szkolnych? Kiedy się na kogoś wziął, chodził za nim w kółko, dopóki nie tracili cierpliwości i nie pytali, po co ich śledzi. Wtedy Lucas coś

zmyślał, bo prawdziwy ojciec by się domyślił, w czym rzecz.

Któregoś dnia zarzucił poszukiwania ojca, poprzysiągł natomiast, że nigdy nie opuści swoich dzieci.

- Nawet nie chcę znać kogoś, kto byłby do tego zdolny - skwitował.

Ale kiedy dorastamy, często zapominamy o postanowieniach z dzieciństwa. Wyobraziłam sobie, jak Lucas wymyka się tylnymi drzwiami. Próbuje sztuczki „wyjdę po papierosy”, po czym daje w długą i znika z miasta zbyt spanikowany, żeby myśleć o tym, że policja go poszukuje.

Ale to niemożliwe. To się nie mogło wydarzyć. Lucas na pewno chciałby brać udział w wychowywaniu swojego dziecka. Wiem, że historia lubi się powtarzać, ale na pewno nie w naszym przypadku. Zbyt dobrze pamiętaliśmy z Lucasem, przez co sami przechodziliśmy. Nasza matka nie zniszczyła nas do reszty. Nie daliśmy się. Bliźniaki Haas, mimo nędznego dzieciństwa, wyrosły na całkiem przyzwoitych dorosłych. I mówię to z całkowitą, chociaż nieco wzmocnioną valium pewnością.

Poza tym po co obliczałby, czy stać go na alimenty, gdyby chciał dać nogę? Może to wszystko nabierze sensu, kiedy poznam jego byłą uczennicę i dziewczynę.

Zamówiłam kolejny sok i zanurzyłam się w poczuciu spokoju, które przyniosło valium. Chmury za oknem powoli zasłaniały całe niebo, aż w końcu zaczęło kropić.

O w pół do czwartej na parking wjechał rozklekotany fioletowy hatchback z różowym wieńcem kwiatów zwisającym z przedniego lusterka. Wysiadła z niego

ciemnowłosa dziewczyna i przebiegła przez parking. Wyglądała na złą i zmęczoną. Druga kelnerka objechała ją za spóźnienie, a potem pokazała na mnie palcem. Zoey przytaknęła i poszła na zaplecze, żeby się przebrać. Po piętnastu minutach wyszła na salę w krótkiej bluzce odsłaniającej opalony brzuch. Podtapirowała kruczoczarne włosy i ułożyła je tak, że opadały na ramiona jak jedwabny szal.

- Mia? - Usiadła naprzeciwko mnie. - Wiedziałam, że to ty. Wow, wyglądasz dokładnie tak jak on. To znaczy macie taki sam kształt twarzy. Prawdę mówiąc, trochę mnie to przeraża. - Wskazała na rękę, żeby zademonstrować gęsią skórkę.

- Dzięki. Nie widzę tego podobieństwa, chociaż wiele osób nam to mówi, szczególnie kiedy się dowiedzą, że jesteśmy bliźniakami.

Zoey przytaknęła i zacisnęła pełne, pomalowane błyszczkiem usta. W ciasnym uniformie wyglądała świetnie. Od razu zrozumiałam, dlaczego spodobała się Lucasowi. Miała zaokrąglone piersi i jędrne ciało, mówiąc w skrócie, ciało uczennicy. Dziewczyny, która ma czas grać w siatkówkę i koszykówkę, biegać po bieżni i łąkach oraz uczęszczać na zajęcia z cheerleadingu.

Nie wyglądało to najlepiej dla Lucasa.

- Martwiłam się, że znowu przyszła ta suka z *Wayoata Sun*.

- Cieszę się, że mogę cię poznać - powiedziałam, chociaż myślałam tylko o dziecku rosnącym w jej brzuchu.

- Prawda? Ja też! Nareszcie! Lucas cały czas o tobie

opowiadał. - Zaczęła bawić się włosami.

- O tobie też - skłamałam. - Nie wiesz może, gdzie go szukać?

- Nie mam pojęcia. Pytałam o niego. Myślałam, że może zatrzymał się u Sorensonów, ale Bo... znasz Bo, prawda?

Przytaknęłam. Sorensonowie byli o kilka lat starsi ode mnie. Mieli tak samo złą reputację jak hokeiści specjalizujący się w bójkach na lodzie. Można ich porównać z leśnymi stworami, które uwielbiają gonić słabszych, zapędzać w kozi róg i tak wystraszyć czy potarmosić, aż pomdleją. Co drugie słowo mówili „kurwa”, a ich najukochańszą rozrywką było zmuszanie słabszych do robienia głupich i niebezpiecznych rzeczy. Byli też znani z tego, że wrzucali do niepilnowanych kufla sztuczne szczęki, po czym skręcali się ze śmiechu, kiedy spragniony piwosz poczuł na ustach muśnięcie zębów i zszokowany opluwał siebie i wszystko wokół.

- Bo zaprosił mnie do siebie, by mi udowodnić, że Lucas się tam nie ukrywa.

Byłam pewna, że Bo liczył na coś więcej. Czy ta dziewczyna wierzyła we wszystko, co się jej powie?

- W każdym razie Sorensonowie mają oko na okolicę i kiedy tylko dowiedzą się, że Lucas jest w pobliżu, zadzwonią do mnie - zaświergotała rezolutnie, jakby Sorensonowie byli profesjonalnymi detektywami.

- Czyli nie masz pojęcia, gdzie on jest?

- Chciałabym. Bardzo się o niego martwię. To straszne, co ludzie o nim mówią. Myślę, że Lucas po prostu wyjechał i czeka, aż to wszystko trochę się uspokoi.



- Cieszę się, że tak myślisz. I zgadzam się w stu procentach  
- powiedziałam zgodnie z prawdą. Miałam ochotę ją wyściskać. Przytulić, uczynić moją współpracowniczką i razem zacząć planować, jak ściągnąć tu z powrotem Lucasa. Moje obolałe spięte mięśnie po raz pierwszy, od kiedy tu przyjechałam, rozluźniły się. Zrobiłam się sflaczała jak gumowa lalka. Jakbym właśnie przebiegła maraton.

- Jestem pewna, że on tego nie zrobił. Obiecał, że nigdy mnie nie zdradzi.

Chryste! Musiała wszystko popsuć! Prawie jęknęłam z rozżalenia. Chciałam, by powiedziała, że mój brat nie mógł tego zrobić, bo dobrze go zna i wie, że taki nie jest. A ona wyskoczyła z jakąś bajką, że nigdy by jej nie zdradził.

- Kiedy rozmawiałas z nim po raz ostatni?

- Nie rozmawialiśmy, od kiedy mnie rzucił. Przez SMS-a.

Słowa „przez SMS-a” wypluła jak szykujący się do ataku ninja, który czeka na ostateczną konfrontację. Spojrzałam na nią ze współczuciem.

- Tak czy inaczej policja powiedziała, że byłam ostatnią osobą, z którą się kontaktował. SMS-a dostałam w piątek po południu. Teraz próbują odtworzyć przebieg zdarzeń czy jak tam to nazywają. - Westchnęła.

- Co dokładnie ci napisał? - zapytałam, myśląc przy tym, jakie to dziwne. Lucas najpierw przez pomyłkę do mnie zadzwonił, a po południu rzucił swoją dziewczynę?

- Coś w stylu „to koniec”. Zresztą nieważne. Po tym, jak policja przeczytała wiadomość, skasowałam ją. Myślę, że działał w dużym napięciu, jakby to nie był on. Na pewno

chciał mnie ochronić. Wiedziałam, co ludzie gadają, bo byłam jego uczennicą, ale na drugim roku miałam mononukleozę. Fatalna sprawa. Na zajęcia Lucasa chodziłam tylko przez miesiąc. Teraz mam dwadzieścia jeden lat. - Po jej policzkach zaczęły spływać łzy. Wyjęła chusteczkę i próbowała wytrzeć rozplływający się tusz do rzęs, ale po chwili poddała się i tylko międlila ją w dłoni. - Cholera, to było okropne. Policjanci nie dawali mi spokoju, wypytywali, jak nasz związek się zaczął, próbowali mi wmówić, że polował na mnie od pierwszego roku szkoły. Naprawdę powiedzieli, że na mnie polował. Serio? Polował i polował, a zasadził się na mnie dopiero po pięciu latach? To nie ma najmniejszego sensu...

- Ile czasu byliście razem?

- Cztery i pół miesiąca - mruknęła urażona, że tego nie wiem. Przeczesała palcami włosy i kontynuowała: - Było nam razem tak dobrze. Czułam, że Lucas jest moją drugą połówką. Wiem, że ludzie często tak mówią, ale z nim wszystko było inaczej. Mogliśmy rozmawiać godzinami. Popatrz... - Wyjęła iPhone'a i pokazała mi ich wspólne zdjęcie z obchodów Dnia Świętego Patryka. Zostało zrobione w pubie U Casey. Byli przytuleni, Zoey miała na policzkach namalowaną czterolistną koniczynę, przed nimi stały dwa kufle zielonego piwa. Lucas wyglądał na szczęśliwego.

Zoey opowiedziała mi o wszystkim. Poznali się (po raz drugi), kiedy zaczęła pracować w barze.

- Lucas często tu przychodził, by oglądać mecze hokeja i na skrzydełka. Są naprawdę niezłe. Lucas nie był taki

obleśny i zboczony jak inni, na przykład jego kolega, ten trener.

- Wyatt? - zapytałam.

- Tak. Koleś cały czas tu przesiaduje. Chyba nie lubi siedzieć w domu. W każdym razie...

- Podrywa cię?

- Żebyś wiedziała. Do tego jest strasznie obraźliwy. Oczywiście nigdy na nic się nie odważył, kiedy obok był Lucas, ale kiedy jest sam albo ze swoimi kumplami, zachowuje się, jakby między nami coś było. Puszczą mi oczka, opowiada sprośne dowcipy i łapie za pupę. Kiedyś siłą posadził mnie sobie na kolanach. Strasznie się wtedy wściekłam. Przez większość czasu jest okropnie namolny. Ale zostawia wysokie napiwki.

Typowy Wyatt. Wszystko, czego tknie Lucas, w jego oczach zamienia się w złoto. Pozostaje pytanie, czy kiedy usłyszał plotki o Lucasie i Joannie, postanowił spróbować tego samego? Może dlatego stał się taki nerwowy i próbował odciąć się od Lucasa, kiedy rozmawialiśmy? Może się martwił, że coś, co powiedział albo zrobił Joannie, obróci się przeciwko niemu?

- Tak czy siak... - powiedziała Zoey bardziej pewnym już tonem. Bardzo chciała rozmawiać o Lucasie, o ich, nazwijmy to, związku. - To ja musiałam się wprosić do Lucasa. Sama wiesz, jak rzadko dzieją się tu takie historie. Niemal musiałam go błagać, żeby wziął mnie do swojego mieszkania. A rano pomyślałam, że wszystkie dziewczyny z Westfield marzą o romansie z panem Haasem, ale to mnie się udało. To

ja obudziłam się w jego łóżku.

Milczałam, licząc na to, że powie mi coś o dziecku, ale nie przestawała paplać o Lucasie, więc w końcu spytałam:

- Kiedy Joanna Wilkes zaginęła, byłaś z moim bratem? Rozmawiałaś z nim tego dnia?

Wiedziałam, że policja na pewno już ją o to pytała, ale chciałam usłyszeć to od niej.

- Nie. Chciałabym, ale pracowałam tutaj aż do zamknięcia, do drugiej w nocy. - Zoey nachyliła się bliżej i wyszeptała: - Powiedziałam mu nawet, że mogłabym dla niego skłamać i powiedzieć, że byliśmy razem, ale nie chciał mnie w to mieszać. Ludzie tak szybko się tutaj od siebie odwracają. Zdemolowali mu samochód, wybili szyby i napisali sprejem na boku „zbocheniec”. Ale ja go wspierałam, dlatego ten SMS tak mnie zdziwił.

- To niepodobne do Lucasa, żeby zrywać z kimś przez telefon - powiedziałam, chociaż nie miałam pojęcia, jak mógł postąpić w takiej sytuacji. Nie sądziłam, żeby to zrobił, ale może rzeczywiście chciał uniknąć konfrontacji, mając na głowie wszystko inne? Może nie potrafił poradzić sobie z zakochaną na zabój byłą uczennicą.

- Prawda? Wiem, że Lucas nigdy nikogo by nie skrzywdził, chociaż prawda jest też taka, że kiedy ta dziewczyna zaginęła, nie odpisywał mi na SMS-y przez jakieś trzy godziny. Powiedział, że poszedł spać. Nie mówiłam o tym policji. O tym, że pisałam do niego, a on nie odpowiedział. Chociaż pewnie i tak wiedzą.

Domyślałam się, jakie wnioski mogła wyciągnąć policja po

rozmowie z Zoey, która nie wyglądała nawet na osiemnaście lat. Słuchając jej, człowiek się dziwił, że można być aż tak strasznie naiwnym. Jakby Lucas – podstępny mistrz manipulacji – zrobił jej pranie mózgu i zaplanował, że ją uwiedzie, kiedy jeszcze była jego uczennicą. Trzeba kuć żelazo, póki jest młode i podatne na wpływy.

Przez ostatnie piętnaście minut inne kelnerki rzucały Zoey wredne spojrzenia, aż wreszcie któraś z nich musiała na nią donieść, bo z zaplecza wyszła starsza kobieta z przypinką „Menadżer” na cekinowej bluzce. Ruszyła prosto do naszego stolika.

- Cholera, muszę iść – mruknęła Zoey.

- Ale wszystko w porządku, prawda? – rzuciłam, łapiąc ją na odchodnym za rękę. Chciałam, by wyjawiała, czy naprawdę jest w ciąży. Chciałam upewnić się, że to właśnie ona, dziewczyna, która siedziała przede mną, nosiła w sobie dziecko mojego brata. To musiała być ona.

- Będzie, kiedy Lucas wróci i porozmawiamy. Tak szczerze, od serca – skwitowała ze spuszczoną głową.

- Mam na myśli to, czy z dzieckiem wszystko w porządku?  
- wyszeptałam niemal niesłyszalnie, bo nagle uświadomiłam sobie, że może popełniam gafę. A jeśli Zoey poroniła w wyniku stresu? Albo zdecydowała się na aborcję? Przez chwilę poczułam nawet ekscytację na myśl o tym, że mogę zostać ciocią. Wyobraziłam sobie dziewczynkę, która wygląda jak Lucas albo nawet jak ja, z którą idę na zakupy czy do kina. Albo jak rozmawiamy przy herbatce o tym, o czym wstydzę się porozmawiać z mamą. I robimy wszystkie

inne rzeczy, które robią ciocie i bratanice.

- Dziecko? Jakie dziecko? - powiedziała głośno i agresywnie, wyrywając mi dłoń. Menadżerka zawróciła i poszła z powrotem w stronę kuchni.

- Myślałam, że... - zaczęłam, ale nie wiedziałam, jak się z tego wycofać, więc zapytałam po prostu, czy nie jest w ciąży.

- Nie, nie jestem - powiedziała. Jej nozdrza rozszerzyły się i zmrużyła oczy. Tak energicznie poprawiła biust, że prawie wypadł ze staniczka, i dorzuciła: - A więc Lucas zrobił dzieciaka jakiejś innej dziewczynie?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Miałam pustkę w głowie.

- Świetnie, po prostu, kurwa, świetnie! Jednak mnie zdradził! Ciekawe z kim? Pewnie z tą Joanną? A może jeszcze z kimś innym? Wiedziałam, że tak będzie. Poświęciłam cztery miesiące swojego życia temu zbrojeńcowi, a on zapłodnił jakąś dziwkę i rzucił mnie przez SMS-a? Dupek!

Chciałam ją jakoś uspokoić, ale miałam problemy z refleksem - przekłute valium! - i zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Zoey z płaczem wybiegła do toalety.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wzdłuż miasta, około piętnastu minut drogi z centrum w stronę południa, rozciągał się dziki park Dicksona. Było już po szesnastej i chociaż czułam się potwornie zmęczona, coś ciągnęło mnie w te zarośla. W tym lesie zawsze czułam się, jakby ktoś mnie obserwował.

Park został nazwany na cześć Jamesa Davida Dicksona, założyciela Wayoaty, który wyczyścił ją z rdzennych Indian, gdy dowiedział się, że „wayoata” oznacza „obfitość”. Czy jakoś tak. Na kamiennym filarze nieopodal publicznej toalety umieszczono tablicę informacyjną opisującą przebieg rozstrzygającej bitwy, którą stoczono nad rzeką, gdzie Dicksonowi udało się odeprzeć niespodziewany atak. Niejeden raz słyszałam opowieści o tym, że park jest nawiedzony. Podobno znajduje się tam nieoznakowane święte miejsce pochówku, i to, że zostało zbezczeszczone przez białych ludzi, jest powodem wszystkich niewyjaśnionych historii, które wydarzyły się w parku. A było ich wiele, od zaginionych wycieczkowiczów, którzy świetnie znali okolice, przez utonięcie dziewczyny, która panicznie bała się wody, aż po mężczyznę, który w 1988 roku zwariował i korkociągiem zamordował tu swoją żonę i małe dziecko. Znalezione go, jak skąpany w krwi dziecka i żony opierał się o drzewo, nucił *I Think We're Alone Now* Tiffany i pociągał wino z butelki. A przynajmniej tak głosi legenda.

Były też historie o gwałcicielu Chappym, który podobno został oblany rozgrzanym olejem, gdy siedział w więzieniu, i na całej twarzy miał blizny. Kiedy byłam mała, sprzedawał szczotki na ulicy, a przynajmniej latem, bo nikt nie wiedział, co porabia zimą. Chappy wyglądał jak bezdomny z czasów Wielkiego Kryzysu - od marynarki w kratę po kwiatuszek wystający z butonierki. Każdemu, kto mijał go na ulicy, blokował drogę, wyszczerzał w uśmiechu popsute zęby, zionąc alkoholem, i próbował wcisnąć mu szczotkę, a kiedy dzieci uciekały przed nim w popłochu, przybierał minę smutnego klauna. Pewnego lata, kiedy byłam w połowie liceum, Chappy zniknął.

Wszyscy mówili, że zamieszkał w parku Dicksona i został zboczeńcem. Czaił się w krzakach i patrzył na dzieci jedzące topniejące lody na patyku albo szaleńczo się masturbował, podglądając pływające nago w rzece nastolatki.

Przez większość czasu, a szczególnie kiedy robiło się ciepło, park Dicksona odwiedzała młodzież, by się upić i ewentualnie uprawiać seks.

Kiedy wjechałam na polną drogę prowadzącą na parking, pomyślałam, że ktoś powinien wystawić tu znak z napisem:

**UWAGA! ZAWRÓĆ NATYCHMIAST! TO TWOJA OSTATNIA SZANSA!**

I o dziwo zobaczyłam coś w tym stylu. Na białym tle czerwoną farbą napisano:

**PARK DICKSONA CZYNNY DO 21:00. PO 21:00 OBOWIĄZUJE GODZINA POLICYJNA DLA NIELETNICH**

A pod spodem ktoś dopisał markerem:



## PILNUJCIE SWOICH CÓREK!

Kiedy parkowałam, rozpogodziło się. Pokryta kroplami deszczu zieleń odbijała promienie słońca. Zastanawiałam się, ile czasu zajmie mi odszukanie miejsca, w którym znaleziono ciało Joanny Wilkes, ale kiedy spojrzałam na mapę, dostrzegłam serce namalowane markerem przy jednym ze szlaków niedaleko rzeki. Moje mięśnie napięły się z nerwów.

Spojrzałam przez pole w stronę lasu i dostrzegłam prowizoryczną tablicę pamiątkową utworzoną pod jednym z daszków piknikowych. Były tam dziesiątki maskotek, liściki z napisem TĘSKNIMY, róże zapakowane przez kwiaciarnie i mnóstwo świec, oczywiście niepozapalanych, żeby nie denerwować strażników. Z daleka wyglądało to jak opuszczone przyjęcie walentynkowe w miejscu ukrytym przed deszczem. Ale mieszkańcy Wayoaty byli bardzo oszczędni i na pewno niedługo podejmą dyskusję, co z tym wszystkim zrobić, bo przecież „szkoda wyrzucać”.

Nad nekrologiem Joanny Wilkes fruwał fioletowy balon z helem z odpadającą metką ze sklepu Wszystko Po 2 Złote. Ktoś zadał sobie trud, żeby zafoliować nekrolog i przytwierdzić do jednego z filarów daszku:

*Joanna Wilkes na zawsze pozostanie w pamięci rodziców, Kathy i Iana Wilkesów, jej starszego brata Bena i młodszej siostry Madison. Podczas jakże krótkiego życia Joanna, dla przyjaciół Jo, zdołała osiągnąć wiele. Chwalona uczennica Westfield High School i utalentowana tancerka niosła nadzieję i radość wszystkim, którzy podziwiali ją w tańcu. Była idolką czternastoletniej siostry, uwielbiała oglądać*

*mecze futbolu, które rozgrywał jej brat. Była niezwykle ciekawa świata, po ukończeniu szkoły planowała przeprowadzić się do Nowego Jorku, gdzie chciała rozwijać się jako tancerka.*

- Zostawiasz coś dla Jo?

Podniosłam wzrok na ławce i zobaczyłam dwóch nastoletnich chłopaków i puciołowatą dziewczynę. Palili jointa na spółkę. Na środku stołu postawili zapakowaną w papierową torebkę puszkę piwa słodowego colt 45. Najważniejszy gość imprezy. Dziewczyna już się upiła, i to na smutno. Miała na sobie obcięte ciasne džinsy i prostą koszulkę, spod której wyglądała znoszona koronka różowego biustonosza. Wyobraziłam ją sobie za dziesięć lat, jak z trójką dzieci w dorobku wspomina złote czasy, kiedy to potrafiła skupić na sobie uwagę dwóch chłopaków naraz.

- Przyniosłaś coś dla Jo? - zapytała znowu.

Przytaknęłam, a kiedy podeszłam do stolika, chłopak w czapce bejsbolówce i tank topie zapytał:

- Chcesz? - i wyciągnął w moją stronę jointa.

Dziewczyna ścisnęła go za ramię i syknęła, że mogę być z policji, a on zareagował obrzydliwym śmiechem typowym dla ludzi, którzy całymi dniami palą trawkę.

- Nie, dzięki. I nie jestem z policji.

Uwierzył mi.

- Ja zostawiłam jej białego misia - zaczęła opowiadać dziewczyna. - Takiego białego w fartuszkach w kratę, z czapką kucharza, bo Jo była w samorządzie szkolnym i często organizowała kiermasze z wypiekami. A teraz muszę się

porządnie zbetonić, żeby tam podejść i go zabrać. - Wyciągnęła dłoń po jointa.

- Czemu musisz go zabrać?

- Nie słyszałaś najświeższych wieści? O tym, że Josh Kolton był na policji i w ogóle...

Zaczęłam zgrzytać zębami z nerwów. Proszę, niech to będzie coś prawdopodobnego, niech się okaże, że to jakiś skazaniec, który niedawno wyszedł z więzienia i wrócił do miasta, albo jakiś pastor, o którym od dawna krążyły złe plotki, albo ten dziwak Chappy. Ktokolwiek, kto mógłby oczyścić z zarzutów Lucasa.

Dziewczyna usiadła.

- Był tutaj tej nocy, kiedy Jo zaginęła. Mówi, że widział ją, jak wchodziła do lasu z kucharką. Nikt mu nie wierzy, ale co mi strzeliło do głowy, żeby dać jej misia w czapce kucharskiej?!

- Pojebane. - Chłopak w białym tank topie wyszczerzył się od ucha do ucha.

- Masz na myśli panią Davies? - zdziwiłam się. Była kucharką w czasach, kiedy chodziłam do Westfield. Zawsze lała mi więcej sosu na frytki i dawała darmowy majonez, bo „nie sprawiałam kłopotów i sprzątałam po sobie”. Wtedy wydawało mi się to urocze. Teraz już wiedziałam. Prosta sprawa: przez cały ten czas chciała mnie zabić.

Dziewczyna spojrzała na mnie zdeorientowana.

No tak. Pani Davies już wtedy była stara jak świat i z pewnością jest już na emeryturze.

- Nie, pani Babiak - wtrącił się drugi chłopak. - Ale jest

taka gruba, że nie dałaby rady tu doczłapać. Josh Kolton to idiota, próbuje tylko zwrócić na siebie uwagę.

- Mówisz tak, jakbyś sam nigdy tego nie robił - zachnął się ten w tank topie. - Poza tym wierzę Joshowi, naprawdę mu wierzę. Bo niby skąd kucharka miałaby brać mięso na kotlety? - zaczął z powagą, ale na końcu roześmiał się głośno.

- Faj, to obrzydliwe! - Dziewczyna szturchnęła go w ramię.

Tłusta kucharka i nielegalny ubój to nie był trop, który mógłby mi pomóc w sprawie, więc zmieniłam temat:

- Dobrze znaliście Joannę?

- Nie byłyśmy przyjaciółkami, ale znam ją od drugiej klasy. Była niezłą snobką... Ale nie powinno się źle mówić o zmarłych - powiedziała dziewczyna, chociaż pytanie skierowałam do wszystkich.

- Mówisz tak tylko dlatego, bo nie pozwalała ci ściągać na matmie. - Tank Top szturchnął ją w bok.

Ten dzieciak zaczynał mi już działać na nerwy.

- Jasne - mruknęła.

- Była całkiem spoko. Robiliśmy kiedyś razem projekt na historię - między jednym a drugim łykiem piwa powiedział drugi chłopak.

- Pewnie, tyle że ty myślałeś tylko o tym, żeby ją przelecieć. Myślałeś o tym pewnie nawet wtedy, kiedy ją znalazłeś - rzucił Tank Top.

- Zamknij się, stary. - Piwosz szturchnął Tank Topa w klatkę piersiową tak mocno, że tamten zaczął się krztusić i upuścił jointa na ziemię.

- Pierdol się, Liam! Prawie się na nią zeszczesałeś – krzyknął Tank Top ze łzami w oczach i odszedł.

Dziewczyna poszła za nim.

- To ty znalazłeś jej ciało? – zapytałam, dosiadając się.

Liam przytaknął, założył sięgające policzków przetłuszczone włosy za uszy, podniósł jointa, zaciągnął się głęboko, po czym wyrzucił go na trawę.

- Tak. Nie mogę przestać o tym myśleć. Uczniowie starszych klas zostali wypuszczeni wcześniej, żeby pomóc w poszukiwaniach. Wiele osób po prostu cieszyło się, że nie muszą siedzieć w szkole, ale ja naprawdę szukałem, wiesz? – odparł, patrząc na mnie przekrwionymi oczami, a na koniec pogłaskał się kciukiem po rzadkich wąsach.

Próbowałam nakłonić go, żeby powiedział coś więcej, i nie zajęło mi to wiele czasu. Liam chciał o tym rozmawiać, inaczej nie siedziałby tutaj, czekając na kolejnych ludzi, którzy będą mieli ochotę go wysłuchać. Ani razu nie zapytał, kim byłam.

- Tamtego ranka było bardzo gorąco i po kilku godzinach poszukiwań chłopak, z którym byłem w parze, powiedział, że zaraz dostanie zawału i musi odpocząć. Ciota. A ja ruszyłem dalej, aż doszedłem nad rzekę. I tak, chciało mi się sikać, bo wypilem tego dnia ze cztery butelki wody.

Próbowałam udawać, że jestem pod wrażeniem, ale nie przerywałam mu. Niech powie jak najwięcej.

- Byłem nad rzeką, stanąłem za drzewem. Rozpiąłem rozporek i kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem coś przy drzewie wplątane w liście. Nie od razu zrozumiałem, co to

jest. W pierwszej chwili myślałem, że to martwe zwierzę czy coś takiego, ale kiedy to kopnąłem, od razu wiedziałem, że to nie zwierzę. Podniosłem liście i zobaczyłem, że trzymam w dłoni ludzkie włosy. To było chore. Byłem przerażony, ale wiedziałem, że muszę szukać dalej. Ślady włosów prowadziły w stronę rzeki. Jo można było znaleźć tylko wtedy, jeśli naprawdę się jej szukało, a nie czekało, aż sama się pokaże. Była wpleciona w krajobraz, liście, wysokie trawy i całe to badziewie. I potwornie śmierdziało. Pewnie pomyślałbym o tym prędzej czy później, ale prawie od razu dostrzegłem ciało. Było schowane pod kamieniami i gałęziami. – Sięgnął do plecaka po kolejne piwo i podrapał się po karku. – Jej twarz... – zaczął, po czym beknął. Potrząsnął głową i kontynuował: – Jej twarz była napęczniała. Miała otwarte usta. Zobaczyłem więcej włosów, były porozrzucane wzdłuż brzegu rzeki. Śniły mi się te jej włosy. Obudziłem się przerażony, że mam je wszędzie, w ustach, że łaskoczą mnie po nosie... – Wzdrygnął się.

To brzmiało okropnie, zaczęło przewracać mi się w żołądku. Wbiłam kciuk w kluczyki od samochodu, żeby powstrzymać zawroty głowy. Nikt nie zasłużył na to, by ktoś go wyrzucił w lesie i ostrzygł, nikt nie zasłużył na to, by na bezludziu pozostał samotny i martwy. Jakimś cudem udało mi się wtrącić słowa „niewyobrażalne” czy „potworność”, ale słyszałam swój głos z oddali, jak przez szybę. Mówiłam przez ściśnięte z przerażenia gardło.

Liam przepłukał usta piwem.

– Znalazłem ją i wiesz, co policja dała mi w zamian?

Ochrzan, że wtargnąłem na miejsce zbrodni! Dasz wiarę? Idioci. A myślałem, że dostanę jakąś nagrodę. To jest koszmar. Joanna należała do tych, co to wszędzie mają przyjaciół. Nie trzymała z żadną kliką, była ponad to, ale nikt nie robił jej z tego powodu problemów. Wszyscy wiedzieli, że zapuszczała włosy, żeby przekazać je na peruki dla chorych na raka dzieci. Skąd mogliśmy wiedzieć, że Haas okaże się chorym pojebem? Myślisz, że zostawił sobie jej włosy na pamiątkę? - Przyssał się do puszki z piwem tak mocno, że zaczęła wgniatać się od środka.

- Nie wiem - mruknęłam przez zaciśnięte zęby. Nie mogłam tego dalej słuchać. Nie byłam w stanie. Mój brat nie był chorym pojebem! Nie chciał żadnej zboczonej pamiątki.

Wtedy zrobiłam to, co robi każdy mieszkaniec Wayoaty, kiedy musi stawić czoło negatywnym emocjom: zdystansowałam się. Spojrzałam w stronę ścieżki, przy której zamordowano Joannę, i spytałam:

- Możesz mi powiedzieć, gdzie dokładnie to się stało?

- Jesteś jedną z tych, co? - Po raz pierwszy od kiedy zaczęliśmy rozmawiać, spojrzał mi prosto w oczy. - Lubisz takie obrzydliwe historie, co? Jeden koleś przyjechał tu aż z Aberdeen, jakby to była jakaś atrakcja turystyczna. Wariat. - Dłonią, w której trzymał puszkę z piwem, wskazał kierunek. - Idź tą ścieżką. Będiesz wiedziała, jak dotrzesz do celu.

Znów pociągnął piwa, przyglądając mi się pożądliwie. Przez chwilę nie spuszczał mnie z oczu, aż zaczynało mnie to przerażać. W końcu rzucił:

- Jesteś ładna. Na pewno nie chcesz trochę? To

pierwszorzędny zielony kush - zaproponował ochoczo, jakby myślał, że kiedy wyjmie z kieszeni kolejnego jointa i pomacha mi nim przed oczami, będę jego.

- Muszę iść. - Chciałam przed zmrokiem zobaczyć miejsce, gdzie mój brat zamordował swoją uczennicę. Powoli zaczynały się schodzić dzieciaki z sześciopakami piwa i kocami. Pewnie jeszcze nigdy park nie był równie popularny. Dwóch chłopaków, łapiąc się za krocze, ku wielkiej ucieście dziewcząt skandowało:

- Park Ku-ta-so-na!

Znałam tę śpiewkę jeszcze z liceum.

Przez kilka kolejnych godzin będą ścigać się w picciu, a także kto zajdzie głębiej w las. Ale mogłam się założyć, że o dwudziestej pierwszej nikogo już tu nie będzie.

Czekał mnie półgodzinny spacer wąską ścieżką z wijącymi się pod nogami korzeniami. Próbowałam wyobrazić sobie, jak idzie tędy Lucas w roli mordercy. Joanna przed nim, bo na ścieżce mieściła się tylko jedna osoba, a poza tym tak wypadalo. Jest pewna, że idą dróżką dla zakochanych, zupełnie nieświadoma tego, że Lucas zaraz rozłupie jej czaszkę i udusi. Zaczęłam wyobrażać sobie też potencjalne motywy zbrodni. Na przykład poczuł, że Joanna chce z nim zerwać, a skoro już nie może jej mieć, to zasługuje tylko na śmierć. Albo groziła, że jeśli ją zostawi, rozpowie wszystkim, a on straci pracę. Albo ona jest w ciąży, a on nie chce dziecka. A może po prostu chciał sprawdzić, jak to jest, kiedy się kogoś zabija?

Joanna ogląda się przez ramię i patrzy na Lucasa



z błyskiem w oku. We włosy ma wpięty wiosenny kwiat. Jej piękne rude loki pobłyskują w świetle słońca, a Lucas uśmiecha się do niej szeroko, zarazem wbijając opuszki palców w nożyczki, które trzyma w kieszeni. Uśmiech znika z jego twarzy, kiedy tylko Joanna się odwróciła. A może właśnie nie? Może przez całą drogę podstępnie uśmiechał się do siebie?

Nie mogłam w to uwierzyć. Nawet gdyby uprawiał seks z Joanną, a ona groziłaby mu, że powie innym, po co miałyby obcinać jej włosy? Żeby chore na raka dziecko nigdy ich nie dostało? Taki rodzaj okrucieństwa po prostu mi do Lucasa nie pasował. Był kolejnym dowodem, że tego nie zrobił. Szybko jednak zdałam sobie sprawę, jak idiotycznych argumentów się czepiam, żeby go bronić: to nie może być on, przecież nie odebrałyby dziecku z rakiem szansy na posiadanie peruki.

Taśma policyjna zwisała luźno z drzew niedaleko szlaku. Weszłam na wąską, rzadko uczęszczaną ścieżkę. Komary szalały, mocno pacnęłam się w szyję. Las był tutaj gęstszy niż w innych częściach parku. Światło płatało figle. Było prawie ciemno, ale miejscami błyszczące promienie słońca wlewały się na dół między gałęziami, które sprawiały wrażenie, jakby nigdy nie przestawały kołysać się na wietrze. Dobre miejsce, żeby kogoś zabić z dala od ludzkich oczu. Przez gąszcz prześwitywała rzeka, woda połyskiwała jak świeżo naostrzony nóż. To tutaj umarła. Tutaj mój brat zamordował nastolatkę, po czym wyrzucił jej ciało do rzeki. Coś we mnie umarło. Moje serce zakołatało i dostałam gęsiej skórki. Przez

moment martwiłam się, że zemdleję i ktoś znajdzie mnie nieprzytomną w tych zaroślach. Zaczęliby gadać, że siostra bliźniaczka Haasa też zwariowała i ucięła sobie drzemkę na miejscu zbrodni. To by dopiero było!

Ruszyłam nad zarośnięty brzeg rzeki. Działając w afekcie, pewnie nietrudno było zaciągnąć ciało do wody. Rzeka wciąż jeszcze była głęboka i dzika po wiosennych roztopach. W maju można już było śmiało do niej wchodzić, a latem swobodnie pływać. Morderca nie musiałby się martwić, że silny prąd porwie ciało. Mógł bez pośpiechu przykryć je patykami i kamieniami, czekając, aż wtopi się w krajobraz.

Nachyliłam się i przejechałam dłonią po kamienistym wybrzeżu w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, którą policjanci musieli przegapić. Jakiej dokładnie? Nie miałam pojęcia. Najlepiej by było, gdybym znalazła prawo jazdy ze zdjęciem i adresem zamieszkania prawdziwego mordercy, ale oczywiście nic takiego się nie zdarzyło. Policja dokładnie wyczyściła teren, zostało tylko kilka petów i uszek od puszek z piwem.

Wróciłam na parking i rzuciłam okiem na telefon. Okazało się, że skrzynka odbiorcza jest pełna. Pierwszą wiadomość dostałam od mojego menadżera, który nazywał się Brad. Cierpiał na zapalenie zatok i walcząc z katarem, ledwie udało mu się wybąkać, że powinnam przynieść zwolnienie lekarskie, jeśli planuję nieobecność dłuższą niż trzy dni. A jeśli („broń Boże”), potrzebowałam więcej niż czterech dni, powinnam wypełnić druk o krótkotrwałej niedyspozycji uniemożliwiającej pracę.

Druga wiadomość była od Prudena:

- Dzień dobry, panno Haas. Dzwonię, żeby poinformować panią, że jutro o dziewiątej rano odbędzie się na komisariacie konferencja prasowa. Bardzo by nam pani pomogła, gdyby stawiała się pani na niej i osobiście zwróciła się do swego brata Lucasa z prośbą, żeby się z nami skontaktował. Do zobaczenia jutro.

Kolejna od psychologa szkolnego, pana Lowe'a, chociaż tym razem przedstawił się jako współpracownik mojego brata. Spakował rzeczy, które Lucas trzymał w szkole. Jeśli mam takie życzenie, mogę odebrać je po piętnastej trzydziści. To nic wielkiego, kilka plakatów i książek.

Wyobraziłam sobie spotkanie personelu, na którym zakłopotany przewodniczący, nerwowo pochrzając, pyta:

- Kto zadzwoni do jego siostry?

Zanim pan Lowe odłożył słuchawkę, wybąkał, jak bardzo mu przykro. Nie dodał jednak: przykro mi, że padło na mnie, przykro mi, że musiałem zadzwonić, a wcześniej spakować jego rzeczy, przykro mi, że twój brat jest podejrzanym o morderstwo zbiegiem.

Pozostałe wiadomości były od domagających się komentarza reporterów, dzwonili nawet z *Chicago Tribune*. I natychmiast wyobraziłam sobie, jak poplamiona kropelkami majonezu gazeta krąży po kuchni między moimi współpracownikami, którzy zastanawiają się, czy Lucas jest spokrewniony z ich wagarującą koleżanką. Nigdy nikomu nie mówiłam, że pochodzę z Dakoty Północnej, bo inaczej musiałabym zmagać się z rozwleczonymi samogłoskami

i z całą paletą stereotypowych regionalizmów, wychwytywanych przez innych w mojej mowie.

Skasowałam wszystkie wiadomości.

Zamiast do Prudena oddzwoniłam do Garretta. Wiedziałam, że jeśli Pruden na coś się uprze, to na pewno nie zmieni zdania. Dobry policjant powinien chociaż udawać, że trzyma moją stronę, kiedy próbuje wyciągnąć ode mnie informacje.

Nie usłyszałam nawet sygnału, Garrett odebrał od razu:

- Halo?

- Tu Mia Haas. Muszę poznać więcej szczegółów, inaczej nie będę publicznie błagać mojego brata, żeby oddał się w ręce policji. Muszę wiedzieć, jakie zebraliście przeciwko niemu dowody. Prawdziwe dowody, a nie plotki, które, jak dobrze wiemy, w tym mieście szybko zostają uznane za fakty.

- Dobrze, rozumiem. Spotkajmy się.

Dał mi wybór pomiędzy kawiarnią a włoską restauracją. Obie były niedaleko komisariatu. Równie dobrze mogłby powiedzieć:

- Porozmawiamy nieformalnie, a kiedy poczujesz się swobodnie i wyśpiewasz, o co tak naprawdę chodziło z tym trzydziestodwusekundowym telefonem, skoczmy na komisariat, gdzie grzecznie złożysz oficjalne zeznanie.

Wybrałam restaurację, bo czułam, że muszę się napić.

Spotkaliśmy się w knajpie U Perry'ego, gdzie nigdy nie brakuje paluszków chlebowych „na poczekanie” i serwują mamucie przystawki. Popisową potrawą był makaron muszle nadziewany karczochami, szynką i mozzarellą.

Była dwudziesta czterdzieści, do zamknięcia zostało dwadzieścia minut i w środku świeciły pustki. W Chicago o tej porze wchodzi się do knajpy tylko po to, żeby wkurzyć kelnerów, ale na prowincji przywitano nas z uśmiechem. W środku pachniało czosnkiem i dymem świec. Kelnerka zaprowadziła nas do stolika nakrytego obrusem w kratę i zapaliła świeczkę. Zaczęłam mówić, że to niepotrzebne, ale zrobiła wielkie oczy, jakby chciała powiedzieć, że światło świec jest nieodłącznym elementem rytuału spożywania i nie ma opcji, żebyśmy kontynuowali bez tego. Zaczęłam się obawiać, że w pakiecie jest jeszcze akordeonista, który zaraz wyskoczy z kąta i zacznie nam przygrywać.

Zamówiłam gin z tonikiem. Liczyłam na to, że alkohol przyćmi narastający ból głowy. Wolałam nie wyciągać czerwonej kosmetyczki w obecności Garretta, zresztą w ogóle nie chciałam jej wyciągać. Zażycie valium było jednorazowym wyskokiem. Musiałam się pilnować.

- Nie można zamówić samego napoju. Trzeba też wziąć jakiś posiłek, przykro mi. - Wydeła usta, jakby naprawdę źle się z tym czuła.

- Co weźmiesz? Czy w ogóle coś dzisiaj jadłaś? - Garrett wyjrzał zza menu.

- Nie, ale dziękuję. Nie jestem głodna.

Garrett zamówił szklanę trącałego octem wina stołowego i kalmary (co to za pomysł, żeby zamawiać kalmary w leżącej w środku kontynentu Dakocie?), dodając, że możemy się podzielić. Miał na sobie dopasowaną czarną koszulę w kratę i dżinsy. Gdyby był szczuplejszy, wyglądałby jak hipster, ale

miał tak szerokie ramiona i rozbudowaną klatkę piersiową, że bardziej przypominał drwala. Mój ostatni chłopak miał ekspres do kawy za trzy i pół tysiąca dolarów, a nie potrafił złożyć stolika z IKE-i. Miałam za to wrażenie, że gdybym zgubiła się w środku puszczy z Garrettem, nie musiałabym się o siebie martwić. Od czasów liceum bardzo się zmienił.

Poczułam niespodziewaną pewność siebie. Z ciekawością zerknęłam na swoje odbicie w metalowym stojaku na serwetki. Ta nieco makabryczna i mniejsza wersja mnie sprawiła, że od razu poczułam się nielojalna wobec brata. Dwie minuty temu Garrett przytrzymał mi krzesło, kiedy siadałam, a ja poczułam się jak na randce w liceum. Ależ ze mnie idiotka.

- Byłam w miejscu, gdzie znaleziono ciało Joanny Wilkes. Rozmawiałam z kimś, kto twierdził, że jakiś dzieciak, Josh Kolton, widział ją, jak wchodziła do lasu z kucharką z Westfield High. Czy te informacje zostały potwierdzone, czy dalej koncentrujecie się tylko na Lucasie?

- Kolton pali tyle marihuany, że nawet gdyby akurat nie był najarany, i tak gadałby od rzeczy. Chciał zwrócić na siebie uwagę. Wiesz, jakie są nastolatki. Tak czy inaczej, sprawdziliśmy ten trop. Maria Babiak była w tym czasie w szkole podstawowej, gdzie ma drugą pracę, jest woźną. Odbiła kartę dwa razy, przy wejściu o szesnastej piętnaście i kiedy wychodziła o pierwszej nad ranem, czyli w przedziale czasowym zaginięcia Joanny. - Kiedy zobaczył, że po tej wiadomości cała oklapłam kompletnie zniechęcona, dodał: - Mia, wiem, że to dla ciebie ciężkie. Lucas jest ostatnią osobą,

którą mógłbym podejrzewać o coś takiego. A my próbujemy tylko znaleźć odpowiedź, odkryć, dlaczego szesnastolatka, którą czekała świetna przyszłość, jest martwa.

- Rozumiem, oczywiście że to rozumiem, ale nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Lucas zrobił coś takiego. Po prostu nie mogę. On tego nie zrobił. Nie mógł zaciągnąć uczennicy do parku Dicksona, obciąć jej włosów, a potem udusić. Nie ma takiej opcji. Lucas nigdy by tak nie postąpił.

- Pieprzony Liam! Miał zachować ten szczegół w tajemnicy, ale już całe miasteczko o tym wie. - Zaciśnął palce na kieliszku z winem. Po chwili napił się i trochę uspokoił, co widać było po mimice, po czym dodał: - Mia, przysięgam, że to zwykła formalność. Chcemy tylko porozmawiać z Lucasem. Będzie lepiej dla niego, jeśli się podda.

- Podda się? To nie zabrzmiało, jakby chodziło wam tylko o rozmowę - odparowałam.

Garrett uśmiechnął się pojednawczo.

- Masz rację, Mia. „Poddać się” to kiepsko dobrane słowa, ale nie do końca o to mi chodziło. W podobnych okolicznościach czasami ludzie sięgają po rozwiązania ostateczne.

- Chcesz mi powiedzieć, że mój brat planuje się zabić? - Poczulałam, że opadam z sił. Czy Garrett o czymś mi nie powiedział? Może Lucas zostawił list? Albo jakieś notatki, które mogły zostać zinterpretowane na milion różnych sposobów?

- Przepraszam. Czuję, że nasza rozmowa zeszła na złe tory.

Nie chciałem tego. Oczywiście nie mam pojęcia, w jakim stanie psychicznym znajduje się Lucas. – Przeczesał włosy z tyłu głowy. Przez chwilę miałam wrażenie, że mięśnie rozsadzają mu koszulę. – Nie mamy powodów, aby uważać, że Lucas zamierza zrobić sobie krzywdę. Poza tym zabrał kartę do bankomatu, pamiętasz? Niedługo będzie musiał jej użyć, to tylko kwestia czasu.

Przypomniało mi się (a może cały czas o tym wiedziałam, ale sama siebie okłamywałam, a teraz dostałam prawdę między oczy), że kiedy Lucas uprawiał hazard, zawsze miał przy sobie sporą gotówkę na wypadek, gdyby znowu chciał zagrać. (Za rundkę pokera w małym zadymionym salonie gier nie da się zapłacić kartą kredytową). Mógł więc przeżyć wiele dni, a nawet miesiące bez używania karty. Oczywiście nie zamierzałam o tym mówić Garrettowi.

– Chodzi mi o to, Mia, że wszyscy wolelibyśmy, żeby Lucas wrócił do Wayoaty cały i zdrowy.

Powiedział to z taką empatią, że ciężko mi było zdecydować, czy próbował mnie wystraszyć, żebym zaczęła współpracować, czy wierzył, że Lucas faktycznie planował, a może już popełnił samobójstwo. Przy czym obie opcje zakładały winę mojego brata.

– Mogę spróbować do niego przemówić, ale Lucas i tak się nie zabije, bo nie ma ku temu powodów – powiedziałam ze złośliwym uśmiechem, po czym wzruszyłam ramionami i sięgnęłam po drinka. Byłam tego pewna, bo Lucas kiedyś powiedział, że tylko tchórze popełniają samobójstwo. Haasowie czepiali się życia, nawet jeśli jednocześnie



niszczyli życie wszystkim wokół.

- Chciałem ci tylko uzmysłwić, jak bardzo ważne, wręcz konieczne jest to, żeby się ujawnił i zgłosił do nas na rozmowę.

- W takim razie powiedz mi wreszcie, o co chodzi! Co takiego macie na mojego brata, co łączy go z parkiem?

- Nie chodzi tylko o park, Mia. Mamy świadków, którzy twierdzą, że on i Joanna mieli romans. Te plotki potwierdza SMS o wypadzie na weekend. Joanna wysłała go Lucasowi dwa tygodnie przed tym, jak zaginęła. Wydaje nam się, że komunikowali się ze sobą przez telefony na kartę. Przyjaciele Joanny twierdzą, że widzieli u niej drugi telefon. To ma sens, bo Joanna zostawiła telefon w szafce szkolnej. Uczniowie twierdzą, że Lucas traktował ją w szczególny sposób, na przykład często rozmawiali po lekcjach w klasie czy na korytarzu. Kiedyś nawet widziano ich w jego samochodzie zaparkowanym pod szkołą.

Na moment odebrało mi mowę. Poczułam narastającą złość na mojego głupiego brata. Miałam ochotę złapać go za ramiona i potrząść nim porządnie albo zdzielić w durny łeb i wrzasnąć: „Co ty sobie, do cholery, myślałeś?”.

- To, że coś ich łączyło, nie świadczy jeszcze o tym, że popełnił morderstwo... - Ostatnie słowo ledwie dokończyłam. Moje słowa zabrzmiały, jakby zostały wycięte z serialu kryminalnego. Poczułam, że tracę grunt pod nogami. Nigdy nie powinnam czegoś takiego powiedzieć. Nigdy!

- Masz rację, ale jeśli Lucas nie jest winny, to gdzie się podziewa? Powiedzieliśmy mu, żeby nie wyjeżdżał z miasta,

a on to zrobił. Nie wydaje ci się to podejrzane?

- Może czuł się zagrożony? Zdemolowano jego samochód, wszyscy w mieście myślą, że to on jest sprawcą. Pruden na pewno się o to postarał. To śledztwo go przerosło, więc pozwala, by nie sąd, ale opinia publiczna wymierzyła sprawiedliwość. A ona rzuca mu do stóp plotki, jak kot rzuca złowioną mysz pod drzwiami właściciela - odparowałam, ale nawet ja czułam, że zaczynam gadać jak wariatka.

- Tylko mi nie mów, że naprawdę tak myślisz. - Garrett spojrział na mnie z pełnym politowania sceptycyzmem.

Nasza rozmowa zaczynała przypominać wczorajszą rozmowę na komisariacie.

- Prowadząc śledztwo dotyczące wypadku mojej matki, Pruden zignorował wiele podejrzanych okoliczności - zmieniałam temat. Wiedziałam, że wkraczam na grząski grunt, ale właściwie dlaczego nie? Dlaczego nie wykorzystać własnego przewinienia, skoro mogłabym udowodnić tym niewinność mojego brata?

- Tak, komisarz wspominał, że możesz mieć tego typu uwagi.

- Naprawdę? - Czułam coś pomiędzy narastającą irytacją, bo nie potrafiłam wytrącić go z równowagi, a paranoją spowodowaną tym, że rozmawiał o mnie z Prudenem. Zamarłam na chwilę. Co jeśli na nowo otworzą sprawę Mimi? I oboje skończymy z Lucasem w więzieniu?

Garrett spojrział na mnie jak na rozkapryszone dziecko.

- Tak. Powiedział, że oboje uważacie, że wypadek waszej matki miał drugie dno, i że w związku z tym możecie być

niechętni do współpracy. Ale jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej, to dokładnie przejrzałem akta sprawy twojej matki i nie znalazłem w nich nic, co mogłoby sugerować, że to nie był wypadek. Miała we krwi trzykrotnie więcej alkoholu, niż dopuszcza ustawa.

- Ale w samochodzie znaleziono męską rękawiczkę! - Puknęłam palcem w stół, jakby ten gest dowodził, że mam rację.

- W raportach nic o niej nie ma.

- Bo pisał je Pruden!

Garrett zaczął coś mówić, ale szybko się poddał. Wyglądał na rozżalonego przebiegiem naszej rozmowy. Chciał zdobyć informacje na temat Lucasa, a koniec końców rozmawialiśmy o mojej matce i niekompetencji jego szefa. Kiedy kelnerka przyniosła talerz kalmarów, zobaczyłam na twarzy Garretta nieskrywaną ulgę, a na talerzu skaczące jak galaretka splecione żelatynowe nóżki. Garrett chwycił jedną, zanurzył w sosie, przez chwilę przeżuwał, po czym zmarszczył nos i odsunął od siebie talerz.

- Lepiej ich nie próbuj. Ale zjedz chociaż trochę grissini. Poczujesz się lepiej. - Wyjął paluszek z koszyczka i ugryzł.

Od wczoraj nic nie jadłam, więc poszłam w jego ślady. Zamoczyłam kromkę w oliwie i poczułam rozplywający się w ustach smak czosnku i sera. Paluszki grissini były chyba jedynym powodem, dla którego ta knajpa jeszcze nie musiała ogłosić plajty.

- Pruden ma już zdanie na temat Lucasa; ja nie. Jestem otwarty na inne opcje, na to, że ktoś inny jest sprawcą. Ale

musimy porozmawiać z Lucasem, posłuchać jego wyjaśnień i dowiedzieć się, dlaczego uciekł – powiedział, celując we mnie paluszkami.

- Macie więc kilka małomiasteczkowych plotek i jedną wymianę SMS-ów? Nic więcej?

Widziałam wystarczająco dużo kryminałów, by wiedzieć, że to niewiele. Poczułam lekką ulgę na żołądku. Przecież to było polowanie na czarownice! Obarczali winą Lucasa tylko dlatego, że nie mieli innych podejrzanych.

- Czekamy na wyniki badań DNA. Mia, na razie szukamy prawdopodobnego schematu, według którego działał zabójca. Dlatego chcemy, żebyś przyszła na konferencję prasową. Może jeśli Lucas zobaczy cię w telewizji, zmieni strategię. Musisz przekonać go, żeby wrócił i jak mężczyzna stawiał czoło zarzutom. To jego powinność.

DNA.

Te trzy litery podziały na mnie jak trzy strzały w głowę. Oczywiście, że czekają na DNA. Uświadomiłam sobie, że jak większość ludzi uległam złudnemu przekonaniu, że wyniki testów DNA otrzymuje się po godzinie, dlatego uznałam, że jeśli znaleźli jakieś materiały DNA, musieli uznać je za niewystarczające (z góry założyłam, że znajdą tam DNA Lucasa). Chciałam wykrzyknąć, że nie muszą niczego udowadniać, bo Lucas jest niewinny, ale to nie miało większego sensu. Przytaknęłam i zgodziłam się wziąć udział w konferencji.

Kelnerka zaczęła odkurzać i krzątać się po restauracji jak kura domowa z ADHD, swoją postawą dając do zrozumienia,

żebyśmy wychodzili, a kiedy Garrett zapłacił, ciepło pomachała nam na do widzenia. Tuż po naszym wyjściu neon z napisem „otwarte” został wyłączony. Staliśmy pod drzwiami do restauracji skąpani w blasku czerwcowego zachodu słońca.

- A ten wyjazd na weekend? Dokąd się wybierali? - spytałam.

- Do St. Roche, ale Joanna w końcu go odwołała. Musiała iść na lekcję tańca. - Garrett przyglądał mi się przez chwilę, po czym wyjął z kącika ust wykałaczkę, zaczął obracać ją w dłoni i mruknął: - A czemu pytasz?

Supel w żołądku znów się zacieśnił, a ja zrobiłam się ocieężała. W ułamku sekundy poczucie, że niebezpiecznie balansuję na pograniczu nadziei i strachu, wróciło. Nie mogłam się zdecydować, czy spytać o ciążę Joanny. Z tyłu głowy usłyszałam głos Mimi szepczący mi do ucha „Skarżypyta!” tak wyraźnie, jakby rzeczywiście stała tuż obok.

- Z czystej ciekawości. Do zobaczenia jutro - rzuciłam w końcu.

Nie mogłam dłużej ignorować migreny. Czułam się, jakby w mojej głowie wykluło się dziwne zwierzę, które pełzało po moim mózgu i podgryzało mnie w żyły. Sygnalizację świetlną widziałam jak przez mgłę.

Zjechałam do sklepu spożywczego. Na chwilę schowałam twarz w dłoniach i masowałam skronie kciukami. Dwoje nastolatków jeździło rowerami po parkingu. Popijali coca-colę z olbrzymich kubków i zwalniali za każdym razem, kiedy

mijali mój samochód, żeby zajrzeć do środka. Na pewno było mnóstwo powodów, dla których Lucas i Joanna mogli planować wspólny wyjazd do St. Roche.

Tylko dlaczego żaden nie przychodził mi do głowy?

Valium stało się już odległym wspomnieniem. Byłam zaskoczona wysoką tolerancją na lek, biorąc pod uwagę, jak długo byłam trzeźwa. Leki przeciwbólowe znowu mnie wzywały. Miałam przy sobie po trochu wszystkiego oprócz najzwyklejszego paracetamolu czy ibuprofenu. Krokiem zombie doczłapałam się do sklepu, kupiłam opakowanie advilu i butelkę wody niegazowanej. W drodze do samochodu przekonałam sama siebie, że mój ból jest zbyt silny na advil i ostatecznie wzięłam oxycontin. Czułam się coraz gorzej, ale nie mogłam ulec bólom głowy, kiedy próbowałam znaleźć i oczyścić z zarzutów mojego brata.

Kiedy wyjechałam z parkingu, zobaczyłam, że jedzie za mną olbrzymia czarna ciężarówka z cysterną. Na długich. Miała błyszczące metalowe zderzaki. Moje oczy łzawiły od rażących świateł. Zwolniłam, żeby ją przepuścić, ale nie schodziła mi z ogona.

Moja pierwsza myśl była taka, że jakieś znudzone nastolatki robią sobie ze mnie żarty. Kiedy przyśpieszyłam, tir też przyśpieszył. Zwolniłam, a on tak samo. Otworzyłam szybę i pomachałam, żeby mnie wyminął, ale kierowca tylko mrugnął mi światłami.

Przez kilka minut jechaliśmy jedno za drugim niczym w pełni zsynchronizowana kawalkada. Obserwowałam ciężarówkę w bocznym lusterku. Miałam ochotę z całej siły

wcisnąć hamulec, żeby zmusić ją do wycofania się. Kiedy zmieniałam pasy, kierowca robił to samo, jakby mój samochód był wielkim magnesem. Zostaw mnie w spokoju! – krzyczałam w myślach. Chciałam pokazać draniowi środkowy palec, ale coś podpowiadało mi, żeby tego nie robić. Ktokolwiek był w środku, nie zamierzał się ze mną pieścić, a taki gest raczej by mu się nie spodobał.

Byłam coraz bardziej zdenerwowana, kropelki potu spływały po szyi, a jednocześnie było mi zimno. Potem przeszły mnie ciarki. Przypomniało mi się, że czasami oxycontin wywoływał u mnie paranoje i zaczęłam się zastanawiać, czy to działa się naprawdę? Może tylko mi się wydawało, że ciężarówka jest tak blisko mnie? I że specjalnie jedzie za mną? W tym mieście trzeba wjechać na główną drogę, gdziekolwiek by się jechało.

Tyle że oxycontin nie działał aż tak szybko. Niestety.

Zignoruj go. Po prostu ignoruj go, aż wreszcie mu się znudzi i da ci spokój, powtarzałam sobie w myślach.

Poprawiałam lusterko, w którym odbijały się światła ciężarówki, kiedy nagle poczułam silne uderzenie. Z całą siłą wjechała mi prosto w zderzak. Poleciałam do przodu, prawie uderzając głową o deskę rozdzielczą, na szczęście pas mnie przytrzymał. Na moment straciłam oddech. Czułam się, jakby ktoś usiadł mi na piersi.

Kierowca tira wjechał we mnie ponownie, tym razem delikatniej. Pocałował mnie w zderzak i popchnął mój samochód do przodu.

PT cruiser zaczął się trząść, agonalnie wibrował, jakby

miał się rozpaść. Wcisnęłam hamulec, ale nic to nie dało. Tir pchał moje auto jak zabawkę.

Cholera, cholera, cholera!

Bałam się, że mój samochód rozleci się na kawałki, a ja rozplasnę się na środku drogi jak galareta. Napięłam mięśnie, chwyciłam mocno za kierownicę i wcisnęłam gaz do dechy. Samochód przyśpieszył i udało mi się złapać dystans.

Jednak po chwili kierowca ciężarówki mnie wyprzedził, wjechał na pas przede mną i z całej siły wcisnął hamulce. O mały włos bym w niego wjechała. W powietrzu poszarzało od pyłu. Nie zdążyłam zanotować numerów rejestracyjnych ciężarówki, dojrzałam tylko znikające w chmurze dymu rozżarzone tylne światła pozycyjne.

Trzymałam kurczowo kierownicę, jakbym do niej przyrosła.

Kto to był, do cholery?!

Poczułam uderzenie gorąca. To mógł być ktokolwiek. Byłam w mieście zaledwie od dwudziestu czterech godzin, a wszyscy już o tym wiedzieli. Skoro Lucas zaginął, byłam następna w kolejce na kozła ofiarnego. Próbowałam puścić hamulec, ale nie byłam w stanie. Ciemny krajobraz falował mi przed oczami. Otworzyłam drzwi samochodu i wchłonęłam kilka szybkich, głębokich haustów powietrza. Wychyłając się z auta, wyobraziłam sobie, jak ciężarówka wraca i zmywa mnie z powierzchni ziemi razem z drzwiami, więc szybko je zamknęłam. Drżącą ze strachu stopą wcisnęłam pedał gazu.

Witamy w domu!



# ROZDZIAŁ PIĄTY

## *Dzień trzeci*

### *Piątek*

Zasnąłam w ubraniu na kanapie u Lucasa. Śniło mi się, że byliśmy w ogrodzie domu, w którym mieszkaliśmy jako dzieci. Szukaliśmy Mimi. Była pogrzebana w ziemi i nie mogliśmy jej znaleźć. Lało jak z cebra, a my kopaliśmy małe dołki, aż ogród zaczął wyglądać, jakby dostał plam po ospie. Lucas przestał pogwizdywać *Here Comes the Rain, Baby* Roya Orbisona tylko po to, żeby powiedzieć:

- Hm, myślałem, że pochowaliśmy ją tutaj. O, w tym miejscu. - Pokiwał głową z rezygnacją, przesunął się pół metra dalej i znów zaczął wbijać łopatę w ziemię.

Obudziłam się nagle, byłam cała rozpalona. Pobiegłam do toalety i zwymiotowałam, po czym opłukałam twarz zimną wodą.

Kiedy moja matka miała wypadek, Lucas urządzał imprezę. Byli na niej głównie koledzy z drużyny hokejowej, poszczęściło się tylko kilku dziewczynom, które zostały zaproszone. Działo się to w lutym. Im było bliżej do ukończenia szkoły, tym Lucas urządzał więcej imprez. Myślę, że przestał przejmować się tym, co jego przyjaciele myślą o Mimi, przecież już niedługo mieliśmy od niej uciec na

zawsze. Poza tym było mu na rękę, że pozwalała nastolatkom pić w swoim domu.

Długo nie zapraszaliśmy znajomych, bo nasza matka była nieustannie domagającą się uwagi i troski pijaczką. Często zaglądała do naszych pokoi pod pretekstem, że czegoś szuka, na przykład lakieru do włosów (robiła to tak często, że zaczęłam podejrzewać, że go wypija), ale momentalnie włączała się w nasze rozmowy, rozpląszczała na łóżku, jakby była kimś z nas. Kiedy budowaliśmy w salonie forty, zaglądała do nich po kilkanaście razy z okrzykiem:

- Ach, tutaj jesteście!

Tamtej nocy Mimi co chwila zaglądała do piwnicy, niewykończonej jaskini z betonu, w której Lucas urządził swoje gniazdko, wstawiając kilka rozpadających się kanap i stół do gry w piłkarzyki sklejoną taśmą izolacyjną. Mimi uzupełniała miski z chipsami, i „przy okazji” włączała się w rozmowy. Śmiała się ostentacyjnie i niby niewinnie kładła dłonie na ramionach kolegów Lucasa, ale nie puszczała ich, dopóki sami się nie wymknęli. Nie uczestniczyłam w imprezie, tylko siedziałam w kuchni i czytałam książkę, zarazem nadstawiając uszu, chociaż i bez tego bym wiedziała, co zaplanowała Mimi. Wyłapywałam krępującą ciszę powtarzającą się w rozmowach, a także cichy grzecznościowy śmiech po wypowiedziach Mimi. Już nawet nie przynosiła chipsów, lodu i słomek, tylko dołączyła do imprezy, jakby była jednym z gości.

- Mio, pomocy! Spróbuj ją zatrzymać w kuchni - niemal wykrzyczał wściekły jak diabli Lucas, wtykając głowę do

kuchni.

- Sam ją sobie zatrzymuj - odgryzłam się też zła jak osa. I Lucas, i ja doskonale wiedzieliśmy, że Mimi wśród takiego tłumku gości zachowuje się fatalnie, taka żalosna gwiazda wieczoru, ale nie zamierzałam pomagać bratu. Nie brałam udziału w imprezie, więc czułam się odstawiona na boczny tor. Do tego wśród gości była Carolyn, więc tym bardziej nie zamierzałam Lucasowi niczego ułatwiać.

Mimi weszła na górę, żeby zrobić sobie nowego drinka. Dobrze wiedziała, że lepiej trzymać butelkę ginu z dala od młodzieży, która nie wylewa za kołnierz. Promieniała, jakby była królową balu. Tańczyła w rytm łupiącej za ścianą muzyki. Kołysała biodrami i pewnie czuła się, jakby znów była niczym nieskrępowaną siedemnastolatką, która mogła mieć każdego chłopaka. Nawet stosownie do tej okazji ubrała się w koronkowy top i obcisłe spodnie.

Jakiś chudzielec poszedł na górę, żeby skorzystać z łazienki, a matka ruszyła za nim, oblizując usta jak na jakieś pyszności. Nie wiedziałam dokładnie, co planowała, ale bez trudu mogłam się domyślić. Jednak wolałam sama nie ingerować w to, co się działo, więc zeszłam na dół, by poprosić Lucasa o pomoc. Niestety był zbyt zajęty Carolyn, żeby mnie wysłuchać.

- Lucas, matka jest w łazience z twoim kolegą! - krzyknęłam.

Nie chciałam, by tak głośno to zabrzmiało, ale stało się. Wszyscy wokół zamarli, a Lucas podniósł wzrok. Był wściekły, z oczu połyskiwała nienawiść, a ja usłyszałam

śmiechy i kpiące komentarze typu „gorąca mamuśka”.

Lucas wystrzelił z piwnicy na górę. Mimi akurat wychodziła z łazienki, poprawiając szminkę, a za nią szedł zarumieniony i uśmiechnięty chłopak. Lucas spojrzał na Mimi z pogardą, przez zaciśnięte usta syknął:

- Jesteś obrzydliwa - po czym zebrał swoją paczkę i wyszedł, tak mocno trzaskając drzwiami, że cały dom się zatrzęsł.

Mimi jakby nigdy nic pomachała mu na pożegnanie. Ot, kochająca matka, która zaraz dorzuci synkowi słodycze na drogę. Śpiewała pod nosem, robiąc sobie kolejnego drinka, i pewnie myślała coś w stylu: „Te jędrne siksy nie mają do mnie startu. Wciąż masz w sobie tę iskrę, Mimi!”.

Musiałam za długo się jej przyglądać, bo kiedy wrzuciła ostatnią kostkę lodu do drinka, odwróciła się do mnie i syknęła:

- Na co się gapisz? Ty mała skarżypyto. Skarżypyta, skarżypyta, skarżypyta!

Włosy opadły jej na twarz. Miała rozmazaną szminkę, a ramiączko od stanika zsunęło się na nagie ramię.

Nie powiedziałam nic. Nie czułam takiej potrzeby. Za to Mimi ciągnęła:

- We wszystkim musisz ze mną konkurować, co? Ale ten chłopak nigdy by się tobą nie zainteresował. Nieładnie tak zazdrościć, Mio, szczególnie własnej matce. - Skrzyżowała ręce na piersi i mrugnęła jak Betty Boop, co robiła zawsze, kiedy była wstawiona. Za jakieś dwie godziny straci przytomność.

Konsekwentnie ją ignorowałam. Zawsze, kiedy była w takim stanie, próbowała mnie sprowokować, a jedyne, co mogłam zrobić, żeby nie dać jej satysfakcji, to się nie poddać. Niech się męczy. Wymamrotałam:

- Jak tam sobie chcesz - i próbowałam ją wyminąć.

Ale podpita Mimi to humorzasta Mimi. Rzuciła się na mnie, żeby mnie przytulić.

- Kochanie, tak bardzo nie lubię się z tobą kłócić - powiedziała.

Czułam od niej zapach chudzielca, a jej paznokcie wbijały mi się w skórę. To był złośliwy uścisk, jakby próbowała wycisnąć ze mnie coś, czego już we mnie nie było.

Nie mogłam złapać tchu. Odepchnęłam ją mocniej, niż zamierzałam. Miałam wrażenie, jakby była zrobiona z puchu, jej ptasi szkielecik zachwiał się, straciła równowagę i runęła na ziemię, uderzając głową o kant stołu kuchennego. Przez kilka sekund leżała z zamkniętymi oczami, a kiedy je otworzyła, wyglądała na zdziwioną. Dotknęła tyłu głowy, pod włosami, po czym wyciągnęła dłoń w moją stronę. Była na niej krew. Podeszłam bliżej, żeby jej pomóc, ale sama podniosła się z ziemi.

- Żałuję, że cię urodziłam. Miałam mieć tylko jedno dziecko. - Żeby nie było wątpliwości, wystawiła jeden palec.

- Jesteś starą pijaczką i też żałuję, że mnie urodziłaś - odparłam ostro.

Mimi chwyciła torebkę i kluczyki do samochodu, po czym wyszła. Nie zatrzymywałam jej. Nie miałam pojęcia, gdzie się wybiera, ale nic mnie to nie obchodziło. Nie pierwszy raz

znikała w środku nocy. Kiedy tylko odjechała, nałożyłam sobie lodów, włączyłam telewizję i rozkoszowałam się tym, że jestem sama w domu. Lucas wrócił godzinę później i poszedł prosto do łóżka. Nie rozmawialiśmy ze sobą.

Była czwarta nad ranem, kiedy przyjechała policja poinformować nas, że Mimi miała wypadek samochodowy. Wyglądało na to, że zasnęła za kierownicą, zjechała z drogi i wpadła na drzewo. Obrażenia były tak poważne, że zapadła w śpiączkę. Cztery dni później neurolog z Minneapolis powiedział nam, że najpewniej Mimi już nigdy nie będzie taka sama, a kiedy wreszcie się ocknęła, zrozumieliśmy, że już nigdy nie wróci do domu.

Oczywiście to ja spowodowałam uraz czaszki Mimi, a nie samochód, który wjechał w drzewo. Kiedy Lucas zasugerował, że Mimi wcale nie jechała tak szybko, jak można by sądzić po obrażeniach, lekarz odpowiedział:

- Tak już jest z urazami czaszki, bywają bardzo dziwne.

Znajomi Lucasa oraz ich rodzice pomogli nam finansowo (choć pewnie teraz przeklinają się za każdego ofiarowanego nam centa). Zorganizowali kwestę i aukcję, dzięki czemu mogliśmy nadal mieszkać w naszym domu aż do skończenia szkoły. Potem dom został sprzedany.

Nigdy nie powiedziałam o tym Lucasowi. Nie chciałam, żeby wiedział, bo bałam się, że go stracę. Że stracę ostatniego normalnie funkcjonującego członka rodziny. Bałam się, że znienawidzi mnie za to, że przeze mnie staliśmy się tak naprawdę sierotami. Że Mimi będzie dla nas ciężarem do końca życia. Właśnie dlatego skłamałam

Lucasowi na temat kosztów jej domu opieki. Chciałam, by myślał, że płaci połowę. Wiedziałam, że nie pozwoliłby mi pokrywać prawie całej kwoty.

Swego czasu wymyślałam miliony scenariuszy z zupełnie innym zakończeniem. Na przykład wzywamy z Lucasem policję, a Mimi, zszokowana tym, co się stało, przestaje pić i zaczyna robić wszystko, żeby nas odzyskać. (Oczywiście wie doskonale, że ze mną nie pójdzie jej tak łatwo jak z Lucasem). Po długich staraniach stajemy się prawdziwą rodziną, łączą nas dojrzałe jak na dorosłych ludzi przystało, a przy tym zażyłe relacje. Drugi scenariusz był pesymistyczny. Nie popchnęłam Mimi, a ona nadal pije. Jej wątroba wysiada, twarz staje się obrzydliwie spuchnięta. Znienawidziłam Mimi do reszty, ale nie dręcą mnie nieustające wyrzuty sumienia. Wybaczę jej dopiero w chwili ostatecznej, gdy Mimi, wyniszczona przez alkohol i choroby weneryczne, dogorywać będzie na łożu śmierci.

Ale nie zmieniało to faktu, że to ja ją popchnęłam.

Włożyłam szarą tunikę bez rękawów i czarne spodnie. Nie miałam ubrań, które lepiej pasowałyby na konferencję prasową. Położyłam je na kanapie Lucasa, po czym wzięłam prysznic. Potem przez około dwadzieścia minut przeklinałam samą siebie za to, że nie wzięłam suszarki do włosów. Kiedy wiązałam włosy w prosty, koński ogon, przypomniał o sobie wczorajszy ból głowy. Włożyłam klasyczne diamentowe kolczyki, nie chciałam wyglądać zbyt krzykliwie. Nałożyłam make-up i matowy cień do powiek, po czym pomalowałam rzęsy wodoodpornym tuszem. Wyglądałam na wypoczętą

i odpowiedzialną osobę. Na usta nałożyłam błyszczący, żeby ukryć ślady ugryzień. Miałam taki tik nerwowy. Przejrzałam się w lustrze. Tak zadbanej osoby nie można nie potraktować poważnie. Usłyszałam w głowie nieśmiały, ale pełen dumy głos:

- Spójrz tylko na siebie. Udało ci się! Nie skończyłaś tutaj, w markecie Kmart. Nie utknęłaś tutaj w wyniku przykrej wpadki.

Taki los spotkał wiele mieszkanki Wayoaty, na przykład moją matkę.

Albo Joannę.

Wzdrygnęłam się, myśląc przy tym: „Nie, nie, nie. Lucas tego nie zrobił!”.

Zgasiłam światło i wyszłam.

Kiedy jechałam na konferencję, niebo było jasnoniebieskie. W moim samochodzie coś zaczęło gruchotać. Powinnam zgłosić na policję, że ktoś próbował zepchnąć mnie z drogi, ale kiedy wyobraziłam sobie policyjne korowody, związaną z tym papierkową robotę i stos formularzy od ubezpieczyciela, uznałam, że nie poradzę sobie z tym, w każdym razie nie teraz. Pogłośniłam radio, cały czas myśląc o tym, co powiedzieć, żeby zachęcić Lucasa do powrotu. Kiedy zobaczyłam skłębione pod komendą furgonetki mediów, opanowała mnie trudna do powstrzymania chęć ucieczki. Pociły mi się dłonie na sam ich widok.

A miało być inaczej. Spodziewałam się garstki dziennikarzy, którzy przyjdą piechotą na konferencję.



Najbardziej egzotyczny z nich byłby z Minneapolis. Pocięszalam się też faktem, że z *Chicago Tribune* tylko do mnie zadzwonili, czyli uznali, że historia nie jest na tyle godna uwagi, żeby wysłać dziennikarza na miejsce.

Niestety nic z tych rzeczy. Wieść szybko przekroczyła granice stanu i trafiła do mediów krajowych. Trudno się dziwić, Lucas był fotogeniczny, w dodatku się ukrywał, natomiast Joanna była związana z Nowym Jorkiem tancerką, której wróžono wielką karierę. Innymi słowy, cudowne dziecko z Wayoaty z początków dwudziestego pierwszego wieku zabiło równie cudowne dziecko z Wayoaty dnia dzisiejszego.

Pruden stał na prowizorycznej scenie za pulpitem, który wyglądał, jakby pożyczono go z restauracji, tylko logo komisariatu w Wayoacie zakryło napis PROSZĘ CZEKAĆ NA WSKAZANIE STOLIKA. Gdy ubrany w mundur Garrett dostrzegł mnie, natychmiast podbiegł i otworzył mi drzwi, po czym przeprowadził przez gąszcz kamer, mikrofonów i iPhone'ów. Trzymał mnie mocno za ramię, jakbym była na to wszystko zbyt delikatna. Albo jakby się bał, że ucieknę.

- Przepraszam za ten cyrk, Mio. Nie miałem pojęcia, że zjawi się ich aż tylu. Przynieść ci wody? Potrzebujesz czegoś? Mamy jakieś pięć minut.

- Nie, dziękuję. To znaczy wcale nie w porządku, ale już trudno.

Garrett przytaknął, jakby doskonale mnie rozumiał, chociaż wątpię, żeby tak było. A może po prostu wcale mnie nie słuchał, bo przez okno obserwował Prudena, który

ogłaszał oficjalne stanowisko policji. Te same bzdurne gadki o poszukiwanym, który po tym, jak zaginął, wzbudził duże zainteresowanie śledczych. Na twarzy Garretta dojrzałam determinację pomieszaną z rezygnacją. Utknął tutaj jako podwładny faceta, który jeszcze przez sto lat nie zamierza odchodzić na emeryturę. Pewnie marzyło mu się, że rozpracuje tę sprawę i w nagrodę jeszcze przed trzydziestką awansuje na komisarza policji. Po chwili znów spojrzał na mnie i obdarzył urokliwym uśmiechem sprzedawcy aut.

- Dam ci kilka rad. Nic nie mów na temat winy Lucasa, nie wygłaszaj swojej opinii, bo to zmieni przebieg konferencji, na co innego zwróci uwagę dziennikarzy. Poza tym zdenerwujesz bliskich Joanny Wilkes, którzy są na tej sali. Mów bezpośrednio do Lucasa. Zaproponuj wsparcie i spróbuj go przekonać, że zgłoszenie się na policję jest tym najlepszym, co może zrobić.

- Gdybym wiedziała, że nie będę mogła wyrazić mojego zdania na temat sprawy i mojego brata, nie zjawiłabym się tutaj! - rzuciłam ze złością. Próbował mnie ocenzurować! Despota.

- Jak to? - odparł zaskoczony. - Przecież mówiłem ci o tym wczoraj.

- Nie. Nie uprzedziłeś mnie, że nie będzie mi wolno wypowiadać się na temat winy czy niewinności mojego brata. Naprawdę myślisz, że zgodziłabym się na to?

- Mio - zaczął o wiele łagodniej - nie czas i miejsce na takie rozmowy. Wiem, dlaczego chcesz powiedzieć, że Lucas jest niewinny, i doskonale to rozumiem. Będziesz miała ku

temu mnóstwo możliwości, kiedy Lucas wróci, ale w tej chwili całe miasto drży na myśl, że twój brat gdzieś tu się czai. Ludzie są przerażeni. Spróbuj postawić się na miejscu rodziny Joanny Wilkes...

- Moją rodziną jest Lucas! - ostro wpadłam mu w słowo. Niech się chrzani. Powiem to, co myślę, bez żadnej cenzury i ulegania czyimś sugestiom.

- Wiesz, o co mi chodzi. - Złapał się za brodę, potem oparł dłoń na moim ramieniu.

Nie podobało mi się to. Nie potrzebowałam litości. Ale milczałam, a Garrett mówił dalej:

- Pamiętaj, żeby zwracać się bezpośrednio do Lucasa. Najważniejsze, żeby twój brat się poddał. - Podeszła do niego jakaś kobieta i coś szepnęła mu na ucho, a Garrett spojrział na mnie i spytał: - Gotowa? - Gdy włożył czapkę policyjną, w jej cieniu jego oczy wydały się srebrzystoszare.

Na chwilę zatęskniłam za tym, żeby znowu położył dłoń na moim ramieniu. Chciałam poczuć ciężar jego ręki, bo bałam się, że powietrze ujdzie ze mnie jak z balonu i zniknę.

Pokręciłam przecząco głową, ale ruszyłam za nim. Wspięłam się po schodkach na podest. Tłum wydawał się stąd o wiele większy, a wszystkie oczy były wpatrzone we mnie. Poczułam, jak uginam się pod ich ciężarem. Zaczęły piec mnie policzki.

Pruden spojrział na mnie przez ramię. Miał zwężone źrenice. Zebrał kartki z przemówieniem i powiedział:

- Policja wzywa obywateli do pomocy w poszukiwaniu Lucasa Haasa. Jeśli macie państwo jakiekolwiek informacje

na jego temat, prosimy o telefon.

Garrett spojrział na mnie i wyszeptał:

- Twoja kolej.

Przez chwilę poczułam się, jakbyśmy znowu siedzieli w sali komputerowej.

Rodzina Wilkesów stała na przedzie. Było ich czworo. Mieli na sobie koszulki z napisem SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA JOANNY wydrukowanym tuż nad jej zdjęciem, takim samym, jakie widniało na plakatach z informacją o jej zaginięciu. Przyszła mi do głowy złośliwa myśl, że nie mogą być w aż takiej żalobie, skoro znaleźli czas na to, żeby zrobić nadruki. (Musieli je wykonać niedawno, bo inni mieli na sobie stare koszulki wyrażające nadzieję na jej powrót z napisem ODNAJDŹMY JOANNE). Członkowie rodziny trzymali się za rękę, być może nawet się modlili. Najstarszy syn pochylał się nad ojcem, który wyglądał, jakby miał runąć pod własnym ciężarem. Jego oczy zasłaniały okulary. Córka Madison obserwowała swoje stopy, a blond włosy upięła w koński ogon. Zaczęłam przenosić wzrok na matkę i... O BOŻE, TO NAPRAWDĘ ICH MATKA?! Zamarłam ze zdziwienia.

Kathy Wilkes z domu Russo wciąż miała w oczach błysk dziewczyny, która wygrywa konkursy piękności, ale jej figura już zaczęła się upodabniać do okrągłutkiego M&M-sa w pomarańczowej polewie zrobionej z samoopalacza.

Znałam ją dobrze, a może raczej wiele o niej słyszałam. Była ode mnie starsza około dekadę. Każdego roku podczas parady z okazji Festiwalu Jabłek i Kukurydzy, dopóki nie skończyłam dziewięciu czy dziesięciu lat, Kathy była

wisienką na torcie platformy sieci sklepów spożywczych Harold's Grocers. Stała pośrodku styropianowej patery z owocami w koronie i płaszczu, który wyglądał, jakby był zrobiony z waty cukrowej. Machała do zgromadzonego na chodniku tłumu, jak przystało na prawdziwą księżniczkę Wayoaty. Harold's Grocers należał do jej ojca. Otworzył sklep w latach czterdziestych, a teraz był właścicielem sieci, dzięki której Środkowy Zachód usłyszał o moim mieście. Harold's Grocers zatrudniał w przetwórnich prawie jedną czwartą mieszkańców Wayoaty. Lucas miał przechlapane.

Odwróciłam wzrok od atakujących mnie mikrofonów na kijach teleskopowych i podskakujących kamer, których ostre światło flesza biło po oczach, zupełnie jakby ktoś sypał mi w twarz wybielacz. Uświadomiłam sobie, że ze zdziwienia otworzyłam usta, więc szybko wzięłam się w garść i je zamknęłam. Kathy Russo była MATKĄ Joanny. Ta myśl była dla mnie niczym wiadro zimnej wody. Musiałam powiedzieć coś dobrego na temat Lucasa, bo bardzo tego potrzebował. Oczywiście nie zamierzałam mówić nic z tego, o co prosił mnie Garrett. Nie zamierzałam wabić mojego brata jak mysz na kawałek sera. Mowy nie ma. Zresztą Lucas wyczułby zasadzkę. Domyśliłby się, że połknęłam haczyk i gdziekolwiek był, uciekłby jeszcze dalej. Musiał wiedzieć, że naprawdę trzymam jego stronę. Potrzebował mnie bardziej niż kiedykolwiek, jeśli miał przeciw sobie cały koncern Harold's Grocers. Chryste. Tkwiłszy w szambie po uszy.

Na moment odebrało mi mowę. Język stanął mi kołkiem

w gardle, a kiedy w końcu zaczęłam mówić, mój głos brzmiał obco, jakby z oddali:

- Przede wszystkim, chciałam powiedzieć, że mój brat, Lucas Haas, nie jest odpowiedzialny za śmierć Joanny Wilkes. Lucas jest dobrym i delikatnym człowiekiem, niezdolnym do przemocy. Ktokolwiek to zrobił, wciąż jest na wolności i powinien natychmiast stanąć przed sądem. Lucas, jeśli to oglądasz, wróć do domu, proszę. Obiecuję, że to wszystko jakoś się ułoży...

Mikrofon pisnął, a ja się wzdrygnęłam. Haasowie mieli zły nawyk udawania, że wszystko jest w porządku, nawet jeśli kończył się świat. (Taką umiejętność można zdobyć, gdy latami żyje się z rodzicem alkoholikiem). Uświadomiłam sobie, że moje „wszystko się ułoży” zabrzmiało zbyt lekceważąco, więc odchrząknęłam i ponownie nachyliłam się nad mikrofonem:

- Po prostu wróć do domu i pomóż nam znaleźć osobę, która to zrobiła. Oczyść swoje imię. Kocham cię i wierzę w ciebie.

Wokół zapadła grobowa cisza, a ja zamarłam w bezruchu. I niemal natychmiast spadł na mnie grad pytań:

- Czy twój brat jest winny?
- Dlaczego to zrobił?
- Jak myślisz, gdzie się ukrywa?
- Czy wiedziałaś, że był w związku z nieletnią dziewczynką?
- Czy zauważyłaś, że ostatnio zachowuje się inaczej?
- Czy robił coś, co mogłoby wskazywać na to, że dokona

tak okrutnego czynu?

- Czy molestował cię seksualnie, kiedy byłaś dziewczynką?

- Nie sądzisz, że sformułowanie „wszystko się ułoży” brzmi bardzo niestosownie w odniesieniu do morderstwa młodej dziewczyny?

Wtedy zareagowałam:

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało...

- Ostrzegalem cię. Nie odpowiadaj im. Idziemy stąd. Za mną - syknął mi do ucha Garrett.

Poczułam na ramieniu jego dłoń. Oderwał mnie od mikrofonu i pociągnął za sobą do wnętrza budynku.

Szłam za nim, ale Kathy Wilkes zagroziła mi drogę. Skąd się tu wzięła? Teleportowała się z pierwszego rzędu? Patrzyła na mnie z zaciekawioną, z głową lekko pochyloną na bok. Ktoś westchnął głośno i atmosfera zrobiła się gęsta. Ziemia wirowała mi pod stopami. Minęła chwila w niezręcznej ciszy. Miałam wrażenie, że Kathy chciała coś powiedzieć, ale nie mogła dobrać odpowiednich słów. Wzięłam głęboki oddech, postanowiłam, że pierwsza się odezwę. Nie zamierzałam przeproszać, bo w ten sposób przyznałabym jej rację, ale równie głupio byłoby powiedzieć matce, która straciła córkę, coś w stylu: „Przykro mi, że uważa pani mojego brata za osobę odpowiedzialną za tę tragedię”. Kiedy zorientowała się, że chcę coś powiedzieć, na jej twarzy pojawił się dziki grymas. Oślepił mnie błysk kamer. Dłoń, która przez tyle lat machała do tłumu podczas parad, nagle zderzyła się z moim policzkiem. Moja głowa odskoczyła na bok i usłyszałam brzęczenie w uszach.

- Jak śmiesz? Moja córka nie żyje! - zaczęła lamentować. Zrobiłam krok w tył. Poczułam jednoczesną falę bólu i typowego dla wieku licealnego zażenowania, kiedy ktoś robi z nas pośmiewisko na oczach innych. Mąż Kathy próbował ją powstrzymać, ale odepchnęła go jak prawdziwa matka niedźwiedzica. Wtedy wraz z drugim funkcjonariuszem zainterweniował Garrett. Pomogła im też Madison, której dłoń owinęła się wokół drugiej, spokojnie spoczywającej u boku ręki matki, i zawyła:

- Mamo, przestań! Wszyscy patrzą!

Jednak Kathy ruszała na mnie po raz drugi.

Funkcjonariusz zaszedł jej drogę, a Garrett odciągnął mnie do samochodu, chroniąc przed mikrofonami i obiektywami celującymi prosto w twarz.

- Jak skomentujesz to, że zostałam pobita?

Odjechałam z piskiem opon.

Stanęłam za rogiem i siedziałam bez ruchu. Cała zszokowana masowałam piekący policzek. Ciągle jeszcze widziałam komisariat policji. Coraz więcej ludzi w białych podkoszulkach z podobizną Joanny otoczyło Wilkesów. Pewnie rozpoczynali czuwanie.

- Do cholery, co tu się dzieje, Lucas? Co? - Przyłapałam się na tym, że mówię sama do siebie.

I usłyszałam pukanie w szybę. Uchyliłam ją, ale tylko odrobinę. Zobaczyłam kobietę o krótkich, doskonale zadbanych włosach. Zaczęła mówić tak szybko, że ledwie nadążałam:

- Nazywam się Vanessa Lee. Jestem reporterką *Star*



*Tribune* w Minneapolis. Na pewno dostałaś już mnóstwo propozycji, ale ja chciałabym przygotować wszechstronny materiał, który nie skupia się na taniej sensacji, jaką jest romans nauczyciela z uczennicą. Chcę dotrzeć głębiej, odkryć, kim był Lucas, a także zrobić duży wywiad z tobą. Dostałabyś szansę, żeby przedstawić jego punkt widzenia. W tej chwili wszyscy zakładają, że jest winny. Może uda ci się to odkręcić, zasiać w naszych czytelnikach ziarenko zwątpienia... - Wzięła głęboki oddech i kontynuowała: - Jesteśmy najchętniej czytany dziennikiem wydawanym poza stanem w Dakocie Północnej, a w Minnesocie jesteśmy na pierwszym miejscu rankingu sprzedaży. W mojej rubryce staram się pokazać przeciwstawny punkt widzenia na historie, które trafiają na pierwsze strony gazet.

Nie odpowiedziałam. Kurczowo trzymałam kierownicę, aż pobiełały mi kostki, a dłonie zaczęły boleć. Skąd miałam znać punkt widzenia Lucasa?

Milczałam. Vanessa zachnęła się, po czym przez uchylone okno wsunęła do środka wizytówkę, która spadła na moje kolana.

- Trzymaj. Jeśli to dla ciebie jakiegokolwiek pocieszenie, gdyby Lucas był kobietą, a Joanna szesnastoletnim chłopcem, media o wiele bardziej węszyłyby wokół sprawy.

- Od razu mi lepiej! - rzuciłam złośliwie. Podkreśliłam swoje oburzenie, rzucając wizytówkę na tylne siedzenie.

Po raz pierwszy w życiu pożałowałam, że nie nawiązałam żadnej prawdziwej przyjaźni w Wayoacie. Miałam ochotę usiąść z kimś przy kuchennym stole, przyjąć wciskany mi

w dłonie kubek kawy i przytakiwać za każdym razem, kiedy usłyszę, że to jedno wielkie nieporozumienie. Ale wszystkie moje koleżanki z tamtych lat były takie same jak ja, czyli cholernie ambitne i cholernie zdeterminowane, żeby się stąd wyrwać. Do przyjaciół z Chicago też nie miałam po co dzwonić. Bo niby jak zaczęłabym rozmowę:

- Hej, pamiętasz moją rodzinę, o której nigdy ci nie opowiadałam? Właśnie się okazało, że mój brat chyba jest mordercą.

Musiałabym najpierw opowiedzieć im całe swoje życie, wszystko wyjaśnić, za bardzo się odsłonić. Innymi słowy, byłam skazana na siebie.

Czerwona kosmetyczka zaczęła mnie przywoływać. (Z nieznanych mi powodów zawsze, kiedy budził się we mnie nałóg, moja kosmetyczka przywoływała mnie niskim, mrukliwym głosem Seta Rogena). I teraz tym głosem kusila:

- Hej, jestem tu z tobą. Zajrzyj do środka. Wystarczy jedna tabletki. Odpręż się. - Jej zygzakowy uśmiech wyglądał do mnie ze torebki.

Nie, nie powinnam, pomyślałam, a lewa powieka zadrżała, walcząc z pokusą zażycia tabletki.

Skłamałam. W kwestii tabletek zdarzało mi się okłamywać samą siebie. Przez ostatnie dwa lata, kiedy byłam względnie trzeźwa, nie wygrywałam każdej bitwy z nałogiem.

Było ich zbyt wiele.

Odór płonącego kurzu i martwego naskórka, który czułam, kiedy w mojej aptece uruchamiano ogrzewanie, zawsze sprawiał, że czułam się, jakbym wróciła do domu. Do

naszego obskurnego domu, do mojej sypialni przesiąkniętej poczuciem bezradności.

Słuchałam matki i córki, które wesoło rozmawiały w oczekiwaniu na receptę, przy czym matka naprawdę zadawała córce pytania i uważnie słuchała odpowiedzi, jakby rozmawiała z największym skarbem.

A ja rozmawiałam z bratem bliźniakiem, jedyną osobą na świecie, która znała mnie lepiej niż ja sama, i czułam się jak kłamca. Całe dni słuchałam muzyki i myślałam o tym, że mogłam osiągnąć więcej, zamiast skończyć w sieci aptek. Powinnam wrócić na studia, uzyskać tytuł magistra farmacji i zatrudnić się w laboratorium. Wynaleźć idealny środek przeciwbólowy, który nazwałabym swoim imieniem.

Kiedy potrzebowałam ukoić poczucie winy, które czasami wierciło mi dziurę w brzuchu.

Nie jestem nałogowcem bez sumienia. Robię przerwy, czasami nie biorę przez wiele miesięcy. I zawsze czuję się źle, kiedy do tego wracam. Ale wtedy biorę tabletkę i znowu czuję się lepiej.

Tak czy inaczej, nie mogłam teraz brać tabletek, nawet jeśli chciałam. Musiałam pojechać jeszcze do szkoły po rzeczy Lucasa. Wróciłam do mieszkania i czekałam na Lucasa, na jakieś dobre wieści albo cokolwiek innego. Czekałam, patrząc w sufit, który sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał zwalić mi się na głowę.

Było parę minut po piętnastej. Dopiero za pół godziny będzie można iść do domu, ale uczniowie już zaczęli kłębić się na frontowych schodach Westfield High. Dokładnie w tym

samym miejscu co za moich czasów. Minęło jedenaście lat, odkąd skończyłam szkołę, miniaturową kopię tego pełnego uprzedzeń miasteczka.

Począwszy od dziewiątej klasy, wątpliwa reputacja mojej matki uczepliła się mnie jak rzep psiego ogona. Oczywiście był to stereotyp z ograniczonym zasięgiem, bo nie dotyczył Lucasa, jednak gdziekolwiek ja się udałam, byłam podejrzana o puszczalstwo. Wiedziałam, że ludzie tylko czekali na dowody, że okażę się taka sama jak matka, jakby moja wagina miała zaraz się uruchomić niczym odkurzacz i wessać wszystko do środka. (Z tego powodu, jak również z dzikiego lęku przed zajściem w ciążę, nigdy nie uprawiałam seksu na rodzimej ziemi. Poczekalam do college'u, gdzie straciłam dziewictwo z sympatycznym i delikatnym studentem literatury, wykupiwszy przedtem receptę na zoloft). Duże piersi okazały się nieszczęśliwie pomocne w tej sytuacji. Plotki pojawiały się falami, nieoczekiwane, nieprovokowane i pozbawione choćby ziarna prawdy. Słuchałam więc o chłopakach, którzy przelecieli mnie w parku Dicksona, o mrożonej parówce, która pękła w moim ciele, powodując infekcję, przez którą nie chodziłam przez tydzień do szkoły (tak naprawdę miałam zapalenie wyrostka robaczkowego) i całe mnóstwo robótek ręcznych dla chłopaków z drużyny futbolowej za skrzynkę niskoprocentowego piwa. (Najbardziej zabolala mnie w tym wszystkim część o niskoprocentowym piwie, jakbym upadła tak nisko, żeby robić to za „oszukane” piwo).

Kiedy szłam wśród grupki uczennic pierwszej klasy liceum

w dzinsach z niskim stanem i opaskach na włosach, dotarło do mnie, że jestem dorosła. Wszystkie miały obcisłe podkoszulki eksponujące pępki. Były takie młode! Jedna z nich szepnęła coś do reszty i wszystkie zaczęły mi się przyglądać. Nie spuszczały mnie z oczu, kiedy wchodziłam po schodach. Przyglądały mi się ze złośliwymi uśmieszkami i wodziły za mną wzrokiem jak zaprogramowane, jakby już to kiedyś przećwiczyły.

Na sali gimnastycznej odbywały się zajęcia z koszykówki. Z każdym głośnym piskiem gumowych podeszew trących o podłogę stawałam się coraz bardziej spięta. Postanowiłam przejść obok stołówki. Światła w środku były już zgaszone, ale bez trudu wślizgnęłam się do środka. Kucharka - poznałam ją po klasycznym czepku na włosach - siedziała w środku i zmieniała czarne, poplamione tłuszczem buty na białe adidasy. Ewidentnie zmagająca się z niezdarnością i ociężałością. Wyglądała na spoconą. Zauważyła mnie i nawiązałyśmy kontakt wzrokowy, zanim zdążyłam się odwrócić. Nawet z tej odległości byłam w stanie dostrzec meszek nad jej ustami. Jej rysy nabrały nieprzyjemnego wyrazu i gestem, którego nie powstydzilby się strażnik więzienny, wskazała napis ZAMKNIĘTE.

Pokój psychologa szkolnego mieścił się tam gdzie dawniej. Drzwi były uchylone, ale w środku nie było nikogo. Zauważyłam kask pana Lowe'a na biurku, więc nie pojechał jeszcze do domu.

Postanowiłam odczekać chwilę i usiadłam na niebieskiej kanapie, którą znałam jeszcze z czasów, kiedy sama się tutaj

uczyłam. Wytartą tapicerkę przykryto kocem w meksykańskie ludowe wzory. Stolik kawowy też był ten sam, tyle że teraz było na nim więcej inicjałów zakochanych i serc przekłutych strzałą. Stary napis ZROBIĘ LODA PANU LOWE'OWI też wciąż był widoczny, chociaż w okolicach kantu stołu częściowo został przykryty deklaracją, że ANAL TO NOWY ORAL!!!

Sama mogłabym to napisać, to znaczy tę część, której bohaterem jest pan Lowe. W drugiej klasie byłam w nim ślepo zakochana i przez kilka miesięcy symulowałam ataki paniki, żeby spędzić z nim chociaż godzinę. Nie rozmawialiśmy wiele. Ja wymieniałam wszystkie objawy ataków paniki, o których przeczytałam w naukowej broszurce, a on opowiadał o tym, że muzyka pozwala mu uzyskać „równowagę wewnętrzną”. Tak właśnie wyglądały nasze spotkania. Słuchaliśmy muzyki, z którą postanowił mnie zapoznać (był to alternatywny rock z lat dziewięćdziesiątych). Za każdym razem, kiedy patrzył na mnie ciemnymi, piwnymi oczami (cóż to były za oczy!), czułam się zauważona, czego wynikiem było to, że po szkole biegłam do domu i spędzałam resztę dnia na szukaniu informacji o mało znanych kapelach z Zachodniego Wybrzeża.

Kiedys włączył świeżo wypaloną płytę CD swojego zespołu i zapytał mnie, co o niej sądzę. Oczywiście wpadłam w zachwyty, te wszystkie ochy i achy, i powiedziałam mu wszystko to, co z pewnością chciał usłyszeć. Dzięki temu dostałam kopię płyty, której słuchałam co wieczór, cierpiąc

z miłości i doszukując się w słowach ukrytych podtekstów, które mogłyby dotyczyć mnie, a także fantazjując o tym, że jedziemy razem jego motocyklem, a potem zjeżdżamy z głównej drogi, na przykład na teren budowy albo do opuszczonego budynku. (Nie byłam z tych dziewczynek, które fantazjują o seksie w miękkiej pościeli przy świecach. Ciekawe, co to o mnie mówiło?).

Podaję, że nie był najlepszym psychologiem szkolnym, ale wtedy, pod wpływem nastoletniej miłości, byłam przekonana, że pan Lowe tylko czekał na wielki przełom, który miał niechybnie nastąpić. Czułam się też z nim przez to związana – obojgu nam było pisane życie w wielkim mieście. Oczywiście wspólne.

Przestałam przychodzić na nasze „sesje” po wypadku matki, bo uznałam, że nie zasługuję na jego uwagę. Potrzebowałam poczuć się ukarana.

- Mia? Cześć! - Na dźwięk jego głosu cofnęłam się w czasie. Przez moment znów byłam w swoim pokoju i słuchałam jego płyty. Zamknął za sobą drzwi. - Jak się trzymasz?

- W porządku, biorąc pod uwagę... - zająknęłam się.

- Wiem, wiem. Boże, musisz przechodzić przez coś... - Pan Lowe spojrzał na mnie przepaszająco, próbując znaleźć odpowiednie słowa, żeby pocieszyć osobę, której brat prawdopodobnie jest szaleńcem.

Potrząsnęłam głową, dając do zrozumienia, że nie musi nic mówić.

- Dobrze cię widzieć. - Westchnął sfrustrowany. - To

znaczy oczywiście nie w takich okolicznościach... Chodzi o to, że myślałem o tobie przez te wszystkie lata. Lucas mówił, że świetnie sobie radzisz w Chicago.

Sprawiał wrażenie, jakby naprawdę cieszył się na mój widok. Niewiele się zmienił, był tylko trochę starszy, pewnie koło czterdziestki. Okulary w czarnej oprawce były nowe, ale burza ciemnych loczków nie przerzedziła się ani trochę od tamtych czasów. Miał na sobie niebieską koszulę zapinaną na guziki i ogólnie rzecz biorąc, wyglądał naprawdę seksownie.

- Pana też miło widzieć. Wciąż jeszcze gra pan muzykę?

- Gram regularnie w barze Detours... jeśli to wliczamy, to tak. - Zaśmiał się zawstydzony.

- To świetnie! - rzuciłam, chociaż pomyślałam zupełnie co innego. Detours był obskurnym miejscem, w którym sprzedawali najtańsze piwa i rozkręcali dymiarke tak mocno, że można było dostać astmy w pięć minut.

- Proszę, tu są rzeczy Lucasa. Przynajmniej te, których nie zabrała policja. - Postawił pudełko na stoliku kawowym. Wystawał z niego zwinięty plakat z Szekspirem.

Cała kariera nauczycielska mojego brata zmieściła się w pudełku, które trzymałam w dłoniach. Żałosny widok.

- Nie zrobił tego, o co jest oskarżony, panie Lowe.

Musiałam to powiedzieć nie tylko jemu, ale jak największej liczbie osób. Musiałam próbować działać na każdym możliwym froncie.

- Eric. Mów mi Eric. Wszyscy bardzo lubiliśmy Lucasa zarówno jako nauczyciela, jak i trenera.



Innymi słowy, sprawnie wybrnął z dzielenia się opinią na temat jego winy. Usiadł naprzeciwko mnie. Oparł łokcie na kolanach i splótł palce.

Postanowiłam przestać bawić się w kotka i myszkę i rzuciłam bez ogródek:

- Może wiesz o czymś, co mogłoby mi pomóc zrozumieć, co się tutaj dzieje?

Eric podrapał się po szyi i zaczął:

- Powiem ci to wszystko, co powiedziałem już policji. Zresztą rozmawiali z każdym członkiem personelu. Osobiście nie zauważyłem, żeby pomiędzy twoim bratem a Joanną czy którąkolwiek z uczennic działo się coś więcej. Jeżeli już, to one mu się naprzykrzały. Lucas miał w szkole fanklub wielbicielek. Sam bywałem obiektem westchnień. - Spodziewałam się znaczącego spojrzenia albo przytaknięcia, które miałyby wskazać na mnie, ale do niczego takiego nie doszło. - Ale to było niczym w porównaniu z tym, z czym musiał radzić sobie Lucas. Twój brat jest po prostu za przystojny na belfra. Kilka razy nawet pytał mnie, jak ma sobie z tym radzić. Jak dać im do zrozumienia, że nic z tego, jednocześnie nie rujnując w nich poczucia własnej wartości. Mógłbym nawet powiedzieć, że był przewrażliwiony na tym punkcie. Dlatego bardzo mnie zaskoczyło, że w ogóle padły takie oskarżenia.

Minęło kilka sekund. Liczyłam na to, że powie coś jeszcze, na przykład zdecydowanie oświadczy, że mój brat jest niewinny.

- Masz ślad uderzenia na policzku - przerwał ciszę.

- Słucham? - Przyłożyłam dłoń do policzka, wciąż czując na nim odcisk dłoni Kathy.

- Lód. Przyniosę ci lodu. Zaraz wrócę.

Wyszedł z pokoju, zanim zdążyłam go powstrzymać. Spojrzałam na stojak na broszury informacyjne. Był w połowie pusty. Znalazłam tylko kilka ulotek o HPV i sextingu. Zauważyłam na ścianie plakat z zagiętymi rogami. Zaintrygował mnie. Odwróciłam go i zobaczyłam Garretta Burke'a w pozie Wuja Sama, tyle że w niebieskiej koszulce bez rękawów, która trochę zbyt mocno opinała jego okazałe bicepsy i klatkę piersiową. Funkcjonariusz Burke zdecydowanie za bardzo się starał.

Na dole widniał napis POLICJA WAYOATY ZOBOWIĄZUJE CIĘ DO BEZPIECZNEJ JAZDY, a pod nim szczegóły dotyczące kwietniowego spotkania na temat ostrożności za kółkiem.

Hm. Ciekawe, ile razy Garrett pozował jako maskotka policji Wayoaty. Mogłabym się założyć, że małolaty przychodziły na wszystkie te wydarzenia i ochoczo ślubowały, że nie będą jeździć pod wpływem, że podczas prowadzenia pojazdu nie będą pisać SMS-ów ani pić na hejnał, że nie będą bić swoich partnerek, a na rower będą wsiadać w kasku. Jak bardzo znudzony musiał być Garrett, zanim znaleziono ciało Joanny? Czy poczuł cień ulgi, kiedy okazało się, że ma do rozwikłania sprawę morderstwa? Że wreszcie coś zaczęło się dziać?

- Opowiesz mi, co się stało? - Eric wrócił z torebką lodu.

Może dlatego, że stałam, a może dlatego, że po prostu

chciał być miły, założył mi pasemko włosów za ucho i przyłożył lód do policzka. Drgnąłam spłoszona tym nieoczekiwanym aktem dobroci. Posmutniał, jakby przestraszył się, że zrobił coś niestosownego, więc podziękowałam mu za lód i opowiedziałam w skrócie, co wydarzyło się na konferencji prasowej. Oczywiście przedstawiłam siebie w o wiele lepszym świetle.

- Kathy potrafi być... nie powinienem tak mówić. Ale ona po prostu jest... jak to powiedzieć? No, ma silną osobowość. Zawsze taka była, zanim straciła Joannę. - Zrobił minę, jakby potrzebował zachęty do dalszego mówienia.

- Co masz na myśli? - spytałam, czując, jak moja twarz powoli drętwieje.

- Chodzi mi o to, że lepiej nie wchodzić jej w drogę, nawet jeśli ma dobry dzień.

- Tak, Kathy ma niezłą parę. Często to robi? Ucieka się do rękoczynów?

Bardzo chciałam, żeby powiedział o niej coś złego, ale jednocześnie bałam się, że usłyszę: „Nie, bije tylko siostry podejrzanych o morderstwo”.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. Kathy jest po prostu agresywna. Kiedy Joanna jeszcze żyła, ciągle łąziła za nią, torując córce drogę przez przeszkody. Potencjalne przeszkody, że tak powiem. Za to jej ojciec, Ian Wilkes, nie sprawiał żadnych problemów. Rzadko go widywałem.

Potrafiłam to sobie wyobrazić. Ian stał beczynn timer, kiedy Kathy wymierzała mi policzek. Sprawiał wrażenie słabego, pulchnego i przerażonego facecika, który bezradnie spogląda

zza okularów.

- Ale ona rządziła. Na przykład kiedy okazywało się, że Joanna może nie dostać głównej roli w szkolnym musicalu, Kathy Wilkes wymuszała na nauczycielu prowadzącym kółko teatralne, żeby ją dostała. Wygląda na to, że Wilkesowie trzęsą tym miastem, prawda? Myślę, że gdyby Kathy nie była właścicielką jedynej, czyli bezkonkurencyjnej szkoły tańca w Wayoacie, Joannie z pewnością byłoby ciężiej w życiu.

Nagle przypomniało mi się, że Kathy prowadzi szkołę tańca Shooting Stars. Mieściła się na drugim piętrze centrum handlowego. W nocy, kiedy w środku zapalano światła, można było dostrzec z zewnątrz dziewczęta w strojach do ćwiczeń i końskich ogonach mocno upiętych z tyłu głowy. I wędrującą wśród nich Kathy, która korygowała każdy ruch ich rąk i nóg.

- Czy Joanna przychodziła do ciebie? - zapytałam, powtarzając w myślach: „Proszę, niech się okaże, że tak, ze względu na niechcianą ciążę z jakimś młokosem”.

- Tak, byłem jej kuratorem.

- Kuratorem?

- Tak... Nie było tajemnicą, że tuż przed przerwą świąteczną w szafce Joanny znaleziono marihuanę. Zapewniała, że tylko ją przechowywała dla swojego chłopaka, ale wszyscy w mieście wiedzieli, że jej chłopak był szkolnym dilerem.

- Miała chłopaka? - przerwałam.

- Tak, nazywa się Dylan Yates, lokalny bandziorek. Ma dziewiętnaście lat, powinien skończyć szkołę w czerwcu

zeszłego roku, ale został wydalony po tym, jak przyszedł do szkoły z nożem. Popisywał się, lubił zabawy w gangstera.

A więc Joanna miała swoją drugą, mroczną stronę? Nie była tylko ambitnym niewiniątkiem, o którym czytałam w nekrologu. Była w ciąży i umawiała się z dilerem narkotyków. To dobrze. Miałam drugiego podejrzanego.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Przepraszam na chwilę - rzucił Eric i otworzył zapłakanej dziewczynie w tank topie i krótkich spodenkach.

Na nogach i ramionach miała strupy po sznytach. Pokazała Ericowi ślady po nowej porcji skaleczeń, z których tryskała krew. Eric wkroczył do akcji. Kazał mi zatamować rany masą chusteczek i popędził nas obie w stronę pokoju pielęgniarstwa. Zza pleców dziewczyny wyszeptał jeszcze raz:

- Przepraszam - i popędzili wzdłuż korytarza.

Kiedy dobiegali do pokoju pielęgniarek, zwolniłam kroku i wymknęłam się ze szkoły. Nie chciałam spotkać nikogo znajomego.

Jeździłam po okolicy, szukając mojego brata, jakby był zgubionym pieskiem. Długo walczyłam z pokusą, żeby otworzyć okno i zacząć krzyczeć jego imię. Kiedy podjechałam pod mieszkanie Lucasa, uświadomiłam sobie, że zapomniałam zabrać ze szkoły jego rzeczy.

- Do jasnej cholery - mruknęłam. Nie chciałam tam wracać.

Córka dozorczy wjechała na parking starym kombi, robiąc kilka kangurków. Szarpnęło nią do przodu, ale po chwili wyprostowała się i manewrując w przód i w tył, dość

nieudolnie zaparkowała. Wysiadła z samochodu z dwiema plastikowymi torbami zakupów (oczywiście z logo Harold's Grocers) i trzasnęła wykończonymi sklejką drzwiami.

- Jesteś za młoda, żeby prowadzić.

Bailey wzruszyła ramionami, udając niewzruszoną, chociaż widziałam, jak nerwowo rozglądała się po parkingu.

- Wystarczy, że umiem. To nic wielkiego. Niedługo i tak zrobię prawo jazdy - odparła, szamocząc się z siatkami.

Jej własnoręcznie obcięte szorty były za krótkie, a wypełnione drobniakami kieszenie zwisały wzdłuż frędzli jak sakwy, którymi zawsze obładowani są bezdomni. Biedna dziewczyna. Doskonale wiedziałam, jak to jest musieć być dorosłą, bo prawdziwy dorosły śpi cały dzień na kanapie otoczony kwaśnym odorem alkoholu.

- Pomóc ci? - W jednej z toreb miała trzy butelki coca-coli. Czuję zbliżającą się katastrofę w postaci pękającej siatki.

- Nie, nie jest ciężka.

Podniosła ręce, żeby zademonstrować, jaka jest silna. Ten pokaz brawury potwornie mnie przygnębił. Chciałam spakować ją w samochód i zawieźć prosto na spotkanie DDA, gdzie próbują pomagać dzieciom alkoholików.

- Następnym razem, gdybyś potrzebowała podwózki do sklepu czy gdzieś indziej, mów śmiało. Dopóki tu jestem, chętnie pomogę - pochopnie złożyłam obietnicę, której nie będę w stanie dotrzymać. Ale wiedziałam, jak trudno żyć w takim bagnie, i sam fakt, że ktoś to dostrzegał, mógł przynieść ulgę.

- Po co? Umieję jeździć. Serio. - Odrzuciła głowę w tył,

ewidentnie urażona moją propozycją.

- A co, jeśli cię złapią? Jeszcze stracisz możliwość zdobycia prawa jazdy - skwitowałam, kiedy wchodziłyśmy do budynku.

- Przecież nie jeżdżę często. - Przewróciła oczami, w których dostrzegłam cień smutku.

- Po prostu bądź ostrożna - zakończyłam moje pouczenia.

W holu pan Wydęte Policzki, wielbiciel pożerania wzrokiem nastolatek, zaglądał do skrzynki pocztowej. Bailey spojrzała na niego nieufnie.

- Dobrze, dobrze - rzuciła przez ramię i zniknęła w korytarzu prowadzącym do biura dozorczy.

Wydęte Policzki wszedł za mną do windy i wcisnął guzik pierwszego piętra. (Po co wjeżdżać windą jedno piętro?). Miał na sobie beżowe spodnie dockersy i niebieski T-shirt z nadrukiem IT SPECIALIST zrobionym żółtą czcionką à la SWAT. Rzuciłam okiem na magazyn, który zwinął w rulon i trzymał w ręku. Spodziewałam się, że będzie to jakieś porno z wyższej półki, ale zobaczyłam katalog broni i amunicji.

Odwrócił się do mnie i westchnął:

- Ale gorąco!

Zrobił to tak teatralnie, że poczułam, jak nagła fala powietrza poruszyła moje włosy.

- To prawda - odpowiedziałam, nie nawiązując kontaktu wzrokowego. Miało to znaczyć, że nie jestem zainteresowana rozmową, ale niestety Wydęte Policzki odebrał to jako zielone światło do gapienia się na mnie. Normalnie sama zaczęłabym się na niego gapić (dlaczego tylko ja mam się

czuć niekomfortowo?), ale coś podpowiadało mi, że nie jest to dobry pomysł. Może ciasnota windy? A może skórzany pokrowiec, który ten koleś miał przyczepiony do paska? Taki, w którym przeważnie nosi się noże.

- Dopiero się wprowadziłaś, co nie?

- Tak...

Zastanawiałam się, czy robił sobie ze mnie żarty, czy po prostu nie był na bieżąco z wiadomościami. Ciężko było to stwierdzić.

- Mhm - rzucił pod nosem. Wreszcie w ślimaczym tempie zaczęły otwierać się drzwi, ale zanim wysiadł, położył palec na guziku otwierania drzwi i dodał: - Jestem Dale Burton, mieszkam w 2D. Jeśli kiedykolwiek byś czegoś potrzebowała, he, he, no wiesz, czegokolwiek, po prostu, wpadnij do mnie.

Zaczął nucić piosenkę z *Three's Company*<sup>[4]</sup>, ale nie było w tym nic uroczonego. Nachylił się do przodu w półukłonie, przy okazji baczenie mi się przyglądając. Nie uśmiechnął się. Kiedy drzwi windy zamknęły się, usłyszałam złośliwy śmieszek.

O osiemnastej obejrzałam samą siebie w wiadomościach, pijąc burbona z barku brata. Widać było, jak bardzo jestem zestresowana. Do tego wyszłam na przesadnie lojalną, jakbym miała klapki na oczach. Jak te wszystkie matki seryjnych morderców, które wciąż wierzą, że ich synkowie są niewinni, mimo że za każdym razem, kiedy na sali sądowej opisuje się ich zbrodnie, uśmiechają się pod nosem.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie Lucasa. Zastanawiałam się, kto je wybrał. Zostało zrobione podczas treningu hokeja.



Lucas miał zapiętą pod szyję kurtkę Bulldogsów i naciągniętą na oczy klubową czapkę z daszkiem, która leżała na stoliku tuż pod moim nosem. Patrzył na lód z grymasem na twarzy.

Zdjęcie zostało zrobione, gdy Lucas był stypendystą Ferris State (niestety jego sportowe marzenia zakończyła kontuzja kolana). Potem pokazano kolejne zdjęcie, na którym byli Zoey i Lucas. To samo, które Zoey pokazywała mi dzień wcześniej. Zostało zrobione w Dzień Świętego Patryka. Lucas nagle wydał mi się o wiele starszy niż ona. Pierwsze zmarszczki uwydatniło mocne światło flesza w telefonie. Miał czerwone oczy, a na czole strużki potu przepełnionego alkoholem i żądzą. Nie pomogło też (dlaczego mi to wcześniej umknęło), że Lucas gapił się na biust Zoey. Nagłówek głosił: BYŁA UCZENNICA.

Lektor powiedział, że inne uczennice zgłosiły, że pan Haas składał im niemoralne propozycje. Zakrztusiłam się burbonem.

- Co do cholery?! - krzyknęłam w stronę ekranu. Czułam się, jakby ktoś wrzucił do pokoju odbezpieczony granat, a ja nie miałam gdzie się przed nim schować. Nie dało się już nad tym zapanować. Mój brat bliźniak, jego życie, reputacja - wszystko to legło w gruzach na moich oczach.

Na ekranie pojawiła się sylwetka dziewczyny, która chciała pozostać anonimowa. Cyfrowo zmienionym głosem opowiedziała o tym, jak pan Haas zaprosił ją do kantorka, pytał, czy ma chłopaka, mówił, że jest piękna, i dotykał jej piersi.

Ta dziewczyna kłamała. Kantorek był zagraconym

śmierdzącym pomieszczeniem. Ledwie mieściła się tam jedna osoba, a co tu dopiero mówić o dwóch. Nie wspominając już o tym, że nikt nigdy nie zamykał drzwi, a nawet gdyby je zamknięto, w pomieszczeniu było okno. To było jedno z gorszych miejsc w szkole, żeby kogoś molestować. Dlaczego Lucas miałby zabrać ją tam, a nie do łazienki dla personelu, jego klasy, w której mógł zamknąć drzwi na klucz, albo na zaplecze w bibliotece? Tam szanse na to, że ktoś go nakryje, były o wiele mniejsze. Kantorek nie miał żadnego sensu.

Historię zakończyło ujęcie Wilkesów, którzy stali w kręgu i odmawiali modlitwę. Dołączony był podpis:

RODZINA POGRAŻONA W ŻAŁOBIE MODLI SIĘ  
O SPRAWIEDLIWOŚĆ

Na ekranie pojawił się numer telefonu na gorącą linię. Lucas został zakwalifikowany jako niebezpieczny.

Od razu chwyciłam słuchawkę i zadzwoniłam do Garretta. Odpowiedział z przesadną troską:

- Słucham, Mio.

- Te dziewczyny kłamią. Nie wierzysz im, prawda? Kantorek?! Bez przesady! Kantorek w Westfield jest gorzej zagracony niż schowek w domu kolekcjonera!

Szkoda, że nie przemyślałam, co powiedzieć, zanim do niego zadzwoniłam. To były zwyczajne pijackie myśli. Skup się, dziewczyno! - nakazałam sobie, po czym oznajmiłam:

- Czy wiedziałeś o tym, że były jeszcze inne dziewczyny, kiedy zapraszałeś mnie na konferencję?

- Wiesz, że nie mogę z tobą o tym rozmawiać. A jak twoja

szczęka?

- Doprawdy? A o czym MOŻESZ ze mną rozmawiać? - Z trudem się powstrzymałam, żeby nie dorzucić „dupku”. Spokojnie. Wdech, wydech. Musiałam udawać, że się przyjaźnimy, bo tylko tak mogłam wydobywać od niego informacje i sprawić, żeby nie trafił na mojego brata. Nie żebym miała Garretta za głupka, był zdecydowanie mądrzejszy od Prudena, ale musiałam zachować przy nim ostrożność. I niezbyt rozsądnie wychyliłam resztę zawartości kieliszka.

- Bardzo mnie boli szczęka. Dziękuję, że pytasz. Ale wracając do tematu, jesteś pewien, że ta dziewczyna nie próbuje zwrócić na siebie uwagi? Tak jak Josh Kolton. Nie wierzę, że Lucas zaprowadzał dziewczyny do kantorka i dotykał ich piersi. A poza tym czy on ma dwanaście lat? Stałby tylko jak cielę i dotykał piersi?

- Sugerujesz, że powinien posunąć się dalej?

- Sugeruję, że to wszystko bzdury! Ta historia nie ma żadnego sensu. Skoro zabił Joannę, czemu nie zabił pozostałych dziewcząt? Czemu?

Garrett zaczął mówić, że tylko Lucas może znać odpowiedzi na takie pytania, więc mu przerwałam:

- Lucas nigdy nie był agresywny. Nie jestem w stanie sobie tego nawet wyobrazić, po prostu nie potrafię. Nie wierzę, że mógłby zrobić coś takiego! Prędzej uwierzyłabym, że połowa ludzi to kosmici. Wiesz, że Lucas bał się widoku krwi? Jest hemofobem! - Język mi się zaplątał, lekko zawiesiłam się na słowie „hemofob”, które zabrzmiało raczej jak „homofob”.

I bardzo żałowałam, że zadzwoniłam do Garretta po trzech burbonach. Kto normalny wydzwania do policjantów pod wpływem alkoholu?

- HE-mofobem. Boi się widoku krwi - spróbowałam ponownie i tym razem zabrzmiałam wyraźniej. Co prawda Lucas wcale nie bał się krwi aż tak bardzo, żeby mdleć, ale Garrett nie musiał o tym wiedzieć.

- Piłś?

- Tak, oczywiście, że piłam. A co mi pozostaje, biorąc pod uwagę okoliczności?

Zapadła cisza. Prawdopodobnie Garrett zastanawiał się, jak to rozegrać. Czy powinien przestać zgrywać mojego przyjaciela i nawrzeszczyć na mnie za to, że wydzwaniem po pijaku, czy może zachować zimną krew i udawać, że wszystko między nami w porządku, ale tylko dlatego, że liczył na to, że wyjawię mu coś, o czym jeszcze nie wiedział.

- Skoro jesteś pod wpływem, to może nie powinniśmy rozmawiać na ten temat?

- A o czym innym mielibyśmy rozmawiać?

- Hm, sam nie wiem. Pamiętasz idiotyczny zakaz pana Arkina? Że wolno nam grać tylko w *The Oregon Trail*, a inne gry są zakazane? Był przekonany, że każda inna gra, łącznie z *Mario Kart*, miała sekretny poziom pełen pornografii i przemocy, i że znajdujemy się o krok od wejścia na ten poziom, bo wszyscy znamy do nich kody! Ten człowiek był strasznie religijny...

Zamierzał się do mnie zbliżyć? Może nawet wspomnieć o naszym pocałunku? Wyobraziłam sobie, jak Pruden mówi

mu, że dobrze zna te kobitki o nazwisku Haas. Lubią, kiedy poświęca się im uwagę.

- Garrett... - spróbowałam mu przerwać, ale udał, że mnie nie słyszał.

- O ile dobrze pamiętam, byłaś nie do pobicia w zabijanie byków. Zgadza się? Powinnaś za to trafić do więzienia.

Uśmiechnęłam się pod nosem, ale powiedziałam tylko:

- Proszę cię, przestań.

Garrett westchnął z rezygnacją i rzucił:

- Dobrze, Mio. Przykro mi, ale nie jestem w stanie na tym etapie powiedzieć, czy te dziewczyny kłamią. Trzy z nich złożyły pozew. Sprawdzamy, czy oskarżenia mają podstawy.

- Mówił to z taką czułością, że zrozumiałam, że policjanci wierzą dziewczynom na słowo. Właściwie czemu mieliby im nie wierzyć na tym etapie? - Wiem natomiast, że w kantorku nie panuje już taki bałagan jak kiedyś. Co więcej, to już całkiem inny kantorek, bo został przeniesiony do pomieszczenia przy jednej z sali do ćwiczeń.

- Kantorek został przeniesiony... - powtórzyłam jak echo, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszałam. Świetnie. Bez sensu się mądrzyłam. - A co z chłopakiem Joanny, z Dylanem Yatesem? Tym kandydatem na gangstera. On nie był podejrzany?

- Dylan przebywał z ojcem w dniu zaginięcia Joanny. Był jednym z pierwszych podejrzanych, których wykluczyliśmy.

- Bo nigdy nie spotkaliście ojca, który skłamał dla dobra swojego dziecka?

- Nie, dlatego, że jego ojciec jest mechanikiem, który

prowadzi warsztat przy Jedenastej Alei, a Dylana widzieli tam przechodnie i klienci.

Wypuściłam z ręki słuchawkę, zakryłam dłońmi usta i zaczęłam głośno płakać.

- Jesteś tam, Mia? Wszystko w porządku? - usłyszałam głos Garretta z okolic kolan. Miałam ochotę wcisnąć przycisk „zakończ rozmowę”. Tak bardzo chciałam to wszystko zakończyć. Wszystkie te oskarżenia i to, że nie wiedziałam, gdzie jest mój brat. I chciałam wyjechać z Wayoaty. Jednak podniosłam słuchawkę.

- Czy Joanna Wilkes była w ciąży? - palnęłam bez zastanowienia. Pijacki, głupi bełkot, który w niekontrolowany sposób wydobył się z moich ust.

- Kto ci o tym powiedział?! - pisnął Garrett.

Cholera. Znów usłyszałam w głowie głos Mimi: „Skarżypyta, skarżypyta”.

Tym razem się rozłączyłam. Głos Garretta umilkł. Nie mogłam uwierzyć w to, jak bardzo schrzaniłam. Chryste, co ja narobiłam? Wyobraziłam sobie, jak Lucas wścieka się na mnie z za więziennych krat:

- Wyjašnjmy to sobie. Popijałaś MOJEGO burbona z MOJEGO barku w MOIM mieszkaniu, po czym zadzwoniłaś do gliniarza i oznajmiłaś mu, że zrobiłem dzieciaka swojej uczennicy? I ty się zastanawiasz, dlaczego siedzę w więzieniu? Co ty sobie w ogóle myślałaś?

Zeszłam na dół po wizytówkę Vanessy Lee. Przykleiła się do dywanika przy tylnym siedzeniu do plamy lepkiego soku zostawionej przez poprzedniego najemcę. Zgodziłam się na

wywiad, spotkamy się rano. Ta historia miała drugie dno (takie, że Lucas był niewinny), a Vanessa chciała je opisać. Mogłam odkręcić część tych kłamstw. Musiałam odkurzyć wizerunek Lucasa - cudownego dziecka i bohaterskiego hokeisty. (O ile łatwiej by było, gdyby Lucas dostał się do Narodowej Ligi Hokeja, wtedy wszystko uchodziłoby mu na sucho. Wiadomo, ci z NHL to bohaterowie. Poza tym nikt nie uwierzyłby, że jest mordercą bez jednoznacznych dowodów. A nawet wtedy...). To była najmniejsza rzecz, jaką mogłam zrobić, żeby przekonać innych, że mój brat bliźniak nie jest mordercą.

Po skończeniu rozmowy z Vanessą zatopiłam się w wygodną kanapę mojego brata. Czułam lekką zgagę i mdłości. Zaczęłam się zastanawiać nad zażyciem lorafenu.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Skoczyłam na równe nogi. Myślałam, że to Garrett. Może gdzieś tu zaparkował i obserwował dom, czekając na Lucasa? Zarazem jakaś część mnie (zapewne ta pijana) pomyślała, że kiedy otworzę, zobaczę Lucasa. Z rękoma w kieszeniach, jak gdyby nigdy nic mówi:

- No cześć! Zobaczyłem cię w wiadomościach i pomyślałem, że lepiej będzie, jak się zjawię. Co tu się dzieje, do licha? Wiem, że policja zabroniła mi opuszczać miasto, ale nie sądziłem, że to aż takie poważne.

Tylko po co miałyby pukać do własnego mieszkania?

To był Eric. Opalony, w białym podkoszulku i niebieskich dżinsach. Przez przedramię przewiesił kask, a pod pachą trzymał pudełko z rzeczami Lucasa.

- To tutaj się zatrzymałaś?

- Na to wygląda.

- Dzwoniłem, ale może wpisywałem zły kod? Na szczęście ktoś wychodził, a ja samowolnie wtargnąłem do środka. Chciałem zostawić rzeczy pod drzwiami, ale pomyślałem, że zapukam i a nuż cię zastanę.

- Chcesz wejść? - Otworzyłam szerzej drzwi, żeby wpuścić go do mieszkania, i przy okazji opowiedziałam kiepski dowcip o wołającej o pomstę do nieba ochronie Terrace. Wróciłam na kanapę i pomachałam do niego butelką. - Ja piję. A ty? Chcesz drinka?

- Tak, chętnie się napiję. - Eric postawił pudełko z rzeczami Lucasa w garderobie. Rozejrzał się po mieszkaniu. Pewnie czuł się tutaj nieswojo. Zaczęłam się zastanawiać, czy Eric i Lucas czasami spędzali ze sobą czas poza szkołą. Wspólne piwo po pracy?

Wyjęłam szklanekę dla Erica<sup>34</sup>, nalałam mu od serca i dopiłam swojego drinka.

- Jak twój policzek?

- Już dobrze. Lód mi pomógł. Burbon zresztą też.

- Burbon i lód wyleczą ze wszystkiego. - Napił się i uśmiechnął do mnie miło.

Zrobiło mi się cieplej na sercu.

- Oglądałeś wiadomości?

- Tak. - Uniósł brwi w geście sympatii.

- Znasz te dziewczyny? Te, które twierdzą, że Lucas je molestował?

- Nie osobiście. Kojarzę je z widzenia, ale żadna z nich do



mnie nie przychodziła.

- Kim one są?

- Nie mogę powiedzieć... - Bezradnie wzruszył ramionami.

- No dobrze, w takim razie po prostu przytaknij, jeśli są histeryczkami albo szmatami, które uwielbiają być w centrum uwagi i podobne numery już robiły. - Byłam już więcej niż wstawiona. Przemawiał przeze mnie alkohol. Przestałam się pilnować.

Nie przytaknął. Zamiast tego położył dłoń na moim ramieniu i wyszeptał:

- Mia...

- Przepraszam, nie chciałam... „Szmata” to okropne słowo. Sama go nienawidzę. - Chwyciłam butelkę i napełniłam szklanki. (I to by było na tyle, jeśli chodzi o lorafen).

Eric jednym haustem uporał się z drinkiem.

- Nadrabiam. - Mrugnął do mnie i nalał sobie do pełna. Cieszyłam się, że ma ochotę się ze mną napić. - Słuchaj, może byśmy nie rozmawiali o tym przez chwilę? Tylko o czymś innym, choćby przez piętnaście minut.

- Wygląda na to, że to motyw przewodni mojego dzisiejszego wieczoru. Wszyscy wokół chcą, żebym przestała o tym mówić...

- Nie musimy, ale chciałbym na chwilę odciążyć twój umysł. To, przez co przechodzisz, jest straszne. Więc, jeśli mi pozwolisz... - Zmarszczył brwi.

- Dobrze, Eric - powiedziałam, kładąc zbyt duży nacisk na ostatnią literę. Po raz pierwszy na głos wypowiedziałam jego imię, a ponieważ zabrzmiało to trochę dziwnie,

roześmiałam się. Może odrobinę zbyt głupkowato. Spojrzał na mnie pytająco, jakby zastanawiał się, czy robię sobie z niego żarty.

- Mówię jako twój były psycholog, że może dobrze byłoby, gdybyś...

- Poszukała równowagi.

- Pamiętasz to? - zapytał zdziwiony. - O tym właśnie mówiłem... To dobry pomysł.

Wyciągnął z kieszeni telefon, odblokował ekran i włączył piosenkę, której nie rozpoznałam. Spodziewałam się agresywnego indie rocka z mrocznymi, zapętlonymi gitarami i rozmytymi wokalami, ale muzyka była o wiele łagodniejsza i bardziej emocjonalna.

- Opowiedz mi, jak ci się żyje w Chicago.

- Świetnie. A może ty mi powiesz, co tu jeszcze robisz? - rzuciłam, ale zauważyłam, że opróżniliśmy już całą butelkę, więc poszłam do barku i otworzyłam drugiego Jima Beama. Nigdy nie piłam tak dużo. Kiedy byłam w college'u, znajomi podziwiali moją umiejętność samokontroli.

- Tylko tyle? Wypiłaś tylko jednego drinka? - pytali.

A ja kiwałam głową i odpowiadałam z nutką wyższości w głosie:

- Mam słabą głowę - chociaż tak naprawdę odpływałam na ocean rauszu plastrów z fentanylem.

Po alkoholu człowiek robi się niezdarny, a stosowane pod opieką farmaceuty leki czynią cię lepszą wersją samego siebie.

Ale tego wieczoru byłam skazana na smutny los niezdary.

- Przez jakiś czas mieszkałem gdzieś indziej - odparł Eric.  
- Niedługo po tym, jak skończyłaś szkołę. Postanowiłem wyjechać na dwa lata do Los Angeles i tam spróbować szczęścia. Zostałem na miejscu tylko rok. Moja żona zaszła w ciążę i chciała wrócić tutaj.

- Jesteś żonaty?

- Byłem. Rozwiedliśmy się.

- Ale masz syna? Albo córkę?

- Niestety nie. Żona poroniła niedługo po tym, jak wróciliśmy do Wayoaty. Obwiniła mnie za wszystko. To znaczy nie za to, że poroniła, ale uważała, że za mało się tym przejąłem, chociaż wiedziała, że nie chciałem mieć dzieci. Nie wtedy... - Eric zawiesił głos.

- Dlaczego nie wróciłeś do Los Angeles?

- Nie wiem. To znaczy wiem, tylko ciężko mi mówić o tym otwarcie. Najpierw próbowałem wrócić do swojej dziewczyny, a potem wykorzystałem to jako pretekst, żeby zostać w Wayoacie. Dobrze mi tutaj. Wiem, co mam robić. W wielkim świecie przeraził mnie ogrom niewiadomych. Poczulem się na to za stary.

- Przyznam, że ja też nie prowadzę w Chicago życia jak z bajki. Jestem farmaceutką. Przepracowaną farmaceutką.

Eric skwitował moje słowa pobłażliwym uśmiechem.

Po kolejnym drinku nasza rozmowa zeszła na temat mojej klasy. (Eric zaskoczył mnie doskonałą pamięcią na temat moich kolegów i koleżanek. Nie byłam pewna, czy powinnam być pod wrażeniem, czy raczej mu współczuć). Gierka „co oni teraz porabiają?” niosła niewiele niespodzianek i okazała

się smutna. Kiedyś czytałam, że to, co twój nauczyciel napisze o tobie w sprawozdaniu rocznym po ukończeniu pierwszej klasy, w późniejszym życiu często się spełnia. Jeśli jesteś cichy i wycofany jako sześciolatek, ludzie tak samo ciebie opisują, kiedy skończysz czterdziestkę. Cieszyłam się, że Mimi nie należała do matek, które zostawiają po sobie tylko takie pamiątki.

Rozsiedliśmy się wygodnie na kanapie i poddaliśmy się relaksacyjnej ciszy. Minęła już chyba godzina, od kiedy Eric tu się zjawił.

W końcu powiedział:

- Myślałem o tobie przez wiele lat.
- Trudno mi w to uwierzyć.
- Naprawdę - powiedział zaskoczony. - Wiedziałaś, co robisz. Tak sądzę, taką ciebie widziałem. Byłaś dojrzała, nie zaprzętałaś sobie głowy tymi wszystkimi duperelami, które zazwyczaj pochłaniają dorastające dziewczęta. Miałaś w sobie coś, wiedziałem, że sobie poradzisz.
- Nie sądzę, żeby w drugiej klasie liceum była choć jedna dziewczyna, która wie, co robi.
- Ty wiedziałaś.
- Chyba pomyliłeś mnie z kimś innym.
- Nie, skądże, mówię o tobie. A poza tym świetnie wyglądasz. Mówiłem ci już o tym? - Wyciągnął dłoń i zaczął bawić się moimi włosami. Był pijany.

Palnęłam coś głupiego w stylu, że on też dobrze wygląda i że na pewno jego dziewczyna pęka z zazdrości, że tyle młodziutkich dziewczyn się za nim ugania.

Uśmiechnął się.

- Nie mam dziewczyny. Chwilowo jestem samotny. A ty? Czeka na ciebie w Chicago ktoś wyjątkowy?

Byłam już na tyle odurzona alkoholem, że tylko częściowo uczestniczyłam w tym, co się działo. Obraz rozmywał mi się przed oczami.

- Nie - odparłam. - Nie spałam z nikim od ostatniego rozstania.

- Trudni mi w to uwierzyć. - Przysunął się bliżej.

Poduszki kanapy zapadały się, więc mimowolnie też zbliżyłam się do niego. Uśmiechnął się, położył dłoń na moim policzku i pocałował mnie. Pachniał cytrusowym mydłem i smakował whisky. Nachyliłam się bliżej, a on zaczął całować mnie po szyi. Objął dłonią tył mojej głowy, delikatnie złapał za włosy. Poruszył drugą ręką delikatnie, nieśmiało, czekając, aż dam mu sygnał, że nie chcę iść dalej. Chciałam. Chciałam jego. Chciałam pana Lowe'a.

Pocałował mnie drugi raz, a ja poczułam ogarniającą mnie miłość i żądzę, potrzebę dorosłych ludzi. Sięgnęłam do dzinsów Erica, a on zdjął koszulkę, po czym uniósł mój tank top i biustonosz, a potem objął moje piersi. Zaczął całować sutki i wsunął dłoń pod bieliznę. Nawet nie wiem, kiedy zdjął ze mnie spodnie i zanurzył się między moimi udami. Cały pokój zawirował. Po chwili znowu poczułam jego język w ustach i posmakowałam samej siebie.

Poprowadziłam go do środka. Objęłam go nogą, a drugą oparłam o ziemię, kiedy we mnie wchodził. Na początku był delikatny, po chwili nabrał mocy. Poczułam, jak skórzana

kanapa wilgotnieje od naszego potu. Moja głowa delikatnie zderzała się z jej oparciem. Słyszałam tylko bicie swojego serca i ciepły oddech Erica, kiedy doszłam, a kilka sekund później wygiął się konwulsyjnie.

Gdy było już po wszystkim, poczułam mdłości i obrzydzenie. Pomyślałam o jedynej osobie, która byłaby zdolna do czegoś takiego. Oczywiście Mimi. Tylko ona mogłaby to zrobić. Mój brat zaginął, a ja korzystam z okazji i zaciągam do łóżka psychologa szkolnego, a zarazem kolegę Lucasa z pracy. Włożyłam biustonosz i tank topa. Nie miałam problemów ze znalezieniem dzinsów – nie zdążyłam ich do końca zdjąć. Eric przyglądał mi się przez chwilę. Było zbyt ciemno, żebym mogła stwierdzić, czy myślał, że odwracam się od niego zła i wystraszona, bo uznałam, że mnie wykorzystał.

- Wszystko w porządku? - zapytał, wciągając spodnie. Usiadł prosto, bez koszulki, a ja się ucieszyłam, że nie zaczął przeproszać. Przytaknęłam, chociaż musiał zobaczyć, że coś jest nie tak, bo po chwili zapytał: - Chcesz, żebym poszedł do domu?

Kiwnęłam przecząco głową.

Wyciągnął do mnie dłoń, złapał za szlufkę od spodni i pociągnął z powrotem na kanapę. Pozwoliłam mu. Zasnęliśmy bez koca przytuleni do siebie.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

## *Dzień czwarty*

### *Sobota*

Kilka godzin później spotkałam się z Vanessą Lee w małej kawiarni Daily Grind. Właściciele podjęli szereg prób, żeby odtworzyć w niej wielkomiejski klimat. Menu było rozpisane kredą na dużej czarnej tablicy, oświetlenie było delikatne, lampki żółte i niebieskie. W głębi stało kilka kanap. Wnętrze było sympatyczne, ale prawie puste. To pewnie sprawka niedawno otwartego Starbucksa.

Przyjechałam piętnaście minut przed czasem, bo chciałam wybrać stolik, przy którym usiadziemy. Niepotrzebnie się pośpieszyłam, ale nie wiedziałam, że poza nami prawie nikogo nie będzie, więc wybór miałam ułatwiony. Zająłam stolik w aneksie niedaleko toalet, potem popijałam mocną kawę i rozmyślałam nad wydarzeniami wczorajszej nocy. Kiedy się obudziłam, Erica już nie było. Na stoliku, tuż obok czapki Bulldogsów Lucasa, zostawił napisany na odwrocie rachunku ze stacji benzynowej liścik:

MUSIAŁEM WYJŚĆ. NIE CHCIAŁEM CIĘ BUDZIĆ. MAM NADZIEJĘ, ŻE JESZCZE SIĘ SPOTKAMY.

E.

Zastanawiałam się, czy w innych okolicznościach czułabym

się tak samo, myśląc o tym, co zaszło. Czy z młodzieńczą lekkością zadzwoniłabym do koleżanki, żeby rozwodzić się nad tym, jaki to wspaniały facet z tego Erica, i opowiedzieć ze szczegółami przebieg wczorajszej nocy (oczywiście tymi, które pamiętałam)? Czy analizowałabym każde słowo liściku, który zostawił (naprawdę chciał się spotkać czy było to tylko kulturalne pożegnanie)? A może czułabym rozczarowanie, bo prawdziwy Eric okazał się nie tak wyjątkowy jak ten, o którym fantazjowałam jako nastolatka (ale bez wycieczek motocyklem po wertepach i bez serenad na gitarze)? Tymczasem już przy pierwszych fizycznych oznakach ekscytacji mój żołądek zwinął się w kłębek, a mnie ogarnęło poczucie winy ostre jak brzytwa.

Wsunęłam palec do opakowania tabletek, które trzymałam w torebce. Przełknęłam gorzką ślinę akurat w chwili, gdy Vanessa wchodziła. Wyglądała świeżo, miała na sobie błyszczącą bluzkę i spódnicę w kształcie litery A i od razu uświadomiłam sobie, że nie udało mi się zamaskować makijażem podkrążonych oczu i typowych dla kaca rozszerzonych porów na skórze. Na szczęście wywiad był dla prasy drukowanej, więc nie miało to większego znaczenia.

Po zamówieniu kawy Vanessa próbowała wstępnych pogaduszek, ale jedyne, co byłam w stanie wydusić z siebie na temat aktualnej fali upałów, ograniczało się do pojedynczych słów. Na szczęście szybko się poddała i przeszliśmy do rzeczy.

- Będę nagrywać naszą rozmowę, dobrze? - zapytała, kładąc telefon na środku stołu.



- W porządku, ale najpierw chciałam zapytać, dlaczego uważasz, że powinnam rozmawiać akurat z tobą. Mówiłaś, że chcesz pokazać „przeciwstawny” punkt widzenia. Co to będzie oznaczało dla mojego brata?

- Chcę napisać polemiczny artykuł, taki w kontrze. Oznacza to tyle, że zamierzam poszukać innych możliwych rozwiązań. W tym przypadku postawię tezę, że ktoś inny zamordował Joannę.

- Dlaczego? - Starłam się przyhamować nagły przyływ ekscytacji. Musiałam mieć pewność, że nie dam się zrobić w wywiad na wyłączność, którego autorka przekreśli moje słowa.

- Będę z tobą szczerą. Artykuł, w którym napiszę coś zupełnie przeciwnego niż wszyscy inni, wzbudzi więcej zainteresowania. Kilka lat temu osoba, z którą studiowałam, dostała Pulitzera za serię artykułów stojących w kontrze do głównego nurtu, demaskując partactwo policji w równie małym jak Wayoata miasteczku. W tej historii widzę potencjał do napisania czegoś podobnego.

Świetnie. Jeśli Vanessa też miała na tym skorzystać, wszystko było na swoim miejscu. Usiadłam wygodnie i opowiedziałam o wypadku mojej matki. O urazie głowy, czarnej rękawiczce i niekompetencji Prudena. Opowiedziałam tę historię tak, jak zrobiłby to Lucas. „Ktoś ustawił to wszystko tak, żeby wyglądało na wypadek”.

- Czarna rękawiczka! Brakuje tylko O.J.!<sup>[5]</sup> - skomentowała, chociaż odniosłam wrażenie, że napomknięcie o rękawiczce ujęło mi wiarygodności. Było

zbyt proste. – Ale twoja mama przeżyła? Jak się czuje?

– Żyje, ale doznała poważnego urazu mózgu. Mieszka w domu opieki.

Vanessa posmutniała, a ja zaczęłam bawić się torebką z cukrem.

– Czyli miałaś już problemy z komisariatem policji w Wayoacie?

– Nawet gdybym nie miała, policjanci zawężili śledztwo do mojego brata, kierując się głównie zasłyszаныmi plotkami.

– No tak, ale przecież uciekł. Mamy też historię wymiany SMS-ów o romantycznym wypadzie za miasto. – Vanessa stuknęła o żółty kamionkowy kubek solidnie wyglądającym pierścieniem zaręczynowym. Musiała już wyrobić sobie taki nawyk, żeby zwracać uwagę znajomych.

– Czytałaś tę wymianę SMS-ów? – zachnęłam się.

– Przepraszam, nie chciałam się sprzeczać. Widzisz? Zawsze stawiam się w kontrze. Ale nie, nie czytałam, policja nie ujawniła wszystkiego. Pracuję głównie z tym, co zasłyszałam, co oznacza, że masz rację. Policja buduje swoją teorię tylko na tym, że Lucas niespodziewanie zniknął, oraz na pogłoskach i plotkach uczniów o tym, że widzieli Lucasa i Joannę w miejscach, w które nie powinni udawać się tylko we dwoje. Ciało Joanny przez trzy tygodnie znajdowało się częściowo pod wodą, co mogło znacznie utrudnić poszukiwania DNA. W dodatku wiem z pewnych źródeł, że kiedy policja je znalazła, nie zabezpieczyła odpowiednio miejsca zbrodni, więc wszelkie dowody oparte na DNA mogą zostać skutecznie podważone.

Poczułam, jak wnętrzności przewracają mi się w żołądku. DNA. Ten cholerny, zaklęty pocisk, który leciał prosto na mnie. Liczyłam na to, że Vanessa miała lepsze źródło niż chłopak, który znalazł ciało Joanny.

- Opowiedz mi o Lucasie. Jaki on jest? - poprosiła Vanessa, wciskając przycisk nagrywania.

Postanowiłam, że zrobię z niego świętego.

- Bardzo troszczy się o naszą matkę. Jest bardzo delikatny. Kocha sport, kocha uczyć, kocha młodzież, to znaczy kocha, ale w tym sensie... Czy wspominałam już, jak bardzo troszczy się o naszą matkę? Nigdy, przenigdy nikogo by nie skrzywdził. Nigdy nie był z tych, którzy lubili natrzeć siostrze uszu. To, żeby wszyscy go lubili, postawił sobie za cel życiowy.

- W takim razie jak myślisz, dlaczego uciekł?

- A jaki miał wybór? Był nękanym przez policję i czuł się zagrożony przez ludzi, którzy usłyszeli kilka plotek. Zdemolowano jego samochód. Uciekł, bo obawiał się o swoje życie. Jak inaczej miał postąpić? - Byłam zaskoczona, że mówiłam tak pewnym tonem, bo wcale nie wierzyłam w to, co mówiłam. Nie sądzę, żeby Lucas uciekł, bo czuł się zagrożony. Wolałby zostać i pomóc w śledztwie, nawet jeśli było nieobiektywne i wszyscy myśleli, że to on popełnił zbrodnię. Prędzej by go to zmotywowało, niż zniechęciło.

- Rozumiem. To będzie dobry cytat. A jak myślisz, dlaczego jeszcze się z tobą nie skontaktował?

To było kluczowe pytanie, które doprowadzało mnie do szału za każdym razem, kiedy spoglądałam na telefon:

„Dlaczego jeszcze nie zadzwonił?”. Nie mogłam powiedzieć „bez komentarza”. W ten sposób odpowiadali ludzie, którzy nie chcieli kłamać. Po raz kolejny zaczęłam popadać w panikę i snuć najczarniejsze scenariusze, że Lucas wcale nie wyjechał, tylko leżał zamknięty w zamrażalniku tuż obok upolowanej dziczyzny w mrocznej, wyłożonej boazerią piwnicy. Odepchnęłam te myśli.

- Jestem pewna, że ma swoje powody. Prawdopodobnie chce oszczędzić mi kłopotów... - Straciłam kontrolę nad głosem, na końcu pojawił się ton pytający, jakbym sama nie wierzyła w swoje wymówki.

- To ma sens. - Vanessa powstrzymała się od dodania „chyba”. Wiedziałam, że przez moment zastanawiała się, czy nie pójść dalej tym tropem, ale szczegóły, które sugerowały winę Lucasa, nie pomogą jej napisać artykułu. Poddała się. To nie miało najmniejszego sensu. Lucas powinien był do mnie zadzwonić, a ja nie znałam dobrej odpowiedzi na pytanie, czemu tego nie zrobił. - Czy myślisz, że twój brat odebrał sobie życie i dlatego nie udało ci się z nim skontaktować?

- Nie! To niemożliwe. Nigdy by tego nie zrobił. Jest niewinny. - Mówiąc to, poczułam znużenie. Przestraszyłam się, że się rozplacę, więc na koniec posłałam Vanessie jeden ze swoich najlepszych uśmiechów. Jakby jej pomysł był tak absurdalny, że aż wydał mi się śmieszny.

- A czy myślisz, że ktoś mógł skrzywdzić twojego brata? Sama wspominałaś, że mu grożono.

Opuściła głowę i spojrzała na mnie spod rzęs tak poważnie

i chłodno, że miałam ochotę wrzasnąć. Ale nie mogłam wściekać się na fakty.

- Ja... - Zaschło mi w gardle, głos się załamał. - Myślałam o tym... tak... - Zaczęłam kiwać głową: tak, tak, tak. Bo to był jedyny powód, dla którego Lucas mógł się ze mną nie skontaktować. Poczułam pieczenie w klatce piersiowej i krew uderzającą do głowy.

- Ale z drugiej strony... - beztroski głos Vanessy przerwał moje myśli i uchronił przed atakiem paniki - ...policja prawdopodobnie już by go znalazła. Morderstwa mające na celu wymierzenie sprawiedliwości przeważnie nie są tuszowane. Zabójcy chcą, żeby ludzie wiedzieli, że sprawiedliwości stało się zadość.

Przez chwilę jej się przyglądałam. O co jej chodzi?! Czułam się, jakby ktoś przeciągał mnie przez magiel.

- Też o tym myślałam - powiedziałam wreszcie, po czym wzięłam głęboki oddech i mocno potrząsnęłam głową. O czym ja myślę? Lucasowi na pewno nic się nie stało. Żył, tylko chwilowo był... no, niedostępny.

Poza tym na pewno bym wiedziała. Nawet jeśli przez całe dotychczasowe życie nie wierzyłam w mistycyzm, uświadomiłam sobie, że podświadomie wierzyłam w to, że gdyby Lucas zmarł, jakoś bym to wiedziała, całą sobą poczuła. Telepatia bliźniaczych dusz, tak to się nazywa. Przez moje ciało przeszedłby lodowaty dreszcz grozy, a ja wypuściłabym z rąk to, co akurat w bym w nich trzymała. (Wyobraziłam sobie, że to filiżanka i spodek od herbaty, której nigdy nie piłam, ale spirytualizm wydawał mi się

mocno wiktoriański). Poczulałabym ciarki, które rozwiałyby wszelkie moje złudzenia. Po prostu bym wiedziała.

Ale nic takiego nie miało miejsca.

A może po prostu zadziałało we mnie typowe dla Haasów zaprzeczenie? W tej sytuacji wydawało się całkiem wygodnym rozwiązaniem.

Kiedy stało się jasne, że milczenie Vanessy, którym starała się wymusić ode mnie więcej teorii na temat potencjalnej śmierci Lucasa, nie odnosi skutku, cmoknęła ustami i powiedziała z irytującą brawurą:

- Dylan Yates. Zakładam, że słyszałaś już to nazwisko, prawda?

- Dopiero niedawno dowiedziałam się o nim od szkolnego psychologa - odparłam, wciąż czując na sobie jego zapach.

- Nie od policji? - zapytała Vanessa, potrząsając głową, jakby to była najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszała.

- Nie, to znaczy też, ale dopiero kiedy zapytałam. Powiedzieli, że nie jest podejrzany, bo ma alibi.

- Alibi, które zapewnił mu ojciec do spółki z jego przyjaciółmi. Wiesz, że Dylan był aresztowany w lutym tego roku za włamanie się do domu Wilkesów po tym, jak Joanna z nim zerwała? - zapytała konspiracyjnym tonem. - Znaleźli go w jej garderobie, gdzie sikał do pustej butelki po coca-coli. Joanna złożyła wniosek o sądowy zakaz zbliżania się. Tydzień później znaleźli go na tylnym siedzeniu samochodu Joanny. Spał w śpiworze.

- Nie wiedziałam o tym. Policja nie chce mi nic powiedzieć!

- Uderzyłam pięścią w stół. Byłam wściekła, byłam

podminowana. Za dużo w tym było emocji. Czułam, jak przez tę złość trzęsą mi się nogi. Dudniło mi w głowie: „Wiedziałam. Oprawcą zawsze jest chłopak. Wszyscy to wiedzą!”. (Ale świadomie zignorowałam fakt, że Lucas też był traktowany przez policję jako chłopak Joanny).

- To dziwne, że policja bardziej się nie skupiła na Dylanie Yatesie, biorąc pod uwagę to, że wiele razy naprzykrzał się Joannie. A może nie takie dziwne? Domyślam się, dlaczego tak się stało. Ojciec Dylana, Greg Yates, który zapewnił synowi alibi, był policyjnym szpiclem, kiedy odsiadywał sześćoletni wyrok za kradzież samochodów i przemykanie narkotyków. Pytałaś, jaki jest mój stosunek do sprawy. Teraz już wiesz. Dzisiaj po południu spotykam się z Dylanem Yatesem. - Trzy razy stuknęła pierścionkiem w kubek, jakby dzwoniła na zakończenie rundy meczu bokserskiego. - Policja jest pod dużą presją, bo wiadomo, z jakiej rodziny wywodzi się Joanna. Myślę, że przez to wszystko działają z klapkami na oczach, po prostu jak najszybciej chcą kogoś wsadzić za kratki.

Wstałyśmy. Vanessa powiedziała, żebym dzwoniła, kiedy tylko zechcę, i w geście solidarności poklepała mnie po ramieniu. Miałam ochotę rzucić się jej w objęcia. Wreszcie zdobyłam sprzymierzeńca.

Kiedy wyszłam, poczułam się o wiele lepiej. Po prostu wszystko zaczęło nabierać sensu. Były chłopak Joanny był dilerem narkotyków, a jego ojciec to kryminalista i policyjny szpicel. Lucasowi mogło grozić niebezpieczeństwo. Może miałam rację, że właśnie dlatego wyjechał? Ale to wciąż nie

tłumaczyło, dlaczego do mnie nie zadzwonił.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Napis WARSZTAT U GREGA - USŁUGI PIERWSZEJ KLASY. NAPRAWDĘ! (czy takie zapewnienia nie sprawiają, że myślimy odwrotnie?) był niechlujnie namalowany na starszym: WARSZTAT U MARSHA I SYNA. Mieścił się w brudnym budynku z dwiema bramami garażowymi. Jedna z nich była otwarta, druga do połowy zamknięta. Drzwi rolowane wisiały krzywo. Parking był zawalony zardzewiałymi samochodami, które stały na blochkach z otwartymi maskami albo już były porozkładane na części. Dostrzegłam dyspozytor gazu, który mógł, ale nie musiał być prawdziwy. Wyglądał tak bardzo retro, że mógł być tylko dekoracją. Zaparkowałam. Wciąż jeszcze miałam kaca, czułam lekkie zawroty głowy. Przyjechałam zobaczyć Dylana, jakbym potrafiła podskórnie wyczuwać, czy ktoś jest mordercą.

Obok starego hyundaia z gigantyczną płetwą stało czterech mężczyzn. Czułam na sobie ich wzrok, kiedy wysiadałam z samochodu i wchodziłam do środka. Jeden z nich kiwnął w kierunku mojego chryslera i wszyscy roześmiali się. Czekałam kilka minut, wdychając zapach sosnowych odświeżaczy powietrza. W końcu jeden z mężczyzn od hyundaia, ubrany w poplamiony smarem kombinezon, podszedł bliżej. Wytarł ręce w brudną szmatkę, stanął za szklaną ladą i kiwnął do mnie.

- Słucham? - Na kombinezonie roboczym miał wyhaftowane imię GREG. Miał około czterdziestki, był niewysoki i chudy, wilgotne włosy założył za uszy.

- Chciałabym wymienić olej.

- Ach tak? A może jeszcze glinkowanie? LUBRYKANTEM?

- Nachylił się, oparł łokcie na ladzie i przyjrzał mi się od góry do dołu, mrużąc oczy.

Kolejny mężczyzna od hyundaia stanął w drzwiach, blokując mi wyjście. Poczułam lęk.

- Nie, tylko olej.

- Będiesz wymieniać olej w wynajmowanym samochodzie?

Skąd o tym wiedział? Spojrzałam przez okno na mojego chryslera. Na tablicy rejestracyjnej miał logo wypożyczalni. Cholera.

- Chcę go doprowadzić do stanu sprzed wypożyczenia.

Chryste, leciałam na łeb, na szyję.

- Wiem, kim jesteś. Jesteś siostrą tego nauczyciela mordercy. Czego tu szukasz? - Wyprostował się, opierając się na pięściach.

- Chciałam porozmawiać z twoim synem Dylanem - powiedziałam miłym, ale asertywnym tonem głosu, który większość kobiet latami doprowadza do perfekcji.

- A po co ci mój syn? - Znowu się zaśmiał pod nosem, jakby wszystko wokół było jakimś sprośnym żartem, którego tylko ja nie zrozumiałam.

- Chciałam porozmawiać z nim o Joannie Wilkes. Jak pewnie wiesz, mój brat został oskarżony o coś, czego nie zrobił. Nawet media zaczynają o tym pisać - powiedziałam

pewnym siebie tonem akwizytora, jakbym mówiła jedyną i niepodważalną prawdę, a w każdym razie coś, co niedługo się nią okaże. Uśmiechnęłam się, próbując wypaść sympatycznie.

Greg robił coraz większe oczy. Mężczyźni tacy jak on uwielbiają poniżać kobiety. Pewnie dawał swojemu synowi rady w stylu: „Kobiety lubią uległość. Taką już mają naturę. Spójrz tylko na te romansidła, które czytają. Uwielbiają być podduszane, więc jeśli szmata zapomni, gdzie jest jej miejsce, nie wahaj się i pokaż jej, gdzie ono jest”.

Dodałam na koniec:

- Oczywiście próbuję też na własną rękę dowiedzieć się jak najwięcej o sprawie, którą policja tak spartaczyła.

- Spartaczyła? Dobre sobie! Travis, czy myślisz, że nasza policja spartaczyła tę robotę?

Travis był już w środku. Zapalił papierosa, wziął głęboki wdech i przez chwilę udawał, że zastanawia się nad odpowiedzią. Potem wypuścił dym z płuc w stronę sufitu i rzucił:

- Nie sędzę. Wydaje mi się, że tym razem policja zrobiła wszystko tak jak trzeba.

- Sama słyszysz, no nie? Travis uważa, że policja spisała się na medal - powiedział Greg i skrzyżował ręce. - Dlatego nie masz po co spotykać się z Dylanem. Zresztą nie chcę, żeby mój syn zadawał się z siostrą mordercy, bo to zbyt niebezpieczne. Takie skłonności chyba ma się w genach, prawda, Travis?

- Jak są te same geny, to chyba kazirodztwo!

- Dokładnie, Travis, dokładnie. - Greg roześmiał się gromko i wyszedł z za lady.

Zaczęłam się cofać do wyjścia, ale Greg zaszedł mi drogę. Był szybki jak błyskawica. Miałam wrażenie, że jego muskularne ciało paliło się do ataku. Zaczęłam panikować, że spotka mnie coś złego. Trzeba było kogoś powiadomić, gdzie się wybieram. Pomyślałam o Garretcie, ale z pewnością próbowałby mnie powstrzymać. Eric. Dlaczego nie nagrałam mu się na sekretarkę? Przecież Greg może skrócić mi kark, wsadzić do beczki po oleju i kazać swoim przydupasom zepchnąć mnie do rowu na jakichś bezdrożach przy autostradzie prowadzącej do Wayoaty.

Greg nachylił się blisko. Miał rozszerzone nozdrza, usta wykrzywił w okrutny uśmieszek, zęby pokryła żółtawa ślina, jakby przez cały czas do tej pory żuł tytoń.

- Trzymaj się z dala od mojego syna, ty mała zdziro. Nie będę się powtarzał - powiedział grobowym tonem, po czym mrugnął do mnie i dorzucił: - A teraz zmiataj stąd i miło spędź resztę dnia.

Szybkim krokiem opuściłam warsztat. Travis szedł kilka kroków za mną, odprowadził mnie pod sam samochód. Pozostali dwaj kręcili się wokół mojego chryslera. Myślałam, że coś zrobią, obrzucą mnie obleśnymi tekstami albo będą mi grozić, ale tylko w milczeniu świdrowali mnie wzrokiem, co było jeszcze bardziej stresujące.

Przez chwilę męczyłam się z kluczykami, bo za bardzo trzęsły mi się ręce. W końcu udało mi się zapalić samochód i wrzucić wsteczny. Wcisnęłam gaz do dechy i wyjeżdżając

stąd, uderzyłam w krawężnik.

Zatrzymałam się na parkingu i zaczęłam szukać Yatesów w książce teleadresowej w telefonie. (Udało mi się dopiero za trzecim razem, bo moje zestresowane, nieskoordynowane palce miały problemy z wygraniem walki ze słownikiem, który uparcie poprawiał „Wayoata” na „Wayne”). W końcu znalazłam dwa wyniki. Pierwszy numer był odłączony, pod drugim nikt nie odbierał. W nieskończoność słuchałam dziwnego, rzadkiego w dzisiejszych czasach sygnału. Ale przynajmniej znalazłam adres. Stwierdziłam, że najlepszy moment na rozmowę z Dylanem Yatesem był właśnie teraz, kiedy Greg przebywał w pracy. Wiedziałam też, że Greg może w każdej chwili wrócić do domu tylko po to, by upewnić się, że przyjął do wiadomości jego ostrzeżenie. To był bardzo głupi i niebezpieczny pomysł, ale musiałam dotrzeć do jego syna, zanim on to zrobi. Wiedziałam, że to ostatnia szansa, żeby wyciągnąć od Dylana coś, co mogłoby podważyć jego alibi. Nie mogłam w tej kwestii liczyć na Vanesę. Jej „punkt widzenia” zmieni się dopiero wtedy, kiedy trafi na naprawdę smaczny kąsek. Do tego czasu jestem skazana na siebie.

Rezydencja Yatesów była obłożącym z farby parterowym domkiem zbudowanym na planie pudełka od zapalek, tak samo jak dom, w którym dorastałam. Kiedy parkowałam, w mojej głowie zapaliła się czerwona lampka rzucająca komendę UCIEKAJ! Nigdy nie uważałam, że jestem odważna. Byłam z tych, którzy zamieniają się w słup soli, kiedy grozi im niebezpieczeństwo. Osłupiałam, kiedy Śliski Ricky zaczął

ocierać się o mnie wzwodem. Osłupiałam nad szpitalnym łóżkiem matki, kiedy Lucas zapytał mnie, dlaczego się tak dziwnie zachowuję. Tak samo zachowałam się dwa lata temu, kiedy ledwie co wyszłam z odwyku, a jakiś wariat zaczął mi wymachiwać przed nosem pistoletem, domagając się oxycontin. I zaczęłam działać dopiero wtedy, gdy odbezpieczył broń. Po tym zdarzeniu Lucas przyjechał do Chicago i mieszkał u mnie przez tydzień. Przez cały ten czas przesiadywaliśmy w pubach, upijaliśmy się i graliśmy w uno czy scrabble. Lucas spławił całkiem ładną barmankę ubraną w skórzany top tylko po to, żeby oglądać ze mną głupie filmy. Gdyby był obiecującym mordercą perwersem, z pewnością poszedłby z nią do domu oddawać się erotycznym zabawom takim jak podduszanie. Wyglądała na taką, co lubi takie rzeczy.

Musiałam tam pójść. Chociaż przez moment poczułam złość na Lucasa, że to wszystko przez niego.

Zastanawiałam się, czy zaparkować kilka domów dalej, żeby Greg nie zobaczył mojego auta tuż pod swoim domem, czy może zostawić samochód jak najbliżej, na wypadek gdyby nagle się pojawił i musiałabym uciekać. Postanowiłam zaparkować jak najbliżej.

Na podjeździe stały trzy samochody, a każdy z nich w różnym stopniu rozebrany na części. Było parę minut po dwunastej, a w bezlitosnym stepowym słońcu już robiło się gorąco i wilgotno. Powietrze wokół rozgrzanej blachy samochodów falowało delikatnie. Ubranie lepiło mi się do ciała.

Zapukałam do drzwi wejściowych. Odpowiedziała mi cisza. Zadzwoiłam. To samo. Ruszyłam na tył budynku. Zobaczyłam pusty wybieg dla psa i głośno ryczący klimatyzator. Podwórko było zarośnięte i zagracone kawałkami blachy i częściami samochodowymi. Podniosłam zardzewiały śrubokręt, który znalazłam w trawie, i schowałam go za paskiem od spodni. Na środku podwórka było palenisko otoczone porozrzucanymi bez ładu zapasowymi oponami, przewróconymi krzesłami ogrodowymi i puszkami po piwie, nad którymi latały osy. W tym poboju wyróżniał się tylko rdzewiejący dziewczęcy rowerek z różowym koszykiem w kwiaty, który był oparty kierownicą o płot. Na jego widok cała się zagotowałam.

Zapukałam ponownie, ale znowu nic. Już miałam iść, kiedy usłyszałam ze środka ciche łkanie. Znowu zapukałam, krzyknęłam:

- Dylan? - i czekałam, nasłuchując.

Wyjrzałam za róg, żeby upewnić się, że nie nadchodził Greg, i znów usłyszałam kwilenie. Rozejrzałam się, zarazem próbując wzbudzić w sobie jakieś wizje, które dodałyby mi odwagi. Bo bardzo jej potrzebowałam. Musiałam zobaczyć, kto jest w tym domu. Oczami wyobraźni wróciłam do dnia parady. Konfetti, Lucas i ja trzymamy się za ręce nad głowami. Świętujący zwycięstwo. Bohatersko uwolniliśmy kogoś, kto był więziony w tym domu, a także znaleźliśmy prawdziwego mordercę Joanny.

Krzesła ogrodowe nie wyglądały na godne zaufania, ale obok szopy dostrzegłam beczkę z zastygłym cementem na

dnie. Przewróciłam ją na bok i przepchnęłam do wejścia. Kiedy uderzyła o podziurawiony chodnik, huknęło głośno. Zamarłam gotowa do ucieczki, gdyby drzwi wejściowe zaczęły się otwierać. Sięgnęłam po śrubokręt i zacisnęłam pięść na rączce. Przyjęłam pozycję „gotowa do skoku”, czując się jak w starym westernie. Poczułam, jak kropelki potu spływają między piersiami, a żyły na skroniach zaczynają pulsować. Nic się nie wydarzyło, w środku domu nawet nie drgnęły firanki. Podniosłam beczkę i powoli, cicho, prawie na kuckach, zaniiosłam ją pod dom. Postawiłam na ziemi i zajrzałam przez okno do środka. To była kuchnia zawałona naczyniami i tekturowymi opakowaniami po mrożonych obiadach Hungry Man. Na samym środku stał worek na śmieci.

Czyżby trzymali tam drugą dziewczynę? Zastępstwo Joanny? A może to jakaś nieszczęśnica, która została porwana, gdy była dzieckiem, a Greg i kumple od lat trzymają ją w niewoli? Uznali, że jest warta tego, by ją zatrzymać... Próbowałam przypomnieć sobie, czy na komisariacie były jeszcze jakieś ogłoszenia o zagubionych osobach, ale zapamiętałam tylko Joannę.

Zeszłam z beczki i przesunęłam ją pod kolejne pomieszczenie. To była sypialnia. W charakterze zasłonki wisiała czarno-pomarańczowa flaga Harleya-Davidsona, ale przesłaniała tylko pół pokoju. Zobaczyłam niepościelone łóżko, duży telewizor i konsolę do gier z kablami ciągnącymi się przez spisały dywan. To pewnie pokój Dylana, ale w środku nie było nikogo.



Znów usłyszałam coraz bardziej przenikliwe pojękiwanie i kwilenie. Rozejrzałam się po podwórku w poszukiwaniu Grega. Z każdą chwilą byłam coraz bardziej pewna, że szmatka, która sterczała z jego tylnej kieszeni, była nasączona chloroformem.

Przeszłam do trzeciego okna z tyłu domu. Było wyżej niż poprzednie. Musiałam złapać się gzymsu i podciągnąć na rękach, odrywając stopy od beczki, żeby zajrzeć do środka, i zobaczyłam łazienkę. Była brudna jak toaleta na postojach dla tirów. Dojrzałam kawałek klozetu i wanny. Firanka nad wanną była odsłonięta. Ktoś był w środku, bo dostrzegłam fragment głowy i brązowe włosy. Nie byłam jednak na tyle wysoko, żeby zajrzeć do środka wanny. Moje mięśnie zaczęły się poddawać, więc musiałam na chwilę stanąć na beczce. Przekląłam się w myślach za to, że nie chodziłam na siłownię, po czym podciągnęłam się jeszcze raz najwyżej, jak potrafiłam. Gdy postać poruszyła się, zobaczyłam strużki krwi.

Minęło kilka sekund, zanim uświadomiłam sobie, co naprawdę widziałam. W wannie, na kilku kocach leżała olbrzymia suka, która właśnie rodziła szczeniaczki. Jeden, cielisto-różowy maluszek, leżał już nawet przy jej pysku.

Nagle usłyszałam:

- Szukasz kogoś?

Przestraszona straciłam równowagę, a beczka zadrżała pode mną. Spadłam na ziemię z hukiem i przegryzłam sobie język. Przy okazji zahaczyłam też o beczkę pośladkami, a śrubokręt wbił mi się w biodro. To wszystko obserwował

zarośnięty facet w czarnej koszulce mocno opinającej jego brzuszek. Uśmiechał się złośliwie i nie zaproponował pomocy, co akurat mnie ucieszyło. Stałam na nogi i przełknęłam strużkę śliny.

- Szukam Dylana.

- To ciekawe. Przez okno?

- Jestem mu dłużna pieniądze. Chciałam mu oddać, zanim je wydam. - Zrobiłam minę słodkiej idiotki. - Pieniądze się mnie nie trzymają.

Byłam zaskoczona swoją błyskawiczną reakcją. Ta wymówka miała sens. Dilerzy narkotyków miewali sporo gości wpadających z nienacka i zaglądających przez okna.

- Dylan mieszka tu tylko w tygodniu. W weekendy jest u matki. Jak chcesz, wezmę pieniądze i przechowam do poniedziałku. Obiecuję, że ich nie wydam. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Nie, dzięki. Muszę mu oddać dzisiaj. - Spuściłam wzrok, jakbym naprawdę martwiła się, co będzie, jeśli nie oddam pieniędzy na czas. Liczyłam na to, że wydobędę od tego faceta jakieś informacje. Na przykład: „To lepiej się pośpiesz, bo Dylan jest niebezpieczny i nieobliczalny. Słyszałaś o tym, co się przytrafiło Joannie? Więc chyba rozumiesz, o czym mówię”.

- Jego matka mieszka w Sunstone Estates. Poszukaj tam. A jeśli jesteś w potrzebie, mogę ci coś załatwić. - Zaprosił mnie do siebie na piwo i jointa z taką kurtuazją, jakby chodziło co najmniej o ser i dobre wino.

- Nie, dziękuję, na razie nie potrzebuję. - Innymi słowy,

chwilowo mam dosyć.

- Jak sobie życzysz.

- Mimo to dziękuję. A przy okazji... Rodzą ci się szczeniaczki.

- Tak? To świetnie. Biorę jednego z tego miotu. Nie martw się, ona sobie świetnie poradzi. To już jej czwarty poród.

Dopiero kiedy wsiadłam do samochodu i zamknęłam za sobą drzwi, poczułam, że oddycham. Rozejrzałam się wokół i odniosłam dziwne wrażenie, jakby ta zarośnięta okolica pomachała do mnie nieśmiało rozczarowana tym, że odjeżdżam. Rozkręciłam klimatyzację do oporu. Lodowate powietrze buchnęło mi w twarz, kiedy ruszałam do matki Dylana.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Sunstone Estates to jedyne osiedle dla przyczep w Wayoacie. Spodziewałam się, że będzie w fatalnym stanie, ale wiele z nich było na tyle dobrze utrzymanych, że wyglądało tu nie najgorzej.

Miałam problemy ze znalezieniem przyczepy Yatesów. Działki były niechlujnie ponumerowane i tylko niektóre z dróg gruntowych miały tabliczki z nazwami ulic. Miałam wrażenie, że wszyscy mieszkańcy przyjechali tu tego samego dnia i zaparkowali, gdzie popadnie. Już drugi raz bez sukcesu okrążałam osiedle, więc zatrzymałam się i zapytałam dziesięciolatka bez koszulki i butów, gdzie mogę znaleźć panią Yates. Wskazał w kierunku mojego samochodu i wymamrotał coś o wiatrakach. Nie wchodził w szczegóły. Kiedy odjechałam, rzucał mi kamyczkami w tylną szybę.

Przyczepa była mała, wyglądała jak puszka sardynek, chociaż właścicielka włożyła wiele wysiłku, żeby było w niej przyjemnie. Może nawet zbyt wiele. Na trawniku stało mnóstwo ozdóbek, a także cała masa wiatraczków. W klatce obok przyczepy czekał olbrzymi i niezbyt sympatycznie wyglądający pies. Prawdopodobnie pochodził z pierwszego lub drugiego miotu tamtej suczki. Drzwi do przyczepy otworzyły się. To musiała być matka Dylana. Krzyknęła na psa, żeby się zamknął, po czym zwróciła się do mnie:

- Słucham?

Miała na sobie czarne legginsy i wysadzany kamyczkami top. Obie te rzeczy sprawiały wrażenie za ciasnych. Z kącika ust sterczał papieros. Tak właśnie umacniały się stereotypy.

Trzy małe pieski chihuahua z czerwonymi oczkami plątały się wokół jej stóp. Ujadały, pokazywały zęby, próbując ją wyprzedzić, co jeszcze bardziej rozjuszało wielkiego psa, który rzucił się ku furtce wybiegu. Pani Yates wykonała spazmatyczny taniec, próbując zagonić pieski do środka, aż wreszcie zrezygnowana zamachała do mnie, żebym weszła.

- Dylan, przez twojego cholernego psa moje maleństwa zaraz dostaną zawału. I dlaczego Tia znów lata bez pieluszki?

Tia miała cieczkę, krew kapiała na beżowy dywan. Pani Yates podniosła krwawiącego pieska, po czym spojrzała na mnie i rzuciła:

- Słucham panią?

Wtedy uświadomiłam sobie, że nie mam żadnego planu. Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale plan nagle mi się objawił. Założyłam, że Vanessa jeszcze tu nie dotarła, więc zaryzykowałam:

- Jestem tą reporterką ze *Star Tribune*, pamięta pani?

- Jest pani przed czasem. Dylan... DYLAN! - wrzasnęła na tył przyczepy.

Miałam ochotę zapytać, jak bardzo się pośpieszyłam z wizytą, bo nie wiedziałam, ile czasu mi zostało, zanim pojawi się Vanessa. Ale pani Yates niespodziewanie uspokoiła się i posłała mi ciepły uśmiech. Przedstawiła się jako Serena i zaprowadziła do ciemnego salonu.

- Proszę usiąść. Przyniosę mrożoną herbatę.

Usiadłam w rozkładanym wyściełanym fotelu ustawionym naprzeciwko niebieskiej sztruksowej kanapy. Czekali na gościa, byli przygotowani na wywiad. Na ścianie nad sofą wisiał plakat z hologramem wilka. Wył do Księżycy, kiedy patrzyłam na niego z prawej strony, i zamykał pysk, kiedy patrzyłam z lewej.

Po chwili z pokoju wyłonił się Dylan. Wyglądał na zaspanego, a może najaranego. Wchodząc do pokoju, włożył koszulkę, po czym bezwładnie padł na kanapę. Od razu zrozumiałam, dlaczego przypadł do gustu szesnastolatce. Wyglądał jak członek boysbandu: zniewieściała fryzurka, pełne usta, umięśniony tak samo jak ojciec. A to wszystko wykończone ciężkim złotym łańcuchem i czapką bejsbolówką, którą zdjął ze stołu i delikatnym gestem włożył na głowę. Odniosłam wrażenie, że łańcuch i czapkę traktował jako atrybuty gangstera i dilerka narkotyków. Ale nie miał nawet włosów na rękach, a ja pomyślałam, że mógł je ogolić, by wyglądać młodziej. Miał dziewiętnaście lat i za rok czy dwa uczniowie będą go traktować jako „tego starego dziwaka”. Jego świta niedługo zmieni się ze słodkich nastolatek wybierających się do college’u na sfrustrowane samotne matki, które szukają dla niegrzecznych dzieci męskiego wzorca do naśladowania, silnego faceta pełnego werwy. Z drugiej strony inklinacja do uczennic pierwszych klas liceum może mieć czysto pragmatyczne podłoże, jeśli Dylanowi chodzi tylko i wyłącznie o dystrybucję narkotyków w szkole.

Za nim weszła dziewczyna w spodenkach od piżamy

i luźnej koszulce. Usiadła obok Dylana i oparła długie nogi na jego kolanach, jakby chciała mieć pewność, że nie ucieknie. Czyli miał już nową dziewczynę... i to bardzo młodą. Z tą swoją gładką dziewczęcą buźką i wielkimi oczami przypominała lalkę. Dylan oblizał usta, zanim się odezwał, a dziewczyna patrzyła na niego jak w obrazek.

- To o czym chciałaś porozmawiać? - zapytał.

Poczułam zapach marihuany, ale udałam, że tego nie zauważyłam.

Przedstawiłam się (oczywiście jako Vanessa Lee).

- Nie wyglądasz na reporterkę - wypaliła dziewczyna.

Miała rację, nie wyglądałam. Miałam brudne spodnie od upadku z beczki, z powodu upału makijaż spłynął mi z twarzy. To, że na policzku wciąż miałam ślad po uderzeniu Kathy, też nie działało na moją korzyść.

- Artykuł tak czy inaczej zostanie wydrukowany. Nie muszę z niczego się tłumaczyć i przeprowadzać tej rozmowy, chociaż oczywiście chcę. A ty jesteś...? - Sięgnęłam do torby w poszukiwaniu długopisu i kartki papieru. Znalazłam notatnik z jasnym, czerwonym logiem apteki, w której pracowałam. Założyłam nogę na nogę i przerzuciłam kartkę, żeby ukryć logo.

- Jestem Skylar, ale wolę Sky. Sky Cuthbert. Mam przeliterować?

- Zamknij się, Sky. Nie do ciebie przyszła. - Dylan próbował usiąść wygodniej pod ciężarem jej nóg, ale nie zepchnął ich na bok.

Jego matka weszła do pokoju z napojami na tacy

i w połowie pustym pudełkiem kandyzowanych słodczy abdollah. Pomalowała usta błyszczkiem, prawdopodobnie licząc na to, że będę robić zdjęcia. Usiadła na oparciu kanapy.

- Napij się mrożonej herbaty - powiedziała i zdjęła z tacy jakiś napój. Był inny, ciemniejszy od pozostałych.

- Dziękuję.

- Zapłacisz Dylanowi za wywiad, prawda?

- Porozmawiam z szefem na temat zapłaty. - Z szefem? Pewnie lepiej by zabrzmiało „z redaktorem”. Nie byłam na to wszystko przygotowana. Chwyciłam szklanę z herbatą. Była zdecydowanie za słodka, lepiała się do gardła.

- Dylan nie powie ci nic, dopóki nie dostanie pieniędzy - powiedziała, krzyżując ręce.

Wolałabym, żeby sobie poszła. Zgrywanie dziennikarki, kiedy wywiadowi przysłuchuje się dorosła osoba, będzie o wiele trudniejsze. Chociaż Dylan też już jest dorosły, skwitowałam w duchu.

- Mamo, daj spokój. Nie chcę żadnych pieniędzy - warknął Dylan.

- To bardzo szlachetne. Jak miło z twojej strony, biorąc pod uwagę fakt, że nie płacisz rachunków i nie masz pracy.

Zignorował ją, nawet na nią nie spojrzał. Gdy wyciągnął ramiona, kątem oka dostrzegłam tatuaż. Na moje oko była to amatorska robota. Na wnętrzu dłoni, pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, widniał chwiejny napis JW. Ciekawe, czy Dylan powiedział Joannie, że ból, a może i infekcja skóry, to był dar serca wycierpiany dla niej? Że skoro oznaczył się



jej inicjałami, nie będzie miała prawa go zostawić?

Matka Dylana chciała coś powiedzieć, ale uprzedziłam ją:

- Zależy mi na tym, by wypełnić pewne luki dotyczące tygodni poprzedzających zaginięcie Joanny. Słyszałam, że są też inni podejrzani.

- Ach tak? No cóż, na pewno nie jestem jednym z nich. - Odrzucił głowę do tyłu, eksponując szczękę. Kolejny gest, który miał z niego zrobić prawdziwego gangstera.

Spojrzałam na notatnik, próbując zyskać na czasie. Po chwili namysłu wpadłam na bezpieczny sposób rozpoczęcia rozmowy:

- Opowiedz mi, jak się poznaliście z Joanną.

- Wróciłem do Westfield na semestr zimowy. Miałem kilka niezaliczonych przedmiotów, a chciałem skończyć szkołę - powiedział z przesadnym przekonaniem i zamilkł, czekając na pochwały.

Mruknęłam tylko:

- Dobry pomysł.

- Tak czy inaczej, Joanna miała okienka w tym samym czasie co ja. Któregoś razu zostawiła segregator na stołówce. Wziąłem go i dogoniłem ją, co nie było trudne, bo szła o kulach. - Uśmiechnął się, a Skylar parsknęła z zazdrości.

- Jak długo byliście razem?

- Od września prawie do Bożego Narodzenia, czyli niecałe cztery miesiące. Przypomniało mi się, że wtedy właśnie złapano ją za posiadanie marihuany w szafce szkolnej. Potem zesłaliśmy się pod koniec stycznia, ale po kryjomu.

- Po kryjomu?

- Tak, nikt o tym nie wiedział. Joanna chciała, żebyśmy trzymali to w tajemnicy, żeby jej matka się nie dowiedziała.

- Dlaczego zerwaliście?

- Za każdym razem przez jej matkę. To skończona suka. Nie pozwalała Joannie z nikim się spotykać. Jak już mówiłem, też jej się nie spodobałem. Cały czas marudziła i opowiadała Joannie jakieś bzdury, że niby jestem dla niej za stary, że handluję narkotykami, czego oczywiście nie robię. Trawka, którą znaleziono w jej szafce, nie była ode mnie. - Pani Yates przewróciła oczami. Nawet ona mu nie wierzyła. - Że byłem z nią tylko dla pieniędzy, takie tam bzdury. Wszyscy w jej rodzinie są pojebani.

- Dylan, nie przeklinaj! - zbeształa go matka.

Podziałało to na moją korzyść, bo Dylan ewidentnie poczuł się zagubiony.

- Mówię serio. Bywałem u Jo. Jej pokój wygląda jak pokój dziecięcy. Jasna fioletowa pościel, baldachim, fioletowe ściany, białe mebelki jak dla dziewczynek. Kiedy miała siedem lat, fioletowy był jej ulubionym kolorem, i rodzice nigdy nie pozwolili jej inaczej urządzić pokoju. Wszędzie miała gadżety baleriny, lalki i zabawki poukładane na łóżku.

Kiedy mówił o jej pokoju, złagodniał, jakby zatęsknił za tym widokiem. Jakby chciał wejść do środka i chłonąć tę naiwną dziewczęcość. Rozzłoszczona Skylar skrzyżowała dłonie i wygięła usta. Wyglądała jak kiepska aktorka próbująca grać zrzedę. Ciekawe, czy Dylan spotykał się z nimi w tym samym czasie? I czy Skylar w końcu wygrała tylko dlatego, że Joanna przestała być dostępna.

- Ale potem dostałaś zakaz zbliżania się do Joanny. - Może nie była to delikatna zmiana tematu, ale zaczynałam się bać, że Vanessa pojawi się w każdej chwili.

Dylan wyprostował się gwałtownie i zaproponował:

- To bzdura, to wymysł jej matki. Nigdy nikogo nie prześladowałem. Nie musiałem. Jo sama mnie zaprosiła, a kiedy jej matka wróciła do domu, kazała mi się schować. Musiałem siedzieć w tej cholerniej garderobie godzinami. Po tym wszystkim nie chciałem już mieć z nią nic wspólnego.

Matka pogłaskała go po plecach, zapaliła papierosa, zaciągnęła się i oddała go Dylanowi.

- Ale złapano cię później w jej samochodzie.

- O co ci chodzi? - rzucił ze złością. - Chcesz, żebym wypadł na tego złego w artykule? Mówiłaś, że chcesz tylko poznać kontekst.

- To my powinniśmy wystąpić o zakaz zbliżania się dla Wilkesów - wtrąciła się matka. Kiedy wstawiała z oparcia kanapy, w drinku zabrzęczała kostka lodu. Ani razu nie wypuściła z rąk swojej „mrożonej herbaty”. - Ta dziwka Kathy cały czas wygadywała, że mój syn powinien trzymać się z daleka od jej córki. Nazywała go hołotą. Serio? To jej córka sypiała z dorosłym facetem, w dodatku nauczycielem. I kto tutaj jest hołotą?! A raczej był...

Skylar zachichotała cicho, po czym z niedowierzaniem szepnęła pod nosem:

- A ja chciałam w przyszłym roku przejść na domowe nauczanie u pana Haasa.

- Mamo! Na Boga! Ona nie żyje - warknął Dylan.

- Nic mnie to nie obchodzi, Dylan. Nie lubię, kiedy ktoś w ten sposób mówi o moim synu.

Dylan przewrócił oczami, a ona spojrzała na mnie znacząco, żeby mieć pewność, że zanotowałam, jak dobrą i opiekuńczą jest matką. Miałam ochotę powiedzieć, że z prawnego punktu widzenia Dylan jest dorosłym mężczyzną. Byłam w stanie zrozumieć, dlaczego Kathy nie chciała, żeby zadawał się z jej córką.

Odłożyłam długopis i powiedziałam:

- Moje źródło, którego tożsamość niestety muszę zachować w tajemnicy, twierdzi, że twoje alibi dokładnie sprawdzi policja.

- Co? Kto tak powiedział? - Dylan rzucił na bok nogi Skylar i pochylił się w moją stronę.

- Już mówiłam, nie mogę ci tego zdradzić.

- Zresztą co za różnica. Twoje źródło się myli.

Skylar przygryzła wargę. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć.

- Według mojego źródła istnieją dowody, że nie byłeś tego dnia w warsztacie swojego ojca. - Ze skupioną miną przewróciłam kartkę w notatniku.

Matka Dylana zerwała się na równe nogi i stwierdziła stanowczym tonem:

- A ja mogę ci powiedzieć, że to koniec wywiadu. To wszystko bardzo mi się nie podoba. Powinnaś już iść. - Po tych słowach zabrała moją szklankę z herbatą.

- Dylan, możesz trafić do więzienia. To krzywoprzysięstwo - zawodziła Skylar.

- Chryste, Sky, zamknij się! Po prostu się zamknij - warknął.

- Faktycznie może to pociągnąć za sobą prawne konsekwencje. - Gorączkowo zaczęłam obliczać. Ponieważ Skylar planowała przejść na domowe nauczanie, musiała skończyć ósmą klasę, czyli miała nie więcej niż czternaście lat. W Dakocie Północnej obywatel stawał się dorosły pod względem prawnym w wieku osiemnastu lat. Stosunek seksualny odbyty z osobą, która nie ukończyła piętnastu lat, uznawano za przestępstwo klasy C. Dylan był pełnoletni i starszy o pięć lat od Skylar, więc mógł pójść do więzienia za gwałt. Sprawdziłam to, gdy rozpatrywałam hipotezę, że Lucas jednak mógł mieć romans z uczennicą. Miałam nadzieję, że dziewczyna była na tyle dorosła, by nie podpadało to pod paragraf. Niestety Wikipedia potwierdziła to, co i tak już wiedziałam: Joanna była nieletnia, a Lucas był jej nauczycielem, co jeszcze bardziej pogarszało sprawę.

- Powiedz im, że byłeś wtedy ze mną, kochanie. Masz przed sobą dziennikarkę. Opowiedz jej historię naszej miłości. Wzbudzisz sympatię czytelników - powiedziała Skylar z cieniem nadziei w głosie.

Pewnie już od dawna snuła marzenia o tym, że udziela wywiadów do wielkonakładowych magazynów, a jej zdjęcia znajdują się na okładkach. Wyglądała na dziewczynę, która niezdrowo ekscytuje się cudzymi tragediami i podnieca ją przebywanie z ich uczestnikami. Z fałszywą skromnością dawała do zrozumienia, że jest dziewczyną chłopaka, którego poprzednia dziewczyna została zamordowana. Prawda była

taka, że chciała dzięki temu zaistnieć.

- O Boże, Skylar, nie możesz po prostu się zamknąć? Nie będę mówił nic takiego. - Dylan złapał się za głowę.

- Proszę natychmiast wyjść! - Serena ponownie próbowała mnie wyrzucić, przy okazji rozlewając moją mrożoną herbatę, a Skylar rozplakała się na dobre.

Musiałam się wycofać. Drzwi do przyczepy zamknęły się za mną z cichym kliknięciem.

Oślepiło mnie światło słońca, a pies znów zaczął ujadać. Byłam już w samochodzie, gdy podbiegł do mnie Dylan i powiedział nerwowo:

- Ta część wywiadu, o moim alibi... Chciałbym, żeby została między nami. Proszę jej nie drukować.

- Dobrze, nie wydrukuję - odparłam ku jego zaskoczeniu.

- Och... To dobrze. Przecież nie ma znaczenia, czy byłem z ojcem, czy nie. To znaczy gdyby policjanci dowiedzieli się, że byłem ze Sky, i tak mógłbym pójść do więzienia właśnie za to, ale to co innego niż siedzieć za zamordowanie Joanny. Mam alibi. Rodzice Sky cały czas byli w domu.

- W porządku, rozumiem. - Zauważyłam, że Sky obserwowała nas przez okno.

- Dziękuję, że nie zmieniłaś zdania w kwestii zapłaty. To znaczy dostanę pieniądze za wywiad, prawda? Ta sprawa z alibi nic nie zmienia, prawda? I tak powiedziałem ci bardzo dużo.

- Tak, oczywiście. Dostaniesz czek pocztą.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zatrzymałam się w mojej ulubionej garkuchni, w której swego czasu często jadałam, bo mieli najlepsze gofry pod słońcem. Do tej pory w Chicago nie znalazłam niczego na tym poziomie. Jakaś parka (ewidentnie turyści), których synek cały czas mnie zaczepiał, piszczała radośnie: „Ale z tobą flirtuje! Co za mały kobieciarz! Jakie robi do ciebie oczy!”. Wszyscy w knajpie na nas patrzyli.

Umierałam z głodu. Nie jadłam nic od wczoraj. Coraz bardziej bolała mnie głowa, a kac przeszedł z fazy nie-jestem-w-stanie-niczego-przełknąć do fazy dajcie-mi-słone-i-tłuste-bo-umrę.

Zamówiłam gofry z podwójną bitą śmietaną i truskawkami oraz jajka na miękko z chrupiącym bekonem. Udałam, że nie rozpoznaję kelnerki, chociaż była to Laney Goudge, popularna dziewczyna z mojej klasy, która po ecstasy wpadła do opuszczonego silosu. Rada miasta kazała wtedy pozbyć się wszystkich opuszczonych silosów, które mogłyby służyć za miejsca do organizacji „tych skandalicznych rave’owych imprez”. Przez cały drugi semestr Laney chodziła w plastikowym kołnierzu na szyi, uciekając przed chłopakami, którzy przez drobną szczelinę próbowali wrzucać do środka drobne. Oczywiście nic się nie zmieniło, silos do dziś stał na swoim miejscu. Mijałam go, kiedy wjeżdżałam do miasta.

Nie czekałam długo na zamówienie. Laney jakby od niechcienia cisnęła talerz na stół i jedzenie zsunęło się na lewą stronę. Odwróciła się i odeszła leniwym krokiem.

Nie skąpiłam sobie syropu, oblałam nim wszystko, łącznie z jajkami, i zaczęłam jeść. Ale po kilku gryzach poczułam się słabo i beznadziejnie. Zielona na twarzy myślałam o tym, jak bardzo chcę porozmawiać z Lucasem i otrzymać odpowiedzi na moje pytania.

Wyjęłam notes i przejrzałam bazgroły, które nasmarowałam w przyczepie Dylana. Bezładne pojedyncze słowa, które miały udawać, że faktycznie coś notowałam. Dylan miał alibi. Ukrywał coś, ale nie było to morderstwo.

Lista. Muszę zrobić listę, wtedy poczuję się lepiej. Wypiszę wszystkie miejsca, w które mógł się udać Lucas. W Chicago była dziewczyna, właścicielka restauracji, z którą czasami się spotykał. Alyssa? Alicia? Jeden z jego przyjaciół mieszkał w Des Moines. Jak się nazywał? Lucas na pewno ukrywał się u kogoś, kogo nie można łatwo powiązać z jego życiem w Wayoacie. Oczywiście tylko wtedy, gdyby był winny, a przecież nie był.

Zamiast tego zapisałam na kartce imię Dylana, a niżej kilka podpunktów.

Wtedy zadzwonił mój telefon. Prywatny numer. Ponieważ dostałam już wiadomość od rozzłoszczonej Vanessy („Dzięki, że spaliłaś mój trop. Staralam się ci pomóc!”), więc nie sądziłam, żeby to była ona.

- Halo? - Ponieważ zaschło mi w gardle, zabrzmiało to, jakbym miała czkawkę. Myślałam przy tym gorączkowo:



„Proszę, niech to będzie Lucas, proszę, proszę, proszę!”.

- Cześć, z tej strony Tom...

Przymknęłam oczy, czując zawód tak silny, że aż rozrywający serce. Musiałam się chwilę zastanowić, zanim przypomniałam sobie, kim jest Tom.

- Ach, tak. Cześć, Tom, tu Mia Haas. Jestem siostrą Lucasa Haasa - powiedziałam prawie szeptem, bo nie chciałam zwracać na siebie uwagi. - Dzwoniłam, bo znalazłam twoje imię i numer w mieszkaniu mojego brata...

- Wiem, czemu dzwonisz - powiedział Tom, zaciągając.

Czekałam, aż powie coś więcej, ale zamilkł. Po chwili uznałam, że muszę przerwać tę ciszę:

- Okej... Miałam nadzieję, że opowiesz mi o tym, jak poznałeś Lucasa i czy niedawno odzywał się do ciebie.

- Nie, nie odzywał. A szkoda, bo wolałbym, żeby to zrobił. Jest mi winien pieniądze.

Czyli Lucas znowu wpadł w hazard.

- Ile?

- No cóż, kwota zmienia się z każdym dniem ze względu na odsetki.

- Ile? - powtórzyłam.

- Dzisiaj trzy tysiące sześćset dolarów. Jutro będzie już trzy tysiące siedemset.

- Naliczasz mu sto dolarów odsetek dziennie?

Kto pożyczał pieniądze z takimi odsetkami?! Kto naliczał takie odsetki i wierzył, że ludzie mu je oddadzą?!

- Taką zawarliśmy umowę.

- Jestem pewna, że Lucas zajmie się tym, gdy tylko wróci

do miasta, niezależnie od tego, jaką mieliście umowę. Na razie, jak wiesz, jego sytuacja jest dosyć skomplikowana.

- Oczywiście, że wiem. - Tom zaśmiał się. - Ale niczym się nie martwię. Wszyscy oddają mi pożyczki. Najwyraźniej Lucas uznał, że zrobią to za niego rodzina i przyjaciele. Będziemy w kontakcie - zakończył grobowym głosem.

Odłożyłam telefon na stół. Kiedy ekran wygasł, zobaczyłam w szklistej szybce lampy w stylu Tiffany'ego zwisające z sufitu. Dwie z trzech żarówek były przepalone. Po raz kolejny miałam ochotę zadzwonić do brata i nawrzeszczyć na niego:

- Co ty sobie myślałeś, biorąc pożyczkę z odsetkami sto dolarów na dzień? Jak chciałeś to pokryć z pensji nauczyciela?

To ciągle sięganie po telefon było straszne. Jak odruch bezwarunkowy, ignorujący to, że Lucas i tak nie odbierze. W końcu poddałam się i wykręciłam jego numer. Wyobraziłam sobie telefon wibrujący w plastikowej torbie z napisem „materiał dowodowy”. Po chwili włączyła się automatyczna sekretarka i usłyszałam radosny, ciepły głos Lucasa. Przez chwilę był tak blisko. Tuż przy mnie.

- To się nazywa śniadanie - powiedział Garrett, patrząc na mnie z góry. Był szczupły i wysportowany, w błękitnym mundurze wyglądał, jakby szedł na pokaz na wieczorze panieńskim. - Mogę się dosiąść? - Klapnął obok mnie, zajmując całą kanapę. Pachniał wodą kolońską i rześkim powietrzem. Gdy odsunęłam od siebie talerz z jedzeniem, spytał: - Jak się dzisiaj czujesz?

Nie znosiłam, kiedy ludzie w taki sposób kwitowali wydarzenia z poprzedniego wieczoru. Wolałabym, gdyby powiedział szczerze: „Chryste, nieźle się wczoraj sponiewierałaś. Jak w ogóle zwlekłaś się z łóżka?”.

- Dobrze. Wszystko w porządku.

- To dobrze. Martwiłem się - powiedział z uśmiechem.

- Nie było takiej potrzeby.

- I tak się martwiłem. Co u twojej mamy? Uświadomiłem sobie, że wczoraj o nią nie zapytałem i poczułem się jak burak.

Zaczęłam sobie wyobrażać, jak by to było, gdybym zaprowadziła Garretta do Mimi i przedstawiła ich sobie. A z Lucasem byśmy się założyli, kto lepiej wytypuje, ile razy Mimi niby przypadkiem otrze się o Garretta i muśnie jego umięśnioną klatkę piersiową.

- Jakoś sobie radzi - odparłam przeciągle. Nie chciałam o niej rozmawiać, ale gdy Garrett tymi swoimi błękitnymi oczami spojrzał na mnie ze zrozumieniem, zmiękłam jak dętka i niespodziewanie nabrałam ochoty, żeby porozmawiać o Mimi. To był nagły impuls, trwająca zaledwie kilka sekund potrzeba przyznania się, wzięcia na siebie winy. Krótka jak jedno uderzenie serca. Garrett miał w sobie to coś, dzięki czemu wzbudzał zaufanie. Byłam przekonana, że mogę powiedzieć mu o wszystkim.

Innymi słowy, dobrze wykonywał policyjną robotę.

- Właśnie jechałem do ciebie, kiedy zobaczyłem na parkingu twoje auto - oznajmił.

To mógł być czysty przypadek. Tak to już jest w Wayoacie,

wystarczy godzina, żeby znaleźć dowolnie wybraną osobę.

- Dlaczego? Chodzi o Lucasa? Znalazłeś mojego brata? -  
Nadzieja w moim głosie wydała mi się głupia i dziecinna.  
Gdyby Garrett go znalazł, nie siedziałby teraz tutaj.

- Nie, przykro mi. Nie dlatego cię szukałem. Jesteś już  
dzisiaj w lepszym nastroju na rozmowę?

Świetnie. Znowu aluzja do wczorajszego pijackiego  
telefonu. Zignorowałam ją i oznajmiłam:

- Alibi Dylana Yatesa to ściema, jeśli chcesz wiedzieć.

- Słyszałem. Jeśli masz ochotę zatrudnić się w policji, mogę  
ci dostarczyć stosowny formularz do wypełnienia.  
Zadzwoiła do nas wściekła Serena Yates. Wywrzeszczała, że  
właśnie przepędziła tajniaczkę podającą się za dziennikarkę.  
Natomiast Dylan postanowił zmienić zeznania. Powiedział, że  
tak naprawdę był u swojej nieletniej dziewczyny. Byli w jej  
domu.

- I co z tego? Skoro skłamał, że był u ojca w warsztacie,  
równie dobrze mógł skłamać ponownie.

- Słuchaj, rozumiem, że chciałaś pogadać z Dylanem, ale  
musisz zrozumieć, że alibi to nie był jedyny powód, dla  
którego go wykluczaliśmy.

- A jakie były inne?

Garrett kiwnął na ciekawskich, którzy siedzieli przy stoliku  
obok i zamienili się w słuch, gdy tylko przyszedł. Odsunął  
dozownik z syropem na drugi kraniec stołu i pochylił się  
naprzód.

- To, czy był u ojca w warsztacie, czy u swojej dziewczyny,  
ma drugorzędne znaczenie wobec dwóch faktów: w czasie

zaginięcia Joanny Dylan był zalogowany do gry komputerowej online, poza tym jego telefon nie został namierzony z wieży stojącej w pobliżu parku Dicksona - wyszeptał.

- A telefon mojego brata namierzono?

- Przykro mi, ale nie mogę ci tego powiedzieć.

- Proszę cię, powiedz mi. Jako przyjaciel. - Słodczyz spożytego syropu sączyła się ze mnie w podstępny sposób.

Garrett przyjrzał mi się, zapewne oceniając, czy warto dalej brnąć w całą tę „przyjaźń”.

- Nie, nie namierzyliśmy tam też telefonu Lucasa. Ale równie dobrze mógł wcześniej się go pozbyć albo kupić telefon na kartę.

- Mówisz serio? Boże, on nie ma u was szans, prawda? - Bezradnie westchnęłam.

- Mia... - Próbował mówić łagodnie, ale był na to zbyt spięty.

- Tak samo Dylan mógł pozbyć się swojego telefonu... i nie wylogować się z gry.

- Nie. - Garrett pokiwał przecząco głową. - Rozmawialiśmy z rodzicami Skylar Cuthbert. Potwierdzili, że Dylan był u nich. Zeszłego lata ktoś włamał się do ich domu, więc zainstalowali kamery i cały ten szajs. Skylar przemyciła Dylana do środka tuż przed włączeniem alarmu. Dylan był w środku aż do czasu, gdy Cuthbertowie poszli rano do pracy. Później mam ich odwiedzić i obejrzeć nagrania z kamer, ale wygląda na to, że mamy pewniaka. Nie da się podważyć alibi Dylana. Wiemy, co robimy, Mia - dorzucił

szorstko.

Przytaknęłam. Staralam się nie dać po sobie poznać, że czułam się pokonana. Liczyłam na to, że usłyszę zupełnie co innego.

- Czy w Wayoacie są jacyś bukmacherzy?

- Nie, a czemu pytasz? Potrzebujesz pożyczki? - zdziwił się.

- Zadzwoił do mnie dzisiaj jakiś Tom i powiedział, że Lucas jest mu winien pieniądze.

- Tom Geller?

- Nie podał nazwiska - wzruszyłam ramionami.

- Co ci powiedział? - Kiedy zrelacjonowałam rozmowę z Tomem, Garrett dodał: - To ma sens. Twój brat często korzystał z hazardowych stron internetowych. Zadzwoń, jeśli Geller znowu się z tobą skontaktuje. To nie jest przyzwoity facet.

- A co, jeśli to on porwał Lucasa? Może przez cały ten czas jest u niego?

- Mało prawdopodobne. Toma interesują tylko pieniądze, więc gdyby porwał Lucasa, na pewno skorzystałby z jego karty kredytowej. Opróżniłby konto twojego brata i go wypuścił. Ale jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, to zajrzę do niego. Wczoraj w nocy... - zaczął, ale przerwała mu Laney.

Przyniosła kawę, której nie zamówił, i zapytała, czy chce to co zwykle.

- Nie, dzięki. Nie dzisiaj. - Puścił do niej oczko, a ona zarumieniła się.

Najwyraźniej Garrett był przyzwyczajony do tego, że traktowano go w mieście jak gorący towar. Singiel, którego wszystkie dziewczyny pragnęły usidlić. Kiedy zwrócił się z powrotem do mnie, na jego twarzy pojawił się smutek:

- Musisz mi zdradzić, skąd wiesz, że Joanna była w ciąży. Lucas ci o tym powiedział? - zapytał ledwie słyszalnie.

Po plecach spłynął mi zimny pot. Odpowiedziałam pytaniem:

- Jeśli Joanna Wilkes była w ciąży, a wy podejrzewacie, że z Lucasem, to nie możecie po prostu zbadać embrionu? - Musiałam się tego dowiedzieć. Czy w zawałonym robotą laboratorium w próbce trzymano zarodek, który czekał, aż wreszcie ktoś uzna go za priorytet?

Garrett spojrzał na mnie z wyższością.

- Oczywiście pobraliśmy próbki i wysłaliśmy do laboratorium, ale w przeciwieństwie do sygnałów radiowo-telewizyjnych wyniki testów DNA nie zjawiają się na pstryknięcie palców. Nie mamy własnego laboratorium obok stołówki, na wyniki musimy czekać kilka tygodni. Dlatego zastanawia mnie, jak to się dzieje, że tylko policja, lekarz medycyny sądowej i Mia Haas wiedzą, że Joanna Wilkes była w ciąży. Nikt więcej nie ma o tym pojęcia. Ani przyjaciele, ani rodzina nie podali nam takiej informacji. Skąd o tym wiesz, Mio?

- Przepraszam, ale nie pamiętam, żebym mówiła cokolwiek na ten temat. W ogóle ledwie pamiętam naszą rozmowę. - Czułam, jak moje barki sztywnieją z napięcia. - Jak sam wspominałeś, byłam nieźle wycięta.

- Nie powiedziałem, że się uchlałaś.

- Ale się uchlałam. Mówiłam ci przecież, że piłam.

Garrett bezradnie opuścił ramiona. Oparł się o fotel. Nie zauważył, że przypadkiem włożył rękaw w syrop.

- To był cios poniżej pasa.

- Nic na to nie poradzę, skoro prowadzicie sprawę przeciw mojemu bratu, który jest niewinny. Kiedy to wreszcie zrozumiesz?

- Cały czas powtarzasz, że twój brat jest niewinny. Okej, ale jeśli dotarłaś do tej informacji w sposób uczciwy i zgodny z prawem, dlaczego nie wykorzystałaś jej jako argumentu, który nakazałby nam przestać szukać twojego brata?

Gdy milczałam, rozczarowany Garrett pokiwał głową.

- To, że nie mówisz mi prawdy, wygląda na utrudnianie śledztwa, Mio. Możesz nawet zostać uznana za współwinną. Wiesz, ile lat by ci za to groziło? - powiedział, patrząc mi w oczy. I czekał.

Zanurzyłam palec w syropie, którym ubrudził sobie rękaw, i zlizalam go. Garrett wpatrywał się w moje usta, a ja oznajmiłam:

- W takim razie aresztuj mnie.

Laney wróciła i chciała napełnić nasze kubki, a my w tym samym momencie zakryliśmy je dłońmi, jakbyśmy grali w kamień, nożyce i papier. Czyli chwilowe zawieszenie broni. Garrett wstał i rzucił na stół drobne, o wiele więcej niż za jedną kawę.

- Niedługo znów porozmawiamy, Mio. Mam nadzieję, że do tego czasu zmądrzejesz. A tak przy okazji, masz szczęście, że



nie ma żadnego paragrafu na podszywanie się pod dziennikarzy, chociaż na twoim miejscu nie próbowałbym tego ponownie. - Tak samo jak wcześniej do kelnerki puścił do mnie oczko i wyszedł.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Mia?

Ktoś zawołał do mnie z leżaka nad basenem. Właśnie wróciłam do mieszkania Lucasa. Musiałam się przebrać, musiałam się napić. I to czegoś naprawdę mocnego.

- Mia, prawda?

W moim kierunku szła drobna dziewczyna owinięta ręcznikiem. Trzymała w ręku telefon, którym próbowała osłonić twarz przed słońcem, a ekran puszczał zajączki. Zajęło mi chwilę, żeby uświadomić sobie, kto to. A kiedy to się stało, opadła mi szczeka. Madison Wilkes!

- Chciałam przeprosić za moją mamę. Jest bardzo zła, ale wcale jej się nie dziwię. Moja siostra nie żyje. - Zadrzała, ręcznik zsunął jej się z delikatnych i zaokrąglonych ramion.

Madison nie była tak ładna jak Joanna. Miała odrobinę zbyt pociągłą twarz. Nie powiedziałabym, że końską, ale prawie. Potrafiła to jednak dobrze ukryć długą blond grzywką i starannym makijażem. Jej przyjaciele pewnie głosowali na nią w konkursie na najładniejszą dziewczynę w klasie.

- Rozumiem. Naprawdę nie mam do twojej mamy pretensji. Często tu bywasz? - Uświadomiłam sobie, że to ona była dziewczyną w białym bikini, którą tu ostatnio widziałam. Co ona tu robiła? W okolicy jest mnóstwo basenów, a ona wybrała akurat ten apartamentowiec, w którym mieszkał potencjalny zabójca jej siostry. Dlaczego? Z nieba lał się żar,

czułam pot spływający po plecach. Kto by pomyślał, że w mieście, w którym przez długie miesiące jest ciemno i zimno, lata są tak gorące? Jeśli chodzi o pogodę, to według mnie Wayoata jest najbardziej zróżnicowanym miejscem na ziemi.

- Publiczny basen jest obskurny, a pływanie pomaga mi w żałobie. - Koniec zdania zaintonowała w górę, jakby zadawała pytanie. Założyła włosy za uszy. Miała długie paznokcie pomalowane na fioletowo, a na każdym mały diamencik. Kobiety w Wayoacie uwielbiały gadzety na paznokcie. Madison zauważyła, że się im przyglądam. Przelotnie zerknęła na moje niepomalowane paznokcie i dodała: - Pomalowałam je na fioletowo, żeby uczcić pamięć mojej siostry. To jej ulubiony kolor.

- Dobry pomysł. Dziękuję za przeprosiny. Doceniam to. - Ruszyłam w stronę domu, czując dziwny niepokój, jakbym właśnie miała do czynienia z czymś nierealnym, nie z tego świata.

Wtedy znów usłyszałam delikatny i miły głos Madison:

- Chciałam tylko powiedzieć, że ja nie uważam, żeby to pan Haas zabił moją siostrę.

Stanęłam jak wryta.

- Słucham? - Odwróciłam się gwałtownie, a mój głos zapiał. Byłam totalnie zaskoczona taką deklaracją.

- To niemożliwe. Po pierwsze, on w ogóle nie był nią zainteresowany. Przepraszam, źle to zabrzmiało, co innego miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że Joanna nigdy nie wdałaby się w romans z nauczycielem. - Spuściła wzrok na

swoje paznokcie.

- W takim razie jak myślisz, kto skrzywdził twoją siostrę? - Czułam się źle, że ją wypytuję. Nie powinnam naciskać czternastolatki, gdy mowa o jej zamordowanej siostrze. Poczułam się, jakbym ją wykorzystywała. Ale raz kozie śmierć! Może dzięki temu, co powie, oczyszczę z zarzutów mojego brata bliźniaka.

- Nie wiem. Gdybym coś wiedziała, powiedziałabym policji, nie sądzisz? - Zmierzyła mnie wzrokiem, jakbym ją o coś oskarżała.

Jej telefon zawibrował, bo przyszedł SMS. Musiała się mocno hamować, żeby nie spojrzeć od kogo (tak samo jak ja musiałam się powstrzymać przed zażyciem tabletki).

- Oczywiście, że tak. Po prostu zastanawia mnie, skąd ta pewność, że to nie on. - Chciałam usłyszeć coś, z czym mogłabym pójść do Garretta.

- Ludzie w szkole mówią, że to kucharka. Potrafię to sobie wyobrazić. Jest straszną zołą, szczególnie dla dziewczyn. Zawsze najpierw wygania ze stołówki dziewczyny, jakby myślała, że zdobędzie u chłopaków szansę tylko dlatego, że będzie jedyną dziewczyną na sali. - Wydęła usta i dotknęła językiem do policzka, co pewnie miało podkreślić pogardę, ale wyglądała, jakby jadła krówkę ciągutkę.

- Ale dlaczego miałyby skrzywdzić twoją siostrę? - Tylko czekałam, aż Madison straci nad sobą panowanie, bo za bardzo na nią naciskam. Kolejny dowód na to, że Haasowie nie potrafią zachować się przy nieletnich.

Gdzieś w okolicy natrętny bachor bawił się

samochodzikiem sterowanym na pilota. Co chwila przejeżdżał wokół moich nóg, po czym w pełnym gazie wjeżdżał w siatkę ogrodzenia, cofał się, a potem znowu w nie wjeżdżał. Działo się to tuż obok miejsca, w którym stała Madison, i za każdym razem, kiedy samochodzik uderzał w ogrodzenia, jej irytacja jeszcze bardziej wzrastała.

- Nie mam pojęcia. Kto wie, co mają w głowie tacy ludzie? A co? Wolałabyś, żeby to był twój brat? - Madison kopnęła w samochodzik i ogrodzenie zadrżało.

- Nie, nic z tych rzeczy - odparłam łagodnym tonem. Nie chciałam jej zniechęcić. - Doceniam to, co mówisz o moim bracie. To wiele dla mnie znaczy.

Przytaknęła, po czym spojrzała na mnie. Jej oczy były wielkie i błękitne.

- Też myślę, że mógł to być Dylan Yates. Ciągle łąził za moją siostrą, wiesz? I wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że Skylar Cuthbert mu w tym pomagała. Moja siostra nie żyje, a oni biegają po mieście jak zakochana para. - Ponuro pokiwała głową, w jej oczach dostrzegłam smutek, którego nie powinno widywać się u tak młodych osób.

Zauważyłam, że poza Dylanem dwie pozostałe osoby, które Madison wytypowała jako podejrzane, były kobietami, a raczej dziewczyną i kobietą. Pomyślałam o włosach Joanny. O tym, że ich obcięcie skojarzyło mi się z kobiecą agresją skierowaną przeciwko innej kobiecie. Odebranie urody, poniżenie kobiecości...

- Myślę, że gdybyś powiedziała policji o swoich podejrzeniach, mogłabyś pomóc panu Haasowi. -

Uświadomiłam sobie, jak samolubnie działałam. Policja od razu by wyjaśniła Madison, że jej podejrzani mają alibi. Ale chodziło mi o co innego. Lucas mógłby zyskać na tym, że siostra Joanny powątpiewa w jego winę.

- Próbowałam, ale interesowało ich tylko to, czy kiedykolwiek widziałam Joannę z panem Haasem, na przykład jak rozmawiali ze sobą, albo czy pisali do siebie SMS-y. Mogłam tylko powiedzieć, że nie. - Rzuciła okiem na telefon.

Przytaknęłam. Próbowałam wyglądać przekonująco. Samochodzik znowu koło nas przejechał. Tym razem, kiedy uderzył w ogrodzenie, Madison zdjęła kłapek i zaczęła go tłuc, jakby był natrętną muchą. Ogrodzenie poruszyło się i samochód przewrócił się na bok, boksując oponami z całą mocą godną zabawki elektrycznej. Odwróciłam go i szybko zniknął za śmietnikiem.

- Ależ to upierdliwe - rzuciła, ale znowu zawibrował jej telefon. Tym razem spojrzała. - Muszę odebrać.

Zabawne. Czternastolatka mówiła mi, że mogę odejść.

Kiedy zbliżałam się do mieszkania, prawie wpadłam na Dale'a Burtona. Opierał się o ścianę budynku. Na wysokości krocza trzymał dużego pilota. Czyją uwagę próbował na siebie zwrócić? Moją czy Madison? Spojrzał na mnie, jakby na mnie czekał, i szczerząc zęby, powiedział:

- Lepiej zamykaj drzwi na klucz, kotku.

Wyminęłam go szybko z grymasem niezadowolenia na twarzy.

Co to miało znaczyć, do cholery? - zachodziłam w głowę.

W mieszkaniu od razu poszłam do kuchni, odkręciłam wodę i czekałam kilka minut, aż zacznie lecieć zimna, ale nie schodziła poniżej temperatury pokojowej, do tego śmierdziała chlorem. Wszystkie tacki na lód były puste. Lucas po prostu odkładał puste do zamrażalnika. Usiadłam na krześle w kuchni. Miałam wrażenie, że w mieszkaniu coś się zmieniło. Poczułam to, kiedy tylko weszłam, ale pomyślałam, że tylko mi się wydaje. Polaroid, który wcześniej był na lodówce, też gdzieś przepadł, a także zrobione nim zdjęcie Lucasa. Zajrzałam pod spód, potem pod kuchenkę. Myślałam, że może się wyślizgnęło spod trzymającego je magnesu i spadło, ale nie. Zniknęło.

Rozejrzałam się po pokoju. Czapka, którą Lucas miał na sobie na zdjęciu pokazanym wczoraj w telewizji, również zniknęła. Wcześniej leżała na stoliku kawowym. Liścik od Erica pozostał na swoim miejscu. Dwie szklanki, z których piliśmy wczoraj wieczorem, stały na stole nietknięte, ale niedokończona butelka burbona też przepadła.

Zajrzałam pod poduszki. Pomyślałam, że może w pijanym widzie przełożyłam czapkę i zdjęcie na kanapę. Może Eric zasnął, a ja siedziałam na kanapie, płacząc i tuląc do siebie czapkę i zdjęcie, no i film mi się urwał? Może tylko mi się zdawało na porannym kacu, że Eric położył liścik obok czapki? Może wyrzuciłam burbona, zanim pojechałam spotkać się z Vanessą?

Nie znalazłam nic pod poduszkami kanapy, więc położyłam się na ziemi, żeby pod nią zajrzeć. Poczułam, jak bije mi serce. Czapki ani śladu. Poszłam korytarzem do sypialni. Nie

bardzo mogłam powiedzieć, czy coś zniknęło z garderoby, ale zobaczyłam kilka pustych wieszaków, których wcześniej na pewno tu nie widziałam. Z łazienki zniknęła maszynka do golenia, żel do włosów i woda kolońska. Eric je zabrał? Kiedy spałam, wybrał się na darmowe zakupy po mieszkaniu mojego brata? Ale po co miałyby kraść nasze zdjęcie? Po co mu było zdjęcie, na którym jestem ja w wieku dwunastu lat, równie młody Lucas oraz Mimi? Na pewno tego nie zrobił. Poza tym wiedziałam, że maszynka do golenia była wcześniej w łazience, bo prawie ją straciłam z umywalki, kiedy się szykowałam, i przełożyłam na półkę nad toaletą.

O MÓJ BOŻE!

Lucas był w Wayoacie. Przez cały ten czas tutaj się ukrywał. Przecież wiedział, że ja też tu jestem. Dokąd pojechał? Byłam wściekła. Jak mógł mi to zrobić? Jak mógł zrobić to sobie?!

Dlaczego się ukrywał? Bo jest winny? Szybko odepchnęłam tę myśl. Może wcale nie ukrywał się z powodu Joanny, tylko dlatego, że nie miał pieniędzy, które musiał oddać Tomowi Gellerowi? Czy mógł być na tyle głupi, żeby się ukrywać z powodu pożyczki, kiedy podejrzewano go o morderstwo?

Zbiegłam na dół. Samochód Dale'a zniknął. Co miał na myśli, gdy powiedział: „Lepiej zamykaj drzwi na klucz”? Zobaczył, jak wróg publiczny numer jeden wchodził do mieszkania i wychodził z niego z czystymi ubraniami? Przecież to nie miało sensu! To było mieszkanie Lucasa. Poza tym Dale nie sprawiał wrażenia, że próbuje mnie przed czymś ostrzec. On chciał mnie wystraszyć. Jego przesłanie



było jasne: „Po prostu wpadnij do mnie, a jak tego nie zrobisz, sam sobie otworzę”.

Madison leżała na jednym z leżaków. Zdjęła ręcznik i wpatrzona w basen opalała się, popijając z małej srebrnej butelki. Przez chwilę zastanawiałam się, czy zapytać ją, od kiedy siedzi nad basenem i czy może zobaczyła Lucasa albo kogoś, kto go przypomina, ale rozmyśliłam się.

Wsiadłam do samochodu i zaczęłam jeździć po okolicy. Odwiedziłam wszystkie miejsca, w których bywaliśmy jako dzieci. Lodowisko do hokeja, na którym Lucas miał treningi w sobotnie zimowe poranki jeszcze przed wschodem słońca. Powietrze było tak lodowate, że aż kłuło w płuca. Przejechałam koło domu jednego z byłych chłopaków Mimi. Kiedyś zostawiła nas tutaj w nieogrzewanym samochodzie. Kiedy na nią czekaliśmy, wypaliliśmy naszego pierwszego papierosa wykradzonego z jej paczki. Lucas spojrzał na mnie otumaniony. Miał sine usta, dym wypuszczał nosem.

- Zaraz będziemy dorośli - powiedział.

Od razu wiedziałam, co miał na myśli. Przejechałam obok sklepu spożywczego na tyłach naszego domu, pod którym wdychaliśmy kruszone cukierki. Oczywiście to było głupie. Co miałby robić Lucas w tych miejscach? Przecież nie rozbił namiotu w parku Dicksona. Po pierwsze, nigdy nie lubił namiotów, a po drugie zbyt łatwo byłoby namierzyć ognisko, nie mówiąc już o tym, że nie byłoby to dobre miejsce ukrycia, jeśli chciał oczyścić się z zarzutów.

Kiedy podjechałam pod Tall Pines, motel zbudowany na planie litery L, już zmierzchało. To było jedno z tych miejsc,

które ciągle jeszcze szczyliło się tym, że ma kablówkę i kuchnię dla gości. Recepcjonista miał przetłuszczone włosy i niesamowicie grube brwi.

Czekałam przy recepcji, próbując wymyślić jakieś fałszywe nazwiska, pod którymi mógłby ukrywać się Lucas, ale mężczyzna od razu zorientował się, kim jestem.

- Ty jesteś tą siostrą, prawda? Widziałem cię w wiadomościach. Potrzebujesz pokoju?

- Nie, ja tylko...

- Dobrze wiem, o co zaraz zapytasz. Gdyby twój brat pedofil się u nas zatrzymał, natychmiast bym go wydał. Więc jeśli nie potrzebujesz pokoju, po prostu wyjdź.

I po sprawie.

Nie byłam w stanie się skupić. Lucas działał pod presją. Zaczęłam się obawiać, że popełni samobójstwo. Mógł być przerażony tym, że wszystko w jego życiu - od finansów, przez karierę zawodową, po życie prywatne - się waliło. Mógł chcieć się zabić, bo wszyscy wokół uważali, że jest winny. Nie potrafiłam wymyślić żadnego innego powodu, dla którego mógłby zostać w Wayoacie. Ale z drugiej strony po co miałby brać żel do włosów, wodę kolońską, maszynkę do golenia i czapkę? Chciał być równie atrakcyjny po śmierci? Ułożyć włosy na żel, na wypadek gdyby czapka spadła mu z głowy, kiedy rzucał się z mostu albo pod pociąg? To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Może wrócił do mieszkania? Może wcześniej wpadł na chwilę po rzeczy (i później mi wyjaśni dlaczego), zobaczył, że mnie nie ma, ale teraz wrócił i czeka na mnie?

W lusterku dostrzegłam czarną ciężarówkę. Od razu wiedziałam, że to ta sama, która jechała za mną dwa dni temu. Ścisnęłam dłońmi kierownicę, moje serce zaczęło bić szybciej. Sprawdziłam, czy mam dobrze zapięty pas. Ciężarówka była o wiele brudniejsza niż wcześniej, jakby przez ostatnie dwa dni jeździła po błocie i wertepach. Miała te same gigantyczne światła przy dachu. Próbowałam dojrzeć, jaką ma rejestrację, ale tablica była pokryta grudami ziemi.

Nie chciałam znowu bawić się w kotka i myszkę z moim nowym kolegą, więc przy najbliższej okazji zawróciłam. Ciężarówka musiała mnie minąć, ale chwilę potem przejechała przez wysepkę i mnie dogoniła. Kto to był, do cholery? Myślałam, że może Tom mnie śledzi, licząc na to, że doprowadzę go do Lucasa, ale jak na niego było to zbyt ostentacyjne działanie, więc skreśliłam go z listy podejrzanych. Może Greg Yates? Ale przecież śledził mnie, jeszcze zanim się poznaliśmy. Sięgnęłam do torebki, żeby zadzwonić do Garretta, ale kierowca dogonił mnie i zahaczył o boczne lusterko. Naderwało się i wisiało na kablu, raz po raz pukając w drzwi.

DUPEK.

Zepchnął mnie na prawo, na pobocze, jak piłeczkę we flipperze. Telefon wypadł mi z rąk. Trzy razy próbowałam wrócić rozchybotanym samochodem na pas, zanim udało mi się z powrotem wjechać na drogę i nie wpaść do rowu.

Tir jechał teraz przede mną, więc zjechałam na najbliższe osiedle i zaszyłam się w labiryncie małych uliczek.

Zaparkowałam na podjeździe i czekałam. Przejechał koło mnie dzieciak na rowerze z pomarańczową flagą zwisającą z tylnego zderzaka i latarką ledową na kierownicy. Był zrelaksowany, nie wyglądał, jakby uciekał przed groźnym Panem Ciężarówką. Wrzuciłam wsteczny i ruszyłam, ale nie zdążyłam nawet wyjechać z podjazdu, kiedy tir wrócił i mnie przyblokował. Warczał silnikiem i świecił światłami.

To jakiś absurd! Postanowiłam zignorować krew pulsującą mi w uszach i otworzyłam drzwi. Nie dam się zastraszyć. Muszę się dowiedzieć, jak się nazywa, a także zdobyć jego numery rejestracyjne. Ten człowiek uszkodził samochód, który wynajęłam. Przecież w takim stanie nie oddam wypożyczonego auta, zgrywając niewiniątko. Miałabym zostawić samochód na parkingu i uciec, udając, że nie zauważyłam wgniecenia i klekotania z tyłu? Już na zawsze utknę w biurokratycznej robocie dotyczącej zwrotu kaucji i opłat za szkody. A pewnie będzie tego jeszcze więcej. Cholera, jakbym miała czas zajmować się takimi bzdetami. Zamierzałam stawić czoła temu idiocie, kiedy właściciel podjazdu, na którym się zatrzymaliśmy, wyszedł z domu i zaczął krzyczeć, co tu do cholery się dzieje.

Tir momentalnie dał nogę.

Mieszkanie było puste. Szukałam jakiegoś liściku, jeszcze raz przejrzałam rzeczy Lucasa, ale nie znalazłam żadnej wiadomości. Byłam też pewna, że nic więcej nie zginęło.

Kiedy nasza matka wpadała w krótkotrwałą fazę zainteresowania dziećmi (przeważnie podczas napadów nudy między jednym chłopakiem a kolejnym), zaczynała bawić się

w detektywa. Udawała zmartwionego rodzica i węszyła po naszych pokojach, myśląc, że nie zostawia żadnych śladów po swojej obecności, ale zawsze o czymś zapominała. Zresztą jak bardzo skrupulatny może być alkoholik? Przeważnie wiedziałam, że była w moim pokoju, po lepkich i mokrych obręczach na mojej szafce. Po tym, jak całowałam się po raz pierwszy w życiu, napisałam w pamiętniku, że posunęłam się daleko z chłopakiem (co było tym śmieszniejsze, że był nim Skinny G). Oczywiście wyolbrzymałam sprawy, ale tak to wtedy odczuwałam. Kilka dni później Mimi zaciągnęła mnie do lekarza rodzinnego, żeby wystawił mi receptę na tabletki antykoncepcyjne. Nawet nie raczyła mi powiedzieć, dlaczego zapisała mnie na wizytę. Dowiedziałam się o tym dopiero w gabinecie doktora Bernarda, sympatycznego dżentelmena, który wyglądał, jakby zawsze nosił w kieszeni gotową do rozczestowania paczkę cukierków firmy Werther's Originals. Chodziłam do niego od urodzenia.

- Daj jej tabletki. Nie stać mnie na następnego dzieciaka. - Choć Mimi powiedziała to ze śmiechem, zabrzmiało to okrutnie w malutkim gabinecie przepełnionym narzędziami medycznymi i naklejkami ściennymi z postaciami z kreskówek. Nie mogłam oderwać wzroku od Kłapouchego.

- Musimy najpierw zbadać miednicę. - Spojrzał na mnie w sposób, który mi się nie podobał. Nie miałam pojęcia, co oznaczało badanie miednicy. Pewnie byłam tego dnia tematem rozmów przy kolacji w domu doktora. Wyobrażałam sobie, jak z niezadowoleniem kiwa głową pomiędzy kęsami purée i nuggetsów z mrożonki, rzucając przy tym retoryczne

pytanie w stylu: „Dacie wiarę, jak wcześnie te dzieciaki zaczynają w dzisiejszych czasach?”.

- Niech doktor robi, co trzeba - powiedziała Mimi kokieteryjnie.

W drodze do domu nie rozmawialiśmy o tym, że należy szanować swoje ciało. Nie było mowy o oczekaniu na odpowiedniego chłopaka. Usłyszałam tylko:

- Nie daj sobie zrobić bachora. - Prosta instrukcja. Byłby to może nawet szczyt osiągnąć Mimi, jeśli chodzi o rodzicielskie rady, gdyby po chwili nie dodała: - Przynajmniej dopóki mieszkasz w moim domu.

W związku z powyższym wraz z Lucasem opracowaliśmy system skrytek, których, o ile wiem, nasza matka nigdy nie odkryła. Na przykład w schowku na baterię w starej zabawce trzymałam marihuanę, której nigdy nie wypaliłam (lata mojej narkomanii miały nadejść dopiero w college'u), chociaż nie chowałam jej dlatego, że Mimi byłaby na mnie zła, tylko dlatego, że na pewno by mi ją wypaliła. Lucas przyklejał prezerwatywy pod spód półek w szafkach, a listy od Carolyn w otworze wentylacyjnym. Pieniądze włożone do kopert przyklejaliśmy do tylnej ścianki mojego regału, bo Mimi bardzo lubiła „pożyczać na wieczne nieoddanie”. Za to kiedy ja prosiłam ją o pieniądze, zaczynała głądzić o tym, jak dużo wydała na prąd od moich narodzin. Kiedy ja i Lucas zamieszkaliśmy już na swoim, śmialiśmy się, że nadal ukrywamy rzeczy po kątach, bo stare nawyki ciężko wykorzenić. Może więc Lucas z przyzwyczajenia nadal korzystał ze swoich skrytek?

Otworzyłam dolną szufladę i zajrzałam pod spód. Nic. Nożykiem do masła wyjęłam kratkę z otworu wentylacyjnego, ale znalazłam tylko kurz. Sprawdziłam tylne ściany szafek kuchennych, zajrzałam pod szafki i szufladę na sztućce. Nie miałam pojęcia, czego właściwie szukam. Być może powodu, dla którego Lucasa tu nie było? Albo czegoś, co zostawił tylko dla mnie? Przecież wiedział, że tu przyjadę.

Ale wciąż nic. Zakląłam, walnęłam pięścią w blat i usiadłam na kanapie. Poczułam wzmożoną chęć ucieczki do krainy valium. Lucasa nie było już od sześciu dni. Sześciu, licząc od dnia, w którym wysłał Zoey SMS-a o zerwaniu. Jakaś część mnie wciąż liczyła na to, że w końcu pojawi się z historyjką o zepsutym dżipie, kiedy wracał z wycieczki z głębi lasu albo ze spływu kajakowego. Tyle że Lucas nie jeździł dżipem i nigdy nie pojechałby w miejsce, którego standard nie dorównywał Holiday Inn.

- Gdzie jesteś, do cholery?! - wrzasnęłam na czarny ekran. Złapałam się za głowę i zaczęłam rozglądać po pokoju.

Spojrzałam na regał z książkami. Głównie były tam mocno sponiewierane lektury szkolne. Potem przyjrzałam się samemu regałowi. Stał tuż przy ścianie, ale nadmiernie obciążona górna część regału wygięła się nieco do przodu. Zdjęłam trochę książek, wysunęłam szufladę i sprawdziłam dyktę. Lucas przykleił do niej taśmą klejącą szarą kopertę. Delikatnie ją odkleiłam, otworzyłam i wsunęłam do środka rękę. Poczułam coś miękkiego i pierzastego. Cofnęłam gwałtownie dłoń, jakby to było coś obrzydliwego i niebezpiecznego, na przykład strzykawka narkomana albo

zwierzę chore na wściekliznę. W każdym razie na pewno coś zaraźliwego. Delikatnie, jakbym bała się, że może eksplodować, odłożyłam kopertę na stół.

Przyglądałam się jej przez dłuższą chwilę, siedząc na kanapie. Nie było żadnego napisu, na przykład „TAJEMNICA – tylko do wglądu Mii”.

Nagle rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Schowałam kopertę pod poduszki kanapy, zerwałam się na równe nogi, moje serce waliło jak szalone.

To on, to on, Lucas wrócił! – dudniło mi w głowie.

Pobiegłam do drzwi i otworzyłam. Byłam pewna, że Lucas w maskującym ubraniu (na przykład w płaszczu z wysokim kołnierzem zasłaniającym twarz) wślizgnie się do środka. Nikt po drodze do domu go nie rozpozna, zjawi się tu incognito.

– Wszystko ci wyjaśnię – rzuci ukradkiem.

To był dozorca Russ. Wyglądał na zawianego i pachniał wszystkim, czym się dało: skórą, dymem, piwem, whisky i olejem napędowym.

– Cześć. Chciałem powiedzieć, że możesz parkować na miejscu twojego brata.

– Okej – odparłam, zastanawiając się, czego tak naprawdę chciał o tej godzinie. Przecież było już po dwudziestej trzeciej. Czy ktoś w tym mieście w ogóle używa telefonów? Nie mówiąc już o tym, że parkowałam na miejscu Lucasa od samego przyjazdu.

Kiwał się w przód i w tył, jakby ktoś nim bujał.

– Jest bliżej niż miejsce dla gości.



- Okej, świetnie. - Zaczęłam powoli zamykać drzwi. Russ miał błędny wzrok.

- Twój brat. No wiesz, odzywał się do ciebie?

- Nie. Ja... muszę już iść.

Russ wybełkotał coś niezrozumiale, a jego twarz wykrzywiła się w sztucznym uśmiechu, jaki można sobie wyobrazić u zdziwaczałego pracownika domu pogrzebowego.

Chciałam zamknąć drzwi, ale mi to uniemożliwił, zaskakująco szybko przytrzymując je ramieniem.

- Jesteś sama? - zapytał.

Zaczynałam się czuć jak w horrorze klasy B, w którym dziewczyna mówi „tak”, choć nie powinna. Albo wcale nie mówi „tak”, ale kończy tak tragicznie, że równie dobrze mogłaby to powiedzieć.

- Tato! - krzyknęła Bailey. Stała na korytarzu na bosaka, jej twarz rumieniła się z zażenowania.

Russ odwrócił się i wybełkotał, że już dawno powinna być w łóżku, po czym znów odwrócił się do mnie. Bailey złapała go za ramię. Bez trudności objęła nadgarstek ojca całkiem sporą jak na dziewczynę dłońią.

- Odpieprz się. Tylko rozmawiamy. - Próbował jej się wyrwać, ale był na to zbyt pijany.

Zaczęłam mówić do Russa, żeby się uspokoił, ale Bailey kiwnęła do mnie ostrzegawczo głową. Przekaz był w stylu: „Lepiej się w to nie mieszaj”. W każdej rodzinie, w której jest alkoholik, jego najbliżsi radzą sobie z nim po swojemu, nie ma tu jednego wzorca, więc się wycofałam, bezsłownie przekazując Bailey, że w razie czego jestem do dyspozycji.

- Idziemy. - Bailey złapała go drugą ręką w pasie. Stała mocno na nogach i miałam wrażenie, że mogła tak stać bez ruchu przez całą noc. Russ uwiesił się na niej i wybełkotał niewyraźne „pszpraszam”.

- Wybacz mu. Nigdy się tak nie zachowuje. To przez nowe leki. Nie powinien łączyć ich z alkoholem.

- Nie jestem na żadnych lekach - mruknął Russ i zakołysał się. Gdy pojawił się na moim progu, już wtedy tracił ostrość widzenia i ten stan chyba się pogłębiał.

- Chodźmy już. - Bailey zdołała zaprowadzić ojca do windy, nie rozluźniając uścisku, a on kuśtykał przy niej jak małe dziecko.

Weszłam do środka i zamknęłam drzwi na zamek i łańcuch.

Przez chwilę opierałam się o drzwi, jakby ciężar mojego ciała dawał dodatkową gwarancję, że nikt już tu nie przyjdzie. Potem wróciłam do salonu, na kanapę.

Wyjęłam kopertę spod poduszki i położyłam na stoliku. Zastanawiałam się, czy to możliwe, żeby została podłożona przez policję albo przez kogoś, kto chciał sprawić, żeby Lucas wyszedł na winnego. Ale policja podłożyłaby ten dowód nie po to, żebym ja go znalazła, tylko żeby znalazł go któryś z detektywów i narobił szumu. A gdyby ktoś inny chciał zrobić Lucasa, to nie ukryłby koperty aż tak dobrze, by policja nie dała rady jej znaleźć. Po prostu wrzuciłby ją do szuflady czy położył na stole. Nie, to zostało ukryte w naszym, moim i Lucasa stylu. I tylko Lucas znał swoje kryjówki.

Pomyślałam, że może na kopercie są ślady DNA, na

przykład strużka śliny, odcisk palca albo rzęsa. Ale jeśli tak, to zniszczyłam dowód, zaglądając do środka. Postanowiłam nie dotykać jej więcej. Nakazałam sobie surowo:

- Nie dotykaj, Mia, ani się waż.

Wstałam z kanapy, zrobiłam krok w tył, złapałam się za policzki. Czy naprawdę chciałam wiedzieć, co było w środku? Mój brat jest podejrzany o morderstwo, a ja właśnie znalazłam ukrytą kopertę, w której na pewno nie ma nic ciekawego.

Innymi słowy, znów miałam atak patologicznego zaprzeczania faktom. Stwierdziłam, że to nic ważnego. Bez mrugnięcia okiem zrobiłam sobie pranie mózgu. Luzik arbużik. Nie ma co zaglądać do środka. Trzeba iść dalej. Zniknęłam w korytarzu i poszłam do łazienki wziąć prysznic. Namydliłam ręce, którymi wcześniej dotknęłam tego czegoś, co było w kopercie. Potem owinęłam się jednym ze zbyt często wybielanych ręczników Lucasa. Dlaczego zamiast tego nie kupił sobie nowych? Czy to aż takie trudne? Może gdyby spędzał mniej czasu w pubie U Casey, a więcej w Bed, Bath & Beyond<sup>[6]</sup>, nigdy nie znalazłby się w takiej sytuacji. Zwinęłam ręcznik w kulkę i wyrzuciłam go do kosza na śmieci. Kosz się przewrócił, przez co stałam się jeszcze bardziej wściekła. Chciałam wrócić do domu, do mojego mieszkania, w którym miałam swoje ręczniki, świeże, miękkie i nieposiepane na rogach, bez żadnych głupich niteczek, które łaskotały mnie w sutki. W którym żadni pijani i spoceni dozorczy nie przychodzą w nocy z wizytą. Chciałam spać w swoim łóżku, a rano pobiegać po stałej trasie

i wsłuchiwać się w wiatr szumiący między wieżowcami. Chciałam mijać na ulicach tłumy obcych mi ludzi. Chciałam wiedzieć, że mój brat jest tutaj cały i zdrowy, i żyje swoim życiem wiejskiej myszki, gdy zaś ja wielkomiejskim. Złapałam czerwoną kosmetyczkę, wyjęłam wszystkie fiołki, ale po chwili schowałam do środka, kosmetyczkę odłożyłam na blat umywalki i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Kiedy wróciłam do salonu, pościeliłam sobie na kanapie Lucasa. Wzięłam poduszkę i koc, po czym spojrzałam na wybrzuszoną kopertę. Kogo ja oszukiwałam? Chwyciłam kopertę i wyrzuciłam jej zawartość na stół. Jako pierwszy wypadł telefon, a potem notatnik, trzepocząc kartkami. Chwyciłam za telefon. Próbowałam go włączyć, ale bateria padła. Kiedy odwróciłam notatnik, coś wypadło ze środka na stolik. Był to związany fioletową wstążką kosmyk włosów podobnych do włosów Joanny. Alarmująco wręcz podobnych. Nawet ja nie byłam w stanie dłużej się oszukiwać. To SA włosy Joanny. Niemal czułam bijący od nich owocowy zapach lakieru do włosów dla nastolatków.

Skoczyłam jak oparzona. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, poczułam się słabo, jakby odpłynęła ze mnie cała krew. Na okładce notatnika zobaczyłam tytuł napisany ładnym charakterem pisma:

PAMIĘTNIK JOANNY

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zaczęłam rzucać się po mieszkaniu, jakby ktoś wysypał na podłogę rozżarzony węgiel. Spazmatycznie wymachiwałam rękoma w powietrzu. Czułam się, jakbym przemieniała się w dzikie zwierzę. W ostatniej chwili złapałam poduszkę i zakryłam nią usta, po czym wydałam z siebie zwierzęcy, gardłowy pisk. Zębami uderzyłam o guzik poduszki.

- Zrobił to! Do diabła, on to zrobił! - powtarzałam bez końca, pojękując, wyjąc i piszcząc, aż nie miałam dłużej siły trzymać poduszki. Upuściłam ją i padłam na kolana, chowając w niej twarz. Poduszka pachniała piżmem i odurzającym kwiatowym odświeżaczem powietrza. Dusiałam się, ale nie chciałam przestać. Przez chwilę pomyślałam o tabletkach, które cierpliwie czekały na mnie w łazience. Mogłabym wziąć je wszystkie. Może Haasowie powinni wyginąć, zanim spustoszą tę planetę? Mimi już prawie odeszła, kielkujący w Joannie maleńki Haas nie żył.

A Lucas podążał najgorszą z możliwych dróg.

Teraz, kiedy o tym myślałam, coś sobie uświadomiłam. Odkąd Lucas wrócił do Wayoaty, nasze rozmowy stały się krótsze i niemal zdawkowe. Na „Jak się masz?” odpowiadaliśmy „dobrze” albo „jestem zabiegany”. Nie zagłębialiśmy się w szczegóły. Może w gruncie rzeczy wiedzieliśmy o sobie tylko prawdy absolutne, które ustaliliśmy jeszcze w dzieciństwie: że pepsi jest smaczniejsza

od coca-coli, że pizza jest najlepsza na zimno i że zawsze wybralibyśmy możliwość latania nad nieśmiertelnością. Ale Lucas nie miał pojęcia, że potrafię łykać tabletki garściami niczym tic taki. Zrozumiałam, że w ogóle się nie znamy.

Któregoś dnia Mimi po raz kolejny miała kaprys, żeby zgrywać fajną mamę. Przykryła stół kuchenny stronami z gazet i podała na obiad spaghetti. Haczyk tkwił w tym, że należało zjeść spaghetti bez użycia sztućców. Mieliśmy czternaście lat i czuliśmy się o wiele za starzy na takie zabawy. Powiedziałam, że nie będę jadła. Mimi naląła sobie kieliszek czerwonego wina i ze śmiechem patrzyła, jak Lucas zanurzał twarz w makaronie, cały umorusał się sosem i wsysał wystające z buzi nitki makaronu.

Przez wiele lat myślałam, że to na mnie spadła cała podłość ukryta w genach Mimi, ale być może Lucas znajdował się w jeszcze gorszej sytuacji. Ja byłam „trudnym” dzieckiem, a on rozbawiał Mimi. Może chęć przypodobania się wszystkim wokół brała się stąd, że przez lata tańczył na każde zawołanie wiecznie pijanej matki. Być może upokorzenie, którego doznał tamtej nocy, dając coś więcej jednemu z przyjaciół, przelało czarę goryczy. Gniew, który po cichu narastał w nim od lat, i niezgoda na granie roli pana domu w czasie, kiedy Mimi akurat się z nikim nie spotykała, to wszystko generowało niedobre emocje. Kiełkowały w nim przez lata, aż w końcu przejęły nad nim kontrolę niczym rak, który pod maską uśmiechu wypuszczał w jego duszy mroczne pędy.

Włosy. Te, które Joanna chciała przekazać dzieciom

chorym na raka. Dlaczego je obciął? Czy to była chora pamiątka? Przypomniały mi się te wszystkie alarmowe sytuacje, kiedy wyciągaliśmy z wanny Mimi po tym, jak zemdląca. W pewnym momencie Lucas zaczął to robić sam, bo był silniejszy. Jej mokre włosy zwilżały jego policzki. Potrafiłam sobie wyobrazić, że mając taką matkę, Lucas mógł przepoczwarzyć się w Normana Batesa, bohatera słynnego filmu Hitchcocka *Psychoza*.

W końcu sama omal jej nie zabiłam. Nie byliśmy miłą rodziną. Pomyślałam o czarnej rękawiczce. Lucas ją zachował... tylko po co? Mimowolnie wyobraziłam sobie, że używał jej do masturbacji. Błyszcząca od żelu nawilżającego czarna rękawiczka. Boże przenajświętszy!

A co z krwią? Może jego awersja do krwi zamieniła się w chorą obsesję. Przypomniałam sobie incydent ze Śliskim Rickym. Lucas zakradł się po cichu i jakby nigdy nic przywalił Ricky'emu w plecy. Huknął go nawet dwa razy, a potem bez słowa patrzył, jak Ricky zwija się z bólu na podłodze, jakby to była jakaś ciekawostka. A na koniec po prostu odszedł do swojego pokoju. Ale przecież wtedy mnie chronił. Znałam go na wylot. Nie był zepsuty do szpiku... tak przynajmniej mawiali ludzie o dobrych ludziach.

Ale ja się myliłam. Zapłakałam w poduszkę. Myliłam się.

Lucas, którego znałam, nie trzymałby w mieszkaniu włosów zamordowanej nastolatki. Ale jaka matka, taki syn. Musieli mieć w genach dziki popęd na nieletnich.

Lucas nigdy nie dostał szansy, na którą zasłużył.

A teraz było już za późno. O wiele za późno. Szkoda została

wyrządzona.

Po jakimś czasie, kiedy wreszcie poczułam, że jestem w stanie udźwignąć głowę znad mokrej od łez poduszki i odetchnąć pełną piersią, poszłam do łazienki. Zażyłam lorafen na rozluźnienie mięśni i czule objęłam pozostałe butelki, jakby były małymi chomiczkami. Jednak po chwili zmieniłam zdanie i je zostawiłam.

Zebrałam wszystko. Pamiętnik (szybko go przejrzałam, ale ciężko było mi strawić ten radosny i tchnący optymizmem charakter pisma, opatrzone datami wpisy naiwnie pędzące do przodu ku wyczekiwanej przerwie wakacyjnej. Lucas stawiał w rogach czerwone ptaszki, które przypominały odwrócone kosy, jakby odliczał czas do dnia, w którym będzie mógł zabić Joannę), włosy i telefon. Wrzuciłam je do czarnego worka na śmieci i wymknęłam się na parking. Schowałam worek pod siedzeniem pasażera. Wsiadłam do auta i dojechałam do skrzyżowania przy komendzie policji. Była trzecia nad ranem, więc miałam nadzieję, że komisariat będzie zamknięty, ale w środku było jasno.

Zapaliło się czerwone światło. Winny, winny, winny! Ta myśl w mojej głowie pulsowała niczym rozżarzony węgiel. Uderzyłam pięścią w kierownicę.

- Jedź, jedź. Rzuć worek na blat recepcji i uciekaj - powtarzałam sobie, ale nie byłam w stanie zdjąć nogi z hamulca. Moje ciało pod wpływem lorafenu stawało się coraz bardziej wiotkie.

Jutro.

Jutro to zrobię. Jutro będę trzeźwiej myśleć.



Przecież nie ma pośpiechu, policja i tak jest przekonana, że to Lucas.

Wrócę jutro, pomyślałam i zawróciłam samochód.

Zaparkowałam na miejscu Lucasa. Zanim weszłam na górę, wyjęłam telefon z worka. To moja jedyna szansa, żeby się czegoś dowiedzieć, zanim oddam go w ręce policji.

Próbowałam podłączyć go do swojej ładowarki, ale nie pasowała. To musiał być ten tajny telefon, którego używał do porozumienia się z nastoletnią kochanką. Może znajdę tam coś, co wyjaśni całą tę sprawę. Wiadomość od Joanny, w której prosiła o przechowanie pamiętnika. Wiadomość, do której w romantycznym geście dołącza pasemko włosów. Coś było między nimi, ale to jeszcze nie znaczyło, że Lucas ją zabił. Musiałam dostać się do tego telefonu, zanim (i znów poczułam ból w klatce piersiowej, a w moich uszach echem odbiły się słowa „Skarżypyta, skarżypyta”) oddam go Garrettowi.

# ROZDZIAŁ DWUNASTY

## *Dzień piąty*

### *Niedziela*

Rano po kilku godzinach przerywanego snu czekałam, aż otworzą sklep, w którym będę mogła kupić odpowiednią ładowarkę. Zanim wyszłam, znalazłam w szafce kuchennej taśmę klejącą. Na korytarzu zamknęłam drzwi na klucz i przykleiłam na dole framugi malutki kawałeczek, którego nie sposób było dostrzec, jeśli się go nie szukało. To kolejny trik, który stosowaliśmy, żeby sprawdzać, czy Mimi weszła w naszych sypialniach. Strategicznie umieszczona taśma klejąca równie dobrze nadawała się do przyłapywania intruzów, co pieczęć woskowa. Zauważyłam na framudze kilka wcześniej przyklepionych kawałeczków taśmy. Czyżby Lucas też się martwił, że ktoś włamuje się do jego mieszkania?

Nagle poczułam się, jakby ktoś mnie obserwował. Zauważyłam, że dziurka wizjera w mieszkaniu naprzeciwko Lucasa jest ciemna. Zapukałam do drzwi:

- Jestem Mia. Chwilowo mieszkam u brata, to po drugiej stronie korytarza. Czy mogłabym zadać kilka pytań?

- Nawet nie próbuj. I tak ci nie odpowie. Ona się stamtąd nigdy nie rusza - poinformowali mnie sąsiedzi z prawej,

którzy właśnie wychodzili z mieszkania. Wiekowi małżonkowie podpierali się dopasowanymi kolorystycznie balkonikami na kółkach. Powoli sunęli w stronę windy. Wyglądali, jakby szli w jakieś eleganckie miejsce, bo byli ubrani w tak zwane niedzielne ubrania. Korytarz wypełnił zapach perfum i płynu do golenia.

- To jedna z tych... jak oni się nazywają, Doris? - powiedział mężczyzna i nadstawił ucha w stronę żony.

- Tylko mi nie mów, Stan, że znowu zapomniałeś wziąć aparat słuchowy. Wracaj do mieszkania go założyć - fuknęła Doris, po czym zacisnęła usta w gniewie.

Stan spojrział na drzwi od mieszkania i machnął ręką, jakby było już za daleko, żeby zawracać.

- W każdym razie oni się nazywają a-gora-fobowie. Tak się nazywają - niemal wykrzyczała Doris.

Mówiła tak głośno, że była pewna, że usłyszał ją nie tylko Stan, ale również nieszczęsna agorafobka.

- Ty jesteś jego siostrą? - Stan przyjrzał mi się od stóp do głów.

Kiedy przytaknęłam, zaczął mruzczyć coś do Doris, ale mu przerwała:

- Zeszłej zimy, kiedy Stan miał zawał, Lucas przyszedł i zapytał, czy potrzebuję podwózek do szpitala albo pomocy z zakupami - powiedziała, wyraźnie próbując przypomnieć mężowi o dobroci Lucasa.

Stan spał się, a ja byłem pewna, że pomyślał o tym, ile razy jego żona była sam na sam w aucie z Lucasem. Chciałam zapytać, czy ostatnio nic nie zniknęło im

z mieszkania, ale nie chciałam ich wystraszyć. Stanęli przy windzie, a kiedy Doris wciskała przycisk, jej gigantyczna, wysadzana sztucznymi kamieniami torebka zaczęła zsuwać się z balkonika. Stan złapał ją w ostatniej chwili. Odłożył ją na miejsce i wsiedli do windy.

Wciąż stałam naprzeciwko drzwi „agorafobki”, kiedy usłyszałam dziwny dźwięk szurania o drzwi, jakby ktoś opierał się o nie plecami, żeby na pewno nikt nie wszedł do środka. Ktoś, kto patrzył na życie przez wizjer, szczeliny w drzwiach i lekko uniesione zasłony, mógł wiedzieć, kto wchodził do mieszkania mojego brata. Może mógł nawet poświadczyć, że Lucas całą noc był w domu, dzięki czemu zyska alibi? Ta kobieta mogła przecież usłyszeć, jak zamykał za sobą drzwi, i potwierdzić, że nie wychodził na zewnątrz aż do następnego ranka. Pewnie tylko udawała niewidomą i głuchą przed policją, bo bała się, że zaciągną ją na komisariat. Ale może ze mną zgodzi się porozmawiać, wiedząc, że nie będę próbowała wyciągać jej z domu? Mało prawdopodobne.

Nie otworzyła mi. Musiałam porzucić ten trop.

Dale Burton! Przecież mnie ostrzegał! Mówił, żebym zamykała drzwi, co oczywiście robiłam. Ale dlaczego nie domyśliłam się wcześniej? Wściekła jak diabli zbiegłam na dół schodami. Pukałam pod numer 11 z tabliczką „Dozorca” mocno i głośno, aż wreszcie usłyszałam jakieś odgłosy.

- Tak, tak, nie zdejmuj majtek - gderał Russ za drzwiami, a gdy je otworzył, zobaczyłam, że nie ma na sobie koszulki. Jego brzuch był tak wypukły, że nie wyglądał jak prawdziwy.

Obstawiałabym, że był zrobiony z lateksu, jak na filmie.

- W czym mogę pomóc?

Po wyrazie jego twarzy zrozumiałam, że nie ma najmniejszego pojęcia, że wczoraj wieczorem walił do moich drzwi. Przestałam wierzyć, że wyglądało to tak, jak myślałam wcześniej. Lucas porządnie zamykał drzwi, ale Russ pewnie uznał, że nikt nie zauważy zniknięcia kilku prawie pustych butelek, a poza tym nic się przecież wielkiego nie stanie, jeśli przy okazji pożyczę żel do włosów i trochę wody kolońskiej. Potem zwinął wyglądającą drogo maszynkę do golenia, a na koniec polaroida. Pewnie pomyślał, że któregoś dnia coś takiego będzie sporo warte, kiedy historia trafi do telewizji. Przy okazji zabrał też czerwone trampki, bo kosztowały tyle, co dwumiesięczny czynsz za to mieszkanie. Chociaż kiedy mu się przyjrzałam, uznałam, że bardziej wygląda na poczochronego kowboja o małych stopach niż na drobnego złodziejaska.

- Trzymaj się z dala od mieszkania mojego brata albo zadzwonię na policję.

- Hm, czegoś tu nie rozumiem - powiedział zdziwiony i wzruszył ramionami.

Jego oddech był ciepły i pachniał piwem. Nagle zza jego pleców wychyliła się zmartwiona Bailey, która chrupała pop tarta<sup>[7]</sup>. Zaczęłam się zastanawiać, czy Russ już był alkoholikiem, kiedy wpadł na pomysł nazwania swojej córki jak likier. Na blacie kuchennym dostrzegłam butelkę po burbonie w towarzystwie innych butelek ustawionych przy kuchence mikrofalowej.

- Myślę, że świetnie rozumiesz. Kiedy kończy ci się alkohol, zakradasz się do mieszkań lokatorów i ich okradasz. Nie rób tego więcej. - Pokazałam w kierunku butelki burbona, na którą nawet nie spojrzał.

Zamiast tego prychnął, jakbym powiedziała najśmieszniejszą rzecz na świecie.

- A teraz ty mnie posłuchaj, panienko. Nie lubię być oskarżany o coś, czego nie zrobiłem. Chyba powinnaś mnie zrozumieć, skoro sama biegasz po mieście i wszystkim opowiadasz, że to nie twój brat zabił tę dziewczynę. O ile nie bawisz się ze mną w ukrytą kamerę, lepiej zastanów się nad tym, co robisz. Chyba nie chcesz zostać oskarżona o zniesławienie, kiedy masz już tyle innych kłopotów. Tym razem będę dżentelmenem i zapomnę, że w ogóle doszło do tej rozmowy. - Zatrzasnął za sobą drzwi. Ze środka usłyszałam jeszcze, jak mówił do córki: - Dajesz wiarę, co ta suka wymyśliła?

Czyli Lucas wcale nie wrócił do Wayoaty.

Nie pojechałam do Walmarta, bo nie miałam ochoty spotykać nikogo znajomego, i pojechałam do Eddie's Electronics. W sklepie zobaczyłam tylko stare faksy, gigantyczne drukarki i monitory kineskopowe. Już miałam wychodzić, kiedy Eddie wyszedł z łazienki i przedstawił się, wkładając koszulę w spodnie. W tle słyszałam dźwięk spływającej wody.

- W czym mogę pomóc?

- Szukam ładowarki do takiego telefonu. - Wyjęłam go, żeby zademonstrować.

Eddie zniknął za ladą, wyjął pudło z napisem ŁADOWARKI i postawił przede mną. Zanurzyłam tam dłonie i w końcu znalazłam pasującą. Kosztowała dolara i pięćdziesiąt centów. Kiedy zapłaciłam i zbierałam się do wyjścia, Eddie odkaszlnął, po czym powiedział, że brał udział w poszukiwaniach tej biednej dziewczyny i ma nadzieję, że mój brat będzie smażył się w piekle.

- Taka piękna dziewczyna - dorzucił, jakby brzydkie dziewczyny bardziej zasługiwały na to, żeby roztrzaskiwano im czaszki.

Wjechałam na Main Street i nagle minęłam JĄ. Tylko mi mignęła w lusterku bocznym i nie byłam pewna, czy to ona, dopóki nie zatrzymałam się na światłach i nie zajrzałam w tylne lusterko. Zawróciłam na czerwonym i zatrzymałam się przy niej, zahaczając o krawężnik.

- Mimi? - zapytałam, wyglądając przez okno pasażera.

Szła bardzo szybko pochylona do przodu, jakby opierała się silnemu wiatrowi. Wciąż była w szlafroku w kwiaty, ale zamiast kłapek rozdawanych w domu opieki miała na sobie czarne gumki. Jej stopy z pewnością spływały potem. Spojrzała na mnie, ale nie przestała iść przed siebie. Zaparkowałam samochód i pobiegłam za nią.

- Mimi, zatrzymaj się, proszę. Dokąd idziesz? - krzyczałam.

Ale nie zwracała na mnie uwagi. Odrzuciła głowę w tył, jakby ktoś pociągnął ją za jeden z warkoczy, po czym westchnęła ku niebu:

- Jakby cię to interesowało. Śpieszę się.

- Mimi, nie powinnaś wychodzić poza teren ośrodka.

- Nie, nie powinnam. Jestem jak niesforny kotek, któremu udało się wymknąć, kiedy nikt nie patrzył - rzuciła z uśmiechem, po czym wystawiła język, złożyła dłonie w kocie łapki i zaczęła głaskać się po twarzy jak myjący się kotek.

- Proszę, pozwól odwieźć się na miejsce. Zaparkowałam tuż obok.

- Nie! - rzuciła stanowczo.

Wiedziałam, że nie uda mi się jej zaciągnąć do samochodu. Bałam się działać na siłę, nie chciałam jej stresować.

Wyjęłam telefon i zadzwoniłam do Latarni Morskiej.

- Moja matka właśnie spaceruje po Main Street. Czy ktoś może mi wytłumaczyć, jak to się stało?

Personel już wiele razy ze stoickim spokojem informował mnie, że wymyślając kolejne wygłupy, Mimi narobiła wiele szkód, za które wciąż nie uregulowałam rachunku. Kwestię ucieczki zawsze pomijał, jakby nigdy coś takiego nie miało miejsca. Co za tandetne miejsce!

W końcu pielęgniarka zapewniła mnie, że grupa interwencyjna została już wysłana na poszukiwania Mimi, która jeszcze nigdy nie uciekła z ośrodka, w co oczywiście nie uwierzyłam. Dodatkowo wycedziła listę zasad bezpieczeństwa stosowanych w ośrodku, chociaż była to ostatnia rzecz, która mogła mnie w takiej chwili zainteresować.

- Po prostu przyjdźcie i zabierzcie stąd moją matkę. To niebezpieczne - powiedziałam, zastanawiając się, co stwarzało większe zagrożenie: świat zewnętrzny dla Mimi



czy Mimi dla świata.

Wtedy ona (była już dobrych kilka metrów ode mnie) zatrzymała się nagle, jakby uderzyła głową w niewidzialną szybę. Odwróciła się, po czym szelmowsko niemal wyśpiewała mi w twarz:

- Nie powinnaś tego robić! - Mimi rzuciła się sprintem wzdłuż ulicy. Pobiegłam za nią, podając pielęgniarce naszą lokalizację, żeby wiedziała, gdzie przysłać grupę interwencyjną. Mimi nie zwalniała, co mnie zaskoczyło, bo wiedziałam, że pali jak smok. Nagle skręciła w prawo i wbiegła na podwórko. Na dużej trampolinie w ogrodzie skakała dziewczynka. Obserwowała nas zdziwiona, nie przerywając zabawy.

Mimi zadarła szlafrok i z zaskakującą łatwością wspięła się na ogrodzenie. Pędziła jak wilkołak. Z trudem pokonałam płot, tymczasem ona równomiernym krokiem truchtała wzdłuż chodnika. W końcu nadjechał biały van, zatrzymał się przy niej i wysiadło z niego dwóch krzepkich medyków. Spodziewałam się, że Mimi odstawi cyrk, opluje ich, będzie kopać i drapać, ale przywitała ich jak starych dobrych kumpli. Pokleпали się po plecach i uściskali dłonie. I to miała być jej pierwsza ucieczka? Jasne.

Kiedy medycy otworzyli drzwi do furgonetki, nasze spojrzenia spotkały się i zobaczyłam we wzroku Mimi coś, co dobrze znałam z czasów przed wypadkiem. Tę iskrę w oku. Dokąd ona szła? Czy w ogóle wiedziała, gdzie idzie? Może zmierzała do jakiejś iluzorycznej krainy, wytworu swej wyobraźni?

Patrzyłam, jak biały van skręcił w boczną uliczkę i zniknął za rogiem. Wróciłam do mojego samochodu i odruchowo sięgnęłam po klonazepam. Jak po gumę do żucia po obiedzie.

Myślami wróciłam do dziewiątej klasy, kiedy moja koleżanka poprosiła, żebym została u niej na dwa popołudnia i noc z rządu. Być może wyczuła moją niechęć do domu rodzinnego i to, jak bardzo oczarowała mnie „normalność” ze szklankami mleka podanymi do obfitej kolacji. W domostwie Haasów spożywanie posiłków nie wiązało się z rytuałami. Drugiej nocy, akurat kiedy dostałyśmy po miseczce lodów z kawałkami czekolady, niespodziewanie odwiedziła nas moja matka. Rzuciła we mnie walizką pełną moich ubrań i zagrzmiała:

- Jak tak ci się u nich podoba, to się do nich wprowadź. -  
I odjechała.

Wzięłam walizkę i poczłapałam smutno do domu. Mimi siedziała na kanapie w pokoju szarym od dymu papierosowego. Kiedy weszłam, poklepała poduszkę obok siebie, żebym usiadła. Przytuliła mnie i powiedziała:

- Jesteś moją córką. Nie zapominaj o tym.

Jak mogłabym o tym zapomnieć, skoro nigdy nie przestawała o sobie przypominać?

Wróciłam do mieszkania. W korytarzu spotkałam Erica, który właśnie wracał spod drzwi Lucasa. W dłoniach trzymał tackę z kubeczkami kawy i brązową, poplamioną tłuszczem papierową torbę.

- Już chciałem się poddać. Myślałam, że udajesz, że cię nie ma.

Klonazepam zaczął działać. Wszystko działało się w zwolnionym tempie, moje mięśnie wiotczały. Nie byłam w stanie szybko wymyślić żadnej dowcipnej riposty.

- Przyszedłem nie w porę? - Eric rzucił mi pełne troski spojrzenie psychologa szkolnego.

A ja poczułam niepohamowaną chęć zaśnięcia w jego ramionach. I spania tak długo, aż to wszystko okaże się tylko snem. Ale niestety przyszedł nie w porę. Już nigdy nie będzie dobrej pory na nic. Mój brat okazał się mordercą, a ja musiałam dowiedzieć się, jakie tajemnice kryły się w jego telefonie. No i musiałam pozbyć się klonazepamu z organizmu.

- Przykro mi, ale to nie najlepszy moment. Jestem bardzo zmęczona.

- Nie cieszysz się, że przyniosłem ci kawę?

Otwierając drzwi, rzuciłam okiem na taśmę klejącą na framudze. Była nietknięta. Może to Mimi przychodziła do mieszkania Lucasa? Może i tym razem szła tutaj? Niewątpliwie była dobrą kandydatką na złodzieja burbona. Ale nawet jeśli pielęgniarzka kłamała, że była to jej pierwsza ucieczka, nie sądziłam, żeby miała zapasowe klucze do mieszkania. Poza tym nie miała kieszeni w szlafroku, więc gdzie miałyby schować golarkę, wodę kolońską, żel do włosów, buty i butelkę? Nie, to na pewno był ten obleśny dozorca.

Kiedy weszliśmy, pobiegłam sprintem do łazienki, wymiotowałam klonazepam, umyłam zęby i napiłam się wody z kranu. Spojrzałam w lusterko. Miałam przeszkłone

oczy, a siniak na policzku stawał się coraz ciemniejszy. Dobrze, że nie podniosłam zasłon, gdy wychodziłam z domu, i panował tu półmrok. Upięłam włosy i wzięłam kilka głębokich wdechów, po czym wyszłam do Erica.

W każdej innej sytuacji wydałby mi się uroczy przez to, że postawił na stoliku kubki z kawą, wypakował coś, co wyglądało na szarlotkę, i ustawił wszystko na stoliku, jakby było to idealne miejsce na kawę i ciasto. Stolik, na którym między szklankami po burbonie wciąż jeszcze leżał liścik, który Eric mi zostawił. Ten, na którym nie było już czapki mojego brata. Ten, obok którego kochałam się z Erikiem i przy którym mój zły brat bliźniak planował morderstwo doskonałe. I wreszcie ten, na którym rude włosy Joanny leżały jeszcze wczoraj wieczorem. Zaczęłam żałować, że sięgnęłam po klonazepam.

Eric zaczął mówić o tym, że nie wie, z czym pijam kawę, więc podał i mleko, i cukier. Machnęłam ręką. To bez znaczenia. Wypiję czarną.

- Opowiesz mi o Joannie? - Wzięłam kawę i rozsiadłam się wygodnie na kanapie. Musiałam zrozumieć, co takiego miała w sobie, co sprawiło, że mój brat stracił głowę. Wiedziałam też, że to, co robię, jest obrzydliwe. Nie powinnam zrzucać na nią winy, ale nie wyszłam jeszcze z fazy zaprzeczenia.

- Co ci opowiedzieć? - zapytał zatroskany Eric.

- Po prostu opowiedz mi o niej. Mój brat został oskarżony o to, że ją zamordował, a ja nic o niej nie wiem. Przychodziła do ciebie, prawda? Tajemnica lekarska chyba przestaje obowiązywać po śmierci? - Zabrzmiało to okrutnie, więc

spróbowałam inaczej: - Chciałabym po prostu poznać twoje zdanie. Myślisz, że mój brat ją zabił?

- Mia, na Boga! Nie stawiaj mnie w takiej sytuacji! - zachnął się. Wyobraziłam sobie, że gdyby miał na sobie koszulę, zaczęłby nerwowo poprawiać kołnierzyk. - Nie wiem, naprawdę nie mam pojęcia. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem, że zagineła, za bardzo się nie przejąłem. Uznałem, że uciekła z domu. Ta dziewczyna miała w sobie coś z buntowniczką, myślałem, że chce wystraszyć rodziców i tyle.

Zadumany przerwał na chwilę, a ja czekałam w milczeniu. Miałam nadzieję, że wreszcie czegoś ważnego się dowiem.

- Kathy planowała, że przeprowadzą się z Joanną do Nowego Jorku, ale Joanna nie chciała - mówił dalej. - Matka kazała jej chodzić do szkoły tańca każdego dnia po lekcjach i w weekendy, a ona często kłóciła się z innymi tancerkami. Nie lubiły Joanny, miały do niej pretensję, że poświęca się jej więcej uwagi. Kathy zawsze obsadzała ją w głównych rolach, co rodziło niechęć i zazdrość. Zawiść musiała być naprawdę wielka, bo z tego co wiem, Joanna nie tylko była faworyzowana, ale i bardzo utalentowana. - Ostrożnie napił się kawy. Przełknął ślinę i mówił dalej: - Kiedyś potwornie pokłóciła się z najlepszą przyjaciółką o coś, co miało związek z tańcem. Z drugiej strony była też ta cała historia z narkotykami i jej chłopakiem od siedmiu boleści. Powiedziała mi, że jest... - Nagle przerwał, jakby spadł w przepaść.

W myślach dokończyłam jego zdanie: „w ciąży”.

- Powiedziała ci, że jest...? - Ale ze mnie masochistka. Przecież wcale nie chciałam tego wiedzieć.

- Mia...

Westchnął ciężko, a moje imię wypowiedziane przez niego niosło tak dużą dozę sympatii, że aż się wzdrygnęłam.

- Co takiego?

- Joanna powiedziała mi, że spotyka się z kimś starszym, i boi się, że wpakuje się w tarapaty. Przez cały ten czas myślałam, że mówiła o Dylanie, ale może chodziło o Lucasa? Tak mi przykro. Czuję się jak dupek, opowiadając ci o tym.

- Okej, ale jeśli to prawda, to jakim cudem Joanna romansowała z moim bratem, skoro była pod dwudziestoczterogodzinnym nadzorem matki?

- Kathy na pewno zadaje sobie to samo pytanie, ale dopóki nie zamkniesz dziecka na klucz w pokoju, nie dasz rady go upilnować. Co za paradoks. Myślę, że właśnie przez zaborczość Kathy tych dwoje nauczyło się różnych pomysłowych sztuczek, by móc się spotykać i nie dać się złapać. Dlatego policja ma tak duże problemy z ustaleniem, jak wyglądały ich relacje.

- Czyli uważasz, że Lucas to zrobił?

Eric przez chwilę pukał palcami o czarne dżinsy. Kiedy do mnie szedł, pewnie nie spodziewał się, że wezmę go na spytki.

- Nie... niezupełnie. Zresztą to bez znaczenia, co ja myślę. Wszystko ma swoją przyczynę i swoje zakończenie. Cokolwiek się stało, prawda i tak wyjdzie na jaw. Jestem tego pewien. - Objął mnie i pocałował w czoło.

Przez chwilę myślałam, że idzie na łatwiznę, próbując wymigać się od dalszej rozmowy. Po co miałby mi mówić, że wszystko dzieje się z jakiejś przyczyny? W innej sytuacji byłabym na niego zła, ale dzisiaj właśnie to chciałam usłyszeć. Chciałam uciec choćby w najłatwiejszy z możliwych sposobów.

- Chciałabyś się stąd wyrwać? Tak tu przygnębiająco.

Dzieliło mnie kilka godzin od wydania własnego brata. Spojrzałam na telefon, w którym zamierzałam naładować baterię. Czy naprawdę chciałam wiedzieć, jakie kryje tajemnice? Nie wiem, czemu założyłam, że należał do Lucasa. Równie dobrze mógł być Joanny. Tak czy inaczej, mój optymizm z wczorajszego wieczoru zniknął. Teraz byłam już pewna, że w tym telefonie nie znajdę niczego dobrego. Nie bez powodu został schowany. A jednak coś we mnie krzychało: dlaczego w takim razie Lucas nie zabrał go ze sobą? Dlaczego zostawił dowody? Z drugiej strony ciężko doszukiwać się sensu w działaniach człowieka, który robi zakupy staruszkom, a jednocześnie uprawia seks z szesnastolatką.

- Dokąd chciałbyś iść? Gdziekolwiek pójdę, traktują mnie jak wyrzutka - odparłam, czując, jak zasycha mi w gardle. Naprawdę było tu przygnębiająco.

- Sam nie wiem. Może na przejażdżkę? Włóżysz kask i nikt cię nie rozpozna. Będiesz wyrzutkiem incognito.

Doceniałam starania Erica, żeby poprawić mi nastrój, nawet jeśli to, co mówił, wydawało się płytkie. Jak silenie się na uprzejmość podczas pogrzebu.

- Jak udało ci się przywieźć kawę na motorze? - Zdołałam to powiedzieć beztroskim tonem. Opanowałam sztukę udawania do perfekcji (udawania, dopóki nie pójdę na komisariat). W tej chwili bardzo tego potrzebowałam.

- Mam talent. Jestem jak niedźwiedź na monocyklu w cyrku - powiedział, unosząc brwi.

- To zabawne.

- Ale to nieprawda. Zaparkowałam, poszedłem po kawę i wróciłem. No, idziemy. - Poklepał mnie po udzie, wstał i wyciągnął do mnie rękę.

Podaliśmy mu swoje, uśmiechnęłam się blado i wstałam z kanapy z jego pomocą.

Kiedy wsiadłam na motocykl, czułam się dziwnie skołowana. Powietrze było gęste, a słońce zamglone i buchające żarem. Kiedy Eric zapalił silnik, wszystko przestało wydawać się realne. To było to, czego potrzebowałam. Marzyłam o choćby jednym dniu, kiedy mogłabym zniknąć. O takim jednym dniu, kiedy będę kimś więcej niż siostrą mordercy. O kilku godzinach, podczas których pozwolę sobie na zaprzeczanie faktom (jeśli mi się poszczęści, dozorca znowu przyjdzie myszkować w mieszkaniu Lucasa i zabierze telefon. Wtedy nie będę musiała oddawać go razem z dowodami. Szkoda, że nie zostawiłam włosów i pamiętnika na wierzchu. Russ na pewno też by je zwędził).

Wtuliłam się w Erica. Miał wąską talię gwiazdy rocka. Oparłam głowę na jego plecach i poczułam, że koszulka pachnie perfumami marki Bounce. Wyjechaliśmy na Main



Street.

Po jakimś czasie Eric zaparkował pod Stagger Inn.

- Jeśli przejmujesz się miejscowymi, opuść głowę i nie podnoś jej, dopóki nie znajdę miejsca w ciemniejszym kącie - powiedział.

Okazało się, że nie miałam powodów do zmartwień. Było dopiero południe i lokal świecił pustkami. Weszłam za Erikiem do oświetlonego neonami baru. Schowałam się za jego plecami, kiedy zamawiał dzban piwa.

Poszliśmy do stołów bilardowych i rozegraliśmy kilka rundek. Powiedziałam Ericowi, że jestem beznadziejna w bilard, co wydało mu się zabawne. Stał za mną i pokazał, jak poprawnie trzymać kij. Kiedy wreszcie udało mi się trafić, stuknęliśmy się kuflami. Czułam się, jakbym była w reklamie leków na depresję. Świetnie się bawiłam, ale jednocześnie w tle lektor opowiadał o liście efektów ubocznych: mimowolne skurcze mięśni, nietrzymanie moczu, niewydolność serca, śpiączka czy nagła śmierć.

Kiedy zobaczyłam dwóch chłopaków, których znałam z liceum, pociągnęłam Erica za rękę. Schowaliśmy się w naszej jaskini przy stoliku ukrytym za maszyną do pinballa z House of the Dead (szaleńcza melodyjka, która miała przyciągnąć graczy, sprawiła, że ciarki przeszły mi po plecach). Zaczęłam myśleć o Garretcie. Czy przyjmie kopertę z włosami i pamiętnikiem Joanny z uśmiechem pełnym sympatii, mówiąc przy tym: „Postępujesz słusznie, Mia. Twoja rodzina wreszcie zazna spokoju” - chociaż w głębi serca będzie rozkoszował się tym, że postawił na swoim?

Wolałam o tym nie myśleć.

Napiłam się piwa.

Kolejną godzinę przegadaliśmy z Erikiem właściwie o niczym. Albo był najmniej ciekawym świata facetem, jakiego spotkałam (co akurat bardzo mi pasowało w obecnej sytuacji), albo bardzo się starał, żebym przestała się martwić. Raczył mnie historyjkami o tym, jak mieszkał w Los Angeles, o zespołach, w których grał, i o jego najbardziej zagubionych i nierozumiejących życia uczniach. Byłam oczarowana. Pan Lowe znowu tylko dla mnie.

Kiedy Eric poszedł napełnić dzban piwem, poczułam, jak alkohol uderza mi do głowy. Byłam zmęczona i podchmielona. Resztki klonazepamu, których nie zwymiotowałam, wciąż krążyły w żyłach i potęgowały działanie piwa.

Zajrzałam do torebki w poszukiwaniu środka pobudzającego, ale w tym momencie wrócił Eric i spytał:

- Co bierzesz? - Usiadł naprzeciwko mnie i zaczął nalewać piwo.

W pierwszym odruchu chciałam skłamać, ale uświadomiłam sobie, że nie muszę. Byłam pewna, że zrozumie (nawet jeśli podpowiadał to tylko alkohol). W końcu był moim psychologiem szkolnym. Powiedziałam mu prawdę.

- Jakie to ma działanie?

- Sprawia, że nie zasnę.

- To wszystko? - Spojrzał na mnie tak, jakby mi nie wierzył.

- Nie. Sprawia, że zacznę jasno myśleć. Za chwilę poczuję,

jakby wszystkie zakończenia nerwowe w moim organizmie działały w idealnej harmonii. Jakbym była o krok od rozwiązania wszystkich tajemnic wszechświata.

Boże, mówiłam jak dilerka na imprezie licealnej. Uśmiechnęłam się pod nosem.

- Brzmi super - ożywił się Eric. - Mogę jedną?

Błagalny wzrok podpowiadał mi, że nie będzie to jego pierwszy flirt z farmaceutykami.

- Nie idziesz jutro do pracy? - spytałam rozsądnie.

- Jutro zaczynają się wakacje. Jestem oficjalnie zwolniony z jakichkolwiek obowiązków. - Uniósł ramiona w triumfalnym geście, niczym maratończyk zrywający wstęgę na mecie.

- Już są wakacje? - zdziwiłam się. Czas tak szybko płynął. W tamtej chwili nie byłam w stanie sobie przypomnieć, ile czasu spędziłam już w Wayoacie. O tej porze roku przeważnie zaczynałam dozować bratu swoje pasywno-agresywne uwagi w stylu: „To musi być bardzo przyjemne”, ale on nigdy nie dawał zbić się z tropu i odpowiadał: „To prawda, bardzo przyjemne”.

- Podziel się, mam ochotę na przygody. - Wyciągnął rękę.

- Hm... W takim wypadku... - Położyłam na jego dłoni białą tabletkę. Obejrzał ją ze wszystkich stron, jak ogląda się korek od wina, po czym połknął. - Pierwsza jest za darmo. Potem za jedną będziesz płacił... - Spojrzałam na niego zadziornie.

- Ha, ha, jesteś słodka. Mam nadzieję, że nic mi się nie stanie. Mam słabe serce.

- Nie mów tak nawet w żartach. - Dałam mu kuksańca w ramię.

- A ty? Ile wzięłaś?

- Trzy.

- Trzy? Widzę, że nie jesteś laikiem - skomentował zaskoczony.

Pokiwałam głową. Poczułam nagły przypływ ulgi, bo wreszcie komuś o tym powiedziałam.

- Wiem, co robię.

- Mam nadzieję. W końcu jesteś farmaceutką.

Dopiliśmy piwo i wyszliśmy. Wsiedliśmy na motor i ruszyliśmy boczną uliczką, rozsypując żwir na drodze. Minęliśmy zakłady Harold's Grocers i wyjechaliśmy na obrzeża miasta. Jechaliśmy wzdłuż parku Dicksona, nieskończonego pasa błyszczącej zieleni. W pewnym momencie dostrzegłam kojota, który czał się na poboczu. Pewnie na coś polował. Kiedy mrugnęłam, zniknął. Eric przyśpieszył i jak błyskawica wjechaliśmy na autostradę. Myślę, że czułam wtedy podskórną chęć autodestrukcji. Jakaś część mnie chciała puścić Erica i przeturlać się po autostradzie, uderzając głową o asfalt i niszcząc wszystko, co znałam do tej pory. Chciałam, żeby motocykl rozpadł się pod nami, żebyśmy spowodowali alkoholowo-narkotyczny wypadek, dzięki któremu nie będę już musiała donosić na własnego brata. Być może skończyłabym w tym samym domu opieki, w którym żyła Mimi. Nasze uszkodzone umysły niczym gąbki stałyby się bezużytecznymi częściami ciała ulokowanymi między uszami. Byłybyśmy kwita, a plastikowy

worek na śmieci z pamiątnikiem nieżyjącej dziewczyny i kosmykiem jej włosów na zawsze przepadłby w wynajętym i porzuconym PT cruiserze.

Wreszcie Eric zjechał z autostrady przy dołach z piaskiem. Woda w zbiornikach z wapienia błyszczała jak odpady nuklearne. Wiatr wiał mi w twarz i uszy, zduszając w zarodku każdą złą myśl. Poczułam, że olbrzymi ciężar spada mi z ramion z każdym kilometrem, który pokonywaliśmy, najpierw oddalając się do miasta, a potem wracając aż do tablicy powitalnej. Kiedy dojechaliśmy do domu, słońce zachodziło, a cukierkowo-różowe chmury wirowały na niebie, wyglądając jak uciekająca z wanny woda, kiedy ktoś wyciągnie korek. Jakby ktoś postanowił spuścić ten dzień w wannie wszechświata.

Tego dnia przeżyłam swój *Lęk i odrazę w Wayoacie*.

Kiedy wróciliśmy do mieszkania, Eric stanął przy drzwiach oparty o ścianę. Był bardziej pijany ode mnie, miał zwężone źrenice.

- Czy jest jeszcze coś, co mogę dla ciebie zrobić? - powiedział takim tonem, jakby miał mi wręczyć menu usług seksualnych.

Ale może tylko ja tak to odebrałam, bo przez całą resztę dnia czułam się, jakbym jadła ostatni posiłek przed katastrofą, która miała zaraz nadejść.

Co jeszcze mógłby dla mnie zrobić? Dać mi orgazm? Kochać się ze mną do upadłego, sprawiając, że jeszcze przez chwilę nie będę musiała pamiętać o tym, co działo się wokół?

Zaczęłam rozpinąć jego pasek. Tak, chciałam się kochać do

upadłego. Potykając się, przytuleni przeszliśmy w stronę kanapy. Po pierwszym razie miałam wyrzuty sumienia, ale nie byłam w stanie myśleć o tym, jak poczuje się jutro. Być może to będzie ostatnia miła rzecz, jaka mnie w życiu spotka.

Posadził mnie na kolanach. Rozpiął mi stanik i zdjął koszulkę. Ssał moje sutki, a dłońmi głaskał plecy. Niespodziewanie pociągnął mnie za włosy - poczułam przyjemne ukłucie bólu - po czym mocno pocałował w usta. Nasze pocałunki stały się agresywne. Eric gryzł moje wargi. Poczułam w ustach smak krwi. Po chwili zdjął mi spodnie, posadził na kolanach tyłem do siebie, mocno złapał w biodrach i ruszał mną wprzód i w tył, jednocześnie szepcząc mi do ucha:

- Mia, jesteś cudowna.

Szybko skończyliśmy.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

### ***Dzień szósty***

### ***Poniedziałek***

Obudziliśmy się późno. Nasze pożegnanie było niezręczne. Oboje mieliśmy kaca.

Patrzyłam przez okno, jak Eric szedł przez parking w stronę motocykla oświetlony blaskiem późnego, porannego słońca. Madison już leżała nad basenem i kiedy zobaczyła Erica, krzyknęła coś do niego. Zatrzymał się, włożył okulary i podszedł do basenu z grymasem niezadowolenia na twarzy. Pewnie zastanawiał się co, do diabła, tutaj robiła. Wyglądała, jakby się z niego nabijała. W końcu wstała i podeszła do ogrodzenia. Eric coś odpowiedział, a Madison zrobiła smutną minę i przetarła oczy. Wtedy Eric sięgnął przez płot i położył jej rękę na ramieniu. Przytrzymał ją tam przez kilka sekund dłużej, niż powinien, po czym wrócił do motocykla i odjechał.

Nie mogłam dłużej uciekać przed nieuchronnym. Podłączyłam telefon do ładowarki i czekałam, aż się zaświeci. Najpierw przejrzałam kontakty. Myślałam, że będzie tylko jeden, Joanny albo Lucasa, w końcu to ich sekretny telefon. Jednak była ich cała lista. Nie rozpoznałam żadnego z nich. Nie było mnie, nie było również Wyatta. Ani Madison, jej brata Bena czy Dylana Yatesa.

Bałam się kliknąć w ikonę aparatu, w końcu jednak wzięłam głęboki wdech i weszłam w folder. Było w nim ponad sto zdjęć. Zaczęłam je przeglądać. Najpierw kilka nieostrych zdjęć z boiska do hokeja, potem zbliżenie pary nad krwistym stekiem, nastolatki, których twarzy nie rozpoznałam. Potem noga. Chwilę mi zajęło, zanim uświadomiłam sobie, na co, a konkretniej na kogo patrzyłam. Nagie rozchylone uda, a pod miednicą ręcznik. Pod ręcznikiem chłopięca kołdra w wozy strażackie. Majtki lekko ściągnięte, dłoń robiąca gest V jak victoria tuż przy kroczu. Dłoń nie mogła należeć do osoby robiącej zdjęcie, wywnioskowałam to z kąta, pod jakim była ułożona. Na kolejnym zdjęciu dłoń była już w majtkach, a nad głową dziewczyny stała kolejna osoba trzymająca rękę na wysokości swojego krocza. Na kolejnym dziewczyna miała podwiniętą koszulkę. Na jeszcze następnym - ktoś dotykał wewnętrznej strony jej ud butelką po piwie. Dziewczyną była Joanna Wilkes. Jej twarz była zupełnie pozbawiona emocji. Musiała być nieprzytomna.

Byłam wstrząśnięta, kiedy zobaczyłam kolejne zdjęcia. Puszka SpaghettiOs<sup>[8]</sup>. Puszka tuż przy udach Joanny, a potem jej zawartość wylewana na waginę. Na trzech kolejnych zdjęciach płynna masa znikła w jej miejscach intymnych, a jasnopomarańczowy sos spływał po białych udach. Przygryzłam wargi przerażona tym osobliwym aktem degradacji. Co to było? Napaść na tle seksualnym? Chore zabawy, którymi później dzieciaki chwaliły się w internecie?

Jedno wiedziałam na pewno. Ten telefon nie należał do



Lucasa.

Znalazłam cztery wątki z SMS-ami. Kilka z nich wymienionych między JA a MAMA:

*JA: Co dziś na obiad? Umieram z głodu!*

*MAMA: Zejdź na dół, to się dowiesz*

Jeden między JA a jakąś dziewczyną był tandetnym sextingiem:

*JA: Będiesz jęczeć z rozkoszy, kiedy wypełnię twoje cztery szczeliny*

*JESSICA: A która to czwarta?*

*JA: Ups. Chciałem powiedzieć trzy. HAHA. Wyślij mi fotkę twoich cycuszków*

*JESSICA: Chcesz cycuszki? Serio?*

*JA: Nie? To się pierdol*

Kolejny między JA a ROOSTEREM:

*ROOSTER: Jesteś do dupy!*

*JA: I CO Z TEGO, ty ssiesz pałę*

*ROOSTER: LOL. Chyba twojej starej*

*JA: COOO? Chciałbyś, pedziu*

Ta pozbawiona głębszego sensu wymiana zdań trwała jeszcze przez jakiś czas. Przesunęłam na sam dół i weszłam w wiadomości wymienione z kimś o ksywce OZ. Wszystkie pozostały bez odpowiedzi, zostały wysłane w ciągu dwóch godzin.

*JA: Hej, SZMATO, wstałeś? Haas wściekły, że nie byłeś na treningu. Trafisz do rezerwowanych!*

*JA: BUHAHA... Rooster właśnie nazwał cię CIPKĄ MAKARONIARZĄ*

*JA: Joł. Wstałeś??? Wyślę ci smaczną fotkę*

*JA: KUUUURWA... Haas wieeerghjk%*

Koniec rozmów. Ostatnie wiadomości między JA a OZEM wymieniono 17 stycznia. Po tej dacie nie było żadnej innej aktywności w telefonie.

Wróciłam do przeglądania zdjęć. Nie wiedziałam, kim jest JA, ale poznałam jego twarz, a przynajmniej zakładałam, że to najczęściej pojawiająca się twarz na zdjęciach. ROOSTER, OZ i JA celowo nie pokazali twarzy na zdjęciach z napaści. JA wyglądał tak, jak zaprezentował się w wiadomościach: ogolony półgłówek ze złośliwym uśmiechem. Chłopak, który mógłby grać główną rolę w filmie o przemocy wśród nastolatków.

Zadzwoiłam ze swojego aparatu do ROOSTERA i OZA, ale oba telefony były wyłączone. Zadzwoiłam na numer domowy JA. Odebrała matka i szorstkim głosem powiedziała:

- Przestań! Mamusia rozmawia przez telefon... halo?

Już miałam powiedzieć „Mam telefon pani syna”, ale po co miałabym im o tym mówić? Że jestem w posiadaniu jego aparatu, jego zdjęć?

- HALO? - powtórzyła.

Rozłączyłam się.

„Haas wie”. Lucas trenował tych chłopaków i dowiedział się, co się stało. Co to znaczyło? Skoro wiedział, dlaczego nie przekazał telefonu policji albo dyrekcji szkoły? Czy to wszystko wydarzyło się w jego mieszkaniu? Joanna mogłaby donieść na tych drani za napaść na tle seksualnym i stworzenie dokumentacji fotograficznej jej poniżenia. Być

może zabili ją, bo zagroziła, że to zrobi? Czy mogli zabić również Lucasa, gdyby postanowił oddać telefon w ręce władz, i dlatego go schował?

Może już leży martwy w rowie albo płytkim grobie wykopanym w parku Dicksona, tyle że nikt nie szukał jego ciała? Może dlatego nie został złapany na dworcu autobusowym ani na lotnisku? Musiało wydarzyć się coś jeszcze. Miał swoje powody, żeby zatrzymać ten telefon. Może chciał chronić Joannę?

A włosy? Jej rude kręcone włosy? Po co je zatrzymał? Zobaczył zdjęcia i wpadł w szal? Zabił ją za to, że pozwoliła się wykorzystać? To nie miało sensu. Lucas taki nie był.

Przesłałam SMS-y i zdjęcia Joanny na własny aparat. Kiedy skończyłam, mój telefon zadzwonił. Garrett prosił, żebym przyjechała na komisariat. Ktoś użył karty kredytowej Lucasa.

Komisarz Pruden czekał na mnie w holu. Ktoś zamówił na obiad chińszczyznę i w całym komisariacie śmierdziało jedzeniem. Kurczak w cieście i sos słodko-kwaśny łaskotały moje podniebienie. Pruden burknął coś na dzień dobry, ale nie spojrzał mi w oczy. Na jego twarzy malowała się pustka. Próbowałam wyczytać z niej cokolwiek, dowiedzieć się, czy to, że ktoś wyjął pieniądze z karty Lucasa, działało na jego korzyść czy niekorzyść. Pruden machnął ręką, żebym poszła za nim. Zrobiło mi się niedobrze. Zaprowadził mnie do pokoju przesłuchań, w którym byłam kilka dni temu. Na końcu stołu stały puste pudełka, tylko w środkowym zostało kilka ciasteczek z wróżbą.

- Poczekaj tutaj - mruknął, uderzając kciukiem w brodę, i zniknął.

Za to do pomieszczenia wszedł Garrett.

- Cieszę się, że dałaś radę przyjechać tak szybko.

Usiadłam naprzeciwko, czując niewyobrażalne wyrzuty sumienia z powodu nocy spędzonej z Erikiem. Wszystkich nocy. Czułam się, jakby wystarczyło na mnie spojrzeć, żeby o nich wiedzieć. Kolejny Haas, który przekracza granice uczeń-nauczyciel, nawet jeśli zdarzyło się to po latach. Ale w ogóle czemu ja się tym przejmowałam?

- Nie ma problemu. Co się dzieje z naszym Komisarzem Milusińskim?

- Prudenem? Jest wściekły z powodu artykułu.

- Artykułu?

- Nie mów, że jeszcze go nie czytałaś. Wygląda na to, że „znudzeni nadgorliwi policjanci z małej miejsciny, którzy mają za dużo wolnego czasu” - i to jest dokładny cytat - znajdują czas na czytanie *Minneapolis Star Tribune*.

Zupełnie zapomniałam o artykule! Cholera. To nie był dobry moment na irytowanie policji, biorąc pod uwagę historię z kartą kredytową, to, że znalazłam telefon, i to, że naprawdę chciałam, abyśmy zaczęli wreszcie współpracować.

- Ach? To miał być artykuł o Lucasie, o tym, jaki jest. Cała reszta musiała powstać w jej bujnej wyobraźni.

- Doprawdy? Cóż, to i tak bez znaczenia. Jak się czujesz?

Wskazałam na pokój gestem „A jak myślisz?”. Garrett przytaknął i posłał mi ni to uśmiech, ni to grymas, jakby

doskonale wiedział, jak się czuję.

- Chciałem tylko upewnić się, że wszystko w porządku. Wyglądasz... na przytłoczoną. Możesz ze mną porozmawiać, kiedy tylko chcesz. Wiesz o tym, prawda? - Chciał coś jeszcze dodać, ale do pokoju wparował Pruden, trzymając w ręku otwartego laptopa. Postawił go na stole i usiadł obok Garretta. Wygaszacz ekranu był włączony - niewielka odznaka WPD podskakiwała sobie wesolutko.

- Kogo Lucas zna w Springdale w Arkansas? - zapytał Pruden.

- W Arkansas? Nikogo.

- Zanim odpowiesz, zastanów się, proszę.

- Nie muszę się zastanawiać. Nie znamy nikogo w Arkansas. Nigdy tam nie byliśmy - powiedziałam, przeczesując włosy ręką.

Pruden spojrzał na mnie z wyraźną pretensją i oznajmił:

- Lucas wyjął wszystkie pieniądze z konta. Sześćset osiemdziesiąt dolarów. Co o tym sądzisz?

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Miałam mdłości, byłam zła i skołowana, chciałam tylko zobaczyć nagranie z monitoringu. Upewnić się, że to on.

- Nie mam pojęcia - rzuciłam sucho.

- Nagranie zostało zrobione w Springdale. - Spojrzał na mnie wilkiem. - Jesteś pewna, że Lucas nie ma tam żadnych znajomych, którzy mogliby mu pomóc?

- Tak.

- W porządku. A czy istnieje możliwość, że Lucas ma tam znajomego, o którym nie wiesz? Kogoś, z kim chodził do

college'u? Albo kogo poznał niedawno?

- To jest możliwe, chociaż nie sądzę. Czy mogłabym już zobaczyć nagranie? - Zerknęłam na Garretta, który siedział bez słowa, patrząc na mnie pustym wzrokiem.

- Nie patrz na niego. To ja zadaję pytania - zdenerwował się Pruden.

- A ja ci odpowiedziałam. Lucas nie zna nikogo w Arkansas! - krzyknęłam i natychmiast pożałowałam, bo Pruden zaśmiał się złośliwie. Uwielbiał wyprowadzać mnie z równowagi. Nie wiedziałam, czy to przez ten artykuł, czy może był przekonany, że zapędził mnie w kozi róg i tylko kilka pytań dzieliło go od tego, że zdradzę mu, jaki Lucas miał plan ucieczki.

Chwycił komputer, zalogował się i obrócił w moją stronę.

- Powiedz nam tylko, czy rozpoznajesz osobę widoczną na nagraniu albo jakiś szczegół dotyczący tej osoby.

Wstał z krzesła, obszedł stół, stanął nade mną i wcisnął przycisk „Odtwórz”. Wzięłam głęboki oddech.

Nagranie było ciemne i niewyraźne, zrobione po pierwszej w nocy. Osoba miała na sobie obszerny kaptur, który zakrywał większość twarzy. Widać było jedynie policzki.

- To na pewno nie jest Lucas, i nie wiem, kto to może być.

Pruden kilka razy sięgał przez moje ramię i odtwarzał wideo ponownie.

- Przyjrzyj się dokładnie - polecił, jakby wystarczyło patrzeć na tego kogoś odpowiednio długo, i zobaczę przez kaptur twarz. - Czy rozpoznajesz tę osobę? Czy to znajomy Lucasa? A może znajomy znajomego?

Poczułam słony oddech Prudena.

- Nie mam pojęcia, kto to jest. - Poczułam ulgę, że nie jest to mój brat. Jednocześnie poczułam panikę, bo zauważyłam, że ta osoba miała gładkie policzki. Co oznaczało, że albo golił się bardzo dokładnie, albo nie miał jeszcze zarostu, bo był bardzo młody. Na przykład uczył się w liceum. Trenował hokej.

Pruden prychnął niezadowolony.

Wyjęłam telefon z kieszeni i położyłam go na stole obok laptopa.

- Znalazłam to dzisiaj w mieszkaniu Lucasa.

Obaj patrzyli na niego jak wryci.

- Czyj to telefon? - zapytał Pruden. Przeszedł na drugą stronę stołu i złapał go mocno, jakby bał się, że inaczej mu ucieknie. Garrett zdrętwiał.

- Jednego z hokeistów w Westfield Bulldogs. Są na nim zdjęcia Joanny Wilkes zrobione podczas napaści seksualnej. Zobaczcie sami. Myślę, że będziecie zmuszeni zmienić zdanie na temat mojego brata i całego śledztwa.

Pruden wrócił z lateksowymi rękawiczkami, co ewidentnie zdenerwowało Garretta.

- Gdzie go znalazłaś? - zapytał Garrett. - Przeszukaliśmy mieszkanie Lucasa bardzo dokładnie.

- Był schowany za regałem z książkami.

Garrett skrzywił się i spojrzał z powrotem na telefon.

Obaj usiedli naprzeciwko mnie i pochylili się nad telefonem. Pruden przewijał zdjęcia i prychnął z obrzydzenia, a Garrett przygryzał kciuk. Wreszcie Pruden wstał i wyszedł,

zabierając ze sobą telefon. Nie tłumaczył dlaczego.

Garrett odsunął krzesło i pochylił się nad stołem.

- Jak myślisz, Mio, dlaczego Lucas miał ten telefon? - spytał ponurym tonem.

- Prawdopodobnie go skonfiskował. Do kogo należy? Jak się nazywa właściciel?

Wyobrażałam sobie, jak Lucas wchodzi do przebieralni, staje za ROOSTEREM i JA. Zagląda przez ramię na zdjęcia, które chcą wysłać OZOWI. JA zauważa, kto za nim stoi, i wysyła szybkie ostrzeżenie do OZA, po czym Lucas wyrywa mu telefon (dlatego słowa „Haas wie” zakończyły się ciągiem bezsensownych liter). JA pada na ziemię i jęczy, kiedy Lucas spuszcza mu manto.

- Nie będzie nam trudno zidentyfikować Roostera i Oza. Wiem też, kim jest trzeci chłopak, ale nie mogę ci tego powiedzieć. Musimy najpierw włączyć te dowody do śledztwa. Poza tym oni są nieletni. Jak myślisz, dlaczego Lucas nie przekazał nam wcześniej tego telefonu? Przecież wiedział, że Joanna zaginęła i prawie całe miasto jej szuka. Więc dlaczego to zataił?

- Myślę, że chciał ją uchronić przed upokorzeniem. Nie wspominając już o tym, że mógł nie ufać policji po tym, jak obróciliście się przeciwko niemu. Mógł też obawiać się, że nie wykorzystacie tego dowodu, skoro skierowaliście śledztwo tylko przeciwko niemu.

Ciężko było mi wymyślić prawdziwy i sensowny powód, dla którego Lucas nie oddał telefonu w ręce policji, ale jakiś na pewno istniał.



- Musisz przyznać, że to trochę dziwne, żeby zataić ten dowód, kiedy mógł okazać się pomocny w sprawie i mógł pomóc odnaleźć Joannę. Jeśli te zdarzenia miały miejsce w styczniu, miał prawie pięć miesięcy na to, żeby przekazać telefon policji.

Wzdrygnęłam się. Moje dłonie zadrżały i opadły ciężko na kolana. Bardzo starałam się nie wybuchnąć, nie stracić panowania nad sobą. Chciałam krzyknąć: „Zróbcie z tym coś!”.

- Jeśli chcecie go o to zapytać, musicie go najpierw znaleźć, prawda? Znajdźcie mojego brata! Niedobrze mi. Przecież wymiana wiadomości zakończyła się słowami „Haas wie”. Nie sądzicie, że to nie wróży dobrze? Tym bardziej gdy weźmie się pod uwagę fakt, że ktoś ma jego kartę do bankomatu? Lucas może być ranny albo martwy, a wy monitorujecie dworce autobusowe, zamiast przeszukać park Dicksona! Przecież zaginął tego samego dnia, gdy znaleziono Joannę. To musi być ze sobą powiązane. Tylko w zupełnie inny sposób, niż myślicie.

Oczami wyobraźni zobaczyłam Roostera, który atakuje Lucasa kijem do hokeja. Usłyszałam w myślach dźwięk pękającej czaszki. Schowałam twarz w dłoniach. Moje ręce pachniały sosem śliwkowym, który lepił się do stołu. Spojrzałam w górę.

- Wiesz, że nawet siostra Joanny Wilkes uważa, że Lucas jest niewinny?

- Rozmawiałaś z Madison Wilkes?

- Była na moim osiedlu, korzystała z basenu. Pomachała do

mnie i powiedziała: „Pan Haas i Joanna nigdy nie byli razem. On na pewno nie zabił mojej siostry”. To dokładny cytat.

No dobrze, może trochę przesadziłam i nie zacytowałam dokładnie, ale musiałam udowodnić swoją rację.

- Nie sędzę, żeby Madison wiedziała, w co powinna wierzyć lub co myśleć o tym wszystkim. Ma czternaście lat i właśnie straciła siostrę.

Garrett spojrzał na mnie w sposób, który sprawił, że poczułam się tak, jakbym straciła rozum.

- Porozmawiamy z hokeistami. Zbadamy ten trop. To jest nowy element układanki, Mio. Musimy to zbadać. Jeśli cokolwiek złego stało się Lucasowi, jeśli został skrzywdzony, na pewno się o tym dowiemy. Zgadzam się z tobą, że nowy dowód może wiele zmienić, ale nie chcę też, żebyś robiła sobie nadzieje, że dzięki niemu Lucas przestanie być głównym podejrzanym. Może należy to dopisać do serii pechowych wypadków, które spotkały tę biedną dziewczynę? Może to nie ma żadnego związku z morderstwem? Tak czy inaczej obiecuję ci, że zrobię wszystko, żeby odnaleźć Lucasa. Zadzwoń do ciebie, kiedy tylko czegoś się dowiem. Proszę, poczęstuj się. - Podsunął mi talerz z ciasteczkami z wróżbą i spojrzał na mnie zachęcająco. - Może tu znajdziesz jakieś dobre wieści.

Schowałam ciasteczko do kieszeni i wyszłam.

Gdy dotarłam na parking, zadzwoniłam do Wyattta i połknęłam tabletkę adderallu. Żeby odnaleźć Lucasa, musiałam być czujna, ale bez kaca i kołatania serca. Jako trener asystujący Wyattt musiał wiedzieć o napaści trzech

swoich zawodników na Joannę Wilkes. Dlaczego nie powiedział o tym policji?

Ktoś odebrał, zanim jeszcze rozległ się sygnał czekania, lecz usłyszałam jedynie ciężki oddech.

- Halo? - zapytałam, ale nie doczekałam się odpowiedzi, więc poprosiłam do telefonu tatę.

W tle usłyszałam piskliwe głosy z serialu w rozkręconym telewizorze i chłopca powtarzającego w kółko „Owie”. Wyobraziłam sobie Carolyn, jak wspina się na kanapę i próbuje powstrzymać tę kakofonię dźwięków. Ktokolwiek odebrał, rozłączył się.

Postanowiłam pojechać do Wyatta, do jego pracy. Eden Green mieścił się w odrębnym białym budynku z zielonymi okiennicami i wielką, plastikową kropelką rosy z naklejoną na nią żółtą, roześmianą buźką tuż przy drzwiach wejściowych. Po drugiej stronie ulicy mieściła się cukiernia Rita's Glazed Buns<sup>[9]</sup>, która zawsze bardzo nas śmieszyła, gdy byliśmy dziećmi.

Sekretarka sprawiała wrażenie znudzonej, kiedy recytowała do telefonu zalety nawożenia trawników.

Kiedy podeszłam, zakryła dłonią słuchawkę:

- W czym mogę pomóc?

- Szukam Wyatta - powiedziałam, ale w tej samej chwili zauważyłam go, jak idzie korytarzem.

Miał na sobie zieloną koszulkę polo i krótkie bojówki. W jednym ręku trzymał brązową papierową torbę, a drugą podrzucał jabłko. Podniósł wzrok, po czym szybko odwrócił głowę, udając, że mnie nie zauważył. Kiedy ruszyłam za nim

do kuchni, recepcjonistka zawołała za mną:

- Proszę pani! - ale ją zignorowałam.

- O, cześć, Mia, to ty! Wydawało mi się, że mam przywidzenia! Jak się masz? - Wyatt spojrzął na zegar, marszcząc czoło, jakby starał się sprawić wrażenie zaaferowanego Czas-To-Pieniądz biznesmena. Z papierowej torby dobywał się zapach pikantnej mortadeli.

- Kim jest ten dzieciak? - Podetknęłam mu pod nos telefon ze zdjęciem białego półgłówka.

Wyatt spojrzął na telefon.

- A czemu pytasz?

- Po prostu mi powiedz! I nie udawaj, że nie wiesz.

- Jeden z moich zawodników. To znaczy będzie nim od nowego semestru.

- Jak się nazywa?

Wyatt ugryzł jabłko i powoli, równomiernie przeżuwał, ale w końcu odezwał się:

- Cody Jackson, bramkarz. Naprawdę dobry bramkarz. Miły dzieciak. A czemu pytasz?

Nagle przypomniało mi się, że Wyatt grał kiedyś w teatrzyku szkolnym. Był równie drętwy i przewidywalny jak teraz.

- Bo napastuje seksualnie dziewczyny.

Wyatt przełknął i opadł na krzesło przy stole, na którym piętrzyły się ulotki Eden Green. Zaczął nerwowo przebierać nogami.

- Dlaczego rozpowiadasz takie okropne rzeczy?

- Bo sam robił zdjęcia. Policja już wie. Lucas też wiedział

i zabrał mu telefon. Jestem pewna, że ci o tym mówił.

- Nie mówił. To Joanna Wilkes, prawda? Ta dziewczyna, którą Cody według ciebie napastował?

Milczałam, a on dodał po chwili:

- Teraz wszystko nabiera sensu. W połowie semestru Lucas wywalił Cody'ego Jacksona i dwóch innych graczy z drużyny. Nie uzasadnił swojej decyzji, powiedział tylko, że za mało się starają, w czym akurat miał rację. Oczywiście nie spotkało się to z entuzjastyczną reakcją ze strony rodziców chłopców czy władz szkoły, ale zawodnicy przyznali Lucasowi rację, więc tak już zostało. Lucas był bardzo małomówny w tej sprawie. Po każdym przegranym meczu pytałem go, dlaczego nie przyjmie chłopaków z powrotem, ale powtarzał w kółko to samo: że nie zasługują na to, żeby należeć do drużyny. Wiedziałem, że coś na nich miał. Jeden z chłopców przeniósł się do innego stanu, żeby grać, a z końcem sezonu drużyna Westfield spadła w rozgrywkach na trzecie miejsce.

- Nie wierzę, że ci o tym nie wspomniał.

- Nie, naprawdę nie wspomniał. Nie rozumiem, czemu nic nie powiedział ani mnie, ani dyrekcji. Oczywiście pomijając fakt, że sam pukał jedną ze swoich uczennic. Spotkał się z silną krytyką po tym, jak wyrzucił chłopaków z drużyny.

- Jak nazywają się pozostali dwaj gracze? - spytałam.

Jednak Wyatt kiwnął przecząco głową, a potem oznajmił:

- Nie chcę się w to mieszać. Dwóch z nich będę trenował jeszcze przez dwa lata.

- Sugerujesz, że hokej jest dla ciebie ważniejszy niż Lucas? Niż to, kto naprawdę zamordował Joannę Wilkes?

- Jeśli policja zada mi jakieś pytania, to chętnie na nie odpowiem.

- Ale mi nie odpowiesz? - Gdy tylko wzruszył ramionami, dodałam z naciskiem: - Czemu?

- W przeciwieństwie do Lucasa chciałbym załatwić tę sprawę jak należy. Mówisz, że ci chłopcy napastowali Joannę, ale to tylko twoje słowa. Żeby uwierzyć, potrzebuję dowodu.

Mogłam wyciągnąć telefon i pokazać mu obrzydliwe zdjęcia, ale miałam wrażenie, że i tak niczego tym nie zmienię. Podał jedno nazwisko, to mi wystarczy.

- Wiesz co, Wyatt? Beznadziejny z ciebie przyjaciel.

- Mówisz, jakbyś sama była wzorową siostrą. A gdzie się podziewałaś do tej pory? Nigdy nie przyjeżdżałaś pomóc Lucasowi z matką.

Co mogłam na to odpowiedzieć? Miał rację...

- Ale teraz tu jestem, i to się liczy. Nie wyjadę, dopóki nie znajdę brata. Wiesz co? Wydaje mi się, że w głębi duszy cieszysz się z jego problemów. Jak długo byłeś tylko jego pomocnikiem, Wyatt? Teraz, po tylu latach, wreszcie masz szansę zostać głównym trenerem. Tym najważniejszym w drużynie. Może nawet twoja żona przestanie fantazjować o moim bracie, kiedy zgasisz światła?

- Wynoś się stąd.

Trochę poszperałam tu i tam, i oto zjawiłam się pod domem Cody'ego Jacksona. Mieszkał w tandetnym pseudopałacyku na ulicy, na której nie było ani jednego drzewa. To była najnowsza inwestycja mieszkaniowa

Wayoaty, plomba z domków jednorodzinnych zbudowanych około 1996 roku. To były tego typu „rezydencje”, na które byłoby mnie tutaj stać, przynajmniej zdaniem Lucasa. Jadąc na miejsce, snułam fantazje o tym, że Garrett i Pruden już są na miejscu i wyprowadzają Cody’ego w kajdankach. Jeden z nich trzyma w ręku zamykaną na suwak torbę na dowody rzeczowe, w której zabezpieczono tępy zakrwawiony przedmiot. Sprawa zamknięta.

Ale nic z tych rzeczy. Kiedy dojechałam na miejsce, nic się nie działo. Ile czasu potrzebowali, żeby zabrać tego dzieciaka na przesłuchanie?

Znowu działałam bez planu. Po prostu przyjechałam. Musiałam coś zrobić. Musiałam czuć, że pomagam w poszukiwaniach. Zażyłam kolejny adderall, a potem jeszcze dwa. Jeżeli kiedykolwiek w życiu miałam potrzebować wsparcia dla moich zdolności poznawczych, to właśnie ta chwila nadeszła. Musiałam połączyć elementy układanki. Telefon, włosy, pamiętnik, hokeiści. Zaczęłam wyszukiwać różne hasła w telefonie, jakby był kryształową kulą, która powie mi prawdę. Weszłam na bloga Lucasa, podświadomie licząc na to, że uruchomił go ponownie. Że znajdę na nim zdjęcie zrobione w toalecie na stacji benzynowej i podpis:

*Właśnie przefarbowałam włosy, jak wyglądam? Uciekam do Meksyku. YOLO*

Weszłam na profil Cody’ego Jacksona na Facebooku. Znalazłam na nim dokładnie to, czego się spodziewałam: Cody pije piwo, Cody odpala fajerwerki, Cody gra w futbol

i hokeja. Znalazłam na jego profilu stronę poświęconą tablicy pamiątkowej Joanny Wilkes.

Kliknęłam.

Znalazłam na niej oświadczenie: zawsze będziemy pamiętać. Serduszka, buziaki i tęsknoty. Cyfrowa wersja tablicy pamiątkowej była równie nieszczerą, co wisząca w parku Dicksona. Zastanawiałam się, z iloma z tych ludzi Joanna naprawdę się przyjaźniła, o ile miała w ogóle jakichkolwiek przyjaciół. Trafiłam na wideo z wcześniejszego czuwania, tym razem na parkingu pod domem pogrzebowym. Musiało to być niedługo po pogrzebie Joanny, bo wszyscy uczestnicy filmu wyglądają na zmarnowanych i przygnębionych. Film zdobył sześćset dwa polubienia. Kliknęłam „Odtwórz”.

Film nakręcono telefonem komórkowym. Obraz trząsał się, przyprawiając o zawroty głowy. Wyglądało to tak, jakby był kręcony przez osobę, która stała daleko od miejsca zdarzeń. Przez ułamek sekundy widziałam Kathy. Po jej rumianych policzkach spływały łzy, trzymała w dłoniach niewielki biały pojemnik. Pozostali trzymali się za ręce pogrążeni w modlitwie. Jakiś mężczyzna obwieścił, że nadszedł czas na wypuszczanie motyli, tak zwany „lot nadziei”. Wszyscy, którzy trzymali pudełeczka, otworzyli je i chmura danaid wędrownych, skrzydlatych posłańców, uniosła się ku niebu.

Wtedy zobaczyłam coś dziwnego. Podczas gdy wszyscy patrzyli w górę, jeden chłopak wlepił wzrok w ziemię. Wszystko działo się bardzo szybko i musiałam obejrzeć film jeszcze trzy razy, żeby zrozumieć, co się dzieje. Na początku



myślałam, że chłopak zdeptuje niedopałek papierosa, obracając piętą na wszystkie strony, żeby mieć pewność, że całkowicie go zgasił. Ale to, co upadło na ziemię, nie wyglądało jak papieros. Przy czwartym oglądaniu dotarło do mnie, że to coś zupełnie innego.

Jeden z motyli Bena Wilkesa nie poleciał w górę, jak powinien, więc Ben go zdeptał. Morderca motyli. Wdeptał go butem w cement, po czym złożył dłonie w kształt serca i skierował je w stronę nieba. To nie było normalne.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Niedługo po siedemnastej frontowe drzwi domu otworzyły się. Wszedł Cody Jackson, ciągnąc za sobą chudą zaspaną dziewczynę. Wsiedli do samochodu i ruszyli z piskiem opon. Pojechałam za nimi. Jechałam wolno i na tyle daleko, żeby nie rzucać się w oczy, oczywiście o ile czerwony PT cruiser z urwanym lusterkiem może nie rzucać się w oczy. Cody zaparkował pod domem dziewczyny. Obcałował ją łapczywie, po czym wypuścił z samochodu i odjechał. Zatrzymał się dopiero pod restauracją z fast foodem (co za tani drań – pojechał po jedzenie, dopiero kiedy pozbył się dziewczyny). Wszedł do środka.

Działałam jak na amfetaminie. Policja za mną nie nadążała. Byłam szybsza i mądrzejsza. Działałam w trybie turbo. Zresztą i tak byłam lepsza w te klocki niż Pruden. Poradzę sobie z tym dzieciakiem. Ot tak, bang, bang! W myślach słyszałam piosenkę *Shake That Thing* w przyspieszonym tempie i z wokalami Alvina i Wiewiórek. Cholera, niedługo dla równowagi będę musiała wziąć lorafen. Lek dla zrównoważenia działania leku, który ma zrównoważyć działanie leku. I zamiast *Shake That Thing* usłyszałam w tle głowy bajkę o rzepce.

Znaleźć Lucasa. Znaleźć Lucasa. Znaleźć Lucasa.

Ruszyłam za Codym Jacksonem do środka.

Był wielki jak góra. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt

wzrostu i ważył co najmniej sto kilogramów. Nadawał się na bramkarza. Jak taka drobna dziewczyna mogła z nim wytrzymać? Zamówił olbrzymią porcję burrito i frytek z żółtym serem. Kiedy usiadł do stolika, podeszłam.

- Cody Jackson, prawda? - Siliłam się na głos niewinnej uczennicy, ale plątał mi się język. Musiałam się pilnować, żeby mówić powoli. Ale sprawiałam wrażenie, jakbym się stresowała tym, że z nim rozmawiam, co ewidentnie mu się podobało.

- To ja - powiedział z pełną gębą. Zobaczyłam w jego ustach kawałek burrito.

Usiadłam przy nim.

- Bramkarz?

Uśmiechnął się i przytaknął, po czym wytarł usta serwetką.

- Tak, to ja. A ty? Jak się nazywasz?

- Mia.

- Okej. - Nadział na widelec kilka frytek i zanurzył je w sosie serowym. - Co tam, Mia?

- Właśnie zobaczyłam, że tu siedzisz... - zaczęłam, nachylając się nad stołem, żeby wyeksponować piersi - ...i musiałam się upewnić, że to Cody Jackson, bramkarz Westfieldów we własnej osobie.

Cody przytaknął i puścił mi oczko. Miałam ochotę mu przywalić.

- To właśnie ja! - Zaczął przesuwając słomkę w górę i w dół napoju, taka piszcząca symulacja stosunku.

- WOW, świetnie! Przepraszam, ale nie mogłam się powstrzymać... Musiałam się upewnić, czy naprawdę siedzę

w tej samej restauracji co Cody Jackson, bramkarz Westfieldów, wybitny fotograf... - Na dźwięk tych słów Cody'emu zrzęła mina. Wyjęłam telefon i pomachałam mu przed nosem jednym z bardziej drastycznych zdjęć Joanny. - A także obrzydliwa świnia, która napastowała Joannę Wilkes i robiła zdjęcia.

- Co takiego? - Wzdrygnął się mocno, jakbym potraktowała go paralizatorem.

- Znalazłam telefon, który skonfiskował ci mój brat.

- Zaraz, zaraz... Jesteś siostrą pana Haasa? - Zmrużył oczy, przyglądając mi się badawczo.

- Zgadza się, dupku. I jeśli zaraz nie powiesz, gdzie jest mój brat, pójdę z tym telefonem prosto na policję.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest pan Haas. Skąd miałbym wiedzieć? - Odsunął tackę z jedzeniem.

- W takim razie mów, co się stało po tym, jak wysłałeś Ozowi SMS-a o treści „Haas wie”. Bo jak sam na pewno już rozumiesz, to wszystko nie przedstawia cię w zbyt dobrym świetle. Wygląda to tak, że ty i twoi kumple zamordowaliście Joannę z zemsty za to, że zostaliście wyrzuceni z drużyny. A potem jeszcze mój brat zaginął. Jego też zabiliście?

- O czym ty mówisz? To Haas zamordował Joannę.

- O nie. On tego nie zrobił.

- A ja nie muszę z tobą rozmawiać.

- Jak sobie chcesz. - Zaczęłam wstawać z miejsca, mówiąc głośno: - Policja i tak cię dorwie. To przecież oczywiste, że Joanna powiedziała mojemu bratu, co jej zrobiliście, a wy z zemsty ją zabiliście. Ponadto próbujecie zrobić mojego

brata...

- Przestań tak mówić. Przestań mówić, że zabiłem Joannę.

Cody zaczął nerwowo rozglądać się po restauracji. Jego twarz przybrała kolor purpury, jakby zaczął się dusić. Usiadłam z powrotem przy stoliku. Jego dolna warga zaczęła drżeć. Popłakał się i łapał powietrze w płuca, sycząc jak opona, z której powoli schodzi powietrze. Na języku miał ślady wołowiny i pomarańczowego sosu serowego. Zaczął powtarzać w kółko:

- O mój Boże! O mój Boże!

Trzy stoliki dalej jakiś dzieciak w malutkim tekturowym sombrero, które dodawali do dania dla dzieci, nadstawił uszu.

- Wiedziałem, że nie powinienem się na to zgodzić. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. Ja tylko robiłem zdjęcia. - Pochylił głowę i zakrył twarz dłońmi.

- Zgadzać na co?

Cody wyglądał jak zbity pies.

- Rok temu wydarzyło się coś podobnego. Dziewczyna bardzo się upiła, a potem do internetu trafiły zdjęcia, na których zabawiało się z nią trzech chłopaków. Źle się to dla niej skończyło. Do końca roku szkolnego uczyła się w domu. Ktoś nas poprosił, żeby zrobić to samo Joannie. Zapłacił nam. Ale my nie jesteśmy gwałcicielami.

- I co zrobiliście? Zwabiliście ją gdzieś i...?

- Nie, nie zwabiliśmy.

- W takim razie co się stało? Opowiedz mi.

- I odzyskam telefon?

- Tak.

- Jesse Campbell zaprosił Joannę na imprezę. Joanna nie odmówiła, bo żadna dziewczyna nie odmawia Jesse'owi. Wiedzieliśmy, że Joanna zerwała już z tym kretyńcem Dylanem. Jesse robił jej mocne drinki i szybko się upiła. Możliwe, że tego dnia po raz pierwszy w życiu piła alkohol, co jest całkiem zabawne, biorąc pod uwagę fakt, że po lekcjach sprzedawała trawkę. Tak czy inaczej, Jesse zaprowadził ją do pokoju młodszego brata, a ona padła na łóżko jak kłoda. Była kompletnie zalana, chyba straciła przytomność. Myślę, że Jesse mógł jej coś dosypać do tych drinków, zresztą sam nie wiem. Grunt, że była nieprzytomna. I dopiero wtedy zrobiliśmy to, za co nam zapłacili.

- Kto wam zapłacił?

- Nie wiem. Nikt z nas tego nie wie. Ten ktoś kontaktował się z Jesse'em przez mejla. Pieniądze spakował w kopertę i przykleił pod ławką w ogródku szkoły podstawowej.

- Ile wam zapłacił?

Oboje chodziliśmy z Lucasem do tej podstawówki. Jej boisko przylegało do liceum. To tutaj kucharka dorabiała nocami jako woźna. Czy to możliwe, żeby ona to zrobiła?

- Pięćset dolarów na głowę. Dwieście pięćdziesiąt z góry i dwieście pięćdziesiąt po fakcie, tyle że nie dostaliśmy drugiej raty. Była sobota. Mieliśmy trening. Wszyscy zaspaliśmy. Jesse w ogóle nie zwał się z łóżka i przegapił cały trening. Mieliśmy wysłać zdjęcia po południu, ale Haas przyłapał nas na tym, jak je oglądaliśmy w przebieralni. Zapytał, czy mamy ich więcej, a na koniec skonfiskował mi

telefon. Kilka dni później wywalił nas z drużyny, grożąc, że jeśli kiedykolwiek zobaczy gdzieś te zdjęcia, odda telefon w ręce policji i zostaniemy skazani za pornografię dziecięcą. Powiedział, że i tak idzie nam na rękę. Nie mieliśmy kopii tych zdjęć, więc nie mogliśmy ich wysłać i nie dostaliśmy drugiej wypłaty.

- Czy mój brat wiedział, że ktoś wam za to zapłacił?

- Nie. Nikt o tym nie wie.

- Nie wyglądasz na kogoś, komu brakuje pieniędzy.

Dlaczego się na to zgodziłeś?

- Odkładam na college. - Zadarł dumnie głowę, jakby to, że zbierał na college, czyniło go lepszym człowiekiem. Chłopak miał własny samochód, markowe ciuchy, pieniądze na powiększone zestawy burrito. Pewnie spartaczył niejedną robotę, zanim przyjął fuchę najemnika gwałciciela.

- Dlaczego padło na was?

- Sam nie wiem - wymamrotał. - Jak już mówiłem, Jesse nie ma problemów z dziewczynami.

Nie sądziłam, żeby ta historia miała głębsze dno. Większość parszywych historyjek dzieje się w wyniku głupich decyzji z równie marnym wytłumaczeniem.

- Jak nawiązaliście kontakt?

- Poprzez mejla. Jesse go dostał. Pewnie nawet nie wziąłbym w tym udziału, gdyby nie to, że byłem obok, kiedy go odczytał. Zaproponował, żebym się przyłączył, a ja nie mogłem powiedzieć „nie” takiej kwocie - nie przestawał się tłumaczyć.

- Chcesz powiedzieć, że padłeś ofiarą zbiegów

okoliczności?

- Chcę tylko powiedzieć, że nie mam nic wspólnego z morderstwem Joanny. - Wzruszył ramionami. - Haas to zrobił. Wiem, że to twój brat i trudno ci w to uwierzyć, ale wszyscy tak myślą. Z tym wyrzuceniem nas z drużyny mocno przesadził. Przecież nawet jej nie dotykaliśmy.

- Nie, ale wylewaliście spaghetti z puszki na jej pochwę i robiliście zdjęcia.

Kąciki jego ust zadrżały. Zastanawiałam się, czy to początek uśmiechu, czy płaczu? Niektórzy zawsze wyglądają, jakby byli na skraju wybuchu emocjonalnego.

- Ktokolwiek to był, właśnie na coś takiego dał zlecenie.

- Czemu?

- Skąd mam wiedzieć? Nie pytaliśmy. To było niewinne. Przecież jej nie zgwałciliśmy. To było po prostu dziwne. Przez jakiś czas myślałem, że za tym stoi Dylan. Żeby z kimś innym przeżyła coś okropnego i z płaczem wróciła do niego.

Co zresztą zrobiła. Wstałam. Musiałam powiedzieć o tym wszystkim Garrettowi.

- Czeka! A mój telefon?

- Ach tak... - Zaczęłam udawać, że szukam go w torebce, ale wyjęłam z niej środkowy palec. - Ups, chyba musiałam oddać go policji.

Kiedy wychodziłam przez szklane drzwi, Cody krzyknął za mną:

- Suka!

Garrett mieszkał w ładnie wykończonym domku. Przed garażem stał radiowóz. Zadzwoiłam dwukrotnie do drzwi,



ale odpowiedziało mi tylko szczekanie psa. Już miałam odejść, kiedy Garrett otworzył. Był w samym ręczniku, a krople wody spływały po klatce piersiowej. Wydał komendę:

- Waruj! - i pies posłusznie położył się na ziemi.

- Próbowałam złapać cię przez telefon - zaczęłam się tłumaczyć. Dzwoniłam trzy razy, ale za każdym razem odpowiadała sekretarka. Kiedy zadzwoniłam na komisariat, dowiedziałam się, że poszedł już do domu. Licząc na osławioną uczynność mieszkańców Dakoty Północnej, zapytałam, gdzie Garrett mieszka, i dostałam adres. Spojrzałam na ręcznik. Garrett miał klatkę piersiową jak superbohater, więc ciężko było mi oderwać wzrok. O takim ciebie można rozmawiać godzinami. Zasługuje na podziw. Odchrząknęłam i zapytałam: - Może wróć później?

- Nie, nie, wejź do środka. - Zaprowadził mnie do salonu, szybkim ruchem zebrał papiery ze stolika kawowego i włożył je do teczki, którą rzucił na niski stolik w rogu. - Zazwyczaj mam porządek w domu, ale ta sprawa... - Zamilkł, po czym odetchnął głęboko. - Mniejsza o to, zaraz wróć. Rozgość się. - Wskazał kanapę i zniknął w korytarzu.

Jego dom był większy, niż wyglądało to z zewnątrz. Drewniane belki pod sufitem i kominek z cegły nadawały mu rustykalny charakter. W salonie panował bałagan. Wszędzie leżały gazety i akta sprawy poukładane w stosiki o różnej wysokości. Do tego sterta ubrań (chyba z całego tygodnia) rzucona na oparcie krzasiastej leżanki. I druga porcja ciuchów porozkładana na oparciach krzeseł.

Garrett wrócił w szarej koszulce i džinsach, ale nadal był bosy. Miał świeżo ogoloną twarz. Wyglądał czysto i schludnie.

- Chcesz coca-cole? Zaproponowałbym ci piwo, ale wolałbym, żebyś nie zemdliała.

- Nie, dziękuję.

Garrett usiadł naprzeciwko mnie i spytał:

- Co się stało?

- Właśnie rozmawiałam z Codym Jacksonem.

- Niemożliwe! - rzucił gwałtownie, po czym oparł się o krzesło i wlepił wzrok w sufit. - A niech cię, Mio! Prosiłem cię, żebyś tego nie robiła. Myślałem, że przyjechałaś tu, żeby mi wreszcie powiedzieć, skąd wiedziałaś o ciąży Joanny.

- Powiedział mi, że zapłacili im za zdjęcia.

- Świetnie! Skoro z nim sobie pogadałaś, to on teraz ostro kombinuje, jak się z tego wybronić. W dodatku ma czas, żeby uprzedzić przyjaciół, więc będą się nawzajem kryć. Rozmawialiśmy z mamą Cody'ego. Przywiezie go na komisariat jutro. Mówiłem ci, że się tym zajmiemy. Cholera jasna! - Był naprawdę zły. Dostrzegłam na jego czole nabrzmiałą żyłkę. - Wydaje ci się, że pomagasz bratu, ale tak naprawdę tylko wszystko pogarszasz!

- Mogę zeznawać, jeśli zmienią wersję zdarzeń. - Zaczęłam czuć pulsowanie w oczach. Adderall pływał w moich żyłach jak szkółka piranii. Robiłam wszystko, żeby powstrzymać nadchodzącą falę gorąca i drgawek. Czułam się jak skarczone dziecko. Kiedy poziom adderallu w mojej krwi lekko opadł, uświadomiłam sobie, że popełniłam głupotę. Przeze mnie

Cody może się wywinąć, w każdym razie już kombinuje, jak to zrobić. Z drugiej strony nie wydawał się na tyle inteligentny, żeby mu się to udało.

- Jasne. I nikt nie uzna, że jesteś stronniczka. To tak nie działa, Mia. - Przerwał na moment. - No dobra, chociaż mi powiedz, co od niego usłyszałaś.

- Dostali po dwieście pięćdziesiąt dolarów na głowę za upokorzenie Joanny. Cody uważa, że zleceniodawcą mógł być Dylan. - Opowiedziałam mu wszystko o mejlach. - Jednym z warunków było użycie spaghetti w puszcze.

- To dużo pieniędzy. Dylana nie stać na to, żeby im tyle zapłacić. Co do spaghetti... nie wiem, co powiedzieć, poza tym, że to kompletnie popieprzone. Ale pewnie o to chodziło.

- Dylan handluje narkotykami. Jeśli miał obsesję na punkcie Joanny, mógł zbierać taką kwotę. Słyszałam, że ją śledził. Zerwała z nim, a on chciał ją upokorzyć, żeby z płaczem do niego wróciła. A kiedy zerwała z nim po raz drugi, znów zaczął ją nachodzić. Kiedy to nie podziałało, zabił ją.

- Po pierwsze, z Dylana to żaden diler. Wątpię, żeby kiedykolwiek zbierał taką kwotę, ale na razie założmy, że był w to zamieszany. To jednak nie zmienia faktu, że ma alibi na noc, w którą zamordowano Joannę. Te zdjęcia nie mają nic wspólnego z morderstwem.

- Może ojciec mu pomógł. Może to Greg zabił Joannę? Zrobił to dla syna...

- Mia... - Garrett westchnął.

- A co, jeśli Dylan i Greg Yates wynajęli kogoś, by zabił

Joannę za to, że rzuciła Dylana? Lub z powodu nieudanej transakcji narkotykowej? A kiedy okazało się, że Lucas jest podejrzany, też go zabili i tak namotali, że wszyscy myślą, że zniknął. Upozorowali jego ucieczkę.

- Myślę, że to mało prawdopodobna teoria. Mogę sprawdzić rejestr ich rozmów telefonicznych i mejle, żeby potwierdzić, czy coś ich łączy z tymi hokeistami. Możemy zapytać Dylana o zdjęcia. Na pewno się tym zajmiemy, a używając liczby mnogiej, mam na myśli policję Wayoaty. Tak czy inaczej, Mio, to nie odbiera wagi dowodom, które zebraliśmy przeciwko Lucasowi. Mam nadzieję, że jesteś tego świadoma.

Siedziałam na kanapie w milczeniu. Labrador podszedł bliżej i położył głowę na moich kolanach. Pogłaskałam go po mięciutkich uszach. Nie przejmowałam się strużkami śliny, które zostawił na moich spodniach.

- A teraz powiedz mi, skąd wiedziałaś, że Joanna była w ciąży? Muszę wiedzieć.

Już miałam zwalić wszystko na Erica, powiedzieć, że wiem to od niego, że Joanna zwierzyła mu się, kiedy był psychologiem, a ja nie chciałam narażać na szwank jego reputacji („trochę się do siebie ostatnio zbliżyliśmy”) i tak dalej, ale zadzwonił telefon Garretta.

Sięgnął do kieszeni, spojrzął na wyświetlacz i zaklął pod nosem.

- Daj mi chwilę, dobrze? - Wstał z krzesła i wyszedł z pokoju.

Mogłabym wyjść. Teraz, w tej chwili. Uniknąć kłamstw.

Słuchałam dochodzącego z końca korytarza niskiego głosu Garretta, który rozmawiał przez telefon.

Mój wzrok powędrował w stronę teczki, którą Garrett odłożył na stolik. Przesiadłam się na drugi koniec kanapy i uniosłam okładkę. Zobaczyłam zdjęcie Joanny Wilkes na stole sekcyjnym w kostnicy. Jej twarz jest spuchnięta od wody i poharatana. Popękane naczynka krwionośne snują pajęczyny na całej buzi i szyi, które przybrały mętny, ciemnofioletowy kolor. Włosy, a raczej to, co z nich zostało, wyglądają, jakby zostały oderżnięte nożem myśliwskim. Ich niejednolita długość przypomniała mi o mojej ukochanej lalce Barbie, którą Lucas ostrzygł kiedyś w podobne łąty. To wspomnienie wróciło zupełnie niespodziewanie. Podłożył mi lalkę na środek łóżka i schował się w szafie, czekając, aż ją znajdę. A potem patrzył, jak płaczę i zawodzę.

- Nie wolno ci tego oglądać! - Garrett wparował do salonu i wyrwał mi teczkę.

- Przepraszam. Leżała na wierzchu. Nie powinnam - powiedziałam cicho. Poczułam, że miękną mi nogi, jakby moje kości rozpadały się w pył. Musiałam powtarzać sobie, żeby oddychać. Naprawdę nie powinnam zaglądać do teczki.

- Jak myślisz, skąd te włosy? Po co ktoś obciął jej włosy?

- Jeśli mam być szczery, myślę, że to jego trofeum. Coś, co pozwoli mu w przyszłości odtworzyć morderstwo, albo coś, dzięki czemu zapamięta Joannę. Rude loki były jej znakiem rozpoznawczym, tym pierwszym, co ludzie u niej dostrzegali.

- Powinnam już iść - wyszeptałam. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. W drodze do drzwi wpadłam na stolik

kawowy.

- Poczekaj, Mia, musisz mi jeszcze powiedzieć, skąd wiedziałaś, że Joanna była w ciąży. Przemyśl to. I tak się dowiemy, czy ojcem był Lucas. Po co chcesz się pakować w jeszcze większe kłopoty? Poza tym gdy połączymy ten fakt z tym, czego dowiemy się z telefonu, być może wykluczemy Lucasa jako podejrzanego? - Garrett się starał, ale jego słowa brzmiały nienaturalnie, były słodkie jak lukier. Nie potrafiłam mu zaufać. Zresztą fakt, że coś znalazłam w notesie Lucasa, na pewno nie sprawi, że policja skreśli go z jednoosobowej listy podejrzanych.

- Eric. Eric mi powiedział - rzuciłam i wyszłam, zanim zdążył zadać kolejne pytanie.

Do tej pory nie traktowałam Joanny jak człowieka. Byłam skupiona na Lucasie, na tym, żeby oczyścić go z zarzutów, a Joanna była dla mnie tylko bezimiennym ciałem. Ale w tamtej chwili pomyślałam o niej, o ostatnich miesiącach jej życia, gdy w niej rozwijało się nowe życie, i poczułam ogromny smutek.

Biedna dziewczyna.

Rozboliła mnie głowa. Byłam głodna, chociaż nie wiedziałam, czy bardziej potrzebowałam jedzenia, czy kolejnej tabletki. Kiedy ostatni raz coś jadłam? Musiałam zaopatrzyć lodówkę, jeśli zamierzałam wrócić do mieszkania Lucasa i zaszyć się w nim na chwilę. Oczywiście nie mogłam iść do Harold'sa, który był po drodze, więc pojechałam do Targetu, w którym o dowolnej porze dnia połowa miasta robiła zakupy.

Pchałam przed sobą jaskrawoczerwony wózek na kauczukowych kółkach i pakowałam do niego wszystko to, co zazwyczaj kupowałam, kiedy przechodziłam przez coś bolesnego. Wtedy spędzałam całe dni na jedzeniu słodczy i oglądaniu Netflixa. Wzięłam chipsy, pączki z cukrem pudrem, napoje energetyczne, banany, cztery kanapki, które do jutra stracą datę ważności, M&M's w czarnej czekoladzie i żelki. W ostatniej chwili dorzuciłam do wózka sałatkę, chociaż wiedziałam, że jej nie tknę, ale odrobina zieleni pośród białego pieczywa i produktów nasączonych sztucznymi barwnikami wydała mi się konieczna. Przez chwilę oglądałam lekarstwa na przeziębienie przez szybę apteki. Ciekawość zawodowa. Powinnam zameldować się w pracy. Zrobię to później, teraz nie byłam jeszcze gotowa. Słuchałam, jak młody i niedoświadczony farmaceuta zaleca klientce, żeby tabletki z żelazem zażywała na pusty żołądek, popijając szklanką wody. Kiedy skończył, podeszłam do niej i powiedziałam:

- Tabletki z żelazem potrafią zalec w żołądku. Lepiej przyjmować je po jedzeniu i popić sokiem pomarańczowym. Witamina C sprawi, że lepiej się wchłoną. Radzę wziąć też jakiś środek na przeczyszczenie.

Kobieta odwróciła się i spojrzała na mnie z wyrazem wdzięczności. Jeśli mnie rozpoznała, nie zdradziła się.

- Dzięki. Przyjechała ciocia z Ameryki. Jest taka obfita... Będę o tym pamiętać.

Nigdy nie rozumiałam, dlaczego kobiety używają eufemizmów na określanie miesiączki.

- No pewka!

No pewka?! Przecież nigdy tak nie mówiłam!

Chciałam zapłacić, ale kiedy podeszłam do taśmy, kasjerka postawiła mi przed nosem tabliczkę z napisem „Kasa nieczynna”. Miała blond pasemka na czarnych włosach i wyglądała jak zebra. Żując gumę, spojrzała na mnie wyzywająco, licząc na konfrontację. Poddałam się i poszłam do kasy samoobsługowej.

Kiedy wyszłam na parking, zobaczyłam, że jakiś mężczyzna przygląda się mojemu samochodowi. Łysy, po pięćdziesiątce, ubrany, jakby właśnie wyszedł z kręgielni. Wyszczrzył do mnie zęby.

- Widziałem cię w sklepie. Pamiętam cię z TV - powiedział, kładąc nacisk na ostatnie słowo. „Tiiiwiii”. To nie był dobry znak. - Pomyślałem sobie, że to pewnie twój samochód, no i miałem rację. - Zachichotał i bezradnie rozłożył ręce, po czym odsunął się od samochodu.

Przez chwilę nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale potem zobaczyłam szkło. Ktoś wybił tylną szybę. Szkło leżało wszędzie, na ziemi, na siedzeniach. Ogarnęła mnie panika. Kosmyk włosów Joanny i jej pamiętnik, wystarczające dowody, żeby zamknąć mojego brata w więzieniu na bardzo długo, wciąż leżały w worku pod siedzeniem. Musiałam zebrać wszystkie siły, żeby nie rzucić się do środka i nie sprawdzić, czy wciąż są na miejscu.

- Tom Geller. - Wyciągnął do mnie dłoń. Nosił bransoletkę medyczną. Nie podałam mu ręki, co skwitował jakimś pomrukiem, a po chwili złośliwy uśmiech wrócił na jego



twarz. – Wygląda na to, że nie jesteś tu mile widziana.

– Przestań mnie śledzić.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nasze spotkanie to szczęśliwy zbieg okoliczności. – Oparł się o samochód, włożył ręce do kieszeni i zaczął pobrzękiwać drobnymi.

– Ostrzegam cię, trzymaj się ode mnie z daleka.

– Spokojnie! Chciałem ci tylko przypomnieć, że dług twojego brata wynosi już cztery tysiące. Może to niewiele dla kogoś takiego jak ty, ale radzę to załatwić, zanim sprawa wymknie się spod kontroli.

– Cztery tysiące?

– Zgadza się.

– I co będę z tego miała? – Mój umysł zaczął pracować. Może Garrett się mylił? Może Tom stwierdził, że skoro policja monitoruje ruchy na koncie Lucasa, postanowił poczekać, aż będę na tyle zdesperowana i przerażona, żeby mu zapłacić. Bez zbędnych pytań. Bez policji.

– Wykreślę dług twojego brata.

– To wszystko? – prychnęłam.

– Nie rozumiesz? Nie zdajesz sobie sprawy, jakie piękne jest życie bez długów? – Uśmiechnął się do mnie obleśnie.

– A czy odzyskam mojego brata?

Geller cmoknął, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Tego nie wiem. To pewnie zależy od niego, czyż nie?

Przez chwilę zastanawiałam się, co powinnam powiedzieć, o co zapytać, żeby dowiedzieć się, czy Geller trzymał mojego brata dla okupu. Jak miałam to wyrazić w kryminalnym żargonie, w którym nie nazywa się rzeczy po imieniu? Nie

byłam w stanie wymyślić żadnego nieszkodliwego określenia na okup.

- W porządku. Oddam ci cztery tysiące, ale w zamian chcę odzyskać brata. Tak właśnie działa transakcja zwana okupem, prawda?

- Co ty wygadujesz? - Wybuchnął śmiechem, rozśmieszyłam go do łez. - Naprawdę myślisz, że gdybym porwał twojego brata, żądałbym za niego nędznych czterech tysięcy? Gdzie tu sens, gdzie logika?

Nie odpowiedziałam. Martwiłam się, że próbuje podbić stawkę, albo mówi prawdę i cała nasza rozmowa nie ma najmniejszego sensu.

- Skąd mam wiedzieć, że Lucas naprawdę jest ci winien pieniądze? - spróbowałam, licząc na to, że zaproponuje kontakt przez komórkę albo jakieś inne rozwiązanie, dzięki któremu przynajmniej się dowiem, że Lucas żyje. Wtedy zapłaciłabym bez wahania.

Geller spojrzał na mnie i przejechał językiem po zębach.

- Pamiętasz naszą rozmowę telefoniczną? - Zrobił krótką pauzę, po czym kontynuował: - Postawię sprawę jasno. Kiedy dochodzi do takich sytuacji jak ta, w moim biznesie kredyt przechodzi na członka rodziny. I jestem pewien, że wolisz nie mieć u mnie długów. - Przydeptał pokruszone szkło na ziemi.

Znowu spanikowałam, że włosy i pamiętnik zniknęły. Że Geller je zabrał i będzie mnie szantażować. Albo gorzej, zabrał je ktoś inny i pędzi z nimi właśnie na komisariat.

- Dobrze, już dobrze. - Zaczęłam nerwowo grzebać w portfelu. Plastikowe torby z zakupami wrzynały mi się

w nadgarstki. Wyjęłam czterdzieści dolarów i wyciągnęłam dłoń w stronę Gellera, który podszedł do mnie i spojrzał pytająco. – Nie mam więcej. – Cisnęłam w niego pieniędzmi, ale nie złapał ich i spadły na ziemię.

Pisnęłam ze złości. Nie poznawałam samej siebie. Kobieta z wózkiem pełnym zakupów, która przechodziła obok, spojrzała na mnie jak na wariatkę. Pewnie tak właśnie czują się ludzie, kiedy tracą rozum. Czują ślełą frustrację. Zachowywałam się jak idiotka. Przecież Geller mógł wyciągnąć pistolet albo przyłożyć mi pięścią. Już dwa razy próbował zepchnąć mnie z drogi! Parking w miejscu publicznym tylko pozornie był bezpiecznym miejscem. Wątpię, żeby był tu ktoś, kto chciałby mi pomóc w razie napaści.

Tom przyglądał mi się przez chwilę, jakby zastanawiał się, co ze mną począć.

– Niedługo znowu się spotkamy. Wstaw nową szybę. – Pozbierał pieniądze z ziemi i odszedł, gwizdząc wesoło, po czym wsiadł do srebrnego samochodu. Nie do żadnej czarnej ciężarówki. Do zwykłej srebrnej osobówki.

Otworzyłam drzwi od strony kierowcy i kucnęłam w odłamkach szkła. Z duszą na ramieniu wsunęłam dłoń pod siedzenie i gorączkowo odgarniałam szkło, aż wreszcie znalazłam plastikowy worek.

Nikt go nie zabrał, dzięki Bogu. Był na swoim miejscu.

Kiedy wróciłam do mieszkania, Madison Wilkes znowu była nad basenem (czy ona kiedykolwiek w ogóle stamtąd wychodziła?), tym razem w towarzystwie kilku koleżanek.

Była dwudziesta trzydzieści i robiło się za ciemno na pływaniu. Dziewczyny rozłożyły się w seksownych pozach na leżakach. Zgięte kolana, podparte na łokciach, przekazywały sobie z rąk do rąk butelkę malinowej wódki. Była z nimi Bailey ubrana w męskie szorty khaki i olbrzymi zielony T-shirt. Włosy związała w ciasny kucyk na czubku głowy. Z miejsca, w którym stałam, wyglądała jak nieszczęsny gajowy nieświadomy tego, że stał się obiektem drwin.

Madison wskazała coś palcem:

- Tam, popatrz! Wyłów to obrzydlistwo!

Białe męskie gacie pływały na środku basenu. Bailey stała przy głębszym końcu z siatką cedzakową i próbowała je wyłowić. Kiedy wreszcie je złapała, wyrzuciła z siatki na trawnik obok basenu z takim obrzydzeniem, jakby chodziło o wielką obślizgłą rybę. Pozostałe dziewczyny piszczały teatralnie. Madison wstała i oparła dłoń na biodrze.

- Nie możesz ich tam zostawić. Wyrzucić je do śmieci! - rozkazała, a Bailey złapała majtki koniuszkami kciuka i palca wskazującego i pobiegła do kubła przy płocie, trzymając gacie na wyciągniętej ręce.

- Ona ich dotknęła! To obrzydliwe! - pisnęła jedna z dziewcząt.

Druga udając, że kicha, wykrztusiła:

- Lesba.

Poczułam ogarniającą mnie falę nadopiekuńczości. Miałam ochotę zawołać:

- Bailey! - i wykraść ją, ochronić przed złośliwymi docinkami. A może nawet wygłosić gromki wykład na temat

szkodliwości znęcania się nad słabszymi?

Nic jednak nie zrobiłam, bo byłam zbyt ociężała i zasepiona. Nie miałam siły się kłócić, moje nogi były jak z waty. Zresztą więcej bym tu namieszała, niż pomogła. Czternastolatka nie zdobędzie uznania u koleżanek dzięki pomocy dorosłych, a już szczególnie dzięki bliźniaczcze faceta, który jest podejrzany o zamordowanie siostry przywódczyni babskiego gangu. Poza tym z każdą minutą byłam coraz bardziej ospała.

Kiedy mijalam dziewczyny, Madison zamilkła, przewiercając mnie wzrokiem. Spanikowałam, że jakimś cudem domyśliła się, co mam w worku. Ścisnęłam go mocno i przemknęłam do środka.

Sprawdziłam taśmę klejącą na drzwiach. Była nienaruszona.

Chciałam jak najszybciej zaszyć się w ciemnym pokoju. Głowa mi pękała, miałam wrażenie, że słyszę, jak moja czaszka rozpadała się na kawałki. Weszłam do pokoju Lucasa, zasłoniłam zasłony i położyłam się na łóżku. Wzięłam tabletkę advilu na ból głowy, pół lorafenu i pół stilnoksu, wypiałam szota whisky i zasnęłam. Sen był męczący. Obudziłam się spocona sześć godzin później. Śnił mi się Lucas. Stał przede mną. Wyciągał do mnie ręce. Trzymał w nich coś. Splątane algi morskie? Nie, to były włosy splecione między palce jego dłoni jak pnącza roślin.

- Zabierz je ode mnie, proszę - powtarzał w kółko. - Zabierz je.

# ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

## *Dzień siódmy*

### *Wtorek*

Tuż przed drugą w nocy obudziło mnie pukanie do drzwi. Tym razem wyjrzałam przez wizjer, zanim sięgnęłam zamka, zobaczyłam Bailey i uchyliłam drzwi. Plastikowy worek, który powiesiłam na klamce zamoczona migreną i kacem, zsunął się na ziemię.

- Słucham? - Spojrzałam za jej plecy w poszukiwaniu Starego Dobrego Tatuśka, ale przyszła sama.

- Chciałam cię przeprosić za ojca.

- Nie szkodzi. Wszystko w porządku. Zresztą to nie ty powinnaś przeproszać...

Ale Bailey nie słuchała. Nerwowo rozglądała się po mieszkaniu, wyglądała na spanikowaną, i niemal wykrzyczała:

- Możesz nam jakoś pomóc? Proszę!

Miałam jej pomóc z ojcem? Nie wiedziałam, o co dokładnie chodzi, w dodatku miałam ociężałą głowę od zażytych leków, ale po chwili wszystko stało się jasne. Na podłodze, przy następnych drzwiach, oparta o ścianę leżała Madison. Jej nogi były ułożone pod dziwnym kątem, głowa pochylona do przodu, blond włosy spadały na twarz jak u niedbale ciśniętej

na półkę lalki. Kiedy wyszłam z mieszkania, Bailey bez trudu podniosła Madison, wciągnęła ją do środka i rzuciła na kanapę.

- Wzięła coś dziwnego, nie mam pojęcia co. Jesteś lekarką, prawda? Pomóż nam, proszę!

- Nie jestem lekarką! Jestem farmaceutką! Dzwonię po karetkę!

Ruszyłam do stolika kawowego po telefon, ale Bailey złapała mnie za ramię. Na jej twarzy malowały się desperacja i nieopisany ból, co tylko nastolatki potrafią udawać.

- Nie możesz! Matka ją zabije! Proszę, nie rób tego! Może najpierw sama ją obejrzyj! Proszę!

Zaniepokoiłam się tym, że gdy pijane nastolatki wpakują się w środku nocy w kłopoty, to jakby z nawyku po pomoc pędzą do mieszkania Lucasa. Uklękałam na ziemi i zaczęłam pięścią masować mostek Madison, żeby ją obudzić. Oddychała równo, ale nie reagowała na bodźce zewnętrzne. Pochyliłam się nad nią. Pachniała syropem na kaszel, breezerami i sprejem do włosów. Na powiekach miała grubą warstwę ciężkiego metalicznego cienia do powiek. Smoky eyes.

Zapytałam Bailey, czy wie, co zażyła Madison, ale sparaliżowana strachem wycofała się w kierunku drzwi i stała bez słowa, opierając się dłońmi o ścianę. Przeszukałam kieszenie Madison i znalazłam białe pokruszone tabletki. Był to vicodin.

- Ile ich wzięła? - Pokazałam Bailey tabletkę.

- Nie mam pojęcia. Nie widziałam, żeby brała choć jedną.

Pobiegłam do łazienki i przejrzałam czerwoną kosmetyczkę. Pośród tabletek znalazłam nalokson. Musiałam go mieć. Dyplom z farmaceutyki obliguje mnie do ratowania życia, gdy dojdzie do pomieszenia zbyt dużej liczby leków, nawet gdy mam uratować swoje własne życie. Oczywiście nie miało to żadnego sensu. Mieszkałam sama i gdybym przedawkowała, i tak nie byłabym w stanie zaaplikować sobie naloksonu. Działał jak przeterminowany EpiPen. Prawdopodobnie nigdy bym go nie użyła, ale sprawiał, że czułam się bezpieczniej. Wróciłam do salonu i zaaplikowałam pół dawki do każdego nozdrza Madison.

Przebudziła się, w jej żołądku zaczęło głośno bulgotać.

- Musi wymiotować - powiedziałam i zaniósłszy ją z Bailey do łazienki. Zwymiotowała żółtą wodnistą cieczą. Wysłałam Bailey po wodę i kazałam Madison wypić trzy szklanki, potem ulokowałam ją na kanapie. Podłożyłam poduszkę, żeby nie przewróciła się przez sen na plecy.

Wtedy zauważyłam worek, który nadal wisiał na klamce drzwi. Klnąc w duchu, zerwałam się na nogi i poszłam po niego.

- Daj mi chwilkę - mruknęłam do Bailey, po czym wzięłam worek i ukryłam go w jednej z szafek Lucasa.

- Mogę położyć się spać na ziemi obok Mads? - zapytała zaskakująco beztroskim tonem, jakby ta noc kusiała jeszcze innymi atrakcjami, na przykład walką na poduszki, zawodami, kto zje więcej ciasteczek oreo, i piżamową imprezą.

- Dobry pomysł - powiedziałam, ale tylko dlatego, że nie



zamierzałam zostawać z Madison Wilkes sama w mieszkaniu, szczególnie w nocy. – Możesz powiedzieć, gdzie tak zaszałałyście? – Bailey wciąż miała na sobie zestaw koszulka plus khaki, a Madison wyglądała, jakby rozpoczęła pracę tancerki na rurze.

– Na imprezie – odarła lakonicznie. Próbowałam ją przycisnąć, ale nie udało mi się wyciągnąć z niej nic więcej. – Mogę włączyć telewizor? Bez niego nie zasnę.

– Dobrze, ale cicho. – Podałam jej pilota.

Włączyła kanał z telezakupami, przykryła się narzutą i zamknęła oczy wsłuchana w cicho mruczący kobiecy głos zachwalający zestaw walizek.

Przez kolejną godzinę obserwowałam Madison. Kiedy byłam już pewna, że jej stan jest stabilny, a sen głęboki – będzie to wszystko długo odsypiać – uznałam, że nic już jej nie grozi i mogę wrócić do łóżka.

Przebudziłam się po raz drugi tej nocy, znowu nie mając pojęcia, która godzina. Wyczułam podmuch wiatru na szyi i łaskoczące mnie twarde od nadmiaru tuszu rzęsy. Ktoś obejmował mnie w pasie. Przez chwilę w półśnie było mi przyjemnie, że nie jestem sama. Nie jestem? Przestraszona otworzyłam oczy. Naprawdę ktoś mnie obejmował!

Odwróciłam się gwałtownie.

– Madison?!

Miała otwarte oczy, jej twarz widziałam w świetle latarni stojącej na parkingu przenikającym przez szpary w rolecie. W ciemnej sypialni Madison wyglądała zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Starła makijaż w poduszkę (moją poduszkę!),

miała pełne policzki. Wyglądała jak jej siostra. Niewiele brakowało, bym z krzykiem wybiegła z pokoju. Nerwowo spojrzałam na szafę, w której schowałam worek, ale była zamknięta. Zmusiłam się, by nie sprawdzić, czy jednak coś z niej nie zniknęło.

- Połaskoczesz mnie w szyję? - Madison zwinęła kosmyk włosów i wzięła je do buzi.

- Co ty tu w ogóle robisz? - spytałam, siadając na łóżku.

- Przepraszam, ale bardzo za nią tęsknię. Zawsze się tak bawiłyśmy. Wchodziłam do jej pokoju, gdy miałam złe sny, i łaskotałyśmy się w szyje. Czy ty i pan Haas też tak robiliście, kiedy byliście młodszy? - spytała płaczącym tonem.

- Przykro mi, jeśli miałaś koszmary, ale naprawdę będzie lepiej, jeśli wrócisz na kanapę do Bailey. - Oparłam głowę o oparcie.

- Nie, proszę, nie. Boję się. - Złapała mnie za nadgarstek i zaczęła tak głośno łkać, że łóżko zaczęło drżeć. - Myślałam, że mnie zrozumiesz...

- Okej, niech będzie. Możesz tu zostać, ale tylko przez chwilę, dopóki nie poczujesz się lepiej. Potem wracaj na kanapę. A może powinnam zadzwonić do twoich rodziców? Na pewno martwią się, gdzie jesteś.

- Nie zawracaj sobie głowy. Ja ich w ogóle nie obchodzę. Mogłabym zniknąć, a oni by nie zauważyli. Nie cierpię być w domu. Matka tylko płacze i się wścieka, a ojciec jest nieobecny i cichy, jakby go tam wcale nie było. Agent Burke ciągle do nas przychodzi. Siada w sypialni mojej siostry na kancie łóżka i nie wiadomo po co tkwi godzinami,

rozglądając się po pokoju. Mój brat jest wściekły, że on ciągle tam jest. I nikt nie zwraca uwagi na to, co się dzieje ze mną.

Schowała głowę w poduszkę, a ja wyobraziłam sobie Garretta, zaangażowanego w sprawę policjanta, który wpada w obsesję. Jest tak zdesperowany, że wpatruje się w pokój Joanny, jak dziecko szukające Wally'ego na planszy. Chciałam pocieszyć Madison, powiedzieć, że kiedyś to się skończy, nie będzie wiecznie tkwiła w beznadziejnej rodzinnej spirali, gdzie wciąż powraca ten sam ból. I życie będzie o wiele lepsze.

Ale sama w to nie wierzyłam. Pewnych rzeczy nie da się zapomnieć, wracają z upływem czasu i znów wracają, jak w spirali.

- Myślę, że jest inaczej, Madison. Na pewno bardzo by się martwili. To, co zrobiłaś, było bardzo niebezpieczne. Nie powinnaś tak pogrywać z tabletkami. Dlaczego je w ogóle brałaś?

- Nie wiem. Może po prostu chciałam umrzeć, jak Joanna? Oczywiście i tak nikt by nie zauważył. Wszędzie tylko Joanna i Joanna, gdziekolwiek pójde. Wiesz, co mówią ludzie? Że moja siostra jest teraz aniołem. Handlowała narkotykami, a teraz wszyscy się zachowują, jakby nic takiego nigdy się nie wydarzyło. Może też bym tak chciała? Zostać świętą?

- Daj spokój, na pewno tak nie myślisz. Prawdę mówiąc, wczoraj miałaś sporo szczęścia. Twoja przyjaciółka Bailey cię uratowała. Gdyby nie ona, mogłoby cię już tu nie być.

- Ona nie jest moją przyjaciółką. - Poderwała głowę znad

poduszki.

- Nie jest?

- Oczywiście, że nie. - Znow opadła na pościel i odwróciła się na plecy. - Bailey ma obsesję na moim punkcie. Myślę, że jest lesbijką. Zrobiła nam bransoletki przyjaźni, są takie obciachowe... - Leniwie wyciągnęła rękę, żeby mi pokazać, ale i tak nie wiedziałam, o której mówiła. Madison nosiła jakąś setkę bransoletek, sięgały połowy przedramienia i pobrzękiwały przy każdym ruchu. - Powiedziała: „Zrobiłam je dla nas, żebyśmy nigdy nie zapomnieli tego roku”, a ja pomyślałam: „Ta, jasne!”. Ona nawet przefarbowała włosy na taki sam kolor jak ja. To okropne!

- Mimo wszystko to chyba trochę pochlebiające, prawda? Tak czy inaczej myślę, że już czas, żebyś wróciła na kanapę.

- Jaki był pan Haas, kiedy chodził do szkoły?

Byłam pewna, że próbuje grać na zwłokę, ale jednocześnie nie mogłam się oprzeć, żeby nie wymienić kilku zalet brata:

- Popularny, wysportowany i bardzo miły.

- A ty? Jaka byłaś?

- Hm, nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie. Większość czasu poświęcałam na naukę, bo chciałam się stąd wyrwać.

- Widziałam w szkole zdjęcie twojej klasy, to z ostatniego roku. Teraz wyglądasz dużo ładniej.

Oczywiście tylko to się dla niej liczyło. Nie wyjazd z Wayoaty, college czy kariera w wielkim mieście.

- Dziękuję. Wracasz na kanapę?

- A czy ty i pan Lowe się spotykacie?

- Co takiego? Nie! Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie przejmuj się. Nie mam nic przeciwko. Może wreszcie pan Lowe przestanie zawracać mi głowę.

Powiedziała to takim tonem, jakby sugerowała coś bardzo złego i na moment zrobiło mi się słabo.

- Madison, myślę, że już naprawdę czas, żebyś wróciła na kanapę.

Zaczęłam rozważać przejście nad jej głową, żeby zapalić światło, ale Madison nadal ignorowała moją sugestię, tylko ciągnęła swoje:

- Czasami, kiedy chcę poczuć się lepiej, myślę, że to dobrze, że Joanna umarła.

- Skąd ci przychodzą do głowy takie myśli?

- Joanna zawsze się bała, że zawiedzie oczekiwania matki, a teraz na pewno już tego nie zrobi. Nikt o tym nie wie, ale widziałam w koszu na śmieci w szkolnej łazience test ciąży. Wiem, że był jej. Próbowала go schować, zawinęła w papier toaletowy i dwa opakowania po podpaskach, ale ja widziałam.

Było coś nieprzyzwoitego w tym, że ta dziewczyna grzebała w śmieciach swojej siostry niczym najbardziej skrupulatny policjant na miejscu zbrodni. Musiałam ugryźć się w język, żeby nie rzucić takiego komentarza, ale byłam ciekawa, co jeszcze wiedziała.

- Był pozytywny. Zapytałam jej, czy zacznie się zdrowo odżywiać, czy raczej dokona aborcji, ale tylko nawrzeszczała na mnie jak wariatka. Była wściekła. Złapała mnie za ramiona i zaczęła potrząsać, aż zaczęłam się bać o swoje zęby.

Mocno poruszona milczałam przez chwilę, wreszcie spytałam:

- Wiesz, kim był ojciec?

- Nie wiem. Nie interesowało mnie to. Pewnie Dylan. Myślałam, że wciąż była dziewicą, ale krążyły plotki, że sypiała z kim popadnie.

Poczułam niewyobrażalną ulgę, że nie rozpowiadała wszystkim o tym, że Joanna była w ciąży. To by tylko pogorszyło sytuację Lucasa.

- Mama by się załamała, gdyby się dowiedziała, że jej mała primabalerina jest w ciąży z dzidziusiem.

Dziwnie to zabrzmiało: w ciąży z dzidziusiem. Czułam, że Madison próbuje zdobyć moją sympatię, zaprezentować się jako osoba rozsądna i ostrożna.

- Moja mama też zaszła w ciążę jako nastolatka. Chciała zostać profesjonalną tancerką, ale ciąża zniszczyła jej życie.

- Jestem pewna, że nie zniszczyła - zaoponowałam. O ile dobrze pamiętam, Kathy rzeczywiście bardzo młodo wyszła za mąż i znalazła się na lokalnym świeczniku, ale wszystkich to cieszyło. W grę wchodziły też duże pieniądze. A teraz jej córka miała podzielić jej los...

- Mylisz się. Zniszczyła jej życie i tak samo zniszczyłaby życie Joannie.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Uznałam, że jeśli Madison poczuje się od tego lepiej, to pora zrezygnować z dalszej dyskusji.

- Jak mawiają, każda rodzina ukrywa jakieś tajemnice, prawda? Mam nadzieję, że Jo, gdziekolwiek jest, wie, że

dochowałam jej sekretów. Chociaż... ups! Wygląda na to, że właśnie ci powiedziałam. Ale nie przekażesz tego dalej, prawda? Obiecujesz?

- Obiecuję.

Przytuliła się do mnie i westchnęła jak małe dziecko.

- Czuję, że jesteśmy blisko. Nikt inny nie potrafi zrozumieć, przez co przechodzimy. Połaskoczysz mnie po szyi?

Tym razem udało mi się ją zmusić, żeby wróciła na kanapę. Przytuliłam ją, a kiedy poprosiła o buziaka, pocałowałam w czoło i życzyłam dobrej nocy.

Kiedy się obudziłam, Madison i Bailey już nie było. Zniknęły razem z pięcioma tabletkami stilnoksu, które nierozważnie zostawiłam na nocnym stoliku.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Otworzyłam szafkę i wyjęłam plastikowy worek. Kosmyk włosów i pamiętnik były na swoim miejscu. Zakładka koperty była w środku, więc chyba nikt jej nie ruszał. Mimo to żałowałam, że jej nie zakleiałam, bo tylko wtedy miałabym stuprocentową pewność. Przeszukałam kuchnię Lucasa, bo łaknęłam czegokolwiek, co zawiera kofeinę, ale znalazłam tylko batonik energetyczny.

- Dzisiaj nie biorę żadnych tabletek! - nakazałam sobie surowym tonem sierżanta katującego rekrutów. - Żadnych tabletek, dzisiaj muszę trzymać się w ryzach. Muszę odnaleźć brata.

Delikatnym ruchem wyjęłam pamiętnik z plastikowej torby, próbując nie dotknąć - i nie zauważyć - kosmyka włosów. Położyłam go na stoliku. Pisanie pamiętników na lekcjach angielskiego było zawsze farsą, bo nauczyciele zadawali to zadanie tylko po to, żeby piętnaście czy dwadzieścia minut wcześniej urwać się na przerwę.

- Myślcie, zajrzyjcie w głąb siebie - rzucali z błyskiem w oku i dawali nogę na papierosa.

Zaczęłam przeglądać pamiętnik, czytałam wyrwane fragmenty. Pamiętnik pisany był odręcznie.

- Te dzieciaki nie potrafią czytać pisma ręcznego. Dla nich pismo ręczne to jak hieroglify - powiedział mi kiedyś



zrezygnowany Lucas.

Na początku była to ugrzeczniona szkolna wersja pamiętnika, głównie wypełniona spostrzeżeniami na temat lektur szkolnych.

*Władca Much na wielu poziomach przypomina mi zajęcia z baletu. Okrutna dziewczyna wystrojona w różową taftę, ze stopami napiętymi jak włócznie, z ciasno upiętym koczkciem wypatrującym upragnionej korony, o którą dziewczyna walczy (zostać solistką!), z błyszczącym makijażem i czerwonymi, krwistoczerwonymi ustami przywodzącymi na myśl barwy wojenne. Gotowa do walki.*

Przeszłam do kolejnego wpisu.

*Lennie Small przypomina mi mojego brata: wielki i niezdarny, zdolny zabić zwierzę swoją nadopiekuńczością (kto wpadł na pomysł, żeby powierzyć Lenniemu prowadzenie króliczej farmy?! Przecież to fatalna decyzja biznesowa). No dobra, tylko żartuję (humor jest moją jedyną bronią przeciwko tej przygnębiającej książce). Ale czasami martwię się o brata. W niektórych kwestiach jest, że tak powiem, opóźniony, co czyni go delikatnym i pozwala nim manipulować. Wystarczy go poprosić, a on to zrobi bez żadnego namysłu. Przecież to bez sensu!*

*ALE... pozytywną stroną (bardzo smutnej książki) jest to, że mój prywatny „kryzys” finansowy właśnie się skończył – dostałam pierwszą pracę! Jestem bardzo podekscytowana. Będę mogła pracować w czasie okienek. Mój szef już wspominał o podwyżce. A wypłata = N-I-E-Z-A-L-E-Ż-N-O-Ś-Ć.*

*PS. Mówiłeś, że jedyną zasadą, która ma kierować pisaniem pamiętnika, jest szczerść. Czyli czas na pełne ujawnienie: nie skończyłam czytać tej książki. A przynajmniej jeszcze nie skończyłam. Odpadłam, kiedy usłyszałam, że będzie w niej coś o martwym szczeniaczku. Nie byłam pewna, co będzie gorsze: to, że dowiesz się, że nie przeczytałam Myszy i ludzi i dostanę złą ocenę, czy to, że będziesz myślał, że ją przeczytałam, ale kiepsko z niej odpowiadam. Spróbuję (mimo oczywistych przeszkód!) doczytać ją do końca przed ostatecznym terminem oddania wypracowań na jej temat.*

Przez kolejne cztery miesiące skupiła się na wymienianiu zalet Dylana, jej chłopaka. Był jedyną osobą, która naprawdę ją rozumie i pozwala jej być sobą. Wszystko to napisane wielkimi kulfoniastymi literami ozdobionymi serduszkami. Ale później temat Dylana się urwał.

*...zostałam uwięziona za szkłem, wymachuję białą flagą. Jestem ci obojętna. Moje serce pęka. Mówiłeś, że to będzie na zawsze, ale „na zawsze” oznaczało tylko cztery miesiące. Pozwoliłeś jej wejść sobie na głowę, jestem tego pewna. Twoje uczucia do mnie minęły. W twoim sercu została tylko pustka.*

W tym momencie Joanna rezygnuje z autocenzury, pamiętnik staje się coraz bardziej szczerzy. Joanna zrobiła to, co często przytrafia się gwiazdom reality show, to znaczy zapomniała, że jest obserwowana. Zignorowała fakt, że to nie jest prawdziwy pamiętnik, czyli coś bardzo prywatnego. Trzy czwarte treści dotyczyło jej matki.

*Moja matka pragnie, żebym spełniła jej marzenia o posiadaniu sławnej córki. Za każdym razem, kiedy mówię, że nie jestem wystarczająco zdolna, ignoruje mnie. Trzy mrugnięcia okiem i znowu wierzy w swoje marzenia i zmusza mnie do powrotu na deski. Muszę jej jakoś udowodnić, że to złudzenia.*

*Chciałam spotkać się z przyjacielem po zajęciach z tańca. To tylko przyjaciel, ale nie, matka musiała się wepchnąć i poszła z nami na gorącą czekoladę. Opowiadała o wszystkich dziewczynach z mojej klasy. Byłam zażenowana.*

*Matka zabrała mnie na zakupy (nigdy nie daje mi swojej karty kredytowej, tak jak Madison. Nie, ona zawsze musi iść ze mną). Najpierw sprawia, że mam wyrzuty sumienia, że wolałabym iść na zakupy z przyjaciółmi, a potem wymyśla jakieś głupie powody, dla których nie może dać mi pieniędzy. Zwracam jej uwagę na to, że gdybym nie musiała tyle ćwiczyć, mogłabym znaleźć pracę (o mojej aktualnej pracy nic nie wie, więc muszę prosić ją o pieniądze, żeby niczego nie podejrzewała. Posiadanie pieniędzy, kiedy nie można ich wydać, jest beznadziejne. Ale przynajmniej nie mam problemów z oszczędzaniem). Potem się kłócimy i ostatecznie kończymy razem w centrum handlowym. Matka kupuje mi ubrania, w których nie chcę się pokazywać. Dzisiaj płakałam w przebieralni, kiedy zdejmowałam białą bluzę, którą kazała mi kupić. Nie chciałam jej. Jestem za duża na takie ubrania, ale ona i tak ją kupiła i jest przekonana, że właśnie mam ją na sobie, bo kazała mi ją rano włożyć.*

*Prawdę mówiąc, dzisiaj rano przygotowała mi ubranie, w którym miałam iść do szkoły! Mam szesnaście lat! Co ona sobie myśli? Na szczęście jeszcze nie zorientowała się, że w szkole się przebieram.*

*Może powinnam być dla niej lepsza. W zeszłym tygodniu zdobyłam pierwsze miejsce w konkursie w Minneapolis!!! Komentarze sędziów były bardzo pochlebne i poczułam się wspaniale. Nie podobała mi się choreografia, którą ułożyła, ale chyba miała rację. Czasami ma rację. Dlaczego o tym zapominam?*

*Po kilku dniach doszedł nowy wątek:*

*ECH! Nie wierzę w to, co napisałam w zeszłym tygodniu. Znowu jest beznadziejnie. Matka chce mnie wysłać na odwyk! Kto chodzi na odwyk z powodu trawki? (Przepraszam - wiem, że nie powinniśmy w pamiętnikach pisać o „nielegalnych” rzeczach, które powinno się zgłosić na policję, ale o trawce znalezionej w mojej szafce i tak wie już cała szkoła). Mówiłam jej, że nie potrzebuję żadnego odwyku, że chodziło mi tylko o pieniądze, ale w ogóle mnie nie słucha. O wszystko obwinia Dylana, który nie miał z tym nic wspólnego. Wiesz co? Lubiłam handlować narkotykami. Było super. Wreszcie ludzie przestali na mnie patrzeć jak na świętą. Nawet zaczęłam się dogadywać z koleżankami z zajęć z tańca. Proszę, wyłożyłam kawę na ławę (ale nie zgłaszaj mnie, dobrze?).*

*Matka nasłata na mnie brata, który łązi za mną jak pies stróżujący. Cały czas mnie obserwuje. Ciągle jeździ obok parkingu szkolnego, żeby upewnić się, że mój samochód*

*wciąż stoi w tym samym miejscu. Chyba mu się to podoba. To całe pilnowanie mnie. Nienawidzę jej.*

Ben, który zdeptał motyla. Był dużym chłopcem. Uczył się od matki, nie od fajtłapowatego ojca. Znalazłam jedyny wpis dotyczący Madison:

*W pewnym sensie chciałabym być jak ona. Robi to, na co ma ochotę. Wczoraj ćwiczyłam do jedenastej w nocy. Dostałam na kolację odgrzewane warzywa gotowane na parze i kotlety z łososia, a Madison spotkała się z koleżankami (i całą świtą jej fanek). Piękny babeczki w lukrze. Palce i usta miała całe różowe od objadania się słodyczami. Wydaje jej się, że matka mnie faworyzuje, i nawet kiedy jest dla mnie niemiła, chciałabym się z nią zamienić miejscami. Przyszła do mojego pokoju i na moich oczach pochłonęła babeczkę (co nie brzmi tak strasznie, ale ona dobrze wie, że jestem na jednej ze słynnych diet Kathy), delektując się każdym okruszkiem. Chciałabym móc żyć jak ona. Mówi mi, że jestem utalentowana, ale zawsze robi to w podły sposób. Ma szczęście, że nie może tańczyć.*

Wydźwięk wpisów zmienił się po tym, jak była molestowana w styczniu. Notatki były niedokończone, urwane w połowie. Jakby nie mogła albo nie miała siły pisać dalej. Cytowała smutne piosenki, a na marginesach rysowała dziewczyny o smutnych, wypełnionych łzami oczach. Kiedy zeszła się z Dylanem, wpisy przez chwilę były weselsze, ale tym razem Joanna nie była tak naiwna jak wcześniej. Tym razem ich związek nie składał się tylko z motylków i kwiatków.

Na początku lutego wpisy stawały się coraz bardziej intymne i kierowane bezpośrednio do Lucasa:

*Chciałeś wiedzieć, kiedy ostatnio czułam się bezpieczna. Powiem ci...*

*Najbezpieczniejsza czułam się, kiedy spędzałam wakacje u dziadków w ich domku nad jeziorem. To były beztroskie dni spędzone w przystani z kanapkami z ogórkiem i dużymi szklankami lemoniady. Pamiętam zapach cygar dziadka, który denerwował wszystkich wokół, ale ja go lubiłam. Tak było, zanim Kathy przejęła kontrolę nad moim życiem. Wszystkie następne wakacje spędzałam w szkole tańca. Później było już tylko latanie na pokazy w Los Angeles i Nowym Jorku, i nocne loty do Wayoaty, żebym nie przegapiła lekcji. Wtedy zapomniałam, co to beztroska.*

*Moim ulubionym pomieszczeniem w domu był strych z okrągłym oknem w dachu. W nocy, kiedy była pełnia, księżyc rzucał na podłogę białe światło. Wyglądało to jak błyszcząca kosmiczna podłoga. Leżałam pośrodku i przez olbrzymi świetlik patrzyłam na gwieździste niebo. Czułam się jak w bajce. Jakbym mogła w każdej chwili polecieć w górę, do gwiazd, do alternatywnej rzeczywistości, w której mogłabym zdobyć supermoce, dzięki którym później byłabym dobra we wszystkim, czego spróbuję. Albo wyobrażałam sobie, że jestem na statku kosmicznym, który leci daleko stąd. Zresztą nieważne. To były najzwyklejsze dziecięce zabawy. Mimo to kiedy tam byłam, czułam, że nikt nie zrobi mi krzywdy.*

*Już nigdy w życiu nie będę się czuła równie bezpieczna.*

Czasami, czytając wpisy, miałam wrażenie, że słucham monologu telefonicznego pasażera siedzącego obok mnie w autobusie:

*Pamiętasz, o czym ci wczoraj mówiłam? Zapomnij o tym. To już nieważne. Myślałam o tym, co mówiłeś, i masz rację – lepiej się tyle nie martwić. Dobra rada. Twoje rady są o wiele lepsze od rad Erica, który tylko zadaje mnóstwo pytań, a potem nic nie mówi, tylko puszcza jakieś beznadziejne piosenki, kiedy ja przyszłam po radę! LOL.*

Co mu powiedziała? Jaką dał jej radę? Dlaczego Joanna powinna przestać się martwić? Nie żebym całe życie myślała, że muzyczna terapia Erica była zarezerwowana tylko dla mnie, ale mimo wszystko poczułam się trochę przybita. To żalosne, że całe życie stosował tę samą taktykę. Czy naprawdę próbował nawiązać kontakt z młodzieżą poprzez muzykę (taką, jakiej słuchali ich rodzice?), czy może po prostu nie chciało mu się pracować? Albo jeszcze gorzej – czy dalej próbował zgrywać młodzieżowego i wyluzowanego nauczyciela (wczoraj zauważyłam, że nosił skórzaną bransoletkę)? Mój umysł zaczął buzować jak tabletki Alka-Seltzera: czy Eric używał muzyki, żeby oczarować dziewczyny, którymi był szczególnie zainteresowany? Te, które „wiedzą, co robią”, dzięki czemu są w stanie sprostać wymaganiom, które pojawiają się w „dojrzałej” relacji z Erikiem. Czy to nie dziwne, że poszedł ze mną do łóżka? Byłam jego uczennicą! Z drugiej strony, Zoey też była kiedyś uczennicą Lucasa. Chyba nie dojdę do tego, co było właściwe, a co nie. Wróciłam do lektury.

*Myślałam o tobie przed zaśnięciem i poczułam się bezpieczna. Pomyślałam, że może miałeś rację, że wszystko się ułoży. Muszę tylko poczekać.*

*Począkać z czym? Z matką? Ze szkołą? Z tym, aż razem uciekną?*

*Znalazłam też kilka wpisów dotyczących kontuzji i chorób:*

*Wiem, wiem, znowu chodzę o kulach. (DZIĘKI za to, że pomogłeś mi rano z książkami...).*

*...PRZEPRASZAM za te gryzmoły. Tym razem przynajmniej mam wytłumaczenie - zwichnęłam nadgarstek (znowu!)...*

*...DZIĘKI, że pozwoliłeś mi posiedzieć na twojej lekcji w trakcie WF-u. Chociaż nie jestem szczęśliwa z powodu grypy żołądkowej...*

*Wspomniała też o „wypadku”, w którym uczestniczyła jej przyjaciółka Abby. Tak to napisała, w cudzysłowie, sugerując, że to mógł tak naprawdę nie być wypadek:*

*...Czasami mam ochotę poprosić Abby i panią Peters na bok i wszystko im wyjaśnić. Ale Abby patrzy na mnie tak, jakby się mnie bała. Czasami tylko się wściekam - jak ona w ogóle mogła myśleć, że mam z tym cokolwiek wspólnego? Że mogłabym spokojnie patrzeć na to, co zrobiła jej moja matka? Przecież zna mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć. A przynajmniej zawsze myślałam, że tak jest. Wygląda na to, że moja matka naprawdę robi wszystko, żeby nasze życie zaczęło przypominać Szare Ogrody. (Widzisz? Mówiłam ci, że nie zasnęłam na tym filmie, który wcale mi się nie podobał!).*

*Gdybym nie miała ciebie... A zresztą zawsze mówisz, że „co by było gdyby...” to najbardziej niebezpieczne*



*zestawienie słów na świecie”.*

Dlaczego jej przyjaciółka miała by się jej bać? Co takiego zrobiła Kathy? Kiedy Lucas zaczął serwować kiepskie porady psychologiczne?

*OMG. Teraz już wiem, dlaczego Eric nic mi nie mówi. Nigdy nie uwierzysz, co się wczoraj stało. Wróciłam do domu na lunch. Nie czułam się dobrze. I kogo zobaczyłam przy stole z moją kochaną mamusią??? Erica!!! Na stole, przy którym siedzieli, leżały pieniądze!!! Mogę się tylko domyślać, ale podejrzewam, że matka płaci mu za informacje, które ode mnie wydobywa. Przez cały czas, kiedy zwierzałam się Ericowi, moja matka o wszystkim wiedziała! Teraz już wiem, skąd matka wiedziała, że zeszedliśmy się z Dylanem. To obrzydliwe! Takie rzeczy powinny być karane! Dzięki Bogu nie powiedziałam Ericowi wszystkiego!!! Możesz to sobie w ogóle wyobrazić?*

Eric sprzedawał sekrety Joanny jej matce. Nie z takim Erikiem się spotykałam. Jak można być tak podłym? Jak mogłam iść do łóżka z kimś tak podłym, nie zdając sobie z tego sprawy? Patrzyłam na niego przez różowe okulary durnej nastolatki?

To było strasznie dwulicowe i wobec Joanny, i wobec mnie. Zachowywał się, jakby Joanna była tylko jedną z wielu uczennic.

Czułam się oszukana. Dorabiał na boku, sprzedając sekrety młodzieży rodzicom? Te najgłębsze, najmroczniejsze sekrety, których dzieciaki nie zdradzały nawet w mediach społecznościowych? Czy ze mną też sobie pogrywał? Czekał

na perełkę, którą będzie mógł sprzedać prasie? Ale nie odnosiłam wrażenia, jakby liczył, że wydobędzie ode mnie jakieś informacje. Zdawało mi się, że w ogóle nie zależy mu na tym, żebym cokolwiek mówiła. Brałam to zresztą za oznakę wrażliwej, subtelnej duszy. Jak miałam rozwiązać jakąkolwiek zagadkę, skoro nie potrafię rozgryźć, komu można, a komu nie warto ufać?

Pomyślałam o dniu, który spędziliśmy razem. Nic mnie nie zaniepokoiło. To był miły dzień. MIŁY! To jedyny sposób, w jaki mogłam go opisać.

Przypomniało mi się, jak położył dłoń na ramieniu Madison i przytrzymał ją odrobinę za długo. O co chodziło? Jaka była jego rola w tym wszystkim? I jaką trzeba być matką, żeby przekupywać psychologa szkolnego?

*Jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać. Ufam tylko tobie.  
PS. Przepraszam za spóźnienie, ale to wina pani Thompson. Znow dla niej pracuję. Zawsze się spóźnia i gdybym nie zarabiała tak dobrze, już dawno bym odeszła. Nie wiedziałam, że się spotykacie!*

Pani Thompson... Carolyn! Oparłam się o kanapę. Joanna pracowała dla Carolyn? Zachowywała się, jakby nigdy nie poznała Joanny. Czy dlatego Wyatt był taki niespokojny podczas mojej wizyty? Próbował zdystansować się od Lucasa? On i Carolyn musieli mieć romans. Ten wpis był datowany na miesiąc przed zaginięciem Joanny.

Przeczytałam ostatni wpis:

*Nie mogę się doczekać wyjazdu do St. Roche. Wreszcie!!!  
Matka by mnie zabiła, gdyby się o tym dowiedziała. Xo*

„Xo” napisała tak mocno, że prawie wyryła dziurę w kartce. Jasne, „uściski i całusy”. Wyglądało na to, że faktycznie ze sobą sypiali. Więc to wszystko stało się tylko dlatego, że mój braciszek nie potrafił zawiązać sobie czegoś tam na supeł, gdy była taka potrzeba. Początkowy gniew przeszedł w rozczarowanie, aż w końcu w powtarzaną przez minutę mantrę:

- Ty idioto! Ty idioto! Ty idioto!

Jak mógł zrobić coś takiego? Jak mógł przekroczyć granicę (i z iloma dziewczętami ją przekroczył?) uścisków i całusów. Wycieczka do St. Roche jakoś mi się nie kojarzyła z wyjazdem w celu zbadania próbek na ojcostwo czy z aborcją. Nie wyglądało też na to, że Lucas musiał namawiać Joannę do wyjazdu. Wykrzykniki jasno oznajmiały, że będzie to radosne wydarzenie. Planowali pojechać do St. Roche... A potem co? Plany się posypały, więc Lucas zwabił Joannę do parku i zabił?

Nalałam sobie drinka, żeby ukoił pragnienie na coś mocniejszego. Dokładnie przeczytałam pamiętnik jeszcze trzy razy. Szukałam czegokolwiek, co wskazywałoby na to, że Lucas nauczyciel perfidnie wykorzystał Joannę uczennicę. Wsłuchiwałam się w to, co między wierszami, starałam się wychwycić ból i rozpacz wykorzystywanej Joanny, jej strach, to, że bała się Lucasa. Ale jedyną osobą, której się bała, była jej matka. Nawet fragmenty związane z wykorzystaniem seksualnym nie były tak przepełnione strachem, jak te, w których pisała o matce. (Chodzi o odczucia Joanny, a nie o to, że hokeiści czy ich zboczony zleceniodawca nie mogli jej

zamordować. Owszem, mogli. Ale najbardziej bała się matki). Dylan mówił, że Kathy nie pozwalała Joannie dorosnąć. Kathy opłacała Erica. Kathy spowodowała „wypadek”, który sprawił, że Joanna straciła przyjaciółkę. Kathy to taka matka, która prędzej udusi swoje pisklęta, niż wypuści je z gniazda. I o co chodziło z ciągłymi kontuzjami Joanny? „Matka by mnie zabiła, gdyby się o tym dowiedziała. Xo”. Może to tylko nastoletnia hiperbola, ale zabrzmiała dziwnie realnie.

Poczułam wyrzuty sumienia, że myślałam o Lucasie jak o psychopatycznym mordercy. Było mi źle, że porównałam go do Normana Batesa. Znałam swojego brata. Byliśmy bliźniakami i potrafiliśmy przejrzeć się na wylot. Za każdym razem, kiedy o tym myślałam, coś mi po prostu nie pasowało. To nie mogło tak być. On nie mógł jej zabić.

Dopiłam drinka. Dlaczego ciągle to robiłam? Dlaczego ciągle wrzucałam na szalę jego cechy charakteru i wspomnienia z dzieciństwa? Brak w tym logiki. Mój brat jest niewinny, koniec kropka. Nie mógł tego zrobić, bo po prostu taki nie jest. Owszem, zawinił. Romansował z uczennicą, źle oceniał sytuację, nie kontrolował inklinacji do młodych dziewczyn (nawet jeśli Zoey miała dwadzieścia jeden lat, wyglądała na znacznie mniej), ale nie zamordował Joanny Wilkes. Wiara jest kwestią wyboru. A ja wybrałam wiarę w niewinność mojego brata.

Przejrzałam pamiętnik po raz kolejny.

Eric.

Carolyn i Wyatt.

Kathy.

Przynajmniej dowiedziałam się jednego. Dlaczego Lucas go schował.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Miałam ochotę wywarzyć drzwi do domu Carolyn. Jej samochód stał na podjeździe, ale nikt nie reagował na moje rozpaczliwe dzwonienie i walenie do drzwi. Okna były zasłonięte, więc nie dostrzegłam żadnych małych buziek wyglądających zza firanki, ale słyszałam, że w środku są ludzie. Zadzwoiłam na numer domowy i usłyszałam dzwonek, ale nikt nie podniósł słuchawki, aż włączyła się automatyczna sekretarka. Już miałam odejść, kiedy usłyszałam piski i pluski, które dochodziły z ogrodu.

Popchnęłam furtkę. Była lżejsza, niż myślałam, więc z hukiem walnęła w ogrodzenie. Ogródek był długi i wąski. Dwie dziewczynki w sandałach płakały przestraszone. Na dwóch drabinkach do zabawy i przy basenie brodziku bawiło się mniej więcej dziesięcioro dzieci.

Podbiegła do mnie nastoletnia dziewczyna i spytała:

- Dzień dobry. W czym mogę pomóc? - Miała na sobie top od bikini i džinsowe szorty. Rozejrzała się po ogrodzie, w popłochu wyciągając telefon z kieszeni. Posłała mi nikły uśmiech, szybko pisząc SMS-a.

- Gdzie jest Carolyn?

- Mamy nie ma w domuuu! - Jeden z rozemocjonowanych wychowanków Carolyn zaczął piszczeć. Miał dziwną fryzurę, można by ją nazwać „włosy postawione na zaschnięty jogurt”. Spojrzałam znów na dziewczynę, która wciąż pisała.

- Gdzie ona jest, do cholery?

- Brzydkie słowo, brzydkie słowo! - zaczęły się ze mną drażnić dzieciaki.

Dziewczyna wreszcie skończyła pisać i podniosła wzrok.

- Wyszła na chwilę. Zaraz... - W jej oczach pojawił się strach. - Ja cię znam! - Gdy zrobiłam krok w jej kierunku, jeszcze bardziej wystraszona zasłoniła się rękoma. - Nie chciałam nic mówić! - Zaczęła się cofać w stronę płotu. - Carolyn powiedziała, że możemy pomóc policji aresztować pana Haasa. Proszę, nie bij mnie!

- Słucham? Dlaczego miałabym cię bić? - Wtedy zrozumiałam. Doznałam jednego z tych mikrosekundowych olśnień, kiedy to wszystkie elementy układanki zaczynają do siebie pasować. - Co takiego Carolyn kazała ci zrobić?

- Przepraszam, naprawdę przepraszam! - Uciekła na podjazd, jakbym goniła ją z piłą łańcuchową. Innymi słowy, bliźniaki Haas grasują po mieście i szukają młodych dziewczyn do upolowania.

- Nie możesz tak po prostu wyjść, do cholery! - krzyknęłam za nią, ale zagłuszył mnie przelatujący samolot.

- Brzydkie słowo, brzydkie słowo!

- Carolyn zaraz wróci. Przepraszam! - krzyknęła przez ramię i pobiegła na ulicę.

Wyglądało na to, że Joanna też była niańką. Zajmowała się dziećmi, a Carolyn wychodziła z domu i robiła... co? Zesztywniałam ze zdenerwowania. Pomasowałam ramiona, żeby je rozluźnić. Potem podniosłam wzrok. Prąd strumieniowy uformował chmury na kształt kociego oka,

które spoglądało na mnie z nieba. Dlaczego nikt nie wiedział o tym, że Joanna tu pracowała? Przecież rodzice musieli ją tu widywać, kiedy zostawiali i odbierali swoje pociechy. I nawet jeśli Joanna im się nie pokazywała, dzieci musiały w domach coś o niej mówić i wypowiadać jej imię, szczególnie gdy całe miasto oblepiono plakatami o jej zaginięciu.

Może opiekowała się tylko dziećmi Carolyn?

Spojrzałam na chmarę berbeci. W drugim końcu ogrodu dostrzegłam niszczącą szklarnię. Wyglądała bardzo intrygująco. Ruszyłam w jej stronę, przedzierając się przez morze szkrabów.

- Tam nie można wchodzić! - krzyknęła do mnie czterolatka z wystającym brzuszkiem. Drzwi były zamknięte na trzy kłódki. Podniosłam rękę, żeby zasłonić oczy przed słońcem, i spróbowałam zajrzeć do środka, ale folia, z której była zbudowana szklarnia, była mlecznobiała i mocno zabrudzona, więc nic nie mogłam dojrzeć w środku. Wyobraziłam sobie, jak Wyatt odwozi Joannę do domu po skończonej pracy. Nagle przenosi spoconą dłoń z dźwigni zmiany biegów na jej udo - chyba nie tylko Lucasowi należy się od życia coś dobrego? Skręca do parku Dicksona, gdzie będą mieć więcej prywatności. Carolyn czeka w domu, mając nadzieję, że jej mąż dotrzyma słowa i skrzywdzi Joannę, dzięki czemu również ona pośrednio zemści się na Lucasie:

- Wygląda na to, że twoja nastoletnia dupeczka wcale nie jest taka wyjątkowa. Z Wyattem też się puściła.

Nagle doznałam olśnienia: a co, jeśli Carolyn zapłaciła hokeistom za poniżenie Joanny? Mogła ich znać



z drużynowych imprez organizowanych na rozpoczęcie i zakończenie sezonu. Tyle że jej plan się nie powiódł, bo nie dostała zamówionych zdjęć.

Może Wyatt zaczął bić Joannę, kiedy odrzuciła jego zaloty? Tak bardzo wczuł się w rolę, że dziewczyna zmarła. Wtedy zadzwonił do Carolyn, która przyjechała i pomogła mu pozbyć się ciała. I to Carolyn wpadła na pomysł, żeby obciąć Joannie włosy. Zamierzała nimi prześladować Lucasa, zostawiając kosmyki w dobrze wybranych miejscach, na przykład na biurku szkolnym, w samochodzie, w mieszkaniu. Będzie to trwało tak długo, aż Lucas zacznie tracić rozum. Dopiero wtedy Carolyn uzna, że zdobyła nad nim przewagę, więc zemsta się dokonała.

Ale potem wpadła na jeszcze lepszy pomysł. Przecież można posłać Lucasa do więzienia za morderstwo! Od siebie i Wyatta odsunęłyby wszelkie ewentualne podejrzenia, a uwięziony i pozbawiony kontaktu z innymi kobietami Lucas byłby jej nieskończenie wdzięczny za skąpo dozowane wizyty.

Jednak znów zmieniła zdanie. Pogłaskała Wyatta po białych krostowatych plecach, przytuliła go w nocnym mroku i spytała sennym głosem:

- A może zabijemy też Lucasa?

I stało się. Ciało Lucasa nawoziło glebę szklarni.

Padłam na kolana i próbowałam zerwać folię ze szklarni.

- Jayden mnie uderzył!

Czyli siła wyższa. Ruszyłam przez ogród i przerwałam dziecięcą bójkę o żółtą plastikową łopatkę z ułamaną

rękojeścią.

Zatrzymałam łopatkę i wróciłam do szklarni. Szuflą przebiłam się przez folię i pociągnęłam ją, żeby mocniej ją porwać. W końcu ją podwinęłam i wślizgnęłam się do środka między stalowymi żebrami konstrukcji. Moim oczom ukazały się rzędki krzaczków marihuany. Ukryta hodowla w samym centrum miasta! Ruszyłam między alejkami w poszukiwaniu zakrwawionej łopaty, gumowych rękawic czy czerwonych nike'ów. Przypomniałam sobie (zabawne, gdy się weźmie pod uwagę, co właśnie wdychałam) propozycję chłopaka, który znalazł ciało Joanny - „pierwszorzędny zielony kush”. Pierwszorzędny, pierworodny. Grzech pierworodny. Eden. Zielony Eden. Carolyn. To nie Dylan, lecz Carolyn i Wyatt byli dostawcami Joanny. Carolyn zatrudniała licealistki do pomocy przy dzieciach, a potem namawiała je na bardziej lukratywny biznes, czyli handel marihuaną. Tylko Joanna była wyjątkiem. Od razu zaczęła sprzedawać trawkę, bo nie chciała, żeby jej matka wiedziała, że gdzieś pracuje (i nie przerwała tego zajęcia nawet po tym, jak znaleziono trawkę w jej szafce).

*To wina pani Thompson. Znów dla niej pracuję. Zawsze się spóźnia i gdybym nie zarabiała tak dobrze, już dawno bym odeszła.*

To była ich tajemnica? Popaprańcy.

Nagle jeden z chłopców zaczął rozpaczliwie płakać i błagać o szklanekę soku, czym wywołał zamieszki w przybytku. Słodkim głosem, jakim dorośli na ogół rozmawiają z przedszkolakami, powiedziałam dzieciakowi, że poszukam

soku, ale spojrzał na mnie podejrzliwym wzrokiem, więc się poddałam.

Godzinę później, kiedy usłyszałam nadjeżdżający samochód, cała się lepiłam i miałam wszędzie piasek. Carolyn podrzucił łysy mężczyzna w białej koszuli. Nachyliła się nad nim i przelotnie pocałowała go w usta. On na odchodne klepnął ją po pupie. Dopiero wtedy mnie dostrzegła.

- Co ty tu robisz? Gdzie jest Kira? - Wparowała do ogrodu i błyskawicznie przeliczyła dzieci.

- Wyszła godzinę temu. Widzę, że nieźle się urządziłaś. Zatrudniasz nastolatki, które opiekują się dziećmi, a ty dajesz nogę i załatwiasz inne biznesy.

- Daj spokój, Mia. - Odrzuciła włosy do tyłu. - To był wypadek, poza tym urwałam się tylko na trochę, więc nie ma o co robić afery.

- Jestem pewna, że rodzice tych dzieci byliby wniebowzięci, gdyby się dowiedzieli, że Kochanymi Skarbami opiekują się szesnastolatki bez żadnego nadzoru dorosłej osoby, podczas gdy ta, której płacą za opiekę, rozbija się po mieście - oznajmiłam, na co Carolyn prychnęła i odwróciła głowę, jakby przestała mnie słuchać. - Nie wspominając już o twojej działalności pobocznej - dodałam głośno, starając się powiedzieć to takim tonem, jakim dorośli karzą dzieci.

- To nie jest żadna działalność - zachnęła się i przewróciła oczami. - Kilka roślin do ogrodu i może faktycznie jest tam jakiś krzaczek, ale tylko na prywatny użytek.

- Nie wysilaj się, Carolyn. Byłam w środku. Jestem

ciekawa, na jakiej podstawie rekrutujesz dziewczyny do opieki nad dziećmi, a inne do dilerki. Przeprowadzasz testy kwalifikacyjne?

- Wyjdź, Mia. Wynoś się stąd, natychmiast - powiedziała z zaciśniętymi zębami i ruszyła w stronę piaskownicy, gaworząc do dzieci na temat zamków z piasku.

- Wiem, że Joanna Wilkes dla ciebie pracowała. I wiem, że sprzedawała twoją trawkę.

Zrobiła krok wstecz, ale dzieci przykleiły się do jej nóg jak huby.

- Sama do mnie przyszła. Kathy Wilkes nie dawała jej ani grosza. Potrafisz to sobie wyobrazić? Miała tyle pieniędzy i nic nie dawała własnej córce. Poza tym Joanna próbowała odłożyć.

- Na co?

- Nie wiem. Zresztą to nie moja sprawa - odparła, strząsając „huby” z nóg. - Może po to, żeby uciec z twoim bratem, który postanowił ją zabić?

- Pieprz się, Carolyn! Dobrze wiesz, że Lucas jej nie zabił. - Znów dobiegło mnie: „Brzydkie słowo, brzydkie słowo!”.

- A właśnie że nie wiem! - rzuciła ze złością.

- W takim razie po co każesz nastolatce kłamać, że Lucas ją molestował?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Carolyn zrobiła minę niewiniątka.

Miałam ochotę zdrowo ją wytarosić.

- Oczywiście, że wiesz. Dziewczyna, która tu była, Kira, o wszystkim mi powiedziała. A także to, że wycofa zeznania.

- To nie była do końca prawda, ale musiałam ją przycisnąć. - Chcesz wiedzieć, co ja myślę? Myślę, że usłyszałaś plotki, że Joanna i Lucas mają romans, a ty wystraszyłaś się, że Joanna powie mu, że hodujesz trawkę i dilujesz, więc zrobiłaś wszystko, żeby trafił za kratki.

- Lucas zabił tę biedną dziewczynę. - Słowo „biedna” zaakcentowała jak Kurczak Mały, nawet odrzuciła głowę w tył. - Dziewczynę, którą znałam i lubiłam. Niedobrze mi się robiło, kiedy widziałam Lucasa na mieście, jak obściskuje się z tą dwudziestoletnią dziwką, kiedy wszyscy wokół szukali Joanny. Ciągle mu się wydaje, że jest ulubieńcem dziewczyn i może robić, co mu się żywnie podoba. Ktoś musiał mu wreszcie zmyć ten głupkowaty uśmiech z twarzy. Ktoś musiał sprawić, żeby policja bardziej się postarała.

- Naprawdę o to ci chodzi? Twoja obsesja z czasów college’u nigdy nie minęła, prawda? I nadal uwielbiasz prześladować ludzi za urojone krzywdy. Nie byłaś w stanie znieść faktu, że Lucasowi mógł się spodobać ktoś inny.

- Nie będę cię prosić drugi raz. Wynos się.

Jedno z dzieci zaczęło pokrzykiwać z góry zjeżdżalni:

- Ciociu, patrz, ciociu, patrz na mnie.

- Carolyn, a może to ty zabiłaś Joannę? Nie udała wam się jakaś transakcja? Jak duże jest twoje pole działania? Firma projektująca ogrody to całkiem niezła przykrywka, jak sądzę.

- Jak śmiesz tak mówić? Nigdy w życiu bym jej nie skrzywdziła. Jestem matką! - Uderzyła się pięścią w pierś.

- Ciekawe, jak bardzo ten argument przekona policję.

Carolyn oklapła i usiadła na ławeczce dla dzieci. Zrobiła

wielkie oczy. Jej spodnie do jogi podwinęły się, eksponując koronkowe stringi.

- Mia, ja tylko próbuję związać koniec z końcem.

- No tak, faktycznie! To całkowicie zmienia postać rzeczy. W takim razie doskonale rozumiem, że wykorzystujesz nastolatki do handlu narkotykami i zajmowania się dziećmi, a sama wychodzisz na podryw. Trzymam kciuki za dalsze sukcesy!

- Boże, Mia, przecież to nie metamfetamina. To tylko trawka. Proszę cię, nie mów nic. Nawet Wyatt o tym nie wie. To nie jest żadna działalność. Wyatt by się na to nie zgodził. W naszym małżeństwie nigdy nie układało się za dobrze. Nie będę cię okłamywać, rzeczywiście przez wiele lat kochałam Lucasa, a Wyatt na pewno o tym wiedział. Nie wspominałam o tym, że Joanna dla mnie pracowała, bo potrzebowałam pieniędzy. Nie mogłam ryzykować, że stracę przechowalnię dla dzieci. Wyatt w ogóle nie radzi sobie z prowadzeniem interesów.

Przez krótką chwilę czułam wszechogarniającą mnie satysfakcję.

- Powiem o wszystkim policji, Carolyn. - Odwróciłam się do wyjścia.

Carolyn wstała tak gwałtownie, że ławka, na której siedziała, wywalila się z hukiem. Dzieci zamarły jak krasnale ogrodowe.

- Cóż, wygląda na to, że mając taką matkę, oboje wyrosliście na szajbusów - zaczęła ze zjadliwą ironią. Zignorowałam ją, ale szła za mną aż na podjazd. - Jeśli

pójdiesz na policję, pożałujesz.

Odwróciłam się do niej i zapytałam:

- Grozisz mi?

- A skąd niby wiedziałaś, że Joanna sprzedaje mój produkt, skoro nikt inny o tym nie wie? - spytała łagodnie, jakby mówiła o świecach zapachowych domowej roboty albo kocykach dla dzieci. - Nawet policja. Ale ty wiesz. Czyżby Lucas ci powiedział? Bo jeśli tak, to wygląda na to, że faktycznie musiał ją posuwać.

- Nie pogrywaj ze mną, Carolyn. Tu chodzi o życie mojego brata - odparłam, chociaż musiałam przyznać jej rację. Nie mogłam przecież zanieść pamiętnika Joanny na policję, więc to było słowo Carolyn przeciw memu.

- Jestem tylko ciekawa, kto ci uwierzy. Bo wiesz co? Powiem ci, co tu się dziś wydarzyło. Otóż znalazłaś jedną z ofiar Lucasa, bo sam ci o niej powiedział. Przyszłaś tu, żeby nakłonić ją do wycofania zeznań. Zaatakowałaś ją. I mam dziewięciu młodych świadków, którzy poprą moją wersję.

- W porządku, Carolyn. Zaprowadź na policję swoich przedszkolaków. Lepiej, żeby ich tu nie było, kiedy policja zacznie przeszukiwać twoją szklarnię.

- Mogę pozbyć się tego wszystkiego, zanim tu przyjadą, a Kira zrozumie, że nie chce być znana jako ta, która skłamała, prezentując się jako ofiara molestowania. Uwierz mi, wystarczy mi jedna rozmowa z nią, żeby została przy swoich zeznaniach.

Miałam ochotę rzucić się na Carolyn i powalić ją na ziemię, ale zobaczyłam dwójkę szkrabów uciekających za nią przez

otwartą furtkę. Wskazałam na nie palcem:

- Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek zostawia pod twoją opieką swoje dzieci.

Carolyn pobiegła za nimi i zagoniła do środka, po czym, jakby nigdy nic, wyprostowała się i zaczęła z nimi bawić.

- Powinnaś już iść. Jestem zajęta - zaczęła ironizować.

Posłałam jej sygnał „ćśś” i podeszłam bliżej.

- Tak przy okazji, po tym, jak Kira uciekła, nagrałam na komórkę całą godzinę, którą tu spędziłam. W tym czasie nikt nie opiekował się tymi dziećmi. Czy to przypadkiem nie jest zaniechanie obowiązków? - Niezły pomysł, dlaczego nie wpadłam na to wcześniej? - Nakłoń dziewczyny do odwołania zeznań albo pójdę z tym nagraniem na policję i zadzwonię do wszystkich rodziców twoich Kochanych Skarbów, żeby ich uświadomić, że opiekuje się nimi szesnastolatka, a ty w tym czasie zdradzasz męża.

- Jesteś nienormalna. - Obnażyła zęby w podłym uśmiechu.

- Lucas to zrobił. Zabił ją. Joanna szalała na jego punkcie.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

- Słyszałam, jak rozmawiali przez telefon.

- Masz dwadzieścia cztery godziny.

Odeszłam. Oczy piekły mnie od łez.

Moim kolejnym celem był dom Abby Peters. Z nosem w kierownicy czułam się jak dziwna krzyżówka niewydarzonego detektywa i Liama Neesona. Stworzyłam listę miejsc, gdzie chciałam pojechać. Taki obrałam plan. Kiedy zadzwoniłam (łatwo zdobyłam numer telefonu dzięki naiwności nastolatki, która zostawiła go na koncie na



Instagramie), okazało się, że matka Abby jest przeszczęśliwa, że może ze mną porozmawiać o Kathy.

- Ach, to ty! Wejdź do środka. Z tej baby jest niezła franca, możesz mi wierzyć.

(Okej, pamiętałam, że w tych stronach mamy regionalizmy i przeciągamy, ale bardzo się ucieszyłam, że jestem w stanie to wyłapać, bo to oznaczało, że sama na dobre się ich wyzbyłam).

Fakt, że jestem siostrą mordercy, raczej nie robił na niej wrażenia. Zdziwiło mnie to, aż wreszcie dotarło do mnie, że pani Peters jest starszą siostrą jednej z moich koleżanek ze szkolnych lat. Co też zaraz wyznała:

- Jestem Jenny, siostra Cheryl, pamiętasz?

- Pamiętam! Co nowego u Cheryl?

W Wayoacie był tylko jeden rodzaj dyskryminacji. Cheryl Fitz opuściła naszą paczkę kujonów w połowie drugiej klasy liceum, żeby przyłączyć się do szaleńczej walki o popularność. Nie skończyło się to dla niej dobrze. Po tym, jak wzięła udział w trójkącie z dwoma chłopakami na jednej z imprez, wszyscy zaczęli rozpowiadać, że „daje komu popadnie”. A my z otwartymi ramionami przyjęłyśmy ją z powrotem do klubu kujonek.

Jenny opowiedziała o losach Cheryl. Wyszła za mąż, przeniosła się do Bostonu i niedawno urodziła pierwsze dziecko, dziewczynkę. Nazwała ją Findlay. Ucieszyło mnie to.

- Jestem zaskoczona, że tu jesteś. To znaczy gdybym ja musiała przechodzić przez to, przez co ty teraz przechodzisz, pewnie bym zwinęła się w kulkę i umarła.

- Nie jest mi łatwo.

- Myślisz, że Lucas jest winny? - spytała, robiąc tak wielkie oczy, jakby zaraz miały wypaść jej z orbit. Już widziałam, jak za jakiś czas spotyka się z koleżankami i wygrywa bitwę na najlepsze ploteczki. „Nigdy nie zgadniecie, kto do mnie zajrzał. Siostra Lucasa Haasa! Możecie w to uwierzyć? Oczywiście! Nie mogłam jej o to nie zapytać!”.

Uświadomiłam sobie, że jeszcze nikt nie zapytał mnie o to wprost.

- Nie. Oczywiście, że nie.

Jenny czekała, aż powiem coś więcej, ale milczałam. Wyglądała na zawiedzioną.

- No cóż... Wejdz do środka. Akurat wstawiam gęsiarkę do pieca.

W tych stronach zawsze będzie to „gęsiarka”, nigdy „brytfanna”.

Kuchnia została niedawno wyremontowana i zupełnie nie pasowała do reszty dość zapuszczonego domu. Jenny posadziła mnie w sporym aneksie kuchennym i zdjęła z blatu w połowie puste opakowanie mrożonek.

Wytarła mokrą plamę po mrożonych kuleczkach ziemniaczanych, które trafiały na wierzch większości zapiekane robionych w Wayoacie, i wyrzuciła pustą puszkę po zupie grzybowej. Wypucowała granitowy blat na błysk. Chwaliła się kuchnią jak wspaniałym trofeum. Otwierała szafki, wysuwała szuflady, jednocześnie opowiadając. Taka cicha demonstracja, bo wszystkie elementy kuchni były wyposażone w mechanizm cichego i spowolnionego

zamykania.

- Teraz mój mąż nigdy nie wie, kiedy jestem na niego zła - zachichotała, po czym zaproponowała mi lemoniadę (była już gotowa, stała w lodówce).

Nie odmówiłam.

Dziewczyna, prawdopodobnie Abby, siedziała w salonie przed telewizorem. Nie zauważyła, że ktoś obcy się zjawiał, tak bardzo była skupiona na filmie nagrany przez rodziców, kiedy jako dziecko tańczyła w błyszczącym kostiumie na środku mocno oświetlonej sceny.

- Abby, wyłącz to i chodź do nas! - krzyknęła Jenny, po czym powiedziała do mnie szeptem: - Żadna szesnastolatka nie powinna żyć przeszłością.

Nadąsana Abby przyszła do kuchni. Wyglądała na cheerleaderkę. Opalona, drobna, o włosach w kolorze miodu spływających gęsto po plecach. Zauważyłam, że lekko utykała, kiedy siadała na krześle obok.

- To mi wygląda na poważną kontuzję.

- Kontuzję? - prychnęła Abby. - Pięć miesięcy temu Kathy Wilkes złamała mi kostkę w dwóch miejscach. Nie chodziłam do szkoły, miałam dwie operacje i możliwe, że czeka mnie jeszcze trzecia.

Przerywając sobie nawzajem, opowiedziały, co się stało. Któregoś wieczoru Abby i Joanna ćwiczyły z Kathy w szkole. Za dwa tygodnie miał się odbyć konkurs w Nowym Jorku. Kathy ułożyła choreografię dla obu, ale jak zwykle Joanna miała być tą lepszą, bardziej dystyngowaną. Shooting Stars to jedyna szkoła tańca w Wayoacie, a podopieczne Kathy

wygrywały kolejne konkursy, więc trzeba było się do niej dostosować. Tyle że tym razem solo Abby okazało się lepsze. To jednak nie wystarczyło. Wprawdzie Joanna nie wykonała takiej pracy, jaką powinna, ale nikt nie miał prawa wypaść lepiej niż ona.

Kathy powiedziała Abby, że powinna podczas lądowania po skoku skierować nogę do wewnątrz, mimo że Abby nie była przekonana do tego rozwiązania.

- Po jakichś pięćdziesięciu nieudanych skokach Kathy, która potrafi być bardzo surowa, kucnęła przy mnie, uniosła moją stopę i skierowała ją do wewnątrz, żeby pokazać, jak powinnam lądować. I wtedy usłyszałam ten trzask. To stało się tak szybko! Ledwie znalazła się obok, a ja już usłyszałam dźwięk pękającej kości. Krzyknęłam z bólu. Kathy twierdziła, że nawet mnie nie dotknęła, a wina jest moja, bo źle wylądowałam. Joanna powiedziała, że nic nie widziała, chociaż stała obok mnie i doskonale wszystko widziała. Jestem o tym przekonana.

Wyobraziłam sobie wielkie łapska Kathy na malutkiej stopie tej biednej dziewczyny.

- Kathy skomentowała to tylko swoim „A to klops! SpaghettiOs!” - powiedziała zrezygnowana Abby.

- A to klops! SpaghettiOs? - powtórzyłam za nią powoli. Zamrugałam, jakby ktoś spryskał mi twarz zimną wodą. Wszystkie moje mięśnie napinały się z każdą sylabą. „A to klops! SpaghettiOs”.

- To takie jej powiedzonko.

- Powiedzonko? - Głos mi się załamał, a żołądek

podskoczył.

- Tak. Powtarza to w kółko.

- Ale... jak często? - zapytałam zdenerwowana.

Abby spojrzała na mnie jak na idiotkę, po czym powiedziała wolno i wyraźnie, jakbym nie znała angielskiego:

- Ciąąągle! - i wzruszyła ramionami.

O mój Boże. Godzinami zastanawiałam się nad seksualnym podtekstem związanym z makaronem SpaghettiOs, ale nic nie przychodziło mi do głowy, oczywiście poza oczywistym porównaniem waginy do malutkich kóleczek makaronu. Ale wcale nie chodziło o waginę. Za wszystkim stała Kathy. Zaplanowała napaść na tle seksualnym na własną córkę, a skończyła z powiedzonkiem „A to klops! SpaghettiOs”. Czy Joanna o tym wiedziała? Obudziła się naga z makaronem na udach? A może chłopcy umyli ją po całej tej akcji? To była Kathy... Jasna cholera!

- Halo, Mia! Jesteś tu jeszcze? - Jenny zamachała mi ręką przed nosem.

- Tak, przepraszam. Czyli Kathy wyparła się wszystkiego?

- Złożyłyśmy pozew. - Jenny uderzyła dłonią w blat. - Żle się to wszystko potoczyło, przynajmniej w pewnym sensie. Abby była pewna, że uda jej się namówić Joannę, żeby złożyła zeznanie jako świadek, ale cóż... Ciągle muszę przypominać sama sobie, że mogło być gorzej. Ja przynajmniej dalej mam córkę - dokończyła ze łzami w oczach.

- Joanna bała się swojej matki? - zmieniłam temat. Nie czułam się komfortowo wśród ludzi, którzy płakali na

zawołanie w dowolnie wybranym momencie i miejscu. Skupiłam uwagę na Abby.

- Totalnie! Kathy kontrolowała całe jej życie. Joanna w ostatnich latach miała dużo kontuzji. Naciągnięty nadgarstek, skręcone kostki. Zawsze leczyła się u doktora Bernarda. Na początku myślałam, że chodziło o to, że Kathy za bardzo na nią naciska. Joanna wiedziała, że jej matka uwielbia rywalizację. Właśnie dlatego byłam wściekła na Jo, że nie wstawiła się za mną. Wiesz, jak to jest, często boimy się sami podnieść głos, ale wystarcza nam odwagi, żeby wstawić się za kimś innym.

Mruknęłam tylko „mhm”, bo nie miałam nic do dodania.

- Ale wtedy coś się stało.

- Co takiego?

- Odkryłam, że Joanna mogła sama sobie to robić.

- Co robić?

- Krzywdzić się. To było dziwne. Któregoś dnia, jeszcze przed moją kontuzją, Kathy wysłała Joannę po coś do jedzenia. Kathy zawsze pilnowała, żeby Joanna jadła, to była jej druga obsesja. Karmiła ją głównie koktajlami warzywnymi z nasionami chia albo rybą i warzywami gotowanymi na parze. Nazywała to zdrowym odżywianiem, ale sama na pewno nie przestrzegała tej diety i pewnie bała się, że Joanna stanie się taka gruba jak ona. Tak czy siak, Joanna powiedziała, że wyjdzie na chwilę na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza. Powiedziałam, że pójde z nią, ale najpierw chciałam skorzystać z toalety. Kiedy wyszłam, zobaczyłam, że Joanna leży na dole klatki schodowej i trzyma

się za kolano. Zobaczyłam też krwawą ranę. Powiedziała, że się potknęła, ale coś mi nie pasowało.

- Co masz na myśli?

- No wiesz, po pierwsze nie miała się o co potknąć, a po drugie nie była osiemdziesięciolatką, której wyskoczyło biodro. Więc niby jakim cudem spadła z tych schodów? No, po prostu spadła. Myślę, że lubiła te kontuzje i wiążące się z nimi przywileje. Przez jakiś czas nie musiała tańczyć, mogła zająć się sobą, a także spotkać z Dylanem. Oczywiście utrzymywali swój związek w tajemnicy, bo Kathy nie pozwalała Jo mieć chłopaka, nawet zanim znaleziono trawkę w jej szafce. Poza tym przez prawie cały czas brat ją niańczył.

- Niańczył?

- No, wszędzie za nią łąził, sprawdzał, czy była w szkole. Jeśli poszła na kawę, natychmiast pojawiał się w pobliżu. To było straszne, bez żadnej przesady.

- Jej brat nie pracuje?

- Skądże. - Jenny wybuchła śmiechem. - Może na pół etatu na kasie w sklepie, ale Ben balansuje na pograniczu funkcjonowania intelektualnego i kompletnej bezmyślności. Kathy zrobiła wszystko, żeby skończył szkołę razem z innymi. Oczywiście nikt jej się nie sprzeciwił, bo kto chciałby wojny z największym pracodawcą w mieście, prawda? Nasz spór z Kathy to jak historia Dawida i Goliata.

Przytaknęłam, rzucając Jenny pełne zrozumienia spojrzenie.

- Jo nawet nie przyszła mnie odwiedzić po pierwszej

operacji, wiesz? A musieli mi założyć śruby – kontynuowała Abby. – Tańczyłyśmy razem od przedszkola, a po napaści, bo my to nazywamy napaścią, zachowywała się, jakby mnie w ogóle nie znała. Za to jej młodsza siostra, Madison, pamiętała o mnie. Przyniosła mi kwiaty. Ona jest kochana. Ludzie mają o niej błędne wyobrażenie.

- Naprawdę?

- Raczej tak. Ale ona nie jest dziwna, tylko czasami trochę jej odbija. Ale Madison totalnie trzymała moją stronę. Wiesz, co powiedziała? Że Joanna mogła nawet poprosić matkę, żeby to zrobiła. Że Jo tylko zgrywa taką, która nie chce rywalizować, ale w głębi duszy nie mogła znieść tego, że moje solo było lepsze niż jej.

- Poprosiłyśmy Madison, żeby napisała oświadczenie pod przysięgą, ale powiedziała, że za bardzo się boi – dodała Jenny.

- Co ty nie powiesz! - Abby uniosła nogę o kilka centymetrów. - Madison ma szczęście, że nie ma talentu do tańca, dzięki czemu nie musi przejmować się Kathy. Jeśli Wielka Pani Kathy dostrzeże w tobie talent, zamienia się w okrutną zołzę. To jest najgorsze. Jeśli jest dla ciebie milutka, to znaczy, że uważa cię za beztalencie.

- Myślisz, że Joanna mogła poprosić matkę, żeby zrobiła ci krzywdę? - spytałam. Po lekturze jej pamiętnika wydawało mi się to nieprawdopodobne, tyle że jeśli pisała go tylko po to, żeby flirtować z Lucasem, z pewnością ukryła swoją mroczną stronę.

- Kiedyś zobaczyłam stopy Jo. Wyglądały jak kawał



mielonego mięsa. Palce u nóg miała powykęcane i całe w plastrach. Cały czas ćwiczyła. To wszystko przez Kathy.

- Myślisz, że Kathy mogłaby skrzywdzić Joannę?

Abby i Jenny zamilkły. Chyba przesadziłam, tak łatwo przechodząc od kontuzji do morderstwa.

- Nie, nie sędzę. Nie swoją młodocianą gwiazdę. Złamała nogę mojej córce, żeby zapewnić zwycięstwo Joannie. Wszystko kręciło się wokół niej, więc czemu miałaby... - zaczęła Jenny. Oblizła wargi. Ma już swoją plotkę: „Wiecie, o co wtedy zapytała? Czy Kathy to zrobiła! Możecie w to uwierzyć? A to wszystko dzieje się w naszym mieście!”.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - przerwała Abby. - Wszyscy mówili, że pan Haas to zrobił. No, może z wyjątkiem Josha Koltona, który twierdzi, że zabiła ją kucharka, ale ten chłopak jest cały czas zjarany. Ale może? Nie wykluczałabym tej możliwości. Skoro była zdolna zrobić mi to, co zrobiła, kto wie, czego można się po niej jeszcze spodziewać? Joanna nie chciała się przeprowadzać do Nowego Jorku, a taki był plan na jej przyszłość. Miała mieszkać razem z Kathy. I jeszcze coś. Joanna powiedziała mi kiedyś, że jej matka jest psycholką.

Abby zamilkła na chwilę, żeby słowo „psycholka” dobrze wybrzmiało. Musiałam się powstrzymać, żeby nie zacząć jej poganiać.

- Kiedy Jo miała jakieś dwanaście lat, Kathy robiła jej fryzurę na recital jazzowy, ale jak na gust Kathy Jo miała za dużo kudłów, więc wszystkie ostrzygła. Wzięła nożyczki krawieckie i zrobiła jej ohydny boba, jak od garnka.

W dodatku nierównego.

Przez chwilę czułam w palcach jedwabny pukiel włosów Joanny. Kathy zabiła swoją córkę, bo nie chciała już być jej małą gwiazdą tancerką. A może dlatego, że zaszła w ciążę?! Jeśli Madison znalazła test ciążowy w koszu na śmieci, Kathy też mogła się na niego natknąć. Nic dziwnego, że pochowano ją w ciągu dwudziestu czterech godzin od sekcji zwłok. To oznaczało, że jej ciało musiało zostać skremowane nie więcej niż kilka godzin po sekcji. Kathy chciała uniemożliwić ekshumację córki na wypadek, gdyby śledczy uznali, że w ten sposób mogą zdobyć jakiś dowód sugerujący winę Kathy. Może zapłaciła hokeistom, żeby upokorzyli Joannę i w ten sposób ją utemperowali, lecz kiedy to nie zadziało, a Joanna zaszła w ciążę, w Kathy coś pękło i wyładowała na niej emocje.

Nagle wszystkie szczegóły złożyły mi się w całość. To nie mogło być aż tak trudne. Kathy odwiedza pijanego dozorcę, może nawet przynosi mu w prezencie butelkę, a potem z przejęciem opowiada o tym, że jej młodsza córka często tu bywa. Dozorca traci przytomność, a Kathy wykrada klucz, otwiera drzwi i podkłada pamiętnik Joanny oraz pukiel włosów. Ale żeby to zrobić, musiałyby wiedzieć, że Lucas już nie wróci. A nie mogła tego wiedzieć, o ile sama nie zrobiłaby mu krzywdy. Tylko po co miałyby wrabiać Lucasa? Bo sypiał z Joanną? Może był to dla niej wystarczający powód. Był jednak mocny kontrargument. Pamiętnik i włosy znalazłam w jednej ze starych skrytek Lucasa. Kathy nie mogła jej znać, poza tym z pewnością podłożyłaby dowody

w bardziej widocznym miejscu, żeby na pewno trafiły w ręce policji. Chyba że uznała, że tak będzie bardziej wiarygodnie.

- I wiesz co? Nigdy nie wierzyłam w plotkę o tym, że pan Haas i Joanna spotykali się po kryjomu. Dziewczyny pchały mu się do łóżka i były gotowe dać mu wszystko, czego tylko zechciał, ale wszystkie odrzucał. Więc dlaczego miałyby ulec Joannie? Pan Haas dawał kosza ładniejszym od niej dziewczynom. Ja w dowolnym momencie pozwoliłabym mu się zaciągnąć do lasu, gdyby tylko nasza go na to ochota.

- ABBY! - Jenny zakrztusiła się lemoniadą. - Jak możesz mówić takie rzeczy? Czy on kiedykolwiek cię dotknął?

Nasza rozmowa dobiegła końca.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Skatepark w Wayoacie składał się tylko z niedużej, zniszczonej i wpuszczonej w ziemię misy. Mieścił się niedaleko pastwiska. W okolicy nie było parkingu, więc musiałam zostawić samochód przy drodze. Wiem, że postanowiłam nie brać dzisiaj żadnych leków, ale potrzebowałam czegoś na złagodzenie mrowienia, które czułam na całym ciele. Jutro niczego nie wezmę (tak, wiem, że to standardowy kit, który wciskali sobie wszyscy uzależnieni, ale ja naprawdę wiązałam nadzieje z jutrem). Popiłam tabletki ciepłą butelkowaną wodą i wyszłam z samochodu. W powietrzu unosił się ciężki zapach krowiego łąjna. Palacze marihuany przesiadywali w parku Dicksona lub skateparku, przynajmniej tak było za moich czasów. Postanowiłam, że najpierw zajrzę do skateparku. Trzech chłopaków krążyło wokół siebie na deskach w niecce. Obserwowały ich dwie dziewczyny. Siedziały na skraju niecki, dyndały nogami i na spółkę popijały cydr.

Kiedy podchodziłam bliżej, dziewczyny podniosły wzrok. Jedna z nich pomachała do mnie przyjaźnie.

- Jest z wami Josh Kolton? - zapytałam. To było mało prawdopodobne, ale co lepszego do roboty miały dzieciaki latem w Wayoacie?

Dziewczyna, mrużąc oczy, śledziła chłopaków jeżdżących w górę i w dół niecki. W końcu pokazała palcem na jej

środek, co nie było zbyt pomocne.

- Joshie! Masz kłopoty - krzyknęła druga z dziewczyn.

Josh wjechał na brzeg niecki i z wysokoku złapał deskorolkę w dłonie. Miał poczochrane włosy i mimo panującego upału nosił sztywno sterczącą wełnianą czapkę.

- Co tam? - Ruszył w moją stronę.

Przedstawiłam się jako siostra pana Haasa. Zauważyłam, że Josh kurczowo trzyma deskę pod kątem jak tarczę, która miała chronić go na wypadek, gdyby okazało się, że mordowanie uczniów Westfield jest u nas rodzinne.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale słyszałam, że widziałeś Joannę w dniu jej zaginięcia. Podobno była z kimś i nie był to mój brat. - Celowo nie wspomniałam o kucharce, chciałam to usłyszeć od Josha.

- Tak. Nikt mi nie wierzy, ale przysięgam, że widziałem ją wtedy z kucharką. Zostałem nawet zawieszony na trzy dni za niestosowne komentarze na temat kadry. Trzy słodkie dni wolności.

Zapytałam go, gdzie dokładnie wtedy stał, jak daleko był od Joanny. Dziewczyny zaczęły niecierpliwie pomrukiwać.

- Siedziałem przy jednym z piknikowych stołów. Najpierw zobaczyłem Joannę. Krzyknąłem do niej „Hej, Jojo!”. Odwróciła się i pomachała mi. Myślałem, że do mnie podejdzie, ale ruszyła w stronę lasu.

- Jesteś pewien, że to była Joanna? - zapytałam. Ławki były oddalone od ścieżki o dobrych parę metrów.

- Tak, pomachała do mnie.

- Co się działo później?

- Zacząłem szukać zapalniczki, żeby zapalić papierosa. Nie minęła minuta, kiedy zobaczyłem kucharkę wchodzącą na ścieżkę. Wydało mi się to dziwne, bo jeszcze nigdy nie widziałem jej w parku Dicksona. Była sama.

- Jak wyglądała? W co była ubrana?

- Nie pamiętam dokładnie, ale to musiała być ona. Jestem pewien. Potem Joanna zaginęła, jakby ta tłusta krowa ją pożarła - powiedział głośno i wyraźnie, składając dłonie w megafon, a na koniec wybuchając śmiechem. Ale po chwili spoważniał. - Widziałem kucharkę. Mówiłem o tym policji, ale uznali, że byłem pod wpływem marihuany.

- Ja ci wierzę.

- Naprawdę? - zapytał ożywiony.

- Tak - przytaknęłam. - Wierzę ci, że widziałeś ją z jakąś kobietą. Być może nie była to kucharka we własnej osobie, ale pewnie była to kobieta o tym samym wzroście i podobnej budowie ciała.

Z daleka Kathy można było wziąć za kucharkę. Jedyne, co się nie zgadzało, to kolor włosów. Kathy jest farbowaną blondynką, a kucharka brunetką. Jednak późnym popołudniem, kiedy się ściemniało, łatwo pomylić kolor włosów.

Ruszyłam w stronę samochodu, kiedy zobaczyłam parkującą za nim czarną ciężarówkę. Przyczaiłam się za bujnym krzakiem, sięgnęłam po telefon i wybrałam numer Garretta. Odezwała się poczta głosowa. Spróbowałam ponownie, ale z takim samym skutkiem. Nie byłam w stanie dostrzec numerów rejestracyjnych, bo tir zaparkował tuż za

moim samochodem, który zasłonił tablicę. Przerazona zostawiłam Garrettowi wiadomość.

- Garrett, tu Mia. Ktoś mnie śledzi. Nie jestem pewna, kto to, ale myślę, że Tom Geller. Kilka razy próbował zepchnąć mnie z drogi na pobocze. Wyślę ci zdjęcie jego ciężarówki.

Wystawiłam telefon między gałęzie i zrobiłam zbliżenie, ale tir był za daleko. Musiałam uchwycić tablicę rejestracyjną albo twarz kierowcy. Był tylko jeden sposób, żeby zdobyć wyraźne ujęcie. Wskoczyć z krzaków jak paparazzi, podbiec do ciężarówki, zrobić zdjęcie i zawrócić do skateparku, zanim kierowca mnie rozjedzie.

Trzymając telefon przed sobą, wybiegłam prosto na tira. Czułam, że serce podchodzi mi do gardła. Tłukło jak szalone, niczym skrzydła walczącego o życie insekta. Dojrzałam w kabinie mężczyznę pochylonego nad kierownicą w okularach przeciwsłonecznych i czapce z daszkiem naciągniętej na czoło. Wcelowałam w niego obiektyw telefonu. Tir błyskawicznie zawrócił i zostawiając tylko węzowate czarne ślady opon, z piskiem ruszył w dal, wypełniając powietrze zapachem palonej gumy. Rzuciłam się w pogoń za pojazdem (co było raczej przejawem głupoty niż odwagi) i próbowałam zrobić zdjęcie tablicom, ale wszystkie ujęcia były nieostre. Kierowca nie przestawał cofać.

Kilkaset metrów dalej ciężarówka stanęła. Chromowana kratownica odbijała blask zachodzącego słońca. Zrobiłam zbliżenie na tablicę rejestracyjną i kiedy miałam nacisnąć spust migawki, usłyszałam warkot silnika. Samochód ruszył z pełną prędkością. Prosto na mnie.

Zrobiłam kilka niezdarnych kroków w tył i wpadłam na swojego chryslera. Potknęłam się i prawie upadłam na ziemię. Xanax zaczął działać, i to ze zdwojoną siłą. Uderzył mi do głowy z mocą fajerwerków.

Fala niepokoju zablokowała zastrzyk adrenaliny i spowolniła mój czas reakcji. Ciężarówka nabierała prędkości. Dźwięk gwizdzącego jak czajnik klaksonu ogłuszył mnie. Zostałam zapędzona w kozi róg. Z kilkusekundowego ośpienia wyrwały mnie dzieciaki krzyczące z parku, żebym uciekała.

Na miękkich nogach przebiegłam na drugą stronę samochodu i dałam nura na asfalt. Skórę przedramion zdarłam o rozgrzany beton. Poczułam silny powiew wiatru, kiedy tir minął mnie i zjechał na pobocze. W powietrze wzbił się kurz. Zaczęłam się dusić i musiałam zasłonić oczy. Przeturlałam się na stronę pasażera i zanurkowałam pod podwozie. Przyłgnęłam do gorącego metalu i czekałam. Nie mogłam złapać tchu. Byłam pewna, że tir wróci i drugi raz spróbuje mnie potrącić albo z pełną parą wjedzie w mój samochód, który przewróci się i zmiażdży mi czaszkę. Mimo to nie ruszałam się z miejsca. Nasłuchiwałam dźwięku silnika i szczękania własnych zębów. Drżałam. Piekła mnie rana, krew rozlewała się po rękawie bluzki i kapiała na pył na drodze. W uszach słyszałam nieustający głośny pisk – ścieżkę dźwiękową do moich myśli. Omal nie zginęłam. Za cztery tysiące dolarów.

Zaczęłam powoli wysuwać się spod samochodu, kiedy zauważyłam coś dziwnego przyczepionego do podwozia.



Pudełeczko z pulsującą, małą, zieloną lampką. Kiedy je zdjęłam, dojrzałam napis:

### WŁASNOŚĆ WYDZIAŁU POLICJI WAYOATA

Pieprzony Garrett. Musiał je zamontować tuż po moim przyjeździe. Inaczej skąd by wiedział, że trzymam w samochodzie pudełko chusteczek higienicznych? Musiał w nim grzebać. Kiedy ja siedziałam w pokoju przesłuchań, wpatrując się w plakat o zaginięciu Joanny, Garrett poszedł na parking i zamontował w moim samochodzie lokalizator GPS. Przez cały ten czas mnie śledził. I wiedział, że jechałam na komisariat o trzeciej w nocy tamtego dnia. To dlatego miałam wrażenie, że czyta mi w myślach, kiedy mówił, że wyglądam na przytłoczoną. Pewnie dlatego nie zatrzymał mnie za ukrywanie informacji o ciąży Joanny, bo liczył na to, że któregoś dnia zaprowadzę go do Lucasa.

- Jasna cholera! Myślałem, że ten koleś cię zabije! - Josh Kolton podjechał na desce do mojego samochodu. Podskoczyłam ze strachu i uderzyłam się głową w podwozie. Przyczepiłam lokalizator na miejsce i powoli wyczołgałam się spod samochodu.

- Widziałeś, jakie miał numery rejestracyjne? - spytałam.

- No co ty! - Pokręcił przecząco głową. - Nie miałem szans, pędził jak szalony. Wszystko w porządku? Krwawisz. Rety, ale cię poturbował! Zadzwoń po kogoś?

- Wszystko w porządku, dzięki.

- Byłem pewien, że rozplaszczy cię na galarete. - Klasnął dłońmi. - Na pewno nie chcesz, żebym wezwał karetkę?

- Nie. Jak sam mówiłeś, tylko mnie poturbował. Nie

widziałeś nawet fragmentu numeru rejestracyjnego?

- Nie. Byłem za daleko. - Zmrużył oczy i spojrzał w stronę skateparku. Objechał mój samochód już trzy razy, ale nie przestawał jeździć, kiwając kudłatą głową.

Przejrzałam zdjęcia w telefonie. Wszystkie były nieostre. To, że miałam pękniętą szybkę ekranu, nie pomagało. Mimo to udało mi się dostrzec A i 7. Przynajmniej miałam Josha Koltona i jego upalone, opite cydrem koleżanki ze skateparku na świadków. Świadców, których nikt nie brał na poważnie.

Nagle oddzwonił Garrett.

- Rychło w czas - burknęłam.

- Co się dzieje?

- Co się dzieje? Właśnie otarłam się o śmierć! - Nagle cały stres i strach, które się we mnie nagromadziły, ustąpiły miejsca niekontrolowanemu wybuchowi płaczu.

- Gdzie jesteś? - zapytał.

Miałam ochotę odszczeknąć: „Naprawdę nie wiesz? Bo wydaje mi się, że wiesz doskonale”, ale stwierdziłam, że lepiej udawać, że nie mam pojęcia o lokalizatorze, bo może mi się to kiedyś przydać.

- Przy skateparku.

- Zaraz tam będę.

Garrett przyjechał na sygnale w ciągu kilku minut. Rzucił okiem na moje ramiona, po czym wyciągnął apteczkę z bagażnika i kazał mi usiąść w radiowozie na miejscu pasażera.

- Najpierw zajmijmy się tym. Wyprostuj ręce - powiedział, a ja posłuchałam się. Ukłękł przede mną i polał

przedramiona spirytusem. Do oczu naszły mi łzy. Pęsetką oczyścił rany z kawałeczków żwiru. Nie opuszczał mnie na krok i poszeptywał:

- Już prawie skończyliśmy.

Czułam jego oddech na moich ramionach.

- Jesteś bardzo odporna na ból - zauważył.

- Chyba tak.

Garrett spojrział na mnie. Najpierw na usta, a potem w oczy. Poczułam ścisk w żołądku, bo wystraszyłam się, że mnie przejrzał i zaraz zapyta, czy zażywałam dzisiaj jakieś leki lub spożywałam alkohol.

- A teraz powiedz mi, co się stało. - Wrócił do opatrywania ran, a ja opowiedziałam mu wszystko. Na końcu zapytał: - A tylna szyba? To też sprawka kierowcy tira?

Wyjaśniłam mu, co się stało. Opowiedziałam, jak Tom Geller stłukł szybę mojego coraz bardziej sponiewieranego PT cruisera, a potem rozwalił się na nim jak modelka z kalendarza samochodowego. I jak wyławiał z kałuży moje dwudziestodolarówki.

Garrett przerwał na chwilę zajęcia medyczne, żeby przejrzeć zdjęcia w moim telefonie. Rozjaśniał i przyciemniał ekran, przybliżał i oddalał zdjęcia, żeby dobrze im się przyjrzeć. W końcu oddał mi telefon.

- Możesz przesłać mi je mejlem? Chłopak, który pracuje w naszym dziale IT, powinien coś z nich wyciągnąć. Czy to był ford? Na zdjęciach wygląda na forda.

- Nie wiem. Wiem tylko, że to była kurewsko wielka ciężarówka.

- Umieszczę to w protokole - oznajmił, po czym wyszczerzył zęby i dodał: - Kurewsko wielka ciężarówka. - Zgromiłam go wzrokiem, a on znów zamienił się w medyka.

- Mam dla ciebie dobre wieści - dodał po chwili. - Dziewczyny, które oskarżyły Lucasa o molestowanie seksualne, wycofały swoje zeznania. Zadzwończyły prawie w tym samym czasie, wybąkały, że się wycofują, i rozłączyły się. Dziwna sprawa. Nie maczałaś w tym palców, prawda?

- Niby jak? Tak czy inaczej, sam już widzisz, że Lucas jest niewinny!

Wszystko wskazywało na to, że Carolyn się wycofała. Widocznie bardziej zależało jej na sprzedaży marihuany niż na tym, żeby mój brat cierpiał. Całe szczęście, że marihuana świetnie sprzedaje się wśród młodzieży licealnej.

- Czy w takim razie będziecie szukać nowych podejrzanych?

- Siedź spokojnie. To nie działa w ten sposób. Musimy ustalić, czy te dziewczyny kłamią teraz, czy kłamały wcześniej. Ale oczywiście to, że wycofały zeznania, działa na korzyść Lucasa.

- Nie kłamią! To znaczy kłamały wcześniej! Teraz mówią prawdę. Lucas ich nie molestował. Omal nie zostałam zabita. To musi mieć jakiś związek. Musi! Może to nie Tom Geller, tylko ktoś inny? Nigdy nie widziałam twarzy kierowcy. Jestem coraz bliższa odkrycia prawdy, ale ktokolwiek to był, chciał mnie zabić.

- Mio, przestań się wiercić. Sprawdziłem to. Tom Geller ma czarną ciężarówkę, forda. Niewątpliwie to on próbuje

wymusić na tobie spłacenie długu Lucasa. Jesteś dla niego ważna, bo kiedy Lucas pójdzie do więzienia, tylko ty będziesz w stanie mu zapłacić.

Wyrwałam się, pięseta sterczała mi z ramienia. Zaklełam pod nosem.

- Przepraszam. Chciałem powiedzieć „jeśli Lucas okaże się winny”. Jeśli.

- Wcale nie chciałeś.

- A co ty tu w ogóle robiłaś? - Odsunął się, jakby chciał mi się lepiej przyjrzeć. Zmrużył oczy, analizując moją twarz.

- Chciałam porozmawiać z Joshem Koltorem, usłyszeć jego historię.

- Ach tak. Znowu kucharka. - Przewrócił oczami i zaczął owijać rany bandażem. - Przecież mówiłem ci, że ma alibi.

- A wiedziałaś, że ulubionym powiedzonkiem Kathy Wilkes jest „A to klops! SpaghettiOs”?

- Nie - odparł zaskoczony. - Nie miałem pojęcia. Nigdy nie słyszałem, żeby tak mówiła. - Zamknął apteczkę z trzaskiem.

- Teraz już wiesz. Podobno powtarza to w kółko. Garrett, wydaje mi się, że Kathy zaaranżowała napaść na swoją córkę.

Skrzywił się, po czym wstał.

- Nie bardzo umiem sobie wyobrazić, żeby jakakolwiek matka chciała seksualnie upokorzyć swoje dziecko. Po co miałyby to robić?

- Myślę, że chciała ją zmanipulować. Myślę, że Joanna zaczynała się jej sprzeciwiać. Miała inne plany na przyszłość, nie chciała już tańczyć. Kathy postanowiła ją nastraszyć,

pokazać jej, że świat staje się bardzo okrutny dla tych, którzy opuszczają rodzinne gniazdko.

Garrett pokręcił przecząco głową.

- Musiałabyś mnie długo przekonywać, żebym uwierzył, że zrobiła to Kathy Wilkes. Bardzo długo. Przecież skoro to było powiedzonko Kathy, Joanna łatwo by się domyśliła, że zrobiła to jej matka. Dlaczego w takim razie nie zwinęła żagli, nie uciekła gdzieś dalej?

- Może to była groźba, żeby utrzymać ją w ryzach.

- Mio, to nie mogła być Kathy. Ci chłopcy zrobili to, co zrobili, i to oni powinni ponieść karę. Cała historia o tym, że ktoś chciał im zapłacić, przyklejał pieniądze pod ławki... To po prostu bujdy. Opowiadali to tylko po to, żeby uniknąć odpowiedzialności za swoje czyny. Dwójka z tych chłopaków ma młodsze siostry, które, jak większość tutejszych dziewcząt, zapewne przewinęły się przez szkołę tańca Kathy. Może któregoś dnia jedna z nich powiedziała w domu „A to klops! SpaghettiOs”, co podsunęło chłopakom pomysł. Kto wie? Ale to były tylko ich chore fantazje na temat dobrej zabawy.

- Cody powiedział, że dostali mejla w tej sprawie.

Garrett westchnął. Zaczynał tracić cierpliwość.

- Wiem, co Cody powiedział. Ale jeśli ten mejl naprawdę istnieje, w co szczerze wątpię, i tak byśmy do niego nie dotarli, bo od czasu zaginięcia Joanny Jesse Campbell trzy razy zmieniał komputer.

- A nie możecie sprawdzić komputera Kathy?

- Nie będę tego robił, Mio.

- Nawet nie weźmiesz tego pod uwagę?

- Nie - odparł, patrząc mi w oczy.

Byłam na skraju płaczu. Chciałam mu powiedzieć o wszystkim, co przeczytałam w pamiętniku Joanny. O jej frustracji i tłumionych uczuciach. Chciałam powiedzieć o tym, że moim zdaniem to Kathy Wilkes zamordowała swoją córkę, a nawet wrobiła mojego brata. Było już tyle poszlak, które wskazywały na nią. Przecież Garrett dostał telefon i dobrze wiedział, co Kathy zrobiła swojej córce. Ale nie mogłam tego zrobić, jeszcze nie teraz. Najpierw muszę przekonać Garretta, żeby potraktował Kathy jak podejrzaną. Przez moment pomyślałam o Vanessie Lee, tej dziennikarce. O jej polowaniach na kontrowersyjne tematy.

Wzięłam głęboki wdech i spytałam:

- Często tam bywasz? U Wilkesów.

- Bywałem. Ta rodzina wiele przeszła, więc starałem się ją wspierać. Czuję się trochę lepiej, gdy wiedzą, jak bardzo się staramy, żeby znaleźć zabójcę Jo. To naprawdę miła rodzina, Mio. - Spojrzał na mnie z ukosa. Wiedziałam, że nie chce znowu wchodzić w dyskusje z serii „Lucas jest niewinny”.

Postanowiłam zmienić temat i zapytałam o incydent z bankomatem.

- Wciąż czekamy na filmy z kamer pobliskich sklepów. A skoro już o tym mowa, powinienem iść. Muszę spisać zeznania dzieciaków ze skateparku, zanim znowu zapalą trawkę i wszystko zapomną. Obiecuj, że pojedziesz do domu odpocząć. Zajmę się Gellerem.

- Dobrze, pojedę - skłamałam.

Pół godziny później, kiedy chodziłam alejkami Home Depot w poszukiwaniu narzędzi, które umożliwią mi włamanie, zadzwonił Garrett.

- Ciężarówka Toma Gellera nie pasuje do tej ze zdjęć. Nie ma metalowej kratownicy z przodu. Oczywiście mógł wynająć kogoś innego, żeby cię nastraszył, ale na tym etapie nie możemy go aresztować. Będę szukał dalej. A ty unikaj jazdy samochodem.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dawniej bez przerwy łamałam prawo. Ze zwinnością magika podbierałam tabletki z ambulatorium, nie dając się złapać kamerom ani współpracownikom. Podkradanie leków nieostrożnym rodzicom koleżanek ze szkoły było łatwizną, której niełatwo się oprzeć. Nikt przecież nie przelicza lekarstw. A nawet kiedy zauważali braki, zawsze zwalali to na kiepską pamięć: „Może w zeszłym tygodniu wzięłam podwójną dawkę?”. Albo i lepiej - winą obarczano kogoś innego, na przykład nadpobudliwego kuzyna, który podejrzanie długo przesiadywał w łazience. Wątpię, żeby kiedykolwiek rodzice podejrzewali o to cichą ciemnowłosą koleżankę córki, wzorową uczennicę, która wpadła w weekend w odwiedzin.

Ale to?

To było zupełnie co innego.

Podjechałam pod gabinet swojego lekarza pediatry. Zaparkowałam w bocznej uliczce.

Joanna i ja (a co za tym idzie, również Lucas) chodziliśmy do tego samego lekarza. Doktor Bernard był typowym lekarzem z małego miasteczka. Przyjacielskim, uważnym, z dobrym podejściem do pacjenta i zbyt naiwnym. Ukradłam mu pierwszy bloczek na recepty, kiedy byłam w college'u. Podczas pierwszego powrotu do domu na Święto Dziękczynienia poszłam do niego, symulując katar.

Pełnoletność miałam osiągnąć dopiero 30 listopada, a w tych częściach kraju dopóki nie ukończy się osiemnastu lat, ze wszystkimi problemami chodzi się do pediatry (by raz na zawsze pożegnać się z dzieciństwem i powitać poczekalnie dla dorosłych). Rok w rok po niezręcznym badaniu piersi, podczas którego sztywno wpatrywałam się w ściennie naklejki z Kubusiem Puchatkiem i w myślach przeklinałam Mimi, przepisywał mi tabletki antykoncepcyjne, a ja piekłam raka. Na koniec doktor Bernard z przepaszającym uśmiechem wręczał mi lizaka. Byłam pewna, że nadal nie założył elektronicznej bazy danych, a gdy ktoś próbował go do tego namówić, wszczywał awanturę. A pacjentom z czarującym uśmiechem mówił: „Skoro mój system działa, po co go naprawiać?” albo „Jestem lekarzem od czterdziestu lat i przez cały ten czas nie potrzebowałam mejla”. Przynajmniej na to liczyłam.

Liczyłam też na to, że centrum zdrowia w Wayoacie posiadało tylko kopię jej akt, a oryginał został zatrzymany przez policję. Istniała też szansa, że nie mieli żadnych akt i zostaną aresztowana, szukając czegoś, czego nie ma. Wtedy już nikt nie uratuje Lucasa, a ja zostanie uznana za wariatkę, nieodrodną córkę Mimi.

Wysiadłam z samochodu cała w nerwach. Czułam się, jakby obserwowało mnie tysiąc kamer. Taka kryminalna trema.

Przynajmniej pamiętałam, żeby zostawić lokalizator GPS w mieszkaniu. Przymocowałam go do podgrzewacza do silnika. (Kiedy byłam w college'u, musiałam tłumaczyć

znajomym ze stanów, w których panował łagodniejszy klimat, że kiedy mówiłam o podłączaniu, nie miałam na myśli odświeżaczy powietrza Ambi Pur, bo w Dakocie Północnej NAPRAWDĘ trzeba na noc podłączać samochody do podgrzewaczy, bo inaczej silnik zamarźnie. Podgrzewacze wynalazł zresztą mieszkaniec Grand Forks, co chyba nikogo nie dziwi). Kolejne piętnaście minut oglądałam na YouTube filmy instruktażowe, jak otworzyć zamek wytrychem. Najłatwiejsza wydawała się technika nazywana bumpingiem: wkładało się klucz w zamek, po czym uderzało w niego rączką śrubokrętu i w jakiś cudowny sposób (przewinięłam nudne opisy techniczne) można było przekręcić klucz i otworzyć drzwi. Uzbrojona w śrubokręt stanęłam pod wejściem do kliniki doktora Bernarda i wyjęłam pęk kluczy. Tylko klucz do mojego mieszkania jako tako pasował. Wzięłam głęboki wdech. Czułam się, jakbym stała na skraju urwiska. Rozejrzałam się po raz setny i w końcu podniosłam rękę i walnęłam w klucz śrubokrętem. Zrobiłam to oczywiście o wiele za mocno, bo mój klucz się złamał. Złamana część, stukocząc, zniknęła w bocznej uliczce.

Kurwa mać! I co ja teraz zrobię?

Zobaczyłam okno.

Dobrze, że wzięłam również ciężką metalową latarkę, tak na wszelki wypadek. Podjechałam bliżej budynku, wspięłam się na maskę samochodu i uderzyłam latarką w szybę gabinetu, licząc na to, że rozbije się w drobny mak. Ale usłyszałam tylko głuchy łomot. Zupełnie nie jak na filmach. A może jestem za słaba? Z odwróconą głową, ślizgając się na

masce jak na lodowisku, zrobiłam jeszcze trzy podejścia, zanim mi się udało. (Wyobraziłam sobie, że spadam na ziemię, tracę przytomność i budzę się jako gwiazda filmu o włamywaczach-nieudacznikach. „Czemu, ach czemu nie włożyłam kominiarki?”).

W końcu chwyciłam latarkę w obie ręce jak kij bejsbolowy. Dopiero wtedy udało mi się rozbić szybę. Sięgnęłam do środka i otworzyłam okno, na co w pomieszczeniu rozległo się wycie. No tak, uruchomiłam alarm! Jak mogłam być tak głupia, żeby tego nie przewidzieć? Miałam zaledwie pięć minut. Musiało wystarczyć.

Najpierw wsunęłam głowę do środka. Wchodząc, zaplątałam się w zakurzone, aluminiowe żaluzje.

Wyszłam z gabinetu. Ogarnęła mnie ciemność. Moje naczynia krwionośne zwęziały się z każdym kolejnym dźwiękiem syreny alarmowej. Czułam, że blednę, że zaraz zemdleję. Kręciło mi się w głowie. Panikowałam. Nie wiedziałam, w którą stronę iść.

W prawo czy w lewo? W lewo. Weź się w garść, do cholery. Nie daj się tu złapać jak głupi jeleni wpatrzony w światła pędzącego samochodu.

Akta.

Zabierz akta i uciekaj.

Teraz, natychmiast!

Ruszyłam korytarzem.

Dobiegłam do recepcji, gdzie stała olbrzymia szafa z aktami.

Tak mocno pociągnęłam za szufladę z literą „W”, że cała

szafa zadrżała. Znalazłam. Wilkes, J. Upchnięte między o wiele cieńszymi aktami Bena i Madison. Włożyłam teczkę pod pachę i już miałam pobiec do okna, ale zajrzałam do poczekalni. Ku mojemu zaskoczeniu wielka kartonowa linijka, przy której tyle razy mierzyliśmy się z Lucasem, wciąż wisiała na swoim miejscu. Matka zawsze dodawała Lucasowi kilka centymetrów, żeby czuł się lepiej, chociaż wystrzelił w górę dopiero po skończeniu szesnastu lat.

Wybiegając, zwinęłam jeszcze bloczek na recepty i garść lizaków.

Zatrzymałam się przy kontenerze na śmieci obok McDonalda i obserwowałam przejeżdżający samochód policyjny oświetlony czerwono-niebieskim światłem syreny. Nie chciałam, żeby mnie zauważyli, jak odjeżdżam spod kliniki. Lampka samochodowa i żółty neon restauracji wystarczyły, żeby na szybko przejrzeć akta Joanny. Nie znalazłam niczego nietypowego. Przeziębienia, ospa, złamana ręka, kiedy miała siedem lat. Aż do niedawna. Dwa lata temu wszystko zaczęło się zmieniać. Narzekania na bóle brzucha zdiagnozowane jako zespół jelita drażliwego, zwichnięcia kostek i nadgarstków. Naciągnięte ścięgno, pęknięta kość promieniowa. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy dwa razy zwichnęła nadgarstek i trzy razy kostkę.

Poza złamaniami większość schorzeń mogła symulować, chociaż byłam pewna, że Kathy by się w tym połapała. Trzeba być mocno zdeterminowanym, żeby udawać ból, pamiętać o utykaniu na jedną nogę czy upierać się, że nie ma się siły, by otworzyć słoik z masłem orzechowym, i prosić

o pomoc. Coś takiego działałoby Joannie na nerwy - przy jej nienawiści do matki na pewno nie chciała być od niej aż tak zależna. Kathy za każdym razem zawoziła ją do lekarza. Wierzyła jej, bo to ona robiła jej krzywdę. Nawet nie próbowała się kryć, unikając lekarzy. Joanna musiała wyzdrowieć, jeśli miała tańczyć i wyjechać z Kathy do Nowego Jorku.

Wreszcie po około piętnastu minutach droga była wolna. Powiedziałam to na głos:

- Droga wolna - po czym zaśmiałam się do samej siebie głośno i dziwnie jak hiena. Zaczynałam majaczyć. Potrzebowałam snu. Prawdziwego snu.

Już miałam wjechać na parking, kiedy dostrzegłam czarną ciężarówkę niedaleko miejsca Lucasa. Przejechałam wjazd i schowałam się na jakimś podjeździe. Skuliłam się na siedzeniu i przygryzłam wargę. Przestraszyłam się, że kierowca mnie zauważył, ale światła w tirze wciąż były wyłączone.

Patrząc w lusterko, połknęłam dwie tabletki vigilu, leku na narkolepsję, żeby być przytomna i świadoma. „Popiłam” ją arbuzowym lizakiem. Postanowiłam, że będę tu czekać, aż ten drań się podda. Potem będę go śledzić i zadzwonię do Garretta.

Dwie godziny później w tirze zapaliły się światła. Reflektory na dachu kabiny wyglądały w ciemnościach jak dwie błyszczące pinezki.

Śledziłam tira, zachowując bezpieczną odległość. Kiedy wyjechaliśmy z Wayoaty, już wiedziałam, dokąd zmierzamy.

Ciężarówka zatrzymała się pod parterowym domem z cegły z czterema garażami. Na podjeździe wisiała tabliczka z napisem TEREN PRYWATNY, a tuż obok WITAMY W DOMU WILKESÓW.

Przy drodze stały cztery furgonetki stacji telewizyjnych i radiowych. Wyglądały na puste.

Zaparkowałam obok trzech motorówek jet ski na przyczepach. Wyłączyłam silnik. Drzwi tira otworzyły się i Big Ben wysiadł z kabiny kierowcy. Schowałam akta Joanny pod dywanikiem. Wysiadłam i napędzana wściekłością wrzasnęłam:

- Czemu mnie śledzisz, do cholery?

Poczułam drżenie rąk. Efektami ubocznymi zażywania vigilu są nudności, dreszcze, zachowania agresywne i przyspieszone bicie serca. Nagle poczułam wszystkie na raz.

- To teren prywatny. Nie możesz tu być - odkrzyknął Ben, otwierając szeroko oczy, zaskoczony siłą swojego głosu. Jego długie ramiona zwisały jak u goryla.

Na werandzie zapaliło się światło i zobaczyłam Kathy.

- Ben, czy to ty? - zapytała. Jej głos nabrał siły niesiony wiatrem, ale po chwili umilkł zagłuszony szumem gałęzi drzew posadzonych w rzędzie wzdłuż podjazdu.

- Tu jestem, mamó - odparł, po czym odwrócił się ode mnie. Mruknął coś tylko, jakby chciał powiedzieć: „No to się doigrałaś”.

Kathy wyszła do nas. Miała na sobie różowy szlafrok, który powiewał na wietrze jak żagle.

- Kto tam jest?

- Ta pani - powiedział, i zabrzmiało to, jakby mówiło dziecko. „Ta pani”? Tak po prostu? Jakby nie miał pojęcia, kim jestem. Jakby nie siedział mi na ogonie od tygodnia.

Kathy ruszyła do nas schodami, była boso.

- Co ty sobie wyobrażasz? Jak śmiesz nachodzić mojego syna w naszej posiadłości? - ryknęła, zawiązując szlafrok na podwójny supeł. - Ben, dzwoń na policję. Natychmiast.

Ben posłusznie wyjął telefon. Jego pucułowata twarz w sztucznym blasku ekranu wyglądała demonicznie.

- Tak, dzwoń na policję. Twój syn omal mnie dzisiaj nie zabił. Wciąż mnie śledzi, a ja chciałabym wiedzieć dlaczego.

- Dlaczego? Ona się pyta dlaczego? - Uśmiechnęła się szeroko, jakby mówiła do publiczności zgromadzonej na trawniku przed domem. - Co ty sobie wyobrażasz? My tylko chcemy dowiedzieć się, gdzie jest ta kanalia twój brat i wymierzyć sprawiedliwość.

- Jestem tu z tego samego powodu. Gdzie jest mój brat?

- Słucham? - spytała Kathy.

- Wiem, co zrobiłaś - powiedziałam. Na twarzy poczułam rozwiane wiatrem włosy.

- Tak? Co takiego zrobiłam? - Wzięła się pod boki i wykrzywiła usta w pełnym zdziwienia uśmiechu. Przelotnie spojrzała na mnie, a potem na Bena. Jej twarz drgnęła miotana jakąś niezrozumiałą dla mnie emocją.

- Sprawiedliwość jest chyba trochę bliżej domu, niżbyś chciała, Kathy.

- Co to ma niby znaczyć?



- Dobrze wiesz, co to znaczy. To tylko kwestia czasu, kiedy policja poskłada w całość elementy tej układanki.

- O czym ty mówisz? A zresztą co mnie to obchodzi? Jesteś szurnięta jak cała twoja rodzina. Wszyscy w Wayoacie dobrze o tym wiedzą. Założę się, że jesteś taka sama jak twoja matka. Dziwka w wielkim mieście. Wszyscy jesteście zboczeńcami. Trzymaj się z dala od mojej rodziny. Mam nadzieję, że twój brat smaży się w piekle.

Mrugnęłam, próbując powstrzymać łzy wściekłości.

- Jak to jest znęcać się nad własną córką? Założę się, że sprawiało ci to przyjemność.

- Coś ty powiedziała? - rzuciła Kathy z pełnym grozy spokojem. Minęło kilkanaście sekund, po czym ruszyła na mnie i uderzyła mocno w brzuch. Straciłam oddech i upadłam na wilgotną trawę, nie czując sił w nogach. Jej szlafrok rozwiązał się, eksponując wykończoną koronką koszulę nocną. Kątem oka dostrzegłam tatuaż z motylem zdeformowany przez gwałtowne przybranie na wadze. Zieleń wzoru była zbyt intensywna, kojarzyła się z błotnym stawem. Jej kok rozplątał się i włosy opadły na twarz. W świetle świateł z ganku wyglądała jak Meduza w koronie.

Uderzyła mnie w szczękę tak mocno, że zobaczyłam gwiazdy. Moje zęby zadzwoniły jak drobne w kieszeni. Udało mi się wyswobodzić lewą rękę i zablokować kolejny cios. Wyślizgnęłam się jej i udało mi się odczołgać na bok, ale nagle poczułam silny ból w ramionach, a Kathy wykorzystała ten moment, żeby złapać mnie za nogi. Kopnęłam i musiałam ją trafić, bo mnie puściła. Udało mi się wstać, ale wtedy

pojawił się Big Ben. Popchnął mnie z powrotem w stronę matki. Kathy podeszła od tyłu, objęła za szyję i zaczęła ściskać. Ben patrzył na nas obojętnie, jakby takie widoki były dla niego chlebem powszednim. Czułam na sobie ciepły, wilgotny oddech, kiedy Kathy szeptała mi do ucha:

- Ty szmato, ty cholerna szmato.

Zaczęłam się dusić. Kopałam na wszystkie strony. Czułam, jak żyły na szyi pęcznieją od krwi i pulsują. Oczy spowiła ciemność, jakbym znalazła się pod wodą. Światło na werandzie iskrzyło niewyraźnie. Czułam, że zaraz stracę przytomność. Nagle dostrzegłam, już po raz drugi tego dnia, niebiesko-czerwone światła. Kathy rozluźniła uścisk, a ja upadłam na ziemię. Desperacko próbowałam nabrać powietrza w płuca, wbijałam paznokcie w ziemię.

- Co tu się dzieje? - krzyknął Garrett, wybiegając z samochodu.

Kathy odpowiedziała coś, ale nie dosłyszałam jej słów ogłuszona własnym kaszlem. Garrett chwycił mnie pod pachami i pomógł wstać.

- Wszystko w porządku? Mam wezwać karetkę? - zapytał.

Pochyliłam głowę, próbując złapać oddech.

- Z nią to na pewno, uwierz mi - usłyszałam głos stojącej za mną Kathy. Powiedziała, że pojawiłam się znienacka w środku nocy, zapukałam do jej drzwi, a kiedy otworzyła, zaatakowałam ją. Ona tylko próbowała się bronić.

- To ona mnie zaatakowała! - wybełkotałam. Kątem oka dostrzegłam podskakujące lampki. Kamery. Świetnie. - Ile nakręciliście? Nakręciliście wszystko? - krzyknęłam w stronę

kamer, ale nie dostałam odpowiedzi.

Mąż Kathy, Ian, wybiegł przed dom i stanął przy jej boku. Wyglądał, jakby nie miał oczu, bo okulary odbijały światła radiowozu. Objął ją ramieniem i Kathy zaczęła popłakiwać. Pochyliła się, żeby schować głowę w piersi męża. Nagle stała się strasznie delikatna, wzruszający obraz pogrążonej w żałobie żony i matki. Kobieta, która przed chwilą dusiła mnie i wyzywała od szmat, nagle zniknęła. To wszystko było na pokaz.

Poczułam przeszywającą złość i zacisnęłam pięści.

- Przecież ona próbowała mnie zabić. Jej syn też próbował mnie zabić. To oni. Oni zabili własne dziecko i porwali Lucasa.

- Wynoś się stąd natychmiast! - ryknął Ian, mały człowieczek z głosem jak dzwon.

Garrett poświecił mi w twarz małą latareczką.

- Co ty tu w ogóle robiłaś?

- To on mnie śledził. To Ben Wilkes mnie dzisiaj potrącił. Popatrz, jego ciężarówka tam stoi. To ta sama, którą widziałeś na zdjęciach. Oni mnie śledzili!

- Co brałaś? Twoje źrenice są cienkie jak główki od szpilek.

- Chryste, nic nie brałam! - Garrett spojrzał na reporterów i z powrotem na mnie, a ja zawodziłam dalej: - Nie wierzysz mi, prawda? Mój brat pewnie tu jest pochowany w piwnicy, a ty ich wspierasz. Wrobili mojego brata, żebyście uznali go za winnego tylko po to, żeby im się upiekło! - Niemal to wykrzyczałam, żeby reporterzy mnie usłyszeli.

- Nie rób tego, Mia. - Złapał mnie mocno za nadgarstek.

Drgnęłam z bólu, a Garrett zaczął prowadzić mnie do radiowozu.

- Co, do cholery? Puść mnie, Garrett!

- Jeśli się natychmiast nie uspokoisz, tylko pogorszysz sprawę.

- Puść mnie. Co ty wyprawiasz?

Zignorował mnie, a reporterom powiedział - było ich już czterech - żeby się odsunęli. Odsunęli? Dlaczego kazał im iść?

- Aresztujesz mnie?

- Po prostu wsiadaj. - Otworzył drzwi radiowozu i wepchnął mnie do środka, trzymając rękę na mojej głowie. Drzwi zatrzasnęły się z tępym hukiem. Spróbowałam je otworzyć, ale były zamknięte. Wokół roіło się od reporterów.

Jak szalona zaczęłam walić w szybę.

- To ona mnie zaatakowała! Kathy mnie zaatakowała.

Kamerzyści (i jedna kamerzystka) na przemian celowali we mnie kamerami. Białe światła zalewały tylne siedzenie samochodu, a ja czułam się jak zwierzę w zoo.

- Może pani powtórzyć? Co się stało?

Próbowałam przez szybę wyjaśnić, co się stało, ale reporterzy zadawali pytania jeden przez drugiego i nie słyszeli nic z tego, co odpowiadałam. Nie mieli pojęcia, o czym mówię. Po kilku minutach stracili zainteresowanie. Zaczęli pytać o Lucasa, a ja przestałam im odpowiadać. Wtedy ruszyli w stronę Garretta i Wilkesów, którzy rozmawiali przed domem. Wstawało słońce, niebo spowiła różowo-fioletowa łuna - kolor kilkudniowego siniaka. Przed

domem Wilkesów przemknął jakiś cień. To Madison. W czarnym kapturze huśtała się na huśtawce stojącej na werandzie niezauważona przez nikogo.

Garrett poklepał Kathy po ramieniu. Cały czas przytakiwał. Ben coś powiedział i bezradnie rozłożył ręce, przyjmując pozę z serii „Nie mam pojęcia, o co tu chodzi”. Kathy ponownie wtuliła głowę w pierś męża.

Garrett raz po raz popatrywał na reporterów. Trzymał ręce na biodrach, był odrobinę zbyt pewny siebie. Pozował do kamer. Właśnie aresztował siostrę domniemanego mordercy, która zaatakowała matkę w żałobie. Wreszcie miał swój przełom. Wreszcie przyćmi Prudena i przejmie stery. Na kolejnej konferencji to on będzie stał na podium i odpowiadał na pytania dotyczące agresywnej siostry bliźniaczki Lucasa Haasa. Oparłam się o podgłówek fotela. Byłam jednocześnie wyczerpana i nakrecona, a to najgorsze z możliwych połączeń. Vigil wartko płynął przez moje żyły jak uciekające w popłochu stado zwierząt. W samochodzie było duszno i gęsto od powieszzonej na lusterku choinki zapachowej. Walczyłam z ogarniającą mnie klaustrofobią.

Wreszcie Garrett wrócił i klapnął na siedzeniu kierowcy.

Próbowałam trzymać się w ryzach. Ze spokojem, który zaskoczył nawet mnie samą, powiedziałam:

- Ona zabiła własną córkę. Zabiła Lucasa. Albo kazała to zrobić swojemu synowi, nie wiem. Powiedziała, że ma nadzieję, że Lucas smaży się w piekle. Dlaczego powiedziała to tak, jakby Lucas już nie żył! Skąd ta pewność? Ona wie, że on nie żyje!

Garrett przekręcił lusterko, żeby na mnie spojrzeć, po czym poprawił je i zaczął wycofywać samochód.

- A co z moim samochodem?

- Wyślę po niego któregoś z policjantów.

- Wypuść mnie stąd! - Znow szarpnęłam za klamkę i znow bez skutku.

- Mio, uspokój się wreszcie.

- Uspokoić się? Co ty chrzanisz? Ta kobieta właśnie próbowała mnie zabić. Jej syn od tygodnia próbuje mnie przejechać. Ta rodzina jest bardzo agresywna.

- Ich córka została brutalnie zamordowana! - Podniósł głos, był na skraju wytrzymałości. Patrzył na mnie w lusterku, jakbym to ja była przestępcą. - Przez trzy tygodnie jej szukali, nie jedli i nie spali, a ty nagle zjawiasz się i rzucasz okrutne oskarżenia. Nie uważasz, że wystarczająco się nacierpieli? Naprawdę musiałaś przyjechać pod dom Kathy w środku nocy, żeby oskarżyć ją o zamordowanie własnej córki? Co ci odbiło?

- Musisz porozmawiać z Abby Peters.

- Z Petersami? Wiem o nich wszystko. W zeszłym roku złożyli pozew przeciw trzem osobom. Składają pozwy tak często, że w naszych stronach mówi się już „Złożę przeciw tobie Petersa”. Do cholery, czemu nie przysłaś z tym do mnie? Wszystko bym ci wyjaśnił. - Zachichotał, ale jego śmiech zabrzmiał okrutnie.

- Wiem, że chcesz ze mnie zrobić wariatkę. To bardzo ci ułatwi karierę. Ale Kathy znęcała się nad córką. Joanna wciąż miała kontuzje.

- Nie, Mio. Kathy nie znęcała się nad córką. Nie wiem, co ci nagadała Abby Peters, ale mogę to sobie wyobrazić. Joanna odniosła kontuzje podczas tańca, głównie były to naciągnięte mięśnie. Nic poważnego, nic, co by wskazywało na użycie przemocy. I wiesz co? Jeśli rzeczywiście ktoś zapłacił za zdjęcia Joanny, to w pierwszym rządzie podejrzewałbym właśnie Petersów. Chociaż wcale tak nie uważam.

- Ale Joanna nienawidziła swojej matki, bała się jej... - Ugryzłam się w język w ostatniej chwili. Już chciałam wspomnieć o pamiętniku, zacytować fragment, w którym Joanna porównuje Bena do Lenniego Smalla.

Garrett z rezygnacją pokiwał głową. Patrzył przed siebie.

- A przyjrzałeś się sprawie Toma Gellera? Czy od początku wiedziałeś, że to był Ben?

Musiał wiedzieć, że tir ze zdjęć należał do Bena. Przecież ciągle u nich przesiadywał.

- Nie, oczywiście że nie. Powiedział mi, że jechał parę razy za tobą, ale nie chciał cię przestraszyć. Miał nadzieję, że zaprowadzisz go do Lucasa. Myślę, że Ben może nie zdawać sobie sprawy z tego, że zachowywał się agresywnie. On... Ben jest nieprzystosowany do życia w społeczeństwie.

- Jasne! Przecież widziałeś moje ramiona! Myślisz, że z własnej woli rzuciłam się na jezdnię? On chciał mnie potrącić!

- Rozmawiałem z Benem i nie będziesz musiała więcej się o niego martwić - odparł Garrett. Jego wiara w sprawowaną przez siebie władzę coraz bardziej działała mi na nerwy.

- Mój brat jest głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo tylko na podstawie waszych mizernych raportów, za to Ben, który próbował mnie rozjechać, karany jest tylko pouczeniem? Jeśli cię to interesuje, mam świadka. Dlaczego nie zaaresztujesz również Bena?

- Tak, wiem, Mio. Josha Koltona. - Potrząsnął głową, jakbym powiedziała, że moim świadkiem jest Wróżka Zębuszka. - Zachowanie Bena było wrogie, nie mówię, że nie. Nie powinien tego robić. Ale jak już mówiłem, on jest trochę inny. Myślał, że doprowadzisz go do Lucasa.

- W takim razie czemu nie powiedziałaś mu, że niepotrzebnie mnie śledził, skoro doskonale znasz każdą moją lokalizację? Znalazłam GPS-a, Garrett - powiedziałam, po czym, licząc na to, że zrzędzie mu mina, dodałam: - Mam nadzieję, że masz nakaz sądowy.

Garrett pochylił się w moją stronę i wycedził przez zęby:

- Tak, mam nakaz. My tylko chcemy namierzyć twojego brata.

- Może w takim razie zamontujcie go na samochodzie Kathy. Ona na pewno wie, gdzie jest Lucas.

- Okej, powiedzmy, że twoja teoria jest prawdziwa. Po co Kathy miałyby mieszać w to wszystko Lucasa? Po co go wrabiała? Przecież wystarczyło powiedzieć, że Joanna uciekła.

- Może dlatego, że mój brat z nią sypiał, a oni chcieli, żeby za to zapłacił. Może myśleli, że jest ojcem jej dziecka? A może Joanna chciała zatrzymać dziecko i dalej spotykać się z Lucasem? Może nie chciała tańczyć i może tylko w ten



sposób... – Desperacko wypluwałam z siebie słowa. Byłam zrozpaczona. Próbowałam uwolnić się od tego wszystkiego poprzez wyrzucanie z siebie emocji. Musiałam przyznać, że mój brat mógł z nią sypiać, jeśli chciałam, żeby moje słowa miały jakikolwiek sens.

Garrett wszedł mi w zdanie:

– W ten sposób co? Myślisz, że Kathy zamordowała własną córkę tylko dlatego, że nie chciała zostać baleriną? Myślisz, że to zabójstwo honorowe? Daj spokój, sama słyszysz, jak absurdalnie to brzmi. Bawisz się realnym światem, snujesz dowolne scenariusze, jakby rzeczywistość była testem wielokrotnego wyboru.

Gwałtownie wcisnął hamulce. Samochód zrobił zakrę na skrzyżowaniu. Zawieszona na metalowych linkach nad drogą światła świeciły się na czerwono dla wszystkich kierunków. Przejechaliśmy przez skrzyżowanie, po czym Garrett zjechał z drogi i zatrzymał auto. Włączył światła awaryjne, mimo że drogi były kompletnie puste. Dźwięk ich tykania wypełnił wnętrze samochodu. Garrett westchnął głośno, po czym odwrócił się do mnie:

– Ale cieszę się, że wreszcie przyznałaś, że Lucasa i Joannę łączyła jakaś relacja.

– Przestań być taki protekcyjny! – warknęłam i pokręciłam z niesmakiem głową.

Garrett patrzył na mnie, wciąż zdumiony tym, jak się zachowuję.

– Mówię tylko, że robisz krok w dobrym kierunku – powiedział, a ja wiedziałam, co zaraz doda: – Wiem, że to nie

Eric Lowe powiedział ci o ciąży Joanny.

- Cóż, Eric nie jest najlepszy w dotrzymywaniu tajemnic.

- Nawet nie próbuj wciskać mi kitów! Wiem, że psycholog szkolny nie mógł ci tego powiedzieć, bo sam o tym nie wiedział. Gdyby wiedział, od razu przekazałby Kathy. Regularnie spotykali się, żeby rozmawiać o Joannie. Kiedy powiedziałem Kathy, że jej córka była w ciąży, była szczerze zdumiona, to nie było udawane. Ona nie miała o tym pojęcia. Skąd w takim razie ty o tym wiedziałaś?

Nie mogłam zwalić wszystkiego na Madison, bo spotkałabym się z całą serią pytań „kiedy?, gdzie?, jak?“, które podważyłyby resztki mojej wiarygodności.

- Sama do tego doszłam. Znalazłam zapiski Lucasa w jego notatniku, które na to wskazywały. Zadowolony? Właśnie tak się o tym dowiedziałam. Przyznaję, że Lucas prawdopodobnie sypiał z Joanną i że mogła być w ciąży właśnie z nim. Ale to tylko kolejny powód do zemsty, o co podejrzewam Wilkesów. Kathy zabiła córkę, która zrujnowała swoją karierę, a potem załatwiła Lucasa.

- Zostawmy na chwilę Wilkesów. Porozmawiajmy o tobie. O tym, co ty wiesz. Wiedziałaś o ciąży Joanny. Przeszukaliśmy mieszkanie Lucasa na wylot, a jednak to ty znalazłaś w jego notatniku coś, co przeoczyliśmy. Ty znalazłaś telefon. Ukrywasz przed nami fakty, Mio.

- Nie moja wina, że jestem lepszym policjantem niż ty i Pruden razem wzięci - odparłam tonem nadąsanej nastolatki.

- Jesteś prawdziwą kopalnią wiedzy. Pytanie tylko, jak ją

zdobyłaś? Moim zdaniem jest tylko jedna możliwa odpowiedź: Lucas ci powiedział. Czeka gdzieś na ciebie, prawda? Czeka, aż siostrzyczka oczyści jego imię. To on ci powiedział, gdzie schował telefon.

- Nieprawda.

- Rozmawiałaś z nim w dniu, w którym zniknął. Gdzie on jest?

- To był, do cholery, przypadkowy telefon! Naprawdę myślisz, że kłamałam przez cały ten czas? Mówiłam ci już, że nie mam pojęcia, gdzie on jest, chociaż bardzo bym chciała. Nawet się nie domyślasz, ile bym dała za to, żeby porozmawiać ze swoim bratem. A ty?

- Co ja?

- Do tej pory myślałam, że chcesz szybko aresztować Lucasa i się wykazać, bo jesteś znudzonym małomiasteczkowym gliną. Ale ty jesteś tylko łącznikiem między światem zewnętrznym a Westfield. Od początku dobrze wiedziałeś, co się działo z Joanną. - Wiedziałam, że ciskam bezpodstawnymi oskarżeniami na lewo i prawo, ale nie mogłam się powstrzymać.

- Co ty pieprzysz, do cholery? - ryknął rozwścieczony Garrett. Aż przeszły mnie ciarki. Przed oczami stanęła mi jedna scenka z przeszłości. Skinny G w salce komputerowej. Grupka perfidnych ośmioklasistów zakradła się do sali i wyłączyła mu komputer w kulminacyjnym punkcie gry. Garrett stracił nad sobą panowanie. Zrobił się czerwony jak burak. Wstał z plastikowego krzesła i rzucił nim w prowodyra akcji. Omal nie trafił go w głowę. Krzesło

huknęło o ścianę, a Garrett już łapał następne. Spanikowany chłopak uciekł z pomieszczenia. Myślałam, że Garrett będzie zadowolony, że go wystraszył, ale nie, on zaczął walić głową w ścianę. Raz za razem uderzał w nią z tępym hukiem, aż wreszcie sprowadziłam pana Arkina, który zadzwonił po jego rodziców. Nagle ogarnął mnie strach. Świtało, w okolicy nie było nikogo, a ja zostałam sam na sam z mężczyzną, który był zdolny do wszystkiego, i któremu, cokolwiek by zrobił, ujdzie to na sucho.

Kolejne słowa wypowiedziałam łagodniejszym tonem:

- Mówię tylko, że ciebie też ktoś mógł zobaczyć, kiedy rozmawiałeś z Joanną w nieodpowiednim momencie. Mogło się przecież zdarzyć, że Joanna kradnie ci całusa, kiedy się tego nie spodziewasz, i ktoś to zobaczył. Równie dobrze to ty mogłeś się znaleźć na miejscu Lucasa.

- Nie ma takiej możliwości. Kto ci naopowiadał takich bzdur? - Walnął w kierownicę i po głośnym dźwięku klaksonu nastąpiła cisza. - Nigdy nie zaplanowałbym wyjazdu z licealistką do St. Roche. A Lucas to zrobił. Nie możesz udawać, że to nieprawda. Tonący brzytwy się chwyta, Mio. Musisz wreszcie zaakceptować prawdę i powiedzieć mi wszystko, co wiesz. Oraz skąd to wiesz. Na początek powiedz, gdzie jest Lucas.

- A ja mówię ci, żebyś przyjrzał się Wilkesom - odparłam. Nagle przyszło mi do głowy, że skoro Kathy przekupiła psychologa szkolnego, równie dobrze mogła przekupić Garretta.

- Niezłe z ciebie ziółko. - Pokiwał głową, jakbym

przegapiła życiową okazję, nie mówiąc mu tego, co chciał usłyszeć. Potem ruszył.

Przez całą drogę na komisariat nie zamieniliśmy słowa. Kiedy byliśmy na miejscu, Garrett zjął moje odciski palców i zrobił zdjęcie. Kolejne cztery godziny spędziłam na łóżku polowym wpatrzona w plamę na suficie, próbując uspokoić mętlik w głowie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

### *Dzień ósmy*

### *Środa*

Kiedy mnie wypuszczano, Pruden stanął nieopodal i ze skrzyżowanymi rękoma patrzył na mnie pogardliwie, kiedy podpisywałam papiery potrzebne do wyjścia (oficjalnym powodem zatrzymania był mój stan nietrzeźwości) i odbierałam kluczyki do samochodu. Miałam ochotę krzyknąć mu w twarz: „Serio? To ja jestem waszym największym zmartwieniem?”, ale wzięłam kluczyki i dałam nogę.

Mój samochód stał zaparkowany przed komisariatem. Przez całe to zamieszanie zapomniałam, że w środku były skradzione akta Joanny. Podniosłam dywanik. Na szczęście były na miejscu, ale przecież gdyby przeszukali mój samochód, nie wypuściliby mnie po nocy na wytrzeźwiałce. Moja torba leżała nietknięta na podłodze. Zastanawiałam się, czy nie przeszukali mojego samochodu, bo nie dostali nakazu, czy zamierzali dalej mnie inwigilować i tylko udawali, że już ich nie interesuję.

Kiedy wróciłam do mieszkania, wyciągnęłam GPS z gniazdka i wyrzuciłam do śmieci, po czym opadłam na kanapę. Byłam opuchnięta i poplamiona trawą. Oczy były

wyschnięte, bolała mnie szczęka i dzwoniło w uszach, a ramiona wyglądały, jakby zostały zmielone w blenderze.

Zza okna dobiegały odgłosy dzieci, które wesoło pluskały się w basenie. Ktoś puszczał przyprawiającą o ból głowy muzykę. Zażyłam tabletkę oxycontin. Tym razem naprawdę jej potrzebowałam.

Przejrzałam listę połączeń w telefonie w poszukiwaniu numeru Vanessa Lee.

Odebrała po pierwszym sygnale.

- Halo? - spytała z nadzieją w głosie.

- Cześć, Vanessa, tu Mia Haas. Zastanawiam się, czy nie mogłybyśmy się umówić na kolejny wywiad. Mam sporo do opowiedzenia na temat Wilkesów...

- Mio, co się wczoraj wydarzyło? Mogłabyś skomentować? Od rana próbuję się do ciebie dodzwonić.

- Skomentować? - Zaczęło mi się kręcić w głowie od oxycontin.

- Trąbią o tobie w wiadomościach. Nie widziałaś?

- Nie miałam jeszcze okazji. Spędziłam noc w więzieniu. - Zaczęłam opowiadać o tym, że zostałam bezpodstawnie zatrzymana na noc, i o tym, że złamano moje prawa, kiedy usłyszałam szelest, jakby Vanessa próbowała zasłonić telefon dłonią. - Nagrywasz naszą rozmowę?

- Och, tak. Przepraszam. Zawsze staram się być dokładna, kiedy piszę artykuły.

- No dobrze, niech będzie.

- W takim razie czy mogłabyś skomentować wczorajsze wydarzenia pod domem Wilkesów?

- Właśnie o tym chciałabym z tobą porozmawiać. Kathy Wilkes zamordowała swoją córkę. Myślę, że mogła również zamordować mojego brata.

Vanessa milczała przez chwilę, po czym spytała:

- Naprawdę? Jakie masz dowody na podparcie tej teorii?

- Widziałam akta medyczne Joanny. Miała chroniczne kontuzje. Myślę, że jej matka się nad nią znęcała. Policja nie chce się temu przyjrzeć. Musisz to wszystko wydrukować.

- Jak udało ci się dotrzeć do akt Joanny?

- Po prostu je zdobyłam - odparłam niezbyt rozsądnie, biorąc pod uwagę, że nasza rozmowa była nagrywana, ale było mi już wszystko jedno. - Mam je przy sobie i mogę ci pokazać. Przekonasz się, jak często Joanna miała kontuzje. W tym domu działo się coś dziwnego.

- Dobrze, spotkajmy się. W tym samym miejscu co ostatnio? Za godzinę? Wtedy pokażesz mi akta. - Powiedziała to delikatnym i pogodnym tonem pani przedszkolanki. Zrozumiałam, że nie zamierzała pisać artykułu ani o niekompetencji policji w Wayoacie, ani o niewinności Lucasa. Nie chciała mnie słuchać i przeglądać akt Joanny po to, żeby napisać o Wilkesach.

Teraz ja byłam jej tematem.

Przez chwilę siedziałam w milczeniu, próbując odeprzeć gonitwę myśli. Moja głowa robiła się ciężka od oxycontinu.

- Halo? - powiedziała Vanessa.

Rozłączyłam się.

Wpisałam w Google'a swoje nazwisko i zobaczyłam listę artykułów, które ukazały się w miejscowej prasie. Wszystkie



nagłówki można było streścić w jednym zdaniu:

## SIOSTRA PODEJRZANEGO O MORDERSTWO MĘŻCZYZNY ATAKUJE MATKĘ W ŻAŁOBIE

Było też moje zdjęcie. Z rozłożonymi ramionami wyglądałam jak Mesjasz. Zdjęcie zostało zrobione, kiedy krzyczałam na dziennikarzy. Moja twarz była poplamiona, we włosach źdźbła trawy. Wyglądałam jak wariatka. Przez chwilę zastanawiałam się, czy naprawdę nią nie byłam. Być może od zażywania leków mój umysł się rozleniwił. Może nie powinnam ufać swoim wspomnieniom? Może faktycznie rzeczywistość stała się dla mnie testem wielokrotnego wyboru? Może kiedy odpychałam Mimi, tak naprawdę chciałam ją zabić? Patrząc, jak jej czaszka pęka niczym skorupka od jajka? A co, jeśli złapałam ją za włosy i waliłam jej głową w blat, ale nie pamiętam tego tylko dlatego, że nie jestem w stanie stawić czoła prawdzie? A co, jeśli wszystko, co myślałam o swoim bracie, było nieprawdą? Nie chciałam widzieć prawdy jak żona faceta, w którego piwnicy znajduje się kolekcję dziecięcej pornografii?

Pomyślałam o Ericu. Najnowszy dowód na to, jak kiepsko znam się na ludziach. Pomimo instynktu (bo czym był wstręt, który poczułam po tym, kiedy pierwszy raz poszliśmy ze sobą do łóżka, jeśli nie intuicją? Przecież nie było to zwykłe poczucie winy), który podpowiadał mi, żeby tego nie robić, wybrałam się z nim na przejażdżkę motocyklem. Co się ze mną działo?

A te wszystkie rzeczy, które zginęły z mieszkania Lucasa? Czy zginęły naprawdę, czy może gdzieś je przełożyłam, tylko

już nie pamiętam gdzie? Czy leki zamieniły mój mózg w bezużyteczną papkę? Fakty przeciekały przez niego jak przez durszlak, a ja byłam o krok od demencji? Może w domu opieki przygotowano już dla mnie pokój? Tuż obok pokoju Mimi.

Rzuciłam telefon na stolik i oparłam się o kanapę.

Chryste, tak bardzo tęskniłam za bratem. Tęskniłam niewyobrażalnie. Byłam w agonii. Czułam się, jakbym nie mogła złapać tchu. Byłam obolała, serce waliło w piersi. Byłam maksymalnie przerażona, zapadałam się w otchłań. Powoli rozmywałam się jak rysunek narysowany na asfalcie kredą podczas deszczu. Lucas był moją ostoją. Przez całe dzieciństwo i cały nędzny wiek dojrzewania. Tylko my dwoje byliśmy w stanie potwierdzić naszą historię, jak i przez kogo zostaliśmy wychowani. On zawsze mnie wspierał i zawsze wiedział. Byliśmy dla siebie kopalnią wymówek zaczynających się od „To przez matkę”. „Z taką matką jak nasza...” - pocieszaliśmy się nawzajem, kiedy coś schrzanialiśmy, po czym klepaliśmy się po plecach i podejmowaliśmy kolejną walkę o to, by zostać kimś więcej. Nikt na świecie nie znał go tak dobrze jak ja.

Byłam załamana.

To Kathy zabiła Joannę. Razem ze swoim synem Benem. Zabili Joannę, zabili Lucasa, a teraz próbowali zabić mnie. Wczoraj w nocy Kathy straciła nad sobą kontrolę. Wciąż czułam na szyi ucisk jej dłoni. Udusiłaby mnie na amen, gdyby nie pojawił się Garrett. Leżałabym martwa na trawniku przed domem, a Ben przerzuciłby moje ciało przez

ramię i zakopał obok Lucasa. W grobie dla bliźniaków.

To musieli być Ben i Kathy. Morderczy duet, matka i syn.

Musiałam znaleźć Lucasa. Dowiedzieć się, co się naprawdę wydarzyło. Potrzebowałam pogrzebu, domknięcia tej sprawy. Musiałam dowiedzieć się, gdzie był, choćby nawet miał to być cmentarz. Sprawiedliwości musi stać się zadość.

Nagle pomyślałam o Zoey. Zoey i Ben. Byli w tym samym wieku, na pewno chodzili do jednej klasy. Napisałam do niej SMS-a z prośbą o spotkanie. Odpowiedziała w ciągu kilku sekund:

**KOŃCZĘ ZA GODZINĘ. SPOTKAJMY SIĘ W BARZE**

Wzięłam szybki prysznic, umyłam zęby i spróbowałam zrobić coś z włosami. Nałożyłam make-up, żeby ukryć siniaki na policzkach i szyi. Wszelkie prawa zastrzeżone: Kathy. Zmieniłam okłady na ramionach i włożyłam bluzkę z długimi rękawami. Mankiety zostawiłam rozpięte.

Zauważyłam, że żel do włosów i maszynka do golenia Lucasa zostały zwrócone, ale woda kolońska nie. Odetchnęłam z ulgą. Jednak nie jestem wariatką! Żel i maszynka stały na podłodze między toaletą a ścianą. To na przeprosiny? Od dozorczy? Znowu wszedł do mieszkania bez pozwolenia. Dupek. Będę musiała zgłosić to agencji nieruchomości.

Kiedy wychodziłam, pod drzwiami Russa stał Dale Burton.

- Jeszcze paru rzeczy brakuje, Russ. Liczę na to, że dostanę je z powrotem - powiedział. Dale pewnie zawsze miał przy sobie katalog broni i amunicji, więc wołałam nie wiedzieć, czym aktualnie bawił się pijany dozorca.

Russ wychylił się z mieszkania i wyjęczał żałośnie:

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Gówno prawda. Doskonale wiesz, o czym mówię. Jeśli nie chcesz oddać mi moich rzeczy, chociaż za nie zapłać. To bardzo drogie noże myśliwskie. - Dale dźgnął go w klatkę piersiową na tyle mocno, żeby Russ z powrotem schował się w mieszkaniu. - Daję ci wybór.

Dale odwrócił się i zauważył, że go obserwuję. Spojrzał na mnie z miną „A nie mówiłem?”, a ja pokiwałam głową na znak, że się rozumiemy. Najdrobniejsze potwierdzenia tego, że nie zwariowałam do reszty, były dla mnie na wagę złota. Dale wrócił do Russa, tym razem mówił już przyciszonym głosem. Dobrze, że go przyszpilił. Gdybym miała czas, zrobiłabym to samo.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Usiadłam przy barze i zamówiłam czarną kawę u niesympatycznego barmana, który przeglądał gazetę, zanim użyje jej do umycia szyb płynem, który stał tuż obok. W gazecie zobaczyłam swoje zdjęcie z konferencji prasowej. Zacieki z płynu zniekształciły moją twarz. Obserwowałam, jak barman nalewa mi kawę. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jeśli odwrócę wzrok, czegoś mi do niej doleje, na przykład ajaxu. Zdecydowanym ruchem postawił filiżankę na barze i kawa wylała się na spodek.

Czekałam na Zoey, która uwijała się wokół stolika, przy którym siedziało trzech mężczyzn ubranych w spodenki khaki i koszulki polo. Dziewczyna próbowała ustalić, czy zamówię coś jeszcze, czy przynieść im rachunek. Jeden z nich, prawdopodobnie miejscowy pastor, podziękował za jedno i drugie. W końcu Zoey klapnęła na stołku obok mnie.

- Chrzanić to. Oddałam stolik. Jak dalej będą saczyć piwa w takim tempie, raczej nie ma się co spodziewać wysokiego napiwku. - Nachyliła się nad barem i zamieniła kilka kokieteryjnych zdań z wiecznie obrażonym barmanem. W końcu oboje zaśmiali się. Byłam pewna, że ze mnie.

Poczułam zapach kokosowego masła do ciała. W tych okolicach wszystkie dziewczyny tak pachniały. Jak wakacje w tropikach, słońce, owoce i piaszczyste plaże. Barman podał jej olbrzymiego drinka w szklance oprószonej cukrem.

Truskawkowa margarita.

- To jak? Na mnie też się rzucisz? Nie mogę uwierzyć, że zaatakowałaś Kathy Wilkes i nie boisz się pokazywać publicznie. - Napiała się drinka, a drugą ręką poklepała po włosach, jakby były mięciutkim zwierzątkiem. Ciekawe, czy zawsze to robiła, czy może podświadomie wypracowała w sobie ten tik, kiedy wyszło na jaw, że Lucas obciął Joannie włosy. Jakby sprawdzała, czy jej są ciągle na miejscu. Jakby to był dowód na miłość Lucasa. Musi ją kochać, skoro nie spadł jej WŁOS z głowy. - Zamierzał cię stąd wyrzucić - kiwnęła w stronę barmana - ale powiedziałam, żeby tego nie robił, bo jesteś ze mną.

- Chciałam się spotkać, żeby przeprosić cię za to, co powiedziałam wcześniej. Lucas nie miał z nikim dziecka. Myliłam się - skłamałam, ale chciałam ją mieć po swojej stronie. - Poza tym... wydaje mi się, że Lucas nie żyje - dokończyłam ze łzami w oczach.

Zoey odwróciła się do mnie tak szybko, że prawie spadła ze stołka.

- Co takiego? Policja go znalazła? - Jej dolna warga zadrżała ze strachu.

- Nie. Policja nie podziela mojego punktu widzenia.

Zoey oparła rękę na piersi i głośno jęknęła:

- Boże, ale mnie wystraszyłaś. - I chociaż jej klatka piersiowa nie ruszyła się nawet o centymetr, w oczach pojawiły się łzy.

Wtedy uwierzyłam, że Zoey darzyła mojego brata dojrzałym uczuciem niż zwykle zauroczenie. Poczułam do

niej przyływ sympatii.

- Jak wiesz, nie wierzę, żeby mój brat był odpowiedzialny za śmierć Joanny i zaczynam podejrzewać, że wcale nie ucieka. Myślę, że coś mu się stało. Policji w ogóle nie interesuje mój punkt widzenia, więc próbuję sama poskładać fakty do kupy.

- Jakie fakty?

- Opowiedz mi o Benie Wilkesie.

- Big Benie? Ojej. To znaczy, prawdę mówiąc, nie znam go zbyt dobrze. A czemu pytasz? Co chciałabyś wiedzieć?

- Chodziłaś z nim do klasy, prawda?

- Tak. Był raczej spokojny, nieśmiały. Byłam cheerleaderką w jego drużynie.

- Czy kiedykolwiek zachowywał się wobec kogoś agresywnie?

- Broń Boże. Big Ben to taki misiaczek. Jest kochany. To znaczy wiadomo, że jest trochę dziwny, ale dzięki temu jest jeszcze bardziej słodki. W pewnym momencie przestał nadążać za tym, co się dzieje na boisku. Dzięki swoim rozmiarom mógłby zmiażdżyć wszystkich przeciwników, ale nie lubił grać w ataku, więc większość czasu spędzał na ławce rezerwowych. W końcu ktoś zaproponował, że powinien zostać maskotką Bulldogsów. Ten pomysł bardzo mu się spodobał, więc wkładał kostium wielkiego psa i się wygłupiał. Był w tym świetny. Potrafił nawet przyćmić występy cheerleaderek. Ale jego rodzicom bardzo się to nie podobało. Twierdzili, że ludzie się z niego śmieją, i kazali mu wrócić do gry.

- Aha. I zaczął sobie lepiej radzić w ataku?

- Tak, o wiele lepiej. A czemu pytasz?

Wyglądało na to, że Kathy wytresowała syna na agresora. Wyjaśniłam Zoey, czemu pytałam o Bena. Przez chwilę zastanawiała się, marszcząc zadarty noseć.

- Czyli myślisz, że Kathy Wilkes zamordowała swoją córkę, bo Joanna nie chciała przenieść się do Nowego Jorku, a Ben pomógł jej zamordować Lucasa?

- Tak sądzę.

Zoey usiadła prosto i zaczęła bawić się słomką. Nie wiedziałam, czy myślała o tym, co jej powiedziałam, czy może dawała barmanowi tajny sygnał, żeby się mnie pozbył. Nagle odwróciła się gwałtownie i rozejrzała po lokalu.

- Musisz koniecznie porozmawiać z Carlem! Przychodzi tutaj codziennie.

- Z Carlem?

- Tak. Carl pracował w zakładach Harold'sa. Bez przerwy narzekał na Wilkesów. Carl już tu był? - zawołała do barmana, który w odpowiedzi pokręcił przecząco głową.

Zoey odwróciła się do mnie.

- Musisz porozmawiać z Carlem, niedługo tu będzie. Przychodzi zawsze o tej samej porze, jak w zegarku, i zostaje na kilka piw.

- Co takiego może mi powiedzieć Carl?

- On uważa, że Wilkesowie to źli ludzie. Stracił trzy palce, kiedy pracował w ich zakładach. Opowiada o tym bez końca, licząc na to, że któraś z pracujących tu dziewczyn się nad nim zlituje i zrobi mu loda czy coś w tym stylu. Ma około



czterdziestki i jest trochę szurnięty. Jedno jest pewne, na temat Wilkesów wie bardzo dużo. Przychodzi zawsze przed trzecią.

Była za piętnaście druga.

Zoey oblizła brzeżek szklanki z drinkiem. Kryształki cukru szybko rozpuściły się na jej wargach. Wyjęła serwetkę spod drinka i wydmuchała w nią nos.

- Nie mogę uwierzyć, że moja kruszynka może nie żyć.

Zastanawiałam się, o co jej chodzi z tą „kruszynką”, i dopiero po chwili dotarło do mnie, że ma na myśli Lucasa.

- Czyli wierzysz mi? - zapytałam delikatnie, starając się, by moje słowa nie zabrzmiały sceptycznie.

- To ma sens, prawda? Bo niby dlaczego miałby mnie tak po prostu rzucić?

Tym samym wróciłyśmy do jej ulubionej historii, czyli historii jej porzucenia. Ale trudno, było mi wszystko jedno, o ile tylko mi wierzyła. Nagle westchnęła jakby przestraszona i zrobiła wielkie oczy.

- O mój Boże! A co, jeśli Wilkesowie mnie też zamierzają skrzywdzić? Zawsze czułam się, jakby Lucas chciał mnie przed czymś bronić. Może właśnie przed nimi? Jak już mówiłam, miałam się z nim spotkać tamtej nocy, kiedy dostałam od niego SMS-a. Tak w ogóle to skłamałam. Wcale go nie usunęłam. Nie potrafiłam, choć jest taki okropny.

- Możesz mi go pokazać?

Zoey przewinęła ekran i podała mi telefon.

**NIE CHCĘ JUŻ BYĆ Z TB. PRZYKRO MI. ZAKOCHAŁEM SIĘ W KIMŚ INNYM.**

- On tego nie napisał - powiedziałam stanowczo. Nie wierzyłam, że mógł kogoś rzucić w taki sposób. Zawsze starał się załatwiać sprawy łagodnie. Nawet jeśli kogoś rzucał, robił to tak, żeby powstało wrażenie, że decyzja jest obojętna. A jeśli rzeczywiście to napisał, musiało mu zależeć na tym, by odciąć się od Zoey raz a porządnie, niczym piłą.

I dlaczego wiadomość była napisana kapitalikami, jakby na nią krzyczał? W pudełku z rzeczami ze szkoły, które przyniósł mi Eric, znalazłam plakat z zamysłoną jaszczurką, która pyta: „Co ludzie, którzy piszą TB zamiast TOBIE i CB zamiast CIEBIE, robią z całym wolnym czasem?”. Przecież on był nauczycielem angielskiego! Chciał ją w ten sposób ochronić? A może to Kathy albo Ben wysłali SMS-a z jego telefonu, żeby Zoey nie poszła do jego mieszkania i ich nie przytępała. Tylko na czym? Przecież nie zrobili mu krzywdy w jego mieszkaniu. Nie było tam śladów krwi czy walki. I skąd wiedzieli, że miał się z nią spotkać?

- Wiedziałam! Wiedziałam, że nie mógł mnie rzucić! - powiedziała uszczęśliwiona Zoey, zupełnie nieświadoma, że zabrzmiało to tak, jakby wołała, żeby Lucas był martwy, niż żeby ją zostawił. - On na pewno tego nie napisał! Chyba że ktoś mu kazał. Musimy go znaleźć! - Złapała mnie za rękę.

Odpowiedziałam uściskiem. Ucieszyłam się, że wreszcie znalazłam sprzymierzeńca, niemal się rozplakałam ze szczęścia. Nabrałam powietrza w płuca, żeby powstrzymać łzy.

- Okej. Wróćmy do tego, co się stało, zanim Lucas zaginął. Czy mówił ci coś, co wydawało ci się podejrzane?

- Nic takiego nie pamiętam. Na pewno nigdy nie wspominał o tym, żeby uprawiał seks z uczennicami.

- Nie mówił zupełnie nic? Może coś, co nie wydało ci się znaczące.

- Nie bardzo. Przeważnie nie traciliśmy czasu na rozmowy.

- Uśmiechnęła się melancholijnie.

No to świetnie, pomyślałam zgryźliwie. Postanowiłam ją trochę pomęczyć. Zaczęłam zadawać konkretniejsze pytania:

- Może wspominał coś o pracy w klubie? Planach dotyczących drużyny hokejowej? Telefonach komórkowych? Hazardzie? O tym, że był komuś dłużny pieniądze? O Benie albo Kathy Wilkes?

- Nie, nie mówił nic, co wydawałoby mi się dziwne albo podejrzane. Chociaż... zanim wszystko się popsuło, sporo mówił o tobie.

- O mnie?

- Tak, martwił się o ciebie. Bo jesteś sama w wielkim mieście i tym podobne. Mówił, że uważasz, że nie zasługujesz na miłość.

- Co powiedział?!

Poczułam się zdradzona, kiedy wyobraziłam sobie, jak Lucas na kanapie z głową opartą na udach Zoey zabawia się w moją psychoanalizę, a ona głaszcze go po włosach. Dlaczego mnie nigdy o to nie zapytał?

Zoey sympatycznie wydeła usta, ale przytaknęła.

Zrobiłam kamienną twarz, starając się nie dać po sobie poznać, że mnie to zabolalo. Zmieniłam temat.

- Coś jeszcze?

Zoey podniosła wzrok, jakby naprawdę szukała odpowiedzi głęboko w sobie.

- Wspominał też o tym, że bardzo chciałby się dowiedzieć, kto jest jego ojcem.

- Co mówił na ten temat?

Ta informacja mnie zaskoczyła. Nie rozmawialiśmy o tym od lat. Kiedy ostatnio o tym wspominał, powiedział, że gdyby nasz ojciec był wart, żebyśmy go szukali, sam by nas znalazł.

- Bardzo chciał to wiedzieć. Nie dawało mu to spokoju. To był nieznany rozdział w jego życiu, wiesz?

- Tak, wiem. - Mieliśmy wspólnego nieznanego ojca, więc w moim życiu był taki sam nieznany rozdział.

- Pracował nad tym.

- Nad czym?

- Żeby go znaleźć. Mówił, że jest coraz bliżej.

- Coraz bliżej? Jak to?

Co to znaczy, że jest coraz bliżej? Jeśli wiedział, kim był nasz ojciec, dlaczego mi o tym nie wspomniał?

Zoey wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie wchodził w szczegóły. Poza tym ten temat zawsze go przygnębiał.

Barman wlał mi resztkę kawy z dzbanka, mimo że pomachałam ręką, żeby tego nie robił.

- To zabawne. Lucas nie cierpiał kawy.

- Tak, wiem - odparłam, ale po chwili coś mi się przypomniało. - A przynajmniej kiedyś jej nie lubił. Podobno zmienił zdanie i każe uczniom, którzy spóźniają się na lekcje, za karę przynieść sobie kawę.

- Hm, nie sądzę. Naprawdę jej nie znosi. Zawsze się z tego powodu sprzeczałyśmy. Nawet nie ma u siebie ekspresu.

A więc Bailey kłamała. Małe kłamstewko, które nastolatki uwielbiają, kiedy chcą choćby na chwilę zwrócić na siebie uwagę.

- Przyszedł Carl. - Zoey szturchnęła mnie, podeszła do Carla i oparła łokcie na jego stoliku. Wyglądało na to, że kokietuje go tylko po to, żeby pozwolił mi się dosiąść. Ten sam teatrzyk, kiedy wcześniej namówiła barmana, żeby pozwolił mi zostać. Dziewczyna wiedziała, co robi. Po chwili pomachała do mnie, żebym podeszła i dosiadła się.

Carl miał w sobie coś z szaleńca zapewne przez kombinację leniwego oka, noszonych z pełną powagą wąsów jak u pioniera z Dzikiego Zachodu i błysku w zdrowym oku, który zdradzał seksualną frustrację.

- Pozwól, że uściskam twoją rękę - powiedział, wyciągając ku mnie dłoń, na którą składał się kciuk, palec wskazujący i trzy kikuty. Staralam się nie wypuścić jedyne nietkniętego palca wskazującego, kiedy energicznie machał moją ręką w górę i w dół. - Sam chciałbym przywalić tej kobiecie w twarz - mówił dalej. - Chociaż może w nieco innych okolicznościach, nie tuż po tym, jak zmarła jej córka. - Przeszył mnie wzrokiem na wylot jak psychopata, po czym zawiesił oko na moim biuście.

Zoey dwukrotnie pstryknęła palcami, żeby odwrócić jego uwagę.

- Tu jesteśmy, Carl. Opowiedz jej o tym, co działo się między tobą a Wilkesami.

Cieszyłam się, że Zoey ze mną została. Od razu przeszła do sedna, bez owijania w bawełnę.

- Akcja mojej sagi rodzinnej zaczyna się w miejscu, w którym straciłem trzy palce podczas pracy. To było zeszłej wiosny. Wszystkie trzy odcięła mi zgrzewarka do tacek podczas uzupełniania folii do żywności. Wszyscy lubią mieć pięknie zapakowane warzywka - powiedział z wyższością, jakby mówił o czymś skrajnie absurdalnym. - Problem polegał na tym, że pokrywa ochronna była zepsuta. Mówiłem o tym kierownikowi tydzień wcześniej, a on powiedział, że została naprawiona. Tyle że wcale nie została. - Wesoło pomachał kikutami. - Po tym, jak zaproponowano mi haniebnie niski dodatek wyrównawczy, postanowiłem ich pozwać. Ale Ian Wilkes nie zamierzał się w to bawić. - Napił się z kufła i piwna piana osiadła mu na wąsach. Gwałtownie odstawił kufel i ryknął: - Spalili mi dom, do cholery!

Zoey spojrzała na mnie z miną „A nie mówiłam?”, po czym udała, że słyszy wołanie z kuchni i odeszła od stołu. Carl śledził ją wzrokiem po same drzwi.

- Wilkesowie spalili twój dom?

- Tak. Nie mam krzty wątpliwości.

- Co się potem stało?

Carl pochylił się nade mną i mówił:

- Nic, zupełnie nic. Strażacy powiedzieli, że pożar spowodował piecyk, którym ogrzewam dom, ale ja wiem, że to byli oni. Mój dom nie był ubezpieczony, więc musiałem przyjąć ten cholerny dodatek wyrównawczy. Nie było mnie stać na prawnika i nie mogłem dłużej czekać, aż dostanę

prawdziwą odprawę. - Zamilkł, żeby spotęgować siłę swoich słów.

- Och, to okropne - powiedziałam, bo miałam wrażenie, że liczył na odrobinę współczucia.

- Teraz mieszkam w motelu Tall Pines. - Machał ręką w powietrzu, jakby była rekwizytem kibica na meczu futbolowym.

- Próbowali cię śledzić? Zastraszyć? - Potrzebowałam tej informacji, żeby stworzyć pełny profil rodziny Wilkesów: Bena, Kathy i nawet Iana Wilkesów. Zawsze siedzą na ogonie tym, którzy później stają się ich ofiarami.

Carl przytaknął i wyszeptał:

- Skąd wiedziałaś? To prawda, obserwują mnie. Kathy i Ian Wilkes. Mają mnie na oku, żeby mieć pewność, że nie przysporzę im kłopotów.

- Mnie też śledzą. Ben próbował zepchnąć mój samochód do rowu swoją gigantyczną ciężarówką. - Pochyliłam się nad stołem. Czułam, że wreszcie następuje przełom w moim śledztwie.

- Nie wiem nic o żadnej ciężarówce. Ale wiem, że założyli mi podsłuch i podglądają mnie w domu. Kiedy biorę wyciągi z konta, widzę tam jakieś dziwne opłaty bankowe, ale wiem, że to oni mnie okradają. A kiedy śpię, przysyłają lekarza, który kradnie moją krew. Nie rozumiem tylko czemu. Po co im moja krew?

No i wszystko stało się jasne. Carl był paranoikiem. Garrett i Vanessa postrzegali mnie tak samo jak ja jego. Niedługo zaczniesz snuć teorie spiskowe z udziałem rządu, będzie

opowiadał o tym, czemu mięso w supermarketach nigdy nie pleśnieje (przez to, że opakowania spryskiwane są tlenkiem węgla!) i jakie szkody wyrządza naszym ciału fluorek zawarty w wodzie. W końcu udało mi się uciec od Carla, ale dopiero wtedy, kiedy wymusił na mnie uregulowanie rachunku.

- To chyba niewygórowana cena za tajne informacje, jakich ci dostarczyłem.

Gdy siedziałam w aucie na parkingu U Casey, przez stłuczone okno ktoś wyrzucił na wpół wypity big gulp i cały samochód nabrał nawet nie aż tak paskudnego zapachu winogron.

Nie wróciłam do mieszkania, zamiast tego pojechałam do Erica. Podczas nocy, gdy wypił zbyt dużo burbona, zdradził, gdzie mieszka, co zrobił z czarującym zakłopotaniem. (Chodziło o małe mieszkanko w pobliżu Westfield). Ignorowałam wiadomości, które do mnie wysyłał. Dopytywał się, co u mnie słychać, jak się czuję, takie tam. Zanim Kathy prawie wytlukła ze mnie życie, być może miałabym trochę współczucia dla Erica, ale „trochę” to i tak za dużo. Okazał się obrzydliwym chamem i prostakiem, psychologiem, który sprzedaje poufne informacje o uczniach. (Gdy to sobie uświadomiłam, poczułam ulgę, że już nigdy nie miałam do czynienia z Erikiem po tym, jak popchnęłam Mimi. Kto wie, co zrobiłby z taką wiedzą?). Ale Wilkesowie mieli dużo pieniędzy i zapewne Kathy złożyła ofertę nie do odrzucenia dla kogoś, kto żyje z nauczycielskiej pensji.

Spojrzałam w lusterko. Byłam wyczerpana, wyglądałam jak



upiór. Na szyi miałam łańcuch z jasnoczerwonych płam, przez co wyglądałam na pechowego wisielca, który urwał się ze stryczka, ale zmieniłam zdanie. Eric otworzył drzwi zaspany i pachniał kacem. Miał poczochrane włosy. Była dopiero szesnasta, a on wciąż miał na sobie tylko krótkie spodnie. Zaczął przeproszać za swój wygląd, powiedział, że grał w Detours do późna. W połowie historii zauważył, jak wyglądam.

- Co ci się stało? - Wyciągnął dłoń, żeby dotknąć mojej szyi.

Przymknął oczy, jakby chciał mnie pocałować, ale odtrąciłam go.

- Kathy. To się stało. Musimy porozmawiać.

Dobrze się złożyło. Przespał pół dnia i pewnie jeszcze nie czytał wiadomości. W dodatku miał kaca, więc nie był jeszcze w pełni przytomny. Zaprosił mnie do środka, włożył spodnie od dresu i koszulkę, i nalał mi kubek mocnej kawy. Mieszkanie Erica wyglądało tak, jak się spodziewałam. Zostało urządzone na podobieństwo Hard Rock Cafe. Na ścianach wisiały plakaty zespołów i dwa neony. W kącie stał statyw gitarowy i trzy błyszczące gitary elektryczne.

Usiadł naprzeciwko mnie na stołku barowym przy wysokim drewnianym stole. Przez okno wlewało się światło popołudniowego słońca, które oświetlało jego twarz. Wyglądał na zmęczonego. Mogłam sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał za dziesięć lat. Na jego twarzy zaczęły pojawiać się zmarszczki, miałam wrażenie, że na starość strasznie zmizernieje. Zastanawiałam się, czy czasami nie

sięga po kreskę kokainy, żeby przeżyć przeciągające się w nieskończoność noce (wcześniej nie miał zahamowań), czy nie ma pokusy, żeby zamknąć na chwilę oczy i zamiast smutnych pijaków grających w rzutki zobaczyć zapełniony po brzegi stadion. Poczułam się oszukana. Jakbym poszła do łóżka z księciem, a obudziła się obok żaby.

- Wiem, że Kathy płaciła ci za przekazywanie tego, co usłyszałeś od Joanny.

- Co? Nie wiem, o czym... - zaczął na tyle zbulwersowanym tonem, że gdybym nie miała dowodów, pewnie bym mu uwierzyła.

- Daruj sobie. Nie musisz zaprzeczać - przerwałam mu.

- Nie mam czemu zaprzeczać, Mio. - Wykrzywił usta w grymasie. Odrzucił głowę do tyłu i zmarszczył brwi. Pomyślałam, że robił swoją najlepszą, wytrenowaną przed lustrem minę, która sprawiała, że każda bywalczyni Detours była jego. Na którą ja też dałam się nabrać. Mogłabym się założyć, że używał anegdotek o Los Angeles i ciekawostek ze świata muzyki jako tajnej broni, ale jeśli nie podziałały, musiał zmieniać obiekt podboju miłosnego, zanim wyjdzie na jaw, jaki jest płytki. Wyciągnął rękę i położył na mojej dłoni, po czym dodał: - Udzielałem Kathy dodatkowych porad, jeśli to miałaś na myśli.

- Nazywaj to, jak chcesz. - Zabrałam rękę.

Eric wykrzywił twarz, jakby ugryzł cytrynę.

- Nazywam rzeczy po imieniu.

- Tyle że za dodatkową opłatą opowiadałeś Kathy wszystko, co w zaufaniu powiedziała ci Joanna.

- Jestem dobrym człowiekiem, Mio. Chciałem pomóc zmartwionej matce - odparł z westchnieniem.

Czemuż, ach czemuż Eric nie nazwał siebie „dobrym człowiekiem” parę dni wcześniej? Gdyby to zrobił, na pewno nie poszłabym z nim do łóżka. „Wiesz, że jestem dobrym człowiekiem...” to ulubiona sentencja wszystkich złych ludzi, których poznałam.

- Nie przyszłam tu, żeby pakować cię w kłopoty. Jestem tu po to, żeby porozmawiać o Kathy.

Eric pociągnął nosem. Zmrużył oczy, jakby próbował wymyślić jakieś kłamstwo, ale był zbyt skacowany, żeby myśleć kreatywnie. Na jego twarzy dostrzegłam cień rezygnacji.

- O co chodzi z Kathy? Mówiłem ci już, że jest apodyktyczna. Co jeszcze chciałybyś wiedzieć?

- Czy Joanna się jej bała?

- Bała się jej? Nie, nie sądzę. To znaczy jeśli naprawdę bałaby się własnej matki, to nie robiłaby tylu szopek. - Napił się kawy.

- Nie zastanawiałaś się nigdy, dlaczego Joanna miała tyle kontuzji?

- Kontuzji? Nie, czemu, przecież była tancerką. Tancerze ciągle mają kontuzje.

- O co pytała cię Kathy? Czego chciała się od ciebie dowiedzieć?

Eric zaczął nerwowo wiercić się na krześle.

- Zajrzała kiedyś do mnie i powiedziała, że martwi się o córkę. To tyle. Nie chciała, żeby Joanna powtórzyła błędy

jej młodości. Nie sądzę, żeby miała wobec niej jakieś nieczne zamiary, jeśli o to ci chodzi. Być może była jedną z tych matek, które próbują zrealizować się poprzez swoje dzieci, ale to jeszcze nie znaczy, że nie chciała dla niej tego, co najlepsze.

- A mówiąc „tego, co najlepsze” masz na myśli „być taką jak Kathy”.

Pomasował twarz, a ja dostrzegłam cechy, których nie widziałam wcześniej. Podkrążone oczy, problemy z koncentracją. Odniosłam wrażenie, że już sam dźwięk mojego głosu działa mu na nerwy. Jaka szkoda. Spojrzał na mnie spode łba, po czym opuścił ręce na stół. Jego usta zadrżały.

- Niech ci będzie, do cholery! Już mi wszystko jedno. Nie wiem, czemu tak bardzo chcesz sprawić, żebym poczuł się gorzej, ale okej. I wiesz co? Joanna była rozpieszczonym bachorem. Miała wszystko, czego tylko zapragnęła. Wszystko. Zabiłbym za możliwości, które ona niweczyła.

Prawie krzyczał, w jego głosie pobrzmiwało zgorzknienie. Cały się trząsał, jakby moje słowa zaprowadziły go w miejsce, z którego nie ma powrotu.

- Więc ją sprzedałeś, tak? Nienawidziłeś jej za to, że była młoda i utalentowana. Że wszystko przychodziło jej z łatwością, podczas gdy ty ciągle...

- Tak, wiem, jestem beznadziejnym muzykiem. Nie musisz mi o tym przypominać - warknął. - To nie tak, że jej nienawidziłem. To absurd. Ona po prostu była... taka jak wszystkie. Jak wszystkie te dzieciaki. Chodzące kopie siebie

samych, dzieciaków z poprzedniego rocznika i jeszcze poprzedniego, i kolejnego. Słuchają tej samej muzyki, kupują w tych samych sklepach i robią takie same selfie.

Na swoją obronę powiem, że za każdym razem, kiedy lądowałam z Erikiem, nie byłam trzeźwa. Nie żebym teraz była. Ale nawet czując krążący w żyłach oxycontin, widziałam, że kiedy Eric nie stał w półmroku sceny otoczony dźwiękami muzyki, był tylko zgorzkniałym gnuśnym mężczyzną.

- Czy Joanna wspominała ci, że jest w ciąży?

- Nie - odparł, ale widziałam, że przez chwilę myślał o czymś innym.

- O co chodzi, Eric? Może chcesz mi o czymś powiedzieć? Powiedz, proszę.

Widziałam, że się waha. Wstał, przeciągnął się, wyjął z szafki butelkę whisky, po czym dolał sobie do kawy i napił się. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie.

- Nie masz przypadkiem więcej tych swoich tabletek?

- Mam.

- Mógłbym...? To ten kac. Czuję się fatalnie.

- Jak już mówiłam, pierwsza jest za darmo. Ale musisz zacząć mówić, jeśli chcesz, żebym dała ci coś, od czego poczujesz się lepiej. Zamieniam się w słuch. Czy Joanna powiedziała ci, że jest w ciąży?

Eric usiadł z powrotem na krześle.

- Może raz... Niech pomyślę. Nie pamiętam, jak to się zaczęło, co sprowokowało te zwierzenia, ale w pewnym momencie zaczęła mówić o tym, że adopcja to jedna

z najbardziej altruistycznych rzeczy, które można zrobić dla kogoś innego. Opowiedziałem jej o problemach z zajściem w ciążę mojej byłej żony, a ona zapytała, czy gdyby moja eks – swoją drogą teraz znów mężatka – nadal pragnęła dziecka, to czy ucieszyłaby się, gdyby ktoś jej oddał swoje. I tak dalej, i tak dalej. – Zrobił gest oznaczający „bla, bla, bla”, po czym kontynuował: – Tak czy inaczej, nie zastanawiałem się nad tym długo, bo dzieciaki już takie są. Udają, że są altruistyczne, ale to nigdy do niczego nie prowadzi. W głębi duszy po prostu pragną uwagi. Te oświadczenia nic nie znaczą.

– Kiedy Joanna pytała cię o adopcję? – Jak wszystkie porządne dziewczyny z Wayoaty nawet nie rozważała aborcji.

– Nie mam pojęcia. Nie pamiętam. Jakoś na początku roku. Może w styczniu?

Czyżby Joanna była w ciąży dwa razy? A może planowała zajść w ciążę już w styczniu? Czy to była jej jedyna droga ucieczki przed tańcem? Tak samo jak u mamusi? Ale przecież by plan się powiódł, musiałyby zatrzymać dziecko.

– Rozmawiała z twoją byłą żoną?

– Co takiego? Nie. Nie sędzę. Sam nie rozmawiam z moją byłą, a co dopiero moja uczennica, która chciała oddać jej swoje dziecko do adopcji. Byłby to konflikt interesów.

A branie pieniędzy od matki Joanny nie był? – pomyślałam.

– Mówiłeś Kathy, że Joanna rozmawiała z tobą o aborcji?

– Nie. Czemu miałbym jej o tym mówić? Nie sądziłem, że to ma jakiegokolwiek znaczenie. – Wzruszył ramionami, ale ten gest wydał mi się bardzo teatralny.

Uznałam, że nie jest ze mną szczery. A co, jeśli Joanna faktycznie skontaktowała się z jego byłą żoną? Być może Eric nie mógł znieść myśli, że jego eks weszła w układ z miłą i porządną rodziną?

Szczególnie jeśli dziecko było jego.

Z nerwów poczułam gulę w gardle. Podczas moich sesji u Erica drzwi były zawsze zamknięte. Nikt z personelu nigdy nie wchodził do środka w trakcie. Albo ja niczego takiego nie pamiętam. Warunki były sprzyjające. Czy posunę się zbyt daleko, podejrzewając, że Joanna sypiała także z Erikiem? Nie zdziwiłabym się, gdyby okazała się szkolną Lolitą. Może sypiając z wieloma mężczyznami, próbowała rozwścieczyć matkę? Dla Erica donoszenie Kathy na Joannę byłoby świetną przykrywką, jeśli z nią sypiał. A kiedy dowiedział się, że Joanna spotykała się również z Lucasem, zaczął wciskać Kathy historie na jego temat i przez niego Lucas już nie żył. A nie Eric.

- Mia?

Potrząsnęłam głową, żeby wyrwać się z tego toku myśli. Przecież sama dopiero co z nim spałam! I to dwa razy! A teraz snułam rozważania na temat, że to wszystko zaczęło się przez niego... Nie myślałam racjonalnie i nie powinnam nadmiernie przywiązywać się do swojej oceny sytuacji. Poza tym nieustające oskarżanie kolejnych osób nie pomoże mi w poszukiwaniach. To, co zrobił Eric, nie miało już znaczenia. Musiałam skupić się na Kathy i Benie.

- Joanna wspomniała, że spotyka się ze starszym mężczyzną. Powiedziałeś o tym Kathy?

- Jak już mówiłem, myślałem, że chodziło o Dylana, więc tak, powiedziałem.

- Czy Kathy podejrzewała, że Joanna spotykała się z Lucasem, zanim zaginęła?

- Jeśli tak było, na pewno nie stało się to z mojej winy. - Eric był tak stanowczy, że prawie mu uwierzyłam. - Ale do czego ty w ogóle zmierzasz?

Wzięłam głęboki wdech i powiedziałam:

- Myślę, że Kathy zamordowała swoją córkę, prawdopodobnie też Lucasa.

Eric spojrzał na mnie bez słowa. Napił się kawy i w końcu wydusił z siebie:

- Hm.

- Hm? To wszystko, co masz do powiedzenia? - Zauważyłam, że Eric ani razu nie zapytał, skąd czerpałam swoje informacje. Nie byłam pewna, czy dlatego, że zmagał się z kacem, czy może z zupełnie innego powodu.

- Cóż, nikt nie zabroni ci myśleć w ten sposób.

W mojej głowie roilo się od myśli.

- Tamtego dnia, kiedy byłeś u mnie, co powiedziałeś Madison Wilkes?

- Madison?

- Była na basenie w budynku, w którym mieszka mój brat. Widziałam, że z nią rozmawiałeś.

Eric zamrugnął oczami i rzucił:

- Nic. Wyglądała, jakby chciała z kimś porozmawiać.

- I co? Zwiertełeś okazję do dobrego zarobku? - powiedziałam agresywnie, a Eric się skrzywił.



- Cóż, sam sobie zasłużyłem na takie reakcje. Ale nie o to chodziło, chciałem się dowiedzieć, czy wszystko z nią w porządku. Dać jej znać, że może liczyć na moją pomoc.

- Jeżeli ktoś tu potrzebuje twojej pomocy, to właśnie ona. - Powiedziałam to z jeszcze większym sarkazmem, niż zamierzałam.

Eric parsknął cicho.

- Słuchaj, Mio, naprawdę mi przykro z powodu twojej sytuacji, ale nie jestem złym człowiekiem, a tym ostatnim, czego teraz potrzebuję, to takie rozmowy.

Podniósł kubek z kawą i zajrzał do środka. Kiedy okazał się pusty, odstawił go na bok i obrócił go kilka razy na stole. Zauważyłam, że trzęsą mu się dłonie.

- Eric... - Chciałam powiedzieć coś w stylu: „Myślałam, że jesteś inny...” albo „Wmawiaj sobie, co tylko chcesz...”, ale tak naprawdę nie miałam mu już nic do powiedzenia.

Nie wiem, jak to się stało, ale Eric zupełnie inaczej zrozumiał moje milczenie. Wyciągnął rękę i zaczął bawić się moimi dłońmi. Próbował uśmiechnąć się w seksowny sposób, ale wypadł staro, jakby całkiem już sflaczał. Chyba naprawdę był przekonany, że ma magicznego penisa i jest jak dobra wróżka - wystarczy, że nim pomacha, i wszystko będzie dobrze. Obrzydlistwo.

Wyrwałam się z jego objęć, na co odpowiedział ironicznym uśmiechem, po czym spytał:

- To dasz mi chociaż te tabletki?

Podalam mu dwa advile i wyszłam.

Siedziałam w samochodzie bez ruchu. Nie wiedziałam, co

ze sobą zrobić. Carl okazał się spalonym tropem, Eric tak samo. Byłam w ślepej uliczce. Może powinnam spojrzeć na to wszystko z innej strony? Pomyślałam o tym, że Lucas próbował odnaleźć naszego ojca, i już wiedziałam, do kogo pójść.

Mona i Mimi były najgorętszymi mamuškami w Wayoacie. Jak się okazało, wciąż pamiętałam numer Mony. Odebrał jej mąż, człowiek o anielskiej cierpliwości. Zdziwiłam się, że wciąż są małżeństwem. Spotkałam go raz w życiu, kiedy przyjechał odebrać Monę (upiła się do nieprzytomności i zaległa na naszej kanapie). Nazywał się Andrew i wyglądał tak, jak go opisywała. Modelowy przykład frajera. Budził ją tak delikatnie, że przez moment zapragnęłam mieć tatę. Natomiast Mimi biegała po pokoju, udając, jak bardzo jest zmartwiona, chociaż ukradkiem rzucała mu kokieterijne spojrzenia.

Andrew powiedział mi zrezygnowanym tonem, że Mona gra w kasynie w jednorękiego bandytę.

- Znowu - dorzucił ze stoickim spokojem.

Kasyno mieściło się jakieś pół godziny drogi stąd przy autostradzie. Można by rzec, że na kompletnym odludziu. Parking był wysypany żwirkiem, a z zewnątrz budynek wyglądał jak zajazd przeniesiony w dzisiejsze czasy z lat osiemdziesiątych. To właśnie tutaj za starych, dobrych czasów Mona i Mimi udawały się na łowy. Polowały na chłopaków w typie *Seksu w wielkim mieście*, tyle że bez wielkiego miasta.

Kiedy weszłam, uderzył mnie silny zapach chloru ze

środków czyszczących zmieszany z mocnymi perfumami kobiet w średnim wieku. Zerknęłam na osoby, które siedziały za automatami do gry. Próbowałam przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz widziałam Monę. Niedługo przed wypadkiem o coś się pokłóciły z Mimi i przestały ze sobą rozmawiać. Nie było w tym nic dziwnego, często się sprzeczały, szczególnie kiedy Mona rzucała picie. Ale po jakimś czasie się godziły i jakby nigdy nic znów ruszały na podbój.

Mona po wypadku Mimi wpadała do nas raz na tydzień z obiadem z mrożonki i podejmowała nieudolne próby posprzątania naszego domu. Wszystkie te wizyty kończyły się tym, że zaczynała opowiadać, jak bardzo jej przykro.

- Biedna, biedna Mimi.

Opowiadała o niej jak o najlepszej przyjaciółce, którą jej zabrano. Chciała, żebym cierpiała razem z nią, żebyśmy urządziły wspólne sesje płaczu.

- To straszne, dziewczynka w twoim wieku powinna mieć matkę.

Innym razem tuliła mnie mocno i powtarzała:

- Jestem tu, jestem.

Kiedy byłam sama w domu, a ona dzwoniła do drzwi, udawałam, że nikogo nie ma. Nie szukałam matki zastępczej.

W końcu udało mi się rozpoznać ją po fryzurze. Nosiła ten sam kolor co zawsze, czyli jaskrawą czerwień wpadającą w pomarańcz. Włosy były kompletnie sztywne, bo wylała na nie tony spreju. Przez szyję przerzuciła jedwabny niebieskozielony szal, a z ruchu warg wnioskowałam, że przeklina maszynę do gier. Usiadłam obok i zagrałam

dwudziestopięciocentówką.

Ku mojemu zaskoczeniu Mona godnie się zestarzała. Wyobrażałam sobie, że na starość zrobi się pulchna jak pączek albo będzie mieć zapadniętą, zniszczoną alkoholem twarz, ale wyglądała dobrze. Z pewnością zawdzięczała to też kilku operacjom plastycznym. Kiedyś nie miała takich kocich oczu.

- Mona? - spytałam, ale nawet na mnie nie spojrzała. Była zahipnotyzowana błyszczącymi światełkami i skoczną muzyką z automatu.

- Hm? - żyłastą dłonią wrzuciła garść monet do automatu.

- To ja, Mia Haas. Córka Mimi. - Wcisnęłam „Zakręć” i straciłam swoją dwudziestopięciocentówkę.

Na te słowa Mona błyskawicznie się odwróciła.

- Mia? O mój Boże! - Wyciągnęła ku mnie długie ręce i pocałowała w policzek.

Przez ułamek sekundy nasze wargi musnęły się i nagle przypomniałam sobie, że Monie często dokuczała febra. Natychmiast poczułam pieczenie na ustach.

- Niech ci się przyjrzę, nie widziałyśmy się już wieki! Myślałam, że wcześniej wpadniesz w odwiedziny. To straszne, co ludzie mówią o Lucasie. - Wciąż trzymała mnie za ręce, mówiła niskim, seksownym głosem. Zarówno ona, jak i Mimi, robiły to nagminnie - pomrukiwały albo seksownie zaciągały.

- Prawdę mówiąc, nie przyszło mi to wcześniej do głowy, ale teraz żałuję - odparłam zgodnie z prawdą. Przed wypadkiem, zanim wszystko, co było związane z Mimi, stało

się mroczone i niewyraźne, Mona zawsze była wobec mnie ciepła i oddana. To ona była autorką moich nierównych cięć fryzjerskich, chociaż zawsze starała się odtworzyć fryzury ze zdjęć, które jej przynosiłam. Komplementowała moje oczy, a kiedyś, gdy byłam chora, przyniosła paczkę M&M'sów i numer magazynu *People* (podczas gdy moja matka gromiła mnie wzrokiem za to, że chcę być w centrum uwagi).

Mona miała dwóch synów. Obaj byli ode mnie starsi i niewiele o nich wiedziałam. Jeden mieszkał w Wayoacie, a drugi na Wschodnim Wybrzeżu. Pracował jako informatyk. Myślę, że Mimi jej zazdrościła, że miała dwóch synów. Niektóre kobiety w ogóle nie powinny mieć córek.

Mona spieniężyła żetony i usiadłyśmy przy wysokim stoliku. Była drobną kobietą, chociaż łatwo się o tym zapominało, bo wciąż nosiła szpilki, podczas gdy większość kobiet w jej wieku przerzucała się na wygodne obuwie firmy Dr. Scholl's. Miała problem z wdrapaniem się na stołek. W końcu usiadła i odłożyła torebkę na bok. Była otwarta. Do niebieskiej podszewki poprzyczepiały się resztki tytoniu. Kiedy ja kupowałam torbę, zawsze wybierałam z suwakiem, żeby mieć pewność, że jeśli przypadkiem ją upuszczę, nie wysypią się z niej pomarańczowe buteleczki.

- Byłaś w odwiedzinach u matki?

- Raz.

- Hm, to miło. - Powiedziała to tak, jakby chciała dać do zrozumienia, że miłe z mojej strony to nie jest. - Czasami ją odwiedzam, choć i tak nie ma pojęcia, kim jestem. Myśli, że jestem jedną z pielęgniarek. To całkiem zabawne, bo kiedy

opowiadam jej o naszych przygodach z dawnych lat, widzę w jej oczach błysk starej psotnej Mimi. To były czasy. – Pociągnęła nosem i westchnęła ciężko.

– Wiem, o czym mówisz.

– Trudno to stwierdzić, ale może kryje się w niej jeszcze odrobina dawnej Mimi?

– Możliwe – szepnęłam, po czym postanowiłam zmienić temat. – Czy Lucas kiedykolwiek pytał cię o naszego ojca?

Mona zamyśliła się. Przejechała językiem po zębach, zmrużyła oczy. W końcu zastukała twardymi paznokciami w stół i powiedziała:

– Tak. Około trzech miesięcy temu. Odniosłam wrażenie, że nie daje mu to spokoju. Zapytałam go, skąd to zainteresowanie po tylu latach, ale nic z niego nie wyciągnęłam. Tak czy inaczej na pewno jesteś ciekawa, co mu odpowiedziałam. Niestety nie mam pojęcia, kto jest waszym ojcem. To jedyna rzecz, której nigdy nie udało mi się wyciągnąć z Mimi, i wcale nie dlatego, że nie próbowałam. Oczywiście czasami rzucała jakimiś skrawkami informacji na jego temat. Wspominała, że był o wiele starszym od niej Europejczykiem, bardzo bogatym i żonatym. Ale wiesz, że Mimi miała skłonności do koloryzowania.

Nie powiedziała niczego, o czym sama bym nie wiedziała. Zrobiło mi się szkoda Lucasa.

– Wiem, że płacił Mimi alimenty, ale tylko wtedy, kiedy zaczynała mu grozić, że powie prawdę jego żonie. Nigdy jednak nie sięgnęła po więcej, bo on zagroził, że jeśli to zrobi, zabierze jej dzieci. Wiedział, że gdyby złożył pozew

o pełną opiekę, na pewno by wygrał, bo było go stać na wszystko co najlepsze. Ale czy cokolwiek z tego, co mówię, jest prawdą? Nie mam pojęcia. Mimi zawsze lubiła dramatyzować.

To było coś nowego. Po raz pierwszy słyszałam o alimentach. Fakt, że ktoś wiedział o naszym istnieniu i targował się o nas jak o bydło, było ciosem prosto w serce.

- Co zrobił Lucas, kiedy mu o tym powiedziałaś?

- Przede wszystkim zainteresowały go pieniądze. Ile Mimi dostawała, jak często i w jakiej formie.

Dobre pytania. Jeśli mężczyzna, który był naszym ojcem, co jakiś czas podrzucał Mimi jakąś sumkę, to musiał mieszkać w Wayoacie. Mimi twierdziła, że się wyprowadził i nawet nie wie o naszym istnieniu, ale wygląda na to, że było inaczej. Po Lucasie na pewno nie spłynęło to jak po kaczce.

- Oczywiście nie byłam w stanie mu odpowiedzieć. - Mona przeprasząco wzruszyła ramionami.

- Czy Lucas wspominał, że jest blisko celu i niedługo odnajdzie ojca?

- Co? Nie! Nic takiego nie mówił. A znalazł? Sama umieram z ciekawości, kto to!

Przed oczami stanęły mi scenki, nad którymi nigdy dłużej się nie zastanawiałam. Skropione łzami rozmowy telefoniczne Mimi, w sypialni, za zamkniętymi drzwiami, po których w jej pokoju znajdowałam opróżnioną butelkę wina. Albo w wannie zakończone ciśnięciem kieliszka o ścianę. Tygodnie później znajdowałam odłamki szkła za ubikacją. Często pytałam ją:

- Z kim rozmawiałaś? - ale tylko wstrząsała ramionami, jakby nie miała pojęcia, o czym mówię.

Kiedys - jak mogłam o tym zapomnieć? - podniosłam drugą słuchawkę i usłyszałam niski męski głos. Mówił, żeby Mimi się uspokoiła i szanowała jego decyzje. Później zaczął łagodzić sytuację („Okej, w porządku, wiem o tym”). Mimi odpowiadała jak nie ona, grzeczna i potulna. Nie rozpoznałam głosu ze słuchawki. Przez chwilę myślałam, że to jakiś nowy chłopak, bo byliśmy jeszcze w wieku, kiedy Mimi ciągle zmieniała chłopaków i kazała nam do nich dzwonić, żeby zapytać, kiedy wpadną albo kiedy spędzimy razem dzień. Tyle że tym razem Mimi nie mówiła uwodzicielskim tonem, jak zawsze to robiła, kiedy rozmawiała z kimś nowym.

- Tamtej nocy... - Tamtej nocy Mimi udawała się w miejsce, na którego punkcie Lucas dostał paranoi po jej „wypadku”. Wiedziałam, że to bez znaczenia. Nie uchroniłoby jej to przed urazem. Ale Lucas traktował tę informację jako brakujący element układanki.

- Wiem, o co teraz zapytasz, bo Lucas zapytał o to samo. Ale odpowiem ci to samo. Nie mam pojęcia, dokąd Mimi jechała tamtej nocy. Przysięgam na Boga. - Uniosła rękę jak składający ślubowanie harcerz. - Może nawet ona sama nie wiedziała? Te jej ciągle wahania nastroju. Była nieprzewidywalna. Odpychała mężczyzn, jakby już nigdy nie chciała mieć z nimi do czynienia, i tej samej nocy uwodziła kilku kolejnych. Szkoda, że wcześniej nie zaczęła tej swojej artystycznej działalności. Kupiłam jej obraz na kiermaszu na



rzecz Latarni Morskiej. Oprawiłam go i powiesiłam w salonie. Całkiem niezła z niej artystka. Szkoda, że nikt nie nakręcił o niej filmu, prawda? To miasto było dla niej za małe.

- Zawsze to powtarzała, ale nigdy nie wyjechała - odparłam cicho. Bo wyglądało na to, że jednak wcale nie było dla niej za małe. A może trzymał ją tutaj mężczyzna o niskim głosie? Szczególnie jeśli był żonaty. Chadzała z nami po mieście, żeby zrobić mu na złość. Znad naszych głów rzucała mu wściekłe spojrzenia w supermarkecie, a my nie mieliśmy pojęcia, że to nasz ojciec.

Nie podobało mi się, że Mona idealizuje moją matkę. Mimi na to nie zasłużyła.

- Co się z nią stało? Co sprawiło, że moja matka stała się właśnie taka? - Przez chwilę myślałam, że Mona zacznie udawać, że nie rozumie, o co mi chodzi, i potraktuje mnie protekcyjnie, mówiąc coś w stylu: „Przynajmniej Mimi starała się być dobrą matką...”.

- Wiesz, jaka jest Mimi. Nie lubi rozmawiać o przeszłości - powiedziała jednak i miała rację. Przy czym dla Mimi zdarzenia trafiały do przegródki „przeszłość” nawet po pięciu minutach. W dodatku przeszłość była niepodważalna, a więc i niepodatna na jakąkolwiek krytykę. A ten, kto ją wspomniał, dostawał łatkę pamiętliwego i czepliwego.

- Wiem, że nie dogadywała się ze swoją matką. Może to zdecydowało o waszej relacji. Mimi opowiadała o niej chłodno i z dystansem. Wszystko jej się należało, zawłaszczając sobie nawet ojca Mimi. Czasami myślę, że

samolubność jest w tej rodzinie dziedziczna... - Speszona tymi słowami milczała przez chwilę. - Oczywiście ty i Lucas możecie być z siebie dumni, że wyrosliście na tak uprzejmych i mądrych ludzi.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Miałam wrażenie, że słucham szumu radiowego.

Mona chwyciła mnie za nadgarstek.

- Wiesz, zawsze było mi ciebie szkoda. Wiem, że Mimi dawała ci popalić. Niektóre kobiety po prostu nie wiedzą, jak traktować córki. Z synami flirtują, a przy córkach całkiem się gubią. Myślę, że Mimi była bardziej podobna do swojej matki, niż myślała, ale kochała cię na swój sposób.

„Dawała popalić” to za mało powiedziane, ale to już nie miało znaczenia. Nic nie było w stanie zmienić tego, co do niej czułam.

Pożegnałyśmy się i Mona znowu mocno mnie przytuliła. Ku swojemu zaskoczeniu odwzajemniłam uścisk. Poczułam zalewającą mnie falę czułości. Przez chwilę nawet zatęskniłam za tym miastem. Chciałam zostać w ramionach Mony na zawsze.

Kiedy wyszłam na zewnątrz, oślepiło mnie światło słońca. W samochodzie było gorąco jak w saunie. Otworzyłam okna, próbując zwalczyć nudności. Myśli kłębiły mi się w głowie. Potrzebowałam garści adderallu, żeby je opanować, valium, żeby się wyciszyć, i stilnoksu, żeby zgasnąć i zupełnie zniknąć. Poczułam palące pragnienie. Pojechałam tam, gdzie Mimi miała wypadek samochodowy. Podobno zjechała z Main Street i wpadła na stary dąb. Na poboczu było kilka

takich drzew.

Jeśli Mimi jechała w tym kierunku, na pewno nie wracała do domu. Chociaż z drugiej strony kto wie? Może w pijackim uporze postanowiła zawrócić na środku drogi? Zaparkowałam samochód. Próbowałam przypomnieć sobie, które to było drzewo, ale nie mogłam. Założę się, że Lucas nie miałby z tym problemu.

Niebo zrobiło się ciemnożółte. Wsiadłam do samochodu i zaczęłam jeździć bez celu, w końcu zajechałam pod szkołę Kathy. Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy i siedziałam w samochodzie, obserwując drzwi. Nie miałam pojęcia, po co to robię. Chyba liczyłam na to, że zobaczę Kathy, jak niesie dywan, z którego wyslizguje się ręka Lucasa tuż przed tym, jak wrzuci jego ciało do furgonetki. Wilkesowie mieli mnóstwo miejsc, w których mogliby je ukryć: w fabryce żywności, w którejś z nieużywanych kadzi albo lodówce. Wyobraziłam go sobie martwego, z pustką w oczach.

Poddałam się. Wzięłam kawałek tabletki valium, żeby utrzymać w ryzach nerwy, i dwie tabletki adderallu, żeby nie zasnąć.

Nie ruszałam się z miejsca. Obserwowałam szkołę tylko po to, żeby nie mieć poczucia, że tracę czas.

Potem przejechałam dwa razy obok domu Wilkesów. No dobrze, może trzy. Zawracałam na końcu ulicy i przejeżdżałam ponownie. Ich parterowy dom był prawie cały przeszklony. Szkoda, że nie mogłam po prostu zaparkować i go obserwować. Przyglądać się Wilkesom w ich naturalnym środowisku, w którym łatwiej mogli popełnić

jakiś błąd, który doprowadzi mnie do Lucasa. Niestety pod domem stało dwa razy więcej furgonetek mediów. Reporterzy liczyli na kolejną konfrontację na werandzie pomiędzy mną a Kathy. Za drugim razem, kiedy przejeżdżałam obok domu, reporterzy zauważyli mnie i próbowali zatrzymać. Zaglądali do środka przez dziurę po wybitej szybie i zasypali pytaniami:

- Znowu chcesz zaatakować Kathy Wilkes?
- Czy twój brat jest mordercą?
- Ile jeszcze uczennic molestował seksualnie?

Wtuliłam się w fotel i szybko odjechałam.

Ruszyłam do szkoły Kathy. Zobaczyłam, jak z wypiekami na twarzy krzyczy na dziewczynki w różowych kostiumach.

Nagle na parking wjechał Ben, ale po chwili odjechał. Dziwne. Ruszyłam za nim. Pojechał do sklepu spożywczego, z którego wyszedł z paczką kabanosów slim jims. Wsiadł do samochodu i przeżuwał je, stojąc na parkingu. Nic się nie działo.

Może śledziłam nie tego Wilkesa, co powinnam? Ciekawe, co porabiał wieczorami Ian, kiedy Kathy była w szkole? Wyjechałam z Wayoaty i podjechałam pod zakład produkcji żywności, ale był ogrodzony i zamknięty za masywną żelazną bramą.

Przyłapałam się na tym, że jeżdżę w kółko bez celu. Postanowiłam wrócić do mieszkania Lucasa. Obracałam klucz w zamku, mając wizję, jak leżąc na kanapie, popija koktajl mleczny doprawiony stilnoksem i oxycontinem, kiedy nagle za moimi plecami otworzyły się drzwi do mieszkania

numer 45. Mówiąc ściślej, uchyliły, i dobiegł mnie wysoki, delikatny, niemal dziewczęcy głos:

- Przepraszam?

- Tak? - odwróciłam się, próbując zajrzeć do środka przez szczelinę w drzwiach.

- Mój kot uciekł... Nie wiem, jak to się stało. Czy może mi pani pomóc?

- Mogę spróbować... - powiedziałam tylko, bo nie miałam pojęcia, czego ode mnie oczekiwała.

- Jest czarny, z białym trójkątem na gorsie. Czy mogłaby pani go poszukać? Nie rozumiem, jak mógł uciec, naprawdę nie rozumiem... Kiedy szłam spać, leżał obok mnie, a kiedy się obudziłam, już go nie było. - Zapłakała, próbując złapać oddech.

Miałam swoją teorię, jak to się mogło stać. Russowi skończył się alkohol.

- Nazywa się Edgar. Proszę. - Rzuciła na podłogę paczuszkę łakoci dla kotów. Ze środka mieszkania doszło mnie żalosne zawodzenie innego kota. - Niech pani tym potrząśnie. Powinien przyjść.

Podniosłam paczuszkę smakołyków, spojrzałam na koniec korytarza i potrząsnęłam nią.

- Edgar, Edgar, chodź do mnie! - zawołałam.

Wołając kota, ruszyłam schodami na dół. Przez chwilę miałam wrażenie, że przed oczami mignął mi czarny ogon i niemal spadłam ze schodów z ekscytacji.

- Chodź, Edgar, chodź - powtarzałam, desperacko potrząsając paczuszką. Musiałam złapać Edgara, po prostu

musiałam. To jedyna sensowna rzecz, jaką mogłam zrobić. Poza tym czułam się bezużyteczna.

Straciłam z oczu ogon, ale założyłam, że kot musiał uciec do piwnicy. Z jednego z dwóch mieszkań na końcu korytarza dobiegało mnie łupiące, pulsujące techno rozkręcone na cały regulator. Nie sądziłam, żeby kot poszedł tam szukać schronienia. Rozejrzałam się wokół i ruszyłam w przeciwnym kierunku, w stronę magazynku. W środku stały duże szafki z drzwiczkami z dykty przeznaczone do składowania rzeczy przez mieszkańców apartamentów. Część z nich była zamknięta na kłódki. Kota ani śladu. Tylko rury. Rozejrzałam się po korytarzu. Na końcu była kotłownia, ale drzwi do niej były zamknięte.

Znalazłam kolejne drzwi na końcu niewysokich schodków, które prowadziły na zewnątrz budynku. Nie sądziłam, żeby mój klucz do nich pasował, więc popchnęłam je skrzynką z pustymi butelkami, które ktoś postawił obok. Najwyraźniej służyły właśnie w tym celu, bo drzwi otworzyły się. Rozejrzałam się po parkingu i okolicznych krzakach.

Wróciłam na parter i znowu wyszłam z budynku. Wołałam Edgara, potrząsając paczuszką, ale słyszałam tylko odbijający się echem mój głos. Zajrzałam za kosze na śmieci, a nawet do środka. Chyba do reszty już zwariowałam.

Wróciłam do budynku i weszłam do pralni. Jedna z pralek pracowała głośno. Przez szczelinę w drzwiczkach sączyła się piana z proszku.

Zaczęłam myśleć o kobiecie spod 45. Czy naprawdę miała agorafobię? Jak w takim razie robiła zakupy? I pranie? Nagle

mignęło mi czarne futerko. Edgar schował się za suszarką.

- Masz. - Wyjęłam z paczuszki smakołyk.

Udało mi się go wywabić. Kiedy tylko wzięłam go na rękę, ugryzł mnie. Upuściłam go, ale na szczęście natychmiast znowu złapałam.

- Mam cię! - powiedziałam kilka razy, wracając na górę. Kiedy dotarłam pod drzwi, obwieściłam triumfalnie: - Mam go! Złapałam Edgara! - Z oczu kapały mi łzy na lśniące czarne futerko.

Drzwi otworzyły się.

- Ciszej! Nikt się nie może dowiedzieć. Nie można tu trzymać kotów.

Edgar natychmiast wyslizgnął mi się z dłoni i dał nura do środka.

Chciałam powiedzieć, że dozorca i tak już o tym wie, i wyjaśnić, dlaczego tak sędzę, ale drzwi zatrzęsły się przed moim nosem.

- Niech pani podstawia krzesło pod klamkę - doradziłam przyjaźnie, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Oparłam czoło o drzwi i burknęłam: - Nie ma za co.

Byłam w stanie zbliżonym do śpiączki dzięki towarzyszącemu mi wielkiemu orszakowi środków uspokajających, kiedy nagle poczułam, że ktoś chwyta mnie za rękę i otwiera pięści, w które je zacisnęłam we śnie. Usłyszałam dźwięk otwieranej tubki, a po chwili poczułam na dłoniach coś chłodnego. I ciepły oddech.

Na wewnętrznej stronie moich dłoni ktoś zataczał małe kółeczka, rozsmarowując maź, wklepując ją nawet w kostki.

Czułam palce wślizgujące się między moje palce powolnymi, mechanicznymi ruchami.

Niewzruszony tym, w jakim byłam stanie. Jakby wcześniej obserwował, jak połykam garść tabletek.

Próbowałam się obudzić, wyrwać dłonie, ale nie mogłam. Z każdą sekundą zapadałam w coraz głębszy sen, jak w pułapkę. Nie mogłam poruszyć palcami. Nie mogłam otworzyć oczu. Straciłam kontrolę nad swoim ciałem (tak właśnie działają środki uspokajające). Byłam sparaliżowana. Nawet serce biło powoli i równomiernie, podczas gdy gdzieś w środku krzyczałam z przerażenia.



# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

## *Dzień dziewiąty*

### *Czwartek*

Kiedy wreszcie się obudziłam, słońce wpadało do mieszkania przez żaluzje, rzucając na dywan pionowe cienie jak więzienne kraty. Byłam mokra od potu. Już miałam zaliczyć zdarzenia wczorajszej nocy do mojego zbioru dziwnych halucynacji albo sennej wizji, ale kiedy powąchałam dłoń, poczułam ostry zapach wanilii. Zerwałam się na równe nogi i złapałam telefon.

- Czy mogłaby pani sprawdzić, czy Miranda Haas jest w swoim pokoju?

- Oczywiście, że jest.

- Prosiłabym jednak o sprawdzenie. Mówi jej córka, Mia Haas.

Pielęgniarka ruszyła z telefonem w rękę. Słyszałam, jak powoli wspina się po schodach. Słyszałam jej ciężki oddech. Ktoś nasmarował mi dłonie kremem. Skreśliłam z listy podejrzanych Russa, bo nie ograniczyłby się tylko do dłoni. Byłby podejrzanym, gdyby zapach wanilii dobiegał z mojego dekoltu, no i gdyby zniknęło kilka butelek whisky. Ale nie. To musiała być Mimi. Ten dotyk miał w sobie coś z matczynej czułości. Może to od początku była Mimi? Może to ona

zakradała się do mnie i podbierała rzeczy Lucasa? Może wiedziała, gdzie on jest?

- Czy ona znowu uciekła? - spytałam, krążąc po mieszkaniu. Zaglądałam do szafek, za leżankę, pod łóżka. Byłam pewna, że Mimi zaraz skądś wyskoczy.

- Nie. Po ostatniej ucieczce podjęliśmy dodatkowe środki ostrożności. Na noc zamykamy ją na klucz. Rozumiem, że to może wydawać się okrutne...

- Nie, w porządku. To dobra decyzja.

- Właśnie otwieram drzwi do jej pokoju. - Usłyszałam szcęk kluczy, po czym ciche przekleństwo pielęgniarki rzucone pod nosem. - Przepraszam, to nie ten klucz. Proszę poczekać. - Po chwili usłyszałam zirytowany głos Mimi: „Czego chcesz?”, po czym pielęgniarka powiedziała, że Mimi jest u siebie.

- Słyszałam. Czy w jej pokoju jest okno? Czy mogłaby uciec oknem?

- Oczywiście, że jest tu okno. Tego wymagają przepisy dotyczące ochrony przeciwpożarowej budynku. Ale pokój Mimi mieści się na drugim piętrze... - zrobiła pauzę, jakby chciała skarcić mnie za to, że nie mam pojęcia o warunkach, w jakich mieszka moja matka - więc nie mogłaby uciec przez okno, nie doznawszy kontuzji. Panno Haas, nie ma możliwości, żeby pani matka wyszła oknem.

Rzeczywiście. Chyba że ktoś ją wypuszczał. Na przykład Kathy? Może szeptała jej do ucha różne okropności, wciskając w dłoń klucze do mieszkania Lucasa? Próbowwała tak zmanipulować Mimi, żeby odwaliała za nią brudną robotę,

czyli pozbyła się mnie. Tylko co dalej? Zamiast mnie zabić, Mimi posmarowała mi ręce kremem? Znow dopadła mnie gonitwa myśli, zaczęłam się pocić z nerwów. A może nadal doznawałam halucynacji? I wcale nie pachniałam tym, czym myślałam? Przyłożyłam dłoń do nosa i niemal wymiotowałam. Ktoś posmarował mi ręce, kiedy spałam. Na pewno. Pobiegłam do łazienki i szorowałam je długo i starannie, aż wreszcie pozbyłam się zapachu wanilii.

Padłam na kanapę, wciąż otumaniona po wczorajszej dawce leków. Czułam się zbrukana. Czułam, że tracę rozum. Miałam wrażenie, że mieszkanie Lucasa, telewizor, półka z książkami, żółta karteczka Post-it przyklejona do nogi leżanki i każda kolejna minuta mojej niewiedzy były taflą szkła, za którą tkwiłam. A gdybym jej dotknęła, ugięłaby się pode mną, ale nigdy jej nie zbiję.

Zaraz, zaraz... Żółta karteczka Post-it? Sięgnęłam po nią i odkleiłam od leżanki. Była zapisana liczbami charakterem pisma Lucasa. Adres.

Jechałam na południe do małego kurortu położonego nad bagnistym jeziorem, nad którym stały olbrzymie „domki letniskowe” tych mieszkańców Wayoaty, których było na nie stać. Miasteczko wyglądało jak plan filmowy, pełne starodawnych witryn sklepowych i markiz. Jechałam zgodnie ze wskazówkami mapy Google’a. Minęłam fast food Dairy Queen, do którego tłoczyła się kolejka, market wiejski z zespołem jazzowym grającym na prowizorycznej scenie i patio gromadzące wszystkich tych, którzy nie bali się otworzyć piwa w południe. Zwyczajne życie w kurorcie.

Dwa razy przejechałam domek. Był schowany głęboko za drzewami. Wiedziałam, że to domek z pamiętnika Joanny Wilkes. Wiedziałam to, zanim wyszłam z mieszkania. Karteczka Post-it musiała być wcześniej w kopercie, którą odkleiłam z tyłu półki z książkami. Pewnie wypadła i przypadkiem przykleiła się do leżanki. Czy to tutaj spotykała się z Lucasem na ich tajne rendez-vous? Czy kiedy jechali tu po raz ostatni, Lucas położył spoconą dłoń na jej kolanie, mówiąc coś w stylu: „Nikt nie zrozumie naszej miłości”, uśmiechając się kącikiem ust?

Domek wyglądał, jakby od kilku lat nikt w nim nie bywał. Okna były zabite deskami, z zewnątrz wyglądał na zaniebany. Wyłączyłam silnik, a po chwili próbowałam otworzyć siatkę na komary przed drzwiami frontowymi. Oczywiście była zamknięta. W siatce była niewielka dziura. Włożyłam przez nią rękę i nacisnęłam klamkę drzwi wewnętrznych, ale też były zamknięte. Poszłam na tył domu, skąd prowadziły drewniane schodki do przystani i małego garażu dla łodzi. W liściach pod moimi nogami przebiegło jakieś zwierzę. Tylne wejście również było zamknięte.

Ruszyłam schodkami do rozpadającej się szopy na łódki. Przystań zarosło kurze proso. Na jeziorze pobłyskiwały tęczowe kałuże oleju. Drzwi do szopy również były zamknięte. Użyłam kluczyków od samochodu, żeby zrobić dziurę w siatce na komary. Sięgnęłam ręką przez kostropaty otwór i przekręciłam gałkę klamki.

W środku nie było łodzi. Ostrożnie weszłam do środka, uważając, żeby nie wpaść do wody. W podłodze brakowało

desek, a większość z nich była przegniła. Bałam się, że w każdej chwili konstrukcja może runąć. Na gwoździu wisiała stara kamizelka ratunkowa, na podłodze leżało przechylone canoe. Pod stołem warsztatowym leżał stary zardzewiały kanister. Wszędzie było pełno pajęczyn upstrzonych martwymi i zasuszonymi jak rodzynki owadami.

Nie wiem, co mną kierowało, ale uklęknęłam i sięgnęłam za jedno z wiosł. Pomyślałam o złotym kluczyku. I rzeczywiście tam był. Z jakiegoś powodu czułam, że tam będzie, i ten fakt mnie przestraszył. Zaczęły trząść mi się ręce i upuściłam kluczyk na spróchniałą deskę tuż przy wodzie.

Od kiedy tu przyjechałam, męczyło mnie coś w rodzaju *déjà vu*. Pierwszy raz poczułam je, kiedy weszłam na schodki przed domem. Jakby koścista dłoń chwyciła mnie za kark i z każdym krokiem zacieśniała uścisk. Wiem, że uczucie *déjà vu* może być oznaką podwyższonego poziomu dopaminy we krwi spowodowanego niektórymi środkami pobudzającymi, więc może nie powinnam się tym przejmować, ale jak wytłumaczyć to, że wiedziałam, gdzie szukać zapasowego klucza? I skąd w ogóle wiedziałam, że jest zapasowy klucz?

Klęcząc, chwyciłam kluczyk, ale najpierw spojrzałam na wodę. Pomyślałam, że jeśli Wilkesowie naprawdę zabili Lucasa, mogli zrobić to właśnie tu. Lucas z ciężarkami przywiązanymi do ciała, z przerażeniem w oczach, z otwartymi ustami, do ostatniego tchu wołający o pomoc. Rysy twarzy rozmywają się spuchnięte od wody.

Zlał mnie zimny pot. Zobaczyłam swoje odbicie w tafli wody i przez krótki moment myślałam, że widzę twarz

Lucasa. Ale było to moje odbicie. Odskokczyłam do tyłu i skaleczyłam palec o nieoszlifowaną deskę. Ze strachu nie mogłam złapać tchu. Czułam się, jakby coś wsysało mnie do środka. W uszach pulsowała mi krew. Zamknęłam oczy. Staralam wsłuchać się w dźwięk motorówek płynących w oddali. Oddychałam głęboko, przez nos, próbując się uspokoić. Przygryzłam dolną wargę.

Weź się w garść. Później będzie czas na słabość. Teraz musisz się pozbierać – powtarzałam do siebie w duchu.

Kiedy ruszałam w stronę domku, zobaczyłam coś na powierzchni jeziora. Musiała to być wysepka usypana z kamieni. Wyglądała jak plecy morskiego potwora i znowu poczułam déjà vu, tyle że o wiele silniejsze niż wcześniej. Nie dawało mi to spokoju. To prawie-wspomnienie obijało się o wnętrze mojej czaszki jak koliber na metamfetaminie, który nie zostawał nigdzie na tyle długo, żebym mogła zaszufadkować je w odmętach pamięci.

Poszłam schodkami na górę. Klucz pasował do zamka od tylnych drzwi i znalazłam się w środku dużego przedsionka, którego podłoga usłana była stertą martwych liści. Pomieszczenie pachniało stęchlizną i zgniłymi jabłkami. Poszłam w prawo, ale nim jeszcze ruszyłam, wiedziałam, że trafię do kuchni. Kiedyś już tu byłam. Byliśmy tu razem. Nie miałam pojęcia, o czym to świadczyło, ale z jakiegoś powodu znałam rozkład całego domu. Wiedziałam dokładnie, jak wyglądały zakryte prześcieradłami meble pokryte z wierzchu grubą warstwą kurzu.

Potem poszłam korytarzem, który prowadził do pięciu

pokoju i łazienki, a kończył się pomieszczeniem, które nazywaliśmy „wielką sypialnią”. Później wspierałam się po schodach na strych. To tu był ten okrągły świetlik, o którym pisała Joanna w swoim pamiętniku. Wspomnienia powoli ożywały. Lucas i ja bywaliśmy tu, bawiliśmy się w berka w tym dziwnym, kanciastym pomieszczeniu. Chowaliśmy się za starą drewnianą skrzynią, walczyliśmy z cieniem manekina i przesiadywaliśmy na kosmicznej podłodze skąpani w świetle księżyca wpadającego do środka przez świetlik.

Z zewnątrz dobiegł mnie chrzęst żwiru. Ktoś tu jechał! Wyjrzałam na dwór przez małe okienko z luksferów. Tuż za moim malutkim samochodem, który wyglądał jak zabawka, stanęła monstrualna ciężarówka Bena. Wysiadł z niej i ruszył w stronę domku. Odskokczyłam od okna jak oparzona. Wpadłam na manekin i prawie go przewróciłam, ale instynktownie złapałam w ostatniej chwili, oparłam o ścianę i pobiegłam przez strych do schodów. Kiedy zaczęłam zbiegać, na dole trzasnęły drzwi od wiatrołapu. Zamarłam. Co miałam robić? Uciekać przez główne drzwi, licząc na to, że uda mi się go wyprzedzić i dobiec do zablokowanego tirem samochodu? A potem co? Liczyć na to, że znajdę w okolicy sąsiadów, którzy po pierwsze będą w domu, a po drugie zechcą pomóc (tej, która atakuje pogrążone w żałobie matki) uciec przed Benem Wilkesem? Ścisnęło mnie w gardle, jakby Kathy znowu próbowała mnie udusić.

Po cichu, schodek po schodku, schodziłam na dół i nasłuchiwałam. Znałam rozkład domu i mogłam to

wykorzystać, żeby się wymknąć. Usłyszałam świst, jakby Ben zdejmował prześcieradła z mebli. Był w salonie, który musiałam minąć, żeby dostać się do drzwi frontowych. Wślizgnęłam się do pierwszego z brzegu pokoju. Był urządzone jak dla dziewczynki. Łóżko z pomalowaną na biało ramą z kutego żelaza. Na łóżku nie było pościeli. Białe mebelki i biała drewniana skrzynia. Schowałam się w pustej szafie i czekałam. Od kłującego nozdrza zapachu kulek na mole zaczęłam łzawić.

Wcisnęłam się głęboko w kąt szafy. Wtedy dotarło do mnie, że już kiedyś w niej byłam. Dokładnie tak samo jak teraz: schowana w tym samym pokoju, w tej samej szafie. To była moja sypialnia. Te zdarzenia zaginęły w odmętach mojej pamięci, ale to był mój pokój! A ja chowałam się w tej szafie. Tyle że wtedy szukał mnie Lucas.

Powolne kroki stawały się coraz głośniejsze. Zdjęłam coś z wieszaka, chyba sukienkę, kucnęłam i nakryłam się nią. W korytarzu skrzypnęła deska podłogowa. Potem zawias od drzwi. Ben zaglądał do szafy w pokoju sąsiadującym z moim. Moim. Moim?! Co tu się, do cholery, działo?!

Wstałam. Czy zdążę uciec, jeśli też wybiegnę? Zawiasy skrzypnęły drugi raz. Nie zdążę. Już był w korytarzu. Kucnęłam z powrotem w szafie i czekałam, aż smuga srebrnego światła wpadnie do pokoju przez pęknięte drzwi szafy. A Ben otworzy drzwi i wyciągnie mnie z niej za nogi.

Wyjęłam kluczyk od samochodu i włożyłam go między palec wskazujący i środkowy. Wbiję mu go między oczy, może przynajmniej zostanie po mnie kilka blizn na jego



mięciutkich policzkach.

Gdy wszedł do pokoju, przestałam oddychać. Pochyliłam się do przodu i wyjrzałam przez szczelinę. Ben położył się na brzuchu, zajrzał pod łóżko i znów stał na nogach. To, jak się ruszał, powoli i bez pośpiechu, od jednego pokoju do drugiego... był pewien, że ma mnie w garści.

Kiedy ruszył w stronę szafy, zwinęłam się w kulkę, złożyłam się wpół jak krzesło ogrodowe i czekałam z kluczem w pogotowiu. Ben położył dłoń na klamce, przekręcił ją i...

- Matkoboska! aśkiśpełnaświęćsięmiętwoje...

Nagle coś huknęło na strychu. Manekin musiał się przewrócić. Ben zostawił szafę i pobiegł korytarzem w stronę schodów.

Rzuciłam się do ucieczki. Wybiegłam przez drzwi frontowe do ogrodu. Ben zbiegł z góry i zaczął mnie gonić. Wskoczyłam do samochodu i w ostatniej chwili zamknęłam drzwi od środka, a on rzucił się na drzwi rozwścieczony jak Cujo. Włączyłam silnik i próbowałam wyjechać, manewrując to w przód, to w tył, a przy okazji kilka razy przywalałam w tira. Gdyby nie to, że miałam już wybitą szybę, teraz na pewno bym ją wybiła. Przedni zderzak ciężarówki runął na ziemię.

Samochód szarpnął i wylądowałam na czymś, co kiedyś było rabatką. Przednim kołem najechałam na cegłę. Samochód zaczął buksować, a ja spanikowałam. Trzęsącymi się dłońmi wrzuciłam luz zamiast wstecznego i poczułam smród spalin. Ben sięgnął do środka przez dziurę w szybie.

- Odpieprz się! Zostaw mnie w spokoju! - wrzasnęłam.

Udało mi się wrzucić wsteczny i samochód skoczył do tyłu, a Ben potknął się i upadł na podjazd.

Z całej siły skręciłam w prawo. Porysowałam przód tira, ale udało mi się wyjechać na trawnik. Gruda ziemi wypadła mi spod kół i przez chwilę buksowałam w dołku. Już myślałam, że nie uda mi się z niego wyjechać, ale jakimś cudem dałam radę. Wyjechałam na drogę. Spojrzałam w lusterko i zobaczyłam, jak Ben wymachuje rękami.

Dopiero kiedy minęłam Dairy Queen, oddech mi się wyrównał, a napięte i gotowe do działania mięśnie zaczęły wiotczeć. Flaczałam jak dętka. Ręce zsuwały się z kierownicy, a stopa stawała się coraz cięższa, jak z ołowiu. W nozdrzach wciąż czułam zapach spalin i kulek na mole. Obejrzałam się przez ramię pewna, że zobaczę ciężarówkę Bena próbującą mnie dogonić, ale nikogo nie dostrzegłam. Co on zamierzał mi zrobić? Przywiązać do krzesła w salonie (i to salonie, w którym już kiedyś byłam)? Czekać na Kathy, która pochodzi wokół mnie, bawiąc się linijką, aż wreszcie podejmie decyzję, jak się mnie pozbyć? Czy uraczyłaby mnie długą przemową o tym, jaka jestem nikczemna? Powiedziałyby mi, co zrobili Lucasowi, zanim roztrzaskaliby mi czaszkę? Nie. Kathy to kobieta interesu i pewnie zajęłaby się mną w równie obojętny sposób, w jaki co roku patroszy indyka. Na myśl o niewzruszonym wzroku Bena i ciepłym oddechu Kathy, moje serce znowu zaczęło bić jak szalone. Zniosło mnie z mojego pasa i ktoś na mnie zatrąbił. Mijając mnie, pokazał środkowy palec. Oddychaj, powtarzałam sobie w myślach.

Co jeszcze pamiętałam z czasów spędzonych w tamtym domku? Spanie w łóżeczku z baldachimem, chowanie się w szafie, w której ukryłam się przed Benem.

Ugryzłam się w dolną wargę. Elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Wiedziałam, że znam to jezioro. Obraz w mieszkaniu Lucasa! Obraz, który namalowała Mimi! Przedstawiał widok na jezioro z przystani.

Ale co to oznaczało? Że Mimi spotykała się z jakimś Wilkesem? Albo Russo, czyli członkiem rodziny Kathy? Ktoś z nich zabrał nas do tego domku? Nie mogłam wymyślić żadnego innego powodu, dla którego miałabym pamiętać to miejsce. Kathy była ode mnie co najmniej o dziesięć lat starsza i miała dwóch braci o wiele młodszych od Mimi. Chociaż czy wiek miał dla niej jakiegokolwiek znaczenie...? Mimo wszystko to brzmiało zbyt sielankowo, żeby któryś z nich zaprosił nas do swojego domku nad jeziorem. A Mimi była zdecydowanie za stara na to, żeby chwalić się nią rodzicom.

Mąż Kathy był od niej o wiele starszy, a przynajmniej tak wyglądał. Jego włosy były przerzedzone i siwe, ale to jeszcze wiosny nie czyni. Raczej nie był w tym wieku, w którym mógł stać się apetycznym kąskiem dla Mimi. Chyba że przed laty wyglądał młodo. Może dlatego Kathy podczas bójki na jej trawniku nazwała moją matkę „puszczalską”? Czyżby to Mimi pokazała jej mężowi, czym jest prawdziwy seks? Kiedy Carolyn wyzywała Mimi, wiedziałam, że szukała sposobu, żeby mnie zranić, ale jakie powody miała ku temu Kathy?

Zaczynałam domyślać się, o co w tym wszystkim chodzi,

ale jeszcze nie dopuszczałam do siebie tej możliwości. Jeszcze nie teraz. Najpierw musiałam porozmawiać z Mimi.

Mimi drzemała. Wszyscy mieszkańcy domu opieki mieli obowiązkową drzemkę poobiednią, jak przedszkolaki. Kiedy otworzyłam drzwi, leżała na plecach, a jej włosy rozsypane na poduszce wyglądały jak złoto-szara korona. Wyglądała pięknie, kiedy spała. Pamiętam, że kiedy byłam mała, często obserwowałam ją we śnie. Podchodziłam blisko, studiując każdy mięsień. To był jedyny moment, kiedy była zrelaksowana. Czasami zastanawiałam się, czy w ogóle wiem, jak ona naprawdę wygląda. Patrzyłam na nią do znudzenia.

Rozejrzałam się po jej pokoju. Widziałam słoiczki z zasychającą farbą i kubeczki z ołówkami. Szukałam kremu do rąk o zapachu wanilii, ale nie znalazłam. Nachyliłam się nad nią, żeby wyrzucić przez okno, ale nie zobaczyłam nic takiego, po czym mogłaby wspiąć się na górę. Żadnego murku ani rynny, po której mogłaby ześlizgnąć się na dół. Pielęgniarka nie kłamała.

Przejrzałam szkice Mimi i znalazłam więcej kwiatów, sękatych drzew, pól i zachodów słońca nad wodą. Było też kilka portretów Lucasa. W garniturze, spacerujący po polu, siedzący na krześle z nogą założoną na nogę. Na ścianie wisiały najlepsze obrazy powstałe na podstawie rysunków ze szkicownika Mimi. Piękne, zapadające w pamięć. Eksplozja kolorów tuż nad jej łóżkiem.

Usiadłam w fotelu bujanym przy łóżku i po chwili uświadomiłam sobie, że znowu to robię. Obserwuję twarz

Mimi. Patrzyłam na kurze łapki wokół oczu, na delikatną linię nosa i usta palacza, które zawsze wyglądały tak, jakby z jednej strony podtrzymywał je niewidzialny palec. Jakby złośliwie się uśmiechała, nawet przez sen. Nie było między nami podobieństwa. Kiedy pierwszy raz w życiu usłyszałam, że każda kobieta z wiekiem zamienia się w swoją matkę, miałam dziewięć lat. Przez tydzień płakałam w sypialni. Od tamtej pory robię wszystko, co w mojej mocy, żeby tak się nie stało.

A jednak czując gorzkawy smak tabletek w ustach, wiedząc, że sama ją tutaj umieściłam, mając przy tym świadomość, że w ciągu zaledwie kilku dni od przyjazdu uprawiałam seks, musiałam przyznać, że nie idzie mi to najlepiej.

Gdy oczy Mimi niczym oczy lalki otworzyły się gwałtownie, powiedziałam:

- Cześć.

Mimi zamrugała i zapytała zasnętym głosem:

- Co ty tu robisz?

- Przyszłam w odwiedziny. - Przez chwilę zastanawiałam się, czy pamiętała, że ją wydałam, kiedy uciekła, i czy wciąż jest na mnie zła z tego powodu. Na wszelki wypadek odsunęłam się z fotelem, żeby nie mogła mnie dosięgnąć.

- Ach tak. - Wypełzła spod koca i usiadła na łóżku. - W takim razie cześć.

Jej głowa wciąż opadała na klatkę piersiową, jak u zasnętego szczeniaczka. Przetarła oczy zmarszczonymi dłońmi.

- Podobają mi się twoje obrazy. Są naprawdę piękne - zmusiłam się, żeby to powiedzieć. Próby nawiązania konwersacji z Mimi zawsze wymagały ode mnie wiele wysiłku.

- Sprzedaję swoje prace na targach sztuki.

„Moje prace” to brzmi poważnie, pomyślałam.

- Słyszałam. Bardzo się z tego cieszę. - Uśmiechnęłam się ciepło, a ona przytaknęła. - Chciałabym kupić jeden. Czy masz jakieś prace na sprzedaż?

Spojrzała na mnie spode łba, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wyłapałam przelotny uśmiezek.

- Ten jest na sprzedaż - machnęła ręką w stronę ściany z obrazami, ale nie wskazała żadnego konkretnego.

- Który? Ten? - spytałam.

- Zimno!

Ach tak, zachciało jej się gierki w ciepło-zimno. No trudno. Wskazałam palcem kolejny obraz, a ona znowu rzuciła:

- Zimno! - i przypaliła papierosa. - Zamknij drzwi - poleciała. - Nie wolno nam palić w środku. - Wstała na łóżku, żeby uchylić okno, po czym klapnęła na brzuch i sięgnęła po starą butelkę po wodzie mineralnej wypełnioną zażółconą wodą. Na wierzchu pływały pomarańczowe filtry od papierosów. Wyglądały jak zdechłe i napęczniałe od wody złote rybki. - Próbuj dalej! - Klasnęła w dłonie.

Próbowałam. Po kolei wskazywałam obrazy, leciutko muskając je palcem, żeby nie uszkodzić farby. W końcu wybrałam jeden z portretów Lucasa.

- Ten bardzo mi się podoba - oznajmiłam. Wiedziałam, że

nie powinnam zamęczać jej pytaniami, bo zamknie się w sobie, a ja zostanę jedynie ze skrawkami informacji. Zawsze tak robiła.

- Zimno, bardzo zimno. - Mimi zaczynała wyglądać na coraz bardziej podenerwowaną.

- To bardzo ładny portret Lucasa. Wygląda dokładnie jak on.

- To nie Lucas! - Parsknęła śmiechem.

- Naprawdę? Wygląda dokładnie jak on.

Przyglądałam się obrazowi, modląc się w duchu, żeby wreszcie cała ta zabawa dobiegła końca. Twarz rzeczywiście trochę przypominała mi kogoś innego. Lucas nie miał takich oczu. Te oczy bardziej przypominały moje z kształtu i koloru.

- Kto to jest? - zapytałam w końcu. Zaszło mi w gardle.

- Dobrze wiesz, kto to jest, głuptasie - Mimi wstała z łóżka. Chwyciła się w kroku za różowy szlafrok, jakby chciało jej się siusiu.

Wtedy zrozumiałam. Nagle wszystko stało się jasne. Pan Chowany! Przypomniałam sobie, jak Mimi kazała nam uciekać do pokojów, bo zaraz będzie mieć gościa. A wcześniej rozkładała kanapę w salonie. Nakładała świeżą pościel, poprawiała poduszki. Flaszki mocnego alkoholu, który zazwyczaj piła, zamieniała na butelkę czerwonego wina. Jedyne momenty, kiedy czyściła popielniczkę, to kiedy spodziewała się Pana Chowanego. Nazywaliśmy go tak, bo zawsze sypiał na rozkładanej kanapie (pamiętam coś o bólu pleców i o tym, że łóżko Mimi jest za miękkie), a my jako dzieci mówiliśmy na nią „wyciągana kanapa”, tyle że Pan

Wyciągany nie brzmiało najfortunniej. Poza tym podczas jego wizyt musieliśmy grzecznie siedzieć w swoich pokojach, dopóki któremuś z nas nie zachciało się do ubikacji albo pić. Kiedy skradaliśmy się po cichu do toalety, Mimi wołała nas i mieliśmy chwilę, żeby porozmawiać z Panem Chowanym. Teraz wydawało mi się, że wyglądał dokładnie jak Lucas, chociaż nie miało to najmniejszego sensu, bo Mimi zawsze mówiła, że to ja odziedziczyłam jego urodę.

- To Pan Chowany! - powiedziałam.

Mimi zarechotała jak wariatka.

- Tatuś, tatuś, tatuś! - Jej słowa odbijały się echem od ścian. Z większości obrazów schodziła farba i zwijały się na kantach.

- Mimi, powiedz mi, jak on się nazywa. Proszę.

- Zgaduj!

- Nie chcę zgadywać. Po prostu mi powiedz.

Mimi skrzyżowała ręce na piersi i pokiwała przecząco głową.

- Przynajmniej powiedz alfabet - rzuciła.

- Alfabet? O czym ty mówisz?

- Mów alfabet, a ja będę kiwać głową, kiedy wypowiesz literę, na którą zaczyna się jego nazwisko.

- No dobrze, niech ci będzie. ABCDE... - czułam, że zaraz pęknę ze złości. Robiła to specjalnie. Zaczęłam się śpieszyć. FGHIJ zabrzmiały jak jedna sylaba. Bawiła się ze mną w kotka i myszkę, jak zawsze zresztą. A i tak nie miałam pewności, że kiedy wypowiem odpowiednią literę, kiwnie głową. Pewnie przeczeka, aż powiem cały alfabet bez słowa.



Takie zabawy lubiła. Przeskoczyłam do liter, które mnie interesowały.

- W? R?

- Nie, nie, nie. Nie grasz zgodnie z zasadami. - Zapaliła kolejnego papierosa i dodała: - Musisz zacząć od początku.

Przez chwilę stałam bez ruchu, próbując się nie rozpląkać.

Mimi zawsze zachowywała się jak dziecko, nie jak rodzic, nawet przed wypadkiem. Usiadła na łóżku i nadstawiała uszu niczym piesek. Czułam, że zaraz porwą ją zupełnie inne emocje. Znałam ją na wylot. Ją i jej huśtawki nastrojów, których nawet ona nie potrafiła przewidzieć. Natomiast nie miała bladego pojęcia, jaka ja jestem.

Obawiałam się, że tym razem nie wystarczy mi cierpliwości, ale spróbowałam.

- Niech ci będzie. A, B, C... - kiedy doszłam do „O”, Mimi przerwała mi.

- Jestem głodna. Chodźmy do restauracji - wstała i podeszła do szafki z ubraniami.

- Nie, Mimi. - Położyłam dłoń na szufladzie, którą chciała otworzyć. - Powiedz, jak się nazywa Pan Chowany.

Zaczęła ciągnąć za szufladę, napinając mięśnie ledwie widoczne pod warstwą obwisłej skóry.

- Puść to. Jesteś okropna.

- Nie puszczę, dopóki nie powiesz mi, kto jest moim ojcem.

- Trzymałam kurczowo szufladę. Zaczęłam się pocić, czułam, jak płoną mi policzki.

Mimi nie przestawała ciągnąć szuflady.

- Nigdy ci nie powiem. Przesuń się! - Upadła na kolana

i próbowała wysunąć szufladę od spodu. Udało jej się wysunąć ją o centymetr. Wślizgnęła dłoń do środka w tym samym momencie, kiedy ja z całej siły ją zamknęłam. Mimi zawyła z bólu.

- Przepraszam! Przepraszam, nie zrobiłam tego specjalnie!  
- krzyknęłam. Znowu ją skrzywdziłam.

Mimi pochyliła się i przez chwilę myślałam, że chce mnie pocałować, ale wbiła mi zęby w ramię. Położyłam dłoń na jej czole, żeby ją odepchnąć. Mimi udało się podnieść i wybiegła na korytarz, wołając pielęgniarkę i Lucasa.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wsiadłam do samochodu, który zaparkowałam pod bramą żółtego domu. Przeszukałam torbę, ale znalazłam tylko pustą buteleczkę po lekach. W takich chwilach zawsze wywracałam torebkę na lewą stronę w nadziei, że znajdę luzem zawieruszoną tabletkę. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę białą pigułkę wpadającą między siedzenia. Próbowałam ją znaleźć, ale nie udało się. Może mi się przywidziało?

Nagle przestało mieć to znaczenie, bo cały smutek, poczucie dezorientacji i frustracji, które się we mnie nagromadziły, wybuchły. Wydałam z siebie prymitywny, płaczliwy ryk. Coś w rodzaju dzikiego, wściekłego okrzyku wojennego. Pieprzona Mimi!

Pan Chowany był naszym ojcem. Był też Wilkesem albo nawet Russo. Albo ich przyjacielem, jeśli zabrał nas do ich domku nad jeziorem, kiedy byliśmy dziećmi. Lucas przeczytał pamiętnik Joanny, rozpoznał domek z opisu i...? Postanowił uwieść swoją potencjalną kuzynkę? Na pewno nie zabił Joanny, teraz nie miałam już nawet cienia wątpliwości. Joanny, która mogła być jego, przepraszam, naszą siostrzenicą albo kuzynką. A może nawet siostrą przyrodnią? Jeśli Lucas z nią sypiał, może zaczął się nią brzydzić, kiedy poznał prawdę? A może w tym wszystkim chodziło tylko o to, żeby ją lepiej poznać? Nie mieli żadnego romansu, a Lucas

chciał tylko się dowiedzieć, kim jest nasz ojciec.

Przypomniałam sobie o teście w GenTech. Może to wcale nie był test na ojcostwo? Może chodziło o to, żeby sprawdzić, czy Lucas był spokrewniony z tym, którego uważał za naszego ojca? Ale jak miałyby to zrobić? Użył włosów Joanny jako próbki? To by wyjaśniało, po co je trzymał. Ale przecież w dzisiejszych czasach wystarczała próbka śliny.

Zadzwoiłam do GenTech. Odebrała kobieta o piskliwym głosie, jak u postaci z kreskówki. Powiedziała, że wszystkie informacje dotyczące klientów są objęte tajemnicą lekarską i żadne osoby trzecie nie mają do nich dostępu. Nigdy, przenigdy. Tak to ujęła: „nigdy, przenigdy”. Jakbym prosiła o gwiazdkę z nieba albo coś równie abstrakcyjnego.

Przynajmniej miałam zdjęcie swojego ojca. To znaczy w interpretacji Mimi. Zwinęłam jeden z obrazków ze ściany, zanim wyszłam z pokoju. Znalazłam długopis i pomalowałam mu włosy na czarno.

Zatrzymałam się przy pierwszym napotkanym po drodze barze. Mieścił się w tak zwanej artystycznej części miasta, czyli między sklepem z antykami a sklepem papierniczym Becca's Scrapbook Emporium. W środku było ładnie, panował przyjemny półmrok. Jedyne źródłem światła była zielona halogenowa lampa. Bar mieścił się na pierwszym piętrze hotelu HI-Way (jedynego hotelu w Wayoacie), który na billboardach reklamował się NOWYMI POKOJAMI i najbardziej uniwersalnym sloganem świata, czyli **TWARZĄ W TWARZ ZE SZTUKĄ**. Ale co miało być tą sztuką,

właściciele hotelu HI-Way nie zdradzali, być może przekonani, że rozumie się to samo przez się.

Kelner, u którego zamawiałam cheeseburgera, krzywo spojrzął na moje siniaki. Czekałam na jedzenie, popijając piwo, ale kiedy je dostałam, przeniosłam się do najmniej rzucającego się w oczy stolika. Wyjęłam telefon i zaczęłam przeszukiwać internet na malutkim i popękkanym ekranie.

Okazało się, że nawet *Wayoata Sun* ma swoje wydanie internetowe (cudownie!). Kiedy byłam młoda, dostaliśmy zadanie, żeby spędzić dzień z kimś, kogo zawód chcielibyśmy wykonywać. Rozważałam wtedy karierę dziennikarki, więc wylądowałam z przysadzistą kobietą o imieniu Maureen. Niestety to, co miało być przygodą, okazało się najnudniejszym dniem w moim życiu. Maureen miała potwornie krzywe zęby i przemieszczała się po mieście na skuterku, a jej wielkie pośladki zwisały na boki. Pracowała nad historią o kubie pełnym gnijących, martwych prosiąt, który ktoś postawił na środku autostrady, i każdy, kto wjeżdżał do miasta, musiał go ominąć. Postawię sprawę jasno: w historii wcale nie chodziło o okrucieństwa masowej hodowli zwierząt ani o to, w jaki sposób należy utylizować ciała martwych zwierząt. Nie, Maureen pisała o tym, bo kubeł trafił na widok publiczny w czasie, kiedy zaczynał się festiwal kukurydzy, co było niekorzystne dla przemysłu turystycznego Wayoaty (który sam w sobie był żartem). Pod koniec dnia Maureen powiedziała do mnie ze skwaszoną miną:

- Mam wrażenie, że w ogóle nie przejmujesz się losami

Wayoaty. Powiem jedno: te sprawy są ważne. Musisz być dumna ze swoich korzeni. Bądź dumna z tego, skąd pochodzisz, a będziesz dumna z siebie samej.

Żeby uzyskać dostęp do archiwum *Wayoata Sun*, trzeba było uiścić jednorazową opłatę w wysokości dwudziestu pięciu dolarów. Wiem, że to absurdalne, ale wyobraziłam sobie, że Maureen siedzi po drugiej stronie ekranu, inkasuje opłatę i znacząco kiwa głową, jakby chciała powiedzieć:

- A nie mówiłam?

Przeczytałam wszystko, co znalazłam na temat Wilkesów, Russo i Harolda Lamberta, założyciela Harold's Grocers. Odnalezienie zdjęcia mojego ojca zajęło mi niecałe piętnaście minut. Zostało zrobione na otwarciu Harold's Grocers w Fargo. Kiedy wiedziałam już, jak wyglądał, nie było trudno go namierzyć. Wyróżniał się na tle rudzielców (co było widać nawet na czarno-białym zdjęciu) z rodziny Lambertów. Wyglądał trochę jak lizus. Albo sprzedawca samochodów.

Peter Russo. Panem Chowanym był Peter Russo. Jego imię i nazwisko poznałam z artykułów. Peter Russo ożenił się z Alice Lambert, córką Harolda Lamberta, 15 lipca 1964 roku. Co oznaczało mniej więcej tyle, że Joanna i Madison były moimi siostrzenicami, a Kathy moją przyrodnią siostrą. Wszyscy byliśmy jedną wielką morderczą rodziną.

Alice miała takie same loki jak Joanna, a nasz rodzinny melodramat zapewne potoczył się następująco: Peter bogato się ożenił, a potem, prawdopodobnie na jednej z imprez inauguracyjnych w Omaha, poznał Mimi, która celowo zaszła w ciążę. Jestem pewna, że dokonała w głowie kalkulacji, ile

może zyskać dzięki mężczyźnie, którego stać na regularne płacenie alimentów (choć pewnie nigdy nie przyszło jej do głowy, że finalnie to wcale nie musi być taki opłacalny biznes). W ślad za swoją kurą znoszącą złote jaja przeprowadziła się do Wayoaty. A może myślała, że Peter rozwiedzie się z żoną? Może naprawdę go kochała? Jeśli jej nie chciał, to musiała być miłość. Mimi nigdy nie interesowała się mężczyznami, którzy odwzajemniali jej uczucia. I naprawdę kochali dzieci.

Kilka portali towarzyskich pisało o tym, że Peter i Alice Russo przeprowadzili się do Fayetteville w Arkansas, „gdzie klimat bardziej sprzyja chorym płucom mojego męża”, cytując Alice. To było dziesięć lat temu, kilka miesięcy po wypadku Mimi. W Fayetteville mieszkało kilku P. Russo. Za piątym telefonem odebrała jakaś kobieta. Miała cienki piskliwy głos. Liczyłam na to, że nie usłyszy odgłosów narastającej w tle kłótni dwóch pijanych bilardzistów.

- Czy zastałam Petera Russo?
- A o co chodzi?
- Dzwonię w sprawie jego wnuczki Joanny Wilkes.
- Cholerni reporterzy! - syknęła i rzuciła słuchawką.

Przynajmniej poznałam ich adres.

Ostatniej transakcji z karty kredytowej Lucasa dokonano w Arkansas. Zaczęłam snuć czarne scenariusze. Wyobraziłam sobie, jak Lucas prowadzi samochód w środku nocy, zaciskając kierownicę z nerwów. Wreszcie po tylu latach spotka swojego ojca. Wyrzuci z siebie wszystko, co wezbrało w nim przez tak długi czas. Zaciśnięte usta, twarz

oświetlona czerwonymi światłami mijających go samochodów. Nie zauważył puciołowej twarzy Bena Wilkesa, który wstaje z tylnego siedzenia...

Z Wayoaty do Fayetteville było jakieś trzynaście godzin drogi. Miałam w mieszkaniu jeszcze trzy środki pobudzające. Musiały wystarczyć. Zanim wjechałam na autostradę, zahaczyłam o Home Depot<sup>[10]</sup>. Kupiłam taśmę izolacyjną i rolkę przezroczystej folii. Nie wiem, czy ludzie podejrzliwie się na mnie patrzyli, bo jestem siostrą Lucasa Haasa, która kupuje podstawowy zestaw mordercy, czy dlatego, że wyglądałam tak marnie. A może z obu powodów? Na parkingu zakleiłam szybę taśmą i folią, cholernie żałując, że nie skusiłam się na dodatkowe ubezpieczenie. Jechałam całą noc pochylona nad kierownicą z gorączką i oczami na zapałki, widząc na poboczu rzeczy, których na pewno tam nie było.

Zatrzymywałam się tylko, żeby skorzystać z toalety i dokupić gumowate batony z musli.

Kiedy dojechałam na miejsce, próbowałam się odświeżyć w fast foodzie Denny's. Mogłam to lepiej zaplanować, chociażby spakować zapasowe ubranie. Ale musiałam poradzić sobie w wyciągniętej bluzie i zmiętych dżinsach.

Stojąc przed lustrem, na zmianę ćwiczyłam przyjazny uśmiech, a potem mówienie „pierdol się” z uśmiechem.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

### *Dzień dziesiąty*

#### *Piątek*

Dom wyglądał jak szkoła dla dziewcząt z pensjonatem. Szara fasada, wieżyczki z cegły i olbrzymie drewniane drzwi zakończone kołatką w kształcie lwiej paszczy. Zadzwoiłam. Otworzyła mi kobieta około pięćdziesiątki, pewnie gospodyni. Miała na sobie gumowy fartuch, a przez ramię przerzuciła ręcznik do suszenia talerzy.

Zapytałam o Petera Russo.

- Alice nie ma teraz w domu. Spodziewa się pani?

- Nie przyszłam do Alice, tylko do Petera - odpowiedziałam. Nie sędzę, żeby się przesłyszała. Może Alice trzymała męża na krótkiej smyczy po tym, jak wykręcił jej numer z jakże owocnym romansiem. A może to nie był jego jedyny romans? Może miałam więcej rodzeństwa?

- Rozmawiałam wczoraj z Alice. Wie, że przyjeżdżam.

- Niestety nie ma jej w domu. Czy mogłaby pani wrócić za godzinę?

- Chciałabym, ale Niestety jestem tu tylko przejazdem. Bardzo chciałabym się z nim zobaczyć, szczególnie w związku z tym, co się stało. Chciałam złożyć kondolencje.

Obrzydliwy sposób, żeby się wpraszać. Byłam tego

świadoma.

Gospodyni wyglądała na rozdartą, więc skorzystałam z okazji i wepchnęłam się do środka. Postanowiłam ją zagadać. Zaczęłam paplać o tym, jak miło będzie zobaczyć Petera, że wiem, że nie czuł się ostatnio najlepiej, że Fayetteville to piękne miasto i ani się obejrzałam, a szłam za gosposią przez przesadnie udekorowany salon z pseudoantycznymi kanapami i filarami, na których stały różnej wielkości wazy wyglądające jak urny, aż wreszcie wspięłyśmy się po szerokich zakręcających schodach.

Zapukała do drzwi i uchyliła je.

- Panie Russo? Śpi pan?

Weszłam za nią do sypialni co najmniej wielkości mojego mieszkania w Chicago. Pachniało odgrzewanym sosem pieczeniowym i rosółem, a także chorobą. Stało w niej olbrzymie łóżko z baldachimem przykryte jedwabną narzutą i stertą poduszek, oczywiście idealnie ułożonych jedna na drugiej.

Peter Russo siedział w fotelu i wyglądał przez okno. Z tyłu głowy na siwych włosach dostrzegłam gumkę od maski tlenowej. Kiedy na mnie spojrział, dostrzegłam w jego oczach przerażenie i niedowierzenie. Więc to był mój tata, stary dobry tata, który porzucił swoje dziatki?

Wyobrażałam sobie ten moment podczas podróży samochodem. Jak się przedstawiam, jak mówię:

- Cześć, to ja, twoja córka.

Ale teraz, kiedy byłam na miejscu tak blisko tego staruszka, który wyglądał jak figura woskowa, nie byłam

w stanie wydusić z siebie słowa. Gapiłam się na niego jak cieleń na malowane wrota na trzęsących się nogach. Znów byłam małą dziewczynką, która postanowiła, że będzie miała wszystko gdzieś, mimo że w głębi duszy bardzo pragnęła mieć tatę. Tatę, który będzie nosił ją na barana, nazywał swoją małą księżniczką i w żartach zabraniał chodzić na randki, dopóki nie skończę trzydziestki. Tatę, który nauczy mnie prowadzić samochód. I tatę, który zrobi coś, żeby Mimi przestała być tak cholernie nieszczęśliwa.

- Peterze, ma pan gościa - powiedziała gosposia z makabryczną radością w głosie, jaką potrafią mówić tylko pielęgniarki opiekujące się umierającymi ludźmi, po czym zwróciła się do mnie: - Jak się pani nazywa?

- Mia - wyszeptałam wściekła, że wychodzę na taką grzeczną.

Peter zdjął maskę z twarzy - w miejscu, gdzie uciskała go guma, dostrzegłam czerwone ślady - i odesłał gosposię z pokoju. Wykrzesał z siebie:

- Witaj - i kiwnął głową w stronę drugiego krzesła. Wyobraziłam sobie, że to właśnie na nim siedziała Alice podczas większości ich rozmów o innych dzieciach Petera. A może nigdy o tym nie rozmawiali? - Usiądź - powiedział.

Nie mogłam się ruszyć, więc powtórzył, bym usiadła. Miał na sobie jedwabny czerwony szlafrok. Trzymał nogę na nodze, z lewej stopy luźno zwisał kłapek crocs. Miał długie, cienkie jak patyki nogi z tu i ówdzie wyglądającymi włosami. Dyndał nogą w przód i w tył. Napił się wody z plastikowego kubka, takiego z ustnikiem, z jakich piją dzieci, tyle że dla

dorośli. Trzęsły mu się ręce. Zauważyłam, że miał absurdalnie długie rzęsy, jak ja.

- Mam POChP, trzecie stadium. Nie zaczynaj palić. Bo nie palisz, prawda?

Mówił z akcentem. Nie byłam dobra w wyłapywaniu takich niuansów, ale tym razem byłam pewna. Mówił z włoskim akcentem.

- Nie - odpowiedziałam i od razu pomyślałam: „Za to jestem lekomanką. Moja wątroba wygląda już pewnie jak rozdymka tygrysa”.

- To dobrze. Jestem na tej smyczy przez dwadzieścia godzin dziennie. - Wskazał na butlę z tlenem stojącą tuż obok. Zapadła krępująca cisza.

- Znałeś moją matkę, Mimi Haas - postanowiłam zacząć delikatnie, tak jak lekarze przypominają mężczyznom o dorocznym badaniu prostaty.

- Jesteś moją córką, wiem o tym - powiedział zrezygnowany.

Wziął kilka głębokich wdechów przez maskę, która znów włożył (a potem zdejmie i znów włoży, i tak bez końca), a ja miałam ochotę definitywnie zerwać mu ją z twarzy.

- Mój brat... - zaczęłam.

Zdjął maskę i dokończył za mnie:

- Zabił moją wnuczkę.

- Nieprawda, wcale tego nie zrobił.

Pokiwał głową, jakby nie miał ochoty mnie słuchać.

- Szuka go policja.

- A rozmawiałeś o tym z policją? Mówiłeś im, że jesteście...

że jesteśmy spokrewnieni?

- Nie. - Znowu pokiwał głową. - Po co miałbym to robić? Mówić światu, że mój syn z nieprawego łoża uwiódł i zamordował moją wnuczkę? To nie miałyby żadnego wpływu na śledztwo. Ujawniać historię o kazirodztwie? Nie ma mowy, córka nigdy by mi tego nie wybaczyła. Ja niedługo umrę, ale ona musiałaby żyć z tym do końca swoich dni. Nigdy by się od tego nie uwolniła. Zrujnowałoby to naszą markę. A jak ludzie zapamiętaliby Joannę? Moja biedna Joanna - powiedział na jednym tchu, a kiedy znowu nabrał powietrza, wycharkał obrażony: - Przecież się stąd wyprowadziliście - jakby to była wina Lucasa, że wrócił do Wayoaty. Jakby przyniósł ze sobą jakąś plagę.

Wyglądało na to, że Kathy nie miała o niczym pojęcia. Oczywiście o ile Lucas jej nie powiedział. Nie pomyślałam o tym wcześniej.

- Nie było żadnego romansu. Lucas spotykał się z Joanną, żeby dowiedzieć się więcej na twój temat. Kontaktował się z tobą. Wiem o tym.

- Moja druga wnuczka, Madison. Widziała ich razem w samochodzie pod szkołą. Dotykali się. Sama mi o tym powiedziała.

Nie wierzyłam mu. Pewnie szukał tylko wymówki, żeby trzymać swoje nieślubne dzieci w tajemnicy.

- Czy Lucas tu był?

- Dzwonił do mnie, to wiem na pewno. Nawet kilka razy, ale moja żona, Alice... - w jego płucach świszczowało i charczało - ...nie powiedziała mi o tym. Dowiedziałem się,

bo kiedyś podniosłem drugą słuchawkę. – Kiwnął głową w stronę stojącego na stoliku nocnym starego telefonu z połączoną tarczą do wybierania numeru. – Był wściekły. Twierdził, że powinniśmy płacić za dom opieki waszej matki i wypłacić wam zaległe alimenty. Groził, że poda mnie do sądu. Mówił tak samo jak Mimi, ten ton, ta intonacja. Wydaje mi się, że Lucas całą złość, jaką żywił do mnie, wyładował na Joannie. Miał do niej dostęp...

– Dlaczego z nim nie porozmawiałeś? Nie oddzwoniłeś do niego?

– Nie chciałem denerwować żony.

– Ach tak, więc to wszystko wina twojej żony? To przez nią nie chcesz przyznać się do tego, że masz dzieci? Widzę, że bardzo szanujesz wartości rodzinne!

– Jestem chory. – Jego maska była biała od pary. Przez chwilę myślałam, że wybuchnę śmiechem. Lucas miał fioła na punkcie *Gwiezdných wojen*, a ja siedziałam właśnie naprzeciwko jakiegoś dupka w masce tlenowej na twarzy, który mówił: – Jestem twoim ojcem.

– Co za wspaniała wymówka, żeby na trzydzieści lat zapomnieć o tym, że ma się dzieci!

Peter uniósł maskę i powiedział:

– To była decyzja Mimi, skoro już tak bardzo cię to interesuje. Powiedziała, że lepiej będzie dla was, jeśli nie będziecie wiedzieli o tym, że ich ojciec przechadza się po mieście z innymi dziećmi. Mimi postawiła mi ultimatum: wszystko albo nic. Taka już była. A nasz romans nawet nie trwał zbyt długo. Nie więcej niż osiemnaście miesięcy. I tyle.

Kiedy zaczęła pić, z minuty na minutę zmieniała zdanie. Przychodziła pod mój dom w środku nocy i krzyczała, że chce pieniędzy i że bym was zabrał do siebie.

- Była wysokofunkcjonującą alkoholiczką! Potrzebowała profesjonalnej opieki! - Sama nie mogłam uwierzyć w to, że staję po stronie Mimi, ale ona przynajmniej próbowała się nami zajmować. Może sugerowanie, że funkcjonowała normalnie, było lekko przesadzone, ale przynajmniej opiekowała się nami. Chodziła do pracy, robiła zakupy, zapewniała nam to, co potrzebne, żeby przeżyć (czy to aby nie są podstawowe wyznaczniki funkcjonowania?). A przede wszystkim nigdy się nas nie wyrzekła.

- A pamiętasz ten dzień, kiedy zostawiła was pod domem? Była pierwsza w nocy. Późna jesień. Nie mieliście na sobie nawet kurtek. Zabrałem was do domku nad jeziorem, zanim moje dzieci się obudziły. Dopiero po tygodniu się wami zainteresowała. Za każdym razem, kiedy zaczynała się z kimś spotykać, liczyłem na to, że wreszcie się dogadamy, ale jej związki nigdy nie trwały długo.

- Dla mnie byłeś tylko Panem Chowanym. Śpiącym na rozkładanej kanapie w naszym salonie.

- Czasami udawało się jej zwabić mnie do siebie. - Wzruszył ramionami, jakby padł ofiarą latającej bogini w kształcie wagi, która łapała go w pułapkę, kiedy tylko podszedł za blisko. Pomyślałam o wypadku Mimi.

- Mieszkałeś przy Southland Drive? - zapytałam, chociaż już znałam odpowiedź. Wszyscy znali ten wielki dom, w którym mieszkała córka Harolda Lamberta. Nagle to,

gdzie była Mimi tamtej nocy, zaczęło mieć dla mnie znaczenie.

Peter zaczął przewracać oczami. Maseczką zakrywał nos i usta. Wziął kilka głębokich wdechów i znów ją odłożył.

- Chyba znasz odpowiedź na to pytanie.

- Mimi jechała do ciebie w noc wypadku, prawda?

Peter nie odpowiedział, ale wytrzymałam jego milczenie. Siedziałam bez ruchu. Czekałam. Myślałam: „A co, jeśli...?” i „Może, gdyby...”.

Wzrok Petera uciekał na wszystkie strony, unikając mojego. Słyszałam tykanie jego zegarka. Na dole gospoia włączyła odkurzacz. Peter w końcu złamał się:

- A nawet jeśli, to co? Nie miałem żadnej kontroli nad tym, kiedy do nas przyjeżdżała. Pojawiała się w środku nocy i zawsze była pijana. Moją żonę bardzo to stresowało. Dzieci się budziły, a żona pilnowała, żeby nie musiały tego oglądać. Kiedy dzieci dorosły, to samo było z wnukami. Kiedy twoja matka była w złym nastroju, potrafiła robić niezłe awantury.

- To musiało być okropne - powiedziałam sarkastycznie, ale on przytaknął, jakby tego nie wyczuł. - A po co ona do ciebie przyjechała w dzień wypadku?

- Po to co zwykle.

- A co to jest to, co zwykle?

- Jak już mówiłem, zakłócanie spokoju - powiedział, mierząc mnie wzrokiem. - Tylko o to jej chodziło. Z czasem robiła to coraz rzadziej. Ale to było jeszcze gorsze, bo zawsze myśleliśmy, że „to już ostatni raz”.

- Zostawiłeś w jej samochodzie czarną rękawiczkę! -



rzuciłam arogancko. Dlaczego miałabym udawać, że nie wiem, co się stało? Tamtej nocy na pewno wydarzyło się coś więcej niż tylko wypadek.

Zamknął oczy, wziął kilka głębokich wdechów.

- Tak, to była trudna noc.

- Dla ciebie? Czy mojej matki, która przebywa teraz w domu opieki?

Potrząsnął głową, jakby nie wiedziała, co mówię.

- To, co się stało, wydarzyło się wyłącznie z jej winy - wyjął pomiędzy jednym świstem płuc a drugim. - Jak już mówiłem, Alice zamykała się w pokoju, czekając, aż Mimi skończy. Tamtej nocy była wyjątkowo agresywna. Dzwoniła, a kiedy do niej wyszedłem, próbowała wywabić Alice. Wołała ją. Nie wiem, czy liczyła na to, że będzie mogła się z nią pobić, ale nie przestawała powtarzać, że Alice mieszka w jej domu i żyje jej życiem. Że należało jej się więcej, że powinienem dawać więcej pieniędzy. Alice miała już tego dość. Zeszła na dół i skonfrontowała się z Mimi. Powiedziała jej, żeby wróciła do dzieci, do domu i przestała pić. Wcześniej tego samego dnia padał deszcz ze śniegiem i nagle się ochłodziło. Schody były śliskie. Chciałem wysypać je solą po kolacji, ale widocznie zapomniałem. Alice nawet jej nie dotknęła, a twoja matka, Bóg mi świadkiem, była tak pijana, że wystarczyło na nią dmuchnąć, żeby padła na ziemię jak długa.

Mówił prawdę. Mimi potrafiła przewrócić się nagle jak worek kartofli. Bum! - i leżała, jakby miała narkolepsję. To przez alkohol. Wszędzie miała siniaki. Kiedy mówiła swoim

współpracownikom z banku:

- Och, przypadkiem wpadłam na framugę - podejrzewali, że pobił ją jakiś mężczyzna. Ale to naprawdę była framuga, blat kuchenny albo cokolwiek innego...

- Mimi zamachnęła się na mnie, ale straciła równowagę i przewróciła się na plecy. Uderzyła się w głowę. Nie potrafiłem jej podnieść. Straciła przytomność. Chciałem wezwać karetkę, ale jak by to wyglądało?

Wyobraziłam sobie matkę z ciężką raną głowy, krew cieknie jej z uszu jak z kranu, biega w popłochu po werandzie Petera. Dla nich to był tylko bałagan do uprzątnięcia. Ale nie dla mnie. Moja matka nie dlatego straciła przytomność, że przypadkiem popchnęłam ją na blat. To nie była moja wina. To nie ja spowodowałam ten uraz! Coś się we mnie odblokowało, zalała mnie fala emocji: ulgi; poczucia winy z powodu czucia ulgi; złości na siebie, że przez dziesięć lat myślałam, że to moja wina; złości na siebie, że tak łatwo wyżywałam się na sobie samej; złości na siebie za wszystkie tabletki, które do tej pory połknęłam. Za dni i noce, które spędziłam sama w mieszkaniu z opuszczonymi zasłonami i nabuzowana od leków pobudzających albo nadmiernie spokojna, obojętna na wstające i zachodzące za oknem słońce. Pragnąca kary za to, że to wszystko uszło mi na sucho. Poczułam nagły smutek, że wszędzie, gdzie moja matka zwracała się tamtej nocy o pomoc, spotykała się z odrzuceniem.

- Nie chcieliśmy wzywać policji. Alice martwiła się, że ją aresztują, że nikt nie uwierzy, że nie popchnęła kochanki

swojego męża. Media by to zwietrzyły i opisały na wszystkie sposoby, dzieci by się dowiedziały o mojej zdradzie, o ich rodzeństwie. Nie chciałem, żeby Alice, moje dzieci czy wnuki płaciły za moje błędy. To wszystko była jej wina. Próbowwała mnie uderzyć. Ja tylko przeniosłem ją w inne miejsce. Ale to był zwykły wypadek. Mimi sama to sobie zrobiła. Wiedziałem, że wkrótce się obudzi. Była przyzwyczajona do takich upadków. Poza tym wiedziałem, że ktoś ją znajdzie i sprowadzi pomoc.

Co za dupek!

- Więc tak po prostu ją tam porzuciłeś?

- Nie zostawiłem jej na małej, opuszczonej dróżce.

- A czy pomyślałeś o tym, że gdyby wcześniej otrzymała pomoc, mogłaby wrócić do zdrowia? - Pytanie było obłudne, bo sama mogłam przyczynić się do tego urazu. Mogłam przecież zadzwonić na policję, żeby powstrzymała ją od wyjścia. Ale Peter wsadził ją nieprzytomną do samochodu. Musiał wiedzieć, że to poważny uraz. Ja widziałam tylko stróżkę krwi na jej skroni.

- Tak. Musiałem z tym żyć przez lata.

- Ty musiałeś z tym żyć przez lata? - To ja musiałam z tym żyć przez ostatnie dziesięć lat! - Ty? Nie dwójka jej dzieci, które musiały łączyć na dom opieki? A ty? Co zrobiłeś? Wyjechałeś z Wayoaty, na wypadek gdyby Mimi odzyskała świadomość i przypomniała sobie, że była tamtej nocy u ciebie w domu?

- Nic z tych rzeczy. Po prostu nadszedł czas, żeby zacząć wszystko od nowa. Moje dzieci dorosły, żyły własnym życiem,

a ja byłem coraz bardziej chory. Tu jest lepsze powietrze.

- Nie wątpię - powiedziałam złośliwie. - Szkoda, że nie wpadłeś na to, że możemy potrzebować pomocy z matką, która stała się warzywem.

- Byliście już na tyle dorośli, żeby sami się sobą zaopiekować. Co mogłem dla was zrobić? - Wzruszył ramionami.

- Mieliśmy po siedemnaście lat!

- Cóż, może faktycznie powinienem był inaczej to wszystko rozwiązać. Nie myśl, że przez te wszystkie lata w ogóle o tym nie myślałem. Żałowałem tej decyzji. Ale dostałem za swoje - powiedział, nerwowo bawiąc się rurką od butli tlenowej.

Nie miałam pojęcia, o czym mówił. O tym, że nie wezwał karetki, że porzucił jej samochód, że w ogóle poznał Mimi, czy że nie uznał swoich dzieci.

- Jak to? - spytałam.

- Joanna. Moja kochana Joanna.

Śmierć wnuczki była dla niego karą. To, że została zamordowana. Zrozumiałam, dlaczego Mimi i Peter nigdy nie stworzyli związku. To się nie mogło udać. Jak to się w ogóle stało, że Lucas i ja byliśmy dziećmi dwójki największych egoistów w Wayoacie? Pytam na serio, jak to możliwe?

Peter zaczął kasłać, świszcząco mu w płucach, oczy zaszczyły łzami. Włożył maskę i wziął głęboki wdech. Czekałam, aż ją zdejmie, ale po kilku minutach uświadomiłam sobie, że nie ma takiego zamiaru. Stchórzył i zamknął się w sobie. Przyglądał się firanom. Zapragnęłam zerwać mu maskę z twarzy i pozbawić powietrza, jak on kiedyś pozbawił go

nas. Żeby chociaż na chwilę dopadł go ból, który czuł mój brat, kiedy Peter wyrzekł się go i porzucił. Miałam ochotę wykrzyczeć mu to wszystko w twarz, ale wiedziałam, że tylko plułabym jadem, że moje słowa byłyby jednym wielkim nieskładnym wyrzutem, którego później bym żałowała. Peter nie był wart mojego czasu i zachodu, by później jakoś to w cywilizowany sposób odkręcić.

Zanim wyszłam, spytałam gosposię, czy mogę skorzystać z toalety, i przejrzałam szafeczkę z lekami. Naszły mnie wyrzuty sumienia. Przez chwilę myślałam, że to dobry moment, żeby zerwać z nałogiem, wyrzucić wszystkie leki przez okno w drodze powrotnej do Wayoaty i patrzeć w lusterku, jak białe tabletki niczym deszcz spadają na przednią szybę jadącego za mną samochodu. Ale czułam, że jeszcze nie mogę się poddać. Zwinęłam prawie pełną buteleczkę oxycontin. Dobrze się złożyło, bo akurat mi się skończył.

Trzy godziny drogi od Fayetteville zatrzymałam się w tanim motelu. Panował w nim zapach potu, taniego seksu i dymu papierosowego. Na łóżku leżała paskudna narzuta z poliestru w brązowo-pomarańczowe kwadraty. Miałam wrażenie, że wszystko w pokoju jest lepkie: armatura, klamki i gałki drzwiczek, a nawet pilot od telewizora.

Nie wierzyłam w to, co powiedział mi Peter. Byłam pewna, że zataił pewne szczegóły. Myślę, że Alice straciła panowanie nad sobą (tak samo jak ja wcześniej tamtego dnia) i w desperacji zepchnęła Mimi ze schodów, żeby ją przepędzić. Grawitacja zrobiła swoje. Dobrze wiedziałam, jak

łatwo Mimi traciła równowagę.

Może powinnam zadzwonić do Garretta? To mogłoby wszystko zmienić. Naprowadzić policję na Kathy i to, że chciała wrobić mojego brata w morderstwo Joanny. Przecież mogła o wszystkim wiedzieć. Wyobraziłam sobie Lucasa w jej kuchni, jak trzyma Kathy za rękę i wyjaśnia naturę jego związku z Joanną:

- Jestem jej wujkiem, rozumiesz? Twoim przyrodnim bratem. Nie mógłbym przecież z nią sypiać. Połączmy siły i znajdziemy ją - mówi, a Ben zakrada się do niego z patelnią w rękach.

Wątpię, żeby Kathy miała ochotę dzielić się fortuną Harold's Grocers z dwoma bękartami. Więc ciągnę dalszy mojej wizji: Trzymając dłoń żony, zza zaparowanych okularów Ian Wilkes bezwolnie przygląda się, jak Big Ben tłucze mojego brata na śmierć. Stróżki krwi spływają wzdłuż pękniętej czaszki Lucasa. Jest zaskoczony pierwszym uderzeniem, ale z każdym kolejnym jego wzrok gaśnie. Jasne włosy robią się czerwone od krwi, a wtedy Kathy zauważa, że z rudymi włosami Lucas zaczyna przypominać jej martwą córkę i wydaje Benowi polecenie, żeby bił mocniej. Ostatnie słowa mojego brata to pełne zdumienia „och, nie!” albo „au!” lub coś równie prostego i ludzkiego. Kathy chwali Bena słowami:

- Dobra robota, synu - kiedy mój brat wydaje ostatnie tchnienie.

Zrobiło mi się słabo. Pokój zaczął wirować. Musiałam przestać myśleć. Zmusić się, żeby odegnąć te potworne, tragiczne obrazy.

Przebiec, powtarzałam sobie w głowie, prześlizgnąć się po powierzchni, jak jaszczurka Jezusa, i nie dać się pochłonąć żałobie i bólowi, jakim byłoby życie bez mojego brata bliźniaka. Nie pozwolić sobie utonąć w rozpacz. Jeszcze nie czas. Nie, dopóki nie zaznasz zemsty. Dopóki Wilkesowie nie zapłacą.

Wróciłam myślami do chwil, w których rozmawialiśmy po nocach z Lucasem o tym, kim mógłby być nasz ojciec. Wyobrażaliśmy sobie, że jest kimś w rodzaju dobrego wujka. Lucas dodawał, że na pewno uwielbia sport, a ponieważ zawsze podobali mi się mężczyźni reklamujący płyny do golenia, wyobrażałam sobie, że jest pilotem, który skrapla twarz wodą kolońską i wchodzi na pokład prywatnego odrzutowca. A teraz wreszcie go poznałam. Naprawdę był bogaczem. I skręcało mnie ze złości, że nie trafiliśmy na jego trop razem z Lucasem, że nie mogliśmy razem rozerwać go na strzępy, wyładować na nim naszej frustracji.

Jedyne, co mnie zaczęło nurtować, to dlaczego Lucas nie powiedział o wszystkim policji (oczywiście pomijając moje zdziwienie, dlaczego nigdy nie zadzwonił do mnie, by mi powiedzieć, kto jest naszym ojcem). Dlaczego nie powiedział:

- Hola! Ta dziewczyna jest moją siostrzenicą. Jak mógłbym z nią sypiać?!

Dlaczego nie rzucił na blat kosmyka jej włosów, mówiąc:

- Sami sprawdźcie.

Przychodziły mi do głowy dwa powody, dla których tego nie zrobił. Pierwszy mógł być taki, że rzeczywiście sypiał z Joanną, dopóki nie dowiedział się, że jest jego siostrzenicą.

A drugi taki, że jeśli Lucas zaginął w dniu, w którym odnaleziono jej ciało, może wcześniej był przekonany, że miała już dość upokarzających zdjęć, niestabilnej i apodyktycznej matki, i postanowiła uciec. Nie poszedł na policję, bo był przekonany, że Joanna żyje i ma się świetnie. Że jest jej o wiele lepiej gdzieś w świecie. Lucas rozumiał, jak to jest mieszkać z niestabilną matką. Potrafił sobie wyobrazić, przez co Joanna przechodziła, szczególnie jeśli była jego siostrzenicą.

A może chodziło o coś zupełnie innego? Może odpowiedź na to pytanie jest o wiele prostsza? Lucas chciał o tym opowiedzieć, ale przytrafiło mu się coś złego.

Znowu pomyślałam, żeby zadzwonić do Garretta, ale bałam się, że będę bełkotać i po raz kolejny podważę swoją wiarygodność. Zażyłam już oxycontin (który notabene należał do Alice, a nie do mojego ojca. To, że abstynentka Alice, która zepchnęła moją pijaną matkę ze schodów, była hipokrytką, dawało mi swoistą satysfakcję). Zażyłam go na sen. Żeby w spokoju pomyśleć.



# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

## *Dzień jedenasty*

### *Sobota*

Na horyzoncie ukazała się znajoma wieża ciśnięć. Poczułam się, jakby wokół Wayoaty istniało pole siłowe, które ściągało mnie tu z powrotem, ilekroć wyjeżdżałam. Do tego alternatywnego świata, którego mieszkańcy byli przekonani, że mój brat bliźniak jest latającym na wolności mordercą. Potem dostrzegłam budynek Terrace. Wyróżniał się na tle niskiej architektury miejskiej. Wyglądał jak wieżowiec-widmo albo nawiedzony dom.

Wieczór był ponury, wietrzny i parny. Było parę minut po osiemnastej, a niebo wyglądało, jakby od rana zanosilo się na deszcz, który ostatecznie utknął wśród chmur i tylko straszyl, psując wszystkim wakacyjne plany.

Przed budynkiem stała karetka. Na widok migających świateł, które rzucały czerwony cień na szarawą cegłę, zrobiło mi się niedobrze. Pielęgniarze wywozili ze środka szpitalne łóżko.

Podbiegłam bliżej i zobaczyłam, że to Russ. Miał na sobie kołnierz ortopedyczny. Czułam od niego mocny odór nieprzetrawionego piwa. Kiedy nawiązaliśmy kontakt wzrokowy, dostrzegłam w jego oczach przerażenie. Poruszał

wargami i dotarło do mnie, że coś mówił, ale usłyszałam tylko niezrozumiały bełkot. Chyba coś o jakimś przecieku.

- Proszę się nie odzywać - powiedział jeden z pielęgniarzy i Russ zamknął oczy.

Na schodkach siedziała Bailey z twarzą schowaną w dłoniach.

- Co się stało? - spytałam ją.

- Mój tata... - wybąkała. Zabiła komara, który ugryzł ją w stopę, i wytarła zakrwawioną rękę o betonowy schodek. Raczej nie była w nastroju do rozmowy.

- Pokłócił się z Dale'em Burtonem? - nie poddawałam się.

- Dale'em? - Spojrzała na mnie zdziwiona. Otarła twarz z potu i leż w koszulkę. Nie zauważyła tylko strużki make-upu spływającego za kołnierzyk.

- Słyszałam, jak się ostatnio kłócili.

- To nic takiego. Dale jest zły na tatę, bo został eksmitowany za to, że nie płacił czynszu. - Nie brzmiało to prawdopodobnie, bo to Dale domagał się pieniędzy, ale pewnie Russ zawsze jej tak mówił, kiedy lokatorzy zjawiali się pod jego drzwiami, domagając się zwrotu swojej własności. - Mój tata spadł ze schodów. Był pijany - dodała.

- Podwieźć cię do szpitala? - zapytałam, kiedy karetka zaczęła odjeżdżać. Bailey kiwnęła przecząco głową.

- Nienawidzę szpitali. Moja mama zmarła w szpitalu - powiedziała, bawiąc się jedną z bransoletek, które nosiła na rękę. Usiadłam obok niej.

- Nie sądzę, żeby twój tata był umierający, Bailey. Poza tym moja mama też spadła kiedyś ze schodów, a żyje i ma się

dobrze.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło, żeby tak mówić. Nie miałam pojęcia, jakich obrażeń doznał Russ.

- Tak, ale czy twoja mama nie jest w stanie śmierci biologicznej? - Spojrzała na mnie.

- Nie, nie jest. Kto ci tak powiedział?

- Pan Haas. Mówił, że miała wypadek samochodowy.

- Cóż, mama faktycznie doznała urazu mózgu, ale prowadzi satysfakcjonujące życie. Jest artystką, odnosi sukcesy.

Skąd mi przyszło do głowy, żeby próbować ją pocieszyć historiami o mojej chorej matce?!

- Mogę trochę posiedzieć u ciebie? - ledwie wydusiła z siebie Bailey.

Zastanawiałam się, jak jej odmówić. Akurat teraz nie byłam w stanie opiekować się kimś innym.

- Nikt z rodziny nie może się tobą zająć?

- Moja ciotka przyjedzie. Niedługo tu będzie - powiedziała ledwie słyszalnie. Jej wzrok stawał się mętny. Wiedziałam, że to efekty uboczne doznanego przed chwilą szoku.

Bailey weszła za mną do mieszkania Lucasa i padła jak kłoda na kanapę. Wymamrotała tylko, że jest głodna, ale nie miałam co jej zaoferować. Zestaw sałatek, który niedawno kupiłam, zaczynał już żyć własnym życiem. Dotknęłam jednego z paczków. Jeszcze nie był twardy jak skała, więc poczęstowałam ją nim i paczką chipsów.

- Niestety nie mam nic więcej. Dawno nie robiłam zakupów.

Bailey zmarszczyła nos, ale ugryzła paczka i otworzyła

chipsy.

- A może chcesz zamówić pizzę? - zapytała niespodziewanie ożywionym, niemal radosnym głosem. W pierwszej chwili mnie to uderzyło, ale pomyślałam o tym, że dzieci alkoholików nie dostają od rodziców pakietu wzorców normalnych zachowań na każdą okazję.

Zgodziłam się zamówić pizzę (z dodatkami, które Bailey nagle „musiała zjeść”). Niedługo przyjedzie jej ciotka. Kiedy czekałyśmy na dostawę, zaczęła wypytywać mnie o moje życie w Chicago. Jakie mam mieszkanie, gdzie jadam, ile razy byłam na meczu Blackhawksów. Moje odpowiedzi były równie sztampowe jak każda opowieść o „życiu w wielkim mieście”, ale wiedziałam, że właśnie tego potrzebuje Bailey. Chciała usłyszeć o tym, że jest gdzieś na świecie miejsce, w którym faktycznie żyje się lepiej.

Kiedy przyszła pizza, dałam Bailey szklanekę coli i serwetkę i poszłam wziąć prysznic. Kiedy skończyłam kąpiel, usłyszałam, że włączyła telewizor. Śmiała się głośno, jakby nie obchodziło jej nic, co się dzieje na zewnątrz. Aż mnie przeszły ciarki. Wysuszyłam się i ubrałam w ostatnie, względnie czyste ubrania.

Minęły dwie godziny, a ciotka Bailey ciągle nie przyjeżdżała, więc powiedziałam, że muszę wyjść. Drugi raz oferowałam jej podwózkę do szpitala, a ona drugi raz odmówiła.

Wróciłam pod szkołę tańca Shooting Stars (a konkretniej na parking po drugiej stronie ulicy). Właśnie kończyły się zajęcia. Dziewczynki rozbiegły się po parkingu jak różowe

confetti i poznikały w swoich rydwanach. Kathy wyszła kilka minut później. Madison powoli wlokła się za nią. Niosła olbrzymi karton i ewidentnie nie była z tego powodu zadowolona. Kiedy pomyślałam o tym, że Kathy jest moją przyrodnią siostrą, poczułam ukłucie w klatce piersiowej. Nie mogłam się zdecydować, czy ruszyć za nią, zapukać do jej drzwi i powiedzieć o wszystkim, czego się dowiedziałam. Mogłabym powiedzieć reporterom, żeby pojechali za mną. Wybuchłby skandal na skalę krajową. Peter Russo był nam coś winien, choćby skrawek fortuny Harold'sa, którą Wikipedia szacowała na ponad miliard dolarów (sprawdziłam).

O to chodziło Lucasowi. Był winny pieniądze Tomowi Gellerowi i pewnie zdawało mu się, że chwycił pana Boga za nogi, kiedy się o tym dowiedział. Ale przecież nie chodziło mu tylko o pieniądze. Mnie zresztą też nie. Jeśli Lucas zagroził Peterowi, że poda go do sądu, chodziło mu o to, żeby wyrzucić z siebie całą złość i niechęć, które do niego czuł. Żeby powiedzieć całemu światu, że istniejemy, żeby więcej się nas nie wyrzekał, żeby nikt więcej nie traktował nas jak dwójki bękartów. W ten sposób zmusiłby Petera do tego, żeby nas zaakceptował.

Oczywiście pieniądze byłyby miłym dodatkiem.

Kathy zabiła swoją córkę, więc postanowiła zrobić w morderstwo swojego przyrodniego brata, który mógłby zawalczyć o część jej spadku? Tylko co dalej? Również i mnie zamierzała wykończyć? Toż to historia rodem z opery mydlanej, którą media na pewno by się zachwyciły! A gdyby

trafiła do mediów, policja Wayoaty musiałaby zacząć podejrzewać Kathy o morderstwo Joanny i Lucasa. Mój brat zostałby oczyszczony z zarzutów. Wiem, że tego by chciał, i nie ma znaczenia, czy żyje, czy jest martwy. Słowo „martwy” odbiło się we mnie echem i zadrżałam jak wieża w Jendze, która zaraz się rozpadnie. Klepnęłam się w policzek, żeby sprowadzić się na ziemię. Jeszcze nie mogę się poddać.

Mogę za to wykorzystać włosy Joanny do porównania naszego DNA.

Przez chwilę siedziałam beczynn timer w samochodzie. Nie chciałam wracać do mieszkania. Nie chciałam znowu spotykać Bailey. Chciałam tu zostać na zawsze.

Ostatnią tabletkę pobudzającą wzięłam osiem godzin temu i moje ciało zaczęło zamieniać się w kamień. Zasnęłam jak suseł. Kiedy się obudziłam, zobaczyłam, że za zasłoniętymi roletami w szkole pali się światło. Była pierwsza w nocy.

Cała odrętwiała wysiadłam z samochodu i przeszłam przez ulicę. Na parkingu nie zobaczyłam żadnego samochodu. Nacisnęłam klamkę, ale frontowe drzwi były zamknięte. Poszłam na tył budynku. Tam mi się poszczęściło. Wślizgnęłam się po cichu tylnymi drzwiami do środka. Z głośników dobiegały dźwięki popowej piosenki. Towarzyszył jej ciężki tupot stóp ćwiczącej osoby. Kiedy piosenka skończyła się, zapadła cisza. Przez chwilę słyszałam tylko głośny oddech, po czym znowu zagrała muzyka. Gdyby nie to, że widziałam, jak Kathy wychodziła ze szkoły, pomyślałabym, że to ona. Może wróciła, kiedy spałam?

Wspięłam się po schodach na górę. Drzwi były otwarte, przytrzymane niewielkim plastikowym koszem na śmieci. Przykleiłam się do ściany, żeby nikt mnie nie zauważył. Ze środka pomieszczenia dobiegał ostry zapach potu, mocniejszy niż zapach owoców gnijących w śmietniku. Wychyliłam się odrobinę i zajrzałam do środka. Wtedy zobaczyłam, kto to. Prostując nogę, podziwiał swoje odbicie w ścianie luster. Wyglądał jak hipopotam w spódniczce tutu. Innymi słowy, Ben. Miał na sobie perukę czarownicy ze stroju na Halloween upiętą w koczek. Usta umalowane na czerwono i różowy cień do powiek sprawiały, że wyglądał jak zwierzę laboratoryjne. Na czole kropelki potu. Był przebrany za kobietę. I bez cienia wątpliwości wyglądał jak szkolna kucharka. Ta, która zaprowadziła Joannę do parku Dicksona.

Na ziemi obok kupki ubrań leżały czerwone adidas. Takie same, jakie miał Lucas. Miałam ochotę wejść do środka i je zabrać, ale wpadłam na lepszy pomysł. Powoli, cichutko wyjęłam z kieszeni telefon. Poczekiałam, aż Ben znajdzie się w zasięgu mojego wzroku. Wyślę zdjęcie Garrettowi. Wreszcie zdobędę dowód, na który tak długo czekałam. Ben wszedł w kadr, a ja kliknęłam w ekran telefonu. Rozbłysło światło flesza. Do jasnej cholery!

Ben od razu mnie zauważył. Zaczął wrzeszczeć wysokim głosem jak syrena i ruszył do ataku. Uderzył mnie w prawą pierś, a ja walnęłam plecami o ścianę. Śmietnik spadł z hukiem ze schodów. Drzwi szkoły zamknęły się, a Ben uciekł tylnym wyjściem.

Powoli wstałam. Kręciło mi się w głowie, a każdy ruch

powodował ból piersi. Kuśtykając na dół po schodkach, zadzwoniłam do Garretta. Na szczęście odebrał telefon. Powiedziałam mu, gdzie jestem, i poprosiłam, żeby mnie odebrał.

- Znalazłaś Bena? - zdążył zapytać, zanim się rozłączyłam.

Kiedy doszłam do tylnego wyjścia, Ben odjechał z piskiem opon.

Przez chwilę stałam w ciemności, nie wiedząc, co dalej robić. Próbowалаm złapać oddech, pewna, że do końca życia nie będę mogła karmić prawą piersią, i zrobiłam krok do przodu, ale prawie upadłam. Postanowiłam wrócić do środka i zabrać buty Lucasa. Nie były już w takim stanie jak kiedyś. Znoszone i zawiązane podwójnym węzłem. Tuliłam je tak mocno, aż zabolął mnie mostek. Miałam ochotę połknąć całe opakowanie tabletek, wszystko jedno jakich, byle tylko uśmierzyły mój ból. Spojrzałam w lustro. Wyglądałam na skołowaną, przemęczoną szarą myszkę. Przerażoną i bezradną. Nie mogłam sobie na to pozwolić. Musiałam nadal być wściekła i żądna zemsty, bo jeśli choć na chwilę pozwolę się złapać w kleszcze żałoby, przepadnę. Musiałam wstać i uzbroić się w gniew.

Garrett wszedł do szkoły i wyłączył grającą muzykę. Rzuciłam się na niego pełna wyrzutów.

- Ben miał buty Lucasa! Miałam rację! Przez cały ten czas, do cholery, miałam rację! Ale on już uciekł... - wypluwałam słowa, jak karabin maszynowy. - On wie, gdzie jest mój brat! Próbowалаm zrobić zdjęcie, chciałam mieć dowód. On mu coś zrobił. On zaraz ucieknie!



- Nie, Mio. Uspokój się na chwilę, dobrze? - Garrett położył mi rękę na ramieniu. - Nie pozwolimy mu uciec. Musisz mi to oddać. - Zabrał ode mnie adidas i poprowadził do radiowozu. Wrzucił je do plastikowej torby na dowody rzeczowe. - Cała policja szuka Bena. Nigdy nie pomyślałbym, że jest tutaj. To Ben dokonał transakcji w Arkansas. Jedna z kamer w sklepie spożywczym uchwyciła go, kiedy kilka minut po dokonanej transakcji niecałą przecznicę dalej kupował kabanosy. W którą stronę uciekł?

- On to zrobił, prawda? Czy zabił Lucasa? - Miałam wrażenie, że moje serce albo zaraz pęknie, albo wyrwie mi się z piersi.

Garrett nie wyłączył silnika i wokół świateł radiowozu latały owady.

- Dowiemy się więcej, kiedy go aresztujemy. Skup się na chwilę i odpowiedz, w którą stronę uciekł?

- Na południe. - Pokazałam palcem uliczkę, w której zniknął Ben.

Garrett przekazał informację przez radio. Kiedy skończył, spojrzał na mnie z powagą i powiedział:

- Wracaj do domu. Odezwę się, kiedy tylko będę coś wiedział. I nie martw się, znajdziemy go.

Chciałam powiedzieć: „Tak samo jak znaleźliście mojego brata”, ale się powstrzymałam.

Choć Garrett mówił co innego, pojechałam na komisariat i czekałam. Wypiłam kilka kubków mulistej kawy, która zostawiała nieprzyjemny osad na języku, i próbowałam uspokoić narastający we mnie lęk. Chciałam wiedzieć, gdzie

jest ciało mojego brata, bo chodziło już tylko o to. O miejsce, w którym znajdą jego ciało.

Policja złapała Bena cztery godziny później w parku Dicksona, niedaleko od tablicy pamiątkowej. Smutna balerina wchodząca do lasu. Wstępna rewizja samochodu Bena nie wykazała niczego konkretnego. Nie znaleziono zabłoconej łopaty ani zakrwawionego kija bejsbolowego. Dowiedziałam się o tym od Garretta. Wysłał mi SMS-a, myśląc że jestem w mieszkaniu Lucasa.

Pod komisariat zajechał radiowóz, wysiedli z niego Pruden i Garrett. Pruden otworzył tylne drzwi i osłaniając głowę, pomógł wysiąść Benowi, po czym zaprowadził go do budynku. Wokół już się kręciło kilku reporterów, chociaż na razie wyglądali jak zagubione gąski, które za wcześnie rozpoczęły migrację.

- Co ty tu robisz? Miałaś czekać w domu - zapytał Garrett, kiedy zobaczył mnie na środku poczekalni.

Ale nie zamierzałam słuchać ani Garretta, ani Prudena udzielającego reprimendy recepcjonistce pracującej na nocnej zmianie za to, że pozwoliła mi tutaj poczekać. Ben miał na sobie kajdanki. Big Ben. Mój siostrzeniec, który prawdopodobnie zamordował mojego brata. I własną siostrę. Na twarzy wciąż miał makijaż. Tusz do rzęs się rozmazał i z podkrążonymi oczami Ben wyglądał jak bandzior. Głęboki dekolt kostiumu baleriny eksponował piegi na klatce piersiowej.

- Gdzie jest mój brat?

Miałam to wyćwiczone, ten spokój, z jakim

wypowiedziałam te słowa. Byłam zaskoczona, że tak łatwo mi poszło. Ale Ben nawet na mnie nie spojrzał, za to tupał nogami w rytm tylko sobie znanej piosenki.

- Ben, proszę, powiedz, gdzie jest Lucas. Wiem, że kochałeś swoją siostrę, tak jak ja kochałam Lucasa, więc potrafisz chyba zrozumieć, że muszę to wiedzieć. Gdybyś tylko mógł...

Załam mi się głos. Nie chciałam, by mój głos przybrał błagalne tony. Zawsze twierdziłam, że błaganiem osiąga się mniej, niż to możliwe. Postanowiłam sprawić, żeby pomyślał, że mu przebaczę. Musiałam tylko dowiedzieć się, gdzie jest Lucas.

- Ben, muszę ci o czymś powiedzieć. Lucas był twoim wujkiem... - Dziwnie się czułam, wypowiadając słowa „był” i „wujek” w tym samym zdaniu co „Lucas”, ale mówiłam dalej: - Jesteśmy spokrewnieni. Jestem twoją ciocią. Twój dziadek Peter miał romans z naszą matką - tłumaczyłam tonem, jakim matki opowiadają dzieciom bajkę o ptaszkach i pszczołkach.

Ben nagle podniósł wzrok, zmarszczył nos, jakby poczuł jakiś nieprzyjemny zapach, i rzucił w moją stronę:

- Hm?

Było w tym wszystkim coś naiwnego i jasnego jak słońce. Byłam pewna, że Ben tylko wykonywał rozkazy Kathy. To ona kazała mu zabić własną siostrę i mojego brata. Teraz byłam tego bardziej niż pewna. Mój spokój prysnął.

- Zabiłeś nie tę osobę, co trzeba! Lucas chciał tylko dotrzeć do naszego ojca, ale pewnie o tym wiesz, prawda?

Joanna powiedziała ci o tym tuż przed tym, jak uderzyłeś ją w głowę i zacząłeś dusić. Gdzie, do cholery, jest mój brat?

Ben zaczął oddychać szybko i nieregularnie. Wyglądał jak królik zapędzony w pułapkę. Zamarłam w napięciu. Czułam, że Pruden i Garrett też. Miałam wrażenie, że Ben ma zeznanie na końcu języka. Że w tej chwili jest delikatny jak dmuchawiec i wystarczy lekki podmuch wiatru, a wyrzuci z siebie wszystko. Coś w nim narastało. Odchrząknął, widocznie zaczął się zastanawiać, od czego zacząć. Po chwili jednak wlepił wzrok w czarny ekran telewizora. Na noc był wyłączany, nie było żadnych wiadomości, które Ben mógłby pooglądać.

Okazało się, że wcale nie patrzył na swoje odbicie. Zobaczył nadciągającą jak burza Kathy. Miała wielką torbę, która uderzała o jej udo.

- Nie pozwólcie, by zobaczyła mnie w takim stanie. Znienawidzi mnie - wyjęczał Ben, a jego twarz wykrzywił brzydki i alarmujący grymas.

- Jezu Chryste, Ben! - zagrzmiała Kathy. W jej głosie słyhać było obrzydzenie, ale nie szok. Potrząsnęła głową, jakby nie akceptowała syna w takim wydaniu.

Garrett zaczął prowadzić Bena do pokoju przesłuchań. Kathy spojrzała na mnie przelotnie, a potem krzyknęła za nimi:

- Nic im nie mów, Ben! Ani słowa. Mama już przyszła. Nie masz się o co martwić.

- Przepraszam, mamó - odpowiedział Ben i zniknął za drzwiami.

Szykowałam się na kolejną bójkę z Kathy, czyli na garście wyrwanych włosów i podrapane paznokciami policzki, ale prawie natychmiast pojawił się drugi policjant i odprowadził ją do innego pomieszczenia. Kathy nawet na mnie nie spojrzała.

- I kto jest teraz z porąbanej rodzinki? - rzuciłam, ale nie udało mi się powiedzieć tego tak zadziornie, jak chciałam. Pewnie dlatego, że wszyscy byliśmy spokrewnieni.

Czekałam w biurze Garretta, aż skończy się przesłuchanie Bena. Liczyłam na to, że moment, w którym Ben był gotów wszystko powiedzieć, powtórzy się. Że nie posłucha Kathy i nie będzie milczeć. Ale kiedy Garrett stanął w drzwiach godzinę później, wiedziałam, że nic z tego.

- Nic - powiedział i usiadł naprzeciwko mnie.

Opadły ze mnie resztki sił. Poczułam pisk w uszach, jakby ktoś wbił mi w czaszkę kamerton. Resztki nadziei, które trzymały mnie w ryzach, zostały zastąpione rozczarowaniem i frustracją.

- Jeszcze nie zaczął mówić. Nie skomentował sytuacji z bankomatem ani tego, skąd wziął buty Lucasa. Powtarza tylko w kółko, że Lucas skrzywdził jego siostrę. Ale jestem pewien, że w końcu zacznie gadać.

- Czy myślisz, że Lucas nie żyje?

Nie wiem, czemu o to zapytałam. To tak, jakby zapytać lekarza, czy ma się poparzenie słoneczne, kiedy nasza skóra jest czerwona i cała w bąblach, spod których prześwituje kość.

- Nie możemy być tego pewni. Jeszcze za wcześnie na takie

wnioski. Za to chciałem cię przeprosić. Miałaś rację, że Wilkesowie są w to zamieszani. Robiliśmy, co w naszej mocy przy takim stanie wiedzy.

Też mi przeprosiny. Chciałam to powiedzieć, ale nie byłam w stanie nic z siebie wydusić. Zawód, że nie wyciągnęli nic od Bena, ścisnął mnie w żołądku. Garrett szybko zmienił temat.

- Czy to prawda, co powiedziałaś? Że ty i Lucas jesteście przyrodnim rodzeństwem Kathy Wilkes?

- Tak, to prawda.

Opowiedziałam mu o wszystkim. No, prawie wszystkim. Nie wspomniałam o tym, że mam pamiętnik Joanny i jej włosy, bo to nie działało na moją korzyść. Powiedziałam za to, że Lucas dlatego prowadził intensywne dyskusje z Joanną, bo próbował odkryć, kto jest jego ojcem, a nie dlatego, że z nią sypiał.

- Myślę, że Ben zabił ich oboje na rozkaz matki. Joanna oddalała się od niej i zaszła w ciążę, a Kathy nie mogła tego znieść. Może naprawdę myślała, że Joanna miała romans ze swoim wujkiem? Tego nie wiem. Kathy próbowała odzyskać córkę, zatrudniając hokeistów, żeby upokorzyli ją seksualnie. Kiedy to nie zadziało, Kathy ją zabiła i zwała winę na Lucasa.

Garrett oparł się o zagłówek fotela biurowego, który zaskrzypiał. Ręce oparł na czubku głowy.

- A niech mnie! Zacznijmy od porównania DNA twojego i Wilkesów. To będzie pierwszy krok w rozpracowywaniu twojej teorii. Bo jak wiesz, na razie nie mamy żadnych

dowodów na to, że Ben czy Kathy zabili Joannę.

Przez ostatnich kilka godzin, kiedy czekałam, aż coś się wydarzy, pomyślałam, że ważniejsze od znalezienia Lucasa będzie oczyszczenie go z zarzutu zabicia Joanny. Chciałam, żeby wszyscy dowiedzieli się, że to Kathy kazała swojemu synowi zabić siostrę. Chciałam, żeby dowiedzieli się, że morderstwo Lucasa nie było dziełem żadnego opętanego kosiarza, ale zaplanowaną zbrodnią popełnioną z zimną krwią. Chciałam, żeby Lucas odzyskał status cudownego dziecka. Chciałam, żeby wszyscy w Wayoacie poczuli się okropnie z tym, że podali to w wątpliwość.

Garrett złapał mnie za rękę. Wyglądał na poruszonego. Miał szkliste, przekrwione oczy, patrzył prosto na mnie. Z bólem powiedział:

- Przepraszam, Mio. Naprawdę żałuję, że nie postarałem się lepiej.

- Obiecuj mi tylko, że kiedy znowu tam pójdziesz, wrócisz z odpowiedziami.

- Wykorzystam informacje, które mi dałaś, zanim przyjedzie tu prawnik Kathy. Będę cię informował na bieżąco. Mogę pisać co godzinę, jeśli chcesz, ale myślę, że powinnaś odpocząć. Na nic się tu nie przydasz.

Wyszłam z komisariatu. Moje oczy były wyschnięte na wiór i same się zamykały. Na zewnątrz było jasno i pięknie. Zapierający dech w piersiach poranek tak bardzo kontrastował z bólem, jaki czułam w sercu, że przez moment bałam się, że nie dojdę o własnych siłach do samochodu. Miałam ochotę umrzeć na miejscu.

Lucas nie żył. Mój brat bliźniak nie żył.



# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

## *Dzień dwunasty*

### *Niedziela*

Do mieszkania Lucasa weszłam na miękkich nogach pchana tylko głodem. Musiałam coś wziąć. Musiałam poczuć smak gorzkiego proszku rozpuszczającego się między zębami i na języku w oczekiwaniu na nadchodzące zapomnienie. Połknęłam trzy tabletki oxycontin od Alice. Żeby umilić sobie czekanie, nalałam solidną szklankę wódki.

Promienie słońca wpadały do pomieszczenia przez szczeliny w roletach na stolik kawowy (nie dało się uciec przed tym porankiem), talerz pełen niedojedzonych brzeżków od pizzy, kupkę serwetek poplamionych sosem pomidorowym, puszkę coca-coli wypitej tylko do połowy z pływającą na wierzchu warstewką tłuszczu i okruchów. Otworzyłam pudełko po pizzy, ale został tylko jeden kawałek. Ta dziewczyna ma apetyt. Roztopiony ser wyglądał jak biała skóra otyłego człowieka.

Zapach pizzy przyprawiał mnie o mdłości. Chciałam posprzątać, ale nie byłam w stanie się ruszyć. Siedziałam na kanapie. Łupało mnie w krzyżu od niewygodnej pozycji, więc się położyłam. Zygzakowate „C” na puszcze coca-coli sięgało i łapało „L” jak język jaszczurki albo haczyk wędkarski.

Zaczynałam tracić ostrość widzenia.

Za każdym razem, kiedy zamykałam oczy, widziałam Lucasa w dręczącej kombinacji koszmarów i wspomnień. Lucas pod taflą wody z włosami dryfującymi wokół twarzy. Z otwartą buzią krzyczący tak głośno, jakby woda gotowała się w jego ustach. Lucas w wieku siedmiu lat pływający w miejscu. Długie ręce uderzające w wodę nad uszami. Lucas na cmentarzu zapalający zapałkę po zapałce. Ja i Lucas jeżdżący na naszych rozklekotanych rowerach. Lucas i ja w buicku LeSabre Mimi, kiedy paliliśmy pierwszego papierosa.

W końcu tabletki i alkohol zaczęły działać ramie w ramie jak przyjaciele wchodzący razem na przyjęcie. Zasnęłam słodkim snem.

Ale nie na długo.

Obudziło mnie pukanie. Uporczywe, rytmiczne i głośne, zagłuszyło dźwięk bicia serca, który słyszałam we śnie.

Po chwili odezwała się:

- Mio? Mio, jesteś tam? Halo? Jest tam ktoś?

Puk, puk, puk.

Cholerna Bailey. Nie chciała się odzepić.

Nie zamierzałam otwierać. Ani mi się śniło. Niech sobie idzie.

W końcu zapadła cisza. Myślałam, że sobie poszła, i znowu zaczęłam odpływać. Ale wtedy usłyszałam brzęczenie kluczy w zamku. Usiadłam prosto. Drzwi otwierały się i mój bezpieczny kokon zaczęło zalewać światło z korytarza.

- Co do diabła? Bailey, nie możesz tak po prostu tu sobie

wchodzić! Nie masz do tego prawa. - Wstałam i potknęłam się o kanapę. Walczyłam ze stanem odurzenia.

- Jesteś w domu. - Przestraszyła się i stanęła bez ruchu na środku mieszkania.

- Spałam.

- Och - powiedziała, ale nie dodała przeprosin.

- To nie jest najlepszy moment.

- Ale... ja tylko zgubiłam bransoletkę. Mogę jej poszukać? Musi gdzieś tutaj być.

- Poszukam jej później.

- Mogę sama poszukać. - Po czym słodkim głosem dodała: - Ona jest dla mnie bardzo ważna. Szczególnie teraz, kiedy to wszystko dzieje się z moim tatą...

Zmieniła temat, widocznie uznawszy, że to wystarczająca wymówka, żeby się włamać. Weszła głębiej do środka.

- Dobrze, już szukam.

- Nie, nie. Ja też mogę...

Zignorowałam ją. Musiałam ją ignorować, bo inaczej zostanie tu na zawsze. Bransoletka leżała przy kanapie. Podniosłam ją i już miałam rzucić ją Bailey i powiedzieć, żeby sobie poszła, ale bransoletka okazała się zaskakująco znajoma w dotyku. Ta jedwabista faktura, ten kolor nici. Coś mi nie pasowało. Gdzie wcześniej mogłam dotknąć równie jedwabistej faktury?

Przez chwilę obracałam ją palcem wskazującym i kciukiem. Kilka nitek wyszło na wierzch i wtedy zrozumiałam, co trzymam w ręku. Włosy. Ciemnorude włosy wplecione w bransoletkę z muliny. Włosy zaczęły z niej wypadać

i mechacić się na brzegach. Wszystko stało się jasne.

Odwróciłam się w stronę Bailey, która biegła prosto na mnie. Zderzyłyśmy się. Wydawała mi się o wiele starsza z rozszerzonymi nozdrzami i zaciśniętymi wargami wygiętymi w półksiężyc jak muszelki. Trzymała coś w rękach i przez ułamek sekundy myślałam, że chce mi oddać maszynkę do golenia Lucasa.

Ale wtedy poczułam, jak coś wgryza się w moją skórę. Słyszałam pulsujące brzęczenie, które trwało w nieskończoność. Moje mięśnie napięły się, ale po chwili zwiotczały. Nie miałam żadnej kontroli nad swoim ciałem. Upadłam na ziemię. Przewróciłam się na bok, serce wyrywało mi się z piersi. Zobaczyłam gwiazdy przed oczami, potem wizja stała się czerwona, jak zachodzące słońce. Miałam wrażenie, że zaraz rozpadnę się na kawałki.

Na zmianę mdlałam i odzyskiwałam przytomność. Czułam, że ktoś przenosi mnie w inne miejsce.

Byłam na parkiecie. Na tym samym, na którym zemdlałam, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, za dużo zjadłam i wzięłam za dużo prochów, cokolwiek to było. Leżałam płasko na plecach. Nikt nie przestawał tańczyć. Nikt nie próbował mnie obudzić ani odsunąć na bok. Tańczyli wokół mnie, a kiedy się obudziłam, siedziałam przez chwilę na ziemi rażona światłem lamp wirujących jak szprychy w rowerze. Obserwowałam pozostałych kiwających się na boki, na wirujące nogi, nadgarstki i policzki. Z mojej perspektywy to wszystko wyglądało bardzo dziwnie.

Kiedy obudziłam się znowu, nie leżałam już na parkiecie,

ale na poplamionym jedzeniem linoleum. Miałam związane dłonie i zostałam przywiązana plastikową zapinką do drzwi piekarnika. Ręce mi zdrętwiały. Usta zaklejono mi taśmą izolacyjną. Mieszkanie wyglądało jak mieszkanie Lucasa, tyle że było mniejsze. Kawalerka. Ja znajdowałam się w kuchni. Na lodówce zobaczyłam zdjęcie ze świąt Bożego Narodzenia. Nasze wspólne: Lucasa, Mimi i moje. W miejscu moich oczu ktoś wyrył nożem krzyżyki.

Wyjrzałam do salonu. Nie było w nim dużo mebli. Wysuwana kanapa, dwa plastikowe krzesła i dwa okazałe głośniki, z których niskie basy strzelały jak błyskawice w ściany i podłogę pokoju. Dostrzegłam też małe zaklejone folią aluminiową okienko. Byłam w piwnicy apartamentowca Terrace.

Coś na łóżku poruszyło się. Przez chwilę myślałam, że to Pan Chowany. Chciałam wstać, ale udało mi się podnieść jedynie do pozycji, której nie dałoby się nawet nazwać kucnięciem. Mimo to zobaczyłam go. Lucas! Był odwrócony w stronę srebrzystego okienka, ubrany tylko w bokserki i jasnoniebieski krawat opadający wzdłuż ramienia. Pod krawatem dostrzegłam coś dziwnego. Wyglądało jak smycz dla psa z metalowym łańcuchem, którym został przywiązany do stalowej ramy łóżka. Choć leżał tyłem, zauważyłam, że miał uczesane na żel włosy, na stercząco. Poczułam też mocny zapach wody kolońskiej, który niestety nie był w stanie przyćmić zapachu spoconego ciała i moczu. Tuż obok łóżka stał basenik.

- Lucas. Lucas! Lucaaaaas! - próbowałam krzyknąć, mimo

zaklejonych taśmą ust.

Nie miałam pojęcia, czy żył. Na szyi odgniotła mu się faktura łóżka. Gdyby był martwy, nie byłoby to możliwe. Nagle poruszył się. Widziałam to, naprawdę! Zebrałam siły, żeby zerwać się ze swojej smyczy.

Lucas!

Drzwi piekarnika otworzyły się, a ja się poślizgnęłam. Moje białe stopy zaskrzypiały o powierzchnię linoleum. Próbowałam pociągnąć piekarnik za sobą, przesuając to w lewo, to w prawo. Lucas odwrócił się i zobaczył mnie. On też miał usta zaklejone taśmą, ale były na nich narysowane drugie, czerwone jak rubiny, karykaturalne usteczka. Bardzo zużyte. Zobaczyłam też, że ktoś nieudolnie próbował go ogolić, bo policzki wyglądały jak patchwork z kręconej brody i gładkiej skóry. Ręce miał związane za plecami, związane mu też nogi. Nadgarstki i dłonie wyglądały jak miazga.

Lucas kiwnięciem głowy dał mi znak, żebym się nie ruszała. Jego oczy były przekrwione, biło z nich przerażenie.

Nagle otworzyły się któreś z drzwi, prawdopodobnie od łazienki.

- Obudziła się, do cholery. Gratuluję, Bailey! Szczerze mówiąc, liczyłam na to, że po takiej ilości prochów dostanie zawału albo czegoś w tym stylu - ryknęła Madison i weszła do salonu, trzymając się pod boki. Miała na sobie czarną bluzkę bez rękawów, a może to była taka króciutka sukienka? Wąską talię przewiązała cienkim plastikowym paskiem, na szyi miała ciężki błyszczący naszyjnik.

Nie miała na sobie spodenek i przez chwilę mignęła mi

jedwabna bielizna. Swoją stylizację wykończyła czerwonymi szpilkami, w których co i rusz się potykała. Wyglądała jak mała dziewczynka, która przebrała się w ubrania wykradzione mamie (albo innej mieszkance Terrace) z szafy.

- Nie mam pojęcia, co sobie myślałaś. Po co ją tutaj przyprowadziłaś? Spieprzyłaś wszystko. A było tak dobrze. Tylko chciałam spędzić trochę czasu z moim chłopakiem. Gdybyś chociaż odbierała telefon. Po co ci w ogóle kupiłam ten telefon, skoro nigdy nie odbierasz? Pieniądze wyrzucone w błoto! Mówiłam ci, że masz ważniejsze sprawy na głowie od tej głupiej bransoletki. To wszystko przez ciebie. Nie przeze mnie. Przez ciebie!

Bailey weszła do pokoju i usiadła na jednym z plastikowych krzeseł. Opuściła wzrok, włosy zakryły jej twarz. Blond włosy, które wcześniej były kruczoczarne. Czarne jak włosy kucharki. To ona była kucharką, dziewczyną o figurze gruszki, której trzeba było dobrze się przyjrzeć, żeby domyślić się, że miała czternaście lat, a nie czterdzieści. To nie Ben w sukience ani Kathy.

- To jak mam to zrobić? - spytała.

Madison powtórzyła, przedrzeźniając ją:

- To jak mam to zrobić? - po czym dodała: - Mam to gdzieś. Po prostu to zrób. I Bailey, ta muzyka. Musimy ją zmienić. Mówię serio. Zaraz od niej dostanę cholernego tętniaka.

Wskoczyła na łóżko, materac zakołysał się. Przytuliła się do Lucasa i powiedziała zalotnie:

- To wszystko twoja wina, wiesz? Miałaś za dużo kobiet

naraz. - Dała mu klapsa krawatem, jakby bawiła się, że jest małym biczem.

Widok tej dziewczyny bawiącej się moim bratem jak małpką w zoo przyprawił mnie o mdłości. Wierzgnęłam nogami, próbując wyrwać się z więzów, ale nic to nie dało poza tym, że drzwi do piekarnika otworzyły się jak paszcza głodnego potwora.

Kucnęłam na drzwiczki i przeniosłam na nie cały ciężar. Zaczęły się wyginać. Wyobraziłam sobie, jak wyrywam je z zawiasów i wymachuję niczym średniowieczny rycerz tarczą. Ale Madison podbiegła do mnie, zrzuciła szpilki i balansując jak bokser, szybkim, zdecydowanym ruchem uruchomiła piekarnik. Wierzgnęłam nogami, żeby ją kopnąć. Zrobiła unik i zaśmiała się, mówiąc przy tym:

- Czujesz tę gorącą atmosferę? - po czym wskoczyła z powrotem na kanapę, do Lucasa. Sprężyny łóżka zaskrzypiały głośno. Madison pocałowała Lucasa w szyję, zerkając na mnie z uśmiechem, i znów zaczęła go całować. Zauważyłam ślady po ugryzieniach przy krawacie i na jego klatce piersiowej. Musiała wsysać się w niego, zostawiając na skórze ścieżkę okazałych malinek.

Lucas odwrócił się od niej i wierzgnął, próbując ją z siebie rzucić.

- Przestań się na nas gapić! - syknęła Madison. - A może lubisz sobie popatrzeć, co? Psycholka. Moja ciotka lubi patrzeć, kiedy posuwam swojego wujka. Lukey o wszystkim mi opowiedział, ciociu Mio. Trzeba przyznać, że to trochę psuje romantyczną atmosferę, ale wiesz co? Lucas przecież



uwielbia bzykać swoje siostrzenice! Prawda? Lubi, jak wszystko zostaje w rodzinie. Bailey! Co tak stoisz jak słup? Zabij wreszcie tę szmatę - rozkazała, po czym polizała Lucasa w ucho.

Bailey wstała, kołysząc szerokimi ramionami, i zniknęła za rogiem.

Zaczęłam ciągnąć piekarnik, próbując wyrwać go z kontaktu. Miałam wrażenie, że zaraz pękną mi żyły. Madison przewróciła oczami. Wstała ponownie, zapaliła kilka świeczek na podłodze wokół kanapy, zaczęła poprawiać zmiętą pościel przy stopach Lucasa, ale szybko się poddała. Pogłośniła muzykę i położyła głowę na brzuchu Lucasa, podnosiła się i opadała z każdym jego oddechem. Palcem robiła kółeczka wokół jego sutka.

Na ścianie nad kanapą kulfoniastą czcionką ktoś napisał słowo PRZEZNACZENIE. Wyglądało to podobnie jak okropne kubki do kawy z nadrukiem ŻYJ, ŚMIEJ SIĘ, KOCHAJ. Napis górował nad kanapą jak nad łóżem małżeńskim. Zbrodnią tej nastolatki było to, że chciała, żeby Lucas też ją pokochał, żeby mogli bawić się razem w rodzinę. Chciała go udomowić, zrobić z niego swojego księcia, wokalistę boysbandu, którego będzie miała tylko dla siebie. Na kuchni leżały poskładane na kupki ubrania Lucasa. Każda z nich w innym stylu: nieformalnym, eleganckim, na sportowo. Zrobiły sobie z niego Kena, którego rozbierały, ubierały i stylizowały. A po co to zdjęcie z Bożego Narodzenia? Żeby czuł się jak w domu?

Bailey wróciła, trzymając w rękach ząbkowany nóż

myśliwski. Zaczęłam wrzeszczeć, z mojego gardła wydobywały się niekontrolowane piski. Ciągnęłam piekarnik, ale zaklinował się na złamanym kafelku.

- Gdzie mam ją dźgnąć? - rzuciła Bailey do Madison.

- Uspokój się, kochanie - powiedziała Madison do Lucasa, który próbował się jej wyrwać. Przytrzymała go rękoma, po czym rzuciła do Madison: - Mam to gdzieś.

Bailey podniosła nóż i zaczęła we mnie celować. Próbując zrobić unik, prawie weszłam do piekarnika i poczułam żar czerwonych grzałek na twarzy i ramionach.

- Nie tutaj, Bailey! Co ci odbiło, do cholery?! To już się robi męczące - powiedziała Madison do Lucasa. Sięgnęła po torebkę, wyjęła paralizator i wcelowała Lucasowi w klatkę piersiową. Lucas jęknął. Jego ciało wygięło się w łuk, po czym zwiotczało i opadło luźno na materac. - Mówiłam ci, żebyś się uspokoił - rzuciła do Lucasa, po czym wrzasnęła na Bailey: - Do cholery, dziewczyno! Czy to takie trudne?

Madison pstryknęła palcami, a Bailey westchnęła i przytaknęła. Przecięła nożem plastikową zapinkę, którą byłam przywiązana do drzwiczek piekarnika. Rzuciłam się na nią, ale była na to przygotowana i kopnęła mnie w głowę kolanem. Usłyszałam podejrzaną pyknięcie w szczękę.

- Wstawaj - postawiła mnie na nogi.

Była silna jak drwal albo dziewczyna, która przez kilka ostatnich lat musiała nosić pijanego ojca. Na pewno była też silniejsza ode mnie. Popchnęła mnie do drzwi, trzymając nóż przy mojej szyi. Modliłam się, żebyśmy spotkały kogoś, kto postanowił poszperać w swojej szafce w magazynie, ale było

kompletnie pusto.

Szłyśmy w kierunku drzwi wyjściowych. Widząc w tym swoją szansę, rzuciłam się do nich sprintem, zerwałam z ust taśmę i zaczęłam wołać o pomoc. Dobiegłam do schodów, ale były zamknięte na łańcuch. Zaczęłam szarpać za klamkę, licząc, że ktoś usłyszy hałas i nie pomyśli, że to tylko stare rury.

- Kretynka - rzuciła Bailey, łapiąc mnie za ramię, ale odwinęłam się i z całej siły przywaliłam jej związanymi dłońmi, jakbym trenowała pchnięcie kulą. Celowałam w okolice twarzy. Bailey osłoniła się nożem, na który się nadziałam. Rozciąłam sobie rękę aż do kości, ale też uwolniłam dłonie.

Ominęłam ją i pobiegłam korytarzem przed siebie. Wbiegłam po czterech schodkach do drzwi prowadzących na tył budynku. Były zamknięte na zasuwę. Rękoma śliskimi od krwi niezdarnie manewrowałam bolcem, aż udało mi się go całkiem wysunąć. Wydostałam się na zewnątrz. Było ciemno. Na parkingu stały dwa puste samochody i porzucony wózek sklepowy. Nie było nikogo, ale i tak zaczęłam krzyczeć na pomoc. Wtedy poczułam dźgnięcie noża w plecy tuż nad biodrem.

Bailey objęła mnie wokół szyi i zaczęła dusić. Zaciągnęła mnie z powrotem do środka, do kotłowni. Podłużny ślad krwi ciągnął się za mną przez dywan. Kiedy byłyśmy już w środku, jedyną wolną ręką - tą, w której trzymała nóż - włączyła fluorescencyjne światło. Potem pchnęła mnie na ziemię. Moja koszulka była mokra i ciepła od krwi.

Próbowałam odsunąć się jak najdalej od niej, wcisnąć się między olbrzymi stary bojler a zbiornik z ciepłą wodą. Bailey szła powoli za mną. Była zupełnie spokojna.

- Bailey, przestań już. Nie musisz tego robić.

- Zamknij się! - warknęła, odgarniając włosy z twarzy.

- Nie rozumiem, dlaczego to robisz. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

Na te słowa zatrzymała się i klepnęła nożem po udzie.

- Bzdura. Nie możesz ze mną wytrzymać. Ludzie myślą, że tego nie widzę, ale to nieprawda. Byłam dla ciebie miła, a ty próbowałaś się mnie pozbyć.

- O czym ty mówisz? Byłam tylko smutna z powodu mojego brata. To wszystko. W innym przypadku byłabym bardziej rozmowna. Jesteśmy przyjaciółkami, Bailey. Nie musisz tego robić. Jeśli mnie wypuścisz, dalej będziemy się przyjaźnić. - Pokój zaczynał falować mi przed oczami, pleśń rosnąca za bojlerem drażniła gardło. Gdzieś niedaleko kapało z rury.

Bailey potrząsnęła głową.

- Madison na to nie pozwoli, bobyś się wygadała.

- Nikomu nic nie powiem. A ty nie potrzebujesz Madison. Naprawdę jej nie potrzebujesz. Też byłam zakochana w nauczycielu, kiedy chodziłam do Westfield. W psychologu szkolnym. - Coraz bardziej piekło mnie biodro.

- Pan Lowe? Fuj! On jest stary!

- A mimo to byłam w nim zakochana. I wiesz co? Minęło mi. Z czasem po prostu o nim zapomniałam. Musisz iść do Madison i powiedzieć jej o tym. Że jej przejdzie. Że po latach nie będzie w ogóle pamiętała, kim był pan Haas. Niech go

tylko wypuści. A jeśli ty coś czujesz do Madison, uwierz mi, że któregoś dnia...

- O mój Boże! Nie możesz się już zamknąć?

- Bailey...

- Powiedziałam, że masz się zamknąć! To moja najlepsza przyjaciółka! - Spojrzała na mnie, jakby chciała wyzwać mnie na pojedynek.

- Nie wątpię w to ani odrobinę. Ale dzisiaj wcale nie zachowuje się wobec ciebie jak prawdziwa przyjaciółka. Wpędza cię w kłopoty. Twój tata straci pracę, kiedy agencja nieruchomości dowie się, że córka dozorca porwała swojego nauczyciela i zamknęła go w pustym mieszkaniu w piwnicy.

- To nie ma żadnego znaczenia. Nie muszę się martwić ani o niego, ani o tę zapchlona dziurę. Będę mieszkać z Madison - prychnęła Bailey.

- Jesteś tego pewna, Bailey? Przecież ona źle cię traktuje. Skąd wiesz, że nie potrzebowała cię tylko po to, żeby porwać Lucasa?

- Bo byliśmy przyjaciółkami już wcześniej.

- Wcześniej? To znaczy kiedy? Lucas mieszka w tym budynku już od dawna.

- Nieważne. Może na początku rzeczywiście się mną wysługiwała. Ale nic mnie to nie obchodzi, bo ja też wysługiwałam się nią. Dopiero potem ja i Mads zostaliśmy najlepszymi przyjaciółkami. Od tej pory wszyscy są dla mnie mili w szkole. A ja mam się im jak odwdzięczyć.

- Okradając mieszkańców? - Wszystko wskazywało na to, że to Bailey włamywała się do mieszkania Lucasa, a nie Russ

czy Mimi. To one wysmarowały mnie w nocy kremem, to te dwie małe dziwki! A możliwe nawet, że zrobiła to sama Madison. Głaskała mnie dłońmi zakończonymi długimi, fioletowymi paznokciami, zrównując manikiur z obrządkami oddającymi cześć zmarłym. Pewnie nawet powiedziała o tym później Lucasowi, jakbyśmy razem pojechały na wycieczkę do spa. Madison i jej „ciocia”. A może przedstawiła to jako przyjacielski, troskliwy gest? Pokazała, jak się malować, żeby wszyscy chłopcy w okolicy byli moi, licząc na to, że mój brat przestanie się krzywić, kiedy ona wsysa się w jego klatkę piersiową.

- Ja wiem, jak to jest, Bailey. Też nie byłam popularna w szkole. Ale w końcu wyjechałam z Wayoaty i zobaczyłam, że wystarczy stąd uciec, a cały świat stoi otworem. Tam nie ma znaczenia, co działo się w szkole. Nic a nic.

- Ach tak? Świetnie! Może w takim razie cię wypuszczę! Jestem pewna, że pozwolisz mi zamieszkać ze sobą w Chi-cago! - zaakcentowane sylaby odbiły się rykoszetem od ścian pomieszczenia. - Myślisz, że jestem tak samo naiwna jak twoja matka?

- Zastanów się, Bailey. Naprawdę chcesz mieszkać z dziewczyną, która zabiła własną siostrę? I która pozwala, żeby cała wina za to spadła na jej brata?

- Madison nie zabiła Joanny. Razem to zrobiliśmy. - Wyciągnęła dłoń. Bransoletka znowu była na miejscu. Mocno zaciśnięta, lekko wrzynała się w pulchny nadgarstek. - Widzisz to? Zabrałam trochę włosów i sama je zrobiłam. Jedną dla siebie, drugą dla Madison. Teraz jesteśmy

związane na zawsze. Zrobiłyśmy to razem. A Ben sobie poradzi, naprawdę - powiedziała, patrząc na mnie z pobłażliwym uśmiechem. - Ben lubi proste życie. Wystarczyło dać mu parę trampek, żeby zawiózł nas jak najdalej po pieniądze pana Haasa.

Wyobraziłam sobie, jak grożę Lucasowi paralizatorem i nożem myśliwskim, żeby podał im PIN. Madison kontynuowała:

- Oczywiście ten idiota musiał nas zawieźć do miasta, w którym mieszkają jego dziadkowie. No, ale trudno. Benowi może nawet spodoba się w więzieniu. Tylu tam chłopaków! Wreszcie ucieknie mamusi, która nie pozwala mu być dziewczynką. Nie martw się, przemycimy dla niego jakąś szminkę. - Zaśmiała się gromko.

- Ale czemu? Dlaczego zabiłyście Joannę? - spytałam. Robiłam wszystko, żeby nie przestawała mówić. Ból w ranie nad biodrem był coraz ostrzejszy, zaczynało mnie szczypać, jakby rozlewał mi się po ciele kwas żółciowy. Robiło mi się coraz zimniej, traciłam czucie w twarzy. Nie wiedziałam, jak długo jeszcze uda mi się odwracać uwagę Bailey. Szukałam za plecami czegoś, czym mogłabym ją zaatakować. Znalazłam krótki zardzewiały gwóźdź. Świetnie! Zabiję ją tężcem, który się rozwinie tydzień po otrzymaniu ciosu.

- Nie chciałyśmy jej zabić! Madison chciała tylko załatwić tę jej okropną fryzurę, bo Joanna była strasznie zarozumiała. I zawsze wymachiwała tymi włosami na lewo i prawo, jakby się nimi chwaliła. - Bailey sparodiowała Joannę, tyle że jej włosy były cienkie i tłuste. - Powiedziałyśmy jej, że Abby

chce się z nią spotkać. Ja miałam ją czymś uderzyć, żeby straciła przytomność, a Madison miała zająć się resztą. Chciałyśmy, żeby Joanna obudziła się w parku Dicksona w połowie łysa. Pewnie nic by nie pamiętała. A przynajmniej taki był plan. Żebym uderzyła ją tak mocno, żeby nie pamiętała.

Odniosłam wrażenie, że przez jej twarz przebiegło coś w rodzaju żalu. Pewnie wyobrażała sobie to wszystko jak scenkę z kreskówki, z ptaszkami unoszącymi się nad głową Joanny, kiedy Madison obcinała jej włosy.

- Ale Joanna została uduszona. To nie był wypadek.

Bailey przewróciła oczami. Poczula się obrażona, że jej o tym przypominałam.

- Ocknęła się, kiedy byłyśmy w połowie. Wściekła się, zaczęła wrzeszczeć na Madison, wyzywała ją, powiedziała, że na nią doniesie, więc Madison musiała coś zrobić, żeby się wreszcie zamknęła. Teraz, kiedy nie żyje, łatwo wszystkim myśleć, że Joanna była takim niewiniątkiem. Ale wiesz co? Ona sobie na to zasłużyła. Wcale nie była miła. Ani trochę. Była przekonana, że zostanie wielką gwiazdą w Nowym Jorku, i chciała, żeby wszyscy wokół ją podziwiali. I co ona sobie myślała, przystawiając się do mężczyzny Madison? Serio! Joanna dobrze wiedziała, że pan Haas nie jest dla niej.

Pan Haas... Powiedziała to oficjalnym tonem, z szacunkiem. Czy one przez cały ten czas mówiły o nim „pan Haas”?

- Madison naprawdę próbowała dać jej szansę, nauczyć odrobiny pokory, Joanna przechadzała się po mieście dumna



jak paw.

Nauczyć pokory... To Madison opłacała hokeistów, żeby upokorzyli jej siostrę.

- A to klops! SpaghettiOs? - powiedziałam mimochodem.

Bailey prawie zgięła się wpół ze śmiechu, uderzając nożem o uda. Modliłam się, żeby go upuściła, przez moment pomyślałam nawet, żeby ją kopnąć, a wtedy wypadnie jej z rąk.

- Niesamowite! - zachwyciła się. Z całej tej ekscytacji dostała wypieków.

- Czy Madison naprawdę myśli, że ona i Lucas się pobiorą? Będą mieć dzieci? Będą żyć razem długo i szczęśliwie? Na wieki wieków? Przecież wiesz, że to się nie stanie.

- Może tak, a może nie? Ale przecież mają już mieszkanie, apartament 1B. I to Madison śmieje się ostatnia. Udało jej się, chłopak jest jej, a nie Joanny. Po raz pierwszy to Madison ma wszystko, czego chciała. A teraz muszę już iść.

Podeszła do mnie, więc zaczęłam kopać nogami i machać rękoma, ale ona zaatakowała mnie nożem, raniła moje dłonie, kiedy próbowałam go złapać, pocięła mi ramiona i nogi, aż wreszcie zwinęłam się w pozycję embrionalną. Wtedy wbiła mi nóż w brzuch, a ja nie miałam już siły się ruszyć. Leżałam jak martwa, czułam się przytwierdzona do ziemi. Skręcało mnie w płucach. Stojąca nade mną Bailey była już tylko bezkształtną, ciemną sylwetką. Powoli wyjęła ze mnie nóż i obserwowała, jak leżąc na ziemi, wydobywam z siebie przedziwne dźwięki, próbując złapać powietrze. Nie miałam pojęcia, czy odzyskuję oddech, czy wydaję ostatnie

tchnienia.

Kopnęła mnie lekko. Nie ruszyłam się. Udawaj martwą, pomyślałam, dotarło do mnie, że nie bardzo wiem, czy udaję, czy też naprawdę umieram. W końcu Bailey odwróciła się, zgasła światło i wyszła.

Musiałam wstać i stąd wyjść, zanim wykrwawię się na śmierć w tym zatechłym pomieszczeniu. Nie mogłam tu umrzeć. Dziewczyny na pewno by upozorowały mój powrót do Chicago, więc nikt by mnie nie szukał, a Lucas tkwiłby w tamtym pokoju jak pies na łańcuchu, dopóki nie zagłodziłyby go na śmierć. Dopóki Madison nie nasyciłaby się nim, nie znudziła.

Nie. Nie ma mowy! Nie pozwolę dwóm czternastoletnim wariatkom nas zabić! – twardo postanowiłam.

Wzrok przyzwyczał się do ciemności, czerwone lampki na urządzeniach w kotłowni wskazywały drogę do wyjścia. Kiedy uklęknęłam, uświadomiłam sobie, że czuję o wiele mniejszy ból, niż powinnam. Przypomniało mi się, ile oxycontinu zażyłam wcześniej. Wciąż krążył w moim układzie krwionośnym. Podziękowałam Bogu za swoje uzależnienie.

Wstałam i poślizgnęłam się na własnej krwi. Moja ręka trafiła na jakiś przedmiot pod zbiornikiem ciepłej wody. Wyciągnęłam go i okazało się, że to olbrzymi klucz przemysłowy. Był dłuższy niż cała moja ręka. Podparłam się nim jak laską, żeby wstać. Wygięta końcówka lekko się zachwiała. Był tak ciężki, że postanowiłam oszczędzać energię i ciągnęłam go za sobą po ziemi, kiedy kuśtykałam korytarzem, wyglądając jak seryjny morderca. Szurał

o betonową podłogę, ale wiedziałam, że mnie nie usłyszą, bo strasznie rozkręciły muzykę. Kiedy otworzyłam drzwi, światło na korytarzu oślepiło mnie i zakręciło mi się w głowie. Prawie się przewróciłam. Splunęłam krwią.

Kilka kroków i byłam pod 1B. Zapukałam głośno do drzwi metalowym kluczem. W wizjerze mignął cień, po czym usłyszałam ze środka:

- To ona. Dobra robota, Bailey.

Nie wiem, skąd znalazłam w sobie siłę, ale uniosłam klucz jak kij bejsbolowy. Mój puls przyspieszył i poczułam, że krew leci ze mnie jeszcze szybciej niż wcześniej. Zachwiałam się i traciłam ostrość widzenia. Kiedy tylko Bailey otworzyła drzwi, zamachnęłam się i uderzyłam ją prosto w twarz. Zakołysała się, krew trysnęła jej z nosa. Upadła na ziemię i oparła się o szafkę przy drzwiach.

Madison, która stała za nią, zaczęła się wycofywać. Potknęła się o kanapę, wskoczyła na nią. Zwinęła się w kłębek przy nogach Lucasa. Podniosłam klucz i ruszyłam wzdłuż kanapy, prosto na nią.

- Mia, proszę, nie rób tego. Mam taki mętlik w głowie. Nie wiem, co robię. Potrzebuję pomocy. Moja mama... ona kochała Joannę bardziej ode mnie. Chciała się mnie pozbyć. Pamiętasz, kiedy ci o tym opowiadałam, gdy zostałam u ciebie na noc? To było wołanie o pomoc. Kiedy wzięłam te tabletki, to też było wołanie o pomoc. Potrzebuję pomocy.

Widziałam, że sięga do leżącej na kanapie torebki po paralizator. Uderzyłam ją kluczem w rękę, która pękła jak ptasie skrzydło. Torebka poleciała na drugi koniec pokoju.

Madison wrzasnęła i zwinęła się z bólu, ściągając prześcieradła z łóżka, które spadły na stojące na ziemi świeczki. W mgnieniu oka zajęły się ogniem, jakby były namoczone benzyną. Pomyślałam o panującym w pomieszczeniu zapachu wody kolońskiej. Musiały spryskiwać nią wszystko: Lucasa, pościel i całą kanapę.

Pokuśtykałam do Lucasa, bo materac mógł zapłonąć w każdej chwili. Rozpinałam metalową zawleczkę obroży, którą miał na szyi, kiedy poczułam, jak dwie ręce złapały mnie w pasie i ścisnęły za brzuch. Poczuałam uderzenie gorąca i przeszywający ból. Krew trysnęła ze mnie jak z wyciskanej ścierki. Bailey nie puszczała. Próbowalam znaleźć grunt pod nogami.

- Mam ją, Mads! - krzyknęła Bailey nisko, przez nos.

- Pośpiesz się - jęknęła Madison.

Próbowalam stanąć na nogi, ale Bailey odciągała mnie na bok, po czym cisnęła na ziemię. Uderzyłam głową o płytki i rozcięłam sobie policzek. Bailey usiadła na moich plecach. Złapała mnie za włosy i zaczęła walić moją głową o podłogę. Jedno, drugie, trzecie uderzenie, jakby próbowała rozłupać kokos. Miałam wrażenie, że spłaszczyła mi nos. Nie mogłam oddychać. Wszędzie była krew, tyle krwi. Podtapiała mnie w mojej własnej krwi.

- Do cholery, zabij ją wreszcie, Bailey! - krzyknęła Madison piskliwym głosem niczym cheerleaderka na meczu futbolu.

Pod kanapą leżał paralizator. Odwróciłam się i z całej siły uderzyłam ją prosto w twarz. Poczuałam, jakby mój brzuch rozdarł się niczym stara koszula i ryknęłam z bólu. Trafiłam

ją łokciem w i tak już zakrwawiony nos. Upadła na ziemię z kępką moich włosów w ręku.

Zaczęłam czołgać się po paralizator. Sięgnęłam po niego dokładnie w chwili, kiedy Bailey złapała mnie za szyję. Przewróciłam się na plecy i wcelowałam w nią paralizatorem. Opadła na mnie jak kłoda. Chryste, ależ była ciężka! Musiałam podjąć kilka prób, zanim udało mi się wyswobodzić.

Udało mi się wstać, chociaż rwało mnie w mięśniach i czułam, że mam kilka złamań. Dowlokłam się do łóżka i skończyłam rozwiązywać brata. Wstałam, po czym runęłam na ziemię. Moje ciało zaczęło się poddawać. Lucas zsunął się z łóżka i ruszył w moim kierunku, chociaż mięśnie miał mocno odrętwiałe. Kiwnął głową w kierunku drzwi. Wyciągnął do mnie ręce, próbując mnie złapać i pociągnąć za sobą.

Materac się zapalił. W pokoju robiło się coraz goręcej. Nagle zza płomieni wyskoczyła Madison i rzuciła się na Lucasa.

- Dokąd się wybierasz, ty draniu?

Lucas zatoczył się, na szyi znów miał obrożę, ale w ułamku sekundy, mocnym ruchem strzelił głową w tył, trafiając Madison prosto w czoło. Dziewczyna poleciała na plecy. Jej włosy zawirowały jak u lalki.

Nagle poczułam, że zadymiony pokój zaczął wirować i maleć. Słyszałam, że Lucas coś mówi przez taśmę, którą wciąż miał zaklejone usta, ale nie rozpoznałam ani słowa. Poczułam dłoń łapiącą mnie za kostkę u nogi.

Z daleka słyszałam dochodzące mnie głosy. Ktoś bez przerwy powtarzał moje imię. Madison lamentowała jak małe dziecko:

- Pomocy, pomocy! On mnie zgwałcił.  
Zapadłam się w nicość.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

## *Dzień szesnasty*

### *Czwartek*

Obudziłam się w miękkim łóżku, czując zapach gazy i środków antyseptycznych. W moich żyłach krążyła mieszanka, którą podano przez kroplówkę. Lucas był tuż obok. Siedział przy moim łóżku i oglądał na przenośnym telewizorku mecz bejsbolowy z wyłączonym dźwiękiem.

Byliśmy bezpieczni.

Chciałam coś powiedzieć, ale zaschło mi w gardle i ledwie coś z siebie wydusiłam.

Mimo to Lucas mnie usłyszał. Natychmiast wstał, pozwalając pilotowi spaść na ziemię, i podszedł do mnie.

- Cześć, siostrzyczko. - Przystawił mi do ust kubek wody ze słomką. Woda była lodowata i czułam się, jakbym połykała odłamki szkła. Nos miałam zatkany gazą, więc natychmiast zaczęłam kasłać. Poczułam rwanie w jamie brzusznej.

- Spokojnie, pij powoli. Małymi łyżkami. Nie śpiesz się tak, rozrabiako. Byłaś nieprzytomna trzy dni. Nawet nie próbuj się ruszać.

Uśmiechnęłam się w duchu, kiedy nazwał mnie „rozrabiaką”.

- Z tobą okej? - ledwie wybełkotałam przez nos.

Ale Lucas zrozumiał.

- Tak, czuję się dobrze. Nie martw się o mnie, byłem tylko odwodniony i miałem kilka poparzeń. Na kostkach wdała się infekcja, ale biorę antybiotyki. Działają. Ze mną wszystko w porządku. Za to ty, Mia... Do jasnej cholery! - Oczy zaszczyły mu łzami, a twarz wykrzywił grymas. - Nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię stracił, naprawdę nie wiem. - Potrząsnął głową, próbując odgonić tę myśl.

- Chciały zabić nas oboje. - Taka była prawda. Lucasa też musiałyby się w końcu pozbyć. Ich pseudomałżeństwo nie mogłoby przecież trwać w nieskończoność, a wypuszczenie Lucasa na wolość to było dla nich zbyt wielkie zagrożenie.

Mój brat odchylił głowę do tyłu i schował twarz w dłoniach. Wyglądał na wykończonego.

- Wiem. Uratowałaś mi życie.

- Nie płacz, bo też się rozplaczę, a to będzie bardzo bolało - powiedziałam, czując gorące łzy spływające mi po policzkach w stronę uszu i pierwsze lekkie drgania w klatce piersiowej, które mogłyby przerodzić się w regularny szloch. Czyli znowu rwanie w jamie brzusznej.

Sięgnęłam ręką, żeby pogłaskać go po twarzy, tej, której tak długo szukałam, ale każdy ruch niósł ze sobą kolejną falę niemal agonalnych cierpień. Miałam wrażenie, jakby ktoś położył mi na piersi ciężar o wadze stu pięćdziesięciu kilogramów.

- Powinienem zawołać lekarza.

- Nie, jeszcze nie. Porozmawiaj ze mną chwilę. - Lucas już miał powiedzieć „nie”, ale przerwałam mu: - Proszę.



- No dobrze, ale tylko kilka minut. I nie ruszaj się. Nie będę płakać, jeśli nie będziesz się ruszać. - Dolna warga lekko mu zadrżała. Wyciągnął rękę, szukając nieuszkodzonego miejsca na mojej twarzy, które mógłby pogłaskać. Po dłuższej chwili założył mi włosy za ucho.

- Obiecuję.

Lucas schudł. Dawny blask w jego oczach przygasł. Był gładko ogolony. Nie widziałam go takiego od lat. Przypomniało mi się, jak wyglądał, kiedy był dwunastolatkiem. Pewnie wtedy po raz ostatni widziałam go, jak płakał (bliźniaki już tak mają - do końca życia widzą na swoich dorosłych twarzach przebłyśki dziecięcych twarzy).

- Dzięki Bogu płomienie nie sięgnęły twojej twarzy - zażartowałam z jego próżności.

Poklepał się po policzkach i rzucił:

- Wiem. To by było straszne! - Zaśmiał się, choć był to wymuszony śmiech. Przez kilka minut patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, była stojąca w płomieniach kanapa. Co się później stało?

Lucas podsunął swoje krzesło bliżej. Wyglądał marnie, jakby dopiero co brał udział w bójce. Poprawił szlafrok, żeby ukryć ślady po ranach, i usiadł.

- Udało nam się w porę wydostać. Całe mieszkanie zaczęło płonąć, pożar rozniósł się na pierwsze i drugie piętro. Ewakuowano cały budynek.

Zastanawiałam się, czy pożar uleczył agorafobkę, czy może została tam na zawsze? Zwęglony pomnik kobiety

głaszczącej swoje spalone na proch koty.

- Skąd policja wiedziała, że tam jesteśmy?

- Mój dozorca, Russ, im powiedział. Kiedy tylko się obudził, powiedział pielęgniarce, że jestem w pustym mieszkaniu w piwnicy. W końcu zorientował się, że jego córka dziwnie się zachowuje i zbyt dużo czasu spędza w piwnicy. Więc tam poszedł i zobaczył, co się dzieje. Dobra praca rodzicielska. Słyszałem ich na klatce schodowej, kiedy konfrontował się z córką. Zaatakowała go paralizatorem i uderzyła w głowę młotkiem. Po tym, jak Russ mnie zobaczył i nie wrócił, byłem pewien, że moje dni są policzone. Dziewczyny zaczynały panikować. Nie byłem pewien, ile jeszcze wytrzymam. Jeszcze zanim Russ się pojawił, zaczynały się już mną nudzić i zastanawiać, czy jestem wart tego całego zachodu.

- A Bailey? I Madison? - Nagle wyobraziłam sobie Madison na komisariacie. Skubie pączka w lukrze i popija gorącą czekoladę, opowiadając o tym, że Lucas ją porwał. Obok siedzi pracownik socjalny i entuzjastycznie przytakuje każdemu słowu.

- Żyją. Obie zostały aresztowane. Postawiono im szereg zarzutów: o morderstwo, włamanie, napaść, bezprawne pozbawienie wolności i tak dalej. Nie mogę uwierzyć, że można aż tak bardzo nienawidzić swojej siostry. Chociaż, prawdę mówiąc, nie wiem, jaki wyrok dostanie Madison. Jej prawnik już rzuca terminami typu „zaburzenia eksplozywne przerywane” i sugeruje, że Madison nie jest niczemu winna. Twój przyjaciel, policjant Garrett, powiedział, że Bailey może trafić do zakładu dla dorosłych, bo ma już piętnaście lat.

Wiedziałaś, że ta dziewczyna nawet nie chodziła na żadne moje lekcje? Czasami spotykaliśmy się na klatce schodowej. Mówiłem jej „dzień dobry”, ale właściwie jej nie znałem. – Lucas potrząsnął głową.

Bailey. Jedyne, czego chciała, to żeby ktoś ją zauważył. Wyobraziłam ją sobie w pokoju przesłuchań, zadowoloną, że wreszcie ktoś zwraca na nią uwagę. Pewnie dawkowała informacje, bo nie chciała, żeby to kiedykolwiek się skończyło.

– Ale ty zostałeś oczyszczony z zarzutów?

– Tak. Dzięki Bogu. Mia... nawet nie wiem, jak ci dziękować. Poszłaś za mną na dno piekła. Gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj. Gdybyś nie wierzyła w moją niewinność...

– Ścisnęło go w gardle i delikatnie złapał mnie za rękę, na której nie miałam wenflonu. – A teraz wyglądasz okropnie – zażartował, żeby się znowu nie rozkleić.

Rzuciłam mu złośliwe spojrzenie i zripostowałam:

– W tych wszystkich opatrunkach czuję się jak miss świata! A mówiąc szczerze, w sumie nieźle się składa, że przynajmniej jedno z nas dobrze wygląda. To oczywiste, że chciałam cię z tego wyciągnąć, Lucas. Poza tym pamiętaj, że jestem niebezpieczna jak ŻMIJA.

– Cieszę się, że dzięki temu to, co najgorsze, zawsze cię OMIJA – zareagował błyskawicznie.

– Od początku nie mogłam w to uwierzyć. Wiedziałam, że nie wdałbyś się w romans z uczennicą. Ale potem znalazłam u ciebie włosy i pamiętnik. Mimo to i tak uważałam, że nie jesteś zdolny do morderstwa. Jak to się stało? Opowiedz mi

wszystko.

Lucas głęboko zaczerpnął powietrza. Jego spierzchnięte popękane wargi musiały bardzo boleć.

- Zobaczyłem wpis w pamiętniku Joanny na temat domku nad jeziorem i nagle doznałem olśnienia. Pojechałem tam któregoś dnia i od razu wiedziałem, że byłem tam wcześniej. To, że Mimi namalowała domek na jednym z obrazów, też działało na moją korzyść. Tak czy inaczej, na początku nic z tym nie zrobiłem. Po prostu nie dawało mi to spokoju. Ale potem pomyślałem, że tylko my płacimy za dom opieki Mimi, a ja z tego powodu mam długi. Próbowałem nawet zarobić trochę pieniędzy na hazardzie, bo wiedziałem, że pokrywasz większą część kosztów. Ukrywałaś to przede mną, ale i tak wiedziałem. I bardzo źle się czułem z tego powodu. A przez cały ten czas byliśmy spokrewnieni z rodziną, do której należy sięć Harold's.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Zamierzałem ci powiedzieć, kiedy wszystkiego będę absolutnie pewien. Nie chciałem cię rozczarować, gdyby okazało się, że nie mam racji. Dlatego zacząłem rozmawiać z Joanną. Pytałem ją o domek nad jeziorem, do kogo należał, jak długo, czy jej mama też tam jeździła. Moje pytania trochę ją przeraziły, więc powiedziałem jej, że mogę być jej wujkiem. Bardzo się z tego ucieszyła. Twierdziła nawet, że mamy takie same nosy. Rozmawialiśmy o tym, żeby pojechać do St. Roche i zrobić testy DNA, ale nic z tego nie wyszło. Joanna miała na głowie mnóstwo zajęć, a ja nie chciałem na nią naciskać. No i fajnie układało się między nami, jakbym

był tym fajnym wujkiem, z którym można o wszystkim porozmawiać. Kilka tygodni przed tym, jak zaginęła, wróciliśmy do tematu. Wydawało mi się, że doszła już do siebie po tym wszystkim, co ją spotkało. Zapytała mnie tylko, czy chcę wiedzieć na pewno, więc umówiłem nam wizytę w GenTech.

- Wiesz, że możesz zamówić pocztą zestawy do domowego przeprowadzenia badania? Nie musieliście tam jechać.

- Wyników z takich zestawów nie można użyć w sądzie, a jeśli Peter Russo okazałby się naszym ojcem, chciałem go pozwać do sądu o zaległe alimenty. A kiedy do niego zadzwoniłem, a on nie podszedł do telefonu, potwornie się wściekłem. Postanowiłem, że muszę odzyskać te pieniądze. Był nam coś winien. Mógł chociaż włączyć się do opieki nad Mimi, partycypować w kosztach. Po prostu chciałem, żeby nam jakoś pomógł, rozumiesz?

- Tak, ale pewnie zdajesz sobie sprawę z tego, jak łatwo można to było inaczej zinterpretować? Ty i twoja uczennica wyjeżdżacie z miasta jednym samochodem?

- Przywykłem do takich plotek, pojawiają się co najmniej raz w roku i nigdy nie traktowałem ich poważnie. Wiem, że to nie był najmądrzejszy pomysł, ale gdyby wynik testu okazał się pozytywny, mógłbym powiedzieć im, że jestem ich wujkiem. Ale ostatecznie Joanna znowu musiała odwołać nasz wyjazd. Źle się z tym czuła, więc dała mi kosmyk włosów. Powiedziała, że mogę ich użyć do testu. - Potrząsnął głową i westchnął smutno. - Ona taka właśnie była, dobra, taktowna. Zatrzymałem jej włosy, bo czułbym się źle,

gdybym je wyrzucił. Poza tym pomyślałem, że może faktycznie nie uda nam się razem pojechać na test? Swoją drogą, tak właśnie się to skończyło.

- A telefon? Powinieneś być oddać go na policję.

- Joanna zagroziła, że jeśli ktokolwiek dowie się o tym, co zrobili jej hokeiści, zabije się. Ufała mi. - Westchnął ciężko. Widziałam, że gubił się w tym, jak być dobrym wujkiem. - Ważniejsze dla niej było to, żeby zdjęcia nie trafiły do internetu, więc musiałem to zaakceptować. Bo nawet gdyby udało mi się zdobyć wszystkie zdjęcia, oskarżyć tych chłopaków o napaść, usunąć ich ze szkoły i drużyny, inne dzieciaki dowiedziałyby się, kim jest dziewczyna ze zdjęć i Joanna przeżyłaby prawdziwe piekło. Widziałem już takie historie. Joanna błagała, żebym nic z tym nie robił, żebym zatrzymał telefon. Kiedy był u mnie, miałem nad nimi władzę. A kiedy zostałem zawieszony, zabrałem go do domu i schowałem.

- Dlaczego nie poszedłeś na policję i nie powiedziałeś im wszystkiego? - spytałam, ale do środka wparowała pielęgniarka. Przestraszona, że się obudziłam, chciała podać mi lek uspokajający (na który normalnie bardzo bym się ucieszyła) i wezwać lekarza, ale poprosiłam ją, żeby jeszcze chwilę poczekała. Spojrzała na Lucasa, rzuciła mu kokieteryjne spojrzenie, którego nawet nie zauważył, odparła, że wróci za pięć minut, „nie więcej”, i wyparowała.

- To jak?

- Nie poszedłem na policję, ponieważ następnego dnia Joanna zaginęła. Wtedy przyszła do mnie Madison

i powiedziała, że dostała wiadomość od Joanny, żeby się o nią nie martwić. Uciekła, bo musi przemyśleć swoje sprawy. Zaszła w ciążę. Uznałem, że dlatego odwołała nasz wyjazd. Było mi przykro, bo kiedy wydawało się, że wszystko zaczęło się układać, zdarzyło się coś takiego. Wiedziałem, jak złe były jej relacje z matką, o tym, że symulowała kontuzje tylko po to, żeby nie tańczyć. Pomyślałem, że może ciąża to jej kolejna próba wyrwania się spod presji, którą wywierała na nią Kathy. Sam nie wiem, ale w sumie to wszystko miało dla mnie sens.

- Ale Joanny nie było trzy tygodnie! - Pomyślałam, że Kathy wcale nie znęcała się nad córką. W jej oczach musiałam być okrutną kłamczuchą. Nie powiem, żebym czuła się z tym dobrze. Myliłam się. Ale ona też.

- No właśnie, i drugi raz na pewno nie postąpiłbym tak samo. Ale wtedy Madison wciąż przychodziła do mnie między zajęciami i opowiadała kolejne fakty na temat Joanny. A to że niedługo wróci do domu i powie matce o ciąży, chociaż boi się, że Kathy będzie nalegała na aborcję. Potem mówiła, że Joanna zdecydowała się usunąć ciążę i wrócić dopiero po zabiegu. Tyle że znowu zmieniała zdanie. Słyszałem jakieś plotki o tym, że Dylan ma pojechać po Joannę i razem zamieszkają w domu jego matki. Ale i ten plan upadł. Cały czas była o krok od powrotu, ale w ostatniej chwili zawsze coś się działo. Madison karmiła mnie stekiem bzdur, a ja to wszystko łykałem - powiedział takim tonem, jakby sam nie mógł w to uwierzyć.

- Nie zapytałeś jej, gdzie jest Joanna?

- Oczywiście, że pytałem. Ale daj mi dokończyć, Mio, bo czuję się tak, jakbym był na kolejnym policyjnym przesłuchaniu.

- Okej, przepraszam.

- W kółko pytałem o to Madison, ale nie chciała mi powiedzieć, gdzie jest Joanna. Czasami zdradzała różne szczegóły, ale później mówiła, że się przeprowadziła. A to była u przyjaciółki, a to u kuzynki. Za każdym razem, kiedy jej mówiłem, że musi powiedzieć matce albo policji, gdzie jest Joanna, bo inaczej sam to zrobię, Madison zamykała się w sobie. Wpadała w histerię. Kiwała się na łóżku w przód i w tył, płakała. Powiedziała, że jeśli powiem cokolwiek policji, będę odpowiedzialny za samobójstwo Joanny, bo na pewno je popełni. Czy to nie jakiś koszmar? Tyle że teoria o tym, że Joanna popełni samobójstwo, wcale nie była wyssana z palca. Nie czuła się dobrze. Była w ciąży, źle układało się jej z matką, była coraz bardziej przygnębiona, czuła się osaczona. Potem ktoś zniszczył mój samochód, a ludzie zaczęli gadać. Kiedy zawiesili mnie w obowiązkach, powiedziałem Madison, że to koniec. Że powiem policji, żeby zapytali ją o to, gdzie jest jej siostra. Błagała mnie, żeby dać Joannie chociaż weekend. Patrzyła na mnie wielkimi, pełnymi łez oczami i obiecywała, że Joanna wróci w poniedziałek. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że...

- Lucas spuścił wzrok i schował czoło w dłoniach. Nie widziałam go, ale wyczułam, jak bardzo jest zły na siebie. - Dałem jej weekend - dokończył.

- To nie twoja wina - powiedziałam z przekonaniem.



Oczywiście mógł to inaczej rozegrać, ale nie ponosił odpowiedzialności za to, co zrobiła Madison.

- Owszem, moja. Chcesz poznać najbardziej żalosalną część?

- Podniósł wzrok, na jego twarzy pojawiły się wypieki.

- Lucas... - Było mi przykro, że obwiniał się o to wszystko. Miałam ochotę wstać i jeszcze raz powiedzieć, że to nie jego wina.

- Naprawdę myślałem, że kiedy Joanna wróci, opowie wszystkim o tym, że chronił ją przed hokeistami, przed nią samą, że pomogłem jej odizolować się od rodziny, zanim zrobi coś o wiele gorszego niż skręcenie sobie kostki. Myślałem, że kiedy Peter się o tym dowie, pomyśli, że jestem lepszym człowiekiem niż on sam. Że jestem dobrym człowiekiem...

Lucas wlepił wzrok w podłogę. Żyłki na jego czole pogrubiały.

A więc o to w tym wszystkim chodziło. Dlatego tak dziwnie się zachowywał. Bez ładu i składu.

- To nie jest żalosalne. Czujesz się odrzucony. Spójrz na mnie. Nie jesteś żalosalny - powiedziałam z przekonaniem.

Lucas popatrzył na mnie, ale pokiwał głową, jakby to mu nie wystarczało. Westchnął głęboko, splótł palce i schował je między kolanami.

- Madison wiedziała, że jestem jej wujkiem. Nie wiem, kiedy Joanna jej o tym powiedziała, ale wiedziała na pewno.

Oczami wyobraźni zobaczyłam ostatnie chwile Joanny. Opowiadała Madison o ich wujku, żeby zyskać kilka minut, zanim siostra zacieśni uścisk szalika na jej szyi.

- Co się stało potem?

- Bailey przyszła do mnie do mieszkania w niedzielę po południu i powiedziała, że Joanna jest w piwnicy i chce ze mną porozmawiać. Ale kiedy zszedłem na dół, zastałem tam tylko Madison. Madison... - powtórzył jej imię, jak obcokrajowiec uczący się nowego słowa. - Nie miałem pojęcia, że się we mnie podkochuje. Czasami mówiła niestosowne rzeczy albo zakładała skąpe ubrania. Czasami czekała na mnie przy samochodzie czy na moim krześle. Innym razem pochylała się nad biurkiem, próbowała zachowywać się prowokująco, ale jej zachowanie niewiele różniło się od zachowania innych dziewczyn z ich towarzystwa. Ona ma czternaście lat. Eric powiedział, że dziewczęta w tym wieku testują swoją seksualność i nie powinienem zwracać uwagi na takie zachowania...

- Eric to idiota - wtrąciłam.

- Nie sądziłem, że... - Lucas wzdrygnął ramionami. - Przez cały ten czas Joanna nie żyła, bo ta mała wariatka ją zabiła.

- Bailey i Madison zrobiły sobie bransoletki z jej włosów. Sama nie wiem, co jest gorsze. To, że Bailey przystała na to wszystko trochę z nudów, a trochę po to, żeby cieszyć się przywilejami wynikającymi z przyjaźni z popularną i bogatą dziewczyną, czy to, że Madison zabiła własną siostrę, żeby odebrać jej kogoś, kto był dla niej nieosiągalny.

- Obie mnie przerażają. Nawet nie wiedziałem, że Joanna nie żyje, dopóki Garrett mi nie powiedział. Była taka pogodna. Przypominała mi ciebie. Wiedziałem, że sobie poradzi, o ile tylko uda jej się stąd wyrwać. Uciec od matki...

- Lucas zamilkł.

Ja z kolei czułam, że z każdą chwilą zawartość strzykawki pielęgniarki staje się coraz bardziej atrakcyjna.

- Poznałam tatę - powiedziałam tak lekko, jak tylko mogłam. Jakbyśmy siedzieli z Lucasem w kawiarence. Chciałam jak najbardziej odwlec moment, w którym będę musiała stawić czoło zespołowi stresu pourazowego.

Lucas podniósł wzrok i odparł:

- Niezła z niego łajza, prawda?

- Absolutna!

- Chociaż może... Peter wcale nie jest aż taką łajzą? - Lucas położył na stole kopertę. - Przysłał ci kartkę.

Podniósł ją wysoko, tak żebym widziała wyraźnie, i otworzył kopertę. W środku była pocztówka w fioletowe kwiaty ozdobiona brokatem.

*SZYBKIEGO POWROTU DO ZDROWIA*

*Zdaję sobie sprawę, że przeprosiny nie wystarczą, szczególnie te złożone na kartce pocztowej, ale muszę to powiedzieć: przepraszam. Chciałbym cię lepiej poznać, jeśli mi na to pozwolisz.*

*Peter Russo*

Lucas wyjął kolejną kartkę, która była w środku. Czek. Może nie taki, który pozwolilby mi rzucić pracę, ale zdecydowanie była to kwota, która odmieni moje życie. Prawdopodobnie wypisał te czeki, żeby nas udobruchać, ale już nigdy nie będziemy musieli się martwić o to, jak zapłacić za dom opieki Mimi. O wiele rzeczy nie będziemy musieli się martwić.

- Dostałem taki sam - wyszczerzył zęby Lucas.
- Powinniśmy je przyjąć?
- A czemu nie?

Lucas o niczym nie wiedział. Opowiedziałam mu o moim spotkaniu z Peterem. Słuchał mnie z uwagą. Przez chwilę na jego twarzy pojawił się uśmiech satysfakcji, gdy poznał prawdę o wypadku Mimi, ale szybko został zastąpiony przez smutek. Może nie powinnam była mu o tym mówić, psuć mu radości z tych pieniędzy? Ale przecież zasługiwał na prawdę.

Lucas oparł dłonie na łokciach i zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie spojrzał na mnie i zapytał:

- Co na naszym miejscu zrobiłaby Mimi?

To było pytanie retoryczne. Odpowiedź na dylemat moralny, jakim było przyjęcie pieniędzy od człowieka, który upozorował wypadek samochodowy naszej matki.

- No właśnie, co by zrobiła Mimi?

- Zatrzymała je - odpowiedzieliśmy chórem.

- To co zrobisz ze swoją częścią? Kupisz luksusowy apartament w Wayoacie, o którym zawsze marzyłeś? - spytałam.

- Może. Ale jeśli to zrobię, na pewno będzie miał gigantyczny pokój dla gości. Może nawet będzie tam ten nowowoczesny prąd, o którym wszyscy tyle gadają? - powiedział, udając wieśniaka, co zawsze robił, kiedy chciał się ponabijać, że jestem wielkowiejską snobką.

- Przede wszystkim, nie mówi się „nowowczesny” tylko „nowoczesny”. I kto tu jest nauczycielem angielskiego? A po drugie mógłbyś też kupić coś bliżej swojej siostry w Chicago.

- Właściwie czemu nie?

- I nie zapomnij spłacić długu Gellerowi.

- Gellerowi? Pożyczyłem od niego pięćset dolarów i mam mu spłacić do końca miesiąca. Chociaż przyznam, że to nie było mądre. Zrobiłem kilka zakładów, przegrałem i tyle.

- Pięćset? Chciał, żebym mu oddała cztery tysiące!

Opowiedziałam Lucasowi o tym, jak Geller stłukł mi szybę w samochodzie.

- To brzmi prawdopodobnie. To szmata! Skończyłem już z hazardem. Naprawdę.

Później upewnię się, że nie kłamię. Wyślę mu pocztą ulotki informacyjne centrów pomocy dla Anonimowych Hazardzistów albo coś w tym stylu. Teraz nie był najlepszy moment.

Do pokoju weszła pielęgniarka, a za nią podenerwowany doktor. Powiedzieli, że muszę odpoczywać.

Lucas wstał, poprawił szlafrok. Nachylił się nade mną i pocałował mnie w policzek.

- Wrócę później - powiedział, po czym powoli wyszedł z pokoju, trzymając rękę na plecach. Patrzyłam, jak odchodzi oprawiony w ramkę z łokcia pielęgniarki i biodra doktora. Kiedy doszedł do drzwi, wyblakłą zielen ścian szpitala nagle ożywiła cukierkowa czerwień jego ulubionych high-topów od LeBrons. Odwrócił się i skinął głową w sposób, w jaki niezliczoną ilość razy dawaliśmy sobie znać, że wszystko w porządku.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

### *Sześć miesięcy później*

Lucas stał na łóżku Mimi i rozwieszał lampki choinkowe nad jej oknem. Kiedy wreszcie udało nam się je rozwiesić, używając odpowiedniej ilości taśmy klejącej, podłączyłam je do prądu i pokój zalała wzburzona fala kolorów. Mimi klaskała w dłonie i podskakiwała w górę i w dół. Zdążyłam już zapomnieć, jak bardzo kochała święta Bożego Narodzenia. Od kiedy pamiętam (pewnie dlatego Lucas miał na lodówce nasze stare zdjęcie ze świąt - przypominało mu Mimi, kiedy była w najlepszym nastroju. Lucas zawsze był bardziej sentymentalny ode mnie). Wszędzie wisiały ozdoby choinkowe. Na telewizorze, na komodzie i nawet, chociaż nie było to zbyt rozsądne, w jej tajemnej popielniczce (zajmiemy się tym przed wyjazdem). Raz na jakiś czas chyłkiem spoglądałam na buteleczkę leków na stoliku nocnym i zastanawiałam się, co może być w środku. Od ostatniej tabletki środka przeciwbólowego, które brałam zgodnie z zaleceniem lekarza, jestem czysta. To już trzy miesiące. Nie będę kłamać, że przychodzi mi to z łatwością, ale jakoś daję radę. Za każdym razem, kiedy nachodzi mnie ochota, podnoszę koszulkę i patrzę w lustro na blizny po dźgnięciach noża na skórze.

- Przeżyłaś. Nie zmarnuj tego życia - powtarzam sobie

w kółko. Nie wiem czemu, ale to działa.

Kiedy wróciłam do pracy, okazało się, że wiele tabletek nie kusi mnie już tak bardzo jak dawniej. Podczas mojej „nieobecności spowodowanej niedyspozycją” uświadomiłam sobie, jak bardzo tęskniłam za swoją pracą i ekscentryczną nocną klientelą. Tęskniłam za pomaganiem ludziom takim jak zaspana matka, która o ostatnich siłach weszła do apteki, mrużyła oczy w ostrym świetle jak dziki kocur, kiedy wybierała lekarstwa na gorączkę i kaszel swojego dziecka. Albo jak ten chłopiec, który umierał ze wstydu, kiedy próbowałam delikatnie mu wytłumaczyć, że leki na kurczaki spod lady nie działają tak samo jak te z apteki.

Z jakiegoś powodu apteki stały na każdym rogu, a ja czułam się potrzebna.

Mimi nalegała, żebyśmy zjedli indyka u niej w pokoju.

- Nie będziecie musieli patrzeć na tych patałachów - stwierdziła. Spędziliśmy więc Boże Narodzenie w pokoju Mimi. Tym razem było mi łatwiej tu być. Siedzieliśmy w kółeczku, nasze tacki z jedzeniem były skierowane ku sobie. Zarówno indyk, jak i purée ziemniaczane, kalafior i fasolka z puszki były przyprawione tą samą przyprawą, więc popijaliśmy wszystko jabłkowym cydrem z małych plastikowych kubeczków. Na Weather Channel, najczęściej oglądanej stacji telewizyjnej o pogodzie w Wayoacie, pokazywano blok z kolędami. Spędziłam trzeźwe święta, które w dodatku były „prawie” miłe.

Wilkesowie wysłali nam kartkę pocztową z błyszczącą fotografią Kathy, Iana i Bena w świątecznych sweterkach od

kompletu. Ben (który miał też na sobie jelenie rózki i chyba lekko zaschnięte resztki tuszu do rzes) trzymał w rękach oprawione zdjęcie Joanny. Kathy podpisała je „Wilkesowie”, co, jak zakładałam, oznaczało, że Madison nie uznają już za jedną z nich. Wyglądało na to, że trafiliśmy na listę osób, do których co roku wysyłali życzenia świąteczne. Ciekawe, co to oznaczało? Być może nic, ale na pewno było to miłe zaskoczenie.

W ciągu ostatnich miesięcy często rozmawiałam z Garrettem. Najpierw podczas wizyt w szpitalu, później wymienialiśmy mejle i dzwoniliśmy do siebie. Głównie na temat postępów w procesach sądowych, ale czasami też o moim życiu w Chicago i jego w Wayoacie. Okazało się, że Garrett nie był aż takim dupkiem, gdy nie musiał już aresztować mojego brata.

Kiedy tylko otrzymał wyniki testów na ojcostwo, zadzwonił do mnie i Lucasa. Okazało się, że DNA dziecka Joanny nie zgadzało się z żadnym, jakie mieli w swojej bazie, i ojciec został uznany za nieznanego. Joanna na pewno ucieszyłaby się z tego, skoro przyznała się Ericowi, że spotyka się ze starszym mężczyzną, ale nie chciała go angażować w swoje sprawy. Kimkolwiek on był, nie będzie miał kłopotów.

- Proszę - powiedziała Mimi, wręczając nam po płócienną rolce przewiązaną wstążeczkami, które musiały zostać skręcone jakimś tajemniczym, ostrym przedmiotem. Dwa obrazy. Każdemu z nas podarowała portret. Lucas otrzymał obraz namalowany na podstawie zdjęcia, które krążyło po mediach, kiedy był poszukiwany w sprawie morderstwa.



Zdjęcie zostało zrobione podczas jednego z treningów. Lucas miał na nim zacięte, żarliwe spojrzenie, które zapewne miało udowodnić ludziom, że ten nauczyciel ma swoją mroczną stronę. Mój portret został namalowany na podstawie zdjęcia z konferencji prasowej.

- Naprawdę, Mimi? Musiałaś wybrać akurat te dwa zdjęcia? - zapytał Lucas skrzywiony.

- To dlatego, że jesteście tacy sławni. Wszyscy mi o tym mówią - przytaknęła dumna z siebie Mimi.

- Są bardzo ładne - wydusiłam z siebie i szturchnęłam Lucasa łokciem. Faktycznie dobór zdjęć był makabryczny, ale cała ta sytuacja przypomniała mi o czymś. Kiedy byłam mała i Mimi szykowała mnie do szkoły, używałyśmy tej samej chusteczki. Wiedziałam, że bardzo się starała.

Mój portret wcale nie okazał się brzydszy i robiony w pośpiechu. Był równie staranny co Lucasa. I znowu poczułam, że moje serce topnieje. Było mi przykro, że Mimi miała wypadek i że jej życie tak właśnie się ułożyło. Ale nic na to nie mogłam poradzić.

Na deser dostaliśmy podgrzewany w kuchence mikrofalowej jabłecznik. Potem Mimi zażądała, żebyśmy usiedli obok siebie i pozowali do portretu. Spędziliśmy kolejne półtorej godziny, narzekając, że drętwieją nam plecy, i zbierając burę za to, że się wiercimy. W końcu Mimi powiedziała, że jest już zmęczona. Odprowadziła nas do drzwi, wybierając najdłuższą z możliwych tras. Chciała minąć jak najwięcej pokoi, żeby się nami pochwalić przed innymi mieszkańcami domu opieki. Później czekaliśmy na

zewnątrz, aż Mimi wróci na górę i pomacha nam z okna swojego pokoju. To był jej najnowszy wynalazek, a Lucas twierdził, że będziemy mieć kłopoty, jeśli nie poczekamy. Więc czekaliśmy. Duże, wilgotne płatki śniegu muskały nasze twarze, a my przeskakiwaliśmy z nogi na nogę, żeby nie zmarznąć.

Lucasa z powrotem przyjęli do Westfield. Kiedy go spytałam, jak może tam pracować po tym, jak go potraktowano, wzruszył ramionami i odparł, że poza graniem w hokeja to jedyna rzecz, do której czuje się powołany. Wierzyłam mu.

Mimi pojawiła się w oknie. Pomachała nam szeroko niczym królowa, stojąc w świetle czerwonych, zielonych i niebieskich lampek. Odmachaliśmy jej.

## **PODZIĘKOWANIA**

Dziękuję mojej niesamowitej, utalentowanej i niezwykle inteligentnej agentce, Beth Phelan, która doskonale wie, jakie działania podejmować na każdym, konkretnym etapie pracy. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła!

Dziękuję elokwentnej i niezwykle mądrej redaktor, Amy Stapp, za czujne oko i za to, że miała gotową odpowiedź na każde pytanie o to, co i jak poprawić. Świetnie się z tobą pracuje!

Chciałabym również podziękować całej ekipie Forge za waszą ciężką pracę i poświęcenie.

Dziękuję Sherry Graham za to, że czytasz najszybciej na świecie oraz za cenną uwagę, że ludzie nie chodzą do łazienki z lunchem.

Podziękowania również dla mojej hojnej sąsiadki, Stacey Hauser, za wszystkie ogniska w ogrodzie i za to, że byłaś jedną z pierwszych osób, które przeczytały moją książkę.

Wyrazy wdzięczności dla Kristy Nicholson i Jenny Harrison (dwie nadzwyczajne ciocie) za ich usługi w roli niań, dzięki którym miałam więcej czasu na pisanie. I pozdrowienia dla całego personelu Safeway Pharmacy za odpowiedzi na wszystkie moje podejrzane pytania.

Dziękuję rodzinie i przyjaciołom za to, że opowiadali o mojej książce każdemu, kto miał ochotę o niej posłuchać.

Taro, nie wystarczy mi miejsca tutaj (ani w żadnej innej

książce), żeby wyrazić swoją wdzięczność dla ciebie. Jeśli jeszcze o tym nie wiesz, jesteś najbardziej bezinteresowną i błyskotliwą osobą, jaką znam, a także tym najlepszym, co mnie w życiu spotkała.

I nieskończone pokłady miłości dla mojej córki, Rowan, drugiej najwspanialszej rzeczy, jaka spotkała mnie w życiu. Wnosisz światło i blask w moje życie!

[1] Popularna amerykańska gra komputerowa z lat 70. Powstała w celach edukacyjnych (pierwsza wersja ukazała się na komputerach uniwersyteckich), ale szybko zyskała status kultowej.

[2] BZP (benzylpiperazyna) – substancja psychoaktywna o działaniu stymulującym o działaniu zbliżonym do amfetaminy. W Polsce BZP jest nielegalne od 2009 roku.

[3] W oryginale angielskim: *congradulations*. To zbitka słowna *congratulations* + *graduation*, czyli gratulacje z powodu ukończenia szkoły/studiów.

[4] *Three's Company* – popularny amerykański serial familijny, emitowany w latach 1977-1984 z Joe Ritterem w roli głównej.

[5] O.J. Simpson (ur.1947) – amerykański futbolista i aktor. W 1994 roku został postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem zamordowania byłej żony, Nicole Brown Simpson, i jej przyjaciela, Rona Goldmana. Był to jeden z najgłośniejszych procesów w historii USA. Simpsona bronił zespół adwokatów, którzy wywalczyli jego uniewinnienie, między innymi zarzucając policji Los Angeles niekompetencję i rasizm. Jednym z koronnych dowodów przeciwko Simpsonowi była czarna rękawiczka znaleziona na miejscu zbrodni.

[6] *Bed, Bath & Beyond* jest amerykańskim odpowiednikiem IKE-i.

[7] Popularne w USA, Kanadzie, Wielkiej Brytanii i Irlandii nadziewane chrupiące ciastka produkowane przez Kellogg Company.

[8] Popularny w USA makaron spaghetti w kształcie obręczy z sosem pomidorowym, sprzedawany w puszkach. Hasłem reklamującym produkt było: „Uh-oh, SpaghettiOs!”, które później weszło do języka potocznego. Wyrażenia używa się, kiedy ktoś popełni błąd lub faux pas. Polskim odpowiednikiem może być „A to klops!”, stąd w dalszej części tekstu pojawi się w formie: „A to klops! SpaghettiOs”.

[9] W tym kontekście słowo „Bun” oznacza w języku angielskim „słodkie bułeczki”, ale użytkownicy slangu używają go także na określenie pośladków.

[10] Sieć supermarketów posiadających w asortymencie artykuły budowlane i narzędzia. Odpowiednikiem znanym klientom z Polski byłyby Castorama czy Leroy Merlin.

Tytuł oryginału: *Follow Me Down*

Pierwsze wydanie: A Forge Book, Published by Tom Doherty Associates, Nowy Jork, 2017. Forge® is a registered trademark of Macmillan Publishing Group, LLC.

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Małgorzata Narewska

© 2017 by Sherri Smith

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2018

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Trevillion.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

[www.harpercollins.pl](http://www.harpercollins.pl)

ISBN: 978-83-276-3071-1

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.